

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.



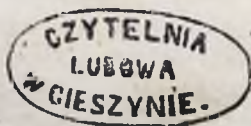
**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1870.

Tom czwarty.



WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1870.

Доводено Цензурою.

Варшава 15 Сентября 1870 года

W drukarni Gazety Polskiej przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 619.

NIE W PORE.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

Teressę Prażmowską.

(Dokończenie).

List XLV.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 25 listopada.

Znowu jestem w Podzamczu, ale widać to Podzamcze, będące dla mego brata zaciszem, w którym cały skarb jego szczęścia złożony, dla mnie jest tylko miejscem fatalnym, strefą burz, co nieubłagane wicherzą życiem mojem i nie dając mi chwili spokoju, pchają je dziwnym kierunkiem... Kto mógł przewidzieć że marny fakt powszedniego życia postawi znowu na rozdrożu mnie, który mniemałem, że stoję już u portu i mam przed sobą przyszłość bezpieczną? Jedna chwila... a złudzenie pierzchnęło i znowu bolem rozszalały, mocuję się sam z sobą, chcąc przynajmniej z tej zawiei co burzy mi szczęście na wieki, wynieść nietkniętą godność moją i prawość....

Jechałem tu rad myśli, że znowu moją narzeczoną powitam, i znowu czas dłuższy przy niej bawiąc, czuć będę, jak każda razem spędzona chwila, przywiązuje mnie do istoty w której siła myśli, bystrość poglądu, nie wyklucza

serdecznej słodyczy kobiecój, ale jeszcze ponętniejszą ją czyni. Jechałem, całą siłą obowiązku i przekonani broniąc się wszelkiój innój myśli tak usilnie, że nawet zamgłonym marzeniem nie roilo mi się po głowie nic, coby się nie mogło natychmiast wcielić w rzeczywistość i harmonijnie pogodzić z jej warunkami.... Dzień był śliczny, poważny i smętny, choć cały słońcem rozbłyśnięty; z czystego błękitu niebios padała światłość blada a przezroczysta, i łamała się tęczowym blaskiem w szronie który okrywał bezlistne już drzew gałęzie. Jakaś cicha tęsknota wiała mi ze świata w serce; jakąś głęboką żalobą skarżyła mi się ta natura, którój chłodne promienie słońca nie mogły ze snu przebudzić i wiosenném przepromienić weselem. Ale jednocześnie to mroźne powietrze, co mi z falą wiatru płynęło w piersi, niosło z sobą siłę rzeźwiącą i jakąś moc dobroczynną, działało na mnie uzdrawiającym wpływem swojej pogody i choć smutny, spokojny byłem jak ten, który nie tylko czynem ale nawet pamięcią zerwał już z przeszłością pełną niepokoju bolesnego.

Dojeżdżałem już do Podzamcza, już mogłem dostrzedz wysokie topole, dom i ogród otaczające w około, gdy chcąc skrócić tę niewielką przestrzeń co mnie jeszcze od nich dzieliła, kazałem zjechać z gościńca w wąziutką a krętą drożynę z obu stron płotami ogrodzoną, która wijąc się wśród pól, wschodzącym zbożem rozzielenionych, prowadziła mnie śpieszniej do celu. Cztery moje konie w poręcz zaprzężone, spierając się na sobie, dobrym kłusem przeciskały się wśród płotów, parskając tylko niecierpliwie ile razy stercząca gałąź zawadziła o ich uprząż, lub po lśniący sierci drasnęła.... gdy wtém, na jednym z niezliczonych zakrętów drogi, niespodzianie, spotkałem się oko w oko z Michaliną. Jechała konno, sama, wracając widać z Podzamcza; spotkawszy mnie wstrzymała konia biegnącego galopem i zapytała furmana:

— Czy będziemy mogli się minąć?

Zakłopotany mój mazur milczał, bo w rzeczy samój minąć się było niepodobna, tém niepodobniej, że biegiem rozhukane konie kręciły się na miejscu niespokojnie, jakby gniewne na tego przybysza, który na ich widok, stuliwszy uszy, rżał tylko urywanym głosem. Zrzuciłem burkę, która

mnie od chłodu jesiennego broniła i zeskakując z bryczki, pieszczotą i głosem zmuszając orczykowego by mi miejsce zrobił obok siebie, zbliżyłem się do Michaliny. Zdawało się, że mnie w téj chwili dopiero poznała, bo zdziwiona, blednąc spojrziała na mnie, a ręka jój tak drgnęła gwałtownie, że koń znieacka szarpnięty cuglami stanął dęba i przysiadł na tylnych nogach. Schwyciłem go za cugle i głaszcząc biedne zwierzę, całe drżące z bólu i niecierpliwości, zaproponowałem by zsiadła z konia, nie narażając się na niebezpieczeństwo, jakim na téj ciasnej drożynie mogły jój grozić moje konie, które zaledwo mogła utrzymać w miejscu ręka furmana, tak się szalenie rwały, rozdrażnione widokiem jój wierzchowca.

Ale na słowa moje, stanowczo i zimno odparła Michalina:

— Nie widzę dlaczegobym zsiadać miała; na świecie wszyscy znaleźć sobie mogą miejsce, nie tylko ludzie i konie, ale nawet serca ludzkie....

I chciała coś więcej mówić, a oczy jój paliły się gniewnym blaskiem i drżały usta pobladle, ale ja przerwałem spokojnie:

— Jest wyjątek od każdej zasady; tu miejsca braknie tak, że ani ja nie mogę zawrócić ani pani przejechać.

— Zdaje się to panu tylko—rzekła z obojętném moich słów lekceważeniem—ja nie wierzę w niemożebność...

I gryząc usta do krwi, szarpała coraz to więcej konia, aż wreszcie po chwili dodała ironicznie:

— Dużo mi na tém zależy, aby panu dowieść że niemożebność nie istnieje... można pokonać silną wolą, wszystko co nam się nią wydaje.

Nie była to chwila do dyskusyi i sporów; milczałem, ona mówiła znowu:

— Możemy się oboje pomieścić na świecie, wzajemnie sobie nie zawadzając, chcę pana o tém przekonać i dla tego... przejadę.

— Koniecznie?— spytałem, a widać głos mój i wzrok mówiły jój wyraźnie o trwożnej obawie co mi serce ścisnęła, o bolesném wzruszeniu jakie mi niosły gorzkie jój słowa, bo zawahała się chwilę w odpowiedzi i ostry wyraz jój twa-

rzy zmiękł słodyczą, ale wnet znowu brwi ściągnęła niecierpliwie i sucho a zwięźle odparła:

— Koniecznie; bądź pan łaskaw usunąć mi się z drogi.

Zrozumiałem, że uporu rozdrażnionej kobiety rozsądne przedstawienie nie przełamie, a kruszyć go innemi słowami, miękzyć go prośbą gorącą... nie miałem prawa. Spróbowałem ostatniego środka.

— Pozwól mi pani przynajmniej przeprowadzić swego wierzchowca za cugle. Moje konie znają mój głos i usuną się trochę a widząc mnie pomiędzy sobą i koniem pani, postoją spokojnie.

— Dziękuję panu— rzekła chłodno— przejadę sama. Przywykłam na siebie tylko liczyć i sama sobie dawać rady... Zresztą, mój wierzchowiec musi mnie usłuchać, bo jeżeli nie usłucha namowy, to go szpicruta przekona.

I musnęła szpicrutą nozdrza konia, któremu już z oczu iskry gniewu pryskały. Rozdrażniony, położył tylko uszy po sobie i gryząc wędzidło, ponuro spojrzął z podełba.

— Ja panią samą nie puszcze— mówiłem— to szaleństwo... Grześ już nie może utrzymać moich koni.

Ale ona poprawiła się tylko na siodle i zwalniając cugle jak do biegu, dotknęła lekko szpicrutą szyi konia, zachęcając go głosem i ruchem. Mądre zwierzę, instynktem ostrzegane o niebezpieczeństwie, które mu groziło zarówno jak i pani jego, cofało się chrapiąc.

— Usun się pan z drogi— rzekła rozkazująco Michalina i tak niemiłosiernie zacięła konia, że ten rżąc z bólu naprzód poskoczył.

— Panie, ja siwym rady nie dam— odezwał się Grześko, i w téjże chwili szalonym rzutem zrównały się moje konie z wierzchowcem Michaliny, co rozogniony a trwożą nieprzytomny, usiłował się przedostać pomiędzy nimi a płotem. Jednym rzutem oka zrozumiałem straszną katastrofę jaka nastąpić mogła. Zębami i kopytami wzajemnie na tarły na siebie *oszałałe gniewem* zwierzęta. Daremnie Grześ przeżył lejce, chcąc swoje w tył cofnąć, wściekłość nad posłuszeństwem brała w nich górę, konie gryzły się i wiergały a z pośród tego zamętu doleciał mnie głos Michaliny:

— Miałeś pan słuszność, nie mogę przejechać.

Wszystko to stało się w jedném mgnieniu oka, skończyłem jęć na ratunek wołając:

— Chwyć się pani za żerdź płotu i za płot zeskocz.

Wiem tylko że mi odpowiedziała zmienionym trwogą głosem:

— Nie mogę nogi uwolnić ze strzemia.

To była ostatnia okoliczność z której sobie mogę zdać sprawę. Opowiadano mi potem że w chwili gdy się rzucił pomiędzy konie, wierzgnięciem w piersi trafiony, upadłem na ziemię nieprzytomny. Przestрах poczciwego Grzesia dodał mu widać siły, bo tak szarpnął lejcami że temu szarpnięciu uległy moje siwki i w tył cofnięte, zostawiły Michalinę w spokoju.

W kilka godzin zaledwie odzyskałem zmysły. Spojrzałem w około przytomnie zdając sobie sprawę z miejsca do którego mnie przeniesiono. Był to dworek ekonomski, zamieszkaný dzisiaj przez wysłużonego oficjalistę Jerzego. Przy mnie był doktor, ten sam który Jerzego w chorobie odwiedzał: gospodarz poczciwy staruszek stroskany moim wypadkiem i Michalina z twarzą co mi się wydała tak dziwnie zmienioną niepokojem, tak smutną i łagodną zarazem, że przymknął oczy, bojąc się utracić to złudzenie. Po chwili otwarłem je znowu, spróbowałem mówić, uczułem na piersiach ciężar tak wielki, że osłabione moje siły nie zdołały mu podołać i głosu wydobyć nie potrafiłem.

— Nie męcz się pan mówieniem—szepnęła Michalina, której uwagi nie uszedł mój daremny wysiłek—potrzebujesz pan spoczynku. Czy lepiej się pan czujesz?—spytała po chwili. Skinąłem głową na znak potwierdzenia i ujawszy jęć rękę do ust poniosłem. Doktor stał opodal, stary Ambroży na kominku ogień podniecał, a ona stała przy mnie, odbierając mi zwolna tę rękę, której zatrzymać nie miałem prawa, i czułem że malutkie jęć paluszki drżą w mojej dłoni dreszczem febrycznym... Zdziwiony, spojrzałem na nią, oczy miała spuszczone a dwie łzy ogromne płynęły jęć zwolna po twarzy... Anielo, nie próbuję ci nawet opowiadać szalonych przypuszczeń, co mi przemknęły przez myśl na widok tych łez, których pierwój domyślałem się tylko. Wiem tylko, że mi w piersiach gwałtownie uderzyło serce i zamęć nieopisany myśli moje ogarnął. Ta chwila wzru-

szenia, co jak piorun uderzyła we mnie. powróciła mi mowę, chwyciłem ję rękę, pytając:

— Co pani jest? pani płaczesz?

— Ja?... — odparła drżącym trochę głosem, nie chcąc mi jeszcze spojrzeć w oczy — ja nie płaczę: czegożbym płakać miała?

— Prawda że nie ma czego — odparłem z goryczą, dobrowolnie tym razem puszczając ję rękę — choroba przynosi czasem dziwne złudzenia...

— Przynajmniej dzięki Bogu że i choroba, i złudzenia miną prędko — rzekła zwykłym sobie tonem — byłam przez chwilę mocno niespokojną o pana, ale doktor zapewnia że to niezdrowie wkrótce przejdzie. Pan już niecierpisz?

— Nie, pani — odpowiedziałem ję sucho i chciałem się podnieść, ale zawiodły mnie siły i zły sam na siebie, musiałem się oprzeć na poduszkach. Michalina patrzyła na mnie z po za długich rzęs swoich i takie niebo miała w oczach w tój chwili, jakby nie z ję ust były wyszły słowa wymówione niedawno.

Czułem że ta scena przedłużając się, wyczerpie resztę mocy mojęj, więc siląc się na spokój, zapytałem czy ona przynajmniej wyszła zdrowo i cało z katastrofy dzisiejszjęj.

— Jak najzupełniej zdrowo, to wszystko stało się tak prędko, że nawet nie miałam czasu się przestraszyć... Żal mi tylko było pana i zrazu dosyć się zaniepokoiłam, nie miłoby mi było widziéć pana chorym z mojęj przyczyny.

Na to zapewnienie z dziwnym wygłoszone akcentem, nie odpowiedziałem wcale. Cóż miałem mówić? Ona znowu podjęła:

— Z początku chciałam dać znać do Podzamcza, ale po chwili zastanowienia uznałam za niepotrzebne niepokoić ich złą wieścią. Pan może znajdujesz że źle zrobiłam?

I z ogniem w oczach, zwróciła się do mnie po odpowiedź.

— Owszem, bardzo pani za to wdzięczny jestem. W takim wypadku lepiej mieć przy sobie tych którym obojętni jesteśmy, cierpienie fizyczne nie powiększa się wtedy cierpieniem moralném jakie sprawia trwoga i smutek kochających nas osób, dziękuję pani za tę ostrożność.

Mówiłem to spokojnie i łagodnie, ale ona zbladła, oczy jej zaiskrzyły się mocniej, potem zaćmiły się chmurą posępną i rzekła mi powoli a cierpko:

— Więc pan myślisz że ci którym chory nie jest obojętny nie umięją nigdy ukryć swego niepokoju i zapanować nad smutkiem, żeby przez to stać mu się użyteczniejszymi?

— Że chcą to zrobić, nie przeczę; ale rzadko im się to udaje pomyślnie, bo trudną jest rzeczą zatajenie prawdy każdej a szczególnie prawdy serca...

— A kiedy właśnie celem i zadaniem kobiety jest zatajenie tej prawdy?—przerwała.

— Dlaczego?—spytałem—dlaczego taić to co jest dobrem i siłą, jeżeli (zawsze powtarzam) jest prawdą a nie przywidzeniem?

— Dlaczego taić?—powtórzyła ze smutnym zamyśleniem... dlatego właśnie żeby prawdy jak świętość chowaniej ze czcią w głębi serca, nie nazwano przywidzeniem...

Zamilkłem, rozmowa zdawała mi się zawracać na niebezpieczne pole osobistości, czułem zresztą potrzebę opanowania myśli własnych, co biegły szalonym pędem w kierunku sprzecznym z moją wolą. Doktor przybliżył się do mego łóżka i dotknąwszy się pulsu, zadawszy parę pytań, na które nie wiem już co odpowiedziałem rzekł wreszcie:

— Kilka godzin jeszcze w spoczynku a możesz pan wstać i jechać. Ale pani—dodał zwracając się do Michaliny—pani czy zupełnie dobrze się czujesz? czy miniony przestrah nie oddziaływa na panią szkodliwie?

Michalina roześmiała się głośno.

— Widzę masz mnie doktorze za nerwową i wrażliwą istotę. Czyż ta awantura z końmi, o której nawet mówić nie warto, a z której wyszłam bez szwanku, mogła mnie w samej rzeczy tak bardzo przestraszyć, żeby aż ten przestrah szkodliwe skutki pociągał za sobą?

I dalej śmiała się w oczy doktorowi zadziwionemu tą weselością.

— A jeżeli pan myślisz—dodała—że mi może zaszkodzić przestrah o pana Zygmunta, to jesteś pan w błędzie, jako osoba obca i obojętna nie doznałam zbyt silnego wrażenia. Zresztą to nawet jakiego doznałam, mogło być

przywidzenie... jak wszystko na świecie. Nie prawdaż panie Zygmuncie.

— Pani sama wiesz prawdę najlepiej...

— A panu o nią nie chodzi—podchwyciła i zwracając się do Ambrożego rzekła:

— Mój panie kochany, każ mi pan przyprowadzić konia, muszę jechać do domu.

— Nie może pani jechać konno—odparł starsuszek—koń pani mocno uderzony w nogę kuleje tak, że stąpić nie może.

— A pańskie konie, doktorze, czy nie mogą odwieźć mnie do Książyna?

— Pani zapominasz—odparł doktor—że po mnie przysłano konie pana Zygmunta i w tej chwili sam jestem na łasce ich właściciela...

— Który je oddaje do rozporządzenia pana—przerwałem.—Czy panu tak pilno jechać?

— I bardzo nawet, panu już jestem niepotrzebny a w miasteczku czeka na mnie pacjent niebezpiecznie chory. Jeżeli pan pozwoli, to w tej chwili każę zaprzęgać dla siebie.

I wyszedł a Michalina pytała znowu niecierpliwie:

— Jakże ja się do domu dostanę? chyba poszlij pan kogo do Książyna panie Ambroży i każ przyjechać po mnie.

Ale i to pokazało się niepodobieństwem, bo jedyna Ambrożego towarzyszka, stara gospodyni, poszła na jarmark a na tej pustce nikogo więcej nie było.

— To pójdę piechotą—odezwała się po chwili namysłu—mam zaledwie ćwierć mili do domu.

Ale w tej chwili, jakby na przekorę jej słowom, puścił się gęsty drobny deszczyk jesienny. Spojrzawszy w okno, ruszyła ramionami z niechęcią.

— Nie ma innej rady—odezwałem się na to—jak poczekać aż wrócą z miasteczka konie które odwożą doktora. Niemi pojedziesz pani do Książyna a ja tu przez ten czas poczekam i zupełnie wypocznę.

— Niechże i tak będzie, kiedy nie może być inaczej.

— Więc teraz wierzysz pani w niemożliwość?

Przez długą chwilę patrzyła na mnie w milczeniu; aż zapytała wreszcie:

— Czy to wymówka?

— Broń Boże! chciałbym tylko skłonić panią do uznania prawdy.

— A pan czy ją zawsze uznajesz chętnie?— odcięła mi się z goryczą.

— Zawsze, ile razy instynkt mój i przekonanie jednozgodnie uznają coś za prawdę.

— Cóż trzeba robić, żeby skłonić do takiego wyroku instynkt i przekonanie pana? Czy pracy potrzeba długoletniej, czy strumienia łez wylanych, czy wykrzykników i przysiąg? jakim dowodem potrzeba stwierdzić prawdę, żeby nakłonić pana do wiary w nią.

— Wiary narzucać nie można — odparłem — z serca płynnie i myślą owłada...

— Więc trzeba kochać, żeby wierzyć—szepnęła parząc na mnie z takim wyrazem, jakby prośby łagodnej, żem zamknął oczy nie chcąc uleść własnej słabości, nie chcąc jęj nawet pokazać, że tak słabym się czuję.

Wejście doktora znowu nam przerwało rozmowę. Zabawiwszy jeszcze krótką chwilę pożegnał się i wyjechał, Ambroży wyszedł do drugiej izby; znowu zostaliśmy sami. Przeważałem że będę brany na wszystkie tortury jakie tylko wymyślić może kobieta dla człowieka, który jęj się stał obojętnym, zanim jeszcze ukochanym od nięj został... a sam obojętnieć nie może. Perspektywa tego sam na sam przerażała mnie jak groźba męczarni. Przekląłem w duchu przepisy grzeczności towarzyskiej, któremi skrępowany mężczyzna czekać musi cierpliwie, aż nasycona swoją krwawą igraszką, przestanie mu szarpać serce kobieta, co w źle urządzoneń społeczeństwie naszym zamiast mieć wspaniałomyślną siłę *równęj*, ma tylko despotyczną władzę królowęj, albo mściwą zawziętość niewolnicy.

— Mój Boże! jak to dziwnie czas zmienia ludzi! Po małej chwilce milczenia, miękkim półgłosem odezwała się pani Michalina: między słowem wczorajszem a tém które dziś usta wymawiają, leży zapomnienie... jak przepaść nieprzebyta.

Goryczą wzbierało mi serce, chciałem jęj powiedzieć, że jeżeli kto, to ona najlepiej o tém wiedzieć powinna i słowem tém, jak wyrzutem cisnąć w jęj śliczne szafirowe oczy, zadumaniem przytknięte w tęg chwili. Mogłem także po-

twierdzić jęj słowa obojętnie, ale ty wiesz Anielo że samemu sobie kłamać się nigdy nie godzi. Milczałem.

— Zapomnienie... nic mniej, nic więcej... wszak prawda?— powtórzyła uparcie.

— Pani wiesz, że myśl jeżeli nie chce pamiętać, długo mocować się musi ze wspomnieniem, zanim potrafi je pokonać...

— Ale w końcu udaje jęj się to zupełnie?— rzuciła mi śmiałe pytanie.

— Czegoż nie dokáže wytrwała i silna wola?— odparłem.

— Pan z doświadczenia sądzisz?

Zawahałem się chwilę w odpowiedzi, ale chcąc prawdę tylko i szczerością zwyciężyć w tęg walce na słowa, rzekłem jęj po krótkim namysle:

— Nie, pani... i chciałem więcej mówić, ale ona przerywała mi żywo:

— Więc dlaczego pan cudzy pacierz powtarzasz?

Dlaczego?... pomyślałem sobie, bo tak cierpię szalenie że chwila jeszcze a przestanę się wahać w wyborze środków które mnie od tęg męki uwolnić mogą... Dlaczego?... szalone pytanie kobiece! i z bolu nieprzytomny już prawie czując że tracę władzę panowania nad sobą, pierwszą próbą odezwałem się do nięj:

— Miejże pani litość nademną!

Zdawało się że ta prośba rozdrażniła jeszcze niemiłosierne szyderstwo kobiety. Roześmiała się cierpkim, przykrym, niepoczciwym śmiechem.

— A to zabawne!—zawołała—ja mam mieć litość nad panem! dlaczego? czy dlatego że pan prędzęj i lepięj umiesz zapominać odemnie?

Niesprawiedliwość tego wyrzutu była krzycząca, alem ja już na to nie zważał, bo głos jęj gdy kończyła te słowa, łamał się łkaniem rozżaloném, a rozognione jęj oczy we łzach gasły powoli. Chwyciłem ją za obie ręce i zapytałem smutnie:

— Kto z nas dwojga zapomniął piérwęg?

— Nie wiem—cichutko szepnęła—kto nawet prawdy wiedzić nie chce, kto ani jedném słówkiem nie pyta o nią, ten pewno zapomniął piérwszy.

— A kto mi ręczy, że jeżeli zapytam, dowiem się szczerzej prawdy?—wybuchnąłem z niepohamowaną tym razem goryczą—powiedz pani sumiennie kto mi zaręczyć może? Czy przeszłość co zawiodła nadzieje, na spełnieniu których oparłem był całe szczęście życia? kto mi zaręczy, komu i czemu ja wierzyć mogę?

— Moje słowo nigdy nie zawiodło nikogo—dumnie odpowiedziała Michalina podnosząc twarz pochyloną—ja panu przyrzekłam że zapytana o prawdę powiem ją całą, szczerze i poważnie. Znać zapomniawszy żeś sam żądał tego przyrzeczenia, nie pytałeś mnie pan nigdy, chociaż...

— Chociaż w zakład słowa dałaś mi pani różę — przewałem—ale nie wiem doprawdy co więcej jest nietrwałe: czy róża co zaledwo dzień jeden zachowa świeżość swoją, czy serce kobiety, co dziś ku jednemu się skłania, a jutro już drugiemu oddaje się na całe życie...

— Ale jeżeli pozna pomyłkę i cofnie się i dobrym, poczciwym żalem jój żałuje, to może warto zapytać co tam leży na dnie w tém sercu kobiecém, które nieraz pamięta wtedy nawet, kiedy ta pamięć jest tylko męczarnią i smutkiem...

Mówiła to wszystko tak cicho a tak cała drżąca, żem zaledwo mógł słyszeć niewyraźny szept słów jój i nie śmiejąc jeszcze im wierzyć, nie śmiejąc tém bardziej domyślać się ich znaczenia, zaciskałem zęby żeby nie krzyknąć z bólu co mi pierś szarpał, albo nie upaść jój do nóg jak szalenciec... z którego zarozumiałości roześmiałyby się może tym swoim śmiechem, co brzmi w uchu jak srebrny dzwonek a serce kalecty jak stalowej broni ostrze.

— A pan mnie o nic nie pytasz—dodała trwoźniej jeszcze snadź milczeniem mojem ośmielona—pan niczemu nie wierzysz.... niczemu... nawet łzom moim...

I cała rozplakana, twarz w dłonie ukryła a głos jój rozplynął się we łzach i łkaniu tłumioném...

Anielo, znowu ci powiem, com ci już mówił nieraz; ty nie możesz mieć pojęcia o męce takiej chwili. Ważyć się tak między piekłem a niebem, a nie wiedziéć nawet co niebem a co piekłem jest naprawdę, nie wiedziéć którą iść drogą żeby na niéj iść w towarzystwie i szczęścia razem, co najgorsze, patrzeć na ciche, smutne łzy kobiety i nie módz...

nie śmieć wymówić słowa co te łzy uśmiechem osuszy, nie wiedzieć nawet z pewnością jakie brzmienie ma mieć owe słowo o które ona prosi łzami, tą nieprzepartą a słodką prośbą kobiety, to męka której nawet w piekle Dantejskiem nie ma. W głowie mi się kręciło, przez chwilę myślałem że jestem w gorączce, że to snu marzenie tak mnie dręczy okropnie; więc zerwałem się z łóżka na którym położyłem dotychczas i poszedłszy do okna, otwarłem je gwałtownie, pełną piersią zaczerpnąłem powietrza i piłem je długo, chciwie, aż w końcu uciszył się zamęt moich myśli, a krwawą rozpaczłą boleścią ścisnęło mi się serce do boleści przecie przywykłe. I zobaczyłem jasno, wyraźnie że stoję na drodze takiej, z której nie ma innego wyjścia, jak rozpacz beznadziejna dla mnie a gorzki żal zmarnowanego uczucia dla niej lub też w przeciwnym razie... dla mnie ten wstyd, pałacy, którym piętnuje czoło mężczyzny zawód zrobiony kobiecie, kobiecie co z miłością i wiarą przyszła smutnemu powiedzieć słowo serdecznej pociechy.

I myślałem tak długo... jak długo? sam nie wiem do prawdy. Są chwile spotęgowanego życia wewnętrznego, w których warunki czasu, przestrzeni, przestają istnieć dla nas męczenników wplecionych w koło życiowej tortury; wpatrzonych w tę przepaść jaką jest zboląle serce ludzkie. Nagle przypomniałem sobie, że nie sam cierpię przecie, że obowiązkiem jest moim zdobyć się na słowo takie, co choć nie będzie wyznaniem ani obietnicą, to jednak dobrém, serdeczném słowem być może.... Zwróciłem się ku Michalinie; siedziała na tém samym miejscu, tak samo twarz miała ukrytą, a ramiona jęj drgały ciężkiem, spazmatycznym łkaniem. Ukląłem przy niej i chciałem oderwać te ręce, poza którymi łzy jęj płynęły; chciałem je ucałować, utulić biedną rozpłakaną i zaraz potém uciec od niej na zawsze... albo co lepiej na widok tych łez skonać z bólu. Ale ona oparła mi się łagodnie i łkając jeszcze, spytała:

— To śmieszne że ja tak płaczę? prawda?

Biedna istota w sile swojej zwyciężona, chciała jeszcze być gladyatorką odważną; chciała swoim zwyczajem urągać sama sobie... ten widok jeszcze boleśniej miie zranił.

— Płacz Michalino moja—rzekłem, sam prawie łzy czując w oczach—łzy takie nie są kaprysem, nie są śmiesz-

nością, ale Bożem lekarstwem co łagodzi smutek i uświęca; ja ci dziękuję za te łzy twoje, chociaż one bolą mnie ciężko..

I znowu chciałem ją pochylić ku sobie, ale ona podniosła twarz zapłakaną; przez łzy na rzęsach drżące, z uśmiechem na mnie spojrzała i zamiast mi dać ręce swoje, zawiązała mi je na szyi uściskiem, pytając z pieśczęcią w głosie:

— Czy ty kochasz mnie jeszcze, Zyguncie?

Anielo! co ja odpowiedzieć jej miałem? jam ją na jedną chwilę kochać nie przestał. Kochałem ją tylko, ją jedyną, miłością namiętą, wyłączną, niepokonaną, którą śmierć chyba wyrwać mi z serca potrafi. Mogłem stracić już nadzieję że mnie Michalina pokocha, mogłem za to mieć do niej żal gorzki i w żalu sam swego serca się zaprzéć, mogłem zostać narzeczonym innéj i uczciwie dotrzymywać tamtéj danego słowa—ale ja Michalinę tylko kochałem! I wiedząc że nie mam już prawa wyznać jej tę miłość moją, ani mając siły kłamać obojętności w obec tych oczu co z takim wyrazem rozkochania i próśby patrzyły we mnie; chmurny, z piekłem w duszy milczałem, myśląc o szczęściu tych ludzi, których wedle bajecznego podania, pożera ziemia otwarta. Milczałem, milczeniem tylko broniąc się i spowiadając się razem przed nią, ale spowiedzi takiéj rozumiéć nie chciała Michalina... Wiéć głosem miékkim jeszcze, ale już drżącym obrażoną dumą kobiety, która dwa razy potrzebuje zadawać pytanie podobne, zapytała mnie znowu po chwili:

— Powiedz, czy ty mnie kochasz Zyguncie?

Pytaniem tém jak nożem obracała mi w sercu, sama niewiedząc o tém że igra z bronią zabójczą. Ja milczałem ciągle, a wiedziałem przecie że coś odpowiedziéć trzeba; bo chwila jeszcze jedna a ta kobieta teraz uczuciem aż do anielstwa zmiékczone, zesztynnieje znowu dumą szyderską i biczem swójéj ironii oboje nas chłóśnie zawziéćcie... Wiéć czyniąc z pierwszego szczęścia ofiarę, rozplotłem rąk jéj objéćie i cisnąc do ust te ręce obie, prosiłem tylko:

— Przez litość, nie pytaj mnie o to, Michalino..

Ale ona wiedząc, że kto prosi zamiast walczyć, ten już zawczasu uznaje się rozbrojonym, nie domyślając się

nawet rozpaczy, która tę prośbę moją wywołała, powtórzyła raz jeszcze uparcie:

— Wszak prawda, ty bardzo mnie kochasz?

I nie podnosząc na mnie oczu, długimi zakrytych rękami, cała szczęścia nadzieją rozjaśniona, cichutko, nieśmiało prawie szeptała mi do ucha słodkiego wyznania wyrazy:

— Bo i ja cię kocham Zygmuncie; kocham cię miłością serdeczną, głęboką, taką co całe życie trwać będzie... i ty wierzysz téj miłości co jest prawdą, równie świętą jak pacierz? ty także powiesz mi wreszcie, że zawsze mnie kochasz jednakowo, że nigdy nie przestawałeś mnie kochać?.. powiesz mi to Zygmuncie?

I jakby zawstydzona słowami co z jój ust wybiegły, rozplakała się znowu, twarz kryjąc na mojem ramieniu. Męczarnia moja trwała już tak długo, a taka była ciężka, że ta chwila zabrała mi sił ostatek. Przestałem być sobą: człowiekiem który ma obowiązki i chce ich strzedz wiernie, któremu na drodze do szczęścia, niezłamana, święta stoi zaporą; byłem tylko człowiekiem który cierpi i pragnie ulgi, jakimbądź kosztem kupionéj. I zdaje mi się że Bóg sam, miłosierdziem sądząc czyny ludzkie, nie może mnie za to potępić że w walce z sercem własném, uległem, walką zmęczony... A jednak, jeszcze próbowałem nie uleść, bo na łzy jój i słowa odparłem:

— Michalino, proszę cię, na wszystko cię proszę, przestań mnie pytać o to.

Michalina podniosła na mnie oczy łez pełne i usuwając się odemnie, gryząc usta aż do krwi, spytała głucho:

— Dlaczego mi nie dajesz pytać? czy dlatego żeś pierwszy zapomniał i wstydzisz się za siebie i za mnie że ja pamiętam jeszcze? jeżeli mnie nie kochasz, powiedz... ja nie umrę z rozpaczy...

I wzruszenie głos jój przerwało a usta krzywiły się gorzkim uśmiechem ironii. W takiej chwili, przeniósłszy tyle, szyderstwa jój znieść już nie mogłem. Wziąłem ją za rękę, ale ona z gorącym na twarzy rumieńcem wyrwała mi dłoń gwałtownie i łzom swoim na przekor, roześmiała się głośno, a w śmiechu jój takie rozdzierające były nuty, że zapomniałem o wszystkim, o Julii, o świecie ca-

łym... chciałem tylko żeby ona śmiać się przestała. I musiałem spojrzeć na nią, wzrokiem zrozpaczonego szaleńca, bo wyraz trwogi mignął w jej oczach, strwożonym zapytała mnie głosem:

— Co tobie, Zygmuncie mój drogi? I z samolubstwem kobiety, co za miłość żąda miłości, dorzuciła:

— A widzisz! ja wiem że ty mnie bardzo kochasz!

— Kocham—odparłem wreszcie zwyciężony tym serdecznym uporem, szczęśliwy prawie że znalazła broń, którą zwyciężyć mnie potrafiła—kocham cię nad wszystko Michalino; czy ty kiedy mogłaś wątpić o tém?

I okrywając pocałunkami jej ręce, poilem się szczęściem co promieniało w jej oczach, lubowałem dźwiękiem słów własnych, bo tylko słowa miłości miałem w tej chwili na ustach. Straciłem myśl i pamięć, wiedziałem tylko że się kochamy oboje; że ona sercem do mnie należy: byłem szczęśliwy....

— Dlaczegoż tak długo nie chciałeś mi tego powiedzieć?—spytała Michalina z łagodnym wyrzutem.

Te słowa zbudziły mnie ze snu; musiałem dać na nie odpowiedź wyraźną, uczciwą, dla nas obojga straszną jak miecz Archanioła, co w bramie rajy stoi płomieniem na straży.

— Bo mówić nie mogłem... nie miałem prawa mówić, Michalino — pośepnie odparłem — między sercem mojem a słowem stoi obowiązek...

— A prawda! pan jesteś narzeczonym Julii—cicho jęknęła i opierając czoło na skrzyżowanych dłoniach, zamyśliła się głęboko i smutnie. Ja nawet nie myśleć nie mogłem; wiedziałem dobrze, że gdziekolwiek myśl zwrócę, wszędzie własną niedolę napotkam. Klęczałem przed nią ciągle i machinalnie, bezwiednie patrzyłem w konający płomień ogniska. Usłyszawszy szmer zbliżających się kroków, machinalnie także powstałem. Wchodzący Ambroży odezwał się na progu:

— Konie pańskie wróciły, popaśły i Grześ czeka na dyspozycyą.

Michalina podniosła głowę, oczy jej paliły się gorączką, znużone, smutne a błyskawic pełne, ale rzekła spokojnie:

— Pojadę do domu, bo już się późno robi. Nim konie z Książyna powrócą, nim się pan dostaniesz do Podzamcza ściemni się zupełnie. Czy tam spodziewają się pana dzisiaj?

— Podobno — odparłem, sam nie wiedząc co mówię.

— A! to nie trzeba żeby się niepokojono oczekiwaniem — mówiła tym samym głosem spokojnym, cichym i jak pieszczoła łagodnym. Dobranoc panu — dodała, gdy otuliwszy ją, pomagał wsiąść do mojej bryczki; niech ta noc będzie dla nas obojga dobrą i spokojną nocą, choć taka pochmurna jak życie.

I z temi słowami odjechała, a jam zostałem i jakby w to miejsce wryty, przestałem na niem tak długo, aż Grześ powróciwszy, z mazurska zawołał mi nad uchem:

— A cóż panie? może już teraz pojedziemy?

W niespełna kwandras drogi stanąłem w Podzamczu. Jerzy i Tola przyjęli mnie jak zawsze z radością serdeczną; witając pannę Julię, nie śmiałem spojrzeć na nią, bo na jej powitalne spojrzenie nie mogłem przecie powiedzieć takimi samemi słowy, które przed chwilą mówiłem Michalinie...

Od tego wieczoru minęło już trzy dni długie a ja chodzę milczący i chmurny, wążąc się z myślami, pytając sam siebie jakiemu ciężarowi snadniej podołać potrafię. Dziś Jerzy, który się widział ze starym Ambrozym, zagadnął mnie w chwili, kiedy wszyscy byliśmy zgromadzeni:

— Miałeś wypadek dojeżdżając do nas i nic nam o tém nie mówiłeś.

— Nie chciałem was trwożyć daremnie — odparłem krótko, chcąc urwać rozmowę; ale Tola spytała troskliwie:

— Jaki wypadek? cóż to takiego było?

I Jerzy, któremu jak widzę, znajome wszystkie szczegóły tego zdarzenia, opowiedział im rzecz całą, żaląc się głównie nad biednemi końmi mojemi, które i tak już znużone kilkudziesięciomilową podróżą, jeszcze dwa razy z doktorem i raz do Książyna biegać musiały. Przez cały czas jego opowiadania, Julia nie zdjęła wzroku z mojej twarzy, a wzrok ten razem łagodny i pytający, zdawał się wnikać w najskrytsze tajniki mojej myśli. Czy co odgadła? czy się domyśliła czego? ja nie wiem... bo czoło jej

ma jednakową pogodę i z tym co zwykle uśmiechem podała mi rękę na dobranoc, wiem to tylko że podzieliwszy się z tobą moim smutkiem, spokojniejszym się czuję trochę.

Zygmunt.

(w pięć dni później).

Od czasu kiedy powyższe słowa pisałem do ciebie, pięć dni upłynęło, Anielo pięć dni długich i ciężkich do przetrwania jak pięć wieków męczarni. Były chwile, były całe godziny takie, w których mi się zdawało że mi serce pęknie od bólu, myśl się szaleństwem zawróci i że z utratą życia lub myśli, cierpieć wreszcie przestanę... I przyznaję, pragnąłem tego, bo człowiek co ludzkie, bijące serce ma w piersi, nie może być przecie bohaterem niezachwianym i ma takie czarne chwile w których o wszystkim wątpi a nawet przeklina wszystko co jest obowiązkiem i jako obowiązek chwyta wolę ludzką w karby żelazne i zamyka ją w granicach tak oznaczonych ściśle, że krokiem po za nie wyszedłszy, już z podłością spotkać się można; zamyka w granicach tak ciasnych, że temu co trwa w nich wiernie, łamie się serce uciskiem niewoli... Nie widziałem Michaliny wcale, nie śmiem pojechać do Kniażyna, nie mogę... choć jechałbym taki szczęśliwy! Ona w Podzamczu nie była a myśl moja stęskniona rwie się ku niej co chwila i woli nieposłuszna, do niej tylko ucieka! Straszne jest życie takie! rozdwojenie obowiązku z uczuciem, rozerwanie tego, co Bóg sam ślubem w sercu połączył, by z dwóch tych świętości miłostnego uścisku, szczęście się życia zrodziło! Życie takie na dzisiaj, na jutro, na przyszłość całą... to galernicza dola, to rzecz tak okropna, tak czarna, że chyba wszechprzezorną myśl bożą przerazić i do miłosierdzia zniewolić może! Anielo, miłosierdziem bożem nad sobą nazwałbym śmierci godzinę, śmierci nie zyskanąj przemocą, nie gwałtem samolubnym zdobytej, ale cichej, dobrej śmierci takiej o której się w pacierzu wspomina, takiej która jest ostatnią a niezawodną nadzieją, tych co już nadziei innąj nie mają.

Zygmunt.

List XLVI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 28 listopada.

Natalio moja, jak to nigdy nic z góry przewidzieć, nic na pewno układać sobie nie można! Ileżto razy w długich godzinach zadumania, wywołując myślą chwilę spotkania z Zygmuntem, zawczasu obrachowywałam każde słowo, każde spojrzenie i czując że nie mogę być sobą, obiecywałam sobie że porzucę dotychczasową drogę sławnych podjazdów i będę z nim tylko spokojnie grzeczną i obojętnie przyjazną, jak nią jest każda dobrze wychowana kobieta z życzliwym sobie przyjacielem. Tymczasem inaczej się stało. Wracając konno z Podzamcza, najniespodziewaniej w świecie, spotkałam na drodze pana Zygmunta. Poznawszy go od razu, nie chciałam się wrócić, boby to miało śmieszna minę,jechałam więc dalej naprzeciw niego, i zbliżywszy się, dopiero spostrzegłam, że trudno nam będzie wyminąć się, na wąziutkiej, płotami ogrodzonej drożynie, gdzie zaledwie jego konie pomieścić się mogły. Stałam więc, pytając jego furmana, co tu zrobić. Znać głos mój dopiero obudził go z zamyślenia, po nim poznał mnie Zygmunt, i witając mnie zeskoczył z bryczki, przedstawiając razem że na żaden sposób niemożna przejechać. Ale mnie, boleśnie to ubodło, że zamyślony nie widział mnie, zbliżając się ku niemu, i gniewna byłam na siebie, bo czułam że źle taję głębokie wzruszenie które mną owładło... Rozdrażniona tém wszystkim, zamiast rozsądnie z drogi zawrócić, uparłam się przejechać koniecznie i nie mogąc tego zrobić natychmiast, bo pan Zygmunt nie tylko perswazyą ale i osobą zagradzał mi drogę, docinałam mu tymczasem słowami a konia drażniłam szpicrutą. Zrobiłam tyle, że mi się pan Zygmunt ustąpił i koń mój, uderzeniem zmuszony, mimo widocznego ze swój strony oporu, naprzód poskoczył, ale przez rozhu-kane konie pana Zygmunta, zębami i kopytami przyjęty, nawzajem kąsać i wierzgać począł, nic o tém nie myśląc, że ja widz neutralny i z musu bezczynny, jak najgorzej wyjść mogę na téj końskiej kłótni. Wyznaję, zlekłam się bardzo: ani konia cofnąć, ani z siodła zeskoczyć nie mogłam,

ale złąkłam się jeszcze bardziej, gdy pan Zygmunt rzucił się na mój ratunek i mocując się z moim koniem, który dęba stawał, tak kopytem został przez niego uderzony, że padł zemdlny na miejscu. Ani wiem jak i kiedy zeskoczyłam, jakim cudem rozdzielono zażarte na siebie zwierzęta; wiem tylko, że widząc go na ziemi nieruchomym, bez życia prawie, uczułam straszny ból w sercu i głośnym a mimowolnym jęknięłam krzykiem. Nie wiedziałam co robić, jak go ratować, przestрах myśl mi odjął i przytomność, i w tej strasznej chwili płakać tylko umiałam. Na szczęście moje, przechodził tamtędy staruszek, dawny sługa pana Jerzego, mieszkający niedaleko w dworku na leśnej pustce postawionym i zobaczywszy co się stało, przyszedł nam w pomoc. We dwóch z furmanem, włożyli na bryczkę nieprzytomnego ciągle Zygmunta a że do dworku staruszka bliżej było niż do Podzamcza lub Kniażyna, tam pojechaliśmy zaraz i ztamtąd, złożony chorego na wygodnym posłaniu, wyprawił stary Ambroży konie po doktora. Zanim doktor przyjechał, zanim otrzeźwił chorego z pomocą niedostatecznych środków jakie się pod ręką znalazły, upłynęło długich godzin parę. A ja byłam tak niewymownie przerażona, tak całą obawą zdrętwiała, że nawet zapomniałam myśleć o ukryciu wrażenia, o panowaniu nad sobą, i płakałam nietajonemi łzami, choć oczy doktora patrzyły na mnie z ciekawym zadziwieniem, płakałam gorzko, boleśnie, jak zawsze płacze człowiek kiedy sam winien nieszczęściu. Serce mi drżało lękiem niewymownym, bo doktor miał minę dość niespokojną i trudno było dopytać się jego zdania, a Zygmunt wciąż leżał bez ruchu.

Oh! te godziny niepewności, jak one mi się nieskończenie długimi wydały! jak mi serce w piersiach radośnie skoczyło, gdy Zygmunt podniósł powieki i przytomnym okiem spojrzawszy wkoło, wzrok na mnie zatrzymał! Z początku nie mógł mówić, ale zwolna wróciły mu siły i pierwszym jego słowem było pytanie dlaczego ja płaczę? Zmęczona i spłakana, czułam że mieć muszę łzy jeszcze nieoschnięte na rzesach, ale... moja wina, moja bardzo wielka wina, Natalio, tak schwytna na gorącym łez uczynku, zawstydyłam się ich, jakby zdróżności popełnionej i mimowoli prawie zaparłam się, jak Piotr Chrystusa się zaparł. W chwilę potem radabym znowu była te słowa cofnęła, bo Zygmunt

jakby uieni urażony puścił moją rękę, ale już nie pora była po temu i znowu tym samym torem idąc, brnęłam coraz dalej po drodze, na której każde dorzucone przezemnie słowo, coraz wyższą zaporę urazy stawiało między mną a Zygmuntem. Wreszcie doktor odjechał, a ja niemając koni, bo mój wierzchowy zakulał, musiałam poczekać parę godzin i zostaliśmy sami. Nie żądaj Natalio, żebym dzisiaj w pierwszej sile wrażeń jakie mi ten dzień zostawił, powtarzała ci szczegółowo, każdy wyraz co wyszedł z ust naszych; nie potrafiłabym uczynić tego... zresztą, ty mnie znasz, ja zawsze byłam zazdrosną o wszystko co stanowi moją własność serdeczną; tak niezmiernie zazdrosną, że w mojem przekonaniu, odkryć istnienie tego skarbu, znaczy prawie to samo, co już lepszą połowę utracić... Więc i dziś nawet, choć tyle rzeczy jest we mnie zmienionych; nawet kiedy mówię do ciebie, którą tak głęboką ukochałam przyjaźnią, nie potrafię przerobić się do gruntu. To ci tylko powiem, że miałaś słusność, droga moja Natalio, twierdząc że łza serdeczna nie jest śmiesznym słabości dowodem, ale siłą która porywa nieprzeparcie, miałaś słusność Natalio. Przez ten dzień cały, tyle wrażeń kolejno następujących po sobie, spadło mi na serce; tak się niemi czułam złamaną, że już łez powściągnąć nie mogłam; nie mogłam przemilczeć tego słowa, co mi jest jedyną pieśnią serca, jedyną treścią życia, świętością jego najdroższą! Nie wiem jakim sposobem i jakimi słowami powiedziałam Zygmunтови że go kocham, ale mu to powiedziałam wyraźnie i bez ogródek, bo mi instynkt jakiś szeptał, że tak a nie inaczej powiedzieć mu trzeba to wyznanie i powiedziawszy, jak dziecko rozplakane, przytuliłam się do niego, nieśmiało i trwożnie na odpowiedź ukochanego czekając i oczekiwaniem coraz to więcej strwożona ostatek sił zebrałam, żeby pytaniem skłonić do odpowiedzi milczącego... I za to moje wysilenie odważne, za to zwycięstwo nad sobą, co mnie tyle kosztowało, dał mi Bóg chwilę szczęścia takiego, że choć drugiej podobnej mieć nie będę, to mi ta jedyna hojnie zapłaciła wszystkie długi, jakie smutkami przeszłości zaciągnęło u mnie życie. Byłam szczęśliwa dobrém serdeczném szczęściem kochającej i kochanej kobiety, bo mi Zygmunt powiedział Natalio, że: „mnie kocha nad wszystko” a w ustach jego takie słowo to rzecz piękna jak

słońce i jak przysięga tak święta... A jam na nie czekała tak długo!... jam już chwilami wątpiła że je kiedy w życiu usłyszę i wątpiąc mówiłam Bogu pocichu, że za to słowo, choćby raz do mnie powiedziane, raz jeden tylko, dam całe życie moje! że prócz niego nic więcej nie chcę, żadnej nadziei budować na niém nie będę, ale modłę się i proszę, żeby mi ono padło na serce, uświęcając jego bicie łagodnym i krzepiącym wpływem swoim!... Bóg też wysłuchał téj modlitwy!.. o! wysłuchał w bardzo ścisłym znaczeniu, bo tylko jedną miałam chwilę taką i gdym budząc się z zachwytu, zapragnęła przekonać samą siebie, że szczęście moje jest jawą, nie chwilowém błogiego snu złudzeniem, to straszna, zimna rzeczywistość bryłą lodu przygniotła mi serce. Przyznaję ci, jam zapomniła prawie, że Zygmunt jest narzeczonym Julii, ale są chwile w życiu tak poważne, tak święte, że chcąc aby wspomnienie o nich, na całe życie powagę swoją i świętość zachowało, trzeba je oświetlić blaskiem prawdy, nie kapryśnym ognikiem złudzenia, trzeba koniecznie... choćby olśniewająca jasność téj prawdy, była zabójczą błyskawicą piorunu! Więc on który zacień życie pojmuje, przypomniat mi pierwszy, że go wiąże zamienione z Julią słowo, a ja zrozumiałam że on przypomnieć mi to musiat i wdzięczną mu jestem że tak uważnie stoi na straży obowiązku swego, i serdeczniej kocham go jeszcze za tę prawość nieskażoną, co jest majestatem mężczyzny i taką samą dostojnością czcigodną jak wytrwała i wierna miłość kobieca!.. Ale Natalio, ja przecie mam prawo poskarżyć się tobie pocichu, że serce moje płacze krwawemi łzami żalu nad tém co myśl z uszanowaniem jako prawdę uznaje? ja mam prawo żałować Zygmunta który tak samo jak ja dzisiaj cierpi, i biblijny urzeczywistniając symbol, we własném sercu stacza walkę z potężnym Archaniołem miłości? Gdyby się złamał w dumnej sile swojej, czy do zwyciężonego mam prawo usmiechać się radośnie? jeżeli zwycięży bohatercko, czy mi nie wolno jęknąć łzawą, niepocieszoną skargą? czy nawet tego mi nie wolno? Ja już dzisiaj nic nie wiem Natalio... subtelne granice, któremi w sferach przez wzniosłe duchy zamieszkałych, dzieli się *dozwolone* od *zabronionego*, zatarły się w oczach moich... Ty więc mi powiedz, czy miłość która jest dla duszy oczyszczającym chrztem ognia, nie może

być także ogniem który pochłania i spopiela wszystko, co mu staje na drodze i żelazną swoją trwałością nie umie się oprzeć jego pochodowi? Natalio, czy to tak być nie może?

Michalina.

List XLVII.

ZYGMUNT DO ANIELI.

Dnia 6 grudnia.

Siostró moja ukochana! są w życiu człowieka chwile takiej burzy, takiego rozstroju, że bohaterem być chyba potrzeba, aby w tym wirze nawałnicy nie utracić wszystkiego, co było dotąd wiarą serca, pewnikiem myśli, przekonaniem w czyn wcielonym usilnie! Jasna świadomość prawdy, dobrze zrozumiane pojęcie obowiązku, póty istnieją tylko, dopóki w człowieku schwyconym w karby praw moralnych i społecznych, a z przekonania tym prawom posłusznym, w dobrowolnym służebniku idei, nie obudzi się człowiek drugi, *ja* samolubne, buntownicze, namiętnością zrywające więzy zasady, pragnieniami niezgodne ze wszystkim, co mu dotąd było obowiązującą życia miarą... biedne, ułomne *ja* ludzkie, krwawém cierpieniem protestujące przeciwko godziwemu uciskowi prawdy. Dlaczego tak a nie inaczej dzieje się w życiu? dlaczego są chwile w których najsilniejsze duchy, w sile swojej warunkami życia zachwiane, chylą się do upadku i upadają nareszcie? dlaczego?.. Musi w tém być tajemnica mądrości Bożej, której celem skruszyć dumę człowieczą, wykazać nicość wszystkiego co my skarbami ducha zowiemy, podźwignąć myśl upokorzoną i serce zbolełe, wszechmocą pokory chrześcijańskiej, i tylko takiej pokorze, co w prochu czoło kładzie, odsłonić światło ideału! Taki być musiał cel Boży nie inny, a kto nie umie go dopatrzeć, ani zgodnie z wolą Bożą iść ku niemu, ten sam sobie jest winien jeżeli oszaleje zwątpieniem i pograży się w upadku niepodźwignionym!

To niezmiennie wiary mojej wyznanie dziś dlatego powtarzam ci Aniello, bo męką życia złamany, sam stałem na rozdrożu i obowiązku nie mogąc pogodzić z pragnieniem,

z posępną i hardą skargą, w myśli pytałem sam siebie, jaki owoc przyniosły mi lata pracy, której jedynem zadaniem było śledzić opatrzną a mądrą myśl Bożą, w dziejach świata zarówno jak i w dziejach jednostki, w harmonii wszech tworów, zarówno jak i w harmonijném wszech władz ducha ludzkiego rozstrojeniu? Pytałem dlaczego za tę pracę w miłości podjętą, nie mogę mieć w zamian tego szczęścia które miłość daje życiu? i nie mogąc znaleźć odpowiedzi w myśli, ociężałęj pychą grzeszną, rozpacznie wątpiłem, klnąc samego siebie, że nie poszedł w młodości tym utartym, wygodnym gościńcem, po którym się snuje tłum płytkomyślnych, ale podążył na strome ścieżki, któremi grono poważnych myślicieli pnie się na duchowe wyżyny i zmordowane, krzepi się słowem „*Excelsior!*” Były chwile w których mówiłem sobie, że im kto ma mniej pojęcia obowiązku, tém szczęśliwszym nazwać się może, chwile w których nienawidziłem wszystkiego co mi dotąd było świętością życia, jak każdy nieszczęśliwy, obłąkany byłem i szalony a ta walka w milczeniu się tocząca, paliła mi serce wszystkimi ogniami piekła!...

Węzłami form światowych przykuty do Podzamcza, siedziałem tu niecierpliw i gniewny, że nie mam téj hezcalnej odwagi ludzi, co nie lękając się zarzutu podłości, zrywają śmiało każde zobowiązanie dla dogodzenia najbliższej zachciance. Niewzruszona słodycz Julii była mi udręczeniem i męką, bo w téj słodyczy domyślałem się przebaczenia, a przebaczenie które jest pociechą, jest téż i upokorzeniem razem... Ale za wszystkie męki ludzkie jest ulga w Kochającym i czystém sercu kobiety, a póki są istoty zawsze gotowe do cichego poświęcenia, póty wszelkie cierpienie wynikające ze starcia się sprzecznych interesów życia, najskuteczniej takich istot poświęceniem koić się będzie...

Jednego z tych dni ubiegłych, co mi zostały w pamięci wspomnieniem zmory gorączkowej, nie wiedząc co zrobić z sobą, jak uciec od dręczących mnie myśli, w których imię Michaliny ciągnęła zwrotką żalu wracało uparcie, usiadłem do fortepianu. Chciałem utonąć w morzu harmonii, stworzonym przez którego z tych wielkich mistrzów, co dźwiękiem, niby czarem potężnym, całą myśl ciągną ku sobie. Puściłem palce po klawiszach, daremnie... nic sobie innego przy-

pomnieć nie mogłem, tylko prostą a prześliczną nutę téj piosenki którą śpiewała Michalina:

„Se io potessi avez nel mio core
Oh! che dolcezza! un lungo sguardo d'amore!
Se is potessi avez nel mio petto
Oh! che dolcezza! un lungo sguardo diletto!”

I grając machinalnie zacząłem śpiewać te słowa, a pamięć moja rozteścniiona tak w przeszłość biegła uparcie! z taką miłością i zalem goniła śpiewne dźwięki głosu Michaliny, co kilka miesięcy temu, na tém samém miejscu, tą piosenką niby prośbą i razem pieszczotą, odzywała się do mnie łagodnie...

W teje chwili drzwi się otwały i weszła Julia do pokoju. Ujrawszy ją, doznałem wrażenia, jakiego musi doznawać człowiek na złym uczynku schwytaany; zmieszałem się prawie i urywając w pół akkordu, chciałem powstać od fortepianu. Ale zanim zdołałem to uczynić, Julia zbliżyła się do mnie i kładąc mi rękę na ramieniu, rzekła z nieopisanym wyrazem słodczy w spojrzeniu i głosie:

— Nie wstawaj Zygmuncie, szukałam cię właśnie mając z tobą do pomówienia i zwabiłeś mnie twoją piosenką... może ci przerywam?

Uderzyło mnie to, że po raz pierwszy od kilku miesięcy jak jesteśmy narzeczonymi, nazwała mnie po imieniu. Nie miałem najmniejszego wyobrażenia o tém co mi ona ma powiedzieć i przypuszczając że to musi być rzecz małej wagi, przymusiłem się do uśmiechu mówiąc:

— Jestem na rozkazy pani.

Uśmiechnęła się i siadając przy mnie rzekła:

— Ja właśnie nie przyszedłam rozkazywać, ale prosić i przekonywać.

— Mnie przekonywać i prosić? — spytałem zadziwiony.

— Ciebie Zygmuncie — odparła — prosić ciebie o rzecz bardzo wielką.

Mówiła to poważna i smutna, ale na czole miała spokój i wyraz woli niezłomnej. Jakieś dziwne ogarnęło mnie przeżucie, spróbowałem jeszcze uśmiechnąć się do niej, jakby do nieśmiałego w prośbie dziecka, któremu odwagi dodać potrzeba; spojrzałem w jej oczy zamysłone, lecz zrozumiałwszy

że w tej chwili nie dziecko pieszczone, nie dziewczynka rozkapryszona, ale poważna i woli swojej świadoma kobieta, stoi przedemną, zamiast się uśmiechnąć, rzekłem tylko:

— O co mnie pani masz prosić?

Zdawała się nie zważać że mówiąc do niej, chociaż jej przykładem ośmielony, nazywam ją jednak panią; ale Anielo, mógłbym odezwać się do niej słowem, które wtedy tylko nie jest ubliżającą kobiecie poufałością, jeżeli głęboko uczuta miłość upoważnia do niego mężczyznę? Ona też nie zwracając na to uwagi, czy może zwracać jej nie chcąc, mówiła po chwili namysłu:

— Zanim ci to powiem — Zyguncie—pragnęłabym mieć od ciebie przyrzeczenie, że nie będziesz się opierał mojej prośbie.

— Dlaczegożbym miał to czynić? wiem dobrze że pani nie możesz pragnąć czego innego jak tego co jest rozumne i sprawiedliwe.

— Sprawiedliwe? — powtórzyła zamyślając się smutnie—zapewne... to sprawiedliwem być musi... I znowu się zamyśliła długo.

Patrzyłem na nią zadziwiony, palce moje błędząc po fortepianie, machinalnie wygrały tę nutę, która mi ciągle dzwoni w uchu, z myślą o Michalinie nierozzerwalnie złączona. Posłyszawszy to, lekko drgnęła Julia i przerywając milczenie spytała mnie z łagodnym wdziękiem swoim:

— Powiedz mi, proszę cię, Zyguncie, czy dlatego lubisz tę piosenkę, że jest miła uchu i ładna, czy dlatego że brzmieniem swoim budzi w tobie wspomnienia które lubisz?

Wypowiedziała to wszystko jednym tchem, jak ktoś, który się lęka, by mu w pół słowa odwagi nie zabrakło. Zapytany tak wyraźnie, na chwilę nawet nie miałem myśli uwolnić się kłamstwem z przykrego położenia w jakim szczerą odpowiedź postawićby innie mogła. Chciałem jednak odwlec tę chwilę i używając wybiegu, odparłem:

— Pani zapewne inną miałaś do mnie prośbę?

— Nie—odrzekła stanowczo choć łagodnie—nie, Zyguncie, ja tylko to jedno wiedzieć pragnęłam... a potem... potem już po tej nitce z łatwością dojdę do kłębka.

Zawahałem się trochę, ale biorąc jej rękę, rzekłem z powagą:

— W saméj rzeczy, dla wspomnienia przedewszystkiem lubię tę piosenkę, ale do takiego wyznania zmuszasz mnie pani tylko swoim żądaniem, które bądź co bądź, będzie zawsze prawem mego życia...

I czując że kobiéta serca, nicsamolubna, rozsądna a uczciwości mojej pewna, kobiéta taka jaką jest Julia, nie ma prawa już nic więcéj wymagać odemnie, z głębi piersi odetchnąłem po tych słowach, na wypowiedzenie których trzeba mi było całą siłą woli ovladnąć serce własne. Jeżeli *obowiązek*, w najrozciąglejszém jego znaczeniu, można nazwać *ofiara*, jeżeli ten wyraz jest prawdą istotną a nie konwencyonalną formułką pychy ludzkiej: to ja ofiarę spełniłem, zrzekłem się nieodwołalnie sam siebie i pó raz drugi powiedziałem Julii, że *bądź co bądź* życie moje do niej tylko należy. Zdawało mi się że ona tego tylko pragnąć powinna i dumny żem jój nie zawiódł, a głęboko zbolały żem nie zawieść musiał, zamknąłem oczy zmęczony. I w téjże chwili miękka, malutka dłoń Julii spoczęła na mojem czole.

— Zygmuncie—szepnęła nachylając się ku mnie—gdyby żądaniem mojem było żebyś wziął to szczęście którego pragniesz nadewszystko, spełniłbyś je? wszak prawda?

Otwarłem oczy i spojrzałem na nią tak zadziwiony, że zdziwienie mowę mi prawie odjęło. Ona widząc to, uśmiechnęła się jasnym uśmiechem anioła, co się ludzkim smutkiem bardzo serdecznie lituje, ale wie że na nie ma w mocy swojej lekarstwo. Chciałem coś powiedzieć, zapytać o coś, ale dłonią zamknęła mi usta, mówiąc:

— Zygmuncie, ja wiem że ty kochasz Michalinę.

— Prawda, kocham ją—odparłem, czując że takiéj jak ona istocie należy się prawda odemnie—ale pani o tém wiedziałaś i uczucia z którym walczę, nie możesz mi brać za złe.

— Ja téż nie uczucie ale walkę biorę ci za złe—rzekła mi na to łagodnie—po co łamać się i walczyć? Zygmuncie—mówiła dalej—widzieć ciebie szczęśliwym, to cel mego życia, jedyne pragnienie moje. Jak ja, nie cofnęłabym się przed najcięższą ofiarą aby je spełnić, tak téż ty, chcąc być szczęśliwym, nie masz potrzeby oglądać się na nie.... Tyś wolny Zygmuncie, zupełnie wolny... Ale bezinteresowności nie ma podobno na świecie, dodała, za te słowa mo-

je musisz mi dać zapłatę.... uśmiechnij mi się szczęściem, Zygmuncie....

Jam zamiast uśmiechu, ukląkł przed nią tylko, bo w obec jej anielstwa nie mogłem znaleźć wyrazu coby jej był godzien i dłoń jej która dotąd w mojej została, podniosłem do ust, z takim uczuciem, z jakim żywcem pogrzebany pochwyciłby rękę co mu kamień grobowy odwała. Ona mówiła znowu:

— Nie myśl żebym cię nie kochała sercem całym i tylko przez obojętność zrzekała się ciebie tak łatwo, nie... ja bardzo cię kocham i właśnie dlatego nie mogę znieść twego cierpienia i żalu....

— Jam cierpiał, to prawda—odparłem—ale w mojem przekonaniu cierpienie nie upoważniało mnie bynajmniej do samolubstwa i nieuczciwości....

— Zygmuncie mój drogi—przerwała mi Julia—ja przecież mam prawo rozporządzać twojem życiem.

— Jak najzupełniejsze.

— I mam też prawo być egoistką, która żąda byś przez nią był tylko szczęśliwy? Nie próbuj spierać się ze mną, ja niezłomnie postanowiłam że tak być musi; że dzięki mnie, Michalinę mieć będziesz. Więc widząc że taki jak ty, drażliwy w uczciwości swojej człowiek, odemnie tylko mieć ją może; wiedząc że ona cię kocha, bo gdyby nie kochała, to ty nie cierpiałbyś tyle, powiedziałam sobie po prostu: muszę poprosić Zygmunta żeby już cierpieć przestał... I oto, proszę cię teraz—to moja pierwsza prośba do ciebie.... wszak mi jej nie odmówisz?

Głos jej drżał trochę, ale mówiła spokojnie, cicho, i miała w oczach taką dobroć niebieską, a na ustach taki uśmiech łagodny, że po za tego nieba słodczy niewyczerpanej, nie przeglądała żadna chmura bolesnej i ciężkiej walki z sercem własnem. Byłoby zarozumieniem niedarowanem, gdybym przypuszczał że zrzekając się mnie, wielką czyni ofiarę; ale nawet i w takim razie nie miałbym obowiązku ją odrzucać, bo ofiarę czyniła z pogodą, prawie z radością, cała rozpromieniona anielską dumą poświęcenia... Ucałowałem jej rękę i rzekłem po prostu:

— Wiesz pani dobrze, że nie miałbym siły odmówić.

— Więc do widzenia Zygmuncie—rzekła powstając i podała mi dłoń obie—do widzenia; jedź teraz do Książyna i pamiętaj że ze wszystkich praw moich, zachowuję sobie tylko prawo przyjaźni, co dopomina się o swój współudział w każdym ważniejszym wypadku życia.

I dwie łzy jak perły, cicho po jej twarzy spłynęły.

— O zachowanie tego prawa ja pierwszy prosiłbym panią—odrzekłem, trzymając jeszcze jej ręce i łzy jej widząc wzruszony a smutny, spojrzałem w twarz jej, gdzie spokój był tylko łagodny i cicha, jasna powaga. Uśmiechnęła się do mnie i raz jeszcze szepnąwszy: do widzenia, wyszła z pokoju, zostawiając mnie samego pod wrażeniem, które tak nagle uderzyło we mnie, że zaledwo śmiało uwierzyć prawdzie. Przez czas tak długi, nie widząc w przyszłości żadnej dla siebie nadziei starałem się odwracać myśl od niej; przez czas tak długi czułem jak falą po fali, całe morze goryczy zalewa mi serce, że teraz możności szczęścia nie przypuszczałem już prawie. I dziwna rzecz, Anieli! pierwszym moim wrażeniem było jakby przerażenie smutne; zarysy mojej przyszłości znowu rozplływały mi się w oczach przejmując mnie obawą, z której powodów, sam przed sobą sprawy zdać nie umiałem, tym razem... Z wielką, głęboką dla Julii wdzięcznością łączyło się coś... jakby żalu uczucie; byłem jak człowiek który ma do wyboru dwa klejnoty piękne. Chcąc jeden z nich ująć, drugi wypuścić musi z ręki, i na tamten czekając, przez chwilę ubogim się widzi... Dziwne jest serce ludzkie! wiecznie spragnione a nigdy pragnienia ugasić nie mogące i niespokojne wiecznie!

Z każdą chwilą niepokój mój większe przybierał rozmiary; wreszcie nie mogąc go przenieść dłużej, kazałem zaprzęgać żeby pojechać do Książyna. Ta droga tak krótka że zaledwo się może nazwać spacerem, wydała mi się nieskończenie długą, a gdym już wreszcie dojeżdżał do dworu, kazałem na chwilę wstrzymać konie, bo czułem że mi w głowie myśli wirują i wyskoczywszy z powozu, szybkim krokiem poszedłem piechotą, żeby zmęczeniem fizycznym pokonać gwałtowne wzruszenie, co nadzieją, oczekiwaniem i tysiącem sprzecznych uczuć naprzemian pierś mi rozpierało. Wkoło domu cicho było i głucho, pusto na dziedzińcu, nikt nie wyszedł na moje spotkanie; dom ten zamknięty i milczący

miał minę pustki niezamieszkaną. Ująłem za klamkę i zastukałem gwałtownie raz i drugi; czekałem długo, zanim wreszcie otwarły się drzwi w bocznej ścianie umieszczone, i z za węgła domu, z pękiem kluczy w ręku ukazał się stary sługa Michaliny.

— Niema pani w domu?—spytałem zawiedziony boleśnie.

— Niema—odparł staruszek—już kilka dni temu jak wyjechała z wizytą.

I wymienił mi miejscowość o mil dziewięć przynajmniej od Książyna odległą.

— Kiedyż wróci?—pytałem znowu.

— Mówiła że z tydzień zabawi.

Nie było tam co robić dłużej, rad nie rad musiałem wracać. To niepowodzenie mojej wycieczki wydało mi się złą wróżbą; miałem prawie żal do Michaliny że nie umiała przeczuć mojej bytności i przeczuwszy, czekać na tę dobrą wieść szczęścia, którą tak śpieszno mi było jej udzielić. Zniechęcony i smutny wróciłem do Podzamcza. Szara już była godzina gdy wszedłem do pokoju, gdzie się zwykle zbiera całe nasze towarzystwo dla przepędzenia wieczoru. Zastałem tam pannę Julię samą; siedziała wpatrzona w ogień kominka i powstając na moje przywitanie spytała:

— I cóż przywozisz Zygmuncie?

— Nie zastałem nikogo—odparłem—niema w domu Michaliny.

Spojrzała na mnie jakby chcąc widzieć z jakim uczuciem przyjmuję tę zwłokę i po chwili rzekła z nieśmiałością delikatnej kobiety, która nie rada wraca do drażliwego przedmiotu rozmowy.

— Zygmuncie, ty mi tego nie będziesz miał za złe?... Ja potrzebowałam zdać mamie sprawę z dzisiejszej naszej rozmowy, która zmienia zupełnie dotychczasowe jej projekta.

Miała słuszność; ja cały swoją myślą zajęty, zapomniałem o tém zupełnie i dopiero w tej chwili przyszło mi na myśl po raz pierwszy, że trzeba będzie zawiadomić o wszystkim co zaszło całe nasze kółko rodzinne, obojgu nam zarówno wspólne.

— W samej rzeczy—odparłem—uczynić to potrzeba.

— To też ja już ze wszystkiemi mówiłam—rzekła Julia— chciałam ci oszczędzić téj przykrości jaką zawsze sprawiają pytania i zadziwienia pierwszej chwili; już wiedzą o wszystkiém i mama chce cię widzieć Zygmuncie żeby ci potwierdzić moje słowa.

Ta kobieta, jak dobry anioł szła przedemną po drodze życia, usuwając zeń wszystko, co mogło być boleścią, trudem lub nawet drobną przeszkodą. Wdzięczność moja była nieopisaną; powiedziałem jój że jest dobrą jak najlepszy z aniołów niebieskich. Spojrzała na mnie jasnym swoim spojrzeniem i po swojemu uśmiechając się łagodnie, rzekła mi na to:

— Każdy jest dobry kto kocha: czy pan nie wiedziałeś o tém?

I od téj chwili, jakby za obcego mnie już uważając, przestała mnie nazywać po imieniu. Pomówiwszy z nią jeszcze chwilę poszedłem do baronowej która dotąd leży w łóżku. Znasz ją, kobieta to rozsądna i zacna, rozsądkiem i zacnością zdrowo pojmująca najzawilsze kwestye życia. Wiedziałem że będzie mówić ze mną poważnie i serdecznie jak matka rodzona i usunie na bok błahe kwestye światowe, wszystkie uboczne, maluczkie względy, któremi tak często wypacza się sąd kobiety. Nie omyliłem się wcale, pierwsza odezwała się do mnie:

— I cóż Zygmuncie? Julia już ze mną mówiła, ale chciałabym żebyś ty mi jeszcze opowiedział wszystko.

Usiadłem więc obok niéj i sumiennie a poważnie zdałem jój sprawę z całej przeszłości mego serca. To samo co mówiłem Julii, prosząc o jój rękę, powiedziałem dziś matce, dodając że najcięższa z samym sobą walka nie wydawała mi się powodem upoważniającym mnie do własnowolnego odzyskania mojej wolności.

— Ależ Zygmuncie—odparła mi na to baronowa—ty się tak uniewinniasz, jak gdyby ktokolwiek chciał ci winę przypisywać. W téj całej sprawie znalazłeś się jak człowiek uczciwy, boś nie łudził Julki obietnicą miłości: nie miała prawa wymagać jój od ciebie....

— Panna Julia jest godną uwielbienia istotą—przerwałem—i miłości jest godna serdecznej.. Mojaż wina że nie byłem już panem mego serca wtedy, gdy raczyła przyjąć moją rękę?

Baronowa nie zważając na mój wybuch, mówiła dalej:

— Tys ją nie łudził, ona tylko łudziła się sama. Dziecko życia nieświadome, myślała przez chwilę że smutnemu być pociechą, to tylko początek tej drogi miłosnego poświęcenia po której idąc, kobieta miłość wreszcie obudzić potrafi. Omyliła się i cofnęła przed zbyt trudnym zadaniem, chociaż...

I zawahała się pani baronowa, bo widać matka, gdy jej trzeba wyjawić serdeczną tajemnicę córki, płoni się nieśmiałym wstydem dziewiczym, ale po chwili znowu mówiła dalej:

— Chociaż Julia bardzo cię kocha Zygmuncie.

— Wiem o tém — odparłem — i tego wyznania niechęć mi pani poczytywać za śmieszne samolubstwo, bo jest tylko nowym hołdem złożonym pannie Jullii. Kobieta mniej prawdziwie kochająca, byłaby obojętniejszą na moje szczęście.

I całując rękę baronowej, dodałem:

— Chciój pani powiedzieć jej odemnie że mój głęboko wdzięczny za szczęście które przez nią mieć będę a więcej jeszcze za to, że mój w niej ujrzał ideał zacności kobiecój i te wielkie skarby serca, co są niewyczerpanym źródłem siły...

I do głębi serca wzruszony, przestałem mówić. Baronowa przeżegnała mi czoło krzyżykiem jak wtedy gdy oboje pochyliłiśmy się do jej kolan i rzekła:

— Ja wierzę że dziecko moje nie będzie nieszczęśliwym, ale jej to powiem Zygmuncie, bo wiem że jedna więcej siła przybędzie jej z tych słów twoich, a w życiu nigdy zanadto mieć nie można siły... Błogosław ci Boże, mój Zygmuncie, a pierwsze błogosławieństwo które dziś odbierzesz, oby ci mogło najwięcej szczęścia przysporzyć.

I ze łzami w oczach, z macierzyńskim uczuciem uściśkała mnie zacna kobieta. Jerzy i Tola w tej chwili prawie nadeszli. Wiedziałem że już byli o wszystkim wiadomieni i parę słów nam wystarczyło do zupełnego porozumienia się. Niebawem i panna Julia przyłączyła się do nas. Wieczór zszedł nam swobodnie i miło, czułem że po raz pierwszy oddawna pełną piersią oddycham, czułem że zaczynam wierzyć w szczęście. I tak mi z tém uczuciem dobrze było!

Wedle wyliczenia starego sługi, Michalina za trzy dni dopiero z powrotem będzie. Dla ukojenia téj niepewności, co mi się z każdą godziną coraz niecznoniejszą stawała, napisałem do niéj i w pogoń za nią, posłałem list mój. Spokojniejszy więc trochę czekam jéj powrotu... Wiem, wątpić o tém nie mogę że Michalina mnie kocha, ale mimo to, chcę poczekać na szczęście moje, żeby go stać się godnym, chcę zapomnieć o wszystkiém co przebolelałem, żeby z myślą nierozłamana, spokojną, ręka w rękę stanąć do pracy życia. Dla ludzi którzy wiele przecierpieli, nagłe przejście do szczęścia bywa tak samo zabójczém jak dla organizmu fizycznego, wszelki gwałtowny przewrót warunków życiowych. Boleść nie zabija, ale szczęście upaja tych, co chciwemi ustami do kielicha jego przyłgnęli. Michalina wtedy dopiero zostanie moją, gdy oboje oswojeni z nadzieją szczęśliwéj przyszłości, uleczeni z żalu i smutku co nam tak długo ranił serca, z trzeźwą i poważną radością, w pełném zdrowiu wszystkich moralnych władz umysłowych, we wspólną przyszłość spojrzemy, gdy jasno widząc cele i obowiązki nasze, na dokładném ich zrozumieniu, więcej jeszcze niż na miłości naszej opierać będziemy szczęście życia. Dlatego téż dzisiaj, donosząc jéj tylko że mam już prawo prosić ją o wszystko, o nic nie prosiłem jeszcze i dziwnie szczęśliwy jestem przekouaniem że żadnej mojej prośbie nie odmówi już Michalina, że każde jéj słowo do mnie wymówione, będzie tą *rzeczywistą prawdą jéj myśli*, o którą przez czas tak długi pytać nie mogłem.

Zygmunt.

List XLVIII.

JULIA DO ANIELI.

Dnia 5 grudnia.

Przed panią, kochającą Zygmunta tak bardzo głębokim przywiązaniem, czuję się w obowiązku zdać sprawę ze wszystkiego co zaszło między nami, a o czém już zapewne Zygmunt musiał panią uwiadomić. Chcę się tylko przed panią wytłumaczyć z powodów które mnie do takiego kroku skłoniły, chcę żeby słowo pani, zgodne z sumieniem

mojém, powiedziało mi raz jeszcze że zrobiłam dobrze... To uznanie będzie mi radością i siłą, byłoby mi nawet pociechą gdybym już nie miała téj największej, jedynéj, upragnionéj pociechy, że Zygmunta będę widzieć szczęśliwym. Były chwile w których łudziłam się myślą że miłość jego dla Michaliny, nie żywiona żadną nadzieją zwolna przeminie, ustępując miejsca w jego sercu uczuciu innemu które tym razem dostałoby się mnie, kochającéj go tak serdecznie. Dziś zobaczyłam że to jest niepodobieństwem... Zostało mi więc tylko gorące, nieprzeparte pragnienie szczęścia dla niego, szczęście które po części moję n będąc dziełem, zmuszało go niejako do życzliwéj dla mnie pamięci. Widoku jego cierpienia i téj strasznej walki jaką toczył sam z sobą, nie mogłam przenieść... to rzecz tak okropnie ciężka patrzeć na cierpienie ukochanego! taką stodyczą napełnia się serce na myśl że ja mogę w radość to cierpienie zamienić! Uczyliłam więc to, co mi się wydawało konieczném i sprawiedliwém, a choć nie bez żalu żegnam wymarzone nadzieje przyszłości, choć oddaję całe szczęście swoje, to jednak oddaję je chętnie, spokojnie i z wiarą głęboką, że po nad zamętem spraw ludzkich góruje miłosierdzie Boże, które pogodą myśli, cichém rozradowaniem ducha, błogosławi tym, co ufają w miłosierdzie nad sobą.

Julia.

List XLIX.

ZYGMUNT DO MICHALINY.

Dnia 5 grudnia.

Byłem u pani i niezastawszy jéj w domu, a nie mogąc cierpliwie doczekać się jéj powrotu, przesyłam pani te słów parę. Zanim panią zobaczę i wypowiem jéj wszystko, co musiałem w sercu taić tak długo, chcę tylko przypomnieć pani że ostatnie nieodwołalne słowo co stanowi o całej przyszłości szczęścia dla dwojga kochających się ludzi, nie zostało jeszcze wymówioném pomiędzy nami, a wymówioném być może. W łzach twoich Michalino, nietylko jest prawda serdeczna od którój mi serce rośnie radością i dumą; ale także i siła zwycięzka co złamała wszelkie zapory jakie

dotąd istniały między nami. Wolny od wszelkich zobowiązań przychodzę do ciebie, przychodzę szczęśliwy, rozkochany; ale ubliżyłbym powadze i świętości mego uczucia, gdybym ci nie powiedział Michalino że dzisiaj, mniej cię kocham, niżeli z początku kochałem, w owych pierwszych chwilach poznania kiedy jeszcze wspomnienie przebole-
 łych smutków nie stało między nami, jak cień skarżący się pocichu. Nie dziw się tym słowom Michalino, tyle bólu i goryczy zmieszało się z miłością moją, że chociaż niepokonana, gorąca, nie jest już tak wspaniale w swojej sile spokojną, jest we mnie gorączką i burzą a powinna być ciepłym życiodawczym i rosą dobroczynnie rzeźwiącą. Powtarzam i proszę nie dziw się temu Michalino, nie bierz mi za złe szczerości z jaką się odzywam do ciebie; przeciwnie, niech ci ona będzie nowym dowodem uczucia i tego serdecznego uczczenia, z jakim każdy prawdziwie kochający mężczyzna patrzy na miłość swoją... Tak długi czas, zrozpaczony, ja mogłem tylko myśleć, że miłość moja będzie mi męką całego życia, cieniem wszystkich jego światłości, że wedle słów poety będzie: *wichrem obrywającym sady moje*; powiedz sama Michalino, czy mogłem myśleć inaczej?...
 Więc też trułem się zwątpieniem, jedna po drugiej tracąc te wszystkie moce ducha, dla których właśnie miłość powinna być pełnią rozkwitu tak, żeby ten gość Boży zstępując w serca ludzkie, znalazł je bogatym we wszystkie skarby, wszystkie zacności jakimi człowiek do ideału się wznosi, i widząc że mu w takim sercu dobrze, już w niem zamieszkał na zawsze. To praca która oboje nas czeka zarówno. Michalino, przyszłość do nas należy i przy wspólnej dobrej woli naszej, najśmielsze marzenia szczęścia urzeczywistnić nam może. Jak mi ból i gorycz z serca odejdą, jak zapomnę o tym zwątpieniu co przez tak długo było ujmą wielkości mego uczucia, czy wolno mi będzie znów prosić ciebie o ten ciepły, rozplakany uśmiech co mi już dał szczęścia tyle? czy mi pozwolisz powiedzieć sobie: Michalino, bądź moją na całe życie; na życie miłości, co powszednim trudom żywota nadaje świętość missyi społecznej, na życie szczęścia co ułatwia trud wszelki i nie dopuszcza znużenia?

Zygmunt.

List L.

TOLA DO MICHALINY.

Dnia 5 grudnia.

Michalino kochana, Zygmunt wyprawia posłańca z listem do ciebie a przy tój zrzeczności i ja tóż wtrącam parę słów moich, choć wcale nie jestem o to proszona. Ale zdaje mi się Michalino, że przyjazny nasz stosunek niejako mnie do tego upoważnia i dlatego do listu Zygmunta objaśnienie dołączam i prośbę. Wiem że oboje należycie do tych ludzi, którzy nie umieją być szczęśliwymi po prostu, i nie chcąc chodzić utartym pospolitości gościńcem, z krwawym trudem dobijają się do celu, który przy wspólnój dobrój woli można było osiągnąć z łatwością. Nie bierz tego za wymówkę Michalino, nie chciałabym nigdy cię obrażać a tymbardziej dzisiaj, kiedy mam nadzieję że cię może niedługo moją bratową powitam, i że ten cały dramat, co wam obojgu serca rozdzierał, dojdzie do tój prostej, widnej najlepszej życia konkluzji, jaką jest małżeństwo dobrane. Najdrażliwsza w świecie delikatność nie mogłaby wyszukać żadnej do tego przeszkody: Zygmunt nie sam zerwał, ale go Julia ze słowa zwolniła, prosząc prawie by szczęście chciał przyjąć, by uwierzył w jego zupełną godziwość i nie krępował się na całe życie względami wygórowanej uczciwości. Jest więc wolny, jedyną wolnością z której taki jak on człowiek korzystać może: to objaśnienie które ci dać miałam. A prośba moja: Michalino, proszę domyślisz się z łatwością. Jeżeli prawdziwie kochasz Zygmunta, daj mu to szczęście o które on cię prosi zapewne, ale o które także niemniej usilnie prosi cię przezemnie Julia. Nacierpieliście się wszyscy ile sił starczyło; zmiłuj się Michalino, nie zmarnuj skarbu nabytego tak drogo i każ milcząc wygórowanej drażliwości pojąć; a bierz dar Boży, bo szkoda tracić rzecz taką, za której utratę do nikogo, tylko do siebie żal mieć będziesz. Wierzaj mi, Michalino, wyrafinowanie uczuć a prawdziwe pojęcie obowiązku, to dwie rzeczy całkiem od siebie różne. Na ostatniej gruntuje się szczęście i bez niej istnieć nie może; pierwsza, istniejące już zburzyć tylko

potrafi jak nierozważny miłośnik sztuki, coby chciał ciosowe ściany domu zamienić w przezroczystrych rzeźb koronkę i spowodował przez to upadek całego gmachu. Może ty mi masz za złe, że ja ci mówię to wszystko, ale Michalino... patrząc na Julię, pragnęłabym przynajmniej żeby jej odwaga opłaciła się szczęściem Zygmunta, który przez ciebie tylko szczęśliwym być może.

Tola.

List LI.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 8 grudnia.

Po napisaniu do ciebie ostatniego listu, niemogąc się doczekać odpowiedzi twojej, nie mogąc wytrzymać w tym pustym domu gdzie dzień i noc z nieodstępnym pasowałam się cierpieniem, zapragnęłam choćby przemocą nadać inny kierunek mojej myśli i wyjechałam w odwiedziny do domu w którym wiecznie tak ludno, wesoło i gwarno, że dostawszy się raz w ten wir zabaw, rozrywek i wesela, człowiek zatracca myśl swoją i nie zdaje sobie sprawy z życia. Udało mi się to nieraz, myślałam że i teraz się uda. Omyliłam się jednak. Myśl od której uciekałam, goniła za mną uparcie, chciałam się śmiać wesoło a zamiast uśmiechu na ustach, miałam tylko łzy w oczach i niewymownie zmęczona, szukałam wymówki żeby ztamtąd uciec jak najprędzej. Dostarczył mi jej posłaniec z Podzamcza, przywiózł mi bowiem listy od Zygmunta i od Toli, których kopie załączam ci tutaj. Nie odpisałam ci dotąd, nie dlatego żebym już stanowczo, nie ułożyła treści mojej odpowiedzi, ale dlatego... że mi do tej odpowiedzi sił braknie, Natalio. Bo widzisz, droga moja; po głębokim i sumiennym rozmyśle, ja zobaczyłam jasno że nie mogę zostać żoną Zygmunta: nie mogę i nie powinnam przyjąć ofiary Julii. Byłoby niesprawiedliwością i egoizmem grzesznym, żebym ja z której winy cierpiał Zygmunt tak długo, cierpi Julia dzisiaj, żebym ja powiadam, brała dla siebie takie szczęście wielkie i śliczne, takie życie nad które piękniejszego wymarzyć nawet nie można. Za winę swoją

pokutować powinnam i pokutować będę, bo nieodwołalnie postanowiłam powiedzieć Zygmunтови to wszystko co tobie mówię teraz. Napiszę mu to wszystko.. jasno, wyraźnie, spokojnie, żeby widział od razu że to niecofnięte słowo mojej woli, nie zaś przejściowego kaprysu wybryk. A potem? co potem będzie, Natalio?... ja sama nie wiem; nie wiem co zrobię z życiem, ze wspomnieniem i myślą; nie wiem czy się głośno rozpłaczę, czy potrafię milczeć spokojnie, czy może przyjdzie chwila taka, że z tego co dzisiaj odczuwam, roześmieję się głośno a drwiąco? Nie wiem... wszystko to być może: wewnętrzne życie kobiety własną jej winą raz z właściwego toru wypchnięte, dziwnymi idzie drogami! a koleje jego są tak rozpaczliwie smutne, że smutek winę odkupować musi przed Bogiem!

Czuję że odebrawszy ten list, odbijający bezład moich myśli, zapragniesz zaraz do mnie przyjechać: proszę cię, nie rób tego. Słowem, namową, prośbą, niczem w świecie nie zmienisz mego postanowienia, bo w niem widzę sprawiedliwość, którą niestety, sama sobie wymierzyć muszę; woli mojej w tym względzie nie złamiesz, a mówiąc o rzeczach bolesnych osłabisz we mnie tę trochę siły, która podtrzymuje mnie jeszcze. Proszę cię także na wszystko, pozwól mi nie wspominać już nigdy w listach naszych wszystkiego, co życie moje złamało, nie sięgaj pytaniami w tę ranę serdeczną, tak głęboko otwartą, tak śmiertelnie bolesną... Więcej bólu niż go dzisiaj mam w sercu nie potrafiłabym już przenieść a wspomnienie będzie mi nową, większą jeszcze boleścią. Może jak tyle innych i ja zapomnieć potrafię... będę się o to starała, może mnie ogarnie ta bezmyślna apatya, która odrętwia wszystkie władze ducha... co bądźby na mnie nie przyszło, będzie mi z pewnością znośniejszém niż uczucie które mną w tej chwili owłada. Jeszcze dni parę nie odpowiem Zygmunтови, jeszcze sobie zostawiam możność łudzenia się myślą że to wszystko straszny sen tylko... potem i tej nawet pociechy mieć nie będę. Nie wiem nawet czy zobaczymy się jeszcze... gdyby Zygmunt chciał mieć litość nademną, nie przyjeżdżałby już wcale po odebraniu mego listu... a jednak nie widzieć go więcej i rozłączyć się na zawsze nie pożegnawszy się słowem i spojrzeniem, to także jest rzecz okropna i nie wiem doprawdy co gorsze... O! czemuż ja nie mam tej

spokojnej siły którą Julia mieć musi! dlaczego ja kocham Zygmunta miłością taką co rzec się go nie umie a zatrzymać na wieki nie może? dlaczego widząc obowiązek cofam się przed nim strwożona?... Ale nie cofnę się, bądź spokojna Natalio, dojdę do końca i pokażę Julii że jeżeli ona kocha Zygmunta aż do poświęcenia *siebie* dla jego szczęścia, to ja kocham go także, aż do poświęcenia *nas obojga*, dla obowiązku jaki na nas wkłada ta dumna uczciwość, co nikomu gruntować swego szczęścia na ofierze rozzdzierającej serce czyjeś, nie pozwala... choćby szczęście na takiej podstawie oparte, miało być trwałem jak wieczność i pięknem jak Bożego nieba jasności!

Michalina.

List LII.

NATALIA DO MICHALINY.

Dnia 13 grudnia.

Jeżeli kiedykolwiek przeraziłam się aż do osłupienia, to niezawodnie wczoraj, odebrawszy twój list Michalino. Chciałam zaraz jechać do ciebie żeby cię gwałtem powstrzymać na brzegu téj przepaści w którą dobrowolnie skaczesz, wstrzymało mnie wyraźne twoje żądanie aby cię samą zostawić. Rada nie rada muszę szanować twą wolę i uczynić jéj zadość... ale cię na wszystko proszę i zaklinam, namyśl się jeszcze, nic nie postanawiaj nagle, nie przybijaj siebie na krzyżu, kiedy bez męczeństwa obejść się może i nie gub was oboje takim gorączkowym pośpiechem w spełnieniu przedsięwzięcia, co miłosierdziu Bożemu nad wami odejmuje możność działania. Zastanów się, czy to co ty nazywasz obowiązkiem, nie płynie z dumnego saméj siebie przecenienia, czy nie jest tą pychą wyrafinowaną co woli boleść beznadziejną niż cudzej ofiary przyjęcie? pychą która własne serce zabija rozpaczą dlatego tylko żeby nie być upokorzoną cudzej ofiary wzniosłością? Michalino, na miłość Boga, nie zamykaj za sobą wieka trumny, kiedy jasne, gorące słońce szczęścia może ci zaświecić nad głową. O! gdybym ja była z tobą! przekonałabym cię że moje twierdzenia oparte są na opoce prawdy Bożej! Wszak znasz mnie dawno i dobrze,

wiesz że tam nawet, gdzie mi chodzi o szczęście ukochanych, nie śmiałabym wchodzić w targi z sumieniem i widząc że spełniasz obowiązek gorzki, ciężki, nad siły prawie, ale *obowiązek* to jest wola Bożą, nie śmiałabym cię wstrzymywać na brzegu téj przepaści w którą skaczesz ze skrzyżowanemi na piersiach rękami i dobrowolnie zabijasz w sobie wszystko co najgorętsze, najcudniejsze masz w sercu. Michalino, ty nie masz prawa sama sobie być sędzią i wykonawcą wyroku śmierci, bo wyrok ten nie na ciebie jedną spada; zkąd ty masz prawo rozporządzać życiem cudzém? a jeżeli nie chcesz brać szczęścia kupionego za cenę łez Julii, czy możesz trzy osoby zamiast jednéj poświęcać łzom i boleści? Słuchaj, zastanów się dobrze co robisz, poświęcenie siebie dla zasady (nie dla osoby nawet) jest rzeczą piękną, Chrystusową, ale trzeba żeby ta ofiara nie została bezowocną, nie chybiła swego celu, inaczej jest szaleństwem, lub powtarzam ci, grzeszną, niedobrą pychę. Komu z ofiary twojéj szczęścia przybędzie? czy Julii? czy chcesz jéj zwrócić tę przyszłość którój ona nie dla ciebie ale dla Zygmunta się zrzekła? Kobięta z sercem jaką jest Julia, zwrotu tego nie przyjmie i chociaż jéj własne szczęście jest tylko podrzędną kwestyą jéj życia, to przecie jéj nawet zbraknie odwagi skazać się na taką straszną męczarnię jaką jest widok rozpacz i żalu ukochanéj osoby. Gdyby dziś poszła za Zygmunta, cierpiałaby sercem, dumą, godnością osobistą, cierpiałaby nad wszelki wyraz ludzki, widząc że ukochany przez nią człowiek złamany, zbolały, został tylko cieniem żyjącej istoty wiecznie drgającym od bólu i że ona któraby życie za niego dała, nie na ból ten poradzić nie może. Więc widzisz: ofiara którą ty nazywasz sprawiedliwą, byłaby dla Julii bezskuteczną, bezskuteczną także dla Zygmunta, przyniosłaby boleść jéj, jemu i tobie; powiedzże mi na co ona jest potrzebną? w imię jakiej zasady i na jakim ołtarzu ją złożysz? Wolno tobie saméj poświęcać się do woli, ale ta wolność ustaje tam, gdzie poświęceniem siebie ściągasz boleść na drugich. Zygmunt to ideał prawości i zacności, gdyby nie czuł się wolnym w głębi sumienia swojego, nie powiedziałaby ci nic więcej nad to wyznanie miłości, które zdobyłaś na nim przemocą łez twoich; musi on wiedzieć niezawodnie że ma prawo zapragnąć szczęścia, dlaczego na sądzie jego nie

chcesz polegać i kochając go, hardą myślą prawdy w jego postępkach śledzisz?

Jeszcze jest punkt jeden na którym przekonałbym cię chciała. Powiadasz mi: pozwól mi milczeć. To zupełnie jakbyś w mogiłę kładła się żywa i prosiła: nie budźcie mnie, bo mnie wszystko boli. Michalino, boleść zazdrośnie tajona w kryjówkach serca, powoli w jaś się zamienia i jadem swoim zatruwa moralny organizm. Milczeniem nie uleczysz się z boleści, zdrętwiejesz tylko na chwilę. Takie milczenie grobowe osamotni cię więcej jeszcze, pozrywa wkoło ciebie i tak nieliczne węzły serdecznych stosunków twoich, stworzy ci jakiś ciemny świat, po którym chodzić będziesz sama jedna i od reszty Bożego świata odgrodzi cię przepaścią szeroką, której ty nie będziesz mogła lub chciała przeskoczyć a tym co cię kochają zabraknie śmiałości żeby się zbliżyć do ciebie i zostaniesz samotna, mocując się z boleścią której tak trudno podolać; a jeżeli ją sama pokonasz, to mi cię jeszcze gorzej żal będzie, bo zostaniesz martwą powłoką z której wszelkie życie uciekło. Nie położy cię boleść na marach, cierpienie nie uspi ciebie spokojnym snem mogiły. ale ztruje ducha twego goryczą, wszystkie jego potęgi zmarunuje, zabije, zniweczy! Od takiej śmierci jaby cię obronić chciała Michalino, mów, płacz, skarż się, wspominaj, żyj boleścią, ale nie syp mogiły po nad sobą, raz w życiu poznaj potrzebę i słodycz szukania podpory poza sobą; w przyjaźnim sercu, we współczuciu prawdziwym, nie we własnej woli jedynie, a przedewszystkiem zastanów się dobrze zanim staniesz na drodze z której zawrócić niepodobna; zastanów się nie nad własną tylko przyszłością, ale także nad przyszłością, tych dwojga ludzi, których szczęściem tak szafujesz nieopatrznie. Pamiętaj że siebie ani drugich niewolno zabijać cierpieniem, że tylko w imię szczęścia ukochanych lub w imię obowiązku godzi się iść na spotkanie boleści i rzucać swoje życie na pastwę tęsknocie, łzom i smutkowi.

Natalia.

List LIII.

MICHALINA DO ZYGMUNTA.

Dnia 10 grudnia.

Zygmuncie, tydzień już prawie dochodzi jak list twój odebrałam i do domu wróciłam. Dlaczego ci nie odpisałam? Dlaczego w godzinę po moim powrocie do Książyna, nie dałam ci znać o tém, prosząc byś natychmiast przyjeżdżał? Jeżeli mnie o to zapytasz Zygmuncie, to ci powiem że skazany na śmierć człowiek, choć wie doskonale że ratunku ani miłosierdzia nie ma już dla niego, że wyrok na nim ciążyący jest nieodwołalny, radby jednak cofnąć chwilę w której ten wyrok będzie wykonanym... tak samo i ze mną się dzieje. Jeżeli nawet twoje słowa Zygmuncie mój ukochany, nie mogą mnie upoważnić bym brała całą przyszłość szczęścia z przekonaniem że biorę rzecz słusznie mi się należąca, to widać przyszłości takiej być dla mnie nie może, widać własną winą straciłam prawo wejść do tego nieba, które mi twoja miłość otwiera, a do którego drogą łaski wejść nie chcę... Ja wierzę w sprawiedliwość kolejami życia rządzącą, obawiałabym się więc ciągle utracić to, co zmarnowałam jako dziedziczną własność moją i dziś tylko jako dar odzyskuję napowrót. Że mnie to postanowienie kosztuje więcej niż chcę i mogę ci powiedzieć, o tém chyba nie wątpisz Zygmuncie. Gdybym się nie bała tém wyznaniem przyczynić tobie boleści, tobym ci powiedziała że rozboleła są we mnie te wszystkie *fibry* które w myśli i sercu kobiecém boleć mogą, gdybym się nie lękała widoku twego cierpienia prosiłabym cię: przyjeźdź niech cię zobaczę, pożegnam i powiem na pożegnanie że cię kocham serdecznie... Ale jednego ani drugiego powiedzieć ci nie śmiem, bo siły twojej osłabiać a swojej wyczerpywać nie chcę... pożegnać cię tylko muszę...

Michalina.

List LIV.

ZYG MUNT DO ANIELI.

Dnia 12 grudnia.

Po raz ostatni i bez zmartwychwstania tym razem, grzebię nadzieje moje Anielo. Szczęście jasne, zupełne, wielkie, jest chyba marzeniem którego urzeczywistnić nie można, a im kto poważniej życie pojmuje, im szczerzej takie pojęcia czci w drugich, tém prędziej i pewniej rozbije się upragnione szczęście jego o przeszkody z tych pojęć wpływające i wymknie mu się z ręki w chwili gdy wierzył że je na zawsze otrzyma. Szczęśliwemi są tylko ci, co nigdy nie spróbowali przejrzeć jaśniej wkoło siebie i szerszy widnokrąg okiem objąć, co w życiu poziome tylko widzą cele i płytkość uczuć do tego poziomu mierzą. Teorya ta, ciąglemi stwierdzana dowodami, jest jak świat starą historią, ale że teoryami nikt nigdy od cierpienia się nie uchronił, więc życie idzie a cierpienie zostaje i chociaż cierpienie obecnością swoją protest przeciwko życiu zakłada, to protest ten, jak tyle innych równie namiętnych a więcej może sprawiedliwych, uwzględnionym nie bywa nigdy...

O! straszna to rzecz Anielo, ta dola ludzka której zmienne koleje dziś tęczą nadziei świecą, jutro kryją się w całun rozpaczy, w całun tém czarniejszy, im świetniej mieniła się tęcza! Kiedym do ciebie pisał raz ostatni, byłem pewny szczęścia, o ile człowiek czegokolwiek na świecie pewnym być może, a wierząc że im kto cierpliwiej na nie czekać umie, tém przez to godniejszym się go staje, czekałem chwili w której po nie sięgnę jak po świętość i jak świętość czcią w sercu otoczę! I doczekałem się tyle tylko, że zamiast szczęścia... mam rozpacz, zamiast Michaliny co miała mi być towarzyszką i wdziękiem życia, mam znowu życie puste, samotne, tęsknotą i żalem zatrute!...

W odpowiedzi na list mój, po tygodniowém prawie oczekiwaniu, przesłała mi słów kilka, które jak piorun uderzyły we mnie niespodzianie. Jeszcze nie potrafiłem szczegółowego ich znaczenia myśłą rozebrać, gdy już wiedziałem że one są ciosem zabijającym nadzieje moje i całą siłą tego buntu jaki w duchu ludzkim boleść wywołuje bezmierna, zbuntowałem się przeciwko jej woli co mi była śmierci wy-

rokiem. Nie chciała żebym był jeszcze u niej po odebraniu jój pisma: nie zważałem na to, pojechałem do Kniażyna a przez całą drogę, jak człowiek onieprzytomniony gorączką nieszczęścia, nie myślałem o niczém, tylko machinalnie patrzyłem na dziwaczne kształty chmur przesuwających się po bladém niebie zimowém... I przebyłem tam u niej długi dzień cały, dzień w którym ona kolejno aniołem pocieszycielem i katem była dla mnie. Nie wiem, nie pamiętam co jój mówiłem, jakimi słowami prośby starałem się przekłamać jój wolę, a słowami miłości odebrać jój tę moc przekonania, którą zbrojna, miłości mojej i prośbom nie uległa Michalina... Powiadam ci, Anielo, nic nie pamiętam, ani słowa... ale musiałem targać za wszystkie struny jój serca, niezważając na nic, na łzy jój; nie zważając ani na straszne znużenie kobiecego serca, pragnąc tylko wymódcz na niej odwołanie wyroku co nas oboje na cierpienie skazuje. I po tój ciężkiej a bezowocnej męce, pożegnałem wreszcie Michalinę, z rozpaczą pożegnałem tę ukochaną moją której nie zobaczę już nigdy...

Cios ten niespodziewany nadaje inny kierunek całemu życiu mojemu. Postanowienie w tój mierze powziąłem już i nic go cofnąć nie zdoła. Jutro wyjeżdżam z Podzamcza, gdzie bawić dłużej nie mam siły, za miesiąc wyjadę z kraju, gdzie życie macoszą chłoscze mnie dłonią. *Nic tu mnie nie trzyma*, żaden nie wiąże *obowiązek*, żadna nie pociąga nadzieja; jadę w świat nowy do Ameryki, z nadzieją że w kraju, który dzięki swojej młodości nie ma wspomnień dziejowych coby na przyszłość jego wpływały; w kraju takim może i ja potrafię zapomnieć tych dziejów własnej przeszłości, których pamięć straszną jest dla mnie męczarnią. Za dni kilka zobaczymy się Anielo, po to żeby się na długo, na zawsze może pożegnać.

Zygmunt.

List LV.

ZYGMUNT DO MICHALINY.

Dnia 13 grudnia.

Pożegnałem już ciebie, Michalino ukochana, coś miała być szczęściem mojem i dziś jeszcze żegnam cię powtórnie.

Postawiłaś pomiędzy nami dwojgiem zasadę, w imię której rozdzieliłaś nas na wieki, ja między sobą a wspomnieniem o tobie chcę postawić zaporę przestrzeni. Wyjeżdżam w inne strefy, w świat inny, bo tutaj wyżyć nie mogę. Musiałaś uznać w głębi myśli że wola twoja jest dobrą, słuszną i sprawiedliwą, kiedy podług niej postąpiłaś nie chcąc zważać na to, że nie siebie tylko jak powiadasz ale i mnie także na śmierć duchową skazałaś. Zanadto cię kocham, żebym przekonania twego szanować nie miał, ale widząc że nie możesz być moja, nie umiem stworzyć sobie *przyszłości*, do wzniesienia której, materyały z *przeszłości* zbierać mi radzisz. Nie Michalino, tego odemnie wymagać nie możesz... nie możesz; nigdy nie mogłaś myśleć że ja który zaszedłem tak daleko, potrafię znowu wrócić do punktu wyjścia, a mówiąc mi że poświęcenie Julii jest dla ciebie przykładem poświęcenia i razem jego rozkazem, nie chciałaś chyba żeby te słowa twoje w czémkolwiek bądź mnie obowiązywać miały. Julia jest idealnie szlachetną istotą, ale ja jej nie kocham... ja tylko ciebie jedną kocham, Michalino i rozkochany a odepchnięty przez ciebie, unoszę z sobą w przyszłość jako skarb mój jedyny, świadectwo miłości mojej, śmiertelną rozpaczą w sercu zapisane.

Zygmunt.

List LVI.

MICHALINA DO ZYGMUNTA.

Dnia 13 grudnia.

Bywaj zdrów Zygmuncie mój ukochany.... moja wina żem tak splątała życie nasze, że na szczęście nie ma w niem miejsca. Tęj winy mojej uznanie boli mnie tém ciężój, że za nią i ty pokutujesz także... Jeżeli miłością przebaczenie uprosić można, to cię proszę, przebacz mi Zygmuncie. Przebacz mi złamane życie twoje, zwichniętą przyszłość całą i przeszłości gorzkie udręczenia; przebacz mi, że stawiając na równi z innemi ciebie, nie umiałam cię ocenić odrazu, że zamiast brać miłość twoją, chwyciłam inną jak zabawkę, którą wnet potem z rozczarowaniem gorzkim odrzuciłam od

siebie; przebacz mi nadewszystko że cię pokochałam *nie w porę*; i za miłość moją serdeczną zapłać mi zapomnieniem, jeżeli pamięć o mnie rozpaczą i męczarnią ma być dla ciebie.

Michalina.

List LVII.

MICHALINA DO NATALII.

Dnia 20 grudnia.

Już po wszystkim, droga moja Natalio! Odpisałam Zygmunтови... literami pisma prosząc żeby już nie przyjeżdżał do Kniażyna, myślą i serdeczném pragnieniem błagając go by się stał woli mojej nieposłusznym... Tego dnia jeszcze przyjechał, i ten człowiek którego ja przywykłam widzieć tak zawsze spokojnym i panem siebie, tak zbrojnym w wolę niezłomną; ten Zygmunt którego ja tak bardzo kocham Natalio, klęczał mi u nóg ze łzami, z prośbą namiętnie rozpaczną i ze słowami miłości co tyle mi szczęścia przyrzekły! A na łzy, prośby i słowa, jam tylko milczeniem odpowiadała, bo mówić nie miałam już siły... zresztą cóż powiedzieć miałam ja, która zdania mego i woli w tym względzie odmienić nie mogę? Nie wiem które z nas cierpiało więcej... ale chyba tą boleśniej przygnębioną ja być musiałam, bo do serdecznego cierpienia łączyło się we mnie to gorzkie uczucie, że cierpienie własną winą na nas oboje ściągnęłam; do żalu za szczęściem łączyło się smutne upokorzenie żem szczęścia takiego nie warta i chcąc sama siebie sądzić sądem kary sprawiedliwie zasłużonej, musiałam to szczęście odepchnąć od siebie.... A że kara przezemnie zasłużona równie ciężką boleścią przygniotła serce Zygmunta, to już nie moja w tém wina. Drogi któremi ludzie chodzą w życiu tak są splątane i ciasne, tak bardzo siebie blizkie, że gdy się z sobą zetkną, gdy jedna drugiej w poprzek stanie, to już jednostki temi drogami chodzące, zarówno szczęściem jak i niedolą oddziaływać na siebie muszą i dlatego téż właśnie, trzeba kierunek swojej drogi obmyślać ostrożnie, trzeba nim iść z powagą wytrwałą, żeby komuś drugiemu w drodze jego nie stanąć zaporą, żeby sobie zawsze zostawić taki

punkt wyjścia, co może wprawdzie doprowadzić do boleści i smutku ciężkiego, ale przynajmniej uniknąć pozwoli straszego wyrzutu sumienia za zwichnięcie cudzej drogi kierunku. Jam tego nie umiała Natalio! i zaszłam w jakies ciemne kraje niezapomnianej za szczęściem żałoby... Z walki między sercem własnym a poczuciem obowiązku, wyszłam napozór zwycięzka, ale do głębi mojej istoty złamana i nie tak prędko potrafię odzyskać siły. Są w duchu pewne granice, poza które gdy przejdzie boleść, to się staje trucizną i zepsuciem, wstrętnym rozkładem moralnym, w którym spoczywa zaród wszystkich buntów jakie myśl przeciw Bogu podnosi. Natalio! ja dla siebie nie cierpienia i żalu, ale rozkładu takiego się boję. Ja nie chcę upaść, nie chcę stracić w upadku dumnego poczucia swojej godności, i wszelkimi siłami bronić się będę od tego, by cierpienie moje nie przeszło w rozpacz pogańską, nie było mi trucizny napojem zabijającym... Dziś na nowo rozpocząć mi trzeba życie i tę pracę duchowego rozwoju, która dla wszelkiej myślącej istoty obowiązującym jest zadaniem... inaczej pracować będę nad sobą: treści życia, jego dźwigni i celu, w sercu i przez serce szukać trzeba. Ta pogoda myśli, ta siła wytrwała, co jest przeciwko cierpieniu najlepszą bronią odporną, w sercu więcej niż w rozumie źródło swoje mieć musi; bo kiedy ja miotam się i burzę, to Julia, która zapewne nie mniej musi cierpieć odemnie, spokojna jest i jakimś cichym promienieje majestatem... jej ofiara jest zasługą; jak zasługa anielskim rozradowaniem goić musi ranę jej serca; moja, kara: to też mi serce chłoczce okropnej męczarni biczem... Pod kary dotknięciem uchylam się ze skruchą; jeżeli ze chrztu łez pokutnych powstanę, to już do głębi duszy zmieniona, będę może wszystkiem czem dotąd nie byłam: serdeczną i kochającą, w pracy mojej niesamolubną, w działalności użyteczną, w pojęciu obowiązków niezachwianą... ale niestety! już za ich spełnienie szczęściem nagrodzoną nie będę! nawet to ostatnie przekonanie zbawienne *nie w porę* dało mi życie! zdobyłam je sobie cierpieniem. Natalio! czy cierpienie ma być tym mistrzem co sieje w duszę ziarno mądrości Bożej? czy jasne zrozumienie życia w boleści się tylko zyskuje?

Michalina.



TRZY SONETY

Adama Maszewskegò.

HELLAS.

I.

Panowali nad morzami i nad ziemią całą—a nie
przeciwiło się ich woli.

Trzecia Filipika Demostenesa.

Grecy! ja cię widzę w dawnój twojój szacie
Wielką, jak bohaterów twoich poświęcenia,
Piękną, jak posągowe twych mistrzów postacie,
Wzniosłą, jak nieśmiertelne wieszczów twoich pienia.

Grecy! ja cię widzę za wieków zasłoną
Taką krzepką, jak ramie twojego Herkula;
Dzielną jako zwycięzkie hufce Maratonu,
Szczytną, jako ofiara ateńskiego króla.

Grecy! ja cię widzę, gdyś jedna, potężna,
Z dzidą Achilla w dłoni jak z Zeusowym gromem
Stała tam, kędy Wschodu nawiała orężna

Wdzierała się na Zachód wybitym wylomem,
Gdyś piersią granitową, bohaterską, mężną,
Zastaniała pół świata przed haubą i sromem.

II.

I stała się jako wdowa pani narodów.

Narzekania Jeremiasza.

I widzę, widzę ciebie tam, pod Cheroneją...
Jasne słońce twój chwały do snu się układa,
Gromkie ciosy twój dzielnej prawicy tępieją,
I na pierś się pochyła skroń rozpaczą blada...

Potém głucha, cmentarna na twoim grobowcu
 Legła cisza, z Tytanów powstały Pigmeje;
 Miecz twój w pochwie a tarcza zasnęła w pokrowcu,
 I mrok owiał wspaniałe, świetne twoje dzieje.

O! zostań dla mnie taką, jaką za pomroku
 Wieków ja ciebie widzę, jaśniejącą czynem,
 Z całym żarem zapału w promienistém oku,

Z czołem wzniesionem dumnie ponad ludów gminem,
 W chwały zdobytej pracą wiekową obłoku,
 I z uszczkniętym, na skałach Termopil, wawrzynem!

NAD TACYTEM.

Wolą bezpieczne *dziś*, aniżeli *przeszłość*
 niebezpieczną...

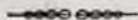
Roczniki Tacyty.

Romo! Romo! słum huczne Bachowe piosenki,
 Wrzaski tłumów cyrkowych, krwi i wrażeń chciwe,
 I konających w piasku gladiatorów jęki,
 I moczarów pustyni ryki przeraźliwe...

Bo oto prorok wraca z przed Jowisza twarzy:
 Boski zar skrzy się w jego natchnionej źrenicy,
 Na chmurném czole myśl się błyskawiczna waży,
 A w usciech grzmia w piorunach dzieje twój ziemicy.

Słuchaj go stara Romo! Gorzka jego mowa,
 W zamarłej twojej piersi wzbudzi życia drżenie,
 Bo wielką namaszczone mocą jego słowa!

Tłum zmilkł, wlepił w proroka bezmyślne spojrzenie
 I runął, gdzie go trąba wzywała cyrkowa,
 I z kąd go miękkie heter dochodziło pienie..



POEZJA LUDOWA MADIARÓW.

PRZEZ

Hr. Dora d' Istria.

Etnograficzna praca o ludowych pieśniach madiarskich, którą dajemy w przekładzie, jest najnowszą publikacją hr. Dora d'Istria. Uważamy za obowiązek poprzedzić tę rozprawę kilku słowami o samej autorce, z którą mamy zaszczyt kolegować w Towarzystwie Geograficzném Paryżkiém.

W gronie kobiet słynnych w literaturze europejskiej ostatnich czasów, znakomite miejsce zajmuje Helena z ksiąząt Ghików, znana pod pseudonimem Dora d'Istria. Urodzona w Bukareszcie r. 1828, od młodych lat niepospolite okazywała zdolności. Przewodnikiem jęj był uczony Grek Papadopoulos. Onto czuwając pilnie nad rozwijającym się umysłem wychowanki, obudził w nięj prawdziwe zamiłowanie nauk. Dora d'Istria zawdzięcza mu w wielkiej części swoje dzisiejsze stanowisko.

Dzieckiem prawie, Helena Ghika opuściła kraj z ojcem i rodziną, w skutek przewrotów społecznych w Rumunii. Kilkoletnie podróże po Niemczech, jak niemniej stosunki z pierwszymi uczonymi świata na dworach panujących ksiąząt, kształciły jęj umysł i coraz bardziej rozszerzały koło jęj wiedzy.

W roku 1849 zaślubiona z księciem Massalskim, udała się z nim do Petersburga; lecz pobyt na północy szkodliwy wpływ wywierał na jęj zdrowie. Zamieszkała więc w Szwajcaryi, a następnie we Włoszech, gdzie do dziś dnia przebywa.

Podczas pobytu w Alpach napisała dzieło o Szwajcaryi Niemieckiej. Praca ta, nacechowana gruntownym poglądem na kraj i obyczaje mieszkańców, powszechną zwróciła uwagę. Przytaczamy kilka słów autorki, któremi sama socharakteryzowała swój sposób zapatrywania się na rzeczy.

„Przekonana jestem, że podróżujące kobiety mogą wybornie własnemi spostrzeżeniami, dopełniać prace uczonych podróżników.

Kobieta wnosi do literatury zdolność właściwą sobie. Lepiej ona od mężczyzny, umie pochwycić rysy obyczajowe i ocenić domowe życie narodów. Obszerne pole otwarte dla jej badań. Ale, aby zbierać plony z tego pola, potrzeba jej znać języki i historią; a przytém musi narażać się na wielkie częstokroć utrudzenie.

Szczęściem nie brakło mi znajomości języków. W rodzinie mojej mówiono zwykle po francuzku. Wyuczono mnie wcześniej języka greckiego, który jest na Wschodzie tём, czём język francuzki na Zachodzie. Języki germańskie odstraszały mnie zrazu, ale pracą pokonałem trudności.

Pan Papadopoulos utrzymywał, że od lat dzieciennych miałam szczególne zamiłowanie w historii; to wzrosło jeszcze z wiekiem. Im więcej podróżowałam, tём silniejszego nabierałam przekonania, że dopóty nie poznamy dokładnie ludu, dopóki nie potrafimy zdać sobie sprawy z jego przeszłości, to jest, dopóki nie poznamy jego kronik i najcelniejszych pisarzy. Kto bada naród jedynie tylko z jego objawów współczesnych, naraża się na błędne widzenie rzeczy, tak samo jak gdyby chciał sądzić człowieka, przeżywszy z nim ledwie kilka godzin.

Co więcej, aby zbadać naród, trzeba poznać do gruntu wszystkie warstwy składające społeczeństwo. Staralam się o to usilnie. W Szwajcaryi zamieszkałam w górach, chcąc powziąć dokładne wyobrażenie o życiu górali alpejskich. W Grecyi przebiegałam konno, samotne przestrzenie Peloponezu. We Włoszech utrzymywałam stosunki z ludźmi różnych wyznań i stanów; ilekroć zdarzała się sposobność, z równą ciekawością badałam kupca i uczonego, jak męża stanu i prostego rybaka."

Poznawszy dokładnie i opisawszy niemiecką Szwajcaryą, Dora d'Istria udała się do Grecyi, gdzie ją przyjmowano z zapalem. Grecy witali w niej autorkę dzieła o *narodowości hellenickiej*, występującą w obronie ich praw, obyczajów i charakteru narodowego.

Zbadała nasamprzód starożytne pomniki Aten, potem odbyła naukową i archeologiczną wycieczkę po Atyce; nakoniec zapuściła się w dalsze strony Grecyi, aby naocznie poznać stan moralny i materyalny ludności wiejskiej.

Długa to była podróż, połączona z mnóstwem trudności i niewygód. Trzeba było odbywać ją po większej części konno. Dora d'Istria dała w niej dowód niesłychanej odwagi i mężkiej wytrwałości. Nic ją nie ustraszalo: ani palące płomienie południowego słońca, ani strome drożyny po krawędziach skał, nad brzegiem niezgłębionych przepaści, ani bandy rozbojniczych Klef-tów. Przebiegła z kolei Beocyą, Focydę, Etolią i Peloponez. Górale Lakonii, spotykając ją w niedostępnych wąwozach, wołali z zapalem: „Oto prawdziwa Spartanka!” I domagali się aby stanęła na ich czele, i wiodła ich pod bramy Stambułu.

Dora d'Istria napisała kilka dzieł słusznie cenionych, w których rozwinęła głęboką erudycyą, połączoną z poglądem filozo-

ficznym. Oto są główne jej prace: *Życie zakonne w kościele wschodnim*; *Bohaterowie Rumunii*; *Rumuni i papizm* (po włosku); *Wycieczki do Rumelii i Morei*; *Kobiety wschodnie*; *Kobiety zachodnie*; *Kobiety przez kobietę*. Dodajmy do tego liczne studia drukowane w *Przeglądzie dwóch światów*, a między niemi obraz *Bulgaryi i Bulgarów* ogłoszony w 1868 roku. Znany krytyk francuzki Deschanel, wyraził się na jednej konferencyi, że każde z dzieł Dory d'Istria, byłoby dostatecznym do zapewnienia sławy pisarskiej, nie tylko kobiecie, ale nawet mężczyźnie. Ona to swoim talentem, a do tego wytrwałą pracą naukową i literacką, otworzyła kobietom przystęp do Towarzystwa Geograficznego Paryżkiego. Przed kilku już laty pierwsza z nich, została mianowaną członkiem tego uczonego zgromadzenia.

Uważaliśmy za rzecz pożyteczną dla literatury naszej, przełożyć ostatnią pracę Dory d'Istria. Jest to pod względem etnograficznym dopełnienie dzieła Boldenyniego o Węgrzech, które przełożyliśmy w roku 1862 na język polski. Pogląd krytyczny uczonej Rumunki, zasługuje sam przez się na uwagę; ocenia bowiem lud madiarski i jego utwory poetyczne, ze stanowiska dwóch odrębnych cywilizacji aryjskiej i turkańskiej. Nie tyle z kronik jak raczej z objawów życia, autorka stara się udowodnić, że Madiary należą do Turanów, to jest do ludów charakteru pastersko-koczowniczego. Wykazuje, że nie mają tak wysokiego poczucia praw osobistej własności, jak rolnicze ludy aryjskiego, to jest *orażego* plemienia.

Dając przekład niemal dosłowny, nie bierzemy jednak na siebie odpowiedzialności, za wszystkie zdania autorki. Lękamy się czy jako Rumunka-Aryjka, nie patrzy z pewnym uprzedzeniem, na synów koczownika stepowego Arpada, który zmusił do hołdu ludy Naddunajskie. Nie dosyć ona zaprawdę uwzględniła, dziesięcio-wiekowy przebieg czasu, w którym syny Arpada wyrabiali się umysłowo, religijnie i politycznie, pod wpływem Rzymu i pod równie silnym naciskiem cywilizacji aryjskiej ludów słowiańskich, łacińskich i germańskich.

Sąd nasz o jednostronnem zapatrywaniu się Dory d'Istria nie jest bezzasadnym. Opieramy go głównie na tém, że autorka przedstawiając tak silnie Turanizm Madiarów, nie tylko że pominęła potężny ich zrost z Europą zachodnią w ogólnej historii, ale co więcej, że nie dosyć uwzględniła też jedność w pieśniach ludowych, które stanowią główny przedmiot jej badań. Z długoletnich walk Madiarów przeciw Tatarom i Turkom, przytacza jedyną tylko pieśń o klęsce pod Mohaczem, a przecież te walki wiekowe stanowią jedną z najgłówniejszych podwalin życia historycznego Węgrów! One to są wiecznym cementem, łączącym ich z ludami aryjskimi. W tradycjach i pieśniach ludowych, odbiła się koniecznie ta ofiara z krwi, przez którą Madiary dokupili się praw europejskiego obywatelstwa. Brak to owych tra-

dycyj i pieśni, tém więcej czuć się daje w rozprawie autorki, że tak silnie powtarzamy, nastaje na turańską krew Madiarów.

Po tém zastrzeżeniu, podajemy w przekładzie rozprawę, którą wysoko oceniamy. Autorka daje w prozie, tłumaczenie ludowych pieśni madiarskich. Pozwoliliśmy sobie większą ich część oddać wierszem według znanego nam ich rytmu. Ten rytm w szczególny sposób przypomina pieśni Podhalan tatrzańskich, jak niemniej nasze kołomyjki i krakowiaki.

I.

Lud madiarski pełen wyobraźni, stworzył sobie od wieków ludową poezyą. Nieszczęściem ta poezya zaginęła w pierwotnej formie; aby odnaleść jej ślady, potrzeba pilnie badać kroniki starożytne. Niegdyś tworzyła ona rodzaj eposu narodowej, podzielony na kilka okresów. Rozpocynała ją okres Attyli i Hunnów, uważanych za praojców dzisiejszego ludu madiarskiego. Dwa późniejsze wypadki wielkiej wagi: przybycie Almosa do Siedmiogrodu i zdobycie Węgier przez syna jego Arpada, były według poezyi ludowej, słusznym odwetem synów Attyli, za zburzenie państwa Hunnów. Legenda o królu Stefanie, pierwszym królu chrześcijańskim, „królu apostołskim,” tworzyła niby koronę tej eposu. Widzimy tu według poglądu madiarskiego, zidealizowany obraz jednego z najważniejszych przewrotów społecznych we Wschodniej Europie.

Starożytna historia Persyi, ukazuje nam w Azji Zachodniej zapasy dwóch żywiołów sprzecznych a nienawistnych sobie, irańskiego i turańskiego. Jakoż w rzeczy samej, plemię aryjskie zrodzone w dolinie Oxus, od pierwszych czasów istnienia swego, toczyło walkę z koczowniczymi ludy fińsko-mongolskiego plemienia. Walka ta przeniosła się do Europy wówczas, kiedy *Bicz Boży* zgromadził pod sztandar Turula (grufa) pasterzy azjatyckich, którzy zamierzali przywrócić Europie jej pierwotną piękność. Pokonany w Chalons przez Latynów połączonych z Frankami najezdnik, widząc że nie zdoła podbić krajów zachodnich, zaciężył wszystkimi siłami nad Europą wschodnią. Jedna gałąź pnia fińskiego zakorzeniła się na południe Dunaju gdzie zatraciła typ samodzielny. Mówimy o Bulgarach. Inna gałąź tegoż pnia fińsko-mongolska, Turcy Ottomanie osiedli w Konstantynopolu. Po za starożytnym Isterem plemię aryjskie zmuszone też było ustąpić odwiecznym przeciwnikom, nie jeden obszar ziemi, zagniawszy ich przecież równie jak na półwyspie wschodnim do przyjęcia swojego wpływu.

Kiedy Panonia została krajem madiarskim, rozwinęła się w niej oryginalna ludowa poezya. Tę poezycę podzielić można na starożytną, średniowieczną i nowożytną. Wniósłby kto może, wiedząc jak gorliwie zwyciężkie religie niszczą pamiątki prze-

szłości, że poezya starożytna zatarła się tu, żadnych nie zostawiwszy śladów. Tak powszechnie sądzono w czasach, kiedy mało kto pojmował ważność historyczną, oraz znaczenie filozoficzne i literackie tego rodzaju pytań. Ale od czasu gdy we wszystkich krajach poczęto podnosić te zagadnienia, uczeni z Królestwa Św. Stefana dowiedli z łatwością, że jeśli poezya i epopeja pogańska zaginęła tu w formie pierwotnej, treść jej żywotna pozostała przecież u kronikarzy. Dostyc przypomnieć prace Franciszka Toldego, historyka poezyi madiarskiej.

Pierwszy okres starożytnej poezyi, można nazwać okresem Hunnów. Turoczy wykazał to jasno w pierwszej części swęj *Kroniki Węgierskiej*. Etel (Attyla) stanowi główną postać tego okresu, lecz wyobraźnia ludowa otoczyła zdobywcę Panonii, całym szeregiem ojców, braci i spadkobierców. Cykl poetyczny Hunnów, łączy starożytnych panów Panonii, z ostatnimi jej władcami. Dzięki bujnemu wymysłowi wyobraźni, Gałatowie, pierwsi mieszkańcy ziemi, założyciele Sikambryi, przyszłej stolicy Etela, są braćmi tak Hunnów jak i Madiarów. Wszecmocny użył ich wszystkich, jako narzędzia do spełnienia jednego celu. Madiary odrzucają powszechnie przyjęte wyobrażenia o Attyli, a przyznają mu postannictwo opatrnościowe, takie samo jakie Salwian przyznaje w ogólności barbarzyńcom, postannictwo ukarania i oczyszczenia zepsutego społeczeństwa rzymskiego. Duch Etela przetrwał dłużej niż olbrzymie jego podboje. Według tradycyi syn jego Chaba, z piętnasto-tysięczną drużyną, udał się do Azji do ojca Attyli Bendekusa. Od tego to Chaby w prostej linii ma pochodzić Almos ojciec Arpada, pierwszego władcy Madiarów (1).

Od Almoza rozpoczyna się cykl Hetumogerów (siedmiu madiarów). Świetna osobistość Almoza zda się być utworzona przez wyobraźnię ludu, dla połączenia Etela z Arpadem. Jest to jakoby wcielenie ducha króla Hunnów, w zdobywcę Siedmiogrodu. Turoczy i Kesai utrzymują że gryf ukoronowany (Turul) był godłem narodowem koczowników, którzy najjeżdżali Panonią od Etela do Geyzy pierwszego monarchy chrześcijańskiego. To też kronikarz bezimienny przytacza podanie, według którego Almos miał być synem gryfa Turula i pięknej Ermesō. Skon Almosa równie dziwny jak jego cudowne urodzenie. Znika z widowni jak on Mojżesz, porwany żywcem ludowi przez siebie oswobodzonemu, opuszcza świat jak Romulus, nie zostawiwszy po sobie żadnych śladów. Gdy wprowadził Madiarów na Karpaty, składa ofiarę bogom, oddaje władzę synowi Arpadowi i znika gdzieś bez wieści. Postać-li to często fantastyczna jak Faramond, czy na pół mityczna jak Merowesusz, nie ma wątplenia, że uosabia w sobie wędrowkę; Arpad zaś, ów Jozue Madiarów, uosabia zdobycie ziemi obiecanej.

(1) Turocsi Ilsa część.

Almos odbija dziedzinę Etela, lecz nie dano mu poprowadzić dalej ludu swego jak na wierzchołek Karpat. Istnie jak Mojżesz co poglądał ze szczytu góry Nebo na Palestynę płynącą mlekiem i miodem; ogarnął on oczyma bogate równiny Panonii, przeznaczone jego następcom. Syn jego Arpad który nadał imię pierwszej dynastji madiarskiej, miał wydrzeć te doliny słowiańskim Morawcom, którzy po tylu ludach dzierżyli ten kraj, lecz nie ugruntowali w nim jeszcze rządów swoich. Wódz słowiański ułudzony podstępem Madiarów, stał się nakoniec ich ofiarą, a gród Sikambrya założony przez Franko, padł w moc synów Etela, i na basztach jego znów powiała chorągiew z wizerunkiem gryfa w koronie.

Gdyby czas nie zniszczył pomników okresu pogańskiego, i nie spletał wątku starych podań, łatwiejby nam przyszło wyrobić sobie pojęcie tych wędrowek narodów, które wylegały ze stepów Azji, a osiedlały się w Europie wschodniej. Najdawniejsza pieśń odnosząca się do epopei madiarskiej, ukazuje nam Arpada zdobywcę z rodu Etela, jak obejmuje w posiadłość Panonią. Sławna tę pieśń odkrył historyk Jerzy Pray; odnosi on ją do końca XIV, lub początku XV wieku. Według niego jest to pieśń bardzo dawna przybrana przez trubadurów w nową formę. Hr. Jan Mailath widzi w niej pomnik XII wieku. Stefan Horwath tymczasem przypisuje ją Demetryuszowi Csati poecie wieku XVI. Znakomity historyk literatury narodowej Madiarów, Toldi, przyjmuje hipotezę Praya, lecz nie sądzi aby pieśń była utworem trubadurów, uważa ją raczej za przerobiony ustęp z kroniki bezimiennj o królu Robercie; sądzi że kronikarz wziął ją z podania i zamieścił w swém dziele.

Poeta zaczyna od czasu jak Madiary wyruszyli ze Scytyi a przybyli do Karpat pod przewodnictwem Bóseni i zatrzymali się w Siedmiogrodzie. Tam założyli kamień węgielny niejakiego porządku społecznego, rozdzielwszy się na siedm drużyn! Te drużyny obrały na wodzów siedmiu dzielnych, każdego z nich udarowały zamkiem. Taki podział władzy, nie osłabiał bynajmniej ścisłej między nimi jedności. Zawsze zgodni w przedsięwzięciach, potężni w zapasach wojennych, wolni od wszelkiej obawy w kraju, żyli bezpiecznie pod tarczą własnej dzielności. Porównywa ich też do Samsona i do lwa. Najlepszy i najbogatszy z ludu Arpad obrany był naczelnym wodzem czyli księciem.

Wówczas to posłyszeli przybysze jak zdrową jest woda Dunaju. Wysławiano im także urodzajność ziemi nad którą nie znaleźć zynniejszej w całym świecie. Wysłali więc jednego z Madiarów na zwiady. Ten potwierdził w obec ziomków, że pogłoski były prawdziwe. Nieszczęściem kraj miał pana. Był nim książę polski przebywający w Wesprymie. Co do mieszkańców kraju, ci mieli być Teutoni.

Wysłaniec pospieszył do Wesprymu, a skoro stanął w obec księcia, pokłonił się ze czcią, a gdy mu pozwolono mówić zaga-

dnął temi słowy: „Przysłano mnie abym cię ujrzał panie, abym przebiegł twój cały kraj, abym się dowiedział kędy stolica twoja, i poznał prawa ludu twego”. Książę widząc Madiarów tak dobrze usposobionych, przyjął uprzejmie posła, i nie podejrzewał go o żadne złe zamiary. Ten postarał się o butelkę, napełnił ją wodą Dunaju. Wziął także garstkę ziemi i wiązkę trawy.

Przybywszy do Siedmiogrodu przedstawił to wszystko Arpadowi. Książę przywołał wodzów, oddał pod rozporządzenie ich wodę, ziemię i trawę. Postanowiono tedy w radzie aby wyprawić do księcia polskiego posłów i ofiarować mu w darze białego bieguna z pozłocistym siodłem i drogocenną uzdą. Według polecenia rady, posłowie wyrzekli: „Tym pięknym koniem cześć cię panie ci, którzy wywędrowali ze Scytyi a żądają ziemi od wysokości twojej, aby mogli zamieszkać w twoim kraju”. Książę znęcony chęcią posiadania pięknego bieguna, a nieprzewidując podstępu, odpowiedział z radością: że gotów nadać Madiarom w wolne posiadanie tyle ziemi ile sami mieć zechcą. Zadowoleni z takiej odpowiedzi posłowie wrócili do Siedmiogrodu. Rada wodzów postanowiła, że skoro tylko wnijdą do kraju księcia, stoczą z nim krwawą bitwę.

Przygotowano wszystko w mgnieniu oka. Wybrano trzech nowych wysłańców aby poszli do księcia i rzekli temi słowy:

Rozważ w duchu książę panie:

Tobie odejść ztąd wypada,

Bo sprzedałeś kraj Madiarom;

Więc go oddaj, trudna rada!

Do księżęcia idą posły.

Na znak cześci głowę skłoniają

I przemówią tak bez trwogi,

Jak im Arpad rzec rozkazał.

„Za bieguna tyś dał ziemię,

A za uzdę trawę żyzną.

A za siodło Dunaj biały”.

Książę słucha ich z uśmiechem,

Zuad te słowa mało waży;

Potem ozwie się do posłów,

Krew mu w żyłach zawre gniewem:

„Potoż ślali mi bieguna?”

Wnet go zwalić w łeb maczugą,

Siodło wrzucić w Dunaj biały;

Złotą uzdę ukryć w trawie”.

A posłowie rzekną na to:

„Zły to pomysł książę panie!

To Madiarom nie zaszkodzi,

Oni na tem zyskać mogą;

Końskie padło psy utuczy.

A rybacy złowią siodło,
 Żeńcy wezmą uzdę złotą
 I wysławią imię nasze”.

Pokłonili się posłowie,
 Książę z trwogi zadrżał cały,
 Arpad wiedzie zbrojne męże,
 Po nad Dunaj wiedzie biały.
 Bóg Madiary w boju strzeże,
 W lot rozbiegli się po kraju,
 Książę srodze pogromiony,
 Sam się rzucił w głąb Dunaju
 W nurtach szukać mu uchrony!

W pieśni tej poznajemy w Madiarach, zarówno jurystów i żołnierzy. Jak Rzymianie, Madiary chcą mieć za sobą pozór prawa. Ów pomnik bardzo charakterystyczny pod tym względem. Niezaprzeczona starożytność nadaje mu też wielką wagę. Jako dokument historyczny nie ma on przecież tak wielkiej doniosłości. Pieśń ta przechowała się w kilku wersjach: są one wszystkie odbiciem podań ludowych, lecz nie zgadzają się z sobą. Wersja powyżej przytoczona, która służyła za podstawę kronikarzowi Turoczemu, nie zdaje się być najdawniejszą. Pierwszą wersją przechował notaryusz króla Beli. Główną jej treść stanowi ucieczka Zalana zastępującego tu miejsce Światopełka, którego imię przetrwało w innej tradycyi, podjętej przez bezimiennego kronikarza Karola-Roberta, i jego kontynuatorów. Tradycją pierwszą uważają poszechnie jako wariant bułgarskiej legendy o Zalanie; Toldi jednak stawia przeciwko temu silny opór. Historyk poezyi madiarskiej wykazuje, że obie legendy różnią się pod względem działania osób i miejscowości. Jednakże między wersją stawiającą na widowni Zalana, wodza małej hordy Bułgarów, a Światopełka potężnego księcia Morawii, istnieje wyraźne zbliżenie: w historii konia, wiązki trawy i wody Dunaju. Mimo to historyk madiarski Pray uważa to podanie za prostą bajkę. Konstantyn Porfirogenita, wykazuje że ani Zalan ani Światopełek Wielki, nie walczyli z Arpadem, lecz że ten ostatni toczył zapasy z synami Księcia Morawii.

Drugi dział cyklu Hetumogerów, wydał się słusznie sławnemu poecie Wörösmartemu, jako przedmiot wysoko bohaterski; wziął zatem ucieczkę Zalana, za temat do epepei narodowej. Andrzej Horwath nadał swojej epepei tytuł: *Arpad*. Zapewne że Arpad, nie jest osobą tak tajemniczą jak książę Almos. Tak samo jak Jozue nazwan jest mieczem Jehowy, przeciw tym którzy trzymali w mocy, dziedzinę daną przez Boga ludowi swemu, tak i Arpad otrzymał z rąk pasterza, wszechpotężny miecz Etela, dany zwyciężkiemu wodzowi Hunów, ręką samego Boga wojny. (Według idei chrześcijańskiej jak mówi pustelnik Galów, Bóg sam uzbroił Attyle, mieczem gniewu swojego). Duch Etela odżył

w Almosie synu Turula-Gryfa, ale niezwalczona siła jego potęgi leży w prawicy Arpadowej. Arpad wśród Hetumogerów, przypomina Artura z legendy celtyckiej w pośród dwónastu rycerzy okrągłego stołu, z tą różnicą, że wódz Madiarów nie jest jak Ark-tus bohaterskim typem konającej narodowości, ale raczej uosobieniem ludu występującego w tryumfie na widownię dziejową.

Z cyklem Arpada łączą się trzy legendy X wieku, o krwa-wych zapasach wodzów madiarskich z Chrześcijaństwem, zakoń-czonych nawróceniem ich na wiarę Chrystusową; pierwsza z tych legend o *Leelu* i *Bolesu*; druga: *Madiary zawstydzeni*; trzecia o *Karle Botondzie*. Ta ostatnia którą Turóczi i Késai biorą na seryo, dowodzi że autokraci nie działali silniej na wyobraźnię tych zaciętych pogan, niż sami cesarze rzymscy. Ci ostatni uży-wali środków nawracania przyjętych powszechnie w średnich wiekach. Król Merowingów Dagobert, krzewił katolicyzm orę-żem wśród południowych Niemców. Karolowingi względem Germanów północnych, przyjęli systemat, który w Bawaryi tak pomyślnie wydał owoce. Wiadomo też jak Karol Wielki przywo-dził Saksonów na łono kościoła. Po klęsce augsburgskiej, (któ-rzej pamięć przechowała się w legendzie o *Leelu* i *Bolesu*), Otton I cesarz niemiecki, przyrzekł pokój narodowi madiarskiemu, pod warunkiem że przyjmie Chrześcijaństwo, lub przynajmniej że tole-rować będzie misjonarzy. Ci jednak nie wywarli żadnego wpły-wu, pod panującym wówczas Wielkim księciem Taksowym, dru-gim następcy Arpada; a nie byłiby szczęśliwsi i pod Gejzą, gdyby nowa Klotylda Sarolta, nie zapewniła w tym kraju tryumfu kato-lickiemu kościołowi (1). Za gorliwość jej były zapłatą, cudow-nie opowieści stworzone wyobraźnią ludu, który patrzył z podzi-wem na „królestwo Apostolskie” zrodzone w głównem ognisku pogańskiego barbarzyństwa!

Almos jak wiemy, był synem Turula-Gryfa. Odżył w nim duch Attyli, który nie mógł porzucić swego ludu. On *bicz Boży*, co na głos anioła odstąpił od grodu świętego, zjednał sobie łaskę, że jego potomność, cudownym odrodzona sposobem, wydała syna, którego przyjście na świat miało się stać wolnym od wpływu starych bożyszcz przyrody, potępionych przez religią Chrystusa. Anioł rzekł, iż przyjdzie kiedyś dzień, w którym potomek króla Hunów, otrzyma w tychże samych murach Rzymu i to z rąk na-stępcy Apostołów świętych, koronę wiecznotrwałą. A zatem syn pierwszego narodu, co przyjął odrzucone przez Żydów Chrześcijań-stwo, pierwszy męczennik za wiarę, którego imię samo *Stephanos*, zapowiadało proroczo wielką przyszłość synowi Arpadowemu, wysłany był z nieba do Sarolty. Księżna strapiona długą bez-plodnością, zasnęła na chwilę. Święty, promienisty blaskiem nie-

(1) Tą Klotyldą dla Madiarów, była księżniczka polska Adelajda, zwana u nich Saroltą, córka Mieczysława I.

bios, jak anioł co się pojawił w obec Maryi, zwiastował Sarolcie że pocnie syna, że korona wiecznotrwała przeznaczoną jest temu, który zwać się będzie Stefanem.

Dzieło nawrócenia, dokonane przez Stefana świętego, ukazuje się w legendach, jako dopełnienie misji rozpoczętej przez sławnego Marcina, zrodzonego u stóp góry Panońskiej (316), który według podania, powrócił do kraju i opowiadał w nim Ewangelią. Karol Wielki zbudował ku czci jego kościół na owej górze. Geyza I postanowił założyć tu klasztor: zamiar ten wykonał później święty Stefan. Pamięć pierwszego króla chrześcijańskiego, łączy się więc w tym przybytku podań narodowych, z imieniem pierwszego Apostoła Panonii, tak samo jak w Reims imie Klowisa, nieodstępny jest od imienia biskupa Remi. Sławny zakon benedyktynów, z wierzchołka góry Panońskiej, wywierał najzbawienniejszy wpływ na Madiarów. Opat tychże benedyktynów Anastazy Astrykus odgrywa pierwszą rolę w historii świętej korony; onto był prawem ramieniem świętego Stefana w jego pracach nad przerobieniem obyczajów ludu. Przetworzenie to sięgało do gruntu rzeczy. Odwieczne podania, starannie przechowane w poezji ludowej, nie mogły się ostać przed potęgą nową wiary. W ciągu wieków XI, XII i XIII, nastąpiło w szkołach przeistoczenie w duchu chrześcijańskim, tych starożytnych tradycji, w których Franciszek Toldi wykazuje tożsamość z poezją ludową pierwszych wieków. Szkoła Ś-go Marcina, musiała być typem wszystkich innych. Święty Stefan zbudowawszy obok klasztoru kościół i zamek, przebywał tu często, i silnie popierał działania zakonników, którzy jak mówi podanie nużyli niebo modłami za pomyślność królewską. Zakonnicy przechowują tu podziśdzien tron Ś-go Stefana, autentyczniejszy zapewne, niż marmurowy tron Attyli, pokazywany w Torcello, jednej z wysp na lagunach weneckich. Lud z religijną czcią, odwiedza świętą pamiątkę po królu Apostole; gromadzą się tam chorzy z głęboką wiarą, że chwila spoczynku na krześle świętego Apostoła, uleczy ich z zadawnionych niemocy.

Ta część ludu równie jest patryotyczną jak religijną. Dynastia którą syn Sarolty musiał połączyć ściśle z losami Europy; owa dynastia, która w tych krajach naddunajskich, podległych tyłu przewrotom, przetrwała lat czterysta, i wydała Węgrom dwudziestu trzech władców, taka dynastia liczy się słusznie do najświetniejszych. Dzielni Arpadowie przeistoczyli w przedmurze społeczeństwa europejskiego, naród, który długo był mu postrachem i grozą; gdy świat mniemał że przeznaczeniem tegoż narodu, jak tyłu innych jemu pokrewnych, żyć w wiecznym barbarzyństwie i przejść nad ludzkością jak rozhukany potok. Nie uciskając narodów, które w obrębie ich państwa przetrwały tyle krwawych wojen, z jednej strony wstrzymywali burzliwość Madiarów, z drugiej opierali się dążeniom centralistycznym, których tak nadużywano w innych państwach, pozwalając rozwijać się

w swobodzie ludowi aryjskiemu (Rumunom, Słowakom, Rusinom i t. p.) składającym podziśdzien królestwo Ś-go Stefana. Starożytny Rzym surowszym był dla bohaterów Daków, przechwalał się bowiem z ich wytopienia (1).

Pomimo wielkich zasług dynastji Arpadów, Madiary wyznają, że przyszedł dopiero do szczytu potęgi, za monarchów francuzkich (z domu Anjou) i rumuńskich (Macieja Korwina syna Hunijada). Dwór Wyszehradzki zajaśniał niesłychanym blaskiem pod rządami Karola Roberta, Ludwika Wielkiego i Maryi I. Warowny zamek zbudowany w pyszném miejscu, na szczycie góry panującej nad Dunajem, stał się za Karola Roberta, jedną z najwspanialszych rezydencyj królewskich w Europie. Ludwik Wielki, jeśli nie szanował zawsze niepodległego ducha Madiarów, umiał przynajmniej uszanować ich tradycje, któremi się słusznie szczycili. Pieśni madiarskie niemniej drogie królowi z krwi francuzkiej i matce jego Elżbiecie, jak były drogiemi Arpadom, brzmiały w pośród uctw Wyszehradu, gdzie przepych wschodni połączony z wytwornością zachodnią, przynęcał niezliczone roje rycerstwa. Jaśniejąca urokiem wdzięków Marya I, godnie przewodniczyła owym uctwom. Ale już Bajant przewany *Ilderim*, pojawił się na widnokręgu; wybija już godzina, kiedy niewiasty za przykładem bohaterzkiej Cecylii Rozgonyi, która spaliła flotę ottomańską w Galambos, szły na krwawe zapasy w obronie krzyża, przeciwko powodzi islamizmu! Nowe imiona wzbogaciły muzę ludową. Z tych imion pełnych chwały, imię zbawcy ludzkości i ojczyzny, Wielkiego Jana Huniada, równie drogie Madiarom jak Rumunom, niezrównanym przyświeca blaskiem.

Jan Huniad rejent królestwa za Władysława Vgo, według legendy syn króla Zygmunta, i Maciej Korwin syn Hunijada, ci dwaj ostatni bohaterowie czasów rycerskich, szczególne mieli zamiłowanie w pieśniach: w nichto czerpali natchnienie do wielkich czynów. Maciej zamieniwszy pałac wyszehradzki w letnie mieszkanie, rozwinął w pałacu swoim w Budzie, przepych godny czasów książąt d'Anjou. Więcej przecież Maciej Korwin przywiązywał znaczenia do rozwoju życia umysłowego niż do czczego blasku na swym dworze. Odrodzenie włoskie rozbudziło wówczas żywy zapal do arcydzieł Grecyi i Rzymu. Maciej zostający w równie ścisłych stosunkach z uczonymi włoskimi, jak dynastja francuzka z uniwersytetem paryzkim, dzielił szlachetny zapal współczesnych. Gorący miłośnik literatury starożytnej, za-

(1) Sprawiedliwą jest ta uwaga autorki, lecz z tego co dalej mówi wnosićby można, że to duchowe spokrewnienie Madiarów z Europą jest więcej pozorne niż rzeczywiste. Utrzymuje bowiem jak to zobaczymy, iż dzisiejszy lud madiarski, bliższym jest prawdziwym koczownikom mongolskim, niżeli *finlandzynom*. Do tej to krańcowej opinii stosuje się nasze zastrzeżenie zamieszczone we wstępie.

łożyciel uniwersytetu presburskiego i sławnej biblioteki w Budzie, nie wpadł on nigdy w błędy wspólne wszystkim uczonym z czasów odrodzenia; oceniał jak należało natchnienia muzy ludowej. Jeden z historyków jego świadczy: że gdy siadał do stołu, lirnicy przygrywali na kobzach madiarskich w sali jadalnej, owe pieśni, które unosiły niegdyś Arpadów. Turoczy ówczesny kronikarz, mówi także, iż za panowania Macieja utworzono wiele pieśni nowych. Ludowa literatura zachowała więc dawną wziętość.

Poezya ludu uważa obiór Macieja za wypadek szczęśliwy, natchniony myślą prawdziwie chrześcijańską.

Dziś Macieja naród wierny,
Na królewskim sadza tronie;
Bóg go z łaski swój niezmiernój
Śle nam z nieba ku obronie.
Więc my królem go obrali.
Naród przez to Boga chwali,
Będziem wiecznie powtarzali.
Amen!

Instykt narodu nie mylił się wcale. Poezya ludowa oplakuje też króla sprawiedliwego, tak samo jak oplakuje św. Stefana i św. Władysława.

Wstąpienie na tron Jagiellonów czeskich, rzuciło pomrok na on świetny obraz, dopiero co skreślony. Serbia miała już swoje Kossowe-Pole, opiewane tylekroć przez poetów serbskich. Godzina kłeski miała też niebawem uderzyć dla Madiarów, i pogrzebać w gruzach królestwo św. Stefana. Mohacz, *zrunieniony krwią bohaterów*, nie jestże dla chrześcian nadunajskich, równie złowrogim wspomnieniem jak Kossowo? Ten bowiem dzień smutnej pamięci, zburzył w obec Ottomanów ostatni szaniec społeczeństwa europejskiego, kopiąc groby w których kryje się dawna wielkość narodu.

Oto pieśń ludowa o tej pamiętnej kłesce:

Mohaczu! Mohaczu! ty krwawa dolino!
Tyś polem żałoby w węgierskiej krainie!
O ziemio okrutna, ty piłaś krew ludu,
I chwałę narodu schłouęłaś na wieki.
Gdy myślę o tobie łzy z oczu mi płyną,
I boleść zbezładnia me serce strapione,
I skarga mi nawet przez usta nie zbieży.

Szlachetna ojczyzno! Panonio kwitnąca!
Niedawno przesławne przedmurze Europy!
Królestwa przed twoim korzyły się znakiem,
Pół świata przed twoją truchlało potęgą.

Przed tobą pohaniec drżał cały od trwogi.
 Niezlomną otuchę miał w tobie syn krzyża,
 Zaledwie miecz w twojej połysnął prawicy,
 Wnet nową zwycięstwo okryło cię chwałą!

Dzisiaj za to inaczej—ach! biada nam, biada!
 W dniu jednym się stoczył w Mohaczu bój krwawy,
 I ziemia drgająca na zlanym krwią grzbiecie,
 Już twego wielkiego nie dzwignie imienia!
 Twoja dawna pomyślność goryczą się staje,
 Twoja świetność żałobnym pokryta całunem,
 Na twoją snąc dolę sprzysięgły się losy,
 I chwała Madiarów w ciemności zagasła!

Lajosie! gdzież jesteś nasz królu młodziuchny!
 Ty gwiazdo Madiarów, gałązko kwitnąca,
 Z obliczem królewskim tak słodko uroczeń,
 Powiewny jak trzcina! gdzież jesteś nasz królu!
 Lajosie! napróżno wstrzymuję łzy moje,
 Nie zdławić już skargi w mej piersi zbolalej,
 Bo droga ojczyzna upadła wraz z tobą,
 I nasza przesławna przepadła korona.

O wielcy królestwa baroni, rycerze!
 Panowie i słudzy, i ludu wieśniaczy,
 Gorycze serc waszych wylejcież pospołu,
 Bo wszelka wam radość zamknięta dziś w grobie.
 Umilknijże gędzbo co grzmiałaś z rozgłosem,
 O kobzo madiarska, umilknąć czas tobie!
 Zapłaczcież doliny, zapłaczcie wy lasy,
 Wy pola kłosisiste zapłaczcie żałośnie.

Bo pany dostojne, i wodze przesławni,
 Co byli królowi ramieniem i radą;
 I mężów rycerskich upadło tysiące,
 I konne, i piesze poległy drużyny.
 Ach! wyście w dniu trwogi powstali na hasło,
 I w kraju obronie polegli jak dzielni.
 Pagórki Mohaczu na piersi wam spadły,
 I zacny proch kości pokryły na wieki!

Kwitnące dziewice i żony Madiarów,
 W serc waszych żałobie zawodźcie pospołu,
 Z koroną róż zwiedłych na czole dziewiczym,
 W żałobnej odzieży obsiadźcie mogiły.
 Kwiat młodzi madiarskiej pocięty w pokosy,
 Potęga madiarska zburzona ze szczętem,

Kościół świętego runęły kolumny,
Potężni królestwa polegli obrońce!

Ha Turku pohańcze! ha! psie ty niewierny,
Ty mlekiem tygrysiem wykarmion od dziecka.
Śmiałeś ty mordować te męże rycerskie?
Tysiące walecznych powalił na ziemi?
Nazwiesz-li ty chwałą te mordy okrutne?
Wściekłością zwierzęcą nazwałby je raczej;
Nie raduj się próżno, twój tryumf przeminie,
I tobie niedoli wybije godzina!

Bóg patrzy z litością na klęski swych wiernych,
I słońce oblicze pokryło żałobą,
A Boża Dziewica, Madiarów królowa,
Na słońca promieniu stanęła żałownie.
Ach! ujrzym Ją kiedyś jak zdepcze zwycięzko
Złowrogi półksiężyc, i w proch go rozkruszy,
Aż padnie na wieki zdruzgotan przed krzyżem:
Głos to prorocy tak szepcze nam w duszy.

Ale zabrakło w Węgrzech poetów, którzyby klęskę narodu ujęli w formę nieśmiertelnej epopei. Mohacz nie wykrzesał iskry z wyobraźni Madiarów, jak ją u Serbów wykrzesало Kossowo. Natchnienie poetyczne milknie pod wpływem powszechnego zubożenia. Minęły czasy kiedy przed lirnikiem otwierały się podwoje królewskiego pałacu, kiedy pieśń Högedosów rozlegała się o sklepienia dworów magnackich! Ci to śpiewacy stworzyli mytyczne dzieje królów, począwszy od Ś-go Stefana, aż do Beli II. Młodzież ówczesna w ich rymowanych kronikach, czerpała historyczne wiadomości. Ale Hoegedosy związani w cech jeden, nie chętnie spisywali poemata, uważane za własność całej korporacji; wielka też część tych utworów muzy ludowej, zaginęła w czasach klęsk i krwawych zapasów. Największą wyrządzili im krzywdę sami uczeni poeci, którzy nie będąc w stanie ocenić ich prostoty, przerabiali je po swojemu, według szkolnych prawideł. Tak oto Piotr Hoszwai (1746) zepsuł haniebnie jedną z najpiękniejszych pieśni romantycznych o Mikłoszu Toldim, utworzoną w XIV wieku. Tinodi tak samo obchodził się z innymi. Po nad wielką bramą Alby królewskiej, pokazują dotąd ślady kul działowych, które Mikłosz Toldi, Herkules Madiarów przerzucał przez szeroki Dunaj. W początkach tego wieku widziano jeszcze u bramy wiedeńskiej w Budzie, drogie zabytki o których mówi Hoszwai:

O czytelniku! jeśli to co prawie
Wyda się bajką w której prawdy nie ma,
Stworzoną jedno ku ludu zabawie;
Chceszli ty poznać Toldego olbrzyma.

Idźże do Budy: tam w Wiedeńskiej bramie
 Twardy toporec zawieszon u proga,
 Przy nim tarcz wielka, na niej Toldich znamię;
 I ciężkie głązy któremi gniotł wroga,
 I ostra włócznia rycerza bez trwogi,
 I dwie żelazne ujrysz tam ostrogi (1).

Mytyczna postać Toldego, zmieniała się pomалу w postać mniej więcej historyczną. Według poety Hoszwai, bohater Toldi przyczynił się najwięcej do uświetnienia pamiętnej epoki królów z domu francuzkiego, Karola Roberta i Ludwika. Według Pawła Réway, kolebką bohatera był Nograd, a miejscem popisów pola ubroczone krwią muzułmańską, za czasów Huniada i Macieja Korwina. Ale, ani drobiazgowo szczegóły z życia sławnego Miklosza, ani powstałe po nim pamiątki, nie zdołają przekonać surowej krytyki współczesnej. Toldi mimo chrześcijańskiego imienia Miklosz, jest niewątpliwie bohaterem z czasów pogańskich. To myt prawdziwego bohatera, w pojęciu koczońniczych ludów, łączący w sobie siłę Ajaxa z przebiegłością Ulisesową.

Znikły te marzenia uroczę z czasu Jagiellonów. Gdyby przechowano poezye satyryczne z czasów upadku ławoby ocenić ich pobudki. Pozostała z nich tylko *pieśń kary*, Franciszka Apati, ta daje nam zrozumieć tryumf islamizmu nad Chrześcijaństwem. Poeta w pieśni złożonej z czterdziestu strofek, wydanej przez Mikołaja Révay w r. 1787, uskarża się żywo na lekkomyślność i samolubstwo duchowieństwa, równie jak na obojętność szlacheśnych panów, w wojnie przeciwko Turkom. Naród postradawszy dawną energię uosobioną w Toldim, zmuszony był rzucić się w objęcia Niemców i powierzyć losy swoje domowi Habsburskiemu, który stał się nowym przedmurzem chrześcijańskiego świata, przeciw najazdom ottomańskim, a który dał im już kilku władców: (Alberta, Elżbietę, Władysława V).

Jeżeli historycy madiarscy mają prawo wyrzucać już dynastyi francuzkiej, że pracowała nad narzuceniem ich państwu systemu centralizacyi politycznej i religijnej. zgodniejszej z dążnością łacińską, niżeli z pojęciami narodów wschodnich (?); jeżeli obwiniają Huniada i Macieja o zbytne uleganie instynktom nietoleracyjnym świata łacińskiego: ich skargi tém słuszniejsze, gdy sięgają domu Habsburgów. Kiedy Węgry w skutek przetrwanych klęsk, zmuszone były schronić się pod skrzydła tego potężnego domu, rozpoczęły natychmiast zaciętą walkę, przeciw

(1) Podania o Mikloszu Toldim, natchnęły jednego z pierwszych dziś poetów madiarskich Józefa Arany. Utworzył on i wydał pierwszą i trzecią część epopei o tym bohaterze, nad drugą pracuje dotąd. Każda część stanowi osobny rapsod. Pierwszy z nich całkiem już prawie przełożony z madiarskiego na polski język, ukaże się wkrótce w Bibliotece Warszawskiej.

uporczywym dążnościom do germanizacji i centralizacji. Walka ta z krótką przerwą pod rządami zręcznej Maryi Teresy, przetrwała do dziś dnia; w niejto unieśmiertelniły się imiona Botskaich, Bellenów, Tekelich i Rakoczych. Duch reformy wstrętny dómowi austriackiemu, podtrzymywany był w oporze, przez Burbonów zaciętych wrogów tegoż domu, a niekiedy i przez samą Turcyą. Poezja ludowa wystąpiła wówczas silnie przeciwko cesarstwu i kościołowi, stając w obronie odwiecznych swobód kraju i uznając w reformacji prawdziwą religią madiarską. Podzielała to zdanie gorący patryoci. Nienawiść, która niegdyś parła przeciwko Niemcom *Leela* i bohaterskie jego druchy, odrodziła się w całej sile, a Madiar uczeń Kalwina lub Soejna, gotów był z równą zaciętością burzyć przybytki świętych, jak bracia jego fińsko-mongolskiego szczezu, władający w Carogrodzie.

Niechęć germanizatorów, ku narodowej literaturze madiarskiej, a mianowicie ku poezji ludowej, wykazał w oczach patryotów całą jej ważność. Stworzenie literatury, najwyższym jest dowodem wytrwałego patryotyzmu Madiarów. Kiedy w innych narodach, sami tylko poeci ludowi są tłumaczami ogólnych dążeń, królestwo świętego Stefana przytoczyć może ze słuszną chlubą, znakomite imiona we wszystkich gałęziach literatury. Świadczy o tem *Biblioteka Narodowa* (Nemzetis konyvtar 1842—1854), wydawana przez Franciszka Toldi z współudziałem znanych pisarzy i gorliwych obywateli kraju. W poezji dosyć wspomnieć imiona Vöerösmarthy, Kolesey, Kisfaludi, Petöfi, Arany.

Ale w czasach kiedy Węgry obrały Ferdynanda I, trudno było przewidzieć że takie wynikną ztąd następstwa. Reformacja walcząc zarazem przeciw Habsburgom, przeciw Rzymowi i łacinie, dała nowy popęd literaturze madiarskiej. Język używany w dysputach religijnych, w pieśniach bojowych, słowem w poezji mającej działać na umysły ludu, język powtarzamy, osiągnął wtedy stopień doskonałości, nad który miał się dopiero podnieść o stopień wyżej w przeddzień rewolucyi francuzkiej (1780).

W żadnej epoce nie utworzono tylu pieśni ludowych, odżywających pamięć madiarskich bohaterów, przypominających stare dzieje i zapomniane legendy. W tym rodzaju literatury odznaczyli się: Tinodi, Valkai, Cserenyi, Balassa, Hoszwai, Gosarwari, Veres, Enyedi, Szölosi (1540 — 1580). Wiek XVI, tak płodny na Zachodzie, był dla Węgrów erą cudownej twórczości umysłowej. Późniejsza reakcja przywracająca tryumf łacinie, odroczyła do XVIII wieku dalszy rozwój literatury narodowej.

Idea francuzka tak silnie oddziaływana na całą Europę do czasów reakcyi spowodowała wyprawami Napoleona, że i Węgry nie mogły się oprzeć jej wpływom, między rokiem 1772 a 1807. Wówczasto kilku znakomych poetów, postanowiło wskazać nowy tór narodowi. Do tych należał Dugonics pomimo upodobania w mytach klasycznych. Andrzej Horwath utworzył wte-

dy kilka ludowych pieśni. Hrabia Gwadanyi obrał za temat do opisowych poematów, sceny z życia ludu wiejskiego, i zastosował język do przedmiotu. Osokonaj zbadał gruntownie żywioły tworzące poezya ludową. Od Kazinczego i jego szkoły rozpoczyna się drugi zwrot (1807—1830) nacechowany badaniem literatur zagranicznych, zwrot naturalny po przejściu cesarstwa, które zbliżyło między sobą wszystkie ludy. Rewulucya francuzka 1830, zbudziła wszędzie uczucie narodowości; uczucie to wzięło górę nad dążnościami zbyt kosmopolitycznymi. Poezya ludowa przemogła zatem podczas trzeciego zwrotu (1832—1840). Po roku 1840, Petrarka Madiarów, poeta Kilfaludi, nazwał własnem imieniem towarzystwo które dobrze się zasłużyło krajowi i literaturze. Towarzystwo Kisfaludyjskie rozpoczęło publikacyę pieśni ludu, dokonaną przez Piotra Erdelyi (Peszt 1845—1849). Rozwiązane po pamiętnem powstaniu, towarzystwo to przyczyniło się dzielnie do sprowadzenia poezyi madiarskiej na drogę prostoty i samodzielności, krzywioną tylokrotnie w Europie Wschodniej, przez niezgrabne naśladownictwo literatur Zachodnich.

Po tylu zmiennych kolejach, poezya ludowa stała się u Madiarów rzeczywistą potęgą. W krajach zachodnich, gdzie wszystak lud umie czytać, trudno wybrazić sobie jak silnie poezya oddziaływa na umysł u ludów wschodniej Europy. Wprawdzie literatura madiarska zajmuje dziś znakomite miejsce w historii wiedzy ludzkiej, a przecież prosty lud wieśniaczy, ciemny jesoze w Węgrzech, zarówno jak u sąsiednich plemion. Widzimy tu w pieśni jak młode dziewczę opowiada z naiwnym wdziękiem coby zrobiła, gdyby umiała nakreślić imię tego, którego jęj serce ukochało:

Gdybym-ci ja liścik napisać umiała,
Kupiłabym sobie pieczęteczkę złotą;
W liściebym serduszko zapieczętowała,
I chłopcu miłemu posłała z ochotą.

W takim stanie rzeczy, poeci ludowi oświecają umysły prostaczków, zastępując pieśnią książki elementarne. To też natchnienie ludowe odgrywa tu rolę dziennikarskiej prasy, i objawia się dzielnie w okolicznościach obchodzących ogół narodu. Idąc za śladami tej muzy ludowej, zbadamy najlepiej tajniki życia ludu madiarskiego.

(Dokończenie nastąpi).



Nieogłoszone dokumenta dotyczące się
KLASZTORU W LĘDZIE.

PRZEZ

Władysława Nehring.

Szanowna Redakcyo!

Professor Wattenbach znalazł w cesarskiem archiwum w Wiedniu i przysłał profesorowi Grünhagen w Wrocławiu trzy listy w odpisie, które stanowią może ostatnią kartę ciekawego choć nie głośnego epizodu z historii klasztorów w Polsce, to jest sporu o narodowość 3 klasztorów, w szczególności o godność opacką w 3 klasztorach za własność kolończyków uważanych, z których w listach wspomnianych tylko *Lęd* jest imiennie wymieniony (założony z Altenberga pod Kolonią), dwa drugie zaś zapewne są: *Wągrowiec* (również filia Altenberga) i jak mniemam *Obra* (filia Lędu). Wiadomo że spór ten wszczęty na początku XVI wieku, zakończył się w myśl uchwał sejmowych, które stanowiły, że opatami po klasztorach mają być z wykluczeniem cudzoziemców bez wyjątku Polacy stanu szlacheckiego. Ponieważ odkryte przez profesora Wattenbacha dokumenta, rzucają promień światła na przebieg sporu i stanowią mały przyczynek materiału do historii klasztorów w Polsce, przeto pospieszam korzystać z uprzejmości profesora Grünhagen, który mi 3 poniżej przytoczone dokumenta w wiarogodnym odpisie udzielił, i przesyłam je Szanownej Redakcyi z prośbą o ich ogłoszenie. Uwagi które na wstępie wyprzedzają text samychże listów, posłużyć jedynie mają do łatwiejszego wypośredkowania tego, co listy owe nieznanego dotąd zawierają.

Z pięciu wielkich opactw Cystersów we Francyi: Cîteaux, Abbaye de Ferté, Pontignac, Clairvaux i Morimond było ostatnie, najmłodsze z pierwotnej rodziny opactw cysterskich, jedyną metropolą licznych klasztorów cysterskich na wschodzie od Fran-

cyi, było pracownią kolonii na całe Niemcy, Polskę i resztę wschodu (1). Polskie klasztory cysterskie wychodziły częścią z samego Morimundu, jak Jędrzejów (pierwotnie Brzeźnica), ztąd też „Morimundus minor” nazwany; Koprzywnica i Sulejów, częścią z niemieckich klasztorów od Morimundu pochodzących jak ze Schulpforta, zktąd założony był Lubiąż, albo z Altenberga pod Kolonią, jak Lęd; częścią też z drugorzędnych lub trzeciorzędnych kolonii Morimundu, jak z Lubiąża, który był metropolią Mogiły. Ze klasztory cystersów w Polsce, przez długi czas rekrutowały poczet zakonników z ojczyzny, z której wyszły, w ogóle z zagranicy, jest naturalną i znaną rzeczą; Winter, który w nowszych czasach pisał historią cystersów w północno-wschodnich Niemczech (2), wykazuje że klasztory cystersów na wschodnim pasie Niemiec były zarazem środkiem germanizacyi w ziemiach ludnością plemienia słowiańskiego pokrytych, i że ztąd nie było przykłady, aby do nich miejscowych Wendów przyjmowano (3). O klasztorach cystersów w Polsce powiada Winter, że sprowadzano zakonników do nich umyślnie nie z wschodnich saskich krajów, aby się uchronić od bezpośredniego wpływu germanizacyi, ale wprost z Morimundu albo z nad Renu (4); jednakże historia 3 klasztorów, o których mowa, dowodzi że klasztory cysterskie w Polsce nadreńskiego pochodzenia wyjątku nie stanowiły, bo ohoć odległe od ojczyzny, przez cztery wieki bezpośrednie stosunki stale z nią utrzymywały. Nie inaczej zapewne było i w innych klasztorach cysterskich w Polsce nie niemieckiego pochodzenia, i przykład Wincentego historyka, który choć Polak był w ostatnich latach żywota swego zakonnikiem w Andrzejowie, był rzadkim wyjątkiem (5). Co się zaś

(1) Histoire de l'Abbaye de Morimond par l'abbé Dubois 1852. 2gie wyd. w przedmowie.

(2) Winter (Pastor von Schönebeck). Die Cistercienser des nord-östlichen Deutschlands bis zum Auftreten der Bettelmönche. 1869.

(3) „Die Cistercienser setzte man als deutsches Culturelement in die wendischen Länder.” „Nun lagen alle Mutterklöster im deutschen Gebiet. Von dorther zogen die Klöster ihre Bewohner, und man darf annehmen, dass kaum je ein Wende als Mönch aufgenommen worden ist; höchstens dienten sie vielleicht als Klosterverwandte” str. 94 i 121.

(4) „Die polnischen Klöster waren absichtlich nicht aus Ostsachsen besetzt worden, um den deutschen Einfluss durch nahe Verbindung nicht zu mächtig werden zu lassen, sondern von Morimund und vom Rheinlande her.” Str. 82.

(5) Cfr. Zeissberg: Vincenz Kadłubek. 1869, str. 56 i nast. W niedostatku bezpośrednich świadectw jedyną wskazówką co do narodowości Cystersów w Polsce, tak opatów jak zakonników są nawiska w wiarogodnych zabytkach historycznych. Nazwiska te są rzadko polskie przed wiekiem XVI np. w opactwie Jędrzejowskiem (jak wykazuje Helcel:

tyczy wspomnianych 3 klasztorów, które z metropolią swą Altenbergiem pod Kolonią nieprzerwane utrzymywały stosunki, to jeszcze Długosz (6) opowiada, że w Łędzie i w Wągrowcu istnieje „chwalebny zwyczaj” przyjmowania w poczet zakonników tylko urodzonych Kolończyków. To co się Długoszowi zdało być chwalebny zwyczajem, to w oczach jednego z współczesnych mu znakomych mężów, było przedmiotem patryotycznego zgorzsenia. Jan Ostroróg w projekcie ustaw wygotowanym na sejm Piotrkowski (zapewne) r. 1459 (7) w rozdziale XX zaleca stanom polskim, aby nie dozwolili, iżby Polakom odmawiano przyjęcia po klasztorach. Słowa przez Ostroroga użyte są tak charakterystyczne, że warto je przytoczyć: „Qui Republicam administratis, o proceres, quomodo hactenus estis stupidi, ut sitis passi per Monasteria dotibus et obventionibus majorum nostrorum dotata, quaeque de bonis Polonorum et in terra eorum aluntur, Polonos vestros refutari et a religione repelli, forte ideo, quia constitutionem habeant, non nisi Almanos solos recipi in sua monasteria. Constitutio haec est ridicula et cassatur per canones. Quis enim libero Polonorum regno, cujus princeps superiorem non agnoscit, hujusmodi jugum iniicere potest falso Constitutionum praetextu Non ergo patiamini amplius, o strenui viri si modo viri esse vultis, Polonorum genus ab Almanis, et his quidem rudibus et effeminatis Monachis, illudi et falsa religione decipi” (8). Ze słów podkreślonych dość wyraźnie się pokazuje, że klasztory niektóre odwoływały się do fundacyjnej konstytucji, i na mocy tego przyjmowały do zakonu tylko Niemców; że zaś Jan Ostroróg był Wielkopolaninem, a ojciec jego Stanisław (przed r. 1459) kasz-

O klasztorze Jędrzejowskim w Roczn. Tow. Nauk. Krak. Tom XXII r. 1852 oddz. arch. str. 174) pierwszego opata Polaka spotyka się dopiero na początku XV wieku, t. j. Wojciecha z Przylęki. Choć opactwo to obsadzone było wprost z Morimundu Francuzami, to jednakże wedle Starowolskiego, który podaje nazwiska opatów Andrzejowskich, już wczesnie spotykają się nazwiska opatów niemieckich (np. Geraldus r. 1318 wedle Helcla str. 173). Trudno jednakże z tém pogodzić wiadomość w Długoszu *Lib. benef.* podaną: „A primaeva ojus (monasterii) institutione usque ad nostra tempora Gallici aut Italici fratres absque ulla Polonorum admistione illud incolebant.” W innych zakonach żywił polski nie był tak stale wykluczany, jak to widziałem w *Liber mortuorum* Augustyanów wrocławskich redakcyi z różnych czasów (najdawniejsze zapiski sięgają 2ej połowy XIII wieku), gdzie dużo jest nazwisk polskich zakonników w klasztorach augustyańskich. Manuskrypt ten nadesłany był prof. Grünhagen z Berlina.

(6) Długosz hist. V, 473.

(7) Zob. Wegner: *Jan Ostroróg* w tomie I Roczn. Towarz. Przyj. Nauk Pozn. str. 217.

(8) Rocznik I Tow. Przyj. N. Pozn. str. 278.

telanem gnieźnieńskim a następnie kaliskim (9), więc nasuwa się wniosek, że przez klasztory w projekcie Ostroroga z taką cierpkością wzmiankowane, rozumieć należy właśnie klasztory wielkopolskie, które były filiami Altenberga pod Kolonią. Ale projekt młodego doktora nie znalazł w sejmie uwzględnienia (10); dopiero w pół wieku później zapadła na sejmie r. 1511 pierwsza uchwała, która otwierała wstęp Polakom do klasztorów, dotąd wyłącznie dla Niemców otwartych. W konstytucjach sejmu piotrkowskiego z tego roku zalecono biskupom, aby zażądali od klasztorów przedłożenia przywilejów, i aby wrazie nie dostawienia przywileju zapewniającego wstęp tylko Niemcom, nakazali przyjmowanie do zakonu Polaków i Niemców bez różnicy (11). Nie wiadomo, jaki skutek odniosła uchwała z r. 1511 w wykonaniu, mianowicie czy klasztory przez zakonników Niemców zajęte, dostawiły przywileje warujące ich wyłączność narodową. Dokumenta poniżej przytoczone mówią raczej przeciwko takiemu przypuszczeniu, aniżeli za niem; tyle jednakże zdaje się być pewną rzeczą, że w skutek uchwały z r. 1511 zmniejszył się napływ Niemców do klasztorów w Polsce, a ze strony polskiej nie było w miejsce tego ubytku, dostatecznego uzupełnienia. Ale jakkolwiek mogły być powody wyludnienia klasztorów, to jest nie zawodna, że konstytucya dalsza z r. 1538, wydana pod naciskiem natarczywych żądań szlachty czyni to wyludnienie niewątpliwem, i że, aby dalszemu zapobiedz, również *aby zapobiedz wciskaniu się do klasztorów Niemców „nowej wiary”*, nakazuje wybór opatów tylko z pomiędzy urodzonej szlachty polskiej, warunkowo z pomiędzy plebejuszów Polaków (12). Jednakże i w ustawach Zygmunta Augusta z r. 1550 jest mowa jeszcze o klasztorach nie zapełnionych. Dalsze postanowienie Zygmunta Augusta

(9) Zob. Leon Wegner: *Jan Ostroróg*. Tamże str. 188.

(10) Tenże. Tamże 218.

(11) Vol. leg. I. 377 (nowe wyd. str. 171). „De Polonis ad monasteria regni suscipiendis. Item iniquam consuetudinem quorundam in Rogno nostro monasteriorum tollere cupientes, ad quae fratres gentis duntaxat Germanicae suscipi solent in contemptum Polonicae nationis, statuimus ut quisque Dominorum Episcoporum in sua Dioecesi videat privilegia talium monasteriorum, et si iisdem privilegiis id non sit expressum, ut soli Germani ad dicta monasteria suscipiantur, provideant, ut promiscue Poloni et Alemanni deinceps recipiantur.”

(12) Vol. leg. I. 521 (now. wyd. 257). Constitutiones conventus Petricov. a. 1538. Frequentibus magnisque petitionibus atque clamoribus subditorum nostrorum permoti, cernentes omnia monasteria ferme in regno nostro ex munificentia et liberalitate, non solum Antecessorum nostrorum Poloniae regum atque Principum, sed etiam baronum et nobilium facultatibus bene dotata esse, et nunc quoque nobilitatis favore plurimum indigere, caventes etiam, ne nova dogmata ex Germania ad Regnum

z r. 1550 dotyczące się klasztorów ogranicza wybór opata tylko na kandydatów z pomiędzy szlachty (13), i pozornie ze sporem o narodowości zakonników nie ma związku; jednakże zdanie wstępne tego postanowienia, porównane ze słowami wstępnymi konstytucyi z r. 1538 przemawia za tém, że królewskie postanowienie z r. 1550 ma głównie pomnożenie polskiego żywiołu w klasztorach na celu. W konstytucyi bowiem z r. 1538 jako główne motiwum ograniczenia wyboru opata na urodzonego Polaka podana jest na czele ta okoliczność, że klasztory głównie dotowane były przez królów i panów polskich, wstępne zaś oświadczenie w postanowieniu Zygmunta Augusta z r. 1550 zdaje się zagradzać *utracie nadań* przez ograniczenie wyboru na Polaka szlachcica, choćby go szukać przyszło pomiędzy księżą świecką. Że jednakże i w r. 1550 niektóre klasztory były jeszcze w rękę niemieckich, widać ztąd że dopiero po r. 1550 wszczął się spór o introdukcyą opata Polaka w Łędzie.

Z pism urzędowych dotyczących się tego sporu, dochodzą nas obecnie 3 listy. 1. list rajców i senatu miasta Kolonii do cesarza Ferdynanda z r. 1560, 18 września; 2 list Ferdynanda cesarza do Zygmunta Augusta z r. 1560, 2. septembra (czy nie decembra? nie VII, ale XII?). 3. Odpowiedź Zygmunta Augusta, 15 lutego r. 1561 na list cesarza. Z listów tych pokazuje się, że już w maju r. 1560 Ferdynand cesarz pisał do króla Zygmunta Augusta, wstawiając się za Kolończykami i że odpowiedź Zygmunta Augusta na list ten dawniejszy cesarski z niewiadomych powodów nie doszła rąk Ferdynanda; treść jednakże obydwóch listów w głównych punktach niezawodnie powtórzoną jest w listach cesarza z septembra (?) i króla polskiego z lutego r. 1561. O przyczynie i przebiegu sporu dowiadujemy się niektórych wskazówek

nostrum, praesertim vero ad quaedam monasteria in ditionibus nostris, per homines nationis illius inferantur, et ne monasteria ipsa, quae iam magna ex parte desolata cernuntur, ad interitum ob defectum personarum deveniant, statuimus ut deinceps futuris temporibus nemo in Abbatem cujuscunque monasterii in Regno nostro aut etiam in praepositum eligi debeat aut possit, nisi qui sit natione Polonus etc.

(13) Vol. leg. II, 1 sq. „Przywilej Zygmunta Augusta, potwierdzenie dawnych praw y swobód koronnych w Piotrkowie na seymie walnem r. 1550. Nr. 49. „Aby nadania klasztorne zachowane łatwiey być mogły, ponawiając statut r. 1538 ustanawiamy: aby żaden Opatem nie był obrany, ieno polskiego szlacheckiego, z oycy y z matki narodu, a godny człowiek. A gdzieby w tym klasztorze, w którym Opactwo wakować będzie, *nie był professowany nalezion godny szlachcic*, tamże obecnie z dawna mieszkający, aby z oneyże dyecezyey w której iest klasztor, szlachcic godny stanu duchownego był obieran, postulowan na Opactwo. A będąc tak obran, *bez professyey*, ma być przez Nas loci ordinario presentowan. A zatem praezen instituowan, abo potwierdzon na Opactwo, a ma być professowan.

z listu cesarza Ferdynanda, w którego pierwszej części powtórzona jest treść dawniejszego pisma z maja r. 1560. List cesarski, reprodukując zapewne dosłownie odnośne pismo Kolończyków, opowiada, że miasto Kolonia pogwałcone jest w oddawnej posiadłości 3 klasztorów w Polsce, które wedle przywileju fundacyjnego tylko Kolończykom przystęp dawać i opatów z grona swoich zakonników obierać mogły. Pomimo tego przywileju, tak skarży się list cesarski, opaci wolno wybrani wypędzeni zostali, a w ich miejsce narzuceni Polacy, którzy *ślubów zakonnych nie składali* (14). Z dalszej osnowy listu zdaje się pokazywać, że Kolończycy wnieśli sprawę do Rzymu (in curia Romana); kiedy zaś opat Łędzki, kantor Gnieźnieński (Jan Wysocki) umarł, wtedy chcąc zapobiedz powtórnemu wyborowi Polaka na opata w Łędzie prosili cesarza o wstawienie się do Zygmunta Augusta, aby Łęd i 2 inne klasztory zachował przy dawnych prawach i obserwacjach. Odtąd list cesarza powtarza prawie dosłownie list Kolończyków z 18 września r. 1560, gdzie odwołują się do historyków polskich (Miechowity i Kromera), również do świadectwa Hozyusza, że widział w 3 owych klasztorach opatów i zakonników tylko Kolończyków; odwołują się dalej do 400 letniego posiadania, zarządzania i opatrywania tych klasztorów, i wreszcie do tego, że Zygmunt I w kilka lat po konstytucyi r. 1538 klasztorowi Łędzkiemu przywileje zatwierdził i oświadczają, że takie zatwierdzenie znajdować się musi w kancelaryi królewskiej. Specyjalny więc przywilej, warujący wyłączne posiadanie i zarząd klasztoru dla urodzonych Kolończyków, jest najistotniejszym, ale najmniej wyjaśnionym punktem sporu. W najdawniejszém nadaniu dla klasztoru Łędzkiego z r. 1145 przez Miecysława, księcia Wielkopolski, który sam z Altenberga zakonników do Łędu sprowadził, nie ma wzmianki o takim przywileju (15), z późniejszych czasów taki przywilej także nie jest znany (16); tak że w liście Kolończyków (Nr. 1), jest pierwsza po Długoszu o takim przywileju wzmianka; niewytłumaczoną tylko pozostanie rzecz, że potwierdze-

(14) Z ostatnich słów pokazuje się, że spór wszczął się dopiero po r. 1550, czyli po zastosowaniu postanowienia Zygmunta Augusta z r. 1550, które przytoczone w nocie 13.

(15) Codex diplomaticus Pol. ed. Ryszczewski i Muczkowski. I. N. 1.

(16) Ani w Starowolskim, ani w innych historykach nie mogłem znaleźć wzmianki o takim przywileju; również napróżno szukałem ję w dziele: Nova et vetera, liberis ab antiquo electiones regularium Abbatum Poloniae concernentia z r. 1728, gdzie tylko uchwały z r. 1511, 1538 i 1550 są przytoczone. Nawet Kromer, na którego świadectwo Kolończycy powołują się, nie wie o przywileju, o jakim mowa; wprawdzie powtarza wiadomość z Długosza i Miechowity, że ks. Miecysław zastrzegł klasztorom w *Wągrowcu* i w *Łędzie* prawo wyłącznej kooptacyi z pomiędzy Kolończyków („diplomate sanxit, ut nonnisi Colonienses cooptarentur”),

nie tak ważnego w owe lata przywileju nie było w posiadaniu klasztoru w Łędzie. W obec tych wątpliwości odpowiedź Zygmunta Augusta z 15 lutego r. 1561 (Nr. 3) zasługuje na uwagę. Król oświadcza, że już za Zygmunta I były ze strony rajców i senatu Kolonii zażalenia o naruszenie dawnych przywilejów, że jednak owe 3 klasztory pomimo wezwania nigdy nie mogły okazać przywileju, warującego dla urodzonych Kolończyków prawo wstępu i wyboru na opatów. Pismo królewskie przyznaje długoletnie wyłączne posiadanie kilku klasztorów przez Kolończyków, ale oświadcza iż to miało miejsce nie na mocy osobnego prawa, ale zwyczaju; przyczem skreślony jest ogólny pogląd na historią klasztorów, o ile się dotyczy narodowości zakonników i opatów.

Sprawa 3 klasztorów wymienionych jeszcze i z tego względu nie jest bez znaczenia, że w niej najwidoczniejszy jest fakt opieki, w jaką brał rząd polski w XVI wieku klasztory w ziemiach polskich, opieki, której ostatnim wyrazem w XVI wieku było mianowanie komendarzy opackich przez króla.

Nr. I. ()*

Sacratissime Caesar

1560. 18. IX.

Ante menses circiter tres M. V. gratiose ad Ser^{mu}m regem Poloniae pro imperialis V. M. civitate Colonia Agrippina promotoriales literas scripsit videlicet, ut S. Ser^{tas} amplius illam urbem in antiquissima possessione trium monasteriorum, quae in Polonia ex antiquissimis temporibus obtinet, contra aequitatem turbari non patiat, sed mortuo tandem quondam Joanne Wis-

ale dodaje: „Ita quidem Dlugossus et Miechoviensis de his *duobus* monasteriis memoriae prodiderunt. Tametsi ex diplomate ipsius Meclslai, cuius exemplum vidimus, non apparet, ea Coloniensibus vel Germanis duntaxat solis esse attributa. Kromer hist. wyd. Kol. 1589 str. 124.

(*) Tłumaczenie dokumentów dokonane w Red. Bibl. Warsz.
(Przyp. red.).

(*) Najjaśniejszy Cesarzu!

Przed trzema około miesiącami W. C. M. raczyłeś napisać do N. króla Polskiego list wstawiający się za miastem W. C. M. Kolonią, téj treści: ażeby J. K. M. nie dozwolił dłużej niepokoić przeciwko słuszności rzeczzone miasto w posiadaniu trzech klasztorów, które od najdawniejszych czasów ma w Polsce, lecz ażeby po śmierci niegdy Jana Wissohkiego, Polaka Opata narzuconego klasztorowi Łędzkiemu, ze wszystkich może najznacznieszemu nikogo innego natomiast narzucić nie dozwolił, dopóki sprawa w tym przedmiocie już na ukończeniu w kuryi Rzymskiej będąca, rozstrzygniętą nie zostanie, przyczem W. C. M. w piśmie swoim żądałeś, aby J. K. M. zawiadomił jak najrychlej W. C. M. o swoim zamiarze

sohki (sic) intruso Polono abbate in Landense monasterium, quod inter alia facile primum est, neminem alium de novo illuc intrudi permittat, saltem donec lis, quae hoc nomine in curia Romana pendet, suum finem, qui propediem instat, sortiretur hancque clausulam M. V. scripto suo adiecit, ut Ser^{tas} S. velit de mente ac voluntate sua quam primum M. V. certiozem reddere, ut ea cognita M. V. possit Coloniensibus pro sua in illos benignitate eo tempestivius aliquid certi respondere. Caeterum Poloniae rex hactenus nihil M. V. in hac causa rescripsit, quo timendum est magis, ne S. Ser^{tas} alium de novo abbate contra Coloniensium privilegia illuc intrudi patiat, cum tamen S. Ser^{tas} et toti Poloniae vel ex ipsorummet fide dignis historiographis liquere satis de Coloniensium vetustissimo iure debeat. Videatur Mathias de Mechouia libro tertio cronicorum Poloniae capite septimo, perpendatur domini Martini Cromeri adhuc viventis et Polonicum legatum apud M. V. iam nunc agentis elegans de origine et re-

i postanowieniu, a to abyś W. C. M. znając myśl Królewską mógł, z łaski swój dla Kolończyków spieszenie coś pewnego im odpisać. Jednakże król Polski nie W. C. M. dotąd w tym przedmiocie nie odpisał, z kąd rośnie obawa ażeby J. K. M. znowu nie dozwolił narzucenia tamże innego Opat, przeciwko przywilejom Kolończyków chociaż J. K. Mości i całej Polsce z samych nawet ich wiarogodnych historyków, odwieczne prawa Kolończyków jawnemi byćby powinny. Niech się odczyta Macieja z Miechowa trzecią księgę kronik polskich, rozdział 7; niech się rozpatrzy wyborną (elegans) historiją o początku i dziejach Polaków, księgę siódmą, rozdział ostatni o Mieczysławie Pana Marcina Kromera dotąd żyjącego, obecnie Posła Polskiego u W. C. M.; niech zapytany będzie Najprzewielebniejszy Hozyusz, nuncyusz apostolski u W. C. M. czy widział oddawna w tych klasztorach Opatów i zakonników Kolońskich, czy też ludzi innego narodu.

Tak z dawnych historyków i dzisiejszego samychże Polaków świadectwa, W. C. M. naocznie się przekona że Kolończycy najsprawiedliwszą popierają sprawę i że słusznie W. C. M. wstawić się powinien za niemi do swojego zięcia i nie dopuścić jako najłaskawszy i wielki Monarcha, ażeby najwierniejsi jego poddani, bez winy swój, niegodnie wyzuci być mieli z odwiecznego posiadania. Jeżeli każdy w dawnym posiadaniu powinien doznawać opieki, któż słusniej od Kolończyków te klasztory posiadzie, którzy je więcej niż lat czterysta posiadali, niemi rządili, wzmogli je i z bogacili dostatkami z ojczytwej Kolonii tam sprowadzonemi. Zaiste bez ich wysłuchania nie mógł przeciw nim zapaść żaden wyrok, jakoż że nie przeciw nim przez ś. p. króla Zygmunta ojca dzisiejszego króla postanowionem nie zostało, okazuje się z wyrzeczenia tegoż samego króla, który w lat kilka po wydaniu w Polsce ustawy, ażeby nikt prócz szlachty polskiej do duchownych prelatur nie był dopuszczony, klasztorowi Lędzkiemu potwierdził jego przywileje, które to potwierdzenie nie miałyby znaczenia, gdyby Kolończykowie mieli być wyłączeni od zarządu tego klasztoru. Rozumiał to dobry ów król że konstytucya ogólna nie może

bus gestis Polonorum libro septimo in ultimo capite de Mizeslao historia. Rogetur Rev^{mus} Hosius nuntium apostolicum apud M. V. agens quos ipse iam olim viderit in illis monasteriis abbates et monachos Coloniensesne, an alterius gentis homines.

Ita ex antiquis historiis et presenti Polonorum met relatione M. V. ad oculum videbit Colonienses iustissimam causam fovere ut sic merito Caes. M. V. pro illis apud generum suum intercedere suosque fidelissimos subditos uti clementissimus et pariter maximus caesar tam indigne sine ipsorum merito antiquissima possessione privari non admittere debeat, si quilibet in antiqua possessione tutandus est, quis iustius Coloniensibus haec monasteria obtinebit, qui illa ultra annos quadringentos possederunt, rexerunt opibusque e patria Colonia eo devectis auxerunt et locupletarunt Certe ipsis non auditis nullum contra ipsos decretum fieri potuit, sicuti nec quicquam per piae memoriae regem Sigismundum huius regis patrem contra ipsos statutum esse vel ipsiusmet regis assertionem apparuit, qui aliquod (sic) annis

być rozciągnięta do owych klasztorów mających specjalny przywilej iż tylko cudzoziemcy do nich przyjmowani być mogą. Przystoi Majestatowi panującego wyznawać się Władcą związanym prawami; poddać rząd pod władzę prawa jest więcej niż panować. Co dobry król Zygmunt nie mniemał iżby mu się godziło, to że ani szlachcie jego królestwa ani następcom jego dozwoloném nie jest, uznać dostatecznie wyż rzezoném potwierdzeniem, którego odpisu gdzieindziej szukać nie potrzeba jak w samejże kancelaryi panującego króla Polskiego, gdzie i wiele innych podobnych potwierdzeń przywilejów znajdzie się, z których Najjaśniejszy Król obecnie panujący będzie mógł powziąć dobrą i zupełną wiadomość o prawach Kolończyków, i jeżeli nie zechce złać na Kolończyków więcej dobrodziejstw niż im od poprzedników Jego udzieloném było, już i to za dowód łaski miane będzie, jeżeli nie dozwoli gwałtownie lub niesprawiedliwie odjąć im tego co od Najj. poprzedników jego daném im było.

Dla czego, gdy nie podlega wątpliwości że W. C. M. z przyrodzonej łaskawości i uprzejmości swój wielce sprzyjasz temu miastu w którém pod najszczęśliwszą wróżbą zostałeś na króla Rzymskiego wyznaczony i które zawsze było uległe wszystkim poprzednim Cesarzom, upraszają W. C. M. najwierniejsi poddani Rajcy i Rada Kolońscy, ażebyś W. C. M. u zięcia swojego Najjaśniejszego Króla Polskiego raczył wstawić się za niemi jako ich protektor i obrońca, iżby J. K. M. z podszeptów niektórych źle zyczących nie pozbawił starożytnój prawego Rzymskiego Cesarstwa Kolonii szczerobliwości dawnych królów Polskich, lecz raczej zachowując im nienaruszoną hojność poprzedników swoich, ich jakotóż i inne stany świętego państwa Rzymskiego upomniał, iż jeżeliby co, uchowaj Boże, przeciwnego na J. K. M. przypadło, spieszyli siłami i dostatkami swemi pomódz Najjaśniejszemu Królowi, którego niech Bóg Najwyższy długo w szczęściu zachowa.

W. C. M. najwierniejsi poddani, Rajcy i Rada Kolońska.

post promulgatum illud in Polonia decretum videlicet, ne quisquam nisi Polonus nobilis ad praelaturas ecclesiasticas admitteretur, Lindaviensi monasterio sua privilegia confirmavit, quae confirmatio supervacanea futura erat, si Colonienses a gubernatione illius monasterii excludi debuerant. Sentiebat bonus ille rex generalem constitutionem ad monasteria haec specialiter privilegiata ut ibi exteri tantum reciperentur extendi non debere. M. regnantis convenit legibus alligatum se principem profiteri et maius imperio est submittere legibus principatum. Quod bonus rex Sigismundus sibi licere non putavit id nec regni sui nobilibus nec posteris suis permitti confirmatione supradicta satis iudicavit, cuius exemplar non est, ut aliunde petatur, nisi in ipsamet Polonia regnantis regis cancellaria, ubi plurimae aliae similes extabunt confirmationes privilegia similiter, unde Ser^{mus} rex iam regnans bonam et plenissimam de Coloniensium iure informationem habere poterit et si quid ultra praedecessorum suorum tributa beneficia Coloniensibus dare nolit gratiae tamen loco vel hoc erit quod datum S. Saer^{tas} praedecessoribus ipsis fuit, per vim vel iniuriam adimi non permittit. Quamobrem cum non dubitetur M. V. illi civitati in qua faelicissimo augurio in Romanum regem designata est et quae semper omnibus auterioribus imperatoribus morigeratissima fuit, plurimum pro innata clementia et benignitate sua favere, rogant M. V. Caes. fidelissimi subditi consules et senatus Coloniensis ut M. V. apud generum suum Poloniae regem Ser^{num} ipsorum intercesor, protector et defensor esse velit, ne S. Ser^{tas} ex malevolorum quorundam informatione antiquam veri Romani imperii Coloniā antiquissima veterum Poloniae regum munificentia privet, sed potius liberalitatem praedecessorum suorum inconcussam ipsis conservando eos simul et alios sacri Romani imperii status invitet, ut si quod deus avertat Ser^{tas} adversi quid contingat, viribus et opibus Ser^{em} suam, quam deus altissimus diu faelicem conservet, adjuvare contendant.

M. V. C. fidelissimi subditi consules et senatus Coloniensis.

Nr. II. (*).

Ferdinandus etc. Ser^{mo} etc. Superiore mense Maio dedimus ad Ser^{tem} vestram literas in favorem et commendationem honorabilium nostrorum et sacri imperii fidelium dilectorum nostrorum consulum ac senatus nostrae imperialis civitatis Coloniae

(*). Ferdynand i t. d. Najjaśniejszemu i t. d. Zeszłego miesiąca Maja napisaliśmy list do W. K. M. ze wstawieniem się i z poleceniem znacznych i Nam i Świętemu Cesarstwu wiernych, miłych nam Rajców i Rady Cesarzkiego naszego miasta Kolonii, którzy zalili się podówczas przed Nami że miasto owe nasze Cesarzkie zakłócone jest w starodawnym posia-

Agripinae, qui tunc conquesti nobis fuerunt civitatem illam nostram imperialem praeter aequitatem turbari in antiquissima possessione trium monasteriorum ordini S-ti Bernardi in regno Poloniae existentium ea conditione fundatorum, ut perpetuis futuris temporibus non alii quam qui ex eadem civitate, originem duxissent ibidem monachi fierent utque ii monachi in dictis monasterijs liberam potestatem haberent in locum decedentium praelatorum novos abbates e suo numero, et non aliunde sibi eligendi qua tamen fundacione non considerata quosdam viros nobiles Polonos religionem divi Bernardi nunquam professos

daniu trzech klasztorów zakonu św. Bernarda istniejących w Królestwie Polskim, założonych z tém zastrzeżeniem ażeby wiecznie w przyszłości zakonnikami tam byli nie inni jak ród swój wiodący z owego miasta i ażeby ci zakonnicy w rzeczonych klasztorach mieli wolne prawo wybierać na miejsce schodzących ze świata prałatów, nowych opatów ze swego grona a nie zkadınąd; że nie uważając na tę fundacyę niektórzy Polacy ze szlachty, regułą św. Bernarda nie związani, gdy opactwa kolejnie zaważowały przez zgon prałatów i opatów, pod pozorem jakiejś publicznej ustawy Polskiej, w której jak twierdzą, uchwalonóm zostało ażeby nie pochodzący z Królestwa Polskiego nie byli powoływani do prelatur kościołów i klasztorów, wkręcili się czyli narzucili na opatów, wyrzuciwszy i z ciężką krzywdą wypędziwszy tych którzy uprzednio kanonicznie byli wybrani; że te wypędzenie stało się przeciwko starodawnemu posiadaniu rzeczonych zakonników i z wielkim uszczerbkiem miasta Kolonii, gdy ogólna ustawa tego rodzaju jakkolwiek powiadają iż zapadła na sejmach owego królestwa za jednomyślną zgodą dygnitarzy, żadnym prawem ani z słusnością zgodnie nie może być rozciągnięta do wspomnianych trzech klasztorów z założenia swego rzeczonemu miastu Kolonii specjalnie pozostawionych. W tym liście upomnieliśmy W. K. M. z ojcowskiém przywiązaniem, ażeby gdy kantor Gnieźnieński który się klasztorowi Łędzkiemu narzucił, już umarł, W. K. M. chciała temu zaradzić iżby nikt inny wbrew przywilejom miasta Kolonii nie był narzucony rzeczonemu klasztorowi, dopóki sprawa która w tym przedmiocie toczy się w Kuryi Rzymskiej nie została rozstrzygnięta, co że wkrótce nastąpi Kolończyoy utrzymują, jak to wszystko obszerniej W. K. M. wyrozumieć mogła z owego listu, który nie wątpimy, W. K. M. oddany został. Gdy zaś od W. K. M. żadnej nie otrzymaliśmy odpowiedzi, a tak o zamiarzo i postanowieniu W. K. M. nic pewnego Kolończykom odpowiedzieć nie mogliśmy, Rajcy i Rada wyz rzeczonego Miasta Kolonii nie przestają pokornymi prośbami ciągle na nas nalegać abyśmy łaskawego naszego wstawienia się im u W. K. M. nie odmawiali, zwłaszcza w rzeczy tak z wszelkim rozsądkiem i słusnością zgodnej, opartej nie tylko na prawie i wyraźnych przywilejach temuz miastu od Najj. poprzedników W. K. M. nadanych i przez Najjaśniejszego rodzica niegdys W. K. M. potwierdzonych, i która że się tak ma uznać można tak z dawnych jak i z nowoczesnych historyografów owego królestwa. Za świadków w tym przedmiocie powołują,

dum abbatiae successive per decessum praelatorum et abbatum vacassent praetextu cuiusdam publici decreti Polonici quo asseritur constitutum esse ne quis in regno Poloniae non ortus, ad praelaturas ecclesias (sic) et monasteria regni assumatur sese in eas ingressisse seu intrusisse eiectis et gravi iniuria affectis expulsisque iis qui antea ibidem canonice electi fuerant, expulsionem autem hanc contra antiquam possessionem dictorum monachorum et in grave civitatis Coloniensis praesudicium factam, cum huiusmodi generale decretum utcumque dicatur in regni illius comitiis unanimi procerum consensu editum ad memorata tria monasteria dictae civitati Coloniensi, ex institutione sua speciali-

Macieja z Miechowa w Xiędze trzeciej kroniki Polskiej, rozdziale siódmym i Przewielebnego Marcina Kromera wyznaczonego posłem W. K. M. do nas w historyi jego o początkach i dziejach Polaków w Xiędze siódmiej, rozdziale ostatnim; mówią także że Przewielebnemu biskupowi Warmińskiemu obecnie nuncyuszowi apostolskiemu u nas i całej Polsce doskonale jest wiadomém, iż zawsze w owych klasztorach Kolończykowie bywali opatami i zakonnikami, dla czego jeśli ktokolwiek ma być utrzymany przy dawném, posiadaniu nikt sprawiedliwiej od Kolończyków klasztorów owych nie posiadzie, którzy je przez lat przeszło czterysta posiadali, niemi rządzeni, wzmogli je i zbogacili dostatkami z ojczyściej Kolonii tam sprowadzonymi. Nadto rozumieją że bez ich wysłuchania nie mógł przeciw nim zapaść żaden wyrok, jakoż że nic przeciw nim przez ś. p. rzonego rodzica W. K. M. postanowioném nie zostało, okazuje się z wyrzeczenia tegoż samego Krola który w lat kilka po wydaniu w Polsce ustawy ażeby nikt prócz szlachty Polskiej do duchownych prelator nie był dopuszczony, klasztorowi Łędzkiemu potwierdził jego przywileje. Potwierdzenie to nie miałoby znaczenia, gdyby Kolończykowie mieli być wyłączeni od zarządu tego klasztoru. Ztąd okazuje się że Najjaśniejszy Król Zygmunt rozumiał, że konstytucya ogólna nie może być rozciągnięta do owych klasztorów mających specjalny przywilej iż tylko cudzoziemcy do nich przyjmowani być mogą, i że dostatecznie uznał iż co jemu się nie godziło, to ani szlachcie jego królestwa ani następcom dozwoloném być nie może. Gdy bezwątpienia odpis tego potwierdzenia istnieje w Kancellaryi W. K. M. gdzie znajduje się i wiele innych podobnych potwierdzeń i przywilejów W. K. M. będziesz mógł ztąd powziąć zupełną wiadomość o prawach Kolończyków, a jeżeli nie zechcesz złać na Kolończyków więcej dobrodziejstw niż im od poprzedników Jego udzieloném było, i to za dowód łaski miane będzie, jeżeli W. K. M. nie dozwolisz gwałtownie lub niesprawiedliwie odjąć im tego, co od Najj. poprzedników jego daném im było. Gdy tak W. K. M. z powyższego listu naszego poznałeś, że my z urzędu naszego Cesarskiego nie możemy odmówić względów naszych i pomocy rzezonym Rajcom i Radzie Kolońskiej jako naszym i Świętego Cesarstwa najwiczniejszym i najlepszym poddanym, chcieliśmy niniejszym listem W. K. M. powtórnie z ojcowską zyczliwością upomnieć, nakłaniać i żądać abyś W. K. M. wszystko to co z ich podania

ter dicata nulla iuris ratione vel aequitatis benignitate extendi possit. Nos vero in iisdem literis Ser^{tem} V. paterne amanterque cohortati fuimus ut quoniam cantor Gnesnensis, qui se in monasterium Landense intruserat iam mortuus esset, vellet Ser^{tas} V. providere, ne quisquam alius contra privilegia ipsius civitatis Coloniensis in praefatum monasterium intruderetur donec lis que hoc nomine in curia Romana agitur finem suum quem brevi Colonienses instare affirmabant sortiretur prout haec omnia latius ex illis literis quas Ser^{ti} V. redditas esse non diffidimus Ser^{tas} V. percipere potuit. Caeterum cum nihil huius responsi a Ser^{to} V. accepimus et ita de mente ac voluntate Ser^{tis} V. Coloniensibus nihil certi respondere possimus non cessant consules et senatus saepedictae civitatis Coloniensis nos assiduis precibus humiliter interpellare ne ipsos gratioso nostro patrocínio apud Ser^{tem} V. destituamus maxime in re tam congrua omni rationi et aequitati quae non solum iure et firmissimis privilegiis eidem civitati a Ser^{m^{is}} praedecessoribus Ser^{tis} V. concessis et a Ser^{mo} quondam genitore Ser^{tis} V. confirmatis nitatur verum etiam ita se habere tam ex priscis quam ex modernis regni illius historiographis dignoscatur, cuius quidem res testes citant Mathiam de Mechovia libro tertio cronicorum Polonorum capite septimo ac venerabilem Martinum Cromerum Ser^{tis} V. ad nos destinatum oratorem in historia eius de origine et rebus gestis Polonorum libro septimo capite ultimo aiuntque Rev^{do} episcopo Warmiensi impresentia-

o starodawném ich prawie do wspomnianych klasztorów w niniejszym liście nadmieniliśmy i o czém już w ubiegłych miesiącach do W. K. M. pisaliśmy, uprzejmie chciał rozważyć i czy przez wzgląd na słusność, czy przez wzgląd na nas, przychylić się do prośb w téj mierze rzeczzonego naszego cesarskiego miasta, które jest starodawną Rzymskiego Cesarstwa Kolonią, na bok odkładając wszelkie niegodziwe źle zycziwych podszepcy, ażebyś W. K. M. nie zdawał się rzeczzonego miasta pozbawiać bez winy, szczodroblewości dawnych królów Polskich, lecz raczój zachowując im nienaruszoną hojność poprzedników swoich, starał się ich jako téż i inne świętego cesarstwa Rzymskiego stany, uczynić skoremi i ochoczemi do wzajemnych na wszelki wypadek zycziwości i przyjaźni usług. Przedewszystkiém zaś z ojcowską zycziwością żądamy od W. K. M. ażebyś dłużej nie zwłóczył z odpowiedzią którój na poprzedni i niniejszy list oczekujemy od W. K. M. ażebyśmy nakoniec mogli upewnić przez rzeczonych Rajców i Radę Kolońską wedle ich najuniżeńszych nalegań o zamiarze i postanowieniu W. K. M. W tém wszystkiém W. K. M. zrobisz rzecz wielce zgodną ze sprawiedliwością i słusnością a nam jak najwięcej przyjemną, którą postaramy się odwdzięczyc W. K. M. wzajemni oznakami ojcowskiej zycziwości w każdym czasie i miejsou, nie wątpiąc że to i inne stany świętego cesarstwa najwdzięczniejszym umysłem przyjmą. Życzymy W. K. M. zdrowia i szczęścia.

Dan w Wiedniu d. 2 września 1560 r.

rum apostolico apud nos nuncio totique Poloniae optime constare semper in illis monasteriis Colonienses abbates simul et monachos fuisse quare si quisquam, in antiqua possessione sit conservandus neminem iustius quam ipsos Colonienses ea monasteria obtenturum, qui illa ultra annos quadringentos possederint rexerint opibusque e patria Colonia eo convectis auxerint et locupletarint. Praeter hoc existimant ipsis non auditis non potuisse ullum contra ipsos deoretum fieri sicuti nec quicquam per bonae memoriae dictum Ser^{ti} V. parentem contra ipsos statutum esse vel ipsiusmet Ser^{ti} V. assertionem appareat quandoquidem Ser^{tas} eius monasterio Landensi confirmaverit privilegia ipsius aliquot annis post promulgatum decretum illud quo cautum esse dicitur ne quisquam nisi Polonus nobilis ad praelaturas ecclesiasticas admitteretur. Eam etenim confirmationem fuisse supervacaneam futuram si Colonienses a gubernatione illius monasterii excludendi erant quomobrem vel hinc patere sensisse Ser^{mm} regem Sigismundum generalem constitutionem ad monasteria ista specialiter privilegiata ut ibi exteri tantum reciperent (sic) extendi non debere Ser^{tem} que eius satis indicasse quod sibi non licere poterit id nec regni sui nobilibus nec posteris suis permitti. Exemplum autem illius confirmationis cum haud dubie extet in cancellaria Ser^{ti} V. ubi existunt et quae aliae plurimae similes confirmationes et privilegia Ser^{tem} V. plenam de iure Coloniensium informationem inde capere posse quae si Coloniensibus nolit alia beneficia conferre quam quae illis a Ser^{ti} V. antecessoribus data sunt gratiae tamen loco futurum si Ser^{tas} V. non permittat illis per vim aut iniuriam adimi, quod illis Ser^{mi} praedecessores eius benigne concesserunt Cum ergo Ser^{tas} V. ex supradictis literis nostris manifeste cognoverit nos pro ratione muneris nostri caesarei non posse dictos consules et senatum Coloniensem uti nostros et sacri imperii fidelissimos optimosque subditos in re honesta et aequa favore et auxilio nostro destituere volumus pes hasce literas Ser^{tem} V. iterum paterne ac benivole admonere cohortari et requirere ut Ser^{tas} V. ea omnia, quae suggerentibus illis de antiquissimo iure illorum in praefatis monasteriis cum in his literis nostris commemoravimus, tum etiam superioribus mensibus ad Ser^{tem} V. perquam amanter scripsimus benivole velit considerare et vel aequitatis causa, vel nostri intuitu huiusmodi precibus dictae nostrae imperialis civitatis, quae est antiquissima Romani imperii colonia locum dare postposita quacunque sinistra malevolorum informatione ne forte Ser^{tas} V. eandem civitatem praeter culpam munificentia veterum Poloniae regum privare videatur sed potius liberalitatem praedecessorum suorum ipsis inconcusam conservando, eos simul et alios sacri Romani imperii ordines ac status ad mutua benivolentiae et amicitiae officia Ser^{ti} V. in omnem eventum praestanda promptos et alacres reddere studeat. Inprimis autem a Ser^{ti} V. amantos. et paterne postulamus, ne responsum, quod a Ser^{ti} V. ad priores et hasce literas nostras expectamus diutius

extrahat, ut tandem dictos consules et senatum Coloniensem ad illorum instantissimam humilimamque requisitionem de mente ac voluntate Ser^{tas} V. certiores reddere queamus. Et in his omnibus factura est Ser^{tas} V. rem iustitiae et aequitati admodum gratam quam Ser^{ti} V. mutuis paterne benivolentiae studiis quoquo loco et tempore aflatim rependere contendemus non dubitantes id ipsum etiam alios sacri imperii ordines gratissimo animo suscepturos esse, Ser^{tas} V. felicissime valeat. Datum Viennae die 2 Septembris (sic) 1560.

Nr. III. (*).

1561. 15. II.


Serenissimo ac excellentissimo principi et domino Ferdinando divina favente clementia Romanorum imperatori semper Augusto ac Germaniae Hungariae Boemiae Dalmatiae Croatiae Solavoniae etc. regi, infanti Hispaniarum, archiduci Austriae, duci Burgundiae etc. comiti Tirolis patri nostro charissimo ac honorando Sigismundus Augustus dei gratia rex Poloniae magnus dux Lituaniae Russiae Prussiae Masoviae Samogitiae etc. dominus et haeres sa-

(*) Najjaśniejszemu i najprzeznaczszemu Xięciu i Panu Ferdynandowi z Bożej sprzyjającej łaski Rzymskiemu Cesarzowi, zawsze Miłościwemu (semper Augusto) Niemieckiemu, Węgierskiemu, Czeskiemu, Dalmackiemu, Kroackiemu, Sławońskiemu i t. d. królowi, Infantowi Hiszpańskiemu, Ary-Xięciu Austryackiemu, Xięciu Burgundzkim i t. d. Hrabieciu Tyrolu, Ojcu naszemu najukochańszemu i najczcigodniejszemu. Zygmunt August z bożej łaski, król Polski, Wielki Xiąże Litewski, Ruski, Pruski, Mazowiecki, Żmudzki i t. d. Pan i dziedzic pozdrowienie i o synowskiéj i stałéj miłości ciągłym wzroście upewnienie. Najjaśniejszy i najprzezacniejszy Xiąże i Panie Ojczy nasz najukochańszy i najczcigodniejszy, chociaż już uprzednio odpowiedzieliśmy W. C. M. na list Jego, w którym przedstawiłeś nam załobę Rady M. Kolonii w przedmiocie odzyskania niektórych klasztorów w królestwie naszym, skoro jednakże powzięliśmy wiadomość że list nasz (dziwno nam jakim trafem) W. C. M. oddany nie został, uznaliśmy właściwem powtórnie w tym przedmiocie do W. C. M. napisać. Wiedz zatem W. C. M., że to jest dawną już skargą owéj Rady, którą gdy zanosila za czasów rodzica naszego i żądano od niéj przywileju na którym się opierali, nie mogli okazać żadnego i przywodzili tylko prawo długoletniego posiadania. Opaci nasi nie przeczyli długiego utrzymania się ich przy posiadaniu, wszakże wyjaśniali powody tego tak jak się rzeoz miała. Kiedy bowiem klasztory owe pierwotnie założone zostały, ludzie nasi mało jeszcze pismem ukształceni byli, i raczej wojskiem i innemi jakiemibądź rzeczami, niż rządzeniem kościołów trudnili się; ztąd tak jak do zarządu innych kościołów królestwa naszego cudzoziemoy przy-

lutem et filialis ac perpetui amoris continuum incrementum. Serenissime ac excellentissime princeps et domine pater noster charissime et honorande, tametsi iam pridem responderamus M^{ti} V. ad literas illius, quibus apud nos egit de querela senatus Coloniae Agripinae in nonnullis monasteriis regni nostri vendicandis, tamen cum illas literas nostras perlatas ad M. V. non esse intellexerimus (quod quidem qui acciderit miramur) faciendum nobis duximus ut iterum eadem de re at M. V. scriberemus. Veterem itaque eam senatus illius querelam esse M. V. sciat, qua cum divi quoque parentis nostri tempore uterentur atque ab ipsis sepe privilegium e quo id contenderent, flagitaretur, nullum unquam proferre potuerunt diuturnae tantum modo possessionis ius urgebant quam cum abbates nostri diu ab eis retentum non negarent, tum causas eius ita ut res sese haberet explicabant. Etenim cum primum monasteria illa instituta essent hominibus nostris adhuc parum literis perpolitit atque in militia potius aliisque quibusvis rebus quam in ecclesiis regendis occupatis quemadmodum ad caeteras regni nostri ecclesias regendas externi homines adhibebantur ita ad illa quoque monasteria monachi e Colonia Agripina acciti fuerant qui cum subinde populares ut fit suos advocare atque in dies eorum numerum augere non desinerent, abba-

bierani byli, również i do owych klasztorów przyzwano zakonników z Kolonii. Ci nie zaniechali, jak to zwykle bywa, współziomków swoich sprowadzać, i coraz liczbę ich zwiększać, z grona swego tylko wybierali opatów; tym sposobem a nie na podstawie jakiegobądź Kolońskiego prywatnego prawa, stało się, iż przez długi czas nie było żadnych prawie innych zakonników ani opatów w owych klasztorach, prócz pochodzących z Kolonii. Później wreszcie gdy pokój ustalili się w posiadłościach naszych, i nauki usposobiły ludzi naszych do zarządu kościołami; przyszło do tego, że nie tylko nie potrzebowali cudzoziemców do zarządu klasztorów i innych kościołów, lecz nawet prawem zastrzegli, iżby nikt prócz szlachty królestwa naszego, nie mógł być przełożonym klasztorów ani kościołów pierwszorzędnych. To starodawnie postanowione prawo, stany Królestwa naszego usilnie przez cały czas następny utrzymały i często nastawały na walnych sejmach Królestwa aby nie przeciwko niemu się nie stało. Poznawszy całą tę rzecz rozumiemy że W. C. M. żałobom ich na przyszłość miejsca nie dasz; mamy owszem nadzieję, że wdasz się w to swoją powagą, ażeby dłużej rzeczy tej nie popierali, w której oni nie mają żadnej słusznej racji swego żądania, a my do odmówienia mamy ich wiele, nie tylko sprawiedliwych, ale nawet z powodu publicznego prawa i zgody stanów naszych nieledwie koniecznych. Uczyni tem W. C. M. rzecz i ojcowskiemu ku nam przywiązaniu i uczynności i słuszności odpowiednią, a my z naszej strony do wszelkich wzajemnych usług dla W. C. M. będziemy gotowi. Życzymy W. C. M. szczęścia i zdrowia długiego. Dan w Wilnie 15 Lutego, roku pańskiego 1561 panowania naszego 32. Najpowolniejszy syn Zygmunt August król.

tes quoque non alios quam e numero suo eligerent factum ea ratione non ullo privato Coloniensi jure fuit ut diu nec abbates nec monachi fere alii quam civitate Coloniensi orti in illis monasteriis essent. Ceterum postea pace in ditionibus nostris propagata hominumque nostrorum studiis ad munera ecclesiastica gerenda assuefactis factum est non solum ut externis hominibus ad monasteria caeterasque ecclesias regendas non egerent sed etiam ut lege caverent ne quis aut monasteriis aut primariis ecclesiis nisi ex nobilitate regni nostri praefici posset. Quam quidem legem antiquitus latam toto deinceps tempore tantis studiis ordines regni nostri retinuerant ut sepe ne quid adversus eam fieret in publicis regni comitiis egerint. Qua tota re cognita existimamus M. V. in posterum locum eorum quaerelis daturum non esse, quin eciam speramus illam auctoritatem suam interposituram esse, ne rem eam diutius flagitent in qua et illis nullae iustae rationes ad petendum et nobis multae ad negandum non modo iustae sed etiam propter publicam legem ordinum que regni nostri consensum prope necessariae sunt. Fécerit in eo M. V. rem et paterno suo in nos studio ac benevolentiae et acquitati coniunctam vicissimque omnia mutua officia prompta semper ex nobis M. V. erunt. Quamdiu felicem valere cupimus Datum Vilnae die 15 Februarii, anno domini (1561) regni vero nostri anno 32 obsequentissimus filius Sigismundus Augustus rex.



KRONIKA PARYŻKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Poemat Abbona z IX wieku. Napad Duńczyków. *Nie można wziąć Paryża!* — Dzieło Edgara Quinet o „Stworzeniu. — Quinet. — Mickiewicz. — Michelet. — Panteon wiedzy ludzkiej, przez Bronisława Trentowskiego. — Córki Maryi Leszczyńskiej, (Mesdames de France) przez p. Barthelemy. — Towarzystwo między-narodowe pomocy dla rannych podczas wojny. — Henryk Dunaut twórca instytucji. — Konwencya Genewska. — Ambulansy w Paryżu. — Wiersz pana Paillerons: Wyprawa. — Nowa szkoła lekarska dla panien, program nauk. — Dwie odezwy pań francuzkich. — *Gęby użyteczne i nie użyteczne.*

Piszemy kronikę naszą w pierwszych dniach września; nie czekamy jak zwykle drugiej połowy, bo nie wiemy co do tego czasu stać się może. Wypadki wojenne i polityczne pędzą dziś szybko, jakby popychane siłą pary i elektryczności. Wczoraj rejencya i cesarstwo, dziś rzeczpospolita! Kto wie czy styczność z Warszawą przerwana zostanie. Musimy i my spieszyć!

Literatura francuzka zamknęła się dziś wyłącznie w dziennikarstwie. Jedynym jej wyrazem buletyny wojenne, opisy krwawych bitew. Uczni, poeci i belletryści, starce z siwym włosem jak Edward Milus, Chevreux i tylu innych, dawni ministrowie jak Carnot i Duruy, na wyścigi z młodszymi rzucają pióro, odbiegają domowych ognisk, i hurmem spieszą do obozu, lub sprawiają czaty na wałach zagrożonej stolicy.

Inaczej poglądaliśmy na te wały, kilka tygodni temu, inaczej dziś na nie poglądamy. Dawniej spotykano tam młode pary lub starców przechadzających się dla rozrywki, by odetchnąć świeżym powietrzem; dzisiaj nie pojedyncze już osoby, ale całe massy ciągną tam w uroczystym milczeniu: zatrzymują krok, wsłuchują się bacznie, ażali nie posłyszają huku dział, lub pobudki wzywającej ich do obrony!

Dziwny jakiś czar otacza te wały Paryżkie, to olbrzymie dzieło pomysłu Thiersa, nie dawno jeszcze przedmiot obojętności albo pogardliwego śmiechu, dziś otucha Paryża, ba! i całej Francji!

Do jakiegoż to działu literatury zaliczyć te objawy dzisiejsze, kilkudziesięciu milionowego narodu, któremu równie liczny wróg zagraża zniszczeniem i hańbą? I któżby śmiał szukać dziś poezji i literatury, w onój walce Tytanów, na którą świat cały patrzy z ciekawością i przerażeniem! Przyjdzie pora i na to. Historyk rozbierze krytycznie te zadziwiające zdarzenia, filozof wyprowadzi z nich wnioski, poeta ujmie w formę dramatu, albo rapsodu rycerskiego, te wysilenia bohaterskie, te bole serc milionów, te ich nadzieje, zawody i ofiary. Dziś, *słowo umilkło, powstały bowiem czyny!*

Zyjemy tu pod wrażeniem tych wypadków, tych niesłychanych ofiar; patrzemy na Strasburg w płomieniach, na krocie ksiąg i rękopisów, drogi owoc wiekowej pracy, zamienione dziś w garść popiołu; patrzemy na ową katedrę: najwspanialszy zabytek cywilizacji europejskiej, poszarpaną kulami dział, rozsypującą się w gruzy; patrzemy na mieszkańców kryjących się po lochach, w głodzie i niedostatku, a przecież samymże bohaterskim oporem świadczących, jak drogą im jedność z Francją!

Przyjdzie czas powtarzamy, że poeta przyłoży serce i ucho do tych zwalisk, przebiegnie pola Alzacyi zasiane kośćmi bohaterów, i wyśpiewa wielką pieśń, która jak one epeje bardów starożytnych, stanie się pociechą i nauką dla potomności.

Rzecz godna zastanowienia, że wyższe umysły we Francyi, w ostatnich kilku latach, przeczuwały niejako te chwile olbrzymich walk na które dziś patrzemy. Czyż nie dowodzą tego, nowe drogi wskazywane narodowi francuzkiemu, przez jego naukowych przewodników? Tak my przynajmniej oceniamy nowy zwrot w poglądzie historycznym na czasy starożytności Galskiej, zwrot widoczny nie tylko w pisarzach nowój szkoły jak: Henri Martin i Emil Chasles, ale nawet w osmdziesięcioletnim Guizocie!

Był czas, że w całej Europie, badania pomników starożytnych uważano tylko jako proste zaspokojenie ciekawości erudytów: wyniki z tych badań nie wpływały wcale na politykę. Niemcy pierwsi dali dowód praktycznego zastównia nauk historycznych, do dzisiejszych potrzeb narodu. Francuzi poszli ich śladem. Dziś téż, każdy umysł poważny, we Francyi czuje całą wagę odwiecznych podań i nieprzerwany ich związek z dzisiejszym życiem ludów.

Nieraz już mieliśmy sposobność, zdając sprawę z najnowszych prac tutejszych historyków, wykazać ten kierunek. Mówiliśmy jak nowa szkoła wyszukuje w tradycjach starożytnych Gallow, nowój iskry, któraby wstrząsnęła do gruntu narodem, i dała mu siły do wielkich w przyszłości zapasów. Nie wystarczą już geniuszowi francuzkiemu, ani wspomnienia tryumfów i pomp Ludwika XIV, ani nawet olbrzymich zwycięstw Napoleońskich.

Pod wpływem takichto wyobrażeń, uczeni wydobywają z pyłu wiekowego, stare kroniki i poemata, czyniąc przystępnymi dla

ogółu, owe cenne zabytki znane dotąd wyłącznie erudytom. Mamy właśnie przed sobą kilka publikacyj z początków roku bieżącego, które noszą piętno, tego naukowo-patryotycznego kierunku. Wybieramy z nich jeden. Jest to stary poemat mnicha Abbona, napisany w IX wieku, za czasu pierwszych napadów normandzkich. Uderza tu, dziwne podobieństwo téj epoki do dzisiejszego stanu rzeczy. Wydawca, spopularyzowaniem starego poematu, chce jakoby rozbudzić w Francuzach nową energią. A przecież pomnik ten, wydany był w początkach roku, na kilka miesięcy przed obecnymi wypadkami.

Oto główna treść poematu:

Wodzowie Normandzko - Germańscy już opanowali brzegi Renu, już łodzie ich porą nurty Sekwany. Godfryd i Zygfryd najwaleczniejsi z tych wodzów, postanawiają bądź co bądź, złupić stolicę dumnych Franków.

Poeta drży o los kraju swego, przypomina ziomkom czasy niedawnéj chwały, kiedy zdumiony świat czcił imię Karlomana, i korzył przed nim głowę. Przerażony wola z zapalem:

„Francyo! powiedz gdzie te siły któremi niegdyś zwalczałaś stokroć większe niebezpieczeństwa, któremi podbijałaś królestwa pod berko twoje! Troisty grzech skrępował cię i ubezwładnił: uniosła cię pycha szalona, hołdujesz haniebnym uciechom, rozpasalaś się w zbytkach. Nie masz-że siły oprzeć się tym złudnym ponętom? nie zdołasz-że wędzidłem woli ujarzmić sama siebie?

„Francyo! tobie potrzeba złotych sprzączek, do podpięcia twój szaty powłóczystéj; tobie potrzeba cennéj purpury Tyru, by sztuczną krasą podnieść barwę twojego lica; do pokrycia bark chcesz płaszcz bramowanego złotem! opasujesz biodra pasem nasadzonym drogiemi kamieniami! Do nóg twoich przystały tylko pozłociste rzemienie! Skromną szatę odtrącasz z pogardą. Jeśli nieszczęsna, nie wyzwolisz się z tych trzech grzechów, zmarnotrawisz siły, zatracisz królestwo ojców twoich! Z owych to przestępstw rodzą się wszelkie zbrodnie; świadczy Biblia. świadczą Pańscy prorocy! O Francyo! podźwignij czoło z prochu.”

I Francya podźwignęła się jakby cudem! Poeta z dumą narodową powiada, do jakiej potęgi wzrosło uczucie w sercach, wśród burz i niebezpieczeństw. Syn Karola Wielkiego nie zdoła bezsilną prawicą utrzymać ojcowskiej puścizny. Wchodzi w układy z wrogiem, rzuca szmat kraju w ręce normandzkiego najezdźcy Rolona. W obec tylu klęsk, życie skupia się w samémże sercu Francyi, a tém sercem jest Paryż.

Waleczny Eudes feudalny pan grodu, niezłomną ręką pochwycy szandar i powołuje lud do obrony. Hasłem jego: zwyciężyć albo umrzeć! Podtrzymuje go dzielnie biskup Gozlin, i czcigodny opat Eble. Mieszczanie rosą w olbrzymich bohaterów, czyny ich godne epopei. Po wiekopomnym tryumfie miasto prosi mnicha Abbona, by pamięć tych czasów przekazał przyszłym po-

koleniom, aby to na co patrzył własnymi oczyma, opisał ku zbudowaniu potomności.

Abbon poświęca poemat wielkiemu poprzednikowi i mistrzowi swemu, opatowi z St. Gall, który w poetycznej kronice opisał sławne czyny Karola Wielkiego.

„Przyjm mistrzu—mówi—ten owoc mego ducha, zrodzony na prośby Paryżan. Przesławny gród wzywa mnie, abym opisał jego walki; pragnie aby rozgłos owych zdumiewających zwycięstw, obiegił wszystkie krańczonej ziemi, i wzbłł się pod niebiosa, i zapełnił świat jego chwałą”.

Poeta zwraca się potem do Paryża, kreśli obraz nowój stolicy.

„Rozsiadły na łóżysku Sekwany, wśród bogatego królestwa Franków, sam nazwałeś się wielkim mówiąc: jam królewski gród; jak potężny mocarz błyszczę nad wszystkie grody świata.

„Bijesz zaprawdę w oczy cudniejszą nad inne przystanią. Ktokolwiek rzuci wzrok pożądliwy na wielkie skarby Franków, musi przed tobą zadrżnąć, urocza wyspa piastuje cię na łonie; rzeka otacza twoje mury; objęła cię w białe ramiona, słodkie jój fale płyną pod mosty twemi, które w lewo i w prawo łączą cię z stałym lądem, a po za rzeką opiekuńcze baszty, strzegą cię dniem i nocą.

„Opowiedz-że sam pyszny grodzie, iloma trupy zasłały cię Duńczyki, to plemie w zмовie z piekłem, w czasach kiedy kapłan boży, wielki Gozlin, dobroczynny pasterz, władał kościołem swoim?”

Normandowie zwani we Francyi Duńczykami, opanowali już wtedy oba wybrzeża Sekwany. Abbon głosi ich tryumf, aby tém silniej uwydatnić bohaterński opór małej wysepki, gdzie się skupiła cała energia Franków.

„Ledwie że słońce zrumieniło widnokrag, a oto Duńczycy pędzą brzegiem Sekwany od strony opactwa ś. Dyonizego, rozbijają namioty przy kościele ś. Germana. Okopują się wałem z ziemi i granitowych złomów. Konne ich drużyny, pomykają jak wichler po wzgórzach i rozdołach, przebiegają lasy i pola. Ich piechota morduje drobną dźiatwę, i małe pacholęta, i starców z siwym włosem. Tnie w pokosy ojce obok synów, nie przebacza samymże matkom! Tu niewiasta pada trupem obok męża; tam mąż rozsiekany w oczach żony: śmierć pożera dźiatwę przed obliczem ojców i macieży!

„Niewolnik staje się wolnym; mąż wolny przywiedzion do stanu służebnictwa. Z pacholka czynią pana, a pana czynią pacholkiem. Rownik stratowan końskimi kopyty, wraz z ziemią którą orze, z winnicą którą uprawia. Żałosna Francya wyludniona z panów i kmieci, już jój się nie pochlubić ni jednym bohaterem; jęczy i zalewa się łzami. Tu i owdzie pozostały napół zwalone domy, lecz żaden nie ma gospodarza by nim rządził. Niestety! owa ziemia tak bogata, dzis odarta ze wszystkich skarbów; ciężkie rany zakrwawiły jój łono; śmierć, pożogi, łupieże, szarpały ją na

szmaty. Złowrogie chmary niesytych krwi Duńczyków, gniotą ją, grabią, palą w proch i pustoszą.

„Dość im chcieć, aby dokonać wszelkiej rzeczy, bo sam widok ich sieje grozę i postrach. Maluczcy, one ciche niby doliny, i wielcy one Alpy niegdyś tak wyniosłe, uciekają zarówno, gdy posłyszają straszny poszczęk ich mieczów; wszyscy z sercem w lód skrzepłym, uciekają w lasy, aby zachować życie. Nikt ukazać się nie śmie, wszyscy rozbici, żaden nie stawia czoła!”

Tak to poeta jednym rzutem, maluje postrach kraju i bohaterski opór stolicy. Mimo całej napuszystości słów, czuę w nich żywotną prawdę. Zygryfd wódz normandzki, zwątpił już o zdobyciu uporczywego grodu. Drużyny sarkają na wodza, chcą gwałtem złupić Paryż, jak złupiły już tyle warownych miast najeżonych w blanki i wieże. *Nie można wziąć Paryża!* Woła wódz normandzki na druchów. I wzywa ich do spiesznego odwrotu. Darémne przedstawienia. „Przypuśćmy szturm!” wołają Norman-dowie. Wódz zmuszony ustąpić.”

Poeta opisuje zacięty bój na wałach. Pieśń ta nosi wymowny tytuł: *Nie można wziąć Paryża!*

„Dalejże potężni Duńczycy!—woła Zygryfd szydycz, opaszcie mury grodu! otoczcie w krąg warownię! Sypcie gradem strzał w one olbrzymie baszty! ściśnijcie je krzepkimi ramionami! Do dzieła waleczni rycerze! znoście stosy kamieni, miotajcie je na wroga! Ja pozostanę świadkiem walki!

„Skończył, wszyscy powstają. Zbrojni w miecze, docierają do wysp na których leży miasto; opasują dokoła mury. Nasi tymczasem, wychodzą z bram, stawają szeregiem u stóp wieżyc. I oto padają dwaj wodze Duńscy, ugodzeni w serce mieczem Franków. Trup na trupa wali się wokoło grodu, niby kłosa pod sierpem.

„Wielki postrach padł na pohańców; Bóg dał zwycięstwo wiernym sługom. Sekwana użycza nam pomocy. Wody jej spiętrzyły się nagle, i pochłonęły nieszczęsnych w bezdenne swe głębiny.

„Zygryfd zaśmiał się pogardliwie, spojrział na konających, rzucił im wbrew szydycz sło-wo:

„Ha! waleczni rycerze! oblegajcież teraz one wały; pozostać wam na wieki w tym grodzie. A my, zawołał na garstkę niedobitków, uciekajmy co ducha, cieszymy się że uchodzimy ztąd cali! *Nie można wziąć Paryża!*

„I nie czekając dłużej, opuścił wybrzeża Sekwany.”

Takim jest poemat Abbona; najpiękniejszy to ustęp z historii Paryża, w tej pamiętnej epoce. Tchnie cały młodością, nadzieją i tryumfem.

Zdarzenie opiewane przez poetę, zaszło w r. 885. Tysiąc lat dobiega od tej pory, a oto chmary nowych *Duńczyków*, spieszą oblegać tenże sam Paryż, na którego sławę patrzą zawistnym okiem.

Strach pomyślcć, że tysiąc lat przeszło nad Europą, a ślady ich tak małe! I gdzie się głównie objawia postęp? oto w środkach niszczenia! Nie rozpaczajmy jednak, patrząc na słabe kroki, jakimi postępuje ludzkość, bo przecież postępujęl wierzymy raczej że krwawe dzisiejsze zapasy muszą w ostatecznych swych następstwach przynieść pożytek światu.

Z tegorocznych publikacyj szerszego rozmiaru, mających na celu rozwój myśli ludzkiej, zastosowaniu czysto naukowém, pierwsze miejsce w literaturze francuzkiej zajmuje niezawodnie ostatnie dzieło p. Edgarda Quinet p. t.: *Stworzenie*, (*La création*).

Już przed trzydziestu kilku laty. imię autora zabłysnęło we Francyi na widnokręgu literackim. Prace jego filozoficzno-historyczne, zaleciły go na jedną z katedr tego wydziału, w kolegium francuzkiém. Stał tu Quinet obok Micheleta i Mickiewicza. Były to trzy geniusze pokrewne sobie, w pragnieniu dobra ogólnego. Jeżeliby sądzić professorów z ich pragnień i z wpływów jakie wywarli, nie miało kolegium francuzkie od czasów swego istnienia, potężniejszych i sympatyczniejszych przewodników. Każdy z nich był silną dźwignią w swoim kierunku, a pamiętajmy że myśl jedna łączyła ich wzajem, że cel jeden przyświecał ich działaniom. Wiadomo także iż tak Quinet jak i Michelet, wyznawali Mickiewicza mistrzem swoim.

Spółeczna organizacya francuzka, około roku 1840, ułatwiała rozpowszechnienie idei głoszonych przez tych trzech profesorów. Dziś trudno wyobrazić sobie ten nadzwyczajny zapał, z jakim młodzież słuchała ich wykładu. Nie tylko mała garstka wybranych, którą mogły pomieścić sale kolegium, ale cała młoda intelligencya paryzka, chwytała gorączkowo nowe myśli wybiegłe z ust mistrzów, i karmiła się wrażeniem, odebraném przez szczęśliwych, którzy ich słyszcć mogli.

Młode pokolenie francuzkie, tak ściśle zespoliło te trzy osobistości w sercu i wyobraźni swojej, że wybiło medal przedstawiający razem ich popiersia. Nie dziwny się takiemu zespoleniu; jedna myśl przewodniczyła trzem profesorom. Głównym ich tematem były słowa poety:

Sięgaj tam gdzie myśl nie sięga,
Łam czego rozum nie złamie;
Młodości orła twych lotów potęga,
A jako piorun tve ramie!

Mógłże podobny temat nie poruszać do gruntu serc młodych! Po kolei zamknięto trzy katedry. Mickiewicz umarł w Stambule, Michelet pozostał w Paryżu, Quinet opuścił Francyę a zamieszkał w Belgii. Ztąd to od czasu do czasu, wysyła do swych

ziomków owoce samotnych rozmyślań. Ostatnie dzieło jego *Creation*, jest najważniejszym z tych, które ogłosił od czasu swego professorstwa w kolegium francuzkiém.

Autor przeprowadził myśl swoją o stworzeniu w poetycznym obrazie do którego pobudkę dał mu Hezyod. Starożytny ten pisarz grecki, utworzył niegdyś poemat pod tytułem: *Lekeye Centaura*. Ów poemat zaginął, została tylko o nim pamięć. Pan Quinet odtwarza go na szerszą skalę, wzbogacony zdobyczami nauki, niedostępnymi dla Hezyoda. Poeta grecki pomieścił jak utrzymują Centaura swego w świecie pierwotnym, uczynił go świadkiem wielkich chwil, gdy bogowie zstępowali z nieba na ziemię, gdy coraz nowe warstwy cywilizacji występowały kolejno na widownię dziejową. Pan Quinet stawia bohatera swego, przy piérwszém tworzeniu się ziemi, nim żywe istoty pojawiły się na niej, odrzuca bajki mytologiczne a w miejsce ich podnosi rzeczywistość. Jego Centaur Chiron, wyuczywszy Achileśa, jak używać łuku i strzały, chce mu dać wznioślejszą naukę, dostępną tylko nieśmiertelnym; naukę, do której pojęcia przyjdzie ludzkości po pracy wieków. Opowiada Centaur dzieje własnego żywota i wypadki których był świadkiem:

„Przez wieków myryady jedynym towarzyszem moim był niezmierny ocean. Czterma kopyty uderzałem w puste wybrzeża, i zasyłałem wzrok daleko, oczekując rychło-li spienione fale, przyniosą mi jakąś istotę żywą, podobną do mnie; rychło-li zakończy się ma wiekuista samotność. Fale przyniosły mi tylko garść muszel, które burza wyrzuciła na piasek. Podniosłem kilka z nich, pragnąłem je wybadać, przykładając pilnie do ucha. Słyszałem tylko echo burz pogwizdujące głęcho w głębi skorup!

Znużony zasnąłem na skale. Zaczęłem się rozbudzić, ocean odbiegł mnie daleko. Szukałem go, wołałem daremnie. Gdzież on był? Zniknął mi przed oczyma!

Tymczasem na grzbiecie skał, wyrosł czarny las; napelił on trwożą serce moje. Potworne drzewa wyciągały w górę konary i drżały potrącane wichrem.

Zadrzałem jak one, widziałem je bowiem po raz piérwszy. Pomału jednak ośmieliłem się, przystąpiłem pod ich cień, a cień ten osłonił mnie od skwaru, i rozsiał na duszę moją nieznaną dotąd spokój.—Zkąd idziecie?—zapytałem ich—dlaczego wasze czoła drżą za lada powiewem?

Głos mój skonał w powietrzu, zgłuszony szmerem liści. Przebiegłem ziemię wzdłuż i wszerz; nie spotkałem żadnej istoty żywej. A przecież błakając się po czarnej puszczy, pod sklepieniem onych konarów przez które promień słońca nie przedzierał się jeszcze, dojrzałem ślady stóp, wyciśnięte na grzązkiej ziemi. Serce moje uderzyło radością. Wkrótce spostrzegłem że to ślady własnych stóp moich. Goniąc błędnie za niespodziewaném zjawiskiem, cóż dziwnego, że wracałem nieraz, na trop przezemnie wydeptany?

Nadszedł wieczór. Spotkałem cały zastęp płazów pancernych; pełzały nad brzegiem bagniska. Na mój widok rozwarły straszne paszcze. Niektóre z nich miały wielkie, błonowate skrzydła; plusnęły nimi po mętnej fali, wzbiły się w górę i zwróciły lot ku mnie.

Posłyszałem nad głową ciężki szum skrzydeł nie pokrytych jeszcze lotniami pióry. Ubiegłem co tchu. Tentent moich kopyt po skale odstraszył ich; spuściły się ku bagnisku lotem skośnym jak nietoperze.

Wyjąłem wtedy z kołczanu jedną z boskich strzał moich, naciągnąłem luk; pierwsza strzała zaświsnęła w powietrzu. Od téj chwili płazy oswoiły się ze mną. Nazwały mnie królem; lecz wzgardziłem panowaniem nad nimi. Błagały mnie wtedy abym został ich bogiem: odtrąciłem hołdy czolgających się gadów.

Jedna myśl niepokoiła mnie: chciałem zbadać zkąd przyszły. Znałem dość ziemię, aby wiedzieć że ich przedtém nigdzie nie było. A teraz każda kałuża rozlegała się od głuchego ich skrzeku.

„Lata, wieki przemijały nad głową moją. Ale chmary istot których byłem pasterzem, odbiegały mnie, znikały po jednemu, tajemniczo. W miejsce ich przychodziły następne twory, nie podobne do pierwszych. Mimo wszelkich wysileń, nie zdołałem pochwycić chwili, w której spełniała się przemiana.

Przy połysku gwiazd, patrzałem w nieskończone przestrzenie oceanu; słuchałem dźwięcznego szumu lasów. Nieraz gdy zorza zrumieniła świat, jawiła się przedemną jakaś nowa istota, pełna uroku albo grozy, antylopa lub tygrys, i jakby na urąganie przebiegała chyżo przed oczami mojemu, a najlepsze z tych istot ptaki, śpiewały słodko-szyderczym głosem: Chironie! powiedz zkąd my lecim, zgadnij jeżeli możesz! Twoja nauka mędrcze maż-li takie skrzydła jak nasze?

Nakoniec ukazał się człowiek. Poznałem w nim moje własne kształty, moje oblicze, płomienie oczu moich!”

Centaur przed którego wzrokiem pojawia się z kolei długi łańcuch jestestw coraz to doskonalszych, od płazu do człowieka; ów Centaur widzi tylko stworzenia, lecz nie dano mu zbadać ich początku. Mimo charakteru nieśmiertelności, Chiron nie jest szczęśliwszym od dzisiejszych Darwinów i Huxleyów, którzy na-próżno usiłują odszukać zatraczone ogniwa mające w mniemaniu ich spleść w jeden łańcuch wszystkie żyjące twory. P. Quinet nie myśli rozstrzygać pytania co do pierwotnego tworenia się jestestw, wykazuje tylko w poetyczny sposób nagłe ich objawy, to jest kolejne ich występowanie z ukrycia na widownię, i z tych wyprowadza porównanie świata fizycznego ze światem historycznym.

Każdy według autora kataklizm kuli ziemskiej, wyprowadził na jaw nowy typ istot żyjących, a przynajmniej nowy ich rodzaj lub odmianę. W każdym peryodzie ziemi zapanować miały nowe nieznanne wprzód jestestwa. Nie idzie zatem żeby ten nowy typ

miał wystąpić doraźnie bez poprzednich danych. Epoki ziemi powinny być uważane za stopniowy rozwój pierwotnego stworzenia. Wszelki prototyp musiał istnieć poprzednio. Jakiś praprzadziad każdego jestestwa żył nieznany, rozwijając się tajemnie w świecie nieodpowiednim jego doskonaleniu. Istota, która miała w skutek przyszłego przewrotu opanować ziemię, i nadać całemu okresowi właściwy sobie charakter, żyła gdzieś słaba i nieznana, jakby skazana na zatrąę wśród przeciwnych sobie żywiołów. Wtém ziemia przemienia nagle postać; powierzchnia jej ogrzewa się lub stygnie. Płaz może się już czołgać na błotnistém wybrzeżu, ptak ma gdzie rozwinąć skrzydła, zwierz czuje twardy grunt pod stopami. I oto zaniedbany typ świata pierwotnego, znajdując wreszcie przyjazne sobie warunki, mnoży się i przemaga nad znanymi poprzednio istotami.

„Czyż nie spostrzegamy—mówi autor—podobnych zjawisk gdy badamy historią cywilizacji ludów? Ażaliż te zmiany tak częste w panach świata, nie przypominają nam tych nowych flor, tych nowych faun, pojawiających się z kolei przy wielkich kataklizmach ziemi? W żadnym razie przemiana nie bywa nigdy nagłą; tak samo historyk umie wynaleźć nieznany naród, na długi czas nim ten wystąpi w pierwszorzędnej roli na widownię; jak również badacz przyrody potrafi odszukać w tajnych kryjówkach ziemi, znany typ który ma być głównym przedstawicielem następnego okresu. Grecy nie zmienili się w Rzymian; cywilizacja starożytna nie stała się cywilizacją chrześcijańską, ale w dalekiej gdzieś puszczy, nieznane plemię, wstrzymywane długo w rozwoju siłą sprzecznych okoliczności, wzrasta z wolna i w danej chwili występuje na widownię dziejową. Rzymianie zajmują miejsce Greków, Germanie miejsce Rzymian; tak samo jak twory czworonożne zastąpiły miejsce ryb, płazów i mięczaków.”

Z takiego porównania świata fizycznego i świata społecznego, p. Quinet wyprowadza tożsamość dwóch historii. Według niego, jedne i te same prawa, przewodniczą rozwijaniu się jestestw, jak niemniej rozwijaniu się narodów i ich instytucyj.

Daliśmy tu krótki zarys teoryj p. Quineta. Nie czujemy się kompetentni do sądzenia tych teoryj tak pod względem filozoficznym jak i naukowym. Wybieramy zatem z pomiędzy sędziów którzy ocenili tę pracę, najznakomitszego z nich p. Remusat. Zobaczmy jak ten wytrawny krytyk patrzy na najnowszą publikację profesora kolegium francuzkiego.

„Gdyby w dziele p. Quinet—mówi on—nie było nic więcej nad wnioski i porównania, już i tak miałoby wielką wartość. Lecz autor dumniejsze ma zamiary. Chce on utworzyć naukę prawdziwą, najzupełniejszą ze wszystkich jakie dotąd istniały, ponieważ ta nauka ma podciągnąć pod jedno prawo, rozwój całego świata od czasu kiedy obłoczkoatości rozrzucone w przestrzeni, skupiły się by utworzyć planety i ziemię. Dzieło o *Stworzeniu* nie daje nam

zapewne téj nauki w pełnym rozwoju, słuszną jednak chwałą należy się autorowi, że ogarnął wzrokiem jój wyżyny.

„Nieraz to już, porównywano rozwój instytucyj ludzkich z peryodami tworzenia się pokładów ziemi; nieraz wykazywano harmonią ruchu materji z ruchem społeczeństw. Dzieła wielu nowoczesnych filozofów, pełne takich porównań. P. Jouvencel radzi oddawna nauczać dzieci historii, zaczynając rzecz od początku, to jest od wykazania pokładów geologicznych. Nie jeden pisarz porównywał przewroty społeczne do nawałnic, a ruchy ludów do przypływów i odpływów morza. Nie jestże przecuciem owéj łączności praw przyrody z prawami ducha, ten monolog Karola Vgo:

Ha! lud istny ocean, fala wciąż kipiąca,
Lada przedmiot tę falę do gruntu zamąca.
To nurt co kopie groby i druzgocze trony,
Zwierciadło w którym mocarz dziwnie zeszepecony.
Ktoby czarną tę przepaść chciał przemierzyć wzrokiem,
Ujrzałby państw tysiące na jój dnie głębokiém;
Maszty statków rozbitych, które skrzydło burzy,
To wyprze na widownię, to w odmet zanurzy!

„W klassycznej nawet literaturze—ciągnie p. Remusat—znane te porównania. Sam Homer ich używał. Postęp nauki nadaje tym poglądom coraz to większą rzeczywistość. Można śmiało powiedzieć że się zbliżamy krok za krokiem, do owéj wszechstronnej nauki, którą Bacon już przewidywał, a która ma połączyć w sobie wszystkie gałęzie wiedzy ludzkiej. Wolnoż nam jednak powiedzieć że cel już osiągnięty? Czyż znamy dostatecznie prawa przyrody aby je móżdż stosować do historii? Czyż historia dość już naukowo zbadana, aby jój prawa mogły nam posłużyć do rozjaśnienia problemów wymagających tak wielkiej ścisłości?

„Paleontologia, nowa całkiem nauka, zmienia się z każdą chwilą. Mała dotąd część powierzchni globu, przekopaną była choćby na kilkadziesiąt stóp głębokości. Sam autor między pierwszym a drugim tomem swéj pracy, przychodził do nowych pojęć i wniosków. Bardzo wiele jestestw kopalnych, opisano i nazwano według jedyne go okazu, częstokroć niedokładnego, lub według części zebranych w jedném miejscu. Klasyfikacya zatem wątpliwa. W książkach niedawno drukowanych, uważano jakoby cała klasa ssących, pojawiła się nagle podczas trzeciego peryodu; dziś zaś odkryto wielkie składy kości tychże zwierząt, w pokładach peryodu drugiego. Podwaliny zatem, na których się opiera paleontologia, lubo dostateczne dla specjalnej nauki, zanadto jeszcze słabe, aby podtrzymać wszechstronną naukę o stworzeniu.

„P. Quinet zbliża ekonomią polityczną do historii przyrody, a przecież łatwoby znaleźć między pierwszą a drugą zupełnie sprzeczne prawa. Jeżeli u zwierząt widzimy praktykowany podział pracy, za to oszczędność nie znana całkiem w przyrodzie;

szczodroblivość posunięta aż do zbytku, stanowi główny jęj charakter. Produkcya tu nadzwyczajna, celem jęj zachowanie istot. Te istoty rozradzają się więćej niż trzeba. Trudnoby zaprawdę wytłumaczyć prawami ekonomii, wielką liczbę jadowitych roślin i szkodliwych zwierząt. Malthus widziałyby z zadowoleniem że ziemia nie wydaje więćej istot niż wyżywić ich może, lecz byłby zdumiony patrząc na tyle zatraconych zarodów i nasion. Ekonomiści XVIII wieku, mniemali że przyroda staje się coraz skąpszą w reprodukcji jak się wyraził Maupertuis. Tak przecież wcale uie jest. Najbezpożyteczniejsze chwasty zarosłyby cały glob, gdyby wszystkie ziarna wejść miały. Jeden gatunek żyjątek pokryłyby ziemię, gdyby każde jajko wydało osobną jednostkę. Mientus może wydać 6,867,840 jaj, Askaryda wydaje ich 64,000,000; jedna Orchidea tyleż wydaje ziarenek! Ekonomiści tymczasem zalecają aby tylko wyrabiać konieczną ilość produktów, i zapewnić im właściwe przeznaczenie.

„Mimo tak wielu zbliżeń — mówik krytyk — potrzeba nam isć dalej i wyrzec się myśli, jakoby pewniki na których opiera się nauka, były już dostatecznie określone, z ścisłością nieznaną historykom. Lubo dziś w pracach nad historją, znaczny widzimy postępi; jeżeli jednak porównamy jęj wywody z wywodami nauk przyrodzonych: wielką w nich znajdziemy różnicę. Trudniej zadowolnić badacza przyrody niż historyka. Rozdział jeden p. Quineta może nam posłużyć za dowód. Autor porównywa ludy nieznanne, występiujące nagle na widownię, i przynoszące światło własnej cywilizacji, do owych istot nieznannych, doskonalszych cokolwiek nad otaczającą ich przyrodę, a niezdolnych rozwinąć się inaczej, jak po wielkiej katastrofie w właściwem dla nich otoczeniu. Dla historyka dość w rzeczy samej wiedzić, że Germanie istnieli już podczas panowania Greków i Rzymian, i dowiesć że w najeździe na Rzym, wyrobili własną cywilizację. Byt ludu dostatecznie w ten sposób wyjaśniony. Inaczej rzecz się ma z istotą szczególnęj organizacji, którą naturalista odkrył przypadkiem w jakiejś głębokiej pieczarze. Uczony powinien wytłumaczyć jakim sposobem ta istota dostała się w to miejsce, jak się w niem rozwijała, jak zmieniała typowe kształty.”

Przerywamy tu rozumowania pana Remusat, a pozwolimy sobie zrobić jednę tylko uwagę. Dzisiejsza krytyka historyczna, nie zadawalnia się wcale, jak mówi uczony sprawozdawca, okazaniem istnienia Germanów i miejsca ich pobytu. Domaga się ona od historyka odpowiedzi na także same pytania, jakie zadaje krytyka naukowa badaczowi przyrody, który znalazł w jaskini, nieznaną dotąd istotę. I historyk dzisiejszy, równie jak naturalista, powinien wykazać, jaki jest początek ludu, który w danęj chwili i w danem miejscu pojawia się na widowni dziejowej; jakim sposobem dostał się w to miejsce, jak się w niem rozwijał, na jakich prawach, pod wpływem nowego otoczenia, zmieniał typowe swoje kształty?

Tu właśnie antropologia dzielnie odpowiada dzisiejszym potrzebom historycznym. Ona to otwiera nieznane dotąd drogi, w badaniach historii rodu ludzkiego. Jako zupełnie nowa nauka, stawia ona częstokroć same hipotezy, ale wiadomo że bez hipotez nie byłoby postępu. Jeduém słowem, historyczne nauki tak samo dziś badane są do gruntu, i takiéj saméj wymagają ściśłości, jak i nauki przyrodnicze. Tegoto rodzaju badania ściśle - naukowe, przyczyniły się wielce do wyświecenia historii starożytnych Germanów, a tém samém i sąsiednich im plemion.

Po tém zastrzeżeniu, przytaczamy ostatnie wyrazy p. Remusat, któremi wybornie charakteryzuje znaczenie całego dzieła.

„Jeden ważny a bogaty w następstwa wniosek, wypływa z pracy p. Quineta: loika rządzi światem fizycznym, zarówno jak i światem intelektualnym, a rzeczywiste pokrewieństwo łączy zasady intelligencji, z zasadami na których opiera się przyroda. Istnieje we wszystkiém *natura rzeczy*, według wyrażenia starożytnych. Świat cały spoczywa na niewzruszonych prawach, rządzących tak materyą jak duchem, tak światem fizycznym jak i namiętnościami ludzkiemi. Wynikiem téj teoryi, nie jest bynajmniej materializm. Pan Quinet trzyma się w sferach najwyższego spirytualizmu.

„Nie. saméj tylko filozofii oddał p. Quinet usługę, dziełem swém o stworzeniu; rozbudza niém także miłość przyrody, i uczucie piękna. Podnosi wielkie odkrycia tego wieku, przedstawia je wytwornym i sympatycznym stylem. Wykazuje jakim sposobem nauka i literatura tak długo rozdzielone, mogą się nakoniec połączyć. Nie pomija nawet sztuk pięknych, w wszechstronném zapatrywaniu swoim. Dzieło *O stworzeniu*, daje nowe świadectwo nadzwyczajnej giętkości umysłu autora, niewyczerpanéj jego wiedzy, zasilanéj ciągłą pracą, i zadziwiającéj siły twórczéj.”

Powyzsze dzieło Quineta nasuwa nam mimowoli na myśl, ostatnią pracę naszego filozofa Bronisława Trentowskiego, pod tytułem: *Panteon wiedzy ludzkiej*. Przed kilką laty czytał nam sam autor niektóre ustępy z tego wielkiego utworu. Nie mogliśmy nigdy zgodzić się z Trentowskim na jego zasady religijne, a przecież musimy uznać czarodziejski urok jego stylu tak porywający mimo wyrazów nowych i częstokroć dziwacznych, musimy patrzeć ze zdumieniem na to nadzwyczajne bogactwo wiedzy, na tę niesłychaną łatwość w formułowaniu nowych myśli, na tę prawdziwie twórczą fantazyę w obrazowaniu. Jedném słowem też same zalety jaśnieją w dziele filozofa naszego, jakie znajdujemy w ostatniém dziele Quineta. Lecz podobieństwo w utworach dwóch myślicieli na tém polega szczególniej, że obaj wychodzą z tejej saméj zasady. Obaj chcą wykazać stopnie pokrewieństwa pomiedzy światem fizycznym, a światem myśli. Ta dążność encyklopedyczna stanowi jednę z głównych cech epoki naszéj. Przeciw-

waży ona silnie innemu prądowi tejże epoki, to jest zbytecznemu rozdrabnianiu wiedzy na specjalne gałęzie.

Nie wiemy o ile nasz filozof Fryburski dopełnił zamierzonego celu; zobaczmy to w publikacji, przedsięwziętej w Poznaniu przez Żupańskiego, pod kierunkiem Dr. Libelta. Dla charakterystyki dzieła podług planu jaki wytknął sobie autor, dodamy tu że jego *Panteon wiedzy ludzkiej* miał streścić wszystkie nauki wykładane w pełnych uniwersytetach; z téj to strony przedstawiał nam swoją pracę, jak ją sam nazwał *Olbrzymią*.

Z pomiędzy nowych publikacyj historycznych, zwróciło uwagę naszą dzieło pod tyt. *Mesdames de France* przez Edwarda Barthelemy. Jest to historia sześciu córek Maryi Leszczyńskiej, a wnuczek naszego króla Stanisława. Jeżeli ta książka zajęła uwagę Francuzów jako ciekawa karta z niedawnéj a tak przecież odmiennéj przeszłości, to i dla nas nie powinna być obojętną. Gdzież nam się zapominać o tych biednych księżniczkach, które nigdy nie zapominały rodu swego po matce? Autor między innymi dowodami dobroczynności córek królewskich, znalazł akt świadczący, że dwie z nich Adelajda i Wiktorya, zgodnie z ostatnią wolą matki, hojną ręką wspierały zawsze ubogich jéj rodaków. Za pośrednictwem pełnomocnika swego Auberta, wysyłały one co rok znaczną kwotę pieniężną do Warszawy, a oprócz tego, przeznaczały co rok 6,360 liwrów na wsparcie Polaków przebywających we Francyi. Ow znalezionej akt nosi datę r. 1786. Królowa Marya od lat 18-tu już nie żyła, córki przecież wypełniały święcie jéj wolę, nieobwarowaną testamentem, lecz ustnie im tylko przekazaną. Chlubnie to przemawia za niemi.

Tém żywsze współczucie budzą w nas te księżniczki, gdy przypatrzymy się bliżej ich smutnemu losowi po śmierci rodziców, a mianowicie po krwawych wypadkach rewolucyi francuzkiéj. Prześladowane jak i cała królewska rodzina, uniknęły wprawdzie losu bratanka, nieszczęśliwego Ludwika XVI, dzięki wymowie sławnego Mirabeau, który ułatwił im wydalenie się z kraju, lecz w ciągu kilkoletniej tułaczki, może nieraz pozazdrościły tym których głowy padły pod gilotyną!

Idąc za autorem, wskażemy pobieżnie niektóre chwile z życia tych sześciu księżniczek, życia rozpoczętego tak świetnie, a dokonanego w sieroctwie i opuszczeniu.

Marya Leszczyńska zaślubiona Ludwikowi XV w r. 1725, była matką dziesięciorga dzieci. Wychowało się z nich siedmioro: jedyny syn Delfin i sześć córek. Dwie najstarsze Elżbieta i Henryeta urodzone w roku 1727 były bliźniętami. Za niemi szły z kolei Adelajda, Wiktorya, Zofia i Ludwika. Jednéj z nich tylko, najstarszój z rodziny przeznaczoném było wstąpić w związki małżeńskie.

Dziwne losy podniosły Maryę Leszczyńską, córkę króla-szlachcica polskiego na jeden z najpierwszych tronów w Europie. Wychowana przy ciepłym ognisku domowym, ukochana od rodziców, którym osładzała dołę tułaczą, skromna, cicha, pobożna, zmuszoną była żyć w blasku dworskim, tak chłodnym przy całej świętości, pod twardestwem jarzmem etykiety, krępującej we wszystkim jej wolę. Wśród niezliczonych intryg i matactw, ścigana zawistnym okiem zepsutej i próżniaczkiej gawiedzi dworskiej, silna jednak przywiązaniem króla, który mimo różnicy wieku, w pierwszych latach prawdziwie ją kochał i poważał, wsparta przytęm radami światłego ojca, przebywającego często w Wersalu, Marya umiała odpowiedzieć godnie wysokiemu stanowisku swemu, dobrocią zniewoliła sobie serca jednych, wyższością umysłu zmusiła drugich do poszanowania.

Dla kobiety myślącej tak poważnie, zajęcie się liczną rodziną byłoby niewątpliwie źródłem najwyższej pociechy, ale i tu ceremonialność dworska stawała w poprzecz macierzyńskim jej prawom. Zaledwie że dziecię przyszło na świat, urządzano dla niego dwór osobny i w oznaczonych tylko godzinach przynoszono je do pocałunku matce. Król wychowany pod wpływem pompy dworskiej Ludwika XIV, wielką przykładem do niej wagi, i nie pozwalał w niczem przekroczyć surowych prawideł etykiety.

Dom każdej księżniczki składał się z damy dworskiej, z mamki, z siedmiu pańien służebnych, pokojówki, odźwiernego, kamerdynera i pacholka. Ochmistrzyni główna dzieci królewskich czuwała nad wychowaniem całej drobnej rodziny. Dziwne to było wychowanie. Ledwie że starsze księżniczki, Elżbieta i Henryeta, ukończyły po lat dziesięć, już wyprawiały bale, koncerty i maskarady, już przyjmowały urzędowe odwiedziny ambasadorów i wielkich dostojników. Każda z nowo zaślubionych pań, przedstawiała im się zarówno jak królowi i królowej. Przystępując do księżniczek panie całowały je w poję sukni.

Utrzymanie tylu osobnych dworów, pociągało za sobą wielkie koszta. Kardynał Fleury który trzymał wodze rządu, widząc potrzebę zaprowadzenia oszczędności w finansach, skłonił króla do wyprawienia z domu czterech młodszych córek; ostatnia z nich nie miała jeszcze roku. Wysłano je z wielką paradą, do klasztoru Fontevrault w Anjou, tam przebyły lat dziesięć. Biedna matka przez lat dziesięć nie widziała czterech córek; etykieta dworska nie pozwalała wówczas ani królowej ani królownom podróżować inkognito, a na podróże oficjalne nie pozwalał wycieńczony skarb państwa. Jedna z księżniczek umarła w klasztorze.

Elżbieta i Henryeta jako najstarsze, miały tylko zostać w Wersalu. Trzecia z rzędu sześciolatnia Adelajda tak rozpaczła na myśl o wyjeździe, tak silny okazała opór, że król dał się w końcu przebłagać i pozostawił ją ze starszemi.

Wkrótce potem opuściła Wersal i dwunastoletnia Elżbieta zaślubiona Infantowi don Filipowi, trzeciemu synowi króla hiszpań-

skiego, późniejszemu księciu Parmy. Królowa lubo nie tyle mogła przebywać z dziećmi, ile tego pragnęło jęj serce, umiała jednak wyrobić w nich silne uczucie miłości; to tęż chwila pożegnania Infantki z matką rozdierała serca obecnych.

Można sobie wyobrazić boleść Maryi, oderwanęj gwałtem od tyłu dzieci, i to w czasach gdy rodzinne tylko ognisko mogło łagodzić jęj cierpienia. Wiadomo że po kilkunastu latach wzorowego pożycia z żoną, Ludwik XV, nie zdolny oprzec się prądowi zepsucia nurtującego na dworze, upadł pod jego naciskiem, z wielką boleścią ludzi prawych, którzy właśnie uważali Maryą jako jedyną dźwignię do wydobycia narodu z odmetu w jaki pograżżyły go czaszy regencji. Uważano to niemal za cud, że Marya bez nadzwyczajnych wdzięków fizycznych, starsza o lat kilka od męża, umiała wydobyć go z atmosfery zatrutęj a przywiązać do siebie na tak długo. Trudno jęj było jednak, przeciwważyć wpływowi tyłu zgubnych prądów, działających na umysł młodego jeszcze króla. Wszystkie wyższe warstwy społeczeństwa sprzysięgły się przeciw zbawiennemu oddziaływaniu królowęj.

Ludwik porwany ogólnym szatem, nagle zobojętniał dla żony. Co więcj nie osłaniał nawet zgorszenia, przed oczyma dorastających córek. Pamiętniki spóczesne księcia de Luyne, d'Argensona i innych opowiadają z oburzeniem jak król przyprawdzał na bale maskowe do domu córek własnych, panie de Chateauroux, de Flavacour, de Lauraguars, sławne z rozproszonego i zepsutego życia, jak w ich towarzystwie wodził księżniczki na opery i polowania dworskie. Musiała to znosić biedna matka. Dzieci tak gorąco przez nią ukochane, nie tyle były jęj córkami jak raczėj *córkami Francyi*, jak je powszechnie zwano, a wiadomo czém była wteđy Francya pod względem obyczajów. Krew stu tysięcy ofiar, ledwie że zdołała obmyć ją z tego błota.

Silnym jednak musiał być wpływ matki, kiedy jęj córki mimo tyłu niebezpiecznych przykładów, żyjąc wśród takiego zgorszenia, potrafiły przejść nieskażone przez ten szalony odmet.

Po odjeździe Elżbiety do Madrytu, Henryeta odgrywała u dworu pierwszą rolę, tēm ważniejszą że niepospolita uroda zwracała na nią oczy wszystkich. Od dziecinnych lat przeznaczono ją na żonę młodemu księciu Chartres, synowi księcia Orleanu. Król chętném okiem patrzył na budzącą się miłość młodej pary. Książe Chartres najpiękniejsze rokował nadzieje. Podczas wojny z Hollandyą, zaciągnął się na ochotnika, i dosłużył wyższych stopni wojskowych. Zamiłowany w naukach i sztukach pięknych stał się prawdziwą ozdobą dworu. Mimo to kardynał Fleury, nieprześląganym był wrogiem związków, upragnionych przez całą rodzinę. Postanowił on oddać księżniczkę w małżeństwo cesarzowi niemieckiemu, oczekując na śmierć cesarzowęj, której wróżono blizki koniec.

Przemógł wpływ kardynała. Książe Chartres zmuszony poślubić córkę księcia Conti, żył z nią nieszczęśliwie. Henryeta gorz-

ko przeboleła doznany zawód: zgryzota zatrula jęj zdrowie i w kilka lat zaprowadziła ją do grobu.

Król przywiązany szczerze do córki, chcąc przytęm osłodzić jęj boleść, wiele czasu przebywał w jęj towarzystwie i skłaniał chętnie ucho na każde jęj żądanie. Nie uszło to pilnego oka dworu, podzielonego na dwa przeciwne obozy. Stronnictwo porządku do którego należała sama królowa i syn jęj Delfin, umyśliło korzystać z przewagi Henryety nad umysłem ojca. Jakoż wpływ ten począł wydawać zbawienne owoce. Słodka Henryeta potrafiła nawet przybliżyć króla do opuszczonej matki. Książę Luynes zapisuje z podziwieniem w pamiętnikach, że królowa Marya otrzymała na nowy rok kolendę, czego już oddawna nie bywało, że król przepędzał wieczory w jęj salonie, i grywał z nią w ulubionego jęj cavagnolla. Krótko przecież trwała ta zmiana. Przeciwne stronnictwo, przerażone tak nagłym zwrotem, wydobyło z ukrycia piękną panią d'Etiole, która pod nazwiskiem Markizy de Pompadour, miała przez długi czas wszechwładnie panować nad królem i Francją,

Wówczas to rozpoczęła się uporczywa i długotrwała walka w której księżniczki boleśnie czuły upokorzenie swoje. Potępiwały one jawnie postępowanie ojca. D'Argenson mówi, że zmuszone razjechać na polowanie w jednym powozie z panią de Pompadour, pomimo jęj zrečných przymilań, milczały pogardliwie, nie wyrzekłszy do nięj ani słówka.

Aby wesprzć działania Henryety sprowadzono z Fontevrault księżniczkę Wiktoryę czwartą z rzędu. Młodsze pozostały tam jeszcze na dwa lata. Pojawienie się Wiktoryi równie pięknej jak starsza siostra, sprawiło u dworu nie małe wrażenie, lecz król zanadto już był uwikłany w pęta pani Pompadour, aby mógł ulegać wpływowi córek i w domowém zasmakować ognisku.

Henryeta była do końca życia aniołem opiekuńczym rodziny. Ona to wraz z Delfinem siodziła życie osamotnionej matce. Przywiązana szczerze do brata, dała tego wielokrotne dowody. List Delfinowej przechowany dotąd, chlubnym jest świadectwem jęj serca.

Delfin w szesnastym roku zaślubił Infantkę hiszpańską, z którą przeżył tylko rok jeden. Niepocieszony po jęj stracie, zmuszony był jednak zaślubić Maryą Józefę, córkę króla polskiego Augusta III. Wierny pamięci zmarłej żony, czuł on niesłychany wstręt do nowych związków. Smutne było położenie młodziuchnej Delfinowej za przybyciem jęj do Francyi! Czuła to Henryeta: użyła tęż całego wpływu nad bratem, aby zasiać miłość i pokój w młodem stadle.

W kilka lat potem, roku 1752, nazajutrz po śmierci Henryety, Marya Józefa napisała do matki list, który tu przytaczamy aby wykazać w całym świetle piękny charakter zmarłej.

„Nie umiem wypowiedzić droga mamo, pisze Delfinowa, boleści jaką czuję w tęj chwili... Kochałam siostrę całym sercem. Łączyła mnie z nią najściślejsza przyjaźń od dnia gdy ją poznałam.

Co więcj zawdzięczam jój szczęście życia mego, bo przywiązanie Delfina! Nie chcę dłużej tać przed tobą mamó, że kiedy tu przybyłam, okazywał mi wstręt niezwyčný. Upredzono go do mnie. Zresztą, przykro mu było że zajmuję miejsce téj którą go-rać kochał. Uważał mnie za dziecko, stronił odemnie, co mi sprawiało śmiertelną boleść. Postanowiłam ślepém posłuszeństwem zniewolić go sobie, lecz brakowało po temu sposobności: nigdy prawie nie byliśmy sami!

„Spostrzegła Henryeta jak wiele mnie to kosztowało. Nie mówiła ze mną nigdy o tém, lecz dawała mi rady jak mam postępować, a kiedy mnie nie było, przedstawiała bratu moją boleść i rozpacz. W końcu sprawiła tyle, że Delfin zmienił sposób postępowania ze mną. Kiedy przełamata pierwsze trudności, coraz to silniój działała na umysł brata, a widząc jego przywiązanie do mnie wzrastające z każdym dniem, utrzymywała je wszelką siłą aż do ostatniój chwili.”

Śmierć Henryety zmarłój w 25 roku życia okryła żałobą rodzinę. Łatwo zrozumieć boleść matki po takiój stracie. Król ciężko zrazu dotknięty, przedź znalazł pociechę wśród łowów i uczt dworskich.

Prawa starszeństwa spadły na Adelajdę. Młoda księżniczka okazywała od dziecka charakter silny, wolę niezłomną. Ruchy jój były żywe, głos męzki, obejście szorstkie. Chwili jedniój nie mogła żyć bez zajęcia. Obdarzona niesłychaną energią, byłaby umiała zapanować nad słabym ojcem, gdyby jój wpływu nie przeciwwały intrygi zauszników dworskich, podtrzymujących panią Pompadour i związanych z nią solidarnie.

Widząc że niepodobna płynąć przeciwko wodzie, córki królewskie poczęły coraz bardziej oddalać się od świata. Było ich teraz cztery; ale najmłodsze dwie: Zofia i Ludwika żyły na dworze prawie niepostrzeżone. Wiedzieli o nich tylko ubodzy, których stale wspierały, wiedziata matka, która wszystkie dzieci ogarniata jednakiem uczuciem. Zofia przeżywszy 12 lat w klasztorze, nie mogła się pozbyć nadzwyczajniój nieśmiałości; lubo dość urodziwa, nie lubiata zabaw ani przepychów „wygladała zawsze jak przestraszona, mówi pani Campan, zergała oczyma jak zając.” Ostatnia zaś Ludwika, cicha, dobra, skupiona w sobie, od najmłodszych lat tęskniata za życiem klasztorniem. Widok zepsucia dworskiego, tém bardziej odstręcał ją od światowego zgiełku.

Po śmierci Henryety, księżniczki zaniechały wszelkich rozrywek a oddały się poważnym zatrudnieniom. Energiczna Adelajda przewodniczyła siostróm na téj drodze, a Delfin całą siłą podtrzymywał w nich zbudzony smak do nauk. Uczony akademik Hardion wykładał im codziennie kurs historii i filozofii, obznajmiał je z obcą literaturą, nauczał języków a między niemi greckiego. Wszystkie razem czytywały obszerne dzieła historyczne, wypisywały z nich notaty, robiły sprawozdania. Na wypoczynek zajmowały się rysunkiem a częściój jeszcze muzyką. Wiktorya grała wybornie na fortepianie, Adelajda na skrzypcach przyszła do mi-

strzowskięj biegięści. Życie ich nadzwyczaj było czynne; nie zaniedbywały przytęm obowiązków rodzinnych. Wieczory trawiły zwykle z matką, grywając z nią w cavagnollę. Ojca odwiedzali codzięni w chwili gdy wracał z łowów. Za najwyższą dla nich pochwałę można uważać słowa d'Argemona, który mówi w pamiętnikach, że księżniczki nudzą się wszystkim, że całą przyjemnością dla nich jest *to co czerpią z serca*, że kochają tylko ojca, matkę i bliżęj otaczające je osoby. Cynik dworski pisze to z pogardliwym lekceważeniem, nie domyślając się bynajmniej doniosłości podobnej nagany.

Równie zaszczytne świadectwo oddaje im książe de Luynes w pamiętnikach. Te pamiętniki wydobyte dziś ze stuletniego ukrycia, i niedawno wydane przez wnuków, rzucają nowe światło na życie naszych księżniczek. Przytaczamy słowa księcia Luynes: „Utrzymanie dworu każdęj z córek królewskich wynosiło rocznie do miliona franków. Otóż kiedy Ludwik XV w 1758 r. potrzebował pieniędzy na wojnę, zmuszony przez ministrów, postanowił zaprowadzić na dworze niejakię oszczędności. Zaledwie że księżniczki dowiedziały się otęm, napisały do króla zbiorowy list z zapewnieniem, że szczęśliwe będą zrękając się dochodów swoich, gotowe poprzestać na koniecznych tylko wydatkach.”

To ciche i pracowite życie jakie od lat kilku prowadziły cztery siostry, przerwała nagle podróż do Plombieres, zalecona przez doktorów Adelajdzie i Wiktorji. Plombieres leży w Lotaryngji w bliskości Nancy, ówczesnej rezydencji króla Stanisława. Mimo ubóstwa skarbu, król Ludwik żądał aby podróż odbyła się z okazałością przynależną *córkom Francji*. Ciekawe opisy tęj podróży świadczą do jakiego stopnia urok królewskości działał wówczas jeszcze na lud, który w 30 lat potęm, zerwał odrazu z wiekową tradycją.

Księżniczki puściły się w drogę, otoczone licznym i świetnym dworem. W każdęm mieście występowała zbrojna milicya, przedstawiały się władze wojskowe i cywilne. W Chateau Thierry gdzie wypadał nocleg, przygotowano im wspaniałą ucztę i fajerwerki. Gdy wyjeżdżały zrana lud zgromadzony tłumnie zasłał im drogę różami. Pod Chalons czekało na nie grono pasterzy i pasterek, otaczając fontannę z wina szampańskiego. W Witry wieśniaczki ofiarowały im baranka strojnego w wstęgi, inne podawały w koszach kwiaty i owoce.

Krół Stanisław oczekiwał w Commercy na przybycie ukochanych wnuczek. Po wielkięj uczcie wyprawionęj przez miasto, król zawiózł je do Malgrange letnięj rezydencji swojej. Przejeżdżając przez Nancy spotkały na placu królewskim tryumfalny wóz, a na nim 20 panienek przebranych za nymfy, które zasypały je kwiatami. Zatrzymały się chwilę w kościele Bon-Secours; odmówiły módlitwę przy grobie babki, poczém udały się do Malgrange. Tam składała im hołdy cała arystokracja lotaryńska. Po dwudniowym spoczynku wyruszyły księżniczki do Plombieres, gdzie

na rozkaz króla Stanisława przygotowano dla nich naprędce przepyszny ogród, zwany po dziś dzień *Promenade Medames*. Po drodze spotykały ich coraz to nowe owacy: tu konne amazonki, tam pasterze i pasterki na wozach, tam znów drobna dziatwa w przybórze rycerskim pod bronią.

Kilkotygodniowy pobyt ich u wód, był ciągłym pasmem zabaw i uroczystości. Dobry król Stanisław trzy razy odwiedzał wnuczki w Plombieres. Zamożne rodziny z całej Lotaryngii garnęły się tłumnie do ich boku. Nieodrodne wnuczki Stanisława, hojnie wspierały biednych; odwiedzały chaty, rozmawiały z ludem wieśniaczym, słowem wzięły udział w błogosławieństwach jakie otaczały imię dziadka. Długo Lotaryngia zachowała pamięć tych odwiedzin.

Z Plombieré przybyły do Lunevillu: król Stanisław uszczęśliwiony z gości swoich, wymyślał dla nich codzień nowe niespodzianki. Jedna z nich da wyobrażenie Lunewilskiego dworu.

Dnia jednego gdy towarzystwo królewskie kończyło obiad w maleńkim zamczku koło kaskady, dano znać że okręt holenderski ukazał się na kanale. Król poprowadził wnuczki szoroką aleją wśród tłumów ludu napełniających ogród. Cudny widok przedstawiał wielki kanał. Okręcił strojny w wieńce i flagi, przybliżył się do brzegu. Dwudziestu majtków i tyleż matłotek wysiadło na ląd przy odgłosie muzyki, majtkowie strojni w kaftany żółte z czarnymi wylogami, bramowane galonem srebrnym, trzymali w ręku wiosła. Towarzyski ich uroczy tworzyły obraz, w stroju matłotek holenderskich, w okrągłych czarnych kapelusikach, z których mnóstwo różnobarwnych wstęg spływało z wiatrem; w ręku ich błyskały wiosła złote i lazurowe. Król Stanisław patrzył nato widowisko równie zdziwiony jak i wnuczki. Była to niespodzianka. Przygotowana staraniem Sitera pierwszego, kamerdynera królewskiego. Zaprosił on z miasta dwadzieścia najpiękniejszych panien, i wszystko urządził tajemnie. Pary wykonały *matelota*, holenderski taniec z wiosłami, najmodniejszy w owym czasie. W końcu jedna z matłotek ofiarowała księżniczkom złote wiosło, i powtórzyła zwięzły wiersz, wyrażający że nowa Lotaryngia nie lęka się rozbić, dopóki Francya sterować jęj nie przestanie.

W tych uroczystościach Lotaryńskich ta szczególniej uderza okoliczność, że lud brał w nich serdeczny udział, jakby chciał tém samém okazać, jak ceni opiekę Francyi, z którą niedawno połączyły go losy. Niepodobna kłaść tych wszystkich oznak na karb pochlebstwa; cały skarbiec króla Stanisława nie starczyłby na zapłatanie owych demonstracyj. Znana dobroczynność Leszczyńskiego przyczyniła się zapewne nie mało do skłonienia ku Francyi serca Lotaryńczyków, ale taka sympatya miała głębsze jeszcze pobudki. Sięgały one zapewne odległych wieków, a tak były naturalne, że przyszłoby raczej pytać jakim sposobem dwa bratnie ludy mogły żyć tak długo w rozdzieleniu.

Księżniczki uszczęśliwione z podróży i pobytu w domu dziadka, powtórzyły w roku następnym te odwiedziny. Był téż to ostatni połysk słońca na ich niebie, odtąd bezustanku pochmurzonym.

Długie pasmo nieszczęść rodzinnych zaczęło się ze śmiercią księżnej Parmy, zmarłej w trzydziestym drugim roku życia. W kilka lat potem śmierć jedyne go brata Delfina okryła rodzinę żałobą; za mężem poszła w rok młoda Delfinowa; królowa Marya nie pocieszona po synu, z każdym dniem upadała na siłach; dobił ją cios ostatni: król Stanisław dziewięćdziesięcioletni starzec dokonał życia w Lunewillu; śmierć ta jak wiadomo spowodowana pożarem, tém bardziej zakrwawiła serce biednej córki i wnuczek. Marya nie zdołała przeżyć tylu pocisków: umarła po kilkoletnich cierpieniach.

Cztery córki boleśnie uczuły sieroctwo. Odtąd życie ich upływało w głębokiem jeszcze skupieniu. Dwór tymczasem po krótkiej żałobie urzędowej, nie utrzymywany już obecnością Maryi, rozpaszał się szalenie. Ludzie poważniejsi patrząc z boleścią na taki odmęt, nakłaniali księżniczki aby otoczyły króla wpływem swoim. Okoliczności same składały się po temu: pani Pompadour umarła nie długo po królowej. Adelajda z Wiktoryą, wystąpiły chwilowo na widownię. Przeszraszyło to zauszników królewskich. Sławny z rozpusty książę Richelieu, wynalazł wtedy w barłogu paryzkim, ową Dubarry, która tak ohydny pamięć zostawiła po sobie. Dwór Ludwika XV na schyłku, stał się tém, czém był niegdyś bezecny dwór reagenta Orleańskiego. Lud sarkał z oburzeniem. Coraz to grubsze chmury wzbierały na widnokregu. Francya szybkim krokiem pędziła do strasznej katastrofy.

Z boleścią i sromem patrzyły księżniczki na ten odmęt.— Wówczas to najmłodsza z nich Ludwika, wiedzioną szlachetną pobudką, okupienia win ojcowskich, postanowiła wstąpić do zakonu karmelitanek. Zamiar ten powzięty jeszcze za życia matki, nie uszedł czujnego jój oka. Wspominała o nim królowa Marya spowiednikowi swemu księdzu Biegańskiemu; z powodu wątłego zdrowia córki, obawiała się dla niej reguły tak surowego zakonu. Ludwika kochała gorąco matkę; nie chciała więc sprzeciwić się jój woli. W końcu jednak ohydny obraz bez rządów dworskich, skłoniła ją do spełnienia wielkiej ofiary.

Oblóczyny królownej odbyły się z wielką pompą.— Ludwika wbrew własnej woli, zmuszoną była wystąpić w kościele po królewsku, w purpurze i dyamentach; poczem odziana w karmelitański habit, zamknęła się za kratę klasztorną w St. Denis pod Paryżem.

Życie téj pobożnej księżniczki opisane było w kilku dziełach. Ostatni jój życiorys pojawił się w roku zeszłym w Londynie pod tytułem: *The life of Louisa de France*. Londyn 1869.

Małżeństwo nowego Delfina późniejszego Ludwika XVI z Maryą Antoniną, zmieniło cokolwiek postać dworu. Księżniczka jednak przeciwna zawsze polityce wiedeńskiej, nieprzychylném okiem patrzyła na związki z *austryacczką*. Obojętność ich dla Del-

finowej tém była większą, że i Marya Antonina stroniła wzajem od nich, posłuszna radom matki.

Bardzo ciekawy i charakteryzujący ową epokę, pozostał list Maryi Teresy, pisany w roku 1772. Cesarzowa radzi w nim Delfinowej, aby stroniła od ciotek mężowskich, a zbliżała się raczej do pani Dubarry, *która może być dla niej pożyteczną*. Wiadomo jak silnie wówczas działały na dworze francuzkim dwa prądy: jeden polski, tak świeżo przekazany przez króla Stanisława córce i wnuczkom, drugi przeciwny tradycyjnemu kierunkowi.

Nadeszła jednak chwila, w której niechętna Marya Antonina musiała skłonić głowę w obec poświęcenia księżniczek. W roku 1774, Ludwik XIV zachorował na ospę. Choroba objawiła się w sposób gwałtowny i tak silnie zaraźliwy, że do pięćdziesięciu osób na dworze zostało nią dotkniętych. Sami lekarze wchodząc do pałacu przedsiębrali wszelkie środki ostrożności; księżniczki tymczasem, jak świadczy pani de Genlis, nie opuszczały sypialni ojca: wszystkie trzy czuwały przy nim, przesiadując dnie i noce u wezglowia umierającego. Prózne były napominania lekarzy i pierwszych dostojników państwa. Wytrwały do chwili ostatniej. To wielkie poświęcenie wzbudziło cześć dworu i samęj Delfinowej. Współczucie dla osieroconych księżniczek wzrosło tém bardziej, gdy się dowiedziano że wszystkie trzy dostały ospy w kilka dni po śmierci ojca.

Bardzo krótko jednak trwała harmonia pomiędzy ciotkami a młodą królową. Pierwsza przyczyna tych nieporozumień leżała jak mówiliśmy w odwrotnym politycznym kierunku. Córki Leszczyńskiej nie mogły przebaczyć Maryi Antoninie, że jest córką Maryi Teresy. Złe powiększało się jeszcze, w skutek osobistego charakteru obu stron, a szczególnie w skutek walk dworskich. Marya Antonina z całą pompą przedstawiała królewskość i skłaniała się więcej do ogólnej atmosfery panującej na świetnym dworze Wersalskim. Księżniczki przedstawiały coraz zacięciój surowe zasady prowadząc życie jakoby pustelnicze. Raził je dwór królowej, wytworne jej stroje, piętrzone fryzury, przeciw którym powstawała szczególnie Karmelitanka Bosa, czego mamy dowód w własnoręcznym jej liście. Przyjaciele zmarłej matki zbierali się u nich i pod ich opieką tworzyli polityczne stronnictwa. Wzajemna niechęć nurtowała głucho lecz silnie.

Zal księżniczek powiększyła jeszcze okoliczność, że kiedy trzecia z nich Zofia, złożona śmiertelną chorobą, co chwila oczekiwała skonu, dwór ucztował i bawił się jak zwykle. Królowa opuszczając salę widowiska, uwiadomiona o stanie oplakany ciotki przybyła natychmiast do jej łoża; lecz widok Maryi Antoniny w brylantach i piórach przy wezglowiu umierającej, przepelnił tém większą goryczą serce Wiktoryi i Adelajdy. Zofia skonała w kilka chwil potem, a rozżalone siostry postanowiły opuścić dwór, który nasuwał im tyle bolesnych wspomnień.

Postanowienie księżniczek bardzo poszło na rękę Maryi Antoninie. Za jej to namową, król ofiarował ciotkom pałac w Bellevue położony między Wersalem a Paryżem. Pałac ten urządzony niedawno z nadzwyczajną wytwornością dla pani Pompadour przez Ludwika XV, dziwną stanowił sprzeczność z usposobieniem nowych właścicielek. Rozrzutność zmarłego króla, która była jedną z przyczyn wielkiej rewolucyi, pokazuje się i w tym *małym upominku* ofiarowanym ulubienicy. Był to jak mówili wówczas dworzanie „*małenki upominek*” warto przypatrzyć mu się bliżej.

Sień zdobiły dwa przepyszne posągi dłuta Falkomta i Adama, uosabiając poezyą i muzykę. Ściany sali jadalnej pomalowane pędzlem sławnego Oudry wyobrażały sceny z łowów. W salonie koncertowym, sześć ogromnych obrazów Vanloa, przedstawiało w alegoryi tragedję, komedyą i inne sztuki piękne. Pokoje codzienne pani Pompadour, pełne scen sielankowych, były arcydziełem Bouchera. Galeryja zawierała pierwszorzędné utwory mistrzów.

Rozkoszne ogrody otaczały pałac. Tu wśród niezliczonych grot i kaskad, wśród mistrzących posągów Pigala, wznosił się mały teatrzyk, arcydzieło smaku i wytworności. Mimo tych wszystkich przepychów, pani Pompadour pisała do przyjaciół: „Domek mój niewielki ale wygodny, chociaż zupełnie prosty.”

W tej to rezydencyi księżniczki spędziły ostatnie lata pobytu swego w kraju. Zajmowały się tu pilnie ogrodem i mleczarnią; wiele też chwil przepędzały w bibliotece, z piórem i książką w ręku. Była to ich rezydencya oficjalna, lecz umysł ich czynny nie mógł się zadowolnić tym zewnętrznym przepychem. Uszanowano na dworze wyższość ich umysłową; była nawet chwila że chciano oddać im w zarząd księstwo Lotaryngii i Baru. Marya Antonina byłaby zapewne wolała widzieć je panującemi w oddaleniu, aniżeli mieć je pod bokiem jako żywą protestacyą. Wyższe względy polityczne zniweczyły ten zamiar.

Księżniczki jednak potrafiły zadowolnić potrzebę działalności leżącą w ich charakterze. Kupiły w bliskości Reims margrabstwo Lonvoise. Tam dopiero czuły się prawdziwie swobodne, tu pełną ręką rozsiewały dobrodziejstwa na lud wieśniaczy, tu zajmowały się czynnie zakładaniem ogrodów, budową dróg, a nawet rolnictwem. Na pamiątkę pobytu ich w Lonvois posadzono przy kościele więź dotad istniejący. Lud dziś jeszcze pokazując podróżnym stoletnie drzewo, wspomina z błogosławieństwem imiona dobrych pań swoich.

W archiwach departamentu *Seine et Oise*, gdzie leży Bellevue odkryto właśnie te akta o których mówiliśmy z początku, świadczące wymownie o czynnem współczuciu Adelaidy i Wiktoryi dla Polaków osiadłych we Francyi, a nawet dla ubogich rodziu warszawskich.

Ludwik XVI szczerze był przywiązany do ciotek. Pamiętał on do śmierci jak Adelajda wzięła go pod opiekę, kiedy osierocony razem prawie po ojcu i po matce, płakał że nie ma kogo kochać. W każdej też okoliczności okazywał im tklive poszanowanie, co

drażniło stronników królowej. W roku 1784 gdy księżniczki zapragnęły jechać do Vichy dla poratowania zdrowia, a Marya Antonina opierała się temu, przedstawiając ubóstwo skarbu, Ludwik XVI odpowiedział w stanowczy sposób, iż zaprowadzi oszczędność podczas letniego pobytu w Fontainebleau, a tak ułatwi podróż ciotkom. Jakoż dopełnił co obiecał.

Księżniczki spędziły w Vichy lato r. 1785. Jak wszędzie tak i tu, okazał się ich umysł czynny i gospodarczy. Zakład kąpielny był jeszcze w kolebce; im to on zawdzięcza silny zwrot ku ulepszeniom. Ktokolwiek zwiedzał Vichy, a lubi śledzić pamiątki miejscowe, dostrzegł tam dowody pamięci mieszkańców; główne bowiem źródło nosi po dziś dzień nazwę *Source Mesdames*.

Nadeszły wreszcie czasy wielkich prób, czasy w których księżniczki drogo musiały okupić zaszczyt wysokiego rodu swego. Karmelitanka nie doczekała tych czasów: umarła w roku 1787.

Z licznój dziatwy Maryi Leszczyńskiej zostały tylko Adelajda i Wiktorya. Od lat młodych jak wiemy, Adelajda okazywała zawsze czynny umysł i energiczny charakter. Gromadząca się na widok burza nie uszła przed baczny jej okiem. Kiedy lud głodno sarkał na opłakany stan skarbu pod ministerstwem Calonna, Adelajda poczęła silnie pracować nad jego obaleniem. Opowiadają że raz, gdy się naradzała z królem w gabinecie, weszła nagle Marya Antonina. Zdumiona widokiem ciotki, królowa zatrzymała się w progu. „Obecność twoja nie przeskadza tu, zawołała księżniczka, pozostań pani z nami, idzie tu o ocalenie czci króla, twojej własnej i całego narodu w obec groźnego niebezpieczeństwa.” Calonne został oddalonym, lecz było już zapóźno.

Rewolucya szybkim postępowała krokiem: księżniczki opuściły Bellevue i schroniły się do Wersalu. Nadeszły pamiętne dni 5 i 6 października. Tłumy zbrojnego ludu otoczyły pałac królewski. Cały dwór księżniczek zgromadził się w ich salonie: Adelajda wpośród trwogi ogólnej, okazała nadzwyczajną moc duszy. Na okrzyk tłumów miotających obelgi, gdy oczy wszystkich obróciły się ku niej, wyrzekła spokojnie: „pokażmy im jak umierać z godnością.” Mieszkanie ich było na dole. Pozamykano okiennice, pospuszczano story. Nie było nic widać, ale co chwila nadbiegały najsprzeczniesze wieści. Około północy otworzyły się drzwi. Jeden z panów dworskich stanął w progu i zawołał donośnie: „Lafayette jest u króla!” Wszyscy osłupieli, księżniczki pobiegły do królewskiego gabinetu.

Ludwik XVI oznajmił wyjazd do Paryża. Pani Rochejaquelin opowiada w pamiętnikach, jak przypinała księżniczkom trójkolorowe kokardy. Wsiadły do karety w towarzystwie dam dworskich; jechały tuż za królem. Ale tłum ludu oddzielił je od orszaku królewskiego; oddział gwardyi narodowej otoczył ich karete. Księżniczki w ciągu drogi, rozmawiały spokojnie ze strażą; Adelajda szczególniej mówiła bez przerwy. W pięć godzin przybyły do Bellevue, gdzie pozwolono im mieszkać. Straż pozostała przy nich.

Księżniczki postanowiły opuścić Francją i udać się do Rzymu. W początku stycznia 1791 r., minister spraw wewnętrznych uwiadomił o tém władze w Melun, Auxerre, Lyonie i innych miastach, przez które wypadła droga. Po wielu trudnościach podpisano paszporta w Komunie. Wtém 3 lutego przyszło bezimienne zaskarżenie do klubu Jakóbinów. Uwiadomione przekupki paryzkie, wyprawiły deputacyę do księżniczek, z prośbą aby pozostały we Francyi. Nazajutrz tłum hurmem miał się rzucić na Bellevue. Ciotki królewskie na tę wieść pospieszyły tajemnie do Tuilleris, pożegnały rodzinę, słudzy tymczasem przygotowali wszystko do wyjazdu. Tegoż dnia wieczorem 19 lutego, puściły się w drogę.

Nazajutrz z rana tłumy obległy pałac. Poodbijano piwnice, wytoczono wino. Odjazd księżniczek, doprowadził lud do wściekłości.

Dzienniki rozsiewały bajki o wywiezionych z kraju milionach. Deputowany Barnave domagał się z trybuny postanowienia surowych praw przeciwko emigrantom. Wówczas to generał Bertier zajął Bellevue z oddziałem wojska: porozpędzał tłumy, sam wyprawił rzeczy za podróżnemi.

Księżniczki wyjechały o dziesiątej wieczorem, drogą do Fontainebleau; smutna to była podróż, na każdym kroku spotykały ich nowe przykrości, nowe upokorzenia! Kluby paryzkie nie mogąc przeszkodzić ich odjazdowi porozsyłały gońców do miast i wsi po drodze. W Moret pod Fontainebleau, tłumy oskoczyły powóz z przeraźliwym krzykiem „Na latarniel powiesić!” wołali przewodcy. Byłoby może przyszło do gwałtów, bo i sam mer przemawiał bardzo ostro, zarzucając nieformalność paszportów. Ocaliła ich tylko pamięć dziadka. Znalazło się przypadkiem w Merst stu strzelców oddziału Lotaryńskiego, który stał załogą w Fontainebleau. Ci wystąpili dzielnie, porozganiiali tłumy, rozwarli bramy miasta, i z należąną czcią przeprowadzili wnuczki dobrego króla Stanisława.

Nie tak łatwo rzeczy zakończyły się w Arnay le Duc. Nie było tu wiernych Lotaryńczyków, aby stawili czoło tłumom i municypalności. Przy wjeździe do miasta księżniczki otoczone groźném pospólstwem, mimo całej odwagi zmuszone były schronić się do domu zajezdneho. Urząd municypalny zatrzymał je gwałtem, wzbraniając jechać dalej, dopóki nie otrzyma upoważnienia z Paryża. Sprawa wytoczyła się przed Izbę. Mirabeau wystąpił w obronie uwięzionych.—„Zbawienie ludu—zawołał wielki mówca, nie może zależeć od podróży księżniczek do Rzymu. Podczas gdy będą się przechadzać w miejscu które było niegdyś kapitołem, my zbudujemy wiecznotrwały gmach naszej wolności!”

Spory w izbie przeciągnęły się długo. Menou rozstrzygnął rzecz ostatecznie. „Europa—rzekł—zdziwi się na wiadomość, że Zgromadzenie narodowe we Francyi spędziło cztery godziny, deliberując nad wyjazdem dwóch pań, które wołają słuchać mszy w Rzymie niż w Paryżu”

Nie nadeszła jeszcze chwila gdy słuchanie mszy prowadziło na gilotynę.

Zgromadzenie zgodnie z wnioskiem Mirabeau, uchwaliło jednomyślnie że: skoro nie ma we Francyi prawa zabraniającego podróży ciotkom królewskim, komuna w Arney le Duc nie powinna ich zatrzymywać.

Po jedenastu dniach więzienia, księżniczki wyjechały nakoniec. W każdym nieomal mieście spotykały ich nowe zniewagi; sam tylko Lyon przyjaźniejszy okazał usposobienie. Lyonczycy gotowi byli nawet wyprawić im owacyą; lecz przejechały spieszenie przez miasto w obawie jakiego zamieszania.

Gdy w Beauvoisin przebywały most na rzece oddzielającej Francją od Sabaudyi, po jednej stronie witano je biciem z dział, po drugiej miotano gradem słów obelżywych. Mimo pewnej już nadziei ocalenia, żal ciężki zakrwawił im serce. Przeczynały iż na zawsze opuszczają ziemię ojczystą! Wiktorya zalewała się łzami, Adelajda oniemiała z bólu.

Straż sardyńska towarzyszyła im od granicy. Nie łatwo im przyszło w tej porze roku przeprowić się przez górę Cenis, mimo że na rozkaz króla, czterystu żołnierzy odgarniało śnieg z drogi. Przybyły nakoniec do Turynu, gdzie czekał ich przygotowany pałac: król przyjął je gościnnie i serdecznie. Nie chcąc narażać go na koszt, księżniczki po dwutygodniowym spoczynku udały się do Bolonii.

W połowie kwietnia przyjechały wreszcie do Rzymu. Tu zajęły pałac urządzony dla nich z wielką wygodą i przepychem. Cała arystokracja rzymska pospieszyła z hołdami. Papież dał im natychmiast posłuchanie, a nazajutrz potem odwiedził je w ich domu.

Pobożne księżniczki zwiedzały pilnie kościoły. Pełne wyższego ukształcenia, oglądały też z zajęciem muzea i galerye rzymskie. Co dzień słuchały mszy w kościele Ś. Ludwika patrona Francyi. Niekiedy wyjeżdżały też i w okolice Rzymu. Adelajda zbliżała się chętnie do rolników i pasterzy; długie nieraz prowadziła z nimi rozmowy. Otoczone błogosławieństwem ubogich, wolne od więzów dworskiej etykiety, żyłyby tu swobodnie, gdyby nie dręczący niepokój o króla i Francją. Otucha wstąpiła w ich serca na wieść o ucieczce rodziny królewskiej, wkrótce przecież ta otucha zamieniła się w krwawą boleść, kiedy Ludwik XVI ujęty w Varennes, stawiony był jako zbieg i zdrajca w obec Trybunału rewolucyjnego.

Odtąd pobyt księżniczek w Rzymie był pasmem najsrozszych udręczeń. Każdy dzień przynosił im nowe, coraz bardziej zatrważające wieści. Tu opłakały skon króla, królowej, miłej im bratanki Elżbiety, i tylu wiernych przyjaciół. Były to dla nich czasy straszego sądu.

W r. 1796 zmuszone były opuścić Rzym, to schronienie tak odpowiednie usposobieniu ich umysłu i serca. Wojska tryum-

fującej Rzeczypospolitej zbliżały się do bram wiecznego grodu. Król neapolitański bliski ich krewny, ofiarował im wtedy pałac w Caserte niedaleko stolicy. Przebyły w nim trzy lata. W skutek obrotów wojennych, musieli wreszcie opuścić włoską ziemię. Postanowiły udać się do Tryestu.

Wielu naocznych świadków, w żywych barwach maluje tę podróż morską. Wielkie były trudności do zwalczenia. Trójkolorowa flaga Rzeczypospolitej panowała już nad Adryatykiem. Mieszkańcy portów najprzychylniejszych Burbonom, drżeli na samą myśl, że okręt księżniczki może do nich zawinąć. Tymczasem statek ich maleńki, zmuszony był trzymać się brzegów. Mieścił on do sześćdziesięciu osób; byli to emigranci, którzy szukali uchrony pod opieką księżniczki! a tu i same opiekunki w tak wielkiej żyły biedzie, że w ciągu trzydziestu dni podróży morskiej, nie miały nawet bielizny do zmienienia. Cóż mówić o innych potrzebach! Wszyscy upadli na duchu, majtkowie chcieli opuścić okręt na domiar nieszczęścia, księżniczka Wiktorya zachorowała mocno. Sama tylko Adelajda stała niezłomna wśród tyłu przeciwności. Ona jedna krzepiła wszystkich, zachowując zwykłą swobodę umysłu a nawet i wesołość!

Po rozmaitych przygodach, do których dodajmy i burze morskie, i krążących korsarzy, księżniczki dopłynęły wreszcie do Tryestu 19 kwietnia. Podróż ich z Neapolu trwała więc z górą trzy miesiące. Przyjęto je z hukiem dział i z honorami odpowiednimi ich godności, nie szło im przecież o honory, pragnęły tylko cichego i spokojnego kącika.

Znalazły w Tryeście ten spokój upragniony, ten spokój którego nie mogły już zmącić burze ziemskie. W kilka tygodni po przybyciu, młodsza z nich Wiktorya umarła 8 czerwca 1799 roku. Adelajda niezłomna dotąd, w obec tyłu nieszczęść, nie mogła przeżyć ostatecznego osierocenia. Od śmierci siostry gasła codziennie. Dokonała życia 18 lutego r. 1800. Po powrocie Burbonów na tron, przewieziono ich zwłoki z Tryestu do St. Denis.

Wiele pozostało listów księżniczek a szczególnie Adelajdy. Kilka z nich przytacza pan Barthelemy. Według niektórych pisarzy, znaczny ich zbiór był do r. 1815 w archiwum departamentu Seine et Oise. Ci którym znane były te listy, podziwiali w nich wysoki rozum polityczny niezachwiany w obec ostatnich wstrząśnień. Pan Barthelemy pomimo usilnych starań, nie wynalazł nigdzie owych listów.

Słyszeliśmy nieraz jako pewność, od osób w wieku, pamiętających dwuletni pobyt Ludwika XVIII w Warszawie, że z nim razem przybyły dwie ciotki, że kiedy król zajmował pałac Kazanowski, księżniczki obleczone w habit zakonney mieszkały u Wizytek, że tu nawet umarły i zostały pochowane czasowo. Może być że inne zakonnice, przybyły tu w gronie rodzin szukających opieki pod skrzydłem króla-emigranta; może być nawet że i same księżniczki miały zamiar połączyć się z bratankiem w Warszawie;

złąd powstała mylna tradycja o pobycie i śmierci w naszym mieście Wiktoryi i Adelajdy.

Ktokolwiek zwiedzał w Paryżu r. 1867 wielką wystawę, nie pominął zapewne tych hangarów białych oznaczonych czerwonym krzyżem, w których zgromadzone były liczne sprzęty i aparata przeznaczone dla rannych podczas wojny: owe nosze elastyczne, pasy z rzemienia, płótna, flaneli i t. p. Ogół patrzył z zajęciem na tę przezorność miłośników ludzkości, którzy uprzedzając niebezpieczeństwo, przemyślają jakby w danej chwili przynieść ulgę cierpiącym.

I któżby wtedy przypuścił że te pomysły filantropów tak rychłe znajdą zastosowanie? Wprawdzie wchodząc do pałacu wystawy, przejmował nie jednego mimowolnym dreszczem widok pruskiej armaty, z potworną paszczą tak szeroko rozwartą; armaty tak wielkiej że my sami wzięliśmy ją zrazu za lokomotywę; ale wrażenie zniknęło rychło w tej świątyni przemysłu i sztuk pięknych, gdzie powiewała tak pokojowa atmosfera.

Liczne przedmioty nagromadzone w owych białych hangarach pod godłem krwawego krzyża, przystane były z różnych krajów Europy przez członków *Międzynarodowego Towarzystwa pomocy dla rannych wojskowych*. Piękną myśl tego Towarzystwa podjął pierwszy p. Henryk Dunant, Szwajcar z Genewy, poruszony strasznym obrazem pobojuwiska Solferino. Pod témto wrażeniem napisał broszurę: *Wspomnienie Solferino*, w której przedstawił pierwszy plan swego pomysłu.

Nie będziemy tu wchodzić w organizacyą Towarzystwa, opartą na konwencji genewskiej z r. 1864, a rozwiniętą przez wzajemne porozumienie się różnych międzynarodowych komitetów, podczas wystawy paryzkiej w r. 1867. Rzecz to znana powszechnie; podejmowały ją wielokrotnie dzienniki. Przypomnimy tylko, że owoce zrodzone z tej instytucyi, w czasach ostatnich a tak krwawych wojen, stawiają p. Dunant w rzędzie prawdziwych dobroczyńców ludzkości.

Jeszcze przed konwencyą genewską, myśl rzucona w broszurze p. Dunant, znalazła pierwsze urzeczywistnienie w Ameryce podczas pamiętnej wojny domowej. Kobiety amerykańskie z niesłychaną energią zabrały się do dzieła. We dwa tygodnie po sławnej proklamacyi Linkolna zawiązały w Nowym Yorku *Komitet sanitarny*, w celu uorganizowania pomocy rannym. Ten komitet w krótkim czasie ogromne przybrał rozmiary. Same cyfry statystyczne wymownie świadczą o gotowości do ofiar Amerykanek. Według urzędowego sprawozdania z r. 1864, przysłały na rzecz Towarzystwa miliony przedmiotów, oszacowane lekko na 46,000,000 franków. Ofiary pieniężne wynosiły fr. 18,330,000.

Po przywróconym pokoju w Stanach Zjednoczonych, *komisya sanitarna* nie przestała pracować. Wielkie fundusze, zasilane

wpływem nowych składek, pozwoliły na urządzenie domów przytułku dla inwalidów, i na stałe wspieranie wdów i sierot.

Przyszła wkrótce kolój na Europę. W dwóch wojnach Prus z Danią i Austryją, zwłaszcza téż w ostatniej, Towarzystwo wsparcia rannych, znalazło pole do czynnego wystąpienia. P. Dunant w broszurze z r. 1866, p: t. *Braterstwo i miłosierdzie międzynarodowe podczas wojny*, mówi o wielkich zasługach komitetu, który w imię ludzkości, powołał wszystkie istniejące w Prusach instytucje filantropijne oraz bractwa i zakony miłosierdzia bez różnicy wyznań, i ze wspólném ich udziałem, rozwinął dobroczynną opiekę. Cyfry wykazują że 25,000 rannych z wojska austriackiego, otrzymało ratunek od pruskiego komitetu, dzięki międzynarodowemu charakterowi instytucji. Austria dopiero po bitwie pod Sadową przystąpiła do konwencji genewskiej.

Panie pruskie, gorliwy wzięły udział w czynnościach komitetu. Oprócz tych które pracowały w Berlinie, to otwierając własne domy dla rannych, to doglądając ich po szpitalach; przeszło sześćset kobiet udało się do Czech i w inne miejsca walki, gdzie nieustraszone hukiem działa pielęgnowały zarówno swoich jak i nieprzyjaciół.

Nigdzie jednak wielkie dzieło p. Dunant nie rozbudziło tak gorącego zapалу, nie wywołało tylu ofiar jak dziś we Francji. Tu otoczono je czcią prawdziwie religijną. Wielcy i mali, mężczyźni i kobiety, duchowni i świeccy, panie wielkiego świata i proste wyrobnice, zapisują się na czynnych członków Towarzystwa. Cudzoziemki nawet przebywające w Paryżu: Amerykanki, Szwedki i t. p. nie ustępują w gorliwości Francuzkom. Darów sypiących się zewsząd obliczyć niepodobna. Główna kwatera komitetu założona w pałacu przemysłowym na Polach Elizejskich. Od czasu do czasu, komitet wyprawia jeden tak zwany ambulans do armii. Ambulans składa się z siedmiu wielkich furgonów z potrzebnymi przyborami. Służbę przy nim pełnią: chirurg naczelny, czterech zwyczajnych chirurgów, dwudziestu dwóch pomocników, kassyer, dwóch adjunktów, ksiądz katolicki, pastor protestancki, nakoniec czterdziestu pięciu infirmerów; w liczbie tych są kobiety.

Prawdziwie to rozrzewniający widok kiedy taki ambulans przechodzi przez bulwary. Tak mężczyźni jak i kobiety należące do służby, niosą w ręku chorągiew białą z czerwonym krzyżem. Wszyscy zacząwszy od kapłana i naczelnego chirurga mają na ramieniu białą opaskę naznaczoną również znakiem krzyża. Niezliczone tłumy ludy wylegają ku nim za miasto; żegnają odchodzących okrzykiem uwielbienia, łzami i błogosławięństwem. Najobojętniejsi zdejmują kapelusze; *chapeaux bas!* woła tysiące głosów. Liczne składki sypią się przy każdym takim pochodzie; nieraz bogacz poruszony do głębi serca rzuci bilet tysiąc-frankowy; ubodzy składają po miedziaku.

Wszystkie Paryżanki zajęte dziś pracą na rzecz Towarzystwa. Wielkie panie, w oczekiwaniu rychłych wypadków pod Paryżem,

przysposabiają w domu łózka dla rannych; mniej zamożne zbierają składki, szyją bieliznę, skubią szarpie; każda jak może przyczynia się do zbiorowego dzieła, chociażby wdowim groszem, albo pracą rąk własnych.

Towarzystwo międzynarodowej pomocy dla rannych, śmiało rzec można, stanowi epokę w naszej cywilizacji. Imię Henryka Dunant stanie u potomnych przy imieniu Lessepsa. Jak wielki inżynier połączył dwa światy wiekopomnym kanałem Suezkim, tak wielki filantrop, rozbudzając uczucie ludzkości do najwyższych ofiar i ogarniając wspólnem miłosierdziem samychże nieprzyjaciół, łączy serca przed chwilą nienawistne.

Osobistość p. Dunant jest w zupełnej harmonii z dziełem jego, które mu zapewniło wieczną sławę i więcej jeszcze, bo wdzięczność całej ludzkości. Mamy szczęście znać go osobiście. Na jego obliczu, w słodkim wyrazie oka, snadno dopatrzeć to spokojne a głębokie uczucie, tak niegdyś wstrząśnięte widokiem pola bitwy pod Solferino, że wydało okrzyk który się odbił w sercach milionów. P. Dunant szczęśliwszy od tylu myślicieli, znalazł urzeczywistnienie swego ideału, urzeczywistnienie cechujące tak szlachetnie dzisiejszy okres dziejów Europy i świata całego!

Znany poeta p. Manuel przedstawił w rzewnym scenie dramatycznej obrazek z życia ambulansowego. Obrazek ten tylko co nam wpadł w ręce; damy go w przekładzie w następnej korespondencji. Dziś załączamy inny wiersz p. t. *Wyprawa* (le Départ) p. Pailleron, deklamowany w teatrze francuzkim, podczas widowiska na korzyść wspomnianej instytucji.

W Y P R A W A.

I.

Tak straszliwych zapasów wieki nie zaznały!
 W serce Rzeczypospolitej uderza świat cały.
 Bo w niém drga życie wieków!... na miazgę ją zgniotą?
 Granica jak dziurawe zszarpane rzeszoto,
 Rozwartemi szczeliny wróg tłumnie się wdziera;
 Pędzeni przez Brunszwika, szczwani przez Luknera,
 Nasi pierzchli w popłochu!... rozpacz w sercach wzrasta,
 Broń rzucają żołnierze, poddają się miasta.
 I mocne lwy niekiedy na sercu paść mogą!
 Już Francya konała.

W tę chwilę złowrogą
 Spójrzy na tylu synów starzane w krwi kości,
 I wybiegł krzyk ostatni z głębi jéj wnętrzości;
 Na ten krzyk straszny ziemskie wstrząsły się posady.

Bóg cudem swoją Francją ustrzegł od zagłady.

W on czas ćma żartkiej młodzi do szeregu stawa,
 Wyrastaż-li z pod ziemi jak na wiosnę trawa?
 Wielki cel przed oczyma świeci im jak słońce.
 O! dziwniż to zaprawdę ci kraju obrońcel
 Żaden miary nie dorósł, wąs ledwie się puszy,
 Lecz w sercu dość ma ognia i dość hartu w duszy.
 Nie wie jak władać bronią, ale umrzeć skory;
 W tym tłumie obozowej nie dopatrzysz sfory.
 Pędzą naprzód jak starzy burzyciele świata,
 Łachmanem na ich grzbiecie wiatr szumno pomiata,..
 Piękniz byli zaprawdę ci nasi ojcowie,
 Gdy krzepiąc dzielność ducha bohaterским rymem,
 Porwali się za bary ze światem olbrzymem.
 A wzrok ich dumnie błyskał tryumfem i chwałą,
 Wślad ich łzawe niewiasty biegły z dziatwą małą
 Patrząc, jak się krwią mężczyzn piszą dziejów karty.
 I ta nędzna hołota w sukmance podartej
 Bez wodza, zbrojna w pikę lub w krucicę starą,
 Ze śmiechem na armaty rzucała się chmarą.
 Konąta z pieśnią, w ustach! O! byłoż ich wiele,
 Po trupach ległych braci darli się mściciele;
 Aż widząc te krwi morza, te trupów pokosy,
 Ku Rzeczypospolitej zwróciły się losy;
 I wróg pomknął z gniazdz naszych wytropion obawą
 I uznał świat zwycięztwem okupione prawol

Tych dzielnych zamięc wieku porwała szalona.

Czas pokrył niepamięcią te ciche imiona;
 Kilka z nich ledwie błysło w wielkiej księdze chwały,
 Śmierć nie pomni swych ofiar... imiona przebrzmiały.
 Mogłyżby wszystkie przeżyć?... gdzież miejsce po skonie
 Dla tylu bohaterów w świata panteonie?

Oni przecież to pierwsze zaciągnęli belki
 Do bramy naszych zwycięztw tak trwałej a wielkiej,
 Przez którą chwała Francyi śmiało w przyszłość kroczy,
 I światu zdumionemu cuda rzuca w oczy.

II.

A wy, nowi szermierze tych nowych zapasów,
 Idźcież śmiało, jak oni szli za dawnych czasów,
 Naprzód więc ochotnicy, naprzód weterany!
 Wiedźcie młódź w ogień bitwy tak dobrze wam znany;
 W waszym ręku powiewał ten proporzec święty,
 Zwycięzcy Solferino, pogromce Magenty!

Żołnierze! i wam przyszło w nowój lat kolei,
 Dźwignąć wzrąb wiecznotrwały nowój epopei,
 Po léciech ósmdziesiąt, i wam jeszcze dano
 Zdążyć chlubnie tą drogą przez ojców zdeptaną,
 Zar co palił ich serca i wam tleje w oku;
 Syny tych, co przed wrogiem nie cofali kroku.
 Idźcie bracia, gdy patrzym na ten sztandar stary,
 Pierś nasza drga płomieniem otuchy i wiary;
 Idźcie!... synom Tytanów czyż siły nie starczą?
 Oh! Francya bezpieczna za serc waszych tarczą!

Nieszczęśliwe okoliczności w jakich dziś żyjemy silnie wpłynęły na kierunek i na charakter nauk we Francyi. Ostatnim czynem cesarzowej Eugenii w wydziale naukowym i filantropijnym jest zawiązanie Towarzystwa *Wykładu nauk lekarskich dla kobiet*.

Głównymi fundatorami tego towarzystwa są: pp. Duruy były minister oświecenia, Husson członek instytutu, Millus Edward dziekan wydziału nauk w instytucie, Nelaton sławny chirurg, Paweł de Courtielle professor języka tureckiego w kollegium francuzkiem.

Każdy z fundatorów złożył po 200 fr. Członkowie towarzystwa do których przypuszczone i kobiety zobowiązują się płacić rocznie po 20 fr.

Kurs rozłożony na trzy lata. Kandydatka powinna mieć przynajmniej ósmnaście lat skończonych. Przy zapisaniu się obowiązana zdać egzamin z odbytych nauk. Uboższe otrzymują wsparcie z funduszu ogólnego.

Wykład będzie zarazem teoretyczny i praktyczny. Uczennice mają służyć kursów objętych programatem; uczęszczać na konferencye korepetytorów; pisać wypracowania; robić dyssekcye i rozbiory chemiczno-farmaceutyczne; wprawiać się w praktykę chirurgiczną. Obowiązane też zwiedzać szpitale, gdzie pod okiem siostr miłosierdzia mają spełniać zwykłe posługi.

Rok pierwszy przeznaczony będzie głównie na nauki stanowiące podstawę medycyny: nauki przyrodnicze, chemią, fizykę zastosowaną do sztuki lekarskiej i anatomiją.

W pierwszym półroczu, uczennice będą chodzić na kursa wyższych nauk wykładane w Sorbonie dla kobiet, mające za przedmiot wiadomości elementarne z fizyki, chemii, botaniki, anatomii, fizjologii zwierzęcej, matematyki.

W drugim półroczu odbędą specjalny kurs chemii farmaceutycznej i lekarskiej, lekcye specjalne anatomii i fizjologii ludzkiej, lekcye higieny i patologii tyżące się szczególniej chorób dziecińczych.

Od drugiego półroczu chodzić mają do wskazanych im szpitalów. Konferencye dopełniające wykład, czynione będą przez korepetytorów specjalnych.

W ciągu trzyletniego kursu, uczennice które mają zamiar praktykować w muzułmańskich krajach, będą brały trzy razy w tydzień lekcję tureckiego lub arabskiego języka. Po trzech latach nauki i odbytym egzaminie otrzymają patenta.

Ta instytucja naukowa jest bardzo ważnym objawem w postępie wychowania kobiet we Francji. Przed trzema laty jak wiemy, fakultet medyczny stanowczo zabraniał im wstępu na kursa, potrzeba było szczególniej interwencji samego ministra oświecenia, aby wyjednać tolerancją dla jednostek. Wprawdzie jeszcze dziś prawo fakultetu nie złamane, a jednak potrzeba kształcenia kobiet w medycynie tak silnie czuć się daje, że oto ludzie nauki i serca, łączą się aby uczynić jej zadosyć.

Wprowadzenie języków wschodnich do szkoły medycznej kobiet, jest niezawodnie pomysłem samej cesarzowej, a skutkiem jej podróży po Wschodzie. Wiadomo że wstęp do haremów bardzo utrudniony dla samych nawet lekarzy; ztąd światła kobieta-lekarka może tam wywierać wpływ prawdziwie dobroczynny.

Hrabina Gasparin tak przemawia do kobiet Francji i Niemiec:

„Nieznaną siostrą podnosi ku wam głos błagalny!

Wasza tkliwa opieka otacza tysiące rannych; możemy spełnić czyn wznioślejszy.

Powstańmy! Rzućmy serca i modlitwy pomiędzy dwa ludy mordujące się wzajem.

Starożytni ukazują nam niewiasty pogańskie, jak z wyciągniętymi w górę ramionami, szły między zapaśników. My chrześcianki, mamyż nie sprostać pogankom?

Dosyć już mordów! dosyć już serc rozdartych! Dosyć już zmiecionych pokoleń! Ziemia przesycona krwią synów swoich!

Kobiety wszystkich krajów! podajmy sobie ręce, przez graniczne kopce i słupy.

Zmuszmy do wzajemnej miłości ludy mordujące się bez nienawści osobistej. Jeżeli my matki, małżonki, oblubienice i siostry, tak Francji jak Niemiec, zapagniemy szczerze pokoju, pokój musi nastąpić.

W imię Boga powstańmy! połączmy się, wygrajmy wielką bitwę!

Będzie to wiekopomny tryumf 1870 roku.”

Na tém kończymy dzisiejszą kronikę. Trudno nam wiedzieć czy będzie w mocy naszej pisać następną w Paryżu. Dziś tu na porządku dziennym wyprawianie z miasta *gąb nieużytecznych* (bouches inutiles) według przyjętego wyrażenia. Stosuje się to, nietylko do ludzi, ale nawet do wszystkiego co żyje, słowem tak do czworonożnych jak i dwónożnych darmozjadów. Wykonanie wyroku rozpoczęto od zwierząt. Lwy i lwice, lamparty i pantery z ogrodu botanicznego wyprawiono częścią do Brukselli, częścią zaś do Londynu. Opróżnione kojce zajęły kury, gęsi, indyki, policzone przez ekonomistów do kategorii *pożytecznych gąb*, ma się rozumieć czasowo, dopóki nie staną się pastwą innych pożyteczniejszych. Na témże prawie ekonomii cały ogród Luksemburski wypełniony dziś baranami, piękny lasek Buloński, zamieniony w obrzymią oborę, mieszczącą 25.000 wołów.

Pomysł wydalenia darmozjadów ze stolicy, wyszedł od pana Juliusza Simon. Zrazu dzienniki protestowały przeciw wyrokowi tak prozą jak i żartobliwym wierszem. Dziś jednak, kiedy w nowym składzie rządu, Juliusz Simon został ministrem oświecenia, to co dotąd uważano za utopią, zamieni się pewno w niechybną rzeczywistość.

W każdym razie przygotowaliśmy liczne materiały w książkach na wypadek wyjazdu. Możemy więc śmiało zaręczyć, że choćby oblężenie przeciągnęło się tyle czasu, na ile wystarczą owe nagromadzone woły i barany, Biblioteka Warszawska stale otrzyma wać będzie swoją miesięczną korespondencyą.

Z DREZNA.

Konserwatyzm niemiecki. — Przywiązanie do tradycji. — Odrębność życia prowincjonalnego. — Wioska Ammargau w Bawaryi. — Dyalog „o Męce Pańskiej.” — Próby z niego przez naoczego świadka. — Panna Klara Ziegler znakomita tragiczna aktorka. — Zamilowanie w Niemczech do dzieł Szekspirowskich. — Rocznik Szekspirowski. — „Burza” (dramat). — Dr. Juliusz Pabst. — Czasopismo cesarsko-królewskiego muzeum, dotyczące sztuk i przemysłu. — Falszerstwa starodawnych przedmiotów sztuki. — „Jeografia świata handlowego.” — „Lieder zu Schutz und Trutz.” — „Die Sternwarte.” — Odnowienie katedry św. Wita w Pradze Czeskiej. — Nowe dzieła.

Duch narodu niemieckiego przeważnie konserwatywny, dziś nawet pomimo ogólnie cywilizacyjnych wpływów, pomimo politycznych przekształceń państwowych, przechował wiele tradycji odnoszących się do obyczajowego i politycznego życia, które u innych narodów bez śladu prawie poznikały. Średniowieczne municypalne instytucje lubo w części zmienione, mianowicie w większych ogniskach handlowego ruchu, zostały przechowane jako zabytki historycznego miast rozwoju i znaczenia. Odnoszące się do owych czasów obywatelskie stowarzyszenia, istnieją po większej części dotąd jeszcze; na przykład strzeleckie towarzystwa łuczników, przed laty klikuset zawiązywane, dla obrony miast przed nieprzyjaciółmi albo feodalnymi możnowładcami, przetrwały do naszych czasów i w Dreźnie przynajmniej, każdego roku w miesiącu sierpniu, wyprawia publiczne igrzyska, popisując się celnością strzałów tej starożytnej broni i obierając uroczyście króla, który w każdym wypadku przez rok swego panowania, przewodniczy owęj kilku wiekowej instytucji. Monarcha saski wraz z swoją rodziną należy także jako członek do zgromadzenia i ubiega się na równi z innymi obywatelami w strzelaniu z łuku o godności i zaszczyty na najdzielniejszych strzelców przypadające. Pomimo równouprawnienia politycznego, pomimo zasad konstytucyjnych w całych Niemczech dzisiaj istniejących, stosunek patryarchalny ludu do panującego, albo do dzie-

dziców z odwiecznej linii pochodzących, w wielu miejscowościach przechowywa się z małemi w gruncie rzeczy zmianami. Niwelujący wszystko strych cywilizacyjny i ustrój państwowy, na obyczaje Niemców powolny tylko wpływ wywiera. Ztądto dla badacza społeczności, jest w Niemczech pole niewyczerpane, bo co prowincya to inne obyczaje, inne tradycye obywatelskiego zycia, a wszędzie, pomimo powierzchownej dążności do unifikacji jaka szczególnie w ostatnich czasach, w politycznej dziedzinie ogromne uczyniła postępy, każda prowincya stoi silnie przy swoich obyczajach, tradycjach, przy swoich przywilejach. Wieki jeszcze przeminą, zanim pod tym względem duch odrębności w Niemczech, rozplynie się w jedną państwową całość. Wyliczać wszystkie tradycyjne instytucje i obrzędy, które z dziwną wytrwałością przechowały się w Niemczech aż do dni naszych, jest niepodobieństwem, ale musimy słów kilka powiedzieć o uroczystości, jaka peryodycznie od wieków odbywa się we wsi Oberammargau w górnej Bawaryi (1).

Jestto rodzaj widowiska teatralnego, znanego także w dawniej Polsce pod imieniem *Misteryi*. Wójcicki w dziele swoim *Teatr starożytny*, podaje obszerniejsze o tych uroczystościach szczegóły. Duchowieństwo nasze przewodniczyło im zwykle, a w początkach XVI wieku, grywanie dyalogów o *Męce Fańskieij* w ostatnim tygodniu wielkiego postu, we wszystkich znaczniejszych miastach było w powszechném prawie użyciu. Gdy zwyczaj ten w Polsce i w innych krajach zniknął zupełnie, w Ammargau przetrwał aż do dnia dzisiejszego. Ani burze polityczne, ani wielkie i długie wojny, ani pęd cywilizacyjny za pomocą nowożytnych materyalnych środków, zacierający odrębności społeczne i indywidualne, żadnego zdaje się na pewne w Niemczech gminy, nie może wywrzeć wrażenia; pokolenia jedne po drugich znikają, ale obyczaje i tradycje pozostają nienaruszone. Przejmują one pewne ulepszenia i zmiany, będące owocem materyalnego postępu obecnych czasów, ale dlatego tylko, aby odwiecznym owym uroczystościom gminnym, świetniejszą jeszcze nadać formę.

Znaczenie tego dyalogu (*Passionsspiel*), jest dzisiaj w Niemczech ogromne; odbywa się on tylko co lat dziesięć: każdy więc odwieczny ten zabytek pragnie choć raz widzieć. Tłumy podróżników dążą do Bawaryi, jakby na jaką narodową uroczystość; artyści dramatyczni, malarze, rzeźbiarze, literaci, dziennikarze, w bieżącym mianowicie roku, ze wszystkich zakątków Niemiec, spieszyli do cichej przez lat dziesiątek wioski Ammargau, ażeby ujrzeć widowisko będące niegdyś pierwiastkiem nowożytnego teatru; czasopisma krajowe tak dziś wszędzie upowszechnione, nadają mu roz-

(1) Właściwie wioska ta nazywa się Ammargau, lecz dla odróżnienia jęj od innych tego samego nazwiska w dolnej Bawaryi, dodają *Ober*. Liczy ona około tysiąca ludności, zajętej głównie na wzór innych osad tyrolskich, snycerstwem drewnianych wyrobów.

głos i znaczenie, jakiego nigdy przedtém nie miało. Zanim pierwsze przedstawienie *Męki Pańskiej* się odbyło, już wielu literatów pragnęło osobiście przekonać się o przygotowaniach do niej na miejscu czynionych, ażeby szczegółowemi sprawozdaniami podnieść ciekawość publiczności; przedsięwzięcie to było połączone z nie-małemi trudnościami: nie każdego do tajemniczych przygotowań dopuszczano. Znaleźli się jednakże tacy, co zdołali dopiąć zamierzonego celu i złożyli sprawozdania, które ze względu na ogólne zajęcie jakie w pierwszych miesiącach bieżącego roku w Niemczech wywierały, nie będą bez interesu dla czytelników naszych.

„Postanowienie, powiada jeden z pisarzy, ujrzenia po latach dziesięciu raz jeszcze owego religijno-dramatycznego widowiska, wiele mi dało do myślenia. Wrażenia jakich naówczas doznałem, w świeżej jeszcze dotąd miałem pamięci i nieraz zadawałem sobie pytania: jak ta mała wiejska gmina w bawarskich górach schowana. jest w stanie przedsięwzięcie tak olbrzymie, pomyślnie do skutku doprowadzić. Jeżeli więc samo wykonanie *Męki Pańskiej* słusznie ciekawość całych Niemiec wzbudza, to przygotowania do niego, zaiste muszą być jeszcze ciekawszemi. Przyszło mi tedy na myśl udać się do Ammargau i osobiście przyjrzeć się wszystkiemu. Rozchodziły się wprawdzie wieści, iż skromni mieszkańcy téj gminy, pracując z całym sumienném przejęciem się zadania, nie dopuszczają nikogo z obcych do uczestniczenia na próby, jednakże z wielu powodów miałem prawo wnosić, iż dla mnie znajdzie się pewien wyjątek. Nie namyślając się długo, wsiadłem do pocztowego omnibusu, spuszczając się na moją szczęśliwą gwiazdę. Podróż zimowa w tym górzystym kraju, nie wiele przyjemności przedstawiać mogła; ciężki powóz z trudnością tylko i noga za nogą włókł się po drodze. Nareszcie późno wieczorem, zziębnięty i zmęczony dobrze, stanąłem na miejscu, przed drzwiami gościnnej oberży, nazwanej *Schwabewirths*. Pomimo dojmującego zimna i śnieżnej zawiei, ze wszystkich jęj okien biło rześiste światło, a dosadny rytm jakiegoś uroczystego marsza, granego przez orkiestrę złożoną z samych dętych instrumentów, niby na powitanie obił się o uszy moje. Pocztylion pomagając mi wysiąść z omnibusu, powiedział poufnie iż dobrze trafiłem, bo oto właśnie muzyka próbuje marsza, którym ma zwyczaj w wilią przedstawienia gości witać i nazajutrz rano budzić ich na widowisko. Zasiadłem wkrótce w jednym kącie sali, nie troszcząc się o to, co zebrani goście pomyślą sobie o mnie; gospodarz powitał mnie z pewnym rodzajem zdziwienia, myśląc iż należą do klasy ludzi nazwanej tu *Musterreiter*; tak bowiem przezywają w tym kraju komisantów jeżdżących z próbkami towarów w celach handlowych i przy kufłu piwa, które mówiąc nawiasem, jeżeli tak dobre podczas wykonywania *Passeyi* gościom przyjednym rozdają, to sława tego narodowo-bawarskiego trunku, nic ze swego rozgłosu nie straci. Sufit oberży ułożony z belek, suto w rozmaite herby rzeźbionych, pochodził z czasów, gdy cały po-

łudniowo-europejski handel przez Partenkirchen i Ammargau miał swój trakt główny; mieszkańcy tej ostatniej wioski mieli nawet cesarski przywilej, iż oni tylko jedni, mogli transportować dalej na północ towary, przez ich gminę przechodzące. Ale te dobre czasy dawno już minęły, bogactwo do jakiego z tego powodu dochodzili rozchwiało się, zniknęło, tak jak poznikali kupcy, furmani, mekle-rzy, a tylko rzeźbione herby na sufitach, świadczą dzisiaj o minio-nej na zawsze świetnej niegdyś wielkości mieszkańców. Towarzystwo pośród którego tak niespodzianie zawitałem, miało swoją właściwą cechę: składało się po większej części z młodych ludzi, bawiących się żywą, ale w sposób bardzo przyzwoity prowa-dzoną rozmową i grą w karty. Strój ich niczem się tak dalece nie odróżniał: wszyscy prawie mieli na sobie charakterystyczną kur-kę z szarego sukna o zielonym stojącym kołnierzu, *Joppa* nazywa-nym. Po sposobie noszenia długich włosów i bród, można by mniemać iż grono tej młodzieży składa się głównie z malarzy albo in-nych artystów: po części tak jest w istocie. Głównym źródłem dzisiejszego bogactwa Ammargau, jest snycerstwo; więcej jak trzy czwarte części ludności, zajmuje się tylko obrabianiem kunsztow-ném drzewa i wysyłaniem snycerskich swoich wyrobów jako to: ramek, pudełek, zabawek dziecinnych, figurek i t. p. rzeczy za gra-nicę. Wielu z tych młodych ludzi miało brać czynny udział w *Me-ce Pańskiéj*.

Wdawszy się z niektórymi gośćmi w rozmowę, dowiedziałem się, iż w czasie mięsopustu, w każdą niedzielę odbywa się próba z dramatu, a co czwartki z muzyki, i przynajmniej połowa dzieła musi być wykonana. Właśnie dzień następny był niedzielą; musia-łem się więc spieszenie wziąć do dzieła, aby sobie zapewnić wolny wstęp na jutrzejszą próbę, gdyż inaczej cała moja podróż byłaby straconą. Udałem się rano zaraz na probostwo i przedstawivszy się księdzu Müllerowi miejscowemu proboszczowi, który mnie jaknaj-lepiej przyjął, otrzymałem od niego zapewnienie, iż uczyni wszyst-ko co tylko będzie w jego mocy, ażeby życzeniu mojemu dogo-dzić; jednakże nie tań, iż to połączone jest z wielkimi trudnościami, gdyż gmina zawarowała sobie, że nikt z obcych nie może być na próbach przytomnym. Dodał jeszcze, iż dzisiaj, o ile mu wia-domo, z powodu złego powietrza, próba miejsca mieć nie będzie, gdyż miano zamiar odbyć ją na wystawionym umyślnie dla *Passyi* teatrze, lecz śniegu dużo upadło i zapewne odłożą ją na później. Widok mojego zmartwienia z powodu zawiedzionych nadziei, a wię-ciej jeszcze polecające listy w jakie szczęściem zaopatrzyłem się do proboszcza od jego przyjaciół, sprawiły tyle, iż zacny ten człowiek postanowił natychmiast dowiedzieć się o wszystkiém, i w razie, je-żeli próba się odbędzie, wyrobić mi od zgromadzonych na nią współgrających pozwolenie wejścia. A tym czasem radził mi wró-cić do oberży i oczekiwać cierpliwie na wiadomość od niego; wra-zie jeżeli mu się to uda, o czém jednakże wątpi, to niezwłocznie przy-śle po mnie.

Ze próba już się zaczęła niezawodnie, o tém miałem najlepsze przeświadczenie na mojej spalonej pieczeni, ale że otrzymam pozwolenie udania się na nią, coraz więcej zacząłem o tém powątpiewać. Kwadrans po kwadransie upływał, a posłańca ani śladu; już nawet przychodziły mi na myśl wiersze o *Piekle* Dantego, gdy ukazał się z upragnieniem oczekiwany posłaniec, który mi dał znak abym mu towarzyszył.

Wprowadzono mnie do niezwyczajnie długiej, chociaż nieco niskiej sali, zapelnionej aktorami: próba w najlepsze się już odbywała. Przy jednym stole ujrzałem siedzącego proboszcza z drugim jakimś duchownym; dowiedziałem się później iż to jest radca Daisenberger; poprzednio zajmował on tutaj obowiązki proboszcza i jemu to zawdzięczać należy poprawienie tekstu i nadanie lepszej formy dramatowi Passyjnemu. Wysłużywszy ćwierć wieku miejscowej gminie, nie przyjął ofiarowanego sobie wyższego w hierarchii kościelnej dostojęstwa, bo miliej mu było pozostać w wiosce do której z całej duszy się przywiązał. Obok nich siedział jeden ze starszych tutejszych mieszkańców, przed nim leżała książka z tekstem dramatu i w miarę jak go odgrywano, czytał uważnie. Ażeby nikomu nieprzeszkadzać, stanąłem sobie we framudze okna skłoniwszy się poprzednio i cały utonałem w widowisku, jakiego jeszcze nigdy podobnego przed oczami nie miałem.

Byłem ja już nieraz przytomnym próbom scenicznym i sam wielokrotnie w nich czynny udział brałem, ale spostrzegłem od razu, iż tu o coś więcej idzie, jak o zwykłą dramatyczną próbę. Ci prości wioski mieszkańcy, zdawało się iż są do gruntu duszy przejęci tą olbrzymią śmiercią Zbawiciela tragedją: żadnej sztucznej deklamacyi w ich mowie, żadnej przesadnej akcji w ruchach, dostrzedz nie można było. Rzekłbyś, iż ci ludzie zrośli się z charakterami osób które przedstawiają, taka w nich natura, taka prostota. Czy był jaki reżysser, dyrygujący dramatem, tego nie wiem; każdy wchodził na scenę i stawał na właściwem miejscu, bez widocznego kierownictwa, spokojnie oczekując na ostatnie słowa mówiącego, ażeby ze swoją dykcją wystąpić; zaledwie raz tylko jakiś człowiek ukazał się z instrukcyjną książką w ręku na scenie, dla wypełnienia chwilowej luki. Sceny zaś w których większe massy aktorów udział brały, jako to: gdy Jezusa na górze Oliwnej napadano, z taką zdumiewającą precyzją i spokojem zinnęj krwi wykonane były, że ani jedna sylłaba słów dyalogu nie została uronioną, ani też w grupowaniu się stojących na scenie, nie zachodziła potrzeba czynić jakichkolwiek poprawek. Co to pracy, objaśnień, napomnień, prośb i łajań, musiałyby użyć dyrektor zwyczajnego światowego teatru, gdyby mu przyszło dyrygować taką massą ludzi!

Ale to sobie łatwo wytłumaczyć!

Grającymi nie powoduje ani zarozumiałość, ani chęć osobistego w roli odznaczenia się; główną dźwignią całej sztuki jest moralne przeświadczenie w spełnianiu przyjętych na siebie obowiązków, więc też duszą i ciałem z zadania swego się wywiązują. Dra-

mat ów Passyjny, wzięty cząstkowo, albo w całości stanowi ich własność tradycyi, w żywej pamięci z pokolenia na pokolenie przechodzącą. Każdy mniej więcej co w nim udział bierze, albo go już widział przed laty dziesięciu, albo był czynnym w nim aktorem. Większa tedy część grających, umie najdokładniej nie tylko wszystkie role na pamięć, lecz wie także jak powinny być wykonane, gdzie stanąć, gdzie się obrócić, jak grupować. W dziecienną wyobraźnię patrzącą w swoim czasie na tę sztukę, wspomnienie utkwiło głęboko; następnie doszedłszy do lat dojrzałych, bierze się w nią udział ze świadomością dokładną rzeczy, więc objaśnienia i nauka potrzebną jest tylko tym, co jakimś przypadkiem nie oswojeni są z historyczną tradycją przedsięwzięcia, co za napływowy pierwiastek w gminie uchodzą. Dyalog o *Mece Pańskiej* zawiera nie mniej jak 104 ról mówiących męzkich i 15 kobiecych; jeżeli do nich policzymy 250 osób wchodzących jako komparsy, tudzież dzieci, dalej śpiewające chóry, ludzi przedstawiających duchy opiekuńcze, nareszcie orkiestrę i służbę teatralną, to liczba biorących udział w tém dziele, wyniesie do pięciuset osób, czyli więcej jak połowę ludności wsi całej. Jest przytém regułą silnie przestrzeganą, że tylko ci mogą należeć do wykonania *Puszy*, co w Ammargau są urodzeni, rzadko tedy i dla ważnych bardzo powodów, odstępuje się nieco od niej i to nam tłumaczy, dlaczego w wyuczeniu się i wykonaniu dzieła, taka łatwość i swoboda panuje.

Snycerstwo jakiemu się mieszkańcy po większej części oddają, przyczynia się także nie mało do dokładniejszego wywiązywania z ról przyjętych; pewien rodzaj poczucia artystycznego piękna wyrabia się w nich niechcący, co z łatwością do innych przedmiotów zastosować się daje. W rozdawaniu ról, gmina przyjęła za zasadę głosowanie, które miewa miejsce na ogólném jój zebraniu. Najprzód roztrząsają sprawę dawniejszego obsadzenia dramatu i tych co się jeszcze kwalifikują, pozostawiają przy dawniejszych rolach, albo stosownie do potrzeby przemieniają. Następnie bierze się na uwagę fizyczne i moralne przymioty nowych aktorów i potem większością głosów rozdaje im się odpowiednie role. Takim sposobem snycerz Hett jako *Piotr apostoł*, współkolega jego Lechner jako *Judasz*, handlarz snycerskich wyrobów Lang jako najwyższy kapłan *Kaifasz*, pozostali przy swoich dawniejszych rolach przed laty 10-ciu granych, również jak i inne osoby przedstawiające *Annasza*, *Pilata*, *Nikodema*, *Józefa z Arymatei* i t. p.

Z nowych osób rolę *Chrystusa*, otrzymał snycerz Józef Maier, młody człowiek, wysmukłego wzrostu, surowego i poważnego oblicza, o czarnej gęstej brodzie i długich włosach na głowie. Ruchy ma poważne, organ mowy dobry, tak że w niczém nie ustępuje poprzednikowi swojemu, co w téj roli zasłużone zyskał sobie pochwały i gdyby tylko nos jego miał cokolwiek więcej na długość idealności, nicby nie pozostawało zresztą do życzenia. Nową jest także *Marya*; przedstawia ją Franciszka Flunger, córka snycerza i nauczyciela rysunku, który przed dwudziestą laty przedstawiał

Chrystusa, a teraz ma sobie powierzoną rolę *Annasza*. Franciszka Flunger posiada piękne kształty, miłą i prawdziwie dziewiczą powierzchność; organ niezbyt mocny lecz sympatycznego dźwięku. Wprawdzie młodociana ta postać dziwne jakieś robi wrażenie, gdy *Chrystus* żegnając się z Matką, dziękuje jej za trzydziesto trzy letnią miłość i opiekę nad nim: powinna ona być znacznie starszą co do wieku od niego kobietą; jednakże wszyscy prawie malarze mowią nam madonny młode, to też wyobraźnia ludowa nie inaczej je sobie przedstawia. Nakoniec Jan Zwink także snycerz, otrzymał rolę *Jana Chrzciciela*, posiada bowiem wszystkie odpowiednie po temu warunki, również jako i niewiasty, mające odegrać osoby *Marty* i *Magdaleny*.

Nie jednokrotnie podczas próby, zadawano mi pytania, czy jestem z tego co widzę zadowolonym, i czy nie należałoby w czém zaprowadzić jakiej zmiany? Ale oczywiście, wstrzymywałem się od wszelkiej krytyki. Bo cóż miałbym do powiedzenia, może to, iż zanadto w mowie aktorów gardłowe dźwięki przemagają? Lecz mieszkańcy wioski Ammargau, są prawie jednego z Tyrolczykami pochodzenia, więc koloryt dźwięku gardłowego, leży już w ich fizycznej organizacyi. Zresztą, miałem najgłębsze przekonanie, iż narzucanie tym naiwnym i samodzielnym aktorom, wszelkich estetycznych warunków światowo wykształconej sceny, mogłoby tylko niekorzystnie na nich wpływać, pozbawiając ich właściwej im swobody i pewności siebie.

Wieczorem zasiadłem do wspólnej kolacyi; skoro lody obojętności pomiędzy owymi zacnymi wioski mieszkańcami a mną jako obcym, skruszonymi pomału zostały, uważać mię poczęto za swojego, a nawet pierwszemu niby spektatorowi *Męki Pańskiej*, starano się wszelkiego rodzaju grzeczności okazywać. Rozmowa długo się toczyła przybierając coraz poufniejszą cechę. *Piotr* ze swoją charakterystycznie łysą głową i ciemną brodą, mogący służyć za wyborny model dla malarza, *Judasz* o rudłej brodzie, z oczami sprytnymi i pełnymi ognia, *Annasz* z posiwiałym zarostem i pełnym wyrazu obliczem, wszystko to są ludzie pewną prostotą obejmującą się odznaczający, lecz niepomiernie ukształceni a tak przejęci ważnością swojego zadania, że słysząc o ogólném w Niemczech dla ich pracy i usiłowań zajęciu, dusze ich urosły z dumy i radości. Role które dawniej odgrywali, pozostały w ich wspomnieniu niby klejnoty stanowiące epokę ich życia. *Annasz* wspominał z pewnym rodzajem namaszczenia o tym czasie, gdy miał sobie powierzoną rolę *Chrystusa* i wisiał rozpięty na krzyżu. Z niezmierném zajęciem słuchano jego opowiadania o wrażeniu jakiego doświadczył, gdy po raz pierwszy po przybiciu niby do krzyża, wnoszono go do góry (dziewięć stóp wysoko po nad ziemię); zdawało mu się, że z każdą chwilą przepaść rośnie pod jego nogami. Krzyż pomimo pozorniej spokojności, przechylając się ciągle to na jedną lub drugą stronę, odjął mu resztę odwagi: w głowie mu się zawracało, w oczach ćmiło, jakieś nerwowe drżenie ledwie mu przytomności nie odebrało. Rozpięcie to na krzyżu, trwające jednakże prze-

szło minut piętnaście, pomimo iż ciało wisało na pasie biodra obejmującym, a ramiona także były takowemi podtrzymywane, sprowadzało belesne natężenie mięśni piersiowych, a ręce i nogi do czarna prawie siniały. Po zdjęciu z krzyża, nie można się było wyprostować; ruch w rękach i nogach pomału tylko i stopniowo powracał. Mówiono potem o scenie, na której *Dyalog* zwykle bywa odgrywany; jest ona wystawiona pod gołym niebem, a ponieważ tylko co lat dziesięć uroczyste to widowisko ma miejsce, więc dla wprawy w kunszcie dramatycznym, po części i z zamiłowania do niego, mieszkańcy Ammargau przedstawiają dla siebie rozmaite sceniczne dzieła duchownej lub światowej treści jako to: *Zycie św. Hermenegildy. Założenie klasztoru w Ettal, Toni Körnera, a nawet Wilhelma Tella* Szyllera! Czegoż tu więcej od mieszkańców wiejskiej gminy wymagać?!

Na drugi dzień udałem się do malarni urządzonej w ogromnej szkolnej sali, ażeby obejrzyć dekoracje do *Dyalogu* przygotowane. Właśnie malowano architektoniczne ozdoby do proscenium i szczyt frontonu scenicznego. Pokazywano mi tło i boki Jerozolimskiej ulicy, styl budowli starano się z historyczną wiernością zachować, boki zaś sceny, mają być zapełnione po jednej stronie pałacem Piłata, a po drugiej Heroda. Są to dwupiętrowe, praktycznej architektury budowle, mogące przynieść zaszczyt nie jednemu nowożytnemu miastu niemieckiemu. Następnie, zwiedziłem jeszcze pracownię krawiecką, gdzie mnóstwo szwaczek zajętych było szyciem kostiumów; wzory do nich przyjmowano z różnych obrazów biblijnych, i pod tym względem nie wiele do życzenia zostawiały. Ale najwięcej zajęła mię próba muzyczna: już wczoraj zostałem przyjemnie zdziwionym, dokładnością wykonania uroczystego marsza przez orkiestrę miejscową, pomimo iż sala na to wyznaczona wcale akustycznymi przymiotami się nie zalecała. Proszę mi znaleźć drugą podobną wioskę w Europie, gdzieby podobnie dobrą orkiestrę, złożoną z 30-tu osób i opatrzoną we wszystkie instrumenta usłyszeć można było! Muzyka do *Męki Pańskiej* składa się ze 40 numerów, wspieranych niekiedy chórem i głosami solowemi, mogącemi nieraz zawstydić śpiewaków z zawodu, nie na jednym teatrze występujących. Kompozytorem jej, jest także jeden z tutejszych mieszkańców, dawny nauczyciel, nazwiskiem Dedler. Wziął on sobie za wzór do niej, oratoryjny styl Haydena, a w recytatywach mianowicie, zupełnie szedł jego śladami. Jestto zresztą muzyka skromna w pomysłach, jako i skromnemi są siły mające ją wykonywać; lecz nie można jej odmówić melodyjności, pomimo że dziecinnie naiwną czasami się wydaje. Jednakże w niektórych chórach, pomysły zacnego wiejskiego nauczyciela, wzniosły się nawet do wyżyn talentu; takim szczególnie wydał mi się chór uroczystego wejścia do Jeruzalem i *Halleluja* kończący *Passyą*. Trzy spore partytury obejmujące całość dzieła, jeden z monachijskich muzyków wzmocnił w iustrumentacyi, odpowiednio do obszernej miejscowości, dla jakiej są przeznaczone; również postąpił sobie z chórami *Opiekunazych duchów* występujących pomiędzy sce-

niczniemi ustępami dramatu, jako téż i chórem *Starców*, mającym przeznaczenie niektóre z obrazów biblijnych na wzór starożytnych greckich chórów objaśniać. Jedna tylko jeszcze zachodzi trudność, w znalezieniu śpiewaczki solowej, któraby posiadała odpowiednio piękny i silny głos. Otóż jest taka w poblizkim zakonnick klasztorze, lecz nie wiadząco jeszcze czy uda się współudział jój w przedstawieniu zapewnić. Wysłano w tym celu do klasztoru deputację; wprawdzie nie uczyniła ona jeszcze zakonnych ślubów i ma ochotę do wykonania *Passyi* należeć, a po odśpiewaniu swojej partyi zamknąć się znowu w celi i to już na całe życie, ale trudności w tym względzie są wielkie i niewiadomo czy się takowe uda przełamać."

Kiedy księża dominikanie w roku 1533 stawny swój *Dyalog o Męce Pańskiej* w Krakowie wystawili, co trwało przez dni cztery, to próby do niego przez cały rok odbywać się musiały. Mieszkańcy Ammargau dłuższego na przygotowanie swojej *Passyi* potrzebują czasu; już kilka lat naprzd biorą się do pracy, aby dzieło ich jedyne już dzisiaj w swoim rodzaju w Europie, godnie i przyzwocie do skutku doprowadzić. Koszta z tego powodu są znaczne; 20,000 guldenów pierwotnie na ten cel wyznaczonych i zebranych drogą suskrypcyi, okazały się niewystarczającami i musiano zaciągnąć nową pożyczkę. Była nadzieja, że łatwo ją będzie można pokryć dochodami z widowisk, na które ogromne massy widzów z całych Niemiec miały zjeżdżać. Pierwsze przedstawienia dane 22 i 29 maja, 6, 12, 19, 25 czerwca, 3 i 10 lipca, nie pozostawiały najmniejszej w tym względzie wątpliwości. Miały jeszcze mieć miejsca 17, 24, 31 tegoż miesiąca, 7, 14, 21, 28 sierpnia i nakoniec 8, 11, 18, 25 i 29 września; lecz niespodzianie, rozległ się po Europie odgłos trąby wojennej: wioska Ammargau silnie nim także wstrząśniętą została. Snycerz Maier grający *Chrystusa*, posłuszny krajowemu wezwaniu, jako skromny, prosty żołnierz bawarski, poszedł wziąć udział w krwawym dramacie, odgrywającym się dzisiaj na francuzkiej ziemi: *Jan Chrzciciel* musiał tak samo uczynić, również jako i wielu innych młodych ludzi do *Dyalogu* należących. Więc tedy znów za lat dziesięć dopiero, gmina Ammargau, zwróci zapewne na siebie uwagę miłośników téj przedwiekowej uroczystości.

Gdy wojna się rozlega, muzy milczeć muszą; większa część teatrów niemieckich stoi dziś zamkniętą; w samym Berlinie było przed wypowiedzeniem wojny dwadzieścia ośm teatrów, cieszących się większém lub mniejszém powodzeniem: dzisiaj istnieje tylko dziewięć, a i te ledwie znaki życia dają. W Dreźnie, miłośnicy sztuki dramatycznej, obiecywali sobie przez miesiąc lipiec użyć wiele przyjemności, bo najznakomitsza obecnie w Niemczech tragiczna aktorka panna Klara Ziegler, miała w tym miesiącu zjechać z Monachium, gdzie jest stale w królewskim teatrze zaangażowaną i na scenie drezdeńskiej rozpocząć szereg gościnnych przedstawień cały ten miesiąc trwać mających. Jakoż wystąpiła w *Medei* Grill-

parzera i *Esserie* Laubego, chwilowa chryпка nie dozwoliła jęj przez dni kilka ukazać się na scenie, gdy okrzyk wojenny odwrócił raptem uwagę publiczności w inną stronę i znakomita tragiczka opuściła nad-Elbańską stolicę przyrzekłszy wrócić jednakże w miesiącu wrześnieu, ażeby uiścić się z danęj obietnicy.

Jestto w rocznikach niemieckiego teatru, zjawisko godne zastanowienia. Panna Ziegler obdarzoną została od natury wszystkiemi przymiotami, jakich się tylko wymaga od tragicznej prawdziwie artystki. Wzrost jęj wysoki, rysy twarzy chociaż nie tak wydatne i kształtne jak u Ristori, przecie bardzo wymowne, piękne i z największą dokładnością uwydatniające wszelkie odcienia uczuć, na dnie duszy jęj powstające. Ciemne wyraziste oczy, zdają się przeszywać błyskawicami, gdy zapał deklamacyi ją ogarnie. Plastyka ruchów pełna wdzięku i swobody, a organ głosu kontraltowego, czy to gdy w wysokim tragicznym stroju grzmi siłą brzmienia, czy mięką modulacją tkliwe i rzewne uczucia serca wyraża, w porównaniu z głosem włoskiej artystki, znacznie jest świeższym i sympatyczniejszym. W roku zeszłym przybyła panna Ziegler niespodzianie do Drezna, z zamiarem kilkakrotnego wystąpienia na nadwornym teatrze. Wiadomo już wprawdzie o jęj świetnych w Monachium powodzeniach, ale nieprzywiązywano do nich wielkiej wagi, bo już się nieraz przekonano, że to co uchodzi za znakomitość w Wiedniu lub Monachium, niekoniecznie podobać się może w Dreźnie albo Berlinie i naodwrot. Publiczność drezdeńska na pierwsze wystąpienie panny Ziegler w *Ifigenii* Getego, niezbyt licznie do teatru pospieszyła. Ale na drugi dzień, wszystkie dzienniki (co tutaj jest rzeczą osobliwą), z niesłychanym zapałem o nięj wyrażać się poczęły; chór pochwał nie miał końca i poczęto ją porównywać z Rachelą, Ristori, i każdy, dla którego losy niemieckiego dramatu nie są obojętnymi, zapragnął tę nowo wschodzącą gwiazdę niemieckiej sceny usłyszeć. Napływ publiczności na następne jęj wystąpienia był tak wielki, że zabrakło miejsc w teatrze i musiano z orkiestry muzykę usunąć i dla słuchaczów miejsca urządzić. Takiego samego powodzenia doznała panna Ziegler w Wiedniu, Berlinie i wszędzie zgoła, gdzie tylko się ukazała. Sława jęj dzisiaj jest już na silnych i trwałych podstawach ugruntowaną; przed jęj ogromnym talentem podniesionym jeszcze wysoką inteligencyą i niepospolitým ukształceniem prawdziwie wielkiej artystki, schylają wszyscy głowy, a każde jęj na scenie ukazanie się, jest uważane za pewien rodzaj teatralnej uroczystości. Tém więcj należy żałować, iż z powodu wojny, panna Ziegler, ciąg zapowiedzianych przedstawień swoich przerwać musiała, ile że miała zamiar wystąpić w kilku także komedyach i z tęj jeszcze strony talent swój dać poznać. Jużto pod tym względem ośmielamy się wątpić w szczęśliwy skutek takiego przedsięwzięcia.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne, jak podczas pierwszej bytności Ristori w Warszawie, artystka ta tragiczna razu jednego wystąpiła w *Locandierze*, komedyi Goldoniego. Jęj

wspaniały wzrost, grubego brzmienia organ, poważne z natury ruchy którym starała się nadać zwinność i żywość konieczną w takiego rodzaju charakterach, pomimo subtelnie wycieniowanej gry w ogólności, dziwnie ujemne na słuchaczach robiła wrażenie. Stworzona do przedstawiania typów wzniosłych, do odtwarzania wielkich wewnętrznym ogniem płonących na dnie duszy uczuć, - jako namiętna i dzika Medea, jako nieszczęśliwa i upokorzona Marya Stuart, o ile porywała zaokrągloną harmonią dykcji i plastyką klasycznych ruchów, o tyle odziana w krótką spódniczkę Oberzystki, usiłująca dowcipnemi figlami kokieteryi nadać cechę prawdy roli będącej w najzupełniejszym przeciwieństwie do natury jój ta-lentu, wprost ujemne na myślących a nieuprzedzonych słuchaczach czyniła wrażenie. Ale z tém zdaniem nikt nieśmiał naówczas w Warszawie wystąpić; publiczność bowiem cała i krytycy dziennikarscy, przez pryzmat zachwycenia na nią patrzyli i każde jój wystąpienie, chórem pochwał i uwielbień opiewane było. W sferach sztuki dramatycznej dosyć często się zdarza, iż ludzie do pewnego tylko rodzaju ról stworzeni, chorują właśnie na przedstawianie takich, które są wprost przeciwne naturze ich talentu. Podobnie fałszywy apetyt, jest także rzeczą dosyć zwyczajną pomiędzy ludźmi uprawiającymi inne gałęzie wiedzy lub sztuki. Błądzić jest rodzaju ludzkiego udziałem, prawdziwy tylko geniusz, posłuszny wewnętrznemu intuicji głosowi, stale i niewzruszenie dąży do przeznaczonego sobie celu. Otóż panna Ziegler, zupełnie w tych samych znajduje się warunkach fizycznych i moralnych co Ristori, i dlatego mamy prawo mniemać, że wystąpienia jój w komedych, będą tem, czém w muzyce jest obcy ton w danym akordzie, zakłócają tylko czystą harmonję jój ról gościnnych, niepotrzebnym lub rażącym dyssonansem. Dzieła dramatyczne Szekspira, Getego, Szyllera, to świat dla niej stworzony, tym dramatu mistrzom, zawdzięcza ona powodzenie i sławę swoją, im zawsze wierną pozostać winna. Jako *Lady Mackbet*, nie ma sobie równej dzisiaj nietylko w Niemczech, ale może na świecie całym artystki. Niemcy rozmiłowani w utworach Szekspirowskich, czują to dobrze i ztąd owe dla niej powszechne uwielbienie.

Niema kraju, niewylączając nawet Anglii, gdzieby z większym zamiłowaniem jak w Germanii, studyowano Szekspira. Rozliczne tłumaczenia dzieł jego, dokonywane przez najzdolniejszych i najznakomitszych pisarzy, tudzież ogromna liczba teatrów na których dzieła Szekspira są grywane, imię jego czynią wielce popularnym. Umysł niemiecki lubujący się w studyach filozoficznych, tak chętnie w badaniu krytycznym prawd abstrakcyjnych do najgłębszych tajników sięgający, postawił sobie Szekspira w rzędzie główniejszych naukowo krytycznych badań swoich. Co się o nim pisze i drukuje w Niemczech, to trudnym jest do wiary. O każdym jego dramacie, stopy komentarzów i studyów wychodzą; gdy jednemu pisarzowi się zdaje, iż go już pojął i zrozumiał należycie, wydając sąd zgodny ze swoim mniemaniem, zjawia się wnet drugi,

wprost przeciwie czyniąc wywody i konkluzye; ztąd dyskusye, walka, często niezmiernie dla literatury w ogólności pożyteczna. Dzisiaj Szekspir jest dla Niemców zbiorem rozlicznych fakultetów, niemal uniwersytem całym. Mają oni Szekspirowską filozofią, Szekpirowską teologią, Szekspirowską fiologią, nawet botanikę, jursprudencyą i cały szereg nauk przyrodniczych, wyciągniętych i zestawionych z dramatycznych dzieł tego genialnego poety. W Weimarze zawiązało się Szekspirowskie towarzystwo i zebrało znaczną bibliotekę, składającą się jedynie z dzieł analizie utworów jego poświęconych. Już Gete powiedział: „Szekspir to przepaść!” od tego czasu, lat pięćdziesiąt ubiegło, a przepaści tej wypełnić nie zdołano. Literatura Szekspirowska wzrasta bez końca, jak gdyby cheiano udowodnić iż: *Ars longa vita brevis*.

Wychodzi w Stutgardzie *Rocznik Szekspirowski*, pismo jak z samego tytułu wnosić można, zajmujące się głównie studyami utworów angielskiego dramaturga. Decydujący ton *Rocznika* w traktowaniu dzieł Szekspirowskich ze stanowiska filozoficzno politycznego odnośnie do dziewiętnastego wieku, niekoniecznie ogłowi uczonych niemieckich się podoba i jest powodem dość żwawej literackiej polemiki; można być bezwzględny wielbicieleм genialnego twórcy *Hamleta*, lecz zarazem sprawiedliwszym dla Getego i Szyllera.

Jest znaczna liczba ludzi, którzy przedewszystkiem męczą się nad dociekaniem miejsc najwięcej ciemnych i zagadkowych w dramatach Szekspira; rozwiązywanie zagadek zdaje się być celem ich naukowych studyów. W tym względzie. Anglikom potrzeba przyznać palmę pierwszeństwa; gryść twarde Szekspirowskie orzechy; to najmiłsze współziomków jego zajęcie. Już wielu z nich w tej pracy zęby potraciło, ale to nie zniechęca wcale innych, gotowych pójść w ich ślady. Komentatorowie niemieccy pomimo zamiłowania jakie mają w dociekanu i objaśnianiu nieprzystępnych ustępów dramatycznych albiońskiego poety, daleko w tyle za Anglikami zostają. Owe ciemne miejsca albo są skutkiem zaniedbania stylu lub błędnego zestawienia tekstu, albo skutkiem olbrzymiej poetycznej fantazyi pisarza, który nie był w stanie znaleźć w zwyczajnej mowie odpowiednich słów na dokładne i jasne jej odmalowanie. Prawdę powiedziawszy, są to rzeczy małego znaczenia, w obec niesłychanej potęgi twórczej, wiejącej z każdego niemal dramatycznego Szekspirowskiego utworu; więcej nierównie ważniejszymi są ustępy dziwną trywialnością dykcyi rażące, pośród najszczytniejszych nieraz miejsc dramatu, które w czasach gdy poeta je tworzył, mogły być tolerowane przez współczesną publiczność teatralną, albo rażące anachronizmy czasu i przestrzeni, przyprowadzające dzisiejszych tłumaczyów i komentatorów Szekspira do rozpacz. Gdy jedni je łagodzą i poprawiają, drudzy radziby zachować je nienaruszonymi, ztąd spory i walka na polu literackiem nieraz zawzięta. Z tego to powodu, we wszystkich większych teatrach niemieckich, zaprowadzono posady tak nazwanych dramaturgów, którym dyrekcyę powie-

rzają władzę wyrokowania w rzeczach odnoszących się do sfery literacko dramatycznej t. j. przyjmowania lub odrzucania nadsyłanych nowych utworów, a zarazem możność czynienia w dziełach Szekspirowskich, stosownie do potrzeb i wymagań dzisiejszego scenicznego smaku, odpowiednich zmian i poprawek nie tylko już w dykcji samej, lecz nawet w scenicznej budowie dramatu. Posady takie powierzane są zwykle ludziom używającym pod względem literackim pewnego wyższego stanowiska; w Dreźnie naprzykład, jest takim dramaturgiem doktor Juliusz Pabst, pełniący zarazem urząd sekretarza dyrekcyi nadwornego teatru. Liczne jego utwory poetyczne jako i prace na polu piśmiennictwa dramatycznego podjęte, cenione są w Niemczech dosyć wysoko. Bez jego współdziałania, żadna opera, żaden dramat lub komedia, nie może być na scenie wystawioną; on z odpowiednimi reżyserami, zajmuje się poprawą lub zmianą tekstu, urządzeniem sceneryi, odpowiednim wyborem kostiumów i całym zresztą przyborem teatralnej techniki. Największą jednak zastęgę zjednał sobie wzorowem i starannem wystawieniem dramatów Szekspira; pomiędzy innymi, *Burza*, ta wspaniała rozbujająca imaginacyi angielskiego poety fantazyja, przedstawiała dotąd dla wszystkich dyrekcyj teatralnych, niesłychane trudności do zwalczenia i powodzenie tej sztuki na wielu scenach, było zawsze dosyć wątpliwe. Ani wyborna gra artystów, ani dokładność funkcjonujących maszyneryj, ani staranność drobiazgowa układu scenicznego wraz z malowniczością kostiumów i dekoracyj, nie mogły w zupełności temu zaradzić; coś w budowie dramatu było wadliwego, co wymagało specjalnych nad nim studyów, ażeby odpowiednio do scenicznych dzisiejszych wymagań, zapewnić mu stałe powodzenie. Otóż doktor Pabst, w szczęśliwy bardzo sposób wywiązał się z tego zadania: gdzie znalazła się zbyt obfita sytuacja, tam śmiałym strychem ołówka wykreślono go i usunięto, tak jak się usuwa rośliny mogące przygłuszać woń i wdzięk rosnących kwiatów w ogrodzie. Budowy dramatu, zręcznym położeniem niektórych scen nie tylko nie osłabiono, lecz owszem architektoniczną jego piękność w lepszym ukazano świetle i więcej jednostajności rysunku mu nadano. Było to przedsięwzięcie śmiałe i szczególnie w Niemczech niebezpieczne bardzo lubo niebezpieczne; lecz światła i nieuprzedzona krytyka przyjęła je z zadowolnieniem nieszczędząc pochwał komu należało. Tak jak *Sen nocy letniej* natchnął Mendelsohna do wysnucia z siebie całego szeregu pięknych muzycznych pomysłów, dopomagających poetycznej fantazyi Szekspira silniejsze na słuchaczach robić wrażenie, tak *Burza* w osobie Tauberta, znalazła także godnego kompozytora. Przybywszy on do Dreznia dla posłuszenia jak pracę jego wykonywają, tak został zachwyconym szczęśliwym dramatu tego na scenie wystawieniem, iż wróciwszy do Berlina gdzie jest królewskim mistrzem kapeli, złożył zaraz raport generalnemu teatrów intendentowi, a ten wysłał niezwłocznie reżysera, aby przypatrzył

się téj sztuce w Dreźnie i takie same zmiany zaprowadził w niéj na berlińskim teatrze.

Należy tu jednakże uczynić zastrzeżenie, iż wykreślanie lub zmienianie tekstu w dramatycznych utworach Szekspira, będąc niekiedy koniecznością dzisiejszych pojęć i warunków scenicznych, powinno być dokonywane z wielką ogłędnością i przez ludzi posiadających do tego stosowne kwalifikacje.

Odkrycie fałszerstw prowadzonych na wielką skalę przez zręcznych oszustów literackich, którzy wzorem Symonidesa podrabiającego stare greckie rękopisma, fałszowali listy Pascala, Byrona i innych znakomitszych ludzi, zwróciło uwagę wielu innych uczonych towarzyszów niemieckich na ten niecny frymark, wyzyskujący niegodnie łatwowierność publiczną. Dochodząc głębiej nieco, przekonano się, iż niema żadnej gałęzi sztuki, któraby była wolną od téj plagi i że fałszerstwo stało się pewnym rodzajem przemysłu, od dawnych bardzo czasów, wielkiéj wziętości używającym.

Wychodzi teraz w Wiedniu, czasopismo miesięczne pod tytułem: *Mittheilungen des k. k. Oesterreichischen Museum für Kunst und Industrie*, redagowane przez Brunoną Bucher'a. Zarząd miejscowy cesarskich Muzeów, tudzież prywatne w tym rodzaju stowarzyszenia, bardzo silnie popierają to pismo, którego głównym celem jest: zdawanie sprawy ze stanu zbiorów sztuk pięknych, będących w publiczném jako i prywatném posiadaniu, o ich wystawach, o zakładach i środkach naukowych jakie względnie do tego celu w Niemczech i innych także krajach są w użyciu. Ale największą zasługę w oczach ogółu, zyskało sobie to pismo szeregiem artykułów, wyłącznie poświęconych wykazywaniu fałszerstw, praktykowanych na przedmiotach do starożytnéj sztuki należących, podając zarazem sposoby, za pomocą których rozpoznawać je można i unikać sideł, niekiedy bardzo zręcznie na łatwowiernych zastawianych. Bywają takie epoki czasu, że publiczność z gorączkową chciwością rzuca się do zbierania pewnych sztuki przedmiotów, opłacając takowe bajeczniemi nieraz summami; tak było w zeszłym stuleciu z porcelaną chińską, tak było i jest jeszcze z obrazami dawnych mistrzów i innymi sztuki przedmiotami. Co jednakże czyni je coraz droższymi do nabycia, to że istotna ich liczba jest tylko ograniczoną, a nawet skutkiem rozmaitych niszczących wpływów z dniem każdym zmniejszającą się, gdy zamięłowanie do sztuk pięknych i formowanie zbiorów, we wszystkich warstwach ukształconego społeczeństwa, coraz więcéj wzrasta. Od wielu już lat, wartość przedmiotów sztuk jest w całej progresyi; czasami zwolnieje ona lecz nie na długo. Ceny jakie obecnie na niektóre rzeczy się nakładają, są nieraz pięć razy wyższe od tych co przed 20 – 25 latami płaconemi były. Ten dyletantyzm ubiegający się za posiadaniem jakichkolwiek przedmiotów sztuki i opłacający takowe grubemi pie-

niędzmi, wywołał przemysł fałszowania ich. Mnóstwo zdolnych głów i rąk, rzuciło się do podrabiania starożytnych kamei, broni, zbroi, mebli, fajansów, szkielek, zabytków jubilerskich, słowem wszystkiego, co tylko naśladować można, w sposób odpowiedni starym oryginałom; że postępy dokonane w chemii i fizyce niemały tu wpływ wywierają, to już rozumie się samo z siebie.

Ażeby nadać fałszowanym przedmiotom pewne właściwe cechy, mogące być niejako rękojmą ich oryginalnego pochodzenia, to już i w dawniejszych czasach rzecz tę praktykować miano; rżnięte kamienie (antyki) i miedzioryty z XVI wieku, z wielkiem powodzeniem naśladowano. Są naprzykład sztuchy nibyto Dürera, Behama, Mark-Antona i innych znakomitych mistrzów, tak wyborne z takim złudzeniem prawdy naśladowane, iż żałować należy, że imiona tych zręcznych sztucharzy nie doszły do naszej wiadomości. Podrabianie jednakże miedziorytów ustało z czasem, gdy poczęły się upowszechniać krytyczne pisma, objaśniające ogół mniej rzeczy świadomy, o istotnych cechach i przymiotach prawdziwych oryginałów; głównym warsztatem tych podrabiań, była w swoim czasie Wenecya.

Przed laty kilkunastu znowu, założono w Monachium fabrykę starych niby druków; wyrabianie drewnianych słupkowych czcionek i form było tak doskonałe, że przez długi czas niewątpiono, iż książki jakie amatorom przedstawiano do kupowania, pochodziły z pierwotnej epoki drukarskiej. Odkryto nareszcie oszustwo i niezręczny przemysłowiec dał sobie wytoczyć proces i skończył praktykę swoją w kryminale.

W sferach rzeźby, wielką jest wszędzie ilość podrabianych przedmiotów z kości słoniowej; a mianowicie dyptyki, małe gotyckie ołtarzyki, figurki różnego rodzaju, stylem przypominające wieki średnie, z niesłychaną zręcznością podrabiane. Zapełniają one zbiory niemieckich, francuzkich i włoskich miłośników snycerskiej sztuki: wytrawny tylko znawca jest w stanie prawdziwe od fałszywych odróżnić. Niemieccy snycerze z XVI wieku, trudniący się głównie w Kehlheimerstreinie rzeźbieniem kości słoniowej, znaleźli dzisiaj w Paryżu i Wiedniu, godnych siebie naśladowców. Powszechne ubieganie się za meblami w stylu *renesansowym*, stało się powodem założenia mnóstwa fabryk tak nazwanych starych mebli; w Wenecyi, Kolonii, Paryżu, Brukselli i Dreźnie, istnieją zakłady, mogące najzupełniej zaspokoić lubowników starych domowych sprzętów; nawet dziurki w drzewie stoczonem niby przez robactwo, za pomocą żelaznych drutów jak najwierniej są naśladowane, chyba że fabrykanci od razu stoczone już drzewo do roboty użyli.

Zdaje się jednakże, iż wyroby metalowe, największe korzyści zapewniają tego rodzaju przemysłowcom, bo w ogromnej ilości po świecie kursują. Chemia ważną w tym względzie gra rolę, nadając przedmiotom pozory starości, najwprawniejsze oko łatwo w błąd wprowadzić mogące. Starożytna broń, pułhary, płaskorzeźby i t. p. rzeczy, tysiącami wyrabia się w Paryżu, Studgardzie, Mona-

chium a mianowicie w Norymbergii. Zabytki sztuki złotniczej, osobliwie z XVI i XVII w., mają swoje warsztaty w Paryżu i Wiedniu. Kryształły skalne z emaliowanemi osadkami, często z dziwną zręcznością i niezwykłym twórczym do kompozycyi darem są naśladowane i wyrabiane. W zakładach kąpielowych nad Renem, jako też i we Frankfurcie, Anglicy i Rosyianie tysiącami te fabrykacye wykupują. Na zeszłorocznej angielskiej wystawie starożytności w mieście Leed, urządzonej z kilkuset egzemplarzy, będących po większej części prywatną własnością, zaledwie dziesiąta część była oryginałów, reszta wszystko imitacye, często nawet bardzo szczęśliwe. Niema dzisiaj zresztą żadnej gałęzi kunsztu, którójby nowożytna industria, nie była w stanie naśladować i korzystnie spieniężyć. Począwszy od rżniętych kamieni, aż do ceramiki kończącej się na niemieckich dzbanach glinianych z XVI i XVII w., we wszystkiem widzimy ślady podrabiania. Dziwna rzecz, artyści którzy są w stanie tak wybornie aż do złudzenia stare przedmioty sztuki naśladować, którzy znajomością rysunku, często niepospolitym talentem kompozycyi, tudzież wytrwałą i mozolną pracą, wznoszą się nieraz w sfery wysokiego artyzmu, wołają się podsywać cichaczem pod cudze godła, jak samodzielnie i jawnie na polu sztuki występować. Smutnie to powiedzieć, ale chęć zysku, pieniędzy, jest jedynym bodźcem ich artystycznych usiłowań. Z drugiej znów strony, publiczność nie będąc powodowaną prawdziwem i czystem zamiłowaniem do sztuki; uwielbieniem dla tego co istotnie piękne, ale tylko najczęściej próżnością, czczą chęcią popisywania się z nagromadzonych osobliwości; pozbawiona przytęm odpowiedniego ukształcenia, któreby ją chroniło od nabywania rzeczy podrabianych, kupuje biorąc pozory za rzeczywistość, naśladownictwa za oryginały i tym sposobem przyczynia się głównie do podtrzymywania i rozmnażania się przemysłu, który skierowany na godniejsze drogi mógłby chlubnie i zaszczytnie wpływać na rozliczne gałęzie nowożytnéj sztuki.

Prezes geograficznego drezdeńskiego Towarzystwa, Karol Andree, wydał w Stutgardzie u Juliusza Maiera dzieło pod tytułem: *Geographie des Welthandels*, które śmiało polecić można wszystkim miłośnikom ziemioznawstwa i tym, co pragnęliby się zapoznać bliżej z historycznym rozwojem handlowym całego świata. Tom pierwszy wyszedł już w 1867 roku, obecnie drugi i trzeci czyli ostatni, w tych dniach opuścił prasę. Dotychczas historia handlu nie miała jeszcze godnego siebie autora; niemiecka literatura, posiadając mnóstwo wybornych monografij, nie mogła także dotąd nią się poszczycić. Pomimo ogromnych postępów jakie nauka historii w ostatnich lat dziesiątkach uczyniła, nie było nadziei ażeby brak ten mógł być tak prędko wypełnionym, ponieważ trudności zadania były niesłychanie wielkie, przechodząc prawie siły jednego

człowieka. Obok gruntownych wiadomości historycznych, obok dokładnej znajomości gospodarstwa krajowego wszystkich ludów, tudzież warunków na jakich się wspiera cały ich system wymiany, potrzeba jeszcze posiadać niepośledni talent pisarski, ażeby z tych wszystkich danych, utworzyć obraz wyczerpujący i z sumienną dokładnością skreślony. Tém więcj pracę uczonego drezdeńczyka cenić należy, iż pod względem jasnego przedstawienia rzeczy, bystrości poglądu, precyzji w zestawieniu cyfr i wpływających ztąd konkluzyj, dzieło jego nie pozostawia nic do życzenia.

Jeżeli handel uważamy za główną dźwignię cywilizacji, to bez wątpienia geografia handlowa taka jaka być powinna, będzie najdokładniejszym jój obrazem. Tom pierwszy dzieła o którym mowa, przedstawia nam właśnie historyczny rozwój pierwiastku handlowego; jego środki, drogi któremi dąży, tudzież cywilizacyjne wpływy jakie wywiera na społeczności w odmiennych warunkach kultury istniejące. Wszystko tu nacechowane ruchem i życiem niepospolitém. Ludy na najniższym szczeblu oświaty będące, wchodzą za pośrednictwem handlu w stosunki z narodami najwyżj ukształconemi i mimowolnie, dobrodziejstwa światła przyjmują. Ustępy malujące ten ruch międzynarodowy, dokonane są z niepoślednią werwą i prawdziwym talentem pisarskim; koniec zaś tomu, wypełnia rzut oka na rodzaj i gatunek towarów, dostarczanych ze wszystkich części świata, tudzież opis materyalnego i ekonomicznego ich znaczenia. Wielkimi rysami dopełnia autor obrazu, kreśląc geograficzne położenie krajów i miast z fizycznymi i społecznymi ich właściwościami; światło ztąd spływające, jest najgłówniejszą zaletą tego ze wszech miar cennego dzieła, które w dziedzinie geografii handlowej, nietylko że ma zasługę pierwszeństwa, lecz zarazem przymioty sumiennj i głębokoj uczonej pracy.

Pod tytułem: „*Lieder zu Schutz und Trutz*” poeci i muzycy niemieccy, wydają obecnie zeszytami pieśni, odnoszące się do teraźniejszej wojny; nakładca Franciszek Lipperheide w Berlinie, ma także zamiar przyłączyć do tego zbioru, dawniej już znane wojenne piosnki, które zachowały się jeszcze w pamięci nie wielu osób. Wydanie w ogólności, odznacza się niezwykłą starannością; do każdego zeszytu dołączonym będzie drzeworyt odpowiedni, tudzież *facsimile* autorów. Dochód z tego przedsięwzięcia, przeznaczonym jest na wsparcie dla rannych żołnierzy, służących w niemieckiej armii.

Die Sternwarte. culturblat unserer Zeit, połączywszy się z innym peryodycznym pismem, głównie sztuce dramatycznej poświęconém pod tytułem: *Die psychologische Posaune*, wychodzi obecnie w Królewcju, pod redakcją doktora Henryka Starke'go. Celem

głównym tój *Sternwarty*, jest walka z niegodnymi reklamami teatralnego świata i chłostanie nieudolnych produkcji dramatycznych, jakie od pewnego czasu na horyzoncie scenicznym bardzo się zagaściły. Treść zeszytu który dopiero co z druku się ukazał nie tylko dla osób ze sceną bliższe mających stosunki, lecz nawet dla ogółu publiczności interesującej się teatrem, wiele przedstawia zajęcia: humor i sarkazm obficie w nim rozlane. Tylko zachodzi pytanie, czy takimi środkami można co zbudować? Ironia i sarkazm, są to w dziedzinie piśmiennictwa potężne młoty, któremi wprawdzie łatwo rozbijać fałszywe bogi i wielkości, ależ czasopismo takimi tylko głównie narzędziami się posługujące, na zbyt krańcowém staję stanowisku ażeby mogło coś istotnie pożytecznego zbudować.

W Pradze Czeskiej wzięto się gorliwie do odnowienia Katedry Ś-go Wita. Nietylko pod względem architektonicznego stylu, postanowiono poczynić dopełnienia zębem czasu w budowie tego wspaniałego i pięknego gmachu poczynione, lecz przede wszystkim idzie o wstawienie nowych szyb kolorowych, w miejsce dawnych zwyczajnych, mogących temu zabytkowi gotyckiej struktury, nadać odpowiednią wartość i znaczenie. Szczególniej kaplica zygmunowska zyska na tém ogromnie i jak słusznie professor Ambros utrzymuje, restauracya ta stanowió będzie epokę w rocznikach stolicy Czeskiej. Rysunkami ornamentyki zajął się Kraner architekt katedralny, kartony zaś figur do głównego tła, maluje prof. Lhota. Całe techniczne wykonanie szyb kolorowych, powierzone zostało instytutowi malowideł na szkłe w Innsbruku, urządzonemu w tém mieście zdawna na wielką skalę.

W ciągu bieżącego miesiąca, wyszły z druku nowe dzieła następujące: *Ewangeline*, H. W. Longfellow'a. Z uwagami dla niemieckich nauczycieli. Hamburg u Meissnera.—*Auswal deutscher Gedichte für Schule und Haus*, D-ra Liebel'a. Drezno.—*Von Kurhut bis zur Königskrone*. Wyjątki z życia znakomitszych ludzi—mężczyzn i kobiet. W. Petsch'a. Berlin u Langmana i Komp.—*Kaiser Theodorus, der Beherrscher von Abessynien oder Aethiopien*. Historyczna Nowella Mülheim'a.—*Sächsisches Schriftstellerlexikon* 1. Lieferung. D-ra Haana. Lipsk u Serbe'go.—*Julius Cäsar am Rhein*, Dederich'a. Padeborn u Choiningh'a.—*Dawid Chyträus*. 2. Abtheilung. O. Krabbe'go. Rostok u Stiller'a. — *Geschichte der Revolution von 1789 — 1800*. 4. Band, H. v. Sybel'a. Dysseldorf u Buddens'a.—*Handbuch der pädagogischen Literatur der Gegenwart* 1. Theil, Schott'a. Lipsk u Klinkhardt'a.—*Theologische Studien und Kritiken*, P. Gschwind'a. Bernh. u Wyss'a. — *Geschichte der preussischen Politik* 4. Theil, G. Dreysen'a. Lipsk u Veit'a i Komp.—*Norddeutschlands Seemacht. Ihre Organisation, ihre Schiffe u. s. w.* B. Graser'a. Lipsk

u Grunow'a.—*Die Begründung der Chemie durch Lavoisier*, J. Volhard'a. Lipsk u Barth'a.—*Beiträge zur Geschichte des griechischen und römischen Rechts*, T. Hofmann'a. Wiedeń u Mauz'a.—*Die sociale und volkswirtschaftliche Lesebuch*, K. Fraas'a. Monachium u Gumi'ego.—*Helgoland. Nordseestudien*, E. Hallier'a. Hamburg u Meissner'a.—*Praktischer Rathgeber für Auswanderer nach Amerika*, A. Blobel'a. Berlin u Bergmann'a.—*Die Lärchenkrankheit. Wesen. Ursache und forstliche Bedeutung*, L. Reuss'a. Hanower u Rümpler'a.—*Die Mineraliensammlung. Ein Beschäftigungs- und Lehrmittel*, D-ra Fischer'a. Hamburg u Meissner'a.—*Die Beihilfe der Völker zur Pflege der im Kriege Verwundeten*, Dra Richter'a, Berlin u Simon'a i t. d.

Jak na czas wojny, wiązka dosyć poważna.

M. K.

KORRESPONDENCYA.

Głos serca na wieść o śmierci Bronisława Trętowskiego.

Z niecierpliwością większą niż zwykle oczekiwaliśmy N-ru 114 Tygodnika Ilustrowanego z r. b., uprzedni bowiem tydzień pisma tego zapowiedział był portret i życiorys człowieka, który niejednego z nas, przed laty dwudziestu, oprowadzał za rękę, jak ojciec czuły dziecko swoje po obszarach duchowego i materialnego wszechświata i przyuczał wydobywać z siebie samego siłę do ujrzenia bóstwa w tej pysznej świątyni, w tym przybytku Boga.

Pośród ciszy, martwoty i zwątpień, jakie obecnie świat nasz ogarnęły śród tej ponurzej zimy obecności, marzyć i oczekiwać, że się ujrzy obraz wielbionego człowieka, że się dowie o szczegółach jego życia domowego, jego walk z ubóstwem, jego prac w obranym zawodzie filozoficznym, a wreszcie w jego ostatniej i najważniejszej pracy—rozstania ze światem, drogiemi istotami i przeniesienia się na łono wieczności, marzyć i oczekiwać tego, było to mieć widzenie w wyobraźni lepszej przeszłości—wiosny życia.

Trętowski bowiem, o którym tu mowa, był jednym z tych słońc, które przyświecały przyszłości—wiosnie życia. W jego blasku umysł nasz przywykł widzieć prawdy najwyższe, dane z góry ludzkości przez Syna Bożego; pod jego potężną ręką, przyuczał się prawdy te uzasadniać, usprawiedliwiać przed sobą i bronić na zewnątrz od srogich napaści: jego potężnym uczuciem zagrzane wprawiało się młode serce kochać Boga i wszystko do Niego odnosić.

Nie dziwna więc, że Trętowskiego wielbimy, kochamy i wdzięcznymi mu jesteśmy; on bowiem był jedną z jasnych gwiazd filozofii polskiej, jednem ze słońc naszej wiosny. Jeżeli jesteśmy wdzięcznymi rodzicom za żywot nasz, za pielegnowanie wątłej naszej egzystencji fizycznej, za opatrzenie nas w środki do istnienia materialnego, i po ich zgonie, jeżeli ich kochamy miłością dziecka, najpiękniejszą z miłości ziemskich;—jeżeli miłujemy i wdzięcznymi też jesteśmy nauczycielom, którzy nam dali w rękę

pierwsze początki, klucze nauki: jakiemż być powinny uczucia nasze ku tym, co jak Trętowski, Libelt, Cieszkowski, i najwcześniejszy z nich Gołuchowski, pierwsi otworzyli nasze oko duchowe; wyrzekli nad nami wielkie swe „stań się” duchowe na drodze myśli wskrzesili zarodki jęj i nią jak kluczem, nauczyli tajemne zamki mądrości otwierać; wprowadzili do przybytku Boga i tam wskazali myśli te same prawdy, rozsiadłe po ołtarzach wszechwiedzy, wszech myśli, wszech nauki, które duch już na ołtarzach kościoła przez wiarę znajdował.

Wiedząc o życiu Trętowskiego z ustnego podania więcej niżeli z pism, wiedząc bardzo niewiele i to szczegółów bardzo smutnego pasowania się wzniesłego serca i umysłu z nędzą prawie; znając niektóre dzieła jego filozoficzne i zasługę jego na tém polu przeczuwając raczej, niż całą jęj wagę uczenie znając: spodziewaliśmy się znaleźć w biografii oczekiwanej wiele, o ile to dziś możliwe, szczegółów z jego życia, wiele wiadomości lub biograficznych o jego filozoficznych dziełach.

Zdawało się, że *Tygodnik* tak skrupulatny i bezstronny w ocenianiu i uczczeniu każdej zasługi, na każdym bez różnicy polu, obiecaną biografją i portretem złoży choć drobny wianek cześci i szacunku dla tego znakomitego męża. Oczekiwanie to zdawało się tém więcej usprawiedliwioném potrzebami społeczności naszej, a zwłaszcza dojrzewającej jęj części—młodzieży. Bo, nieprzesadzając na oślep i na ogół o jęj kierunku, już samo niebezpieczeństwo materyalizmu i materyalistów, którzy się dokoła idealizmu, duchowości rozłożyli obozem i pewni zdobycia tęj twierdzy ludzkości, zawczasu już wydają okrzyki zwycięstwa—już samo to, iż niepodobno, aby zaciekle ich głosy chociażby echem nie dochodziły do uszu naszych dojrzewających pokoleń i nie utwierdzały ich w przekouaniu, czerpaném z codziennego doświadczenia, że materya i siła jest wszystkim, że duch, idea są niedołęztwem w obec tamtych potęg; samo to niebezpieczeństwo, zdaje się dostatecznie usprawiedliwiać potrzebę podniesienia pośmiertnego przed narodem, do którego całą swą istotą duchową należał, szczytnęj tęj postaci wiernego sługi Boga, prawdy, cnoty, nauki i światła. Tém więcej, że służba ta, jak i zawsze, była ciągłą ofiarą widoków materyalnych dla dóbr lepszych, dla wyższych celów; a zatem dowodem już była, że nie jedno stanowisko empiryczne. praktyczne, materyalne może mieć w wieku naszych bohaterów swoich. Trętowski zaś właśnie był jednym z takich bohaterów, jedną z rzadkich dziś ofiar świata innego,—innego wręcz przeciwnego tamtemu kierunku.

W obec pokus, jakimi podoba się potokowi cywilizacji w jęj obecnym zawrocie manić nasze dojrzewające pokolenia, osłabiać, lub ostatecznie paraliżować jego przyrodzony kierunek, złożenie hołdu i czci zasłudze prawdziwej, szlachetnym i wzniosłym usiłowaniom ś. p. Trętowskiego, zdawało się i potrzebne i słusznie należne.

W takim oczekiwaniu, w takiej nadziei, w takim uczuciu smutku po odejściu od nas w lepsze światy tej „wielkiej jazni,” jak sam Trętowski ducha nieśmiertelnego nazywał, w uczuciu próżni pozostałej po tej potężnej intelligencji, która chroniła nas od zwątpień pośród walk życia, jednała sprzeczności wrzucone w umysł i serce przez toż życie i przez coraz groźniejsze teorye,— doszły nas N-ra 114, 115 i 116 Tygodnika Ilustrowanego.

Za portret ś. p. Trętowskiego słuszną się wdzięczność i redakcyi Tygodnika i jej rysownikom należy, albowiem zdaje się być doskonałym, przynajmniej ze względu na wykonanie. Inne uczucia wzbudziła sama biografia; nie dała ona nam bowiem ani dokładnego obrazu życia Trętowskiego, ani też znalazła choćby jedno ciepłe słowo na ocenę zasług zmarłego, a co gorsza, że autor jej, tchnąc wyraźną niechęcią do samej filozofii, usiłuje poniekąd uczucia podobne w czytelnikach swoich ku tej nauce obudzić, zaszczerpić. Czyni zaś to wszystko pisząc o zmarłym filozofie, nad świeżą jeszcze jego mogiłą. Dziwne myśli tłoczyły się mimowolnie przy czytaniu tej biografii; zdawało się nareszcie jak gdyby śmierć jednego z najznakomitszych naszych filozofów, była powodem lekceważenia tej szczytnej nauki, której był całe swe życie poświęcił: mógłże się tego Trętowski spodziewać? Zasłużyłże na to pracą i żywotem swoim? zwłaszcza w uroczystej chwili przejścia do innego żywota?

Taka nasza dola, że mało środków posiadamy na uwiecznienie w narodzie pamięci i oddania cześci publicznej ludziom zasługi i pracy. Rozbicie, rozpierzchnienie sił własnych, jest powodem wyraźnym, że gdy przychodzi do oddania hołdu zasłudzie jakiego człowieka, trudno nawet pozierać szczegółów żywota jego zewnętrznego ziemskiego. Smutno porównać tę cześć, hołd ten zasłudze prawdziwej, na jaką zdobyć się możemy, z tém, co się w takich razach czyni zazwyczaj u postronnych narodów. Inne narody tak są sumienne i skrupulatne w zbadaniu szczegółów i zebraniu materyałów do biografii zasłużonych swoich mężów, że nie szczędzą ni kosztów, ni pracy w tym względzie, nie oglądają się na nie by dogodzić wewnętrznemu uczuciu potrzeby uczczenia co czoł warte, wywdziękzenia co wdzięczności warte, wzbogacenia siebie bogactwem zasobów wewnętrznych ziomek znakomitych, rozpamiętując i badając pozostałą po nich umysłową spuściznę. Taka cześć, zwłaszcza pośmiertna ma coś rzewnego w sobie; a bardzo jest pouczającą i na głębszych zdaje się spoczywać fundamentach: sięgać się zdaje wiary w nieśmiertelność i wspólność z duchami, co od nas w lepszy świat odeszły.

Zbieranie bowiem skrzętne a sumienne najdrobniejszych szczegółów z żywota wielkich zmarłych; rozpamiętywanie i komentowanie, za pomocą tych szczegółów, dzieł po nich pozostałych; to odświeżanie pamięci ich przed narodem obchodami jubileuszowymi, dowodzą miłości żywej, pragnienia obcowania za grobem

jeszcze, wiarę w możliwość niejako tego obcowania. To przywiązanie pośmiertne do samej osobistości zmarłych dowodzi wiary w trwanie tej osobistości po za grobem; wiary w możność jednoczenia się z nią, zlewania się z nią; wiary w świat duchowy, w którym się osobistość ludzka nie rozplywała w nicosć, lecz trwa całkowita i żywa. Traktowanie zasłużonych zmarłych obojętnie, lekkomyślnie, nie samej tylko ciemnoty, lub braku naukowego interesu dowodzi. Owszem, dowodzi jeszcze oprócz tego braku wiary w nieśmiertelność duszy — i w świat ducha.

Jeżeli się tedy traktuje człowieka zasługi i pracy, jako robotnika płatnego, jako najemnika, wynagradzanego dopóty, dopóki mu siły służą do roboty, lub dopóki robota nie skończona; jako robotnika, o którym się zapomina, o którego się nikt nie pyta w obec spełnionej, ukończonej roboty; gdzie tedy robota jest wszystkim, a częstokroć tylko czemścis; robotnik zaś sam niczem: takie traktowanie nie może innego mieć źródła nad zupełny brak wiary publicznej w nieśmiertelność duszy.

Pod wpływem tej porządnej, sumiennej i pobożnej czci dla wielkich zmarłych u obcych nam narodów, pozostałość ich umysłowa staje się powoli nabytkiem narodowym, przechodzi w istotę narodową, w ducha narodowego i staje się nakoniec żywiołem jego składowym. Gdy wielki mąż od nas odchodzi, gdy usta jego zamierają; gdy w ziemskim żywocie dochodzi do kresu, po którym działanie jego wstrzymuje się, praca jego ustaje; gdy dzieł nowych nie tworzy, stworzonych nie rozwija dalej, ba, nawet bronić ich nie jest w stanie: wówczas dlań chwila stanowcza nastaje. Naród wśród którego żył, dla którego pracował ogarnia go wówczas, pod wpływem żalu, czystą miłością. Miłość, którą się zmarłych kocha, jest miłością niezemską, bo beznamietną. Ta miłość odrzuca błąd, odpycha brud, a w jej objęciach przeświełona tylko osobistość, czysta prawda jej dzieł zostaje. Takim jest owoc, takim skutek cześci pośmiertnej dla ludzi zasłużonych w narodzie; taki też i cel cześci tej być powinien.

Dziwimy się nieraz z kąd się bierze upodobanie przenoszenia dusz zmarłych na gwiazdy: upatrywanie w gwiazdach dalszej egzystencji dusz wielkich, zeszyłych z widowni świata tego. Że to w związku jest jakimś z sympatjami tajemnymi natury ludzkiej; że to potrzebą jej mieć firmament swój duchowy: czyż skwapliwość serc tkliwych a sierocych ku upatrywaniu w gwiazdach na niebie istnienia zagrobowego dusz zmarłych nie dowodzi? Miłość tam je przenosi, osiedla; miłość, po gwiazd promieniu z niemi się jednoczy i spaja. Tajemnemu uczuciu temu piersi ludzkiej winno się zadosyć uczynić w chwili owej stanowczej, pogrobowej cześci i pogrobowej oceny dusz wielkich ludzi w stosunku do całego narodu. W owej bowiem chwili stanowczej, w chwili, gdy je naród po śmierci miłością i żalem otacza, przebywają one niejako proces oczyszczania się ze wszelkich naleciałości życiowych; sam

zaś naród stopniami miłości dochodzi może raz jeden tylko względem nich na ziemi do tego punktu, że zdolny o nich sądzić „*sine ira et studio*” w istocie.

Zapewne nie można po biografii wymagać, by ona tylko apologią, tylko apoteozą być miała; lecz po biografii *Tygodnika Illustrowanego* zwykle się wymaga, aby była oddaniem hołdu zasłudze, zażegnaniem miłości ku człowiekowi, obranemu za przedmiot biografii. Samo już poświęcenie miejsca w takim, jak ilustracja nasza, dzienniku, portretu i biografii, jest z góry jakby rękojmą pewnej zasługi człowieka, jakiejś jego wartości, środkiem uczczenia tejże zasługi publicznie.

Nie wymagamy tedy wcale po redakcyi *Tygodnika*, ani po autorze biografii ś. p. Trętowskiego, by oni koniecznie wielbicielami i zwolennikami filozofa naszego byli: śmieszno by to było. Zresztą przypuścić niepodobna, aby którykolwiek z żyjących jeszcze filozofów naszych nie wziął się do napisania wprawniejszemu i sympatyczniejszemu piórem życiorysu Trętowskiego; do przedstawienia w prawdziwszym i godniejszym świetle ogółowi, a szczególnie młodzieży naszej tego naszego wielkiego myśliciela. Spodziewam się, że się brat z ducha, kolega naukowy, znajdzie; że się dopełnienia tej świętej przed narodem i pamięcią zmarłego powinności podejmie. Nim to jednak nastąpi, wdzięczność ku wielkiemu zmarłemu powoduje mię, że pióro do ręki niewprawnej i nieudolnej, biorę, aby zwrócić uwagę publiczności, a szczególnie młodzieży naszej myślącej, że biografia ś. p. Trętowskiego w *Tygodniku Illustrowanym* zamieszczona, nie prawdziwego pojęcia o znakomitym tym naszym filozofie nie daje, ani też nie jest hołdem należnym zmarłemu, oceną jego dla narodu zasług w najważniejszej pośmiertnej chwili.

Ze słaba jednostka, bez pomocy książkowej rzucona w zakątku prowincyi, śmiem słaby głos podnieść, powodowany samem uczuciem wdzięczności dla Trętowskiego za jakąś małą kropelkę zaczerpniętą, kiedyś za młodu z pełnego pohara wiedzy, którym zmarły tak hojnie narodowi szafował: ta śmiałość moja i słowa moje niech będą nędzną wiązką polnego ziela wśród wieńców wspańiałych, które na tę znakomitą posypią się mogiłę — bo się posypać winny.

Myśli i zdania rozrzucone po biografii Trętowskiego w *Ilustracji* dają się następnie rozgatunkować: 1) Tyczą się one bowiem albo samych szczegółów życia zewnętrznego; 2) albo bibliografii samej dzieł przezeń wydanych; albo 3) zarzutów przeciwko systematowi i terminologii, oraz usiłowań żeby ocenić krytycznie stanowisko i zasługę Trętowskiego na filozoficznym polu.

Popróbujmy rozrzucone te cząstki złożyć w jeden obraz i zdajmy sobie sprawę, ażali jest on wiernym odbiciem zmarłego filozofa, ażali on daje wierny kierunek opinii publicznej o nim, ażali celowi odpowiada?

Autor artykułu o Trętowskim w *Illustracyi* wypowiada na wstępie za swój, że biografią układać musi z bardzo niedokładnych materyałów, otrzymanych od rodziny zmarłego i od pana J. I. K. Przypina, że Trętowski „zasługuje na tak szczegółowy i sympatyczny życiorys, jak ten którym A. Małcki uczcił autora „*Lili Wenedy*.” Tém więc, że zebranie w jedne szczegóły i drobnotki z dziecinnych lat filozofa (podług zdania autora biografii) ułatwiłoby miały wniknięcie w ducha i kierunek umysłowy głównego filozofa.”

W dalszym ciągu życiorysu dziwić się przychodzi, że materyały biograficzne pochodzące z dwóch tak dobrych źródeł, tak są skąpe, tak niedostateczne i prawie wszystkie dobrze zużane. Kiedy więc tak trudno o szczegóły te w tej chwili, niechże mi wolno będzie dodać do nich to, co mnie doszło z ustnych opowiadań o Trętowskim.

Między 1850 a 1854 rokiem słyszałem od młodzieży, wysyłanej przez Kolegium Ewangelickie Warszawskie na studia teologiczne do Dorpatu, że ś. p. Trętowski nie „z ojca, ze szlachty Plockiej pochodzącego,” lecz że się włościaninem na Mazowszu urodził. Młodzi ci ludzie opierali twierdzenie to swoje na opowiadaniu jakoby ówczesnego swego superintendenta ks. Ludwiga. Dziś fakt ten z tego względu godnymby był sprawdzenia i udowodnienia, że lud nasz mazowiecki mógłby się pysznić synem swoim, miałby powód do pięknej chluby przed współbraćmi, że z łona swego dał narodowi jednego z największych jego myślicieli i pisarzy.

Z tego samego źródła wiem, że Trętowski był wyznania ewangelicko-reformowanego, czyli jak u nas zwykle zowią kalwinów. Barwa pism jego zdaje się to stwierdzać. O ile zaś da się to z jego pochodzeniem włościańskiem pogodzić, doprawdy nie wiem, bo zdaje mi się, na Mazowszu nie ma śród ludu wyznawców kościoła reformowanego. Byłoby to jakiś przypadkowy wyjątek?

Następnie wspomniano w biografii „ze wykład Trętowskiego filozofii na uniwersytecie Frejberskim trwał do roku 1841, ale czy był drukowany nie wiemy.” O ile przypominam, w Myślini wydanej w roku 1844, Trętowski wspomina o sobie jako o profesorze, wykładającym wówczas filozofią w uniwersytecie. Z tradycyi zaś wiadomo mi, że wykład ten ustać musiał po 1849 roku, gdy Trętowski z katedry zaczął być wyszydzany niedołęztwem politycznym Niemców, biorąc miarę z sejmiku frankfurckiego, oraz po napisaniu już „*Przedburzy i Wizerunków duszy*.”

Przerwa pozostawiona w datach biografii, a obejmująca lat 18 od 1841 do 1859 roku, musi też być koniecznie wypełnioną; za nadto bowiem jest znaczną i na czas i na wypadki, które w nim zaszły, a które nie mogły nie odbić się w takim umyśle i takim życiu, jak Trętowskiego. Przerwa ta wypełni się też niezawodnie, byle dobre chęci przyjaciół, towarzyszy zmarłego, a tych niez-

braknie. Przy małych stosunkach i środkach udało mi się wszakże z opowiadań ziomków zebrać do tej przerwy odnoszące się dane; cóż dopiero mówić o jego pozostałej rodzinie, o naszych uczonych literatach, którzy zapewne nie zaniedbają tej powinności względem zmarłego.

Z powyższej przywiedzionych źródeł wiadomém mi jest, że te lat 18 wypełnione były, na ogół rzecz biorąc, cichém, pracowitém, a materialnie ubogim życiem z rodziną w Frejburgu; gdzie go rodacy widywali po 1855 roku. Rodzina ta składała się z żony, Niemki, *Humberger* z domu i z jedynego dziecka—córkę. Przypomnijmy sobie tutaj, co biografia *Illustracyi* mówi o Trętowskim we Frejburgu. Że on wyjechał był tam sobie indygenat badencki, że tam się osiedlił, tam się z córką obywatela *Humberger* ożenił; że słowem jedném, mazur myśliciel, sam jeden rzucenym był jak oaza śród otaczającej go dokoła i przez wszystkie organa i głowy i serca nań działającej niemieczyzny. Mimo całe to otoczenie, mimo względy nań materialne nawet, mimo wysoką cenę jaką filozof przywiązywał do indygenatu swego, dom jego i rodzina była prawdziwie polska. Żona jego mówiła po polsku, córka została wychowana po polsku, na literaturze naszej: wszystko, aż do gościnności w progach Trętowskiego, mimo małych zasobów materialnych było nasze, narodowe. Obok innych na polu teoryi nauki zerwanych, drobny to zapewne listek; lecz nie mniej przeto listek do wawrzynowego wienca jego zasługi i chwały,—zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie do jak przerażającego stopnia młodzież emigracyjna w Paryżu, przy stokroć większych pomocach we względzie narodowego wychowania, narażoną była na sfrancuzienie, przynajmniej co do samego języka. Przed rokiem 1859 jeszcze kilku wielbicieli Trętowskiego z Litwy posłało mu książki polskie, przeznaczone dla jego dorastającej córki w darze. Były to powieści *Rzewuskiego*, *Chodźki*, *Kraszewskiego*, *Korzeniowskiego*. Podziękował on im listem nadzwyczaj rzetelnym za ten dar i nazwał go prawdziwem wianem dziecka swego, które, jako mające w ojcu jedyną spójnię z krajem i mową ojczystą, tym sposobem jeszcze się mocniej z tym krajem i mową spoilo. Około tegoż czasu otrzymał Trętowski przysłane mu przez te same osoby z Litwy dzieła *Libelta* „*System umnictwa*.” Podziękował za dar ten listem, pełnym wyrazów najwyższej radości i uszczęśliwienia prawdziwie młodzieńczego z posiadania tego literackiego gościa w progach swojej pracowni. Pisał w tym liście, że w dziele tém czyta i rozczytuje się nieustannie, że się odeń oderwać nie może. Do takiego stopnia dzieło to znakomite potrzebną i mu pożyteczną było w owęj danęj chwili. Trętowski, sam autor, a zatem stosunki mając z księgarzami, nie był jeszcze naonczas posiadał téj książki. Fakt ten dziwny ma się podobno objaśniać ówczesnem ubóstwem Trętowskiego, brakiem środków materialnych zupełnym. Po utraceniu bowiem katedry professorskiej, utrzymywał się w owym czasie z lekcyj prywatnych, które, w tak uiewielkiem

niemieckim, jak Frejburg, mieście, przy zwykłej tam konkurencji, musiały bardzo mało przynosić zysku. Niewymownie ciekawym, pouczającym byłoby, gdyby się komu z rodaków [za tę tajemniczą zasłonę przedrzeć udało. Dziś już po śmierci Trętowskiego, gdy po nim system jego i dzieła piśmienne tylko pozostały, nie byłoby to niedyskrecją, lecz świętą cześcią jego popiołów, wpatrzenie się w to pasowanie się potężnego umysłu i woli z nędzą powszedniego życia;—przestudyowanie sumienne wszystkich tych uczuć, przez jakie to zacne serce przechodziło w walce z cudzoziemczyzną w łonie rodziny własnej;—jakimi sposobami nareszcie wyszło ono z tej walki z tryumfem, ratując obyczaj i mowę polską dla dziecka, przeneradawiając matkę jego. Nareszcie rozjaśnić należy przed publicznością naszą dziś już prawie rzecz widoczną: że ów Trętowski niedostatek materialny był skutkiem utrzymania w mowie i piśmie filozoficznego narodowego stanowiska.

Tak utalentowany professor łatwoby się zapewne utrzymał na wysokości powodzenia pośród uczonych Niemców nawet, gdyby nie wielkie w mniemaniu wielu ustępstwo uczynił, gdyby abdykował swoją narodowość na katedrze professorskiej. Sam biograf w ilustracji zdaje się wyrzucać mu to, mówiąc: „Trętowski wszystkie filozoficzne niemieckie wielkości jednym zamachem postrzącał z piedestału.... tedy nie znalazł u Niemców łaski, nie dlatego, żeby gorzej od nich filozofował, ale dlatego, że śmiał rzucić się na powagę...” „autor (Trętowski) pisząc nawet po niemiecku, nie zapominał swojego pochodzenia, ani go się wypierał, jednak należało coś i dla swoich zrobić” (powód dla którego niby zaczął pisać po polsku). Przy końcu zaś biografii położone zdanie o Trętowskim zdaje się też samą myśl wyrażać: „Trętowski prawil ciągle o rzeczywistości, a snuł światy niebywałe; mówił, że ujrzał świat boski, ani realny, ani idealny, a naprawdę niedość rozumiał (?) świata zwyczajnego, najrealniejszego (?), którego nie trzeba szukać, bo w nim żyjemy” (?). Lecz właśnie te małe w oczach tak zwanego praktycznego człowieka ustępstwo, niepodobieństwem jest dla filozofa, który z wiedzą i wolą mierzy stosunki życia codziennego nie zarobkiem pieniężnym, lecz prawami i obowiązkami ducha. Jeżeli się to dziś komu wydawać mogło postępkim na fiksację zakrawającym, niech o to nie Trętowskiego, lecz zmaterializowanie społeczne winuje; ono to bowiem wionęło nań ze wszystkich stron świata. Podjęcie tedy i wielbienie pośmiertne takiej Trętowskiego postaci, byłoby też zarazem apoteozą idei, prawdy może dziś trochę zamierzohłej, że jeśli materya potężną jest i ma swoje prawa, potężną jest też niemniej i uprawnioną wolna osobistość duchowa człowieka, zatykająca chorągiew zwycięstwa na gruzach swojej własnej cielesnej ruiny. Miejmy to przed oczami choćby w tej chwili oddania cześci pośmiertnej Trętowskiemu, a może się w nas ta prawda utrwali, że jeśli materya włada człowiekiem po-

dług praw konieczności, z taką samą koniecznością może téż nim i duch władać.

I Bóg nagrodził za życia jeszcze Trętowskiemu jego uczucia zasady, kraj bowiem w osobie zacnego młodzieńca upominał się o rękę jego córki jedynej, wychowanej na obcej ziemi przez ojca filozofa po polsku. Młodzian ten, syn zamożnego obywatela litewskiego, bawiąc we Frejburgu, poznał, pokochał i pojął za żonę około 1865 roku biedne dziewczę, na które ojciec filozof za cały posąg przelał tylko narodowość w wychowaniu. Dziś córka Trętowskiego jest na Litwie, matką kilkorga dzieci, panią i gospodynią domu.

Wróćmy raz jeszcze do czasów między 1841 a 1859 rokiem. W epoce téj rodacy nasi w przejeździe przez Frejburg podwiedzali Trętowskiego. W osobie jego znajdowali zrazu cichego, pracowitego literata, który ich witał uprzejmie, gościnnie ze szczerością i otwartością naszą, znięwałającą i zmuszającą zapomnieć, że się nie pośród rozłożystych pól Mazowsza, a gdzieś nad niemieckim aż Renem znajduje. Lecz tenże skromny, gościnny uczo-ny, jakże się w innego przeobrażał, gdy lada słowem przybyły rodak zdradzał interes dla nauki, dla filozoficznego myślenia. Opowiadało, że Trętowski podżyły już wówczas, na raz jeden stawał się istnym młodzieńcem, gorejącym żądzą wiedzy, zapałem dla nauki i prawdy. Odwiedziny takie były widocznie ucztą dla jego ducha, odświeżały jego uczucia narodowe, jego myśl badawczą. Takiemu téż gościowi zwykł był służyć za towarzysza w wycieczkach w okolice miasta i w takich razach bywał niez mordowany. Raz, późnym wieczorem po skromnym w domu własnym przyjęciu, zaproponował młodemu rodakowi wspólną za miasto przechadzkę.

Noc była pogodna, miesięczna, rozmowa pełna młodego zapału i życia. Myśl obu szła w górę dwoma skrzydłami poezji i filozofii. Trętowski streszczał w poetyckich wyrazach pomysły swoje o ostatnich zasadach prawdy, wiedzy i wszelkiej rzeczywistości istnienia. Zeszli na wspólny grunt, do najżywotniejszych kwestyj dla obu, i Trętowski rzewnemi słowy czynił dzięki Bogu za dołę, naznaczoną przezeń i ogółowi i jednostkom. Wyrzekł nakoniec, że owe przez myśl jako abstrakcyje pojmowane idee czyste, przez *myśl* zaś, jako żywe, płodne zasadnicze prawdy Boże, są temiz co w biblii cherubinami, otaczającymi Tron Przedwiecznego, z płomienistym mieczem, których przeznaczeniem jest wykonywać wyroki Przedwiecznej sprawiedliwości na ziemi. Była to chwila pogodzenia w duchu i prawdzie religij z filozofią. Chwila spowiedzi Trętowskiego z najgłębszych tajników ducha, wyrazem całkowitym jego systematu, jego przekonania; chwila ta została najdroższą na całe życie opowiadającego pamiątką.

Takim tedy widywali Trętowskiego w téj epoce rodacy. Ten zapał, tę młodzieńczość Trętowskiego trzeba młodemu pokoleniu teraz właśnie przypomnieć, trzeba mu go mieć zawsze na wzglę-

dzie w rozpoznawaniu jego systematu szczególniej. Bo te dwa nastroje ducha, zapał i młodzieńczość, były właśnie tém, co on otworzeniem oka duchowego nazywał, owego *mysłu*, na to wszystko co Boskie i święte; w nich zdaje się być klucz do filozoficznego systematu Trętowskiego.

Cała ta epoka zatem od utracenia professury w uniwersytecie aż po 1859 r. wypełnioną być się zdaje, na ogół rzecz biorąc, cichem, pracowitem, a ubogiem życiem we Frejburgu. Mówiono, że około 1859 roku, wieszcz nasz Zygmunt Krasinski wyrywał go niekiedy z tego ustronia pracy i trudu; że ceniąc wysoko towarzystwo jego, zatrzymywał go dłużej przy sobie i podrastających synów mu swoich powierzał. Ciekawa i godna zbadania, na jaki czas przypada początek tego ze ś. p. Zygmuntem słosunku? Słychać było zaraz po 1849 roku, jakoby geniusz Zygmunta miał na niego już wówczas potężnie oddziałać i wpłynąć przeważnie na dalszy kierunek ducha jego. Pewne powinowactwo duchowe zachodziło między nimi już dawno. Dosyć jeden „Psalm Wiary” Zygmunta czytelnikowi przypomnieć, aby się w tém upewnić. Psalm Wiary bowiem, jest już sformułowaniem poetyckiem przekonania filozoficznych Trętowskiego, całego jego systematu. Przy takim podobieństwie wierzeń i przekonań, innemi drogami tylko osiągniętych, musiała być wzajemna sympatya z wzajemnego wpływu. Łatwo więc wpaść na domysł, że wpływ Zygmunta ograniczać się musiał tylko do sposobu traktowania materji filozoficznej, do złagodzenia jaskrawości w stylu i dykcji Trętowskiego, wynikających z posuwistej mazowieckiej natury może, oraz z polemicznych nałogów protestantyzmu, którego jawnym i szczerym wyznawcą był autor *Chowanny*. Piérwsze, jako wierne przechowanie śród obcych cech narodowych, nie jest może wielką wadą w filozofie, któremu tak snadno zostać kosmopolitą, chociażby nawet w wyższém wyrazu tego znaczeniu. Drugie, jest wadą do przebaczenia, do wytłumaczenia przynajmniej przez żywioł przeważnie filozoficzny w całym usposobieniu Trętowskiego, naglący go ku czci Boga wewnętrznej, nie formą lecz w duchu i prawdzie. W biografii illustrowanej mówiąc o zmarłym filozofie jedno i drugie nazwano *niemiarkowaniem języka*.

Wapomniała tamże bytność Trętowskiego w Paryżu od 1859—1860 roku, „gdzie miewał odczyty dla wykształcenijszej publiczności” ażali nie była spowodowana stosunkiem z Zygmuntem? Żeby zaś miał być tam kiedyś przedtem (w roku 1827) i słuchać w Sorbonnie wykładów Cousin'a, Guizot'a i Villemain'a zdaje się rzeczą nieprawdopodobną. Bo najprzód, jak to słusznie owa biografia wspomina, w tym 1827 roku Trętowski był jeszcze studentem uniwersytetu warszawskiego; powtóre, każdy przyzna, że Trętowski lubiący niekiedy w dziełach swych doświadczenia własnego życia przytaczać, mówiąc o Francuzach, nie zaniechałby pewno o tej bytności w Paryżu gdziekolwiek wyra-

źnie napisać. Przynajmniej w Myślini i Chowannie, zdaje się, wspomnienia tego nie ma.

Nareszcie biografia Trętowskiego w *Illustracyi* kończy się temi słowy: „Resztę życia przepędził po większej części we Frejburgu, gdzie zmarł 16 czerwca 1869 roku po krótkiej, bo tylko trzydniowej w łóżku chorobie. Pod koniec życia, pisze p. J. I. K., za którym te szczegóły powtarzamy, cierpiał na astmę i nerwy. Uczeni niemieccy, towarzysze i uczniowie oddali należny hołd zaśladze, odzywając się z serdecznym uznaniem pocziwój pracy nieboszczyka, którego grób kwiatami zasypano.” To tedy w chwili zgonu uczynili dlań cudzoziemcy. Dotychczas swoi uczynili dlań tyle tylko, ile i w jakim tonie pamięć jego u ziomeków podjęła *Illustracya*. Azali ten człowiek na insze pośmiertne poczczenie u ziomeków zasłużył, zobaczymy w przyszłości. Obecnie mamy tylko sprzeczność w dwóch po sobie idących przez Nra *Illustracyi* zyciorysach, dwóch równie nam drogich ludzi: biograf genialnego Chopina szedł za żywotem jego aż do ostatniego uderzenia pulsu, aż do złożonego na bratniej ręce ostatniego pocałunku miłości, z którym dusza tego naszego narodowego muzyka uleciała w niebiosa; biograf „genialnego” filozofa rozstał się z nim tylko wyżej przytoczonymi szczegółami. Byłaby to niechęć ku pamięci zmarłego filozofa, wstręt ku jego nauce? Byłaby to powiew ducha czasu, niesprzyjający podobnego rodzaju zjawiskom, jak żywot Trętowskiego. Ostatnie chwile żywota ziemskiego obu tych wielkich ludzi zarówno nam drogic, zarówno drogą dla nas pamięć ich obu być winna. Niemniej przeto przekonani bądźmy, że zgon Trętowskiego, filozofa, myśliciela, badacza, byłby więcej nauczającym dla nas, w ziemskiej jeszcze powłoce żyjących; chociaż podobnie jak tamten zgon, zapewno był tylko aktem miłości która zawsze i wszędzie i na wieki początkiem jest i końcem istnienia.

Bibliograficzne wiadomości *Illustracyi* zdają się być dokładne, przynajmniej co do liczby dzieł i kolei, w jakiej one na świat wychodziły. Wiadomości te są niezbędne w zyciorysie Trętowskiego, jako filozofa i jako nader płodnego pisarza. Braknie tylko szczegółowych wskazówek na opinie i krytyki, jakie Trętowski w piśmiennictwie przynajmniej peryodycznym wywołał dziełami swojemi. Musiały nań takowe oddziaływać, musiały ślad jakich po sobie w dalszych jego pracach zostawić. Inaczej być nie mogło. Zdania piśmiennictwa krajowego były mu echem opinii czytelników, były mu środkiem jedynym posłuchania potrzeb umysłu ducha narodowego, aby do nich się w prawach swoich dostroić. Po artykule *Illustracyi* niepodobna wymagać takiej bibliografii krytycznej. Będzie to zadaniem przyszłego żywotopisarza tego znakomitego polskiego myśliciela, żywotopisarza, który sam wykształcony w naukach filozoficznych, nie będzie rozważał Trętowskiego za przypadkowe zjawisko literackie, za

fenomen dziwactwa filozoficznego, lecz potrafi zwi zać pojaw jego u nas z filozoficznym rozwojem myśli europejskiej, a w szczególności polskiej i zwi zawszy go, nie za sporadyczny przejaw, lecz za konieczne następstwo rozwoju tejże myśli, oceni istotnie jego stanowisko naukowe i chętnie cześć należną jego zasłudze odda. W bibliograficznej bowiem części zyciorysu najsmadniej wykazał pewien ciąg prac filozofa i ze względu na process wewnętrzny myślenia filozoficznego i ze względu na potrzeby narodu, dla którego pisał, który nauczał. Zdaje się że tego rodzaju badania byłyby wielce pożyteczne dla ogółu czytającego; w każdym zaś razie wypadłyby niezmiernie na korzyść dla zmarłego filozofa, przydałyby mu, nowy listek do wieńca zasługi i stałyby się nowym ogniwem sympatycznym między pamięcią jego i czytelników. Dowiadujemy się z artykułu *Illustracyi* o dwóch pozostałych po filozofie rękopismach: o teozofii jego p. t. *Bożyca* i o drugim dziele *Panteon wiedzy ludzkiej*. O rękopiśmie *Bożycy* słyhać już było dawniej. *Panteon* zaś, dowiadujemy się, ma być wydany staraniem p. Karola Libelta. O innych rękopismach i korespondencji pozostałej po zmarłym, artykuł *Illustracyi* nic nie wspomina, tymczasem mówią, że między papierami pozostałymi, rodzina znalazła 90 samych listów nieboszczyka Zygmunta Krasieńskiego. Jakież to dowód sympaty i potrzeby komunikowania się tych dwóch genialnych naszych pisarzy, obudwom zaszczyt przynosząca, obu nam jeszcze droższymi czyniąca, obu nam przez wzajemny ten blizki stosunek wyjaśniająca. Liczny ten zbiór listów rodzinna Trętowskiego miała podobno synowi Zygmunta doręczyć. Chyba że taka była wola filozofa; bo inaczej zbiór taki jest tego rodzaju własnością prywatną, do użytkowania z której naród cały ma prawo. Syn Zygmunta pogodzić może tę sprzeczność, ogłaszając drukiem tę korespondencję, która jak i wszystkie z tego źródła pochodzące, ze czcią religijną przez publiczność naszą przyjętą będzie. Bardzo nie wielu z nas czytało, rozprawy wyliczone w *Illustracyi*, w zyciorysie Trętowskiego, mianowicie: *Urywki polityczne* z r. 1845, *Przedburza polityczna* z 1849, *Wizerunki duszy przez Ojczyźniaka* z 1847. *Trzy skuzówki dążeń i usiłowań moich* z 1860 i *Księgi zasadnicze rodu ludzkiego* z 1866. Jakżebyśmy byli wdzięczni, gdyby się ktoś podjął pracy zaznajomienia publiczności w krótkim chociażby zarysie, z przedmiotem, treścią i celem tych, jak *Illustracya* je nazywa, *okolicznościowych broszur*. Inaczej bowiem umysłowe skarby w nich zawarte są dla nas niedostępne, a więc nieistniejące. *Chowanna* i *Myślinia* więcej u nas czytano. A w broszurach tych wypisał zapewne Trętowski wszystko, co okoliczności czasowe ze skarbicy jego myśli, wiedzy i uczucia poruszyły, nauczającą i obudzającą dla wielu byłoby rzeczą dowiedzieć się, jak się te czasowe okoliczności w potężnym duchu jego odbiły.

Artykuł Tygodnika *Illustrowanego* o Trętowskim, oprócz wspomnianych stron biograficznej i bibliograficznej, ma jeszcze

stronę jedną, z której widocznie usiłuje jakąś wyraźniejszą w publiczności czytającej opinię o Trętowskim jako filozofie i pisarzu wywołać, a nareszcie krytycznie go ocenić. Szkoda wielka, że się *Illustracya* w to wdawa. Przechodzi to już bowiem zakres i cel takiego pisma. Najsmutniejsze też, najdziwniejsze razem ta strona artykułu, w mowie będącego, robi na czytelniku wrażenie. Spotykamy w nim tyle sprzecznych z sobą zdań, opinii, wyrażań o zmarłym filozofie, takie zarzuty, że trudno zaiste z tego wszystkiego jakąś ułożyć całość, zdać sprawę i przyjść do jakiegokolwiek przekonania, czego wart Trętowski jako człowiek, jako filozof, czego sama filozofia warta, jakiegoto gatunku gałąź czy nauk, czy błędów, czy zabobonów ludzkich? Nieświadomy zwłaszcza tych rzeczy czytelnik, musi po przeczytaniu artykułu być jak w lesie i do zasłyszanych zkądinąd bredni i szyderstw, miotanych na filozofów i filozofią dodać sobie nowe, świeżo wyczytane, z powodu śmierci jednego z ojczyrstych filozofów. Dziwiwać się będzie po co uwieńczono w *Illustracyi* portret i biografię jakiegoś marzyciela, wartogłowa, nie mogąc sobie zaś tego wytłumaczyć, wpadnie chyba na domysł taki, że się zapasy artykułów w tece redakcyjnej wyczerpały na dobie, a w braku czegoś ciekawszego, pomieszczono życiorys jednego z dziwaków, filozofa Trętowskiego, z przewróconą *nemieckimi cudastwami* głową.

Chociaż widocznie nie jest zadaniem i nie było nigdy Tygodnika *Illustrowanego* wdawać się w krytyczne rozbiory prac filozoficznych, chociaż na wspomnianym artykule Trętowski w gruncie nic nie może stracić, a publiczność nie zyskać; gdy jednak artykuł ten przeszedł przez umysły nasze i mógł w nich choć słaby ślad zostawić, więc zastanówmy się ze wszystkie tam nagromadzone przeciw Trętowskiemu zarzuty, redukują do dwóch, że wprowadza *nową terminologią* polską do filozofii i że nowy samodzielny systemat filozoficzny stworzyć usiłuje, oraz zobaczymy „czego warte” te zarzuty.

O co do pierwszego, tyczącego się terminologii, to nie jest on nowy. Terminologię tę jedni mogą na oślep przyjmować, drudzy podobnie odrzucać, mimo to jednak będzie ona zawsze pamiętką, przynajmniej usiłowania patriotycznego zmarłego filozofa, jego miłującej ufności w niewyczerpane skarby mowy ojczyrstej, o której niech sobie czytelnik przypomni ustęp ze wstępu do *Chowanny*, taki rzewny, taki tęskny, tak żywą, gorącą miłością natchnięty. Czyżby jeszcze przypominać trzeba, że filozofia nauką jest, że nauka bez własnej terminologii obejść się nie może? Czyżby tu trzeba było jeszcze powoływać się na chemią, fizykę, medycynę? Czyżby zapytywać trzeba czém gorszą jest filozofia od tych nauk? Zarzut z terminologii powzięty wydawać się zawsze będzie pretextem, pozorną racyą do zniechęcenia i zdyskredytowania filozofa przed ogółem; pomyslną okolicznością do godzeń i własnej niechęci ku filozofii i filozofowi. Tą razą zaś szczególniej dogadza się takiej ku Trętowskiemu niechęci za jego absolutyzm,

wyłączność filozoficzną, za jego lekceważenie rzeczywistości w popołitem pojmowaniu, za jego lekceważenie wszystkiego oprócz szukania Boga, Boskości, mądrości prawdy. Bo czemuż jest ostatecznie podług niego filozofia jeśli nie szukaniem Boga? Nie *psychologia* jakaś jest punktem wyjścia jego, początkiem systematu jego, lecz żywe drgające słówko *jestem*, z którego on wywodzi pewność istnienia *człowieka, natury i Boga, realizm, idealizm i rzeczywistość*. W człowieku na tej drodze odkrywa on *myśl*, tak przezeń nazwany organ do znalezienia Boga, ujżenia Boskości, czyli myśli i prawdy Bożej tam, gdzie ją Bóg usadowił na tronie bytu w stworzeniu. To też by sprawę zdać z systematu tego, trzeba tak potężnie znać historią filozofii, przenikać na wskroś sfery materyalizmu i idealizmu, potężnie tak władać piórem, jak Trętowski. Przedstawienie zwycięże a jasne systematu zmarłego filozofa, zestawienie go z „psalmem wiary” wykazałoby niezawodnie braterstwo tych dwóch szczytnych stanowisk. Któż przecież się poważy wystąpić przeciw „psalmu,” że on nie jest składem wierzeń i przekonań wieku? Podstawy, zasoby wszelkiego bytu i myślenia, znalezione na drodze doświadczenia oraz myślenia nad myśleniem samym, na drodze wejścia w samego siebie, w istotę rzeczywistości wewnętrznej, podstawy i zasady te same się ze sobą spajają w pewną organiczną całość; stanowią zapatrywanie się filozofa, jego systemu. Lecz któż nie ma swego zapatrywania się, swego filozoficznego systemu? Każdy go ma, co myśli cokolwiek, każdy nieprzykuty realizmem losu do obrabiania kilku myśli, wypełnionych materiałem codziennego życia, walką z naturą o zaspokojenie pierwszych potrzeb cielesnej egzystencji. Jakże więc fałszywa potępiać filozofa za tworzenie systemu, nazywać to *robotą*, jakby obłudem jakimś, uprzedzeniem. Człowiek wśród przeznaczeń oświecania siebie przez naukę, umoralniania się przez walkę z ułomnościami, namiętnościami, urzeczywistniania woli swjej przez czyn, ma także przeznaczenie zbadania ostatnich podwalin tego wszystkiego, podwalin religii, moralności, obyczajaju, prawa, podwalin woli i czynu, Boga, świata i ludzkości. Te podwaliny ujęte w abstrakcyi myślą, w Boskości ich *mysłem* i stopione w jedną, kształtną całość, to system filozoficzny.

Nie gorsz się czytelniku, młody zwłaszcza takim budowaniem systemów, nie zwracaj uwagi na ich lekceważenie. Patrz, oto był człowiek, co pogardzał wszystkim, co budowaniu temu życie poświęcił. Godnym poświęcenia trudu musiało być ono. Człowiek ten nie półgłówek jakiś, choć w ciebie to wmawiają, ale człowiek zasługi wielkiej i miłości twjej godzien. Uczcij pamięć jego poznaniami skarbów, nagromadzonych jego potężną istotą wewnętrzną. Wiedz o jego życiu. Buduj sam systema, budować będziesz, bo musisz, bo twoje to przeznaczenie, jako istoty myślącej, lub poznaj, co on zbudował. Używanie, życie, świat, ba, nawet nauka, badania, prace oświaty, cywilizacyi, same przez się nie zadowolnią cię: w końcu zapytasz zawsze do czego to dąży,

zapytasz zkąd i dokąd sam dążysz? A wówczas zamiast ściągania wszystkiego do matery i podkopywania przez to wiary, obyczaju, państwa; zamiast rezolwowania wszystkiego w eter lotnej myśli oderwanej, a więc zlania Boga, świata i ludzkości w jedno, zamiast wynoszenia człowieka do potęgi bóstwa, ujrzysz, że jedno i drugie jednostronne, niecałe, fałszywe, uchwycisz twą nieśmiertelną istotę i staniesz na stanowisku Trętowskiego. Jego system jak dąb olbrzymi. Każdy możliwy system inny, będzie jednym z jego ramion. Każdy twój system filozoficzny będzie tylko jedną stroną jego systematu. System taki może być wpływem tylko ducha narodowego, jako wspierający się na istocie całkowitej, wewnętrznej, która wyrabiała się przez wieki historyczne żywotem praktycznym, czynnym. Jakaż wdzięczność, że pośród tak przeważnego wpływu narodowości niemieckiej, tak polipio wysysającej i absorbującej wszelki indywidualizm, zdołał Trętowski utrzymać narodowy pierwiastek swój w teorii, pismach, a nareszcie w życiu domowém!

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Dante Alighieri Boska komedia, przekład Ant. Stanisławskiego. Poznań. Nakładem księgarni Żupańskiego, drukiem J. I. Kraszewskiego. w Dreźnie, 1870.

Boska komedia Danta, ten poemat jeden z najobszerniejszych i najbogatszych w fantazją, wśród utworów poezji ludzkiej, długo był nieceniony i prawie nieznan w ogólnej literaturze. Napisany w samym początku XIVgo wieku, dopiero przy końcu XVIIIgo zaczął zwracać bliższą uwagę piśmiennictw Europy. Pierwszy przekład tego poematu na język niemiecki i to prozą, nastąpił za ledwo w r. 1767 (*Bachenschwanz*); pierwszy całkowity francuzki dopiero w r. 1811 (*Artand*). W samej ojczyźnie poety, sława jego lubo wysoka zrazu, dalej zatartą została powodzeniem i sławą poematów Ariosta i Tassa i pierwsze jego krytyczne wydanie ukazało się dopiero w r. 1791.

Ale ta długa stanność w rozgłosie była właściwie wstępem, przygotowaniem do tego większego następnie zatryumfowania sławy poety. Owo pierwotne powodzenie poematu we Włoszech, było tylko cieniem w obec tego jakie go miało spotkać nam współcześnie. Dante sławionym jest dzisiaj nie tylko jako wielki poeta, ale też jako wielki polityk, wielki filozof, wielki teolog w swoim utworze. *Boska Komedia* stawiona jest nad wszystkie poetyczne gwiazdy poezji ludzkiej.

Od tego powszechnego hołdu i zajmowania się tym utworem nie oddzieliła się i nasza literatura. W ostatnich czasach zyskałszy nie tylko licznych tłumaczyw szczególnych ustępów Boskiej komedyi, ale też miłośników którzy poświęcili za ledwo nie cały swój żywot dla wykonania przekładu jej całości. Właśnie przed laty 10 otrzymaliśmy całkowity przekład tej epopei przez Juliana Korsaka, i oto otrzymujemy dziś drugi całkowity nowego pióra.

Krótko tylko wskażemy tu na cechy i na różnice obu tych przekładów. Lecz aby wskazać chociażby najkrócej na cechy przekładu, wypada nam chociaż kilku słowy przypomnieć i wskazać na właściwe zalety i cechy samego poematu, a więc i samego poety.

Autor Boskiej Komedy *Dante* (syn Alighiera) urodził się w r. 1265 umarł w 1321. Był on dzieckiem Florencyi a przyszedł był na świat kiedy dzieje tego miasta i w ogóle Włoch odznaczone były bojami *Gwelfów* (rodzin włoskich które miały opiekę Stolicy Apostolskiej) i *Gibellinów* (stronników cesarzy). Dante doszedłszy do lat był zrazu gorliwym i bitnym stronnikiem pierwszych i wyniesionym był na jeden z pierwszych urzędów swojego miasta, ale śród samych *Gwelfów* zrodziły się były stronnictwa i namiętne walki *Białych* i *Czarnych*, ci ostatni wygrali i Dante który należał do białych skazanym został na wygnanie, na stratę mienia i wreszcie na spalenie. Przeszedłszy do obozu *Gibellinów* razem z nimi czynić miał napad na Florencyą. Napad odparty był i Dante do rodzinnego miasta nigdy już nie powrócił. Przez resztę życia t. j. przez lat 19 tułał się on kolejno po różnych dworach Ksiąząt i umarł w Rawennie. Czas ten swego wygnania poświęcił był wygnaniec wyłącznie pióru, t. j. myśleniu i pieśni. Napisał był językiem powszechnym piszących t. j. łacińskim, dzieło poświęcone retoryce: *De vulgari eloquentia* (wnet przełożone i na włoskie) i dzieło poświęcone polityce: *Tractatus de Monarchia*,—zarazem zaś pragnąc się zespolić bliżej myślą i sercem z myślami i sercami współczesnych wszelkiego stopnia nauki, wieku i płci, ułożył i wyśpiewał w języku ludu czyli powszechnym krajowym, utwór szczególnej treści, w którym połączył i obrazy wypadków i dziejów sobie współczesnych i wykład swych teoryj i pojęć politycznych, filozoficznych i teologicznych, i któremu nadał niemniej szczególny tytuł: *La Comedia* (Komedia).

Już formą tego pisma, t. j. muzyką słów krajowych, poetyczne serce autora zaśpiewało było i za szczęśliwszych dla siebie czasów, w ojożyźnie, gdzie w zbiorze p. n. *La vita nuova* (złożonym z krótkich wierszyków) opowiedział był szczegóły swęj porannej miłości, miłości idealnej, którą był powziął dla towarzyski lat swych dzieciennych *Beatrice*. Ta *Beatrice* z domu *Portinari* poślubiła była następnie kawalera *Simona de Bardi*, ale młodo umarła. Dante po śmierci jej poślubił *Gennę Donati* i był z nią ojem kilkorga dzieci; lecz ani te nowe związki, ani polityczne zajęcia i burze życia, nie wygasily w nim owęj pierwszój miłości i żywioł ten był także jednym z głównych żywiołów i owego jego utworu.

Treść szczegółowsza tego utworu jakaż była?

Odrącony od swych przyjaciół, spółziomków, rodzeństwo (*Gemma* porzuciła była męża w lat kilka), odrącony jakby przez ziemię, poeta porzuca tę ziemię, i przenosi się myślą i ciałem

w krainy zmarłych. Połowa jego towarzyszków lat dawnych, bohaterów społecznych wypadków już nie żyła; ich więc właśnie idzie szukać poeta, a spotykając po kolei to tych to innych, ich dzieje dawne i obecne ich losy opowiada. Poznanie tych krain zaziemskich, t. j. *Piekła*, *Czystości* i *Raju* któż mu ułatwia? Do piekieł zstępował niegdyś Wergiliusz i wędrówkę tę opisał w Ks. VI swój Eneidy. Wieszcz ten aby okazać wdzięczność uczniowi, sam się mu podał za przewodnika po piekle i czystości; lecz któż mu przewodnikiem był w niebie? Przewodniczką po niebie była mu właśnie owa tu znaleziona przyjaciółka dawna, a dzisiaj mieszkanka niebios—*Beatrice*. W podziemiach piekieł poeta spotyka zbrodniarzy i potępieńców w dziwieńcu oddzielnych kregach, według rodzaju zbrodni rozmieszczonych (główną rolę grają tu naturalnie Gwelfowie); na górze czystości (według poety czystości to góra wychodząca gdzieś z ziemi i oceanów a mająca wierzchołek nad obłokami) przedstawiają się znowu potępieńcy, w ich liczbie i Gibellini, rozdzieleni na 7 sfer według rodzaju tych siedmiu grzechów głównych którymi przewiniłi; w sferach niebieskich ukazuje mu *Beatrice* przybytki dusz błogosławionych pośród planet i gwiazd, miejsce które jest zbiorem pierwotnych i wspólnych sił świata (*Primum mobile*) i wreszcie główny przybytek Boży (*Empyreum*). W powieściach o potępieńcach w piekle i czystości, autor miał pole rozwijania swych teorii i pojęć historycznych, politycznych i obyczajowych; w opisach zaś i rozumowaniach z powodu sfer niebieskich, do rozwijania teorii i pojęć fizycznych, filozoficznych i teologicznych. Akcja poematu przeciąga się dni siedm: dwa w piekle, cztery w czystości, a jeden w niebie. Zewnętrznie poemat dzieli się na trzy części, części na pieśni, a pieśni są opiewane wierszem rymowym. (Liczba wierszy jest około 20,000).

Takie były ramy tego wielkiego poematu, a całości tej dał autor tytuł *Komedyi*. Czemu? Najprędzej dlatego: że jak uczył w dziele swém o retoryce, utworom które się zaczynają spokojnie a kończą groźnie, nadaje się nazwisko tragedyi; utworom zaś które chociażby miały groźny początek ale się kończą pogodnie, nazwisko *komedyi*. Potomność do tego nazwiska *Comedia* dodała następnie przymiotnik *la divina* (boska), czyli to dlatego iż chciała oznaczyć iż piękność tego poematu jest boska, czyli też iż rzecz jego dzieje się nie na ziemi, to bowiem odróżnienie jakimś przymiotnikiem nazwiska poematu, tém więcej stawało się konieczne iż w nowej literaturze jak wiadomo, nazwanie komedyi stanowczo tylko do dramatów, a dramatów treści wesołej i żartobliwej zostało odniesione.

Już z samych tych ram i szczegółów widzieć można dlaczego poemat ten Danta, tak długo niedoskonałe tylko miał powodzenie, a dlaczego następnie tak szczególném oieszyć się zaczął. *Komedya* Danta nie była podobną ze składu do żadnego z utworów poezyi dawnej, nie miała też ani jedności akcji, ani bohate-

rów głównych, ani zawiązania i rozwiązania jakiegós całości; wymykała się ona po za wszelkie określenia traktatu o *Sztuce poetycznej* Arystotelesa i *Listu o poezji* Horacyusza, niedziw więc że przez cały czas kwitnienia krytyki tak nazywanej klasycznej, w cieniu tylko była zostawiana lub pomijana.

Ale też właśnie powody które były źródłem jęj odtrącania, następnie stały się źródłem szczególnego jęj wywyższania. Była ona żywym dowodem że utwór może być pięknym niezawisłe od reguł piękna uznawanych w poetykach klasycznych za nieodbite. Po upadku więc powagi tych reguł i tych poetyk, tak nazwani romantycy zwrócili się ze szczególną żywością do rozważania i podnoszenia jęj zalet. Cel ten ułatwiła nadto i wsparła następna okoliczność: Dante jako poeta w wyrażeniach swych nieraz był figurycznym, jako historyk w opowiadaniach swoich robił co chwila alluzye do wypadków i osób, które lubo spóźnie były powszechnie znane, ale bez znajomości których, szczególnie wyrażenia, myśli poematu, pozostawały zagadką, wcześniej zatem zajęto się komentowaniem poematu i ustanowiono nawet ku temu celowi oddzielne katedry. Wykładanie jest to powinność rozjaśniania i podnoszenia każdego szczegółu, każdej myśli, każdego słowa w danym utworze, tych nawet które może przelotnie tylko z pod pióra autora wypadły; a taka uitorowana droga w połączeniu z owym zwrotem opinii co do reguł piękna, podniosły do kolosalnych rozmiarów sławę utworu. Stańęło prawie na tém, iż epepeja Danta nie tylko nie była niższą od którejkolwiek z klasycznych ale nad wszystkie wyższą; ona jedna, mówiono np. śród wszystkich była najdoskonalszém odbiciem danego kraju w danym czasie, jego wiar, jego pojęć, jego obyczajów, jego wypadków publicznych, wypadków prywatnych, a odbicie to w szczyt fantastycznego piękna było tu przyodziane.

Wiele z tych cech i tych zalet są istotnie własnością Boskiej komedyi, wszakże niemożna niedodać, iż jeżeli zapominanie kiedyś i prawie pogardzanie poematem było niesprawiedliwe, tedy i wliczane obecnie superlatywa zasług nieraz bywają przesadne.

Dante jest podawanym np. za ideał patrioty włoskiego swego czasu i za pierwszego wieszczę włoskiej jedności, ale mniej trafnie. Dante pisał poemat swój będąc wygnańcem, a na wygnaniu tém, dusza pokrzywdzonego Florentczyka zamieniła się była owszem na duszę kosmopolity; w rozumowaniach swoich krajowych wychodził on ze stanowiska bezwzględnej sprawiedliwości, jedności i szczęśliwości wszystkich ludzi, i tém uniewinnił właśnie i działania swe przeciw Florencyi. W traktacie swym o *Monarchii* mówił on rzeczywiście o połączonych Włochach, lecz było to skutkiem nauki iż szczęście ogólne ludzkości dać może dopiero monarchia uniwersalna pod władzą i rządem jednego cesarza zostająca; to też było powodem że działający ówczesnie przeciw tęg władzy *Bonifacy VIII, Klemens V* (papieże)

ściągani są wśród pieśni poematu od początku do końca, zaś Henryk VII miał sobie przeciwnie zaręczoną z góry koronę niebieską. W pieśni 30 Raju Beatrice wskazując przyjacielowi na jedno nie zajęte miejsce mówi wyraźnie:

W tym wielkiem krześle co się w nie wpatrujesz,
Usiedzie dusza *Wielkiego Henryka*;
Który w *Italii* ład sprawować będzie.

Dante w poemacie swoim nie był więc typem społecznych mu ultra Włochów; nie był podobnie i mniemanym typem dogmatyków wieków średnich. Jak dogmatyzm chrześcijański Danta w poemacie jego jest niejasnym, dowodem najlepszym jest to, iż kiedy poemat ten przez jednych podawany jest za ideał katolicyzmu, przez innych uważany jest za dzieło protestantyzmu, i przed parą laty ukazała się nawet broszurka niemiecka pod napisem: *Dante jako protestant*. Właściwie Dante nie był protestantem. Powagę stolicy Apostolskiej uznawał on jawnie w zasadzie up. kiedy wyrażał:

Macie pasterza który was prowadzi,
To wam powinno starczyć do zbawienia.
Raj. Pieśń V.

Występował więc tylko przeciw niektórym papieżom jako indywidualnościom, podobnie jak i przeciw niektórym kaznodziejom społecznym. Iżby jednak rysy poematu Danta były odbiciem ścisłym społecznego nauczania katolickiego i to się rzec nie da. Wiek w którym Dante pisał był to wiek który był czasem kwiatu filozofii teologicznej czyli teologii scholastycznej, ów wiek w którym wiedli spory nominaliści i realiści a wśród tych tomiści i scotyści, i w którym słynęli z licznych subtelnych traktatów owi *Doctor subtilis*, *Doctor mirabilis*, *Doctor angelicus*, *Doctor seraphicus* i t. p. rozumowania teologiczne Dantego były rzeczywiście w znacznej części odbiciem rozumowań tych teologów a zwłaszcza *Doctoris angelici* (Ś. Tomasza z Akwinu), ale w swęj stronie głównej, w praktycznych obrazach i szczegółach swęj poetycznej powieści, utwór autora nie był odbiciem tęj duchowości. Już najprzód samo przywłaszczenie sobie przywileju bezwzględnej sprawiedliwości (sprawiedliwości Bożęj) dowolne i jawnie stronne wyrokowanie o losach wiecznych tylu znanych jednostek, odejmuje obrazom koloryt teologiczny. Tęm więcęj jest bez teologicznej podstawy kreślenie miejsc i widoków zaziemskich stron, a zwłaszcza szczegółów w nich bytu i losów dusz ludzkich; wzorem w tęm dla autora był raczęj *Wirgiliusz*, *Tartar* i *Pola Elizejskie* (materyalne u Greków jak i ich *Olymp*) nie teologia chrześcijańska. Rozczytywanie się i zamiłowanie w utworach greckich i rzymskich, tak ówczęśnie wpływało na pomieszanie wyobra-

zeń pogańskich i chrześcijańskich, iż zdaje się że sami pisarze nie dostrzegali swoich sprzeczności. Dante np. w zaczęciu swęj części 3ej przystępując z całą pobożnością chrześcijańską do opisywania przybytku dusz błogosławionych, oraz stolicy Bożęj, wzywa Feba aby mu w tém dopomógł; Beatrice objaśniając szczegóły nieba odwołuje się do Platona. W pieśni 27ej Raju, ś. Jan karci poetę iż chciał go ujrzyć w *ciele*, gdyż ciało to jego (dodaje, zgodnie z teologią) pozostało na ziemi, do dnia sądu; wnet jednak zapomina autor na własną lekcye, i w tejże pieśni przy wzmiance o Beatrice mówi:

. wszystkie rozkosze zmały
Wobec rozkoszy która mię ołśniła,
Kiedym w jej *lica* spojrział *uśmiechnięte*,
A *wzrok* jej taką obdarzył mię siłą etc.

Z opisów materyalnych Dantego, korzystali następnie we Włoszech w dziełach swych *Michał Anioł*, *Rafał* i inni, obrazy więc i imaginacye chrześcijańskie z wieków późniejszych były raczej odbiciem poematu Danta, nie zaś ten pod tym względem swych czasów.

Co do innych filozoficznych szczegółów dodajmy, iż nauki i wykłady fizyologiczne poety o źródle i układzie fizycznych sił świata, o *primum mobile* i t. p. co do naukowej wartości swęj, tak się mają do wykładów podobnej treści dzisiejszych, jak i nauki jego o składzie i obrotach sfery niebieskiej (*O ośmiu planetach* i t. p.) według ówczesnego systemu Ptolomeusza.

Boska komedya Danta jest to zapewne szczególnej świetności i szczególnego znaczenia kompozycya. Poemat w którym miejscem działania jest wszechświat, przedmiotem opisowości kraje nieziemskie, którego treścią jest taka masa szczegółów publicznych, prywatnych danego czasu, w którym połączonych jest tyle w szacie fantazyi subtelnych uczuć, subtelnych pojęć, poemat ten wymagał szczególnego bogactwa wyobraźni i słowa; wszakże w ten sposób nie fizyologia, nie teologia, nie morał, ani nawet dana krajowość są główną cechą i główną zaletą tej kompozycyi ale tylko *fantazyja*. Komedya Danta wielką jest tylko jako dzieło *piękna*; z tej strony, z tego stanowiska sądzony tylko być może poemat ten, z tego tylko następnie (i to właśnie chcieliśmy rzec w tych uwagach) i jego przekład.

Dzieło sztuki jako dzieło *myśli w obrazie piękna*, musi mieć stronę wewnętrzną i stronę zewnętrzną. Boska komedya Danta prócz wewnętrznej miała też istotnie piękność zewnętrzną, i strona ta może nawet była głównym powodem w kraju, jej powodzenia. Tę piękność dla spółkrajowców autora, miłośników melodyi, stanowiła mianowicie melodia rymów. Dante pierwszy twórca form poetycznych w swym kraju, użył nietylko rymów pojedynczych czyli jednego rymowego dystychu (jak to nastąpiło w in-

nych poezjach nowych), ale używał rymów potrójnych i poczwórnych (jego *La vita nuova* składały przeważnie *sonety*). Rymy potrójne zakończone dystychem i stanowiące strofę była to forma która następnie najpopularniejszą się stała w poezji włoskiej (oktawy *Ariosta*, *Tassa* i innych). W komedyi Danta potrójne rymy nie są przedzielone żadnym dystychem, ale się dają rozdzielić (i w wielu wydaniach są rozdzielone) na trzywierszowe strofy (*terceta*). W strofach tych w których każdy wiersz pierwszy odpowiada rymem ostatniemu, odpowiada też środkowemu strofy poprzedniej, co tworzy jakby niekończącą się nigdy harmonję, i daje uczucie piękna, nie zaspokojone nigdy zupełnie, więc ciągle trwałe. Harmonia ta w tym układzie jestto jakby jakowś szczególnej żywości strumień, który trafiwszy na zaporę mostu, pryska jednak nad nią i goni dalej, i znowu mimo spotykane co chwila zapory nowe. przerzuca się dalej i dalej (1).

Taką jest komedya Dantego w rymach swych głównych, wewnętrznie i zewnętrznie. Jakież jęj mieliśmy i obecnie mamy przekłady w naszej literaturze?

Pod wizerunkiem Mikołaja Reja z r. 1560 umieszczonym przy jego poemacie *Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego* znajdujemy podpis *Hic est Dante noster*; nazwanie to (powtórzmy z okoliczności co już było powiedzianem w tém piśmie przed parą laty z powodu tego poematu), nazwanie to zastosowanem było słuszenie do Reja, już dlatego iż pierwszy on u nas jak Dante zaczął pisać językiem krajowym, już dlatego, iż poemat ów *Wizerunek* tak jak komedya Danta był poematem opisowo dydaktycznym, obszernym, i w którym: miejscem akcyi były kraje nie ziemskie, bohaterami zmarli i t. p., lecz podpis ten jest też zarazem dowodem iż Dante w wieku XVI nie był u nas nieznanym i że był ceniony; mimo to jednak i mimo zajmowanie się u nas już wówczas przekładami poetów włoskich (*Ariosta*, *Tassa*, *Vidy* i t. p.) nie znajdujemy żadnej próby zajęcia się przekładem z Danta. Krytycy i estetycy nasi z końca wieku XVIII i początku XIX, jako ówczesni klasykcy nie wspominali nawet o Dantem i dopiero około r. 1820 ukazały się pierwsze próby przekładu niektórych ustępów. Najpierwszym, jeżeli nie mylimy się, był przekład ustępu o *Ugolinie* przez Józefa Sękowskiego, umieszczony w dzienniku Wileńskim z r. 1818; od tego czasu, przekłady już krótszych już dłuższych ustępów z tego poematu, dali nam między innymi: *Mickiewicz*, *Lud. Kamiński*, *Kraszewski*, *Lenartowicz*, *Kulczycki* i inni, a dwaj tłumacze poświęcili się nawet na przełożenie całości. W r. 1860 (jak to już wzmiankowane wyżej) otrzymaliśmy całkowity przekład Boskiej komedyi pióra Juliana *Korsaka* (tłumacz

(1) W języku naszym piękny przykład takich tercetów mamy jedynie w fantazyi nieznanego nam z nazwiska autora (*El. Y.*) pod napisem: *Sen grobów*.

ten z ukończeniem przekładu zakończył i życie, rękopism pośmiertny wydał tu w Warszawie S. Orgelbrand), obecnie zaś otrzymaliśmy nowy pióra p. Ant. Stanisławskiego z okoliczności którego piszemy właśnie te słowa.

Oba te tłumaczenia (Jul. Korsaka i Ant. Stanisławskiego) są wierne, mają jednak i niemałą różnicę. Przekład Jul. Korsaka ma ozdobę rymów, ma więc więcej sztuki zewnętrznej i rymy te nie są to, dodajmy, rymy trywialne (jak np. w przekładzie Józ. Sękowskiego), lecz połączone wszędzie z pewną nowością słowa, z uczuciem piękna; przekład znowu p. Stanisławskiego nie krępowany koniecznością rymów, wierniej oddaje szereg wyrażań i myśli zawartych w tekście; jestto przekład dokonany wiersz w wiersz i ledwo nie słowo w słowo. Z tłumaczeń ustępów na szczególną też zasługuje wzmiankę przekładu Ludwika Kamińskiego dokonywaną tercetami tekstu; przekład ten byłby najpodobniejszym oryginałowi, gdyby obrane więzy nie zmuszały nieraz tłumacza do niejakich kaleczeń myśli i wyrażań. Dla bliższego objaśnienia i porównania przytoczymy tu jeden i tenże ustęp w szacie tych trzech tłumaczeń.

Wybieramy na ten cel ustęp krótki lecz jeden z najsłynniejszych poematu, to jest o *Franciszce Rimini*.

Wypadek głośny w swoim czasie we Włoszech który dał powód temu ustępowi był mianowicie następujący:

Franczeska córka Gwidona i *Paolo di Rimini* syn *Malatesty* połączeni byli miłością wzajemną, ale *Franczeskę* stosownie do układu rodziców powinien był poślubić starszy brat *Paola Lancioto*, w przebraniu więc jako syn *Malatesty* bierze z nią ślub, i *Franczeska* dopiero nazajutrz poznaje iż jest żoną nienawistnego sobie *Lancioto*. Jój miłośny stosunek z *Paolo* trwał jednak zawsze a to do czasu, gdy *Lancioto* zszedłszy ich raz na uściskach przebił oboje. *Dantę* w wędrowce swój z *Wirgiliuszem* po kręgaach piekielnych trafił i na *Franczeskę*, losem jój było znosić tu wieczne męki razem z *Paolo*, zapytana przez przechodniów o swoje dzieje, objaśnia iż pierwszym powodem ich upadku było czytanie *Przygód Lancelota* (słynnej powieści społecznej); ustęp ten, który jest zakończeniem pieśni V-jej *Piekła* brzmi w przekładach naszych następująco:

Przekład *Lud. Kamińskiego* (tercetami tekstu).

Potém znów do nich zwróciwszy badania
Rzekłem: *Franczesko!* twój los nieszczęśliwy
Ściska mi serce i do płaczu skłania (1).

(1) Wyraz za lekki, co *skłania* może nie skłonić, text mówi: „lzy mi wyciska”.

Lecz powiedz: kiedy i jakimi wpływy
Miłość duszami tak zawładła dwiema,
Żeście żądz urok poznali *wątpliwy*? (1).

A ona: „słusznie ów mędrzec twój (t. j. Becciusz) mniema,
Że nad zgasłego szczęścia przypomnienie,
Sroższej boleści dla nędzarza nie ma.

Lecz skoro poznać szczerze masz życzenie
Miłości naszej najpierwsze powawy,
Opowiem lejąc jak ten (?) łez strumienie.

Raz czytaliśmy dla wspólnej zabawy
O schnącym w marnéj żądz Lancelocie,
Byliśmy sami bez złego obawy.

Podczas czytania często się w przelocie
Wzrok nasz spotykał i lica bledniały;
Jeden zaś okres zgubił nas *w istocie*.

Czytając bowiem jak ów rycerz *śmiały*
Całował uśmiech wszczęty *niespodzianie* (2),
Ten z którym losy wiecznie mnie związały

Drżąc ustom moim dał pocałowanie.
Pokusą książka z pisarzem swym była!
W tym dniu już dłużej nie trwało czytanie.”

Gdy jedna dusza w ten sposób mówiła,
Tak łkała druga że się w niej zawarły
Me oczy, wszelka odbiegła mnie siła,
I padłem w końcu jak człowiek umarty.

Przekład p. Stanisławskiego.

A potem do nich obracając mowę,
Rzekłem: Franczesko! twa okrutna męka
Do łez mię wzrusza smutkiem i żalością.
Powiedz mi jednak: w czas westchnień uroczych
Jak pod miłości upadliście władzą?
Kiedy nie jasne żądze swe poznali?
A ona: „Nie masz straszniejszej boleści
Jak o dniach szczęścia wspominać w niedoli!

(1) Urok był niewątpliwy, chyba istota żądz była z razu wątpliwa, *dubbiosi desiri* jak mówi tekst.

(2) Wyrazy które podkreślamy, wszystkie położone są tylko dla rymu i niewłaściwe.

Wié o tém dobrze mędrzec twój uroczy.
 Ale jeżeli pragniesz tak goąco
 Miłości naszej poznać zaród pierwszy,
 Płakać i razem będę opowiadać.
 Raz dla zabawy czytaliśmy razem
 Jako Lancelot wpadł w więzy miłości.
 Byliśmy sami i próżni obawy.
 W ciągu czytania nie raz oczy nasze
 Zbiegły się z sobą i twarze poblady.
 Zgubił nas w końcu jeden ustęp mały.
 Gdyśmy czytali jak uśmiech rozkoszy
 Stłumił całunkiem kochańek namiętny;
 Ten, co bodajby nigdy mię nie rzucił,
 Usta me cały ucałował drżący,
 Księga i pisarz *Galeotem* (1) były.
 Jużemy w dniu tym dalej nie czytali."
 Gdy mi to jeden z duchów opowiadał,
 Drugi tak szlochał, że litością zdjęty
 Traciłem zmysły jak gdybym umierał!
 I padłem jako martwe ciało pada.

Przekład *Korsaka*.

Franczesko! widzisz że mi słowa twoje
 Lzy wyciskają; ale pozwól spytać:
 Jak was snąc miłość przywiodła oboje
 Tajoną wzajem głąb' serc waszych czytać?

A ona na to: „Ach! nic tak nie boli
 Jak chwile szczęścia wspominać w niedoli!
 Lecz gdy ty, gościu, chcesz wiedzieć początek
 Miłości naszej, na mój ból nie baczę;
 Powiem jak pierwszy zawiązał się wątek,
 Podobna temu co mówi i płacze.

Raz dla zabawy wzięła nas ochota
 Czytać w głos dzieje przygód Lancelota,
 Jako go miłość przemogła swą siłą.
 Byliśmy sami bez żadnej złej myśli,
 Oko się nasze nieraz łzą zaćmiło,
 Nieraz twarz bladła, aż w końcuśmy przyszli
 Do tego miejsca co nas zwyciężyło.
 Gdyśmy czytali ile jest uroku,
 Ile rozkoszy w pocałunku luběj,
 Oczy się nasze nawzajem spotkały.

(1) Który urządzał schadzki Lancelota z kochanką.

Ten co już odtąd wiecznie przy mym boku,
Powstał, niepomny na me cudze śluby,
I pocałował mię w usta, drząc cały;
Pisarz tój księgi był nam Galeotą,
Jużesmy więcój w tym dniu nie czytali."

Gdy jeden mówił, duch drugi zgryzotą
Zdjęty, tak płakał, zem zwątpił ażali
Zniosę tę boleść i czułem ze bladłem,
Straciłem siły i jak martwy padłem.

Z przykładu tego, co do jego treści, widzieć może bliżej czytelnik to o czém wyżej wzmiankowaliśmy, t. j. jak wyrażenia i ustępy Danta wymagały objaśnień; z treści bowiem mowy Franczeski czytelnik późniejszy nie mógłby wcale wiedzieć dziejów jej rzeczywistych, nawet tego że z ręki męża poległa (objaśnienia te dodał pierwszy *Bokacyusz*), może widzieć jak autor dowolnie i mniej nawet może co do celu logicznie rozrządzał wiecznemi losami jednostek. Dwie dusze oddane sobie skazać na pozostawanie wieczne przy sobie, nie zdaje się być męką piekielną, zwłaszcza gdy jedna z nich wyznaje to nawet iż lęka się tego rozdziału:

„Ten co bodajby nigdy mię nie rzucił”

mówi *Francesca*:

(*Questi, che mal da me non fia diviso*).

Lecz przykład ten przytoczyliśmy głównie dla poznania rodzaju przekładów. W pieśniach przetoczonych przez Kamińskiego są może miejsca gładsze od tu przytoczonego, w ogólnym przekładzie Korsaka są ozdobniejsze; lecz w ogóle obecne tu różnice przekładów są wszędzie jednej natury.

Różnice te wypłynęły rzec można z różnych zawodów tłumaczy.

Tłumacz-żołnierz (Kamiński) miał głównie, uważać można, na względzie: ścisłość *zewnątrzną*, tłumacz-uczony (Stanisławski) ścisłość *wewnętrzną*, poeta-rolnik (Korsak) najwięcej czuć umiał poezyą. Lub jaśniej: Kamiński zdawał się najwięcej oglądać poezyę w sztuce zewnątrznój słowa bez względu na uczucie, Stanisławski w uczuciu (myśli) bez względu na sztukę słowa, Korsak i w uczuciu i w sztuce; tak właśnie pojmował poezyę i Dante, i przekład Jul. Korsaka, dodać wypada, jest najbliższym textu i duchem i szatą; lecz ktoby chciał oglądać najjaśniej szereg myśli Dantego w jego Boskiej Komedyi, myśli wyrażonych z kądinąd i jasno i słowem związłóm i czystóm, dla tego najlepszym przewodnikiem będzie przekład obecny. X.

*Goplana. Poznań i Berlin. Księgarnia B. Behr'a (E. Bock.)
1866. Drukiem Trowitzscha i syna w Berlinie.
(w 18ce Str. 181).*

Cztery lata już upłynęło od wyjścia téj książki z pod prassy; kiedy jednakże dopiero niedawno pokazała się u nas w handlu księgarskim, musimy ją uważać za nowość, i krótkie o niej podać sprawozdanie.

Jestto rodzaj wyboru poezyj rozmaitych poetów polskich poczynając od Reja z Nagłowic, aż do naszych czasów. Wydawcą jest kobieta, która pod przybraném pseudonimem *Goplany*, niby nimfy starego Gopła, znaną jest z lekkich utworów poetycznych, i tym pseudonimem ochrzciła mały ten zbiorek.

Na czele mamy pomieszczony gockim drukiem starożytny hymn *Bogarodzica* Ś-go Wojciecha; od Reja zaś począwszy do Aloizego Felińskiego, idą wyjątki z poetów, chronologicznie ułożone; dlaczego dalej tego porządku nietrzymano się, nie rozumiemy.

I tak Alexander Fredro i Franciszek Wężyk idą po Mickiewicu i Krasickim, jak Kazimierz Brodziński po Stefanie Garczyńskim, a Wojciech Bogusławski, pomiędzy tym ostatnim a Malczeskim jest pomieszczonym.

Szczęśliwa zaiste myśl była tego wydawnictwa, ażeby chociaż w szczupłych ramach dać poznać rozwój poezyi naszej, i udoskonalenie języka poetycznego w ciągu przeszło trzech wiekowym; ale potrzeba na to i głębszej znajomości literatury własnej i smaku w dobieganiu wyjątków.

Z Reja znalazłoby się coś więcej udatnego, nad moralny wiersz o *Cnoci*, w formie więcej prozaicznej. Z Kochanowskiego w miejscie pieśni podanej, są piękniejsze daleko, szczególnież téż psalmy Dawidowe. Najszczęśliwsze wyjątki mamy tu z Krasickiego, Książnina i Karpińskiego. Nie pojmujemy, co w téj plejadzie poetów, robi ósmiowiersz z opery Wojciecha Bogusławskiego, i o *Przeznaniu człowieka* Fr. Grzymały: pierwszy na polu dramatycznym i jako twórca teatru polskiego położył niezapomniane zasługi; drugi znany jako publicysta z przed 1830 roku, nigdy do rzędu poetów nie był policzony wraz z Bogusławskim, jakkolwiek ostatni miał do tego większe prawo nad wydawcę *Astrei*. Powtarzamy, pochwalić możemy tylko myśl, ale nie wykonanie, a wyjątki podane w tym zbioru szczupłym są znane z dzieł już dawniej upowszechnionych, jak z H. Cegielskiego *Nauka poezyi* (Poznań 1845) i wielu dzieł innych, poświęconych historii literatury polskiej.

Wydanie pod względem typograficznym ozdobne i staranne.

R.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Warszawa, październik 1870. W drukarni S. Orgelbranda wyszło dzieło p. n. *O soborze powszechnym i jego znaczeniu dla naszego wieku*, przez ks. Wilhelma Emanuela barona Kettelera biskupa Mogunckiego. Przekład polski z piątego wydania niemieckiego, przejrzany i pomnożony przez księdza Władysława Knapińskiego (w 12ce str. 163). Treść rozpada się na XII rozdziałów. Przy końcu są dwa dodatki tłumacza obejmujące: Wiadomość o pierwszym soborze powszechnym, i o obecnym soborze watykańskim.

— W przeszłym zeszycie donieśliśmy o mającej wychodzić *Gazecie Kieleckiej*. Otrzymujemy teraz szczegółowy prospekt na to pismo, które zacznie wychodzić 1 października r. b. dwa razy na tydzień: w Niedzielę i Środę w formacie arkuszowym in 4to. Dwadzieścia przedmiotów wyliczono, które wchodzi w ramy Gazety Kieleckiej. Redaktorem odpowiedzialnym jest p. *Leon Gautier*; wydawcą *Michał Goldhaar* miejscowy księgarz.

— W numerze 24 Kroniki Rodzinnéj sędziwy nasz poeta A. E. Odyniec pomieścił wiersz odpowiedni dzisiejszym wypadkom, który tu powtarzamy:

BÓG I ŚWIAT.

Stwórco i Sędzio świata!
Tyś Pan, Tyś Ojciec!
Ku Tobie ze wszech stron,
Jak jeden płaczu ton,
Głos ludzkich modłów ulata;
Lecz komu woli Twój dociec?

Panie! nikt nie wie,
W łasce czy w gniewie
Ważysz nad ziemią przeznaczeń
jój szalę?

Góry runą w otchłanie,
Lecz co po nich powstanie?
Panie! Panie!
Obyż ku Twojej chwale!

Wiek i człowiek rzekł wzajem:
„Dojrzeliśmy i stajem
Początkiem nowych dróg;
Zakon nam nasz ogłasza

Natura, matka nasza,
My i ona—to Bóg.

„Sobie nieśmy ofiary:
Ona nam swoje dary,
My jej sztukę użycia;
Siłą złączoną wzajem,
Ziemię uczynim rajem,
Rozkosz prawidłem życia”.

I jedni przed drugimi
Skarby i dziely swemi
Chełpili się, wołali:
„Patrzcie! gdzie już dosięga
Rozum nasz i potęga!”
I—i tryumfowali.

Ludzkość w prostocie ducha
Słuchała, i otucha
Pokrzepiała cierpliwość;

„Czekajmy! niedaleki
Dzień, gdy już nam na wieki
Rozum zjedna szczęśliwość!”

Paniel czyż te dział gromy,
Co wstrząsły świat widomy
Jój zwiastują przybycie?
Czy jęk i płacz sierocy,
Z południa i z północy,
Nowe witają życie?

Paniel! Paniel straszliwa
Snać się próba odbywa,
Aż świat w skutkach obaczy:
Jak i na co pracował,
Jakim bogom hołdował,
I—i zacznie inaczej!

Bóg z niebios majestatu,
By nieść zbawienie światu,
Sam się stał sługą slug;
A syn śmierci, proch lichy,
Na słowo ducha pychy,
Chce sam być *jako Bóg!*

Bóg w człowieku śród świata,
Wkażdym miłował brata,
Za wszystkich przelał krew;
W nim chciwość wiecznie
wzdyma

Jad zawiści Kaima,
I bratobójczy gniew.

Ach! czyż świat nie obaczy.
Komu służyć ma raczej,
Bogu czy ludzkiej dumie?
Nie raczej-li da ucha
Na głos Bożego ducha,
Niż pychy w swym rozumie?

Paniel a gdy się ziści,
Że zamiast nienawiści,
Świat spoi zgoda bratnia:
Nie będzie-li i ona
Wojna błogosławiona,
Co już była ostatnia?

— W Petersburgu professor M. O. Kojalowicz zaczął wydawać źródła do historii polskiej. W roku 1867 ogłosił z polecenia petersburskiej akademii nauk, *Dziennik* ostatniej wyprawy wojennej Stefana Batorego, obejmujący szczegółowy opis oblężenia Pskowa 1582 i korespondencje dyplomatyczne tegoż króla z Iwanem Groźnym, tudzież listy znanego jezuitę Possewiny, Jana Zamoyskiego i innych. Źródła te, o których mówimy, z rękopismów polskich i łacińskich obejmują nieznanne dotąd materyały: 1. Dyaryusz sejmu warszawskiego 1597 roku, na którym wniesiona była głównie sprawa ligi chrześcijańskiej przeciwko Turkom. Sejm ten z powodu zerwania mało znany. 2. Dokumenta dotyczące się buntu kozackiego od roku 1625 do 1631. 3. Sprawy o dyssydentach 1632 i 1633. 4. Dziennik wyprawy Władysława IV do Rosyji 1632 i 1633, tudzież opis zwycięstwa nad Szejnem (Sehinem). 5. Negocjacje odnoszące się do wyboru na tron polski cara Alexego Michałowicza. 6. Wojna tegoż monarchy z Polską. 7. Dyaryusz sejmu warszawskiego w roku 1605, nieznanzy J. U. Niemcewiczowi.

— We Lwowie wychodzi pismo peryodyczne ilustracya pod tytułem: „Mrówka” poświęcone części literacko-powieściowej. Zjawia się co dni dziesięć. Zeszyt miesięczny obejmuje od 6 do 8 arkuszy, ozdobiony drzeworytami. W piśmie tém Redakcyja stara się tylko o przedmioty popularne, dla pożytku największej liczby czytelników i upowszechnienia oświaty, a zarazem w tym samym celu zajmuje się wydawnictwem oddzielném, pod napisem: „Biblioteka

Mrówki" Są to przedruki rozmaitych dzieł i powieści znakomitych naszych pisarzy; w małym formacie i po cenie najniższej tak, aby nabycie zrobić dostępnem dla massy czytelników. Z wydania tego widzieliśmy dotąd w księgarni Gebethnera i Wolffa następujące książki: Pieśni Jana Kochanowskiego. Kanarki, ustęp z kroniki parafialnej Wołody Skiby. Ostap Bondarczuk powieść J. I. Kraszewskiego. Srocza obrazek zaściankowy Adama Pługa. Praca dzieci po rękodzielniach, Ludwika Wołowskiego przekład S. Tołoczki.

— Na Szlaku w miasteczku *Mittelwalde*, znajduje się w kościele w wielkim ołtarzu obraz Matki Boskiej, na którego odwrotnej stronie wryty jest napis na mosiężnej tabliczce, że obraz ten jest darem papieża Innocentego XI dla króla Jana Sobieskiego za odsiecz Wiednia. Od małżonki króla Maryi Kazimiry przeszedł ten obraz do rodziny Althan dziedziców *Mittelwalde*, którzy go umieścili w kościele założonym przez siebie.

— P. Leon Ulrych, od lat wielu professor gimnazjum w Bordeaux we Francyi, biegły filolog przełożył na język polski z greckiego Ksenofonta i Plutarcha.

Szanownemu autorowi (p. Alb. R. z Wiatki) artykułu pod napisem „Kilka słów o pierwiastkach chemicznych” zwracamy uwagę, że myśli jego wcale nowością nie są; być bardzo może że natura nie siedemdziesięciu kilku pierwiastków potrzebowała, lecz mniejszej liczby. Chemia jest nauką ścisłą, myśli nie poparte doświadczeniem, są fantazyą bez znaczenia dla nauki. Dopóki więc ściśle doświadczenia nie dadzą nie zbitego dowodu błędności dotychczasowych mniemań o wielkiej liczbie pierwiastków, wszelka myśl podawana na zbiecie dotychczas przyjmowanych zasad, nie zasługuje na upowszechnienie. Wszystkie usiłowania rozłożenia któregośkolwiek z wielolicznych pierwiastków, podejmowane przez najznakomitszych pracowników na niwie chemii, były bezskutecznymi. Z tych powodów artykułu nadesłanego, drukować nie możemy.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.



NEO-DRUIDYZM BRETONSKI W WALII.

YOLLO MORGANWG.

Według notach niedrukowanych Henri-Martin.

PRZEZ

S. z Ż. D.

Znakomity historyk francuzki udzielił nam łaskawie własnoręcznych notat, które mu służyły do dwóch konferencyj publicznych. Zebraliśmy te notaty w jedną całość. Świadczą one wymownie o potędze tradycyi, która przetrwała wieki, pomimo wstrząśnień dziejowych.

Zachowujemy tok opowieści autora:

„W badaniach moich nad historją Francyi, szczególną zawsze zwracałem uwagę na Gallów, na Celtów, albowiem w nich widziałem prawdziwy początek narodu mego.

Uderzał mnie samodzielny charakter uczuć i wyobrażeń starych Gallów, charakter przekazany nam przez pisarzy greckich i łacińskich. Posłuchajmy jakiemi słowy Lukan przemawia do galskich Druidów:

„Wy bardowie, którzy pochwalnemi rymy, uświęcacie na długie wieki pamięć poległych na wojnie bohaterów; i wy Druidy, którzy pędzicie żywot w świętych ustroniach waszych, w głębi cienistych puszczy; wy może jedni wiecie czém są bogowie, czém są potęgi niebios. Według was, cienie umarłych nie zstępują w milczące głębiny Erebu ani w blade dziedziny boga otchłani. Tenże sam duch

po śmierci włada nowém ciałem, na nowym tajemniczym świecie. Jeżeli wasze pieśni mówią prawdę, śmierć byłaby tylko przejściem do nowego żywota. Człowiek żył wprzód, żyć będzie i potem. Jeśli nawet jesteście w błędzie, i tak wy szczęśliwe ludy północy! bo nie dręczy was najstraszniejsza trwoga, bo wam nieznana bojaźń śmierci! Ta wiara sprawia, że każdy z was, tak śmiało uderza na ostrze mieczów; ta wiara usposabia was do rzucenia się w objęcia śmierci. W oczach waszych, nikczemnością oszczędzać żywot, który ma się odrodzić!"

Rysy charakterystyczne wskazane nam przez starożytnych, aczkolwiek pełne życia, nazbyt są niedokładne, aby nam dały prawdziwe pojęcie o starych Gallach.

Nie ma wątplenia że ludy które zachowały język i zabytki literatury celtyckiej, muszą posiadać własne tradycje dopełniające zarysu pisarzy starożytnych. Jakoż przeglądając owe zabytki, znajdujemy w legendach, w powieściach, w pieśniach ludu, wiele starożytnych żywiołów, tak w Bretanii, jak w Irlandyi i w Szkocyi.

Walia najwięcej ich posiada. Zakon bardów przetrwał w tym kraju; bardowie Walii uważali się zawsze jako spadkobiercy Druidów. Starożytne ich pieśni są niekiedy dla nas niezrozumiałe. Napotykamy w nich często jakieś tajemnicze alluzje do wyobrażeń nadzwyczajnych, całkiem odrębnych od pojęć średniowiecznej Europy, jak np. wiara w przechodzenie dusz, odbijająca także w legendach i pieśniach ludowych. Znać że pierwotném ogniskiem tych pieśni i powieści, była doktryna mistyczna i tajemnicza, której odbłyśki po dziś dzień są widoczne.

Widzimy tu niemniej przechowane pojęcia starożytnej astronomii druidyckiej i pitagorejskiej.

W szczątkach przekazanych nam przez starożytnych pisarzy i zebranych z tradycyji dzisiejszych ludów celtyckich, Jan Reinand odkrył źródło do określenia istotnego charakteru celtyckiego plemienia w znakomitým dziele: *Duch Galii* (l'Esprit de la Gaule). Wielkich zarysów tego szkicu nie zatrą i nie zmieniają późniejsze dowody; ale był to szkic tylko. Straciliśmy wszelką nadzieję posiadania kiedykolwiek całkowitego obrazu mistycznych celtyckich tradycyi.

I oto w chwili gdyśmy nie marzyli nawet o nowych odkryciach na tém polu, wytrysło nam bogate źródło w Walii. Otrzymaliśmy wiadomość o niém, z dzieła genewskiego archeologa Pictet'a. Mówię tu o przekładzie dokumentu walijskiego pod tytułem: *Misterya Bardów*. Ważny ten dokument zamiast słabych odbłyśków któreśmy czerpali z dawnych tradycyj, i ze szczątków pieśni dawnych bardów, przedstawiał nam w starożytnj formie tryady, czyli axyomata układane w trójwierszach. Te tryady oddają całość idei metafizycznych i mistycznych, dziwnie wielką i śmiałą, nacechowaną charakterem religii druidycznj, pomieszanej z żywiołami chrześcianizmu. Poznajemy tu starożytny systemat Druidów o przeznaczeniu duszy ludzkij, znany nam ledwie ze słabych skazówek pisarzy greckich i łacińskich.

Nim przedstawię całość nauki *neo-druidycznj*, powinienem wprzód powiedzieć, że ten dokument, całkiem nieznanym dotąd we Francyi, był niegdyś w Walii przedmiotem zaciętych sporów naukowych. Ogłoszono go drukiem w r. 1794, w bardzo małej liczbie egzemplarzy. Wydawcą jego był szczególnie człowiek, ubogi rzemieślnik z Walii, który jak mowiono zarabiał na życie wykuwając napisy na grobowcach. Zwał się rzeczywiście Edward Williams, ale przezwiał się sam Bardem Jollo Morganwg. Autentyczność dokumentu, który on przypisywał średniowiecznym bardom walijskim, silnie obudziła zarzuty. Wielu uczonych posądzało go jakoby sam napisał ów dokument. Taki domysł zanadto zaszczytny dla biédnego barda, upadł nakoniec sam przez się. Przy bliższém rozpatrzeniu, trzeba było przyznać: że niepodobna aby człowiek XVIII wieku, choćby nawet najuczniejszy metafizyk, mógł myśleć i pisać w podobny sposób. Te axyomata i te szczególne formuły, były dziełem odległych wieków.

Wiele lat upłynęło a rzecz pozostała w wątpliwości. Uczeni walijscy, a pomiędzy francuzkimi najuczniejszy badacz literatury celtyckij p. Villemarquè, daremnie usiłowali odnaleźć oryginalny rękopism. Budziło to niemałe podejrzenie. We Francyi nie znano szczegółów życia barda Jollo; ciekawość archeologów wzrastała coraz bardziej. Postanowiłem więc przekonać się naocznie o rzeczy. Wyjecha-

łem do Walii, do kantonu gdzie mieszkał niegdyś Jollo z synem.

W pierwszym miejscu Walii gdzie zatrzymałem się po drodze, w malowniczym miasteczku Cardiff, na wszystkich rogach ulic i na murach starego zamku (w którym więziony był przez lat dwadzieścia, syn Wilhelma Zdobywcy, księżę Robert z Normandyi, wtajemniczony w misterya bardów), wszędzie uważałem porozlepiane wielkie afisze, z takim zawiadomieniem:

„Wielki Eisteddfod narodowy, to jest zgromadzenie ogólne bardów.”

Była to dla mnie pomyślna wróżba. Miałem sposobność przekonać się naocznie, ile też przetrwało jeszcze w zwyczajach starożytnych tradycy galjskich. Zebranie miało nastąpić za kilka dni; umyśliłem być na niem. Tymczasem udałem się do Merthyr, gdzie powinno było zostać najwięcej pamiątek po bardzie Jollu.

Szczególna to okolica: pełna kuźnic i kopalni węgla, cała najeżona olbrzymimi kominami, z których dym wybucha bez przestanku czarnym kłębem. Doliny i wzgórza przedstawiają tu nocą obraz piekła wulkanicznego. Lud tutejszy, jakkolwiek całkiem oddany przemysłowi, gorąco jednak miłuje swoje starożytne a poetyczne tradycye.

Lud to w rzeczy samej pełen najdziwniejszych sprzeczności. Gorliwy wyznawca protestantyzmu, gotów oddać ostatni grosz na budowę kościoła, przechowuje mimo to wyobrażenia dawniejsze od czasów chrześcijańskich.

Odwiedziłem znanego starożytnika Tomasza Stephens. Uczony ten dał mi poznać ważny dokument, rodzaj Genezy Druidyckiej. Musi być wiele podobnych, nieodkrytych jeszcze pomników. Stephens odesłał mnie do barda Al-Ilhel. Wyjechałem zebrawszy w Merthyr rozmaite szczegóły z życia Jolla.

Zgromadzenie, zwane *Eisteddfod de Conway*, odbyło się w Cardiff w pośród zwalisk starego zamku, nad brzegiem morza. Bardowie ubrani byli po dzisiejszemu. Ruiny przystrojono w wieńce z liści, w chorągwie i rozmaite godła. Godła bardów mają w ogólności wielki charakter; przytaczamy niektóre:

— Prawda wbrew światu.

- Dopóki oceanu—dopóty Bretona.
- Bóg na wysokościach.
- Kto nie ma Boga—nie ma nic.
- Dobry jest kamień Druidów z Ewangelią.

Wznosił się wkoło szereg ogromnych kamieni, w pośrodku stał osobny kamień *Gorsedd*. Prezydujący bard stanął na nim i odczytał proklamacyą w tych słowach:

„W roku 1861, gdy słońce zbliża się do Ekinoxu jesiennego, otwiera się posiedzenie. Powołuje się tych wszystkich którzy chcą w niem brać udział. Nikt nie dobędzie oręża z pochwy. Sąd ma być wydany na wszystkie dzieła poetyczne przedstawione zgromadzeniu przed obliczem słońca, pod okiem światłości.

Prawda wbrew światu!”

Nastąpiły konkursa poezyi i gry na harfie. Lud ten szczególnie miłuje poezyą i muzykę. Jeden wieśniak zapowiedział wiersz na cześć *gościa z Galii*.

Walijczycy różnią się pod tym względem zupełnie od Anglików. O ile tamtym wstrętną muzyka, o tyle znów ci posiadają prawdziwy geniusz melodyi. Świadczy o tém axiomat ich naddziadów.

Kimris w niedoli swójój
Goni za pieśnią,
Pieśń pożyteczna dla duszy.

Bard Al Ilhel potwierdził to co mi powiedział Stephens. Przygotowuje on publikacyą tajemnych rękopismów. Wyprawił mnie do zamku Llanower.

Puściłem się więc do Llanower. Sam kraj zasługiwałby już na tę podróż; prześliczna tu dolina Aber-Gawenny i Llwyisy. Popłynąłem z biegiem téj ostatniej rzeki i wkrótce przybyłem do Kerleon, miasta króla Artura. Istnieje tam dotąd amfiteatr rzymski, w którym zbierali się niegdyś rycerze okrągłego stołu. Ogromny tumulus celtycki uwieńczony wielkimi drzewami, panuje po nad miastem. Kraj cały pełen legend i pamiątek. Starożytna poezya żyje tu pełném życiem. Nad rzeką słyszałem dźwięki harfy.

Udałem się do zamku Gryffid. Dzierżawca zamku był zawołanym harfistą.

Przez piękny park poszedłem do zamku. Na bramie parku odczytałem gościnną dewizę:

„Kto jesteś podróżniku?

Jeżeli jesteś przyjacielem, witam cię z głębi serca. Jeżeliś obcy, czeka cię gościnność w tych progach.

Jeżeliś nieprzyjaciel, zniewolony będziesz dobrocią.”

Znalazłem tu prawdziwe skarby tradycyi, i inne nie-mniej drogie skarby szlchetnych uczuć. Otworzono dla mnie starą skrzynię dębową; wydobyto z niej rękopisy Jola. W ciągu trzykrotnej podróży, odwiedzałem ten zamek.

Zaczem powiem o pomnikach jakie nam Jolo zostawił, przedstawię nasamprzód ową ciekawą postać. Trudno od-dzielić osobę Jola od starożytnych zabytków, które dał po-znać światu. Do tych pomników przyrósł on całym sercem. Była to osobistość najoryginalniejsza w kraju, gdzie wszy-stko tak jest oryginalne i wyjątkowe. Jolo był wiernym obrazem antykwaryusza z powieści Walterskota, z tą różnicą, że starożytne i mistyczne tradycje któremi się karmił, w wła-ściwy sposób odcechowały jego osobistość.

Przez lat wiele, przebiegał Jolo wzdłuż i w poprzec całą Walią, zbierając chciwie najdrobniejsze rysy, dotyczą-ce przeszłości starożytnej Kambryi. Przysłuchiwał się pilnie powieściom ludu; przepisywał rękopisma, których z po-wodu ubóstwa, nie był w stanie nabywać. W tych wycie-czkach dzielił się nieraz z biedniejszym od siebie, ostatnim kęsem chleba. Wszyscy mieszkańcy Walii znali go wybor-nie. Posiadał on, jak mówiono wiele tajemnic, ztąd budził powszechną ciekawość. Później zaniechał wycieczek swoich i lud zapomniał o nim. Tymczasem zgrzybiały starzec gasł pomału w ubóstwie i ciszy; aż nakoniec wiadomość o jego śmierci, ożywiła tę postać w pamięci ziomków. Rozpoczęły się wtedy spory, co do tajemnic jakie posiadał Jolo; te spory po dziś dzień toczą się na jego grobie.

Edward Williams (Jolo) był synem mularza. Matka jego córka zubożałego szlachcica, otrzymała za młodu staranne wychowanie. Wszyscy prawie ludzie znakomici mieli niepospolite matki. Matka Jola uczyła go czytać na książ-ke poezyi. Od dziewiątego roku chłopiec pracował z ojcem nad mularką; nie widywano nigdy żeby się bawił z rówieśni-kami. W wolnych od pracy chwilach odpoczywał przy

matce; niekiedy téż błąkał się po boru lub nad brzegami morza. Rzadko kiedy oddawał się dziecięcej wesołości. Charakter z natury miał dziki, wyobraźnię poetyczną, umysł samodzielny.

Śmierć matki zatrzała życie jego wielką goryczą. Jedyną rozrywkę jego, stanowiło czytanie starych papierów. Myślą obiegał zawsze daleko od rzeczy poziomych, ztąd pochodziło ciągłe roztargnienie. Gniewało to ojca. Razu jednego zniecierpliwiony, odtrącił go po grubijańsku. Jolo zniknął bez wieści. Przez kilka tygodni nie było o nim słyhać. Dowiedziano się potém że pracuje jako mularz przy budowie mostu w Londynie.

Powrócił nareszcie do rodzinnego zakątka. Oddawał się o ile mógł nauce, poezyi i poszukiwaniu starych ksiązek. Nakoniec ożenił się, a nowo zaciągnięte obowiązki rodzinne, jeżeli zmuszały go do pracy na chleb, nie zmniejszały w nim jednak zapału do nauki.

Gwałtowny i drażliwy z natury, mimo to serce miał tkliwe, pełne miłosierdzia. Otwartość stanowiła główną cechę jego charakteru. Nie umiał nigdy ukryć żadnej myśli ani nagiąć własnego przekonania. Przez to nie zjednał sobie poparcia z nikąd i pozostał całe życie ubogim.

Nie mógł nigdy bawić długo na jednem miejscu: przebiegał piechotą ogromne przestrzenie. Nikt pewno ze współczesnych nie ubiegł więcéj mil od niego. Zdarzyło się że odbył dziewięćdziesiąt cztery mil angielskich z Flunstonu do Bristolu i napowrót, w ciągu trzydziestu sześciu godzin.

W starości krewni i przyjaciele wymogli na nim że miał konia. Jolo uczynił zadosyć ich woli, ale w połowie tylko. W wycieczkach koń szedł luzem naprzód, on zaś postępował za nim piechotą.

Ułożył z tego powodu tryadę na wzór tryad starożytnych bardów.

„Trzy rzeczy wcale mi nie potrzebne:

Koń, bo mam dobre nogi;

Piwnica, bo nie piję piwa; -

Worek, bo nie mam pieniędzy.”

W dalekich wycieczkach pieszych, posilał się tylko herbatą, chlebem i masłem. Wina nie pijał wcale. Zachował wyobrażenia pytagorejskie co do mięsnego pożywienia.

W młodości postanowił z jednym z towarzyszków, nie jadać nic innego oprócz trawy, ale ta kuchnia Nabuchodonozora wcale mu nie posłużyła; musiał jęj téż zaniechać.

Zdarzało się nieraz że w ciągu dalekiej podróży oddał cały zapas chleba ubogim, a sam musiał iść o głódzie z jakie mil dziesięć lub dwadzieścia.

W późniejszym wieku zamierzył popłynąć do Ameryki, lecz ten zamiar spełznął na niczém.

Trzej bracia jego przebywali w Jamajce. Wiedzieli oni że Jolo zajęty wyłącznie poezją, nie potrafi zabezpieczyć bytu rodzinie. Skoro więc wyrobili sobie stanowisko, napisali do niego, ofiarując mu roczną pensję. Jolo nie przyjął jęj wcale. Bracia przyszli do majątku, budując domy dla bogatego plantatora, który miał własnych murzynów. A zatem murzyni zapracowali owe pieniądze, płacone przez plantatora jego braciom. Jolo wyrozumował rzecz w taki sposób: „Ja nie powinienem dotknąć tego złota, zdobytego krwią i potem. Wolałbym raczej umrzeć z głodu.” I odrzucił ofiarę.

Trzej bracia pomarli w ciągu lat kilku. Jolo odziedziczył ich majątek złożony z ziemi i z czarnych niewolników. Miał on wtedy liczną rodzinę; nieraz brakło mu na konieczne potrzeby. Przyjaciele radzili żeby przyjął dziedzictwo. Przedstawiali mu, iż może uwolnić murzynów, zachowując tylko własność ziemską. Jolo nie chciał wchodzić w układy z własnym sumieniem; wstrętną mu była myśl korzystania z pracy biednych murzynów, z drugiej znów strony trapiła go nędza rodziny własnej.

W tych czasach interes powołał go do Bristolu. Przybył do tego miasta z pustą kieszenią i umysłem niespokojnym. Ważył się jeszcze z myślami, sam nie wiedząc co postanowić. Wtém posłyszał dźwięk dzwonów. Zapytał co to znaczy? Odpowiedziano mu że dzwony biją na znak radości, odebrano bowiem pomyślną wieść iż bill Wilbeforsa przeciwko niewolnikom, został stanowczo odrzucony. Bristol był wtedy głównym miejscem, gdzie się odbywał handel murzynami. Oburzony tém zerwał się nagle, otrząsnął proch z obuwia, przeklął niegodne miasto, czemprowadź wrócił do domu, i odrzucił stanowczo spadek.

— Będziemy żyć jak Bóg da—rzekł do żony—ale nie zaciążę klątwy murzynów nad głową naszych niewinnych dzieci. Nie chcę zostawiać im takiej puścizny. Odmawiam jako chrześcjanin, odmawiam jako breton, odmawiam jako bard i Druid; bo wszak prawo mówi wyraźnie:

Trzy rzeczy zrodziły się razem: człowiek, swoboda i światło.

Nikt podówczas oprócz kilku zaufanych przyjaciół nie wiedział skąd Edward William wy dobył ów axiomat. Wkrótce dowiedziano się o tém.

Mięszanina wyobrażeń druidycznych i chrześcijańskich, nie wydawała się zbyt rażąca mieszkańcom Walii, gdyż tam istniały zawsze stowarzyszenia bardów, a każdy wiedział że Williams należał czynnie do tego grona. Uważano jednak że coraz ściślej spajał się z duchem starych bardów, że z ich pomników dobywał wnioski jakich drudzy wyciągnąć nie umieli.

Opinie demokratyczne jakie Jolo objawiał w każdej okoliczności, ściągnęły mu wielu niechętnych, w kraju tak arystokratycznym jak Anglia. W dziwny sposób wyraża własną opinię z powodu sporu o szlachectwo. „Mógłbym ja łatwo—mówi—skreślić genealogią moją od wielu pokoleń; mógłbym wykazać licznych dostojników pomiędzy moimi naddziadami. Gotów jestem nawet wydrukować ten rodowód, a to dlatego żeby dowieść, iż ludzie najwyżej postawieni z pomiędzy praojców moich, byli bez zaprzeczenia najmniej warci.”

Edward Williams mówił prawdę. Należał on do upadłej lecz znakomitej rodziny. Jednym z przodków jego był Oliwier Kromwel.

Nie cierpiał on Kromwela. Głównym powodem jego nienawiści było to, że skutkiem wojny domowej zgorzała w Raglan, wielka biblioteka bardów.

Jolo przebywał często w Londynie, gdzie utrzymywał liczne stosunki z uczonymi swego czasu. Znakomity chemik Priestlej, uważany słusznie wraz z Lavoisierem za ojca chemii nowoczesnej, wysoko oceniał rzemieślnika poetę z Walii.

Priestlej oburzył na siebie umysły ziomek jako jawny stronnik rewolucyi francuzkiej. Dom jego pod Birmingham

złupiony został i spalony, wraz z gabinetem fizycznym bogato zaopatrzonym w narzędzia, z biblioteką obejmującą wiele ważnych rękopisów. Sam Priestlėj zmuszony uchodzić z kraju, udał się do Ameryki. Jolo nie odstąpił go do chwili odjazdu.

Uściskawszy przy pożegnaniu rękę przyjaciela, powrócił do Walii. Zajął się wtedy wykuwaniem napisów na grobowcach, ale praca ta szkodziła mu na piersi. Założył więc sklepik korzenny i księgarnię w Cow-Bridge. Wierny jednak zasadom swoim, nie chciał wcale sprzedawać cukru wyrabianego przez murzynów. Zakupywał więc cukier przychodzący z Azji. W sklepiku jego czytano wielki napis: „Cukier z Indyi nie zbrudzony krwią ludzką.”

Szczególne cechy w charakterze Jola wpływały z systematycznych jego zasad. Mienił się chrześcianinem i bardem, a nawet Druidą; zobaczmy co przez to rozumiał.

W przekonaniu jego, bardyzm znaczył coś więcej niż proste wtajemniczenie w przepisy literackiego Towarzystwa (Eisteddfod), gdzie aby zostać bardem, dosyć jest znać arkana literackie bardów, i umieć układać wiersze w dwódziestu czterech miarach. Nie szło tu także o polityczne tajemnice starożytnego bardyzmu, o *Misterya krwawej włóczni*. Jolo był człowiekiem pokoju i braterstwa. Nie żywił on bynajmniej nienawiści ku Saksonom; utrzymywał nawet że prawdziwi bardowie nigdy nie opiewali wojny.

Szło tu raczej o tajemnice innego rodzaju, o tajemnice filozoficzne i religijne. Jolo usiłował połączyć wyobrażenia Druidów z chrześciańską wiarą.

Był on głęboko pobożny, ale nie trzymał się form żadnego istniejącego wyznania. O Chrystusie mówił z najgłębszą czcią, widząc w Nim główne ognisko prawd moralnych, a jednak szczególne miał pojęcia o przeznaczeniach duszy ludzkiej, o jej poprzedniem istnieniu, o transmigracji i t. p. Nadawał on tradycjom ludowym formę filozoficzną, potępianą silnie przez duchowieństwo protestanckie, i niezgodną z zasadami chrześcianizmu. Cytował częstokroć axiomata nacechowane starożytnym geniuszem, których pochodzenie było dla wszystkich tajemnicą.

Daleki od racjonalizmu, Jolo był raczej mistykiem; wierzył w zjawiska nadprzyrodzone, w natchnienia, w obja-

wienia i t. p. Złączył to wszystko z bardyzmem, jak gdyby wtajemniczenie w bardyzm nadawało siłę natchnienia. W tym przedmiocie opowiadają o nim szczególną przygodę.

Razu jednego we śnie widział trzy kobiety. Z tych jedna odziana w wielki płaszcz, upadła w jego oczach obłana krwią własną. W tejże chwili posłyszał mocny huk, który obudził go ze snu. Nazajutrz rano zaszedł do domu sąsiadów. Rodzina siedziała przy stole; w gronie jój poznał trzy widziane we śnie kobiety: podczas śniadania, młodzian jakiś wszedł do domu i położył dubeltówkę na stole. Lufa wymierzona była prosto w pierś kobiety odzianej płaszczem. Jolo porwał broń ze stołu, przekonany że ocalił od śmierci kobietę.

Kiedy go zapytywano zkąd czerpie swoją wiarę, on zawsze tak otwarty i szczery, wahał się jednak z odpowiedzią, jak gdyby go wstrzymywało jakieś tajemne zobowiązanie.

Naostatek odchylił zasłonę. Począł zbierać jawnie podpisy na wydanie swoich poezyj angielskich. Pisał on zarówno po angielsku i po walijsku, lubo ten ostatni język był mu daleko miłszy. Pomiedzy podpisami na dzieło czytamy znakomite nazwiska Washingtona, Wilbeforsa, Priestleja, Horntooka i t. p.

Książka wyszła z druku w r. 1794. Poezye nie miały w niej wielkiego znaczenia, tryady za to obudziły uwagę powszechną.

Jolo nie wdawał się w szczegółowe rozprawy nad tą publikacją. Mówił tylko że wyciągnął tryady z rękopisu kopiowanego w wieku XIV, przez Llewelyna Sion, ze zbioru ksiąg bardycznych z biblioteki w Raglan. Ów rękopis należy do Sion Bradford.

Publikacja znalazła wielki rozgłos, ale rozgłos ten nie doszedł do Francji. Burza rewolucyjna zagłuszyła go zupełnie.

Liczne wtedy stronnictwa uderzyły na biednego Jolo. Ortodoxi i sceptycy okazali równą zaciętość. Wielu nawet bardów, opierających się na odmiennych tradycjach, wystąpiło przeciw jego zasadom.

Obwiniano go o podsunięcie własnego rękopismu. Zarzut ten upada jednak przy porównaniu dokumentu, z wła-

snemi jego utworami, tak pod względem stylu i formy. Jolo nie byłby w stanie utworzyć nic podobnego.

Znalazł on jednak równie gorliwych przyjaciół jak i zagorzałych przeciwników: do pierwszych liczy się poeta Robert Southey.

Po ogłoszeniu książki Jolo zajął się gorliwie reorganizacją bardyzmu, wstarożytnych formach i w duchu starożytnym. Jeszcze zanim książka wyszła na widok publiczny, urządził pierwsze zgromadzenie bardów w Primarose-Hill w samymże Londynie.

Pracował wytrwale w tym kierunku. W lat dwadzieścia siedem potem, na zebraniu (Eisteddfod) w Cormarthen, wykladał stare ustawy bardyzmu, stojąc na kamieniu wśród koła, i wtajemniczał w starożytne rytuały uczonego biskupa St. Dawid, doktora Burges, i wielu innych zwolenników tej nauki.

Wtajemniczenie w rytuały i ustawy, nie odkrywało jednak zasłony pokrywającej samą naukę. Tu Jolo uczynił wielki krok wydaniem tryad, poczem zatrzymał się znowu. Utrzymywał on, że posiada w ręku wiele innych dokumentów, równie ważnych jak tryad, słowem że ma całość teologii bardów i że ją niezadługo ogłosi. Mimo to odkładał rzecz na później, i nie zamieścił wcale owych tajemniczych dokumentów w trzech tomach wielkiego zbioru pomników: poetycznych, gnomicznych, historycznych, które wydał w r. 1801, wspólnie z kilku uczonymi erudytami z Walii, p. t. Myrwyrgan. Powodem tego był skrupuł sumienia. O ile z jednej strony pragnął wyjawić to co wiedział, o tyle z drugiej wstrzymywała go okoliczność, że w tych dokumentach piśmiennych, były pewne wskazówki dotyczące się przedmiotów, które sami tylko wtajemniczeni, przekazywali jedni drugim pod przysięgą.

Przeciwnicy Jola, którzy utrzymywali że on sam wymyślił tryady, wezwali go publicznie na zebranie bardów w r. 1826 aby wykazał dowody swoje. Jolo nie odpowiedział na wezwanie: był wtedy umierający. Już od lat trzech, niezmordowany długo starzec, przestał obiegać wzgórze i doliny Walii. Złamany wiekiem i chorobą, nie opuszczał ubogiej chaty w Cow-Bridge, gdzie mały zasiłek udzielany mu corocznie przez przyjaciół, chronił go od osta-

tecznej nędzy u schyłku życia. Syn, spadkobierca jego wiary i zdolności poetycznej, równie był ubogim jak i on, i równie jak on miał wstręt do złota zdobytego pracą murzynów. Ostatnie dni życia przepędził Jolo na układaniu hymnów religijnych w języku walijskim. Cierpienia znosił z wielkim poddaniem. Pielęgnowała go troskliwa córka, z pozoru prosta wieśniaczka walijska, ale niepospolita poetka i harfiarka, pełna ku ojcu czci i uwielbienia.

Jolo Morganwg zgasł mając lat ośmdziesiąt. W rok potem przywiązana córka doznała tej smutnej pociechy, że ją wezwano do przystrojenia w liście i kwiaty katedry bardów, z której prezydujący zgromadzenia, miał wyrzec pochwalną mowę na cześć ojca.

Spory wszczęte za życia Jola, toczyły się długo jeszcze nad jego grobem. Stronnicy autentyczności tryad, rozbierali skrupulatnie ten pomnik; przeciwnicy opierali się na braku dowodów, i na tej okoliczności: że Jolo nie pokazywał nigdy nikomu owego rękopismu barda Llywelin-Sion, w którym jak utrzymywał znajdowały się tryady, oprócz wielu innych dokumentów. Uczni walijscy najwięcej obeznani ze starożytnymi pomnikami kraju swego: głęboki erudyta Price, poważny archidyakon Williams z Cardigan, nie powątpiewali bynajmniej, że mogły tam być arkany i misterye bardów, lecz nie mieli na to żadnych dowodów w ręku. Gdy umarł syn Jola, który odziedziczył po ojcu znaczny zbiór dokumentów przez niego zebranych, archidyakon z Cardigan przejrzał tę kolekcję, poszukując w niej wielkiego rękopismu Llywelyna Sion, lecz nie znalazł go wcale.

Zdawała się płonna wszelka nadzieja, aby spór mógł kiedykolwiek być rozstrzygnięty. Przeciwnicy tryumfowali. Jednak archidyakon Cardigan nie oddał za wygraną. Trudno mu było przypuścić żeby arkany bardów mogły wyjść całkowicie, jak sądzono, z bujnej wyobraźni Jola. Sądził zatem że usunięto rękopis, dla jakiegoś tajemnego powodu, przez jakiś tradycyjny przesąd; dla tychże samych przyczyn, dla których Jolo i syn jego, nie chcieli wszystkiego wypowiedzieć i ogłosić drukiem.

Wiadomo było także, iż syn Jola przed śmiercią pragnął powierzyć tajemnicę jednemu z przyjaciół, pod pie-

częścią przysięgi druidycznej, ale ów przyjaciel nie odważył się wykonać przysięgi sprzecznej z duchem protestanckiej ortodoxyi. Syn Jola nie powierzył mu zatem, ani ustnej tajemnicy, ani też piśmiennych dokumentów.

Wszelako, walcząc równie jak ojciec, pomiędzy chęcią objawienia tradycyi a przysięgą, syn Jola nie zniszczył dokumentów, i drugi pomnik filozofii mistycznej, nie mniej dziwny jak tryady, rodzaj Genezy Kimrysów, wynaleziony został wreszcie w papierach ojca, i ogłoszony po śmierci obu z wielu innymi pomnikami historycznymi i literackimi.

Był to już ważny krok; wkrótce rzeczy posunęły się dalej. Rektor jeden parafialnej szkoły w górach, wtajemniczony w zasady bardyzmu, Ab-Ilhel, rozpatrzył się jeszcze dokładniej w rękopismach Jola niż archidyakon Cardigan, i znalazł w nich porozrzucone karteczki, pisane ręką Jola, tworzące razem kopią wielkiego zbioru Llywelyna Sion, którego oryginalny rękopis zaginął. Materiał ten wystarczył na dwa tomy: składały go dokumenta teologiczne, filozoficzne, symboliczne i t. p.

Ab Ilhel wydał tom pierwszy w małej bardzo liczbie egzemplarzy w r. 1862, wkrótce po mojej pierwszej podróży do Walii. Przygotowywał właśnie wydanie drugiego tomu. Za powtórna podróżą chciałem odwiedzić go w górach; przybywszy na miejsce dowiedziałem się że umarł. Dzieło nie było wykończone. Później zakomunikowano mi jego papiery. Mogłem więc dołożyć do pierwszego tomu najciekawsze materiały stanowiące tom drugi.

Ja sam z mojej strony, przeglądałem kilkakrotnie zbiór rękopismów Jola; niezliczone jego notaty i objaśnienia, słowem prace piśmienne starego Barda, nad wszystkiemi cokolwiek tyczyło się wyobrażeń, literatury i historyi; owej małej zamorskiej Galii, która tyle zachowała rysów wspólnych z wielką starożytną Galią. Znalazłem w tych papierach, wyjaśnienie historyczne tradycyi, których Jolo był stróżem. Owa praca dała mi poznać zacny charakter i wysokie zasługi, tego szczególnego człowieka.

Wówczas to poznałem czém była szkoła Glamorgan; dowiedziałem się jaką opieką otaczali ją hrabiowie walijscy. Miałem przed oczyma listę bardów katedry Glamorgan, od

XIIIgo wieku aż do Syona Bradford, który był mistrzem Jola a właścicielem rękopismu Llywelina Sion. Onto wtajemniczył Jola w naukę. Żyją dotąd starcy z téj rodziny.

Jeżeli nie mamy już oryginału, znamy przecież tajemnice jakie w sobie ukrywał. Posiadamy je, pomimo nieprzyjaciół którzy usiłują przeczyć ich prawdziwości, i zbyt skrupulatnych przyjaciół, co je otaczali tajemnicą, usprawiedliwioną niegdyś słusznemi powodami, które dziś nie mają znaczenia.

Przyrzekłem sobie, że kiedyś oddam publiczny hołd pamięci starego Jolla, któremu historia filozoficzna, historia idei ludzkich winna nie małą wdzięczność, za to że uchronił od zapomnienia całą tradycję starożytną.



KWESTYA ŻYCIA.

WYJĄTEK ZE STARYCH SZPARGAŁÓW

Dra M. Pirogowa.

(Przekład z rosyjskiego).

„Do czego sposobisz twojego syna?

— Aby był człowiekiem, odpowiedziałem mu.

„Chyba nie wiesz, mówił pytający, iż ludzi na świecie niema; to tylko marzenie wcale nie potrzebne dla waszego społeczeństwa. Nam trzeba negocyantów, żołnierzy, mechaników, marynarzy, lekarzy, prawników, ale nie ludzi. Prawda to, czy fałsz?”

Żyjemy, jak wszystkim wiadomo, w XIX wieku, w wieku przed innymi *praktycznym*. Gasną już *marzenia*, nawet w główném swém ognisku, w Niemczech.

A jednakże człowiek, rzeczywiście jest tylko marzeniem (abstrakcją). Prawda, że człowiek *zoologiczny* istnieje ze swojemi dwiema rękoma, i potężnie trzyma się niemi rzeczywistości; lecz człowiek *moralny*, jak inne staroświeckie *marzenia*, jakoś licho należy do teraźniejszości.

Lecz nie bądźmy niesprawiedliwymi względem *naszego czasu*; i w starożytności szukano ludzi w dzień z latarkami, ale szukano przecież!

Prawda, że bałwochwalcza starożytność nie była bardzo pomagająca, pozwalała mieć wszelkie możebne moralno-religijne pojęcia: mogłeś zostać *ad libitum* epikurejczykiem, stoikiem, pytagorejczykiem; tylko złych obywateli znać nie chciała. Pomimo wszelkiego szacunku dla niewątpliwych zalet realizmu dzisiejszej chwili,

musimy się jednak na to zgodzić, że starożytność jakoś trafnieję ceniła moralną stronę człowieka. Starożytne rządy zostawiały szkoły bez nadzoru, i nie przyznawały sobie praw mieszania się do nauki mędrców. Każdy uczeń mógł następnie wybierać nowe drogi i zakładać nowe szkoły, tylko ofiarnicy, tyrani i zeloci wyginali od czasu do czasu filozofów, palili ich i truli, skoro ich nauki jawnie mówiły przeciw podaniom panującej religii, a i to przecież działo się przez intrygi kast i partyj tylko.

Błądziło pogaństwo starożytnych, nieobjaśnione światłem prawdziwej wiary; ale błądziło wedle przyjętych i następnie przeprowadzonych pojęć i przekonań.

Jeżeli epikurejczyk topił się w rozkoszach zmysłowych, robił to opierając się na podaniu lubo fałszywem swęj szkoły, która uczyła, iż być mędrce, jestto gonić ile w twęj mocy, za rozkoszą, a unikać cierpień. Jeżeli stoik stawał się samobójcą, czynił to w skutek dążenia do cnoty i ideału wyższej doskonałości, a nawet jawna niekonsekwentność w działaniu sceptyka usprawiedliwia się zasadą szkoły, głoszącej, iż nic stałego nie ma na tym świecie, bo nawet samo zwątpienie jest wątpliwością.

W najgrubszych błędach pogańskiej starożytności, opartych zawsze na pewnych moralno-religijnych zasadach i przekonaniu, przebija się najistotniejsza własność duchowej natury człowieka, to jest dążność rozwiązanía kwestyi życia i celu istnienia.

Prawda, że i w starożytności jak u nas, zdarzało się napotykać ludzi, nie czyniących sobie żadnych zadań życia, wstępując w to życie.

Lecz do tęg kategorii policzyć można dwa rodzaje tylko ludzi:

Najprzód tych, którym natura dała smutny przywilej na nie-
dołężność umysłu; powtóre takich, którzy jak owe planety pchnięte raz w jednym kierunku, dźwigają się w nim wiecznie prawem bezwładności.

Oba te rodzaje ludzi wprawdzie nie są wyjątkami, lecz i nie mogą stanowić prawidła.

Nauka Chrystusa zburzywszy chaos moralnej dowolności, wskazała ludzkości drogę prostą, oznaczyła cel i punkt środkowy dążności ludzkich. Zdawałoby się, iż ludzkość znalazłszy w Objawieniu rozwiązanie najważniejszęg kwestyi życia, co do *celu naszego istnienia*, powinna była tylko z wiarą i przekonaniem iść prosto po wytkniętęg drodze.

Ale wieki minęły, a wszystko zostało *jak było za dni Noego*. (Mat. R. XXIV. 37). Szczęściem, że społeczeństwo nasze tak się zdołało uorganizować, iż samo bez uznania mass, zadaje i rozwiązuje najważniejsze kwestye życia. Korzystając z siły ich bezwładności, nadaje im kierunek, jaki za najwłaściwszy uznaje dla swoje-go dobra. Mimo zatem przemagającęg w massach siły bezwładności, zostało jeszcze dosyć samodzielności w każdym z nas ludzi, abyśmy nie zapomnieli, iż żyjąc w społeczeństwie i dla społeczeństwa, żyjemy nadto przez samych siebie, i w sobie samych.

Pojąwszy jednak czy to instynktem, czy przez doświadczenie, iż społeczeństwo przyjęło pewien kierunek, obowiązkiem naszym się staje, objawy naszej samodzielności, jak można najwłaściwiej godzić z dążnością społeczeństwa. Inaczej *albo* zrobimy rozbrat ze społeczeństwem, będziemy cierpieć i ubożać, *albo* podwalina społeczeństwa zacznie się chwiać i rozpadać.

I tak nie bacząc na massy ślepo idące torem, jaki im społeczeństwo zakreśli, nie bacząc na to, że my sami dla własnego szczęścia winniśmy się starać samodzielność naszą nakłaniać do owego kierunku, znajdziemy jeszcze między nami wielu takich, którzy zachowają dosyć poznania na to, aby wniknąć w swój byt moralny i zadać sobie pytania: jaki jest cel naszego życia? jakie nasze przeznaczenie? do czegośmy powołani? czegośmy szukać winni?

Zdawałoby się, iż nam, jako wyznawcom wiary chrześcijańskiej, wychowanie powinno kłaść w usta odpowiedź na to; lecz przypuszczenie takie możebnem się staje tylko pod dwoma warunkami:

1. jeżeli wychowanie, czyto rozwijając, czy poskramiając rozliczne skłonności i temperament każdego, jest im odpowiedniem,
2. jeżeli moralne zasady i dążność społeczeństwa, w którym żyjemy, zupełnie odpowiadają dążności, jaką nam wychowanie nadaje.

Pierwszy warunek koniecznym jest dlatego, iż wrodzone skłonności i temperament każdego, wskazują mu, źle czy dobrze, co czynić i do czego dążyć powinien.

Drugi warunek niezbędnym jest z téj przyczyny, iż inaczej bez względu na dążność, jaką nam wychowanie nadało, widząc czynny społeczeństwa wbrew przeciwne owęj dążności, koniecznie uchylimy się od niej i zboczymy z toru.

Lecz niestety! wychowanie nasze nie dosięga wytkniętego celu, a to z tych przyczyn:

1. że nasze skłonności i temperamenta nie tylko są rozliczne, lecz nadto rozwijają się w niejednakowym czasie, gdy tymczasem wychowanie nasze w ogóle jest jednakowem; zaczyna się i kończy dla większej z nas części, w tych samych epokach życia.

I tak, jeżeli wychowanie moje zaczęto zapóźno, nie odpowie skłonnościom i temperamentowi bardzo wczesnie we mnie rozwiniętemu, to choć mi najgórniej prawić będzie o celu życia i przeznaczeniu, skłonności moje i temperament wczesniej rozwinięte, co innego w uszy kłaść mi nie przestaną. Ztądto wszelka błędność, rozstrój i samowolność.

2. że zdolni, przezorni i sumienni nauczyciele również są rzadcy, jak przenikający lekarz, utalentowany artysta i mądry prawodawca. Liczba ich nie odpowiada massom potrzebującym wychowania.

Lecz nie w tém jednak leży trudność cała. Jakiémkolwiek byłoby wychowanie nasze, z wszelką swą niedoskonałością, i choć niezupełnie zastosowane do rozwinięcia skłonności naszych, moglibyśmy w dalszém rozwinięciu sami choć instynktowo rozwiązać główną kwestyę życia. Dobrze i złe w ogólności dowolnie się w nas równowazy. I dlatego przypuszczać nie należy, iżby wrodzone nasze skłonności, choćby nawet mało rozwinięte przez wychowanie, wiodły nas więcej ku złemu, aniżeli ku dobremu.

A przytém prawa należycie urządzonego społeczeństwa, wszczepiając w nas ufnosć w sprawiedliwość i przeczorność władzy, mogłyby wytepić w nas ostatnią pokusę ku złemu.

Ale w tém właśnie cały sęk leży!

Najistotniejsze podstawy naszego wychowania są w rozbracie z dążnością społeczeństwa.

Przypomnijmy jeszcze raz, żeśmy chrześciance, a więc główną podstawą naszego wychowania jest i być powinno *Objawienie*. Wszakżeż nie napróżno od dzieciństwa oswajają nas z myślą o życiu po za grobem; wszakżeż nie darmo winniśmy mieć terażniejszość za przygotowanie tylko do przyszłości.

A jednak wnikając w obecną dążność naszego społeczeństwa, nie znajdziemy w działaniach jego najmniejszego śladu myśli owęj. We wszystkich objawach życia, przynajmniej praktycznego—ba nawet poniekąd i umysłowego, widzimy jasno wybitną *materyalną*, prawie *handlarską* dążność, opartą na wyobrazeniu o szczęściu i używaniu w tém życiu. Bo cóż my, wychowañcy nauki Chrystusa przy wyjściu naszym ze szkoły na świat, napotykamy? Widzimy to samo rozpadnięcie się społeczeństwa na kasty, jako było i za czasów pogaństwa, z tą tylko różnicą, że bałwochwálcy szli za różnorodnemi moralno-religijnemi pojęciami szkół rozlicznych, i postępowali stosownie do tych pojęć z wszelką konsekwencyą; my zaś działamy, jak nam wskazuje jakiś pogląd na życie dowolny, w rozbracie z religijnemi podstawami wychowania; czyli działamy bez żadnego na życie poglądu. Widzimy, iż najliczniejszy tłum poddaje się przez swoją bezwładność, ruchowi nadanemu w pewnym kierunku.

Uczucie rozwiniętej w nas indywidualności rodzi w nas odrazę do tego tłumy. Spotykamy znowu inne tłumy, mniej liczne, które lubo są porwane w kierunku mniej więcej ogromnej massy, lecz postępują w nim odpowiednio rozlicznym poglądom na życie, usiłując to walczyć z tym popędem, to usprawiedliwić przed samemi sobą własną słabość i brak energii.

Względów, którym służą owe tłumy, naliczysz bez końca; po rozebraniu zaś ich łatwo dopatrzysz w nich żywioły epikuryzmu, pyrronizmu, cynizmu, platonizmu, eklektyzmu; te same które powodowały działaniami pogańskiego społeczeństwa, lecz pozbawione już korzenia, martwe i w rozbracie z prawdami odwiecznemi, jakie nam na nasz świat przyniosło Słowo Wcielone. I tak np.:

Wzgląd 1szy arcy-prosty i arcy-ponętny: Nie rozmyślaj i nie rozbieraj tego, co jest nie wytłumaczone. Nie wiele to warto, to tylko strata czasu. Myśląc, możesz stracić i sen i apetyt, a czas jest potrzebnym dla pracy i zabawy, apetyt dla używania i pracy, sen znowu dla pracy i uciechy, praca i użycie dla szczęścia.

Wzgląd 2gi wysoki: Ucz się, czytaj, rozmyślaj i czerp ze wszystkiego to, co jest najpożyteczniejszym. Gdy umysł twój rozjaśnieje, dopiero poznasz, kim i czém jesteś; dopiero pojmiesz, co się zdaje koniecznym dla pospólstwa; wierz mi, iż zmadrzawszy, działać będziesz, jak nie można lepiej; zostaw tylko wtedy wybór twemu rozumowi, a nigdy nie zrobisz próżnego zamachu.

Wzgląd 3ci staroświecki: Szanuj i zachowuj jak najściślej wszystkie zwyczaje i podania. Czytaj tylko same zbawienne książki, nie wnikając w ich myśli. To jest koniecznym dla spokoju duszy, a tak nie myśląc, żyć będziesz, jak się zwykle żyje.

Wzgląd 4 praktyczny: Pracując, wypełniaj twoje obowiązki służby a gromadź grosze na gorszą dolę życia. W razach zaś wątpliwych, jeżeli jeden obowiązek zgodzić ci trudno z drugim, wybieraj z nich korzystniejszy, lub przynajmniej, mniej szkodliwy. Zresztą niech każdy puszcza wodę na własne koło. Nie sroż się i nie spieraj o przekonania i gusta; z pełną kieszenią można żyć i bez przekonania.

Wzgląd 5 również w swym rodzaju praktyczny: Jeżeli chcesz być szczęśliwym, rozmyślaj tylko, co ci jest, i jak ci jest potrzebnem? ale surowo przestrzegaj wszelkiej przyzwoitości i umiej się z ludźmi obchodzić. Nie odzywaj się nigdy źle o naczelnikach i ludziach ci potrzebnych, i pod żadnym względem im się nie sprzeciwiaj. Przedewszystkiem zaś w pełnieniu obowiązków bądź zimnym. Zbytńia gorliwość nie przystoi i nie daje zdrowia. Mów dużo, abyś skrył to, co myślisz; jeżeli nie chcesz stać się osłem drugiemu, to sam wsiądź na niego, tylko milcząc, śmiejąc się sam przed sobą.

Wzgląd 6 bardzo smutny: Nie troszcz się, nic nie wymyślisz lepszego. Na świecie to tylko jest nowością, co dobrze zapomnianem było. Co będzie, to będzie. Ty robak na kupie błota, śnieszonym się i godnym politowania staniesz, jeżeli myśleć będziesz, że dążysz do doskonałości i należysz do liczby ludzi postępowych. Widz i kuglarz mimo chęci, nic lepszego nie zrobisz, choćbyś mur głową przebił; będziesz jak owa wiewiórka zamknięta w ruchomem kole; jęć się zdaje, że leci naprzód, a ona tylko próżno koło obraca. Nie wiedząc, zkądęś się wzięł, umrzesz nie wiedząc, po co tu żyteś.

Wzgląd 7 arcy-wesoły: Pracuj tylko dla ruchu, a używaj pokąd żyjesz. Szukaj szczęścia, lecz nie szukaj go daleko; masz je pod ręką. Jakiegoż ci nad to lepszego życia pragnąć? Wszystko idzie ku lepszemu. Złe, wszak to tylko fantasmagorya dla

twojej zabawy; cień, abys przezeń lepiej mógł światła używać. Używaj terażniejszości i żyj sobie śpiewając.

Wzgląd 8 bardzo rozsądny: Odłączaj teorią od praktyki. Chwytaj się teorii jaka jest najwygodniejszą dla twój rozrywki, ale w praktyce pamiętaj głównie na to, jaka rola dla ciebie właściwsza? a raz obraną odegraj do końca. Szczęście, to sztuka. Jeżeli go dosięgniesz przez pracę i talent, nie zapominaj się zrobiwszy błąd, nie drażń się tém i nie rozpaczaj. Nie płyn nigdy pod wodę i t. d. i t. d.

Przekonywając się przy wstępie na świat o tym rozbracie zasadniczej myśli naszego wychowania z dążnością społeczeństwa, koniecznie wpadamy w jedną z trzech ostateczności:

Albo łączym się z jedną z kastowych, tracąc wszelką moralną korzyść naszego wychowania. Porwani wirem materialnej dążności społeczeństwa, zapominamy o zasadniczej myśli Objawienia. I tylko pobieżnie, w stanowczych chwilach naszego życia uciekamy się do zbawiennego jój wpływu, aby się na chwilę umęźnić i pocieszyć.

Albo zaczynamy tchnąć nienawiścią przeciw społeczeństwu. Nie przeniewierzywszy się jeszcze zasadniczej myśli Chrystusowej nauki, czujemy się obcymi w świecie zepsutego na inny nastrój bałwochwalstwa, nieufnie spoglądamy na cnotę naszych braci, budujemy sekty, szukamy nowych wyznawców, i stajemy się ponurymi odludkami, nieprzystępnymi współbraćmi.

Lub też oddaję się samowolności. Bez siły ustania naprzeciw dążności społeczeństwa, nie dosyć nieczuli, aby się zupełnie wyrzec zbawiennych rozkoszy Objawienia, za mało niemoralni i niewdzięczni, aby odrzucać wszystko, co jest *świętem i wzniosłem*; zostawiamy główną kwestyą życia bez rozwiązania, obieramy za przewodnika przypadek, przechodzimy od kasty do kasty, śmiejemy się lub płaczemy z niemi dla roztargnienia, chwiejąc się i błędząc po labiryncie niekonsekwencji i sprzeczności.

Oddani ostateczności, łączym się mianowicie z tą kastą, do której nas przed innemi ciągną temperament i wrodzone nasze skłonności.

Jeżeliśmy się urodzili zdrowymi i nadzwyczaj zdrowymi, jeżeli materialny nasz byt rozwinął się w całej pełni i przeważa u nas czułość; przejdziem na stronę *względu ludzkiego i wesołego*.

Jeżeli w nas wyobraźnia nie panuje nad rozumem, instykt nie przemaga nad rozsądkiem, a wychowanie nasze jest więcej realne, staniemy się wyznawcami *względu rozsądnego*, czyli jednego ze *względów praktycznych*. Przeciwnie zaś, jeżeli przy wątłej i nerwowej budowie ciała, marzycielstwo jest głównym rysem naszego charakteru, instykt rządzi nie rozumem lecz wyobraźnią, a nad to wychowanie nasze nie było *realném*; służymy wtedy *względowi to religijnemu, to smutnemu*, lub przechodzimy od *smutnego do wesołego* a nawet *ponętnego*.

Nakoniec jeżeli wychowanie zrobiło z niemowlęcia *staruszkę*, nie dozwoliwszy mu stać się ani mężczyzną ani kobietą, ani nawet starcem; lub jeżeli przy słabym umyśle wyobraźnia w nas przemaga, albo znowu przy słabej wyobraźni umysł tępy się trafi, wybór nasz padnie wtedy na względ *falszywie religijny*.

W końcu różne okoliczności, korzyści materyalne, zakres i miejsce naszych działań, słabość woli, stan zdrowia i t. p. zmuszają nas często zmieniać owe względy, i stawać się kolejno zapalonymi stronnikami to tego, to owego.

Jeżeli ktokolwiek z nas przy pierwszym zaraz wejściu na świat, lub nawet później, przechodząc od jednej kasty do drugiej, zastanowił się nad wyborem któregośkolwiek z owych względów, będzie to oznaką, iż stracił wszelką zdolność przemienienia, czyli wychowania siebie na nowo; będzie to znakiem, że zupełnie jest kontent ze swego wyboru, że rozwiązał jak umiał i jak chciał, główną kwestyę życia. Taki sam sobie określił cel, przeznaczenie i powołanie. Złał się z jedną z kast owych, szczęśliwy po swojemu! Ludzkość zaś nie wiele zyskała na przybraniu nowego adepta, ale też i straciła nie wiele.

Jeżeliby każdy z nas zawód swój kończył na takim wyborze jednej kasty, albo względu, jeśliby drogi i dążenia różnych *względów* biegły równoległe od siebie i kierunku ogromnych *mass*, pędzonych prawem bezwładności; w takim razie na témby się skończyło, że społeczeństwo zostałoby wiecznie rozdzielonem na jedną wielką *massę* i kilka pomniejszych. Nie byłoby obawy starcia się między sobą, wszyscyby zapomnieli to, czego ich wychowanie nauczało, któreby się stało płatnym biletem wnijsćia do teatru: wszystkoby szło spokojnie, cicho, nie byłoby się i na co pożalić.

Ale tu sęk cały!

Ludzie urodzeni z pretensją do rozumu, czucia, moralnej siły, bywają niekiedy zanadto wrażliwi na moralne principia naszego wychowania, nadto przezorni, aby przy pierwszym wstąpieniu na świat, nie zauważyć bijącej różnicy między temi principiami, a dążnością społeczeństwa, nadto sumienni, aby pominąć bez żalu i szemrania to, co jest wzniosłe i święte, a zanadto drobnostkowi, aby nie sarkać na wybór uczyniony prawie pomimo chęci lub z niedoświadczenia. Niezadowoleni, rychło czynią rozbrat z tém, co ich otacza, a przerzucając się od jednego względu do drugiego, przenikają, porównują, doświadczają; coraz to głębiej zapuszczają się w kopalnię własnej duszy, a niekontenci z dążności społeczeństwa, nie znajdując w samych sobie wewnętrznego spokoju; smażą głowę, jakby pogodzić krzyczące sprzeczności, porzucają kolejno jedno i drugie, z entuzjazmem, zaparciem siebie szukają rozplątania zasadniczych kwestyj życia, starają się choćby z największą ofiarą wyratować się na nowo i pragną na próżno *wytknąć nowe drogi*.

Ludzie urodzeni z przemagającym uczuciem, bystrym umysłem a słabą wolą, nie przeniosą téj wewnętrznej walki; upadają,

oddają się dowolności, i błędzą po bezdrożach. Gotowi zaczepić się tu lub owdzie, stają się oni, względnie do owych przymiotów przenievierzającymi się słuźalcami, lub chwiejącymi się przewodnikami téj lub owéj kasty. Z drugiejj zaś strony gorliwi stronnicy rozlicznych względów, nie idą równolegle z ogólną masą ani jakimś tłumem. Drogi ich przecinają się i spotykają między sobą. Mniej z nich zapaleni słuźą w połowie kilku względom na raz, i tworzą nowe kombinacye. Ten rozstrój sekciarzy i bezwładnej masy, to rozpadnięcie moralno-religijnych podstaw naszego wychowania w zetknięciu się sprzecznych dążności społeczeństwa, mogą, przy najtrwalszych nawet podwalinach politycznych, zachwiać nióm wcześniejj lub późniejj. I na nieszczęście, jeszcze podwaliny te nie we wszystkich społeczeństwach są trwałemi, tłumiące się masy licznemi, a rządy jak historia uczy, nie zawsze daleko widzącymi.

Trzy tylko są możebności, czyli drogi do wyjścia ludzkości z tego fałszywego i niebezpiecznego stanu:

Albo zharmonizować moralno-religijne zasady wychowania z obecną dążnością społeczeństwa.

Albo zmienić dążność społeczeństwa.

Albo nakoniec, przygotować nas przez wychowanie do wewnętrznej walki, nieochybnéj i losowéj, i dostarczyć środków i energii dla wytrzymania nierównego boju. Pójść pierwszą drogą, byłoby to skałać to, co nam na ziemi zostało świętego, czystego i wzniosłego.

Tylko krnąbrna moralność faryzeuszów i jezuitów może się podszywać tém, co jest wzniosłem dla tego, co jest niskiem i godzić samowolnie odwieczne prawdy naszych moralno-religijnych zasad z handlarskimi i zmysłowemi celami, przemagającemi w społeczeństwie. Dzieje pokazały, czém się zakończyły próbki papizmu, zamaskowanego przez jezuityzm, ultra reformatorom, encyklopedystów którzy poszli tym torem ludzkich błędów. Zmienić dążność społeczeństwa, jest dziełem Opatrzności i czasu.

Zostaje się więc trzecia droga arcy trudna, lecz możebna; po jéj obraniu wypadnie naprzód licznym nauczycielom na nowo wychować samych siebie.

Przygotować zaś nas od dzieciństwa do owéj walki, jest to *zrobić nas ludźmi* to jest tém, czém nas uczynić nie jest zdolną żadna na świecie wasza *szkoła realna*, która pracuje nad tém, aby z nas zrobić od dzieciństwa zaraz negocyantów, żołnierzy, marynarzy, duchownych, albo prawników. Nie dano jest człowiekowi tyle moralnéj siły, aby mógł zbierać całą swoją uwagę i wolę w jednym i tym samym czasie, na zatrudnienia wymagające natężenia, zupełnie różnych przymiotów ducha.

Kto dwie sroki za ogon łapie, żadnéj nie utrzyma.

Pytanie jest, na czém oparto zastosowanie realnego wychowania do najmłodszych naszych lat?

Jedno z dwojga:

Albo w szkole realnej, dla różnego wieku przeznaczonj (od dziecięcych aż do młodocianych lat) wychowanie niczj się nie różni od zwyczajnego, ogólnego;

Albo tżj wychowanie to od początku do końca, jest zupełnie odmiennj, skierowanj wyłacznie do osiągnięcia jednego, pewnego praktycznego celu.

W pierwszym razie rodzice nie mają potrzeby oddawać swe dzieci aż do lat młodzieńczych, do szkoły realnej, nawet i wtedy, gdyby sami nie bacząc na skutek, bezprawnie i samowolnie przeznaczyli niemowlę własne, z pieluchy zaraz dla tój, lub owj warstwy społeczeństwa.

W drugim wypadku, śmiało można wyrzec, że szkoła realna mając głownie za cel praktyczne wykształcenia, nie zdolną w tym samym czasie zjednoczyć swj działalności dla przygotowania moralnej strony, wychowanca do owj walki, jaka go czeka przy pierwszj na świat wystąpieniu.

Lecz i przygotowanie owo zacząć się winno w tym mianowicie wieku, kiedy wszystka bacność nauczycieli w szkole realnej zwróconą jest przedewszystkiem na dopięcie głównego, najbliższego celu, strzegąc, aby nie puścić mimo chwili i nie opóźnić się z praktycznym wykształceniem. Kurs i lekcyje są oznaczone, karyera przyszła jasno określona. Sam nawet wychowanek podniecany przez przykład owych śmiertelników, ku temu kieruje swe usiłowanie, aby jak najprędzj wejść w zawód praktyczny, w którym mu wyobraźnią obiecuje nagrody służby, korzyści i inne ideały społeczeństwa, jakie go otacza.

Odpowiedźcie mi z ręką na sercu, możnaż się spodziewać, aby młodzieniec mógł się jednocześnie przygotowywać do wstąpienia w zawód, jaki sobie sam obrał, przysycał się zewnętrznymi i materialnymi słodyczami tego zawodu przedwcześnie dlań zakreślonego, i gotować się zarazem, szczerze i gorąco do wewnętrznej walki z samym sobą oraz ponętną dążnością świata?

Nie kwapcie się z waszą wzorową realnością. Pozwólcie dojrzeć i zmęczyć wewnętrznemu człowiekowi, zewnętrzny dosyć jeszcze będzie miał czasu do działania; ostatni wychodząc późnziej lecz idąc za głosem pierwszego, nie będzie może tyle zręcznym, nie tak wymownym i gibkim, jak wychowaniec szkół realnych, lecz będzie mógł późnziej na niego rachować, nie porwie on się z motyką na słońce.

Dajcież się wyrobić i rozwinąć wewnętrznemu człowiekowi, dajcie mu czas i środki upodwładnienia sobie człowieka zewnętrznego, a będziecie mieli kupców, żołnierzy, marynarzy i prawników, a nadewszystko będziecie mieli i obywateli.

Cóż? pomyślicie może, iż wam proponujj zamknięcie i zburzenie wszystkich szkół realnych i specjalnych?

Nie, powstają tylko przeciw dwom krzyczącym ostatecznościom.

Dlaczego rodzice tak samowolnie rozrządzają losem swych dzieci, pchając je ledwo z pieluch wyszłe tam, gdzie wedle różnych pojęć i rachuby czeka je świetniejsza przyszłość? Czemu szkoły realne i specjalne wdzierają się do wychowania tego wieku, dla którego nieskończenie koniecznijszém od wszystkich praktycznych zastosowań, ogólne ludzkie wykształcenie?

Któż dał prawo ojcom, matkom, nauczycielom szafować samowolnie błogimi darami nieba, któremi ono obdarza dzieci?

Któż to dociekł, że dzieci otrzymały od natury zdolność i powołanie do odegrania téj właśnie roli w społeczeństwie, którą im sami rodzice obierają? Dawno już przecie ustał pogański obyczaj wydawania za mąż córek wbrew ich przekonaniu, miałożby być cierpianém i uprzywilejowaném zaślubianie synów niewolniczo i przedwczesnie z przyszłym ich zawodem, a jednak bezprawne ich zaślubiny z nauką, święcą się i wystawiają jak ślub doży z morzem!

Czyż nie ma innego sposobu, innéj drogi, innego mechanizmu dla wychowania realno-specyjalnego? Czyż nie można inaczej odebrać wychowania specyjalno-praktycznego, w téj lub owéj gałęzi ludzkich wiadomości, tylko koniecznie przez ofiarę ogólnego ludzkiego ukształcenia? Zastanówcie się i wydajcie sąd ojcowie i nauczyciele!

Z pogańskich jeszcze starożytności istnieją dwa rodzaje wykształcenia:

Ogólnie-ludzkie, i specjalne czyli realne.

W Atenach i Rodosie filozofowie mieli prawo utrzymywać szkoły ogólnie ludzkiego wykształcenia. Najgłówniejsze z nich mieściły się niedaleko Aten, wśród jasnych strumieni, okolonych ogrodami. W środku tkwiła szkoła Epikurejczyków, na północ od niej mieszkali wyznawcy Platona, a na południe uczniowie Arystotelesa. Dzieliły je myrty i oliwne drzewa, i były granicami rozlicznych poglądów na świat i życie. Nauczyciele żyli z uczniami w towarzystwach razem, mieli wstęp i obcy, nietylko uczniowie sami. Tłumili się tu lubownicy z odległych ziem, aby słuchać *mądrości* sławnych mistrzów. Filozofia i krasomowa były głównymi przedmiotami zajęcia. Nauki realne, nie wszystkie wyraźnie odłączone od filozofii, podawały się zwykle z nią razem, tak iż za główną podwalinę wszystkich nauk uważano filozofię. Bóg, świat i człowiek byli głównymi przedmiotami oderwanych dociekań. Krasomowa była w owym czasie sztuką, nierozłącznie spojona z bytem obywatela i historią narodu. Z tego względu uważano i filozofią i krasomowę jako najgłówniejsze i najkonieczniejsze przedmioty ogólnego ludzkiego wykształcenia.

Oprócz tego w Grecyi, Rzymie i Egipcie istniały szkoły specjalne. Palestry i gimnazya Grecyi będące pod nadzorem magistratur miejskich (bo wtedy szkoły filozofów były prywatnymi zakładami, do których zarządu i nauk rząd grecki się nie wtrącał) zajmowały się głównie przygotowaniem uczniów do igrzysk olimpijskich i innych publicznych popisów: w Rzymie istniała szko-

ła prawa, w Alexandryi szkoła nauk matematycznych i filozoficznych i t. p.

W wiekach średnich religia chrześcijańska stała się orędowniczką i źródłem zagasłej oświaty.

Początek uniwersytetów i szkół specjalnych wyrabiał się stopniowo w szkołach klasztornych zakładów. Szkoły specjalne w Paryżu i Oxfordzie, z początku przeznaczone dla filozofii i teologii, zostając pod opieką i kierunkiem duchowieństwa, stopniowo zyskiwały wyjątkowe prawa i przywileje, i wyniosły się na stopę pierwszych uniwersytetów owego czasu.

Podają, iż w wieku XIII w Uniwersytecie Paryzkim było do 10,000, a w Oxfordzkim do 30,000 słuchaczy. Z owym potężnym rozwinięciem ogólnie ludzkiego czyli uniwersyteckiego wykształcenia w Europie, nie mogły się dłużej zgodzić specjalne szkoły klasztorne, i zaczęły z owego czasu stopniowo chylić się do upadku.

Nakoniec w nowszych czasach, przy udoskonalaniu się rozlicznych gałęzi ludzkich wiadomości i bytu obywatelskiego, dosięgły stopniowo uniwersytety i specjalne szkoły téj stopy rozwinięcia, na jakiej je dziś znajdujemy. Różnica w celach i przeznaczeniu jednych i drugich jasno się uwydatniła.

Pojąwszy to, rządy wszystkich ucywilizowanych narodów, utrwały przez nowe prawa mniej lub więcej wyraźnie byt tych ognisk oświaty narodowej.

W różnych krajach w miarę czasowych lub przypadkowych potrzeb, objawiał się i upowszechniał coraz więcej, już to uniwersytecki czyli ogólnoludzki, już to stosowany czyli specjalny kierunek wychowania.

Zadna jednak dobrze ucywilizowana władza, pomimo potrzeby specjalizmu, nie mogła odrzucać konieczności ogólnego wykształcenia.

Prawda, że w niektórych krajach, fakultety uniwersyteckie prawie się przeistoczyły w szkoły specjalne, ale nigdzie przecież nie usunięto jeszcze ze wszystkiém zasadniczej i pierwiastkowej dążności do głównego celu, t. j. ogólnie ludzkiego wykształcenia.

Zdawałoby się, iż mając wytkniętą tę prostą otworzystą drogę ku *wykształceniu ludzi*, dlaczego nie pójść po nią. Czemużby téj drogi nie nagiąć lepiej do krzyczących potrzeb terażniejszych? Czemużby jęj nie otworzyć, nie wybić szerzej, nam, którym tak koniecznie trzeba prawdziwie ludzkiego wychowania?

Ale wychowanie ogólnie ludzkie nie zasadza się na samym uniwersytecie, potrzebuje ono nadto szkół przygotowawczo uniwersyteckich, skierowanych do jednego i tegoż samego błęgiego celu, założonych w tymże samym duchu, i z tą samą dążnością.

Każdy, kto chce być dobrym obywatelem, powinien się nauczyć przedewszystkiem być człowiekiem. Dlatego to wszyscy, do pewnej epoki życia, w której się jasno wybijają ich skłonności i talenta, powinni czerpać z jednej i téj samej krynicy moralno-nau-

kowej. Nie napróżno to pewne wiadomości z dawien dawna nazywano *humaniora*, to jest nieodzowne dla każdego człowieka. Wiadomości te lubo z upadkiem bałwochwalstwa, udoskonaleniem się nauk i rozwinięciem obywatelskiego bytu rozlicznych narodów, zmieniły się w swym kształcie, zostają jednak na zawsze temi samemi świecznikami na drodze żywota, tak dawnych jak i nowych pokoleń.

Jasno jest oznaczonym kierunek i droga, któremi się spełnia ogólnie ludzkie wykształcenie dla wszystkich i każdego, kto pragnie zasłużyć na to nazwanie. Jest ono najistotniejszém i najbardziej dobrowolnym, najstosowniejszém i dla rządzących i dla rządzonych.

Dla rządzących z téj przyczyny, iż wszyscy wychowawcy do pewnego wieku kształcić się będą w jednym zupełnie kierunku ducha i celu; a zatém moralno-naukowe wychowanie wszystkich przyszłych obywateli pozostanie w jednych rękach. Wszelkie względy, wszelkie błogie dążności władzy ku ulepszeniu oświaty, spełniają się będą stopniowo z jednakową energią i przez indywidua jednego pragnące.

Dla rządzonych z tego względu, iż wszyscy wychowawcy aż do wstąpienia w zawód obywateli, bratersko używać będą jednakowych praw i korzyści wychowania.

Tożsamość tę ducha i praw wychowania, uważać należy za korzystną nie dlatego, że niby szkodliwem jest dla społeczeństwa rozpadnięcie się jego na pewne *korporacye*, rodzące się z różnorodności wychowania; bo przeciwnie w podniecaniu *korporacji* widzę środek podniesienia moralnego bytu rozlicznych klas i stanów, zakorzeniania w nich szacunku dla zajęć i szranki działań, jaką im los zakreslił. Lecz aby wyciągnąć dla społeczeństwa korzyść z panującego ducha korporacji, działać należy na rozwinięcie jego nie wprzód od rozwinięcia się w młodzieńcu wszystkich zdolności umysłowych. Inaczéj, obawiać się przyjdzie, iż środek ten będzie i fałszywie pojętym, i niewłaściwym.

Nie można jednak zaprzeczyć, iż są arcy-przemożne przyczyny, które usprawiedliwiają szkoły specjalne we wszystkich krajach i narodach.

Do tych należy żywotna prawie dla niektórych narodów konieczność specjalnego kształcenia obywateli w rozlicznych gałęziach wiadomości i sztuki, nieodzownych dla dobrego bytu a nawet istnienia kraju; mianowicie kiedy go zmusza nieodparta konieczność używać jak można najwcześniej i najrozległej owoców wykształcenia młodych specjalistów.

Lecz lszé: żaden kraj niema większej i istotniejszej potrzeby, nad potrzebę *prawdziwych ludzi*. Ilość nie sprosta jakości, a choć ją i przemoże, wcześniej czy później uderzy czołem z całym swoim ogromem przed dzielnością duchowej siły.

To pewnik historyczny.

Powtóre: edukacja ogólnie ludzka czyli uniwersytecka, nie, wyłącza istnienia szkół specjalnych takich, któreby się zajmowały praktycznym czyli stosowaniem wykształceniem młodzieży, przygotowanej już przez wychowanie ogólnie ludzkie.

Szkoły zaś specjalne a nawet całe społeczeństwo więcej daleko zyszczą, jeżeli mieć będą wychowawców moralnie i naukowo przygotowanych w jednym duchu i jednakięj dążności. Nauczyciele szkół owych siał będą na uprawionej i obrobionej już glebie; wychowañcom zaś przyjdzie łatwiej przyswajać sobie to, co im będzie danem. W końcu rozwój ducha korporacyj, pojęcie i uszanowanie godności tych stanów, do których przygotowują owe szkoły będzie i na dobie i właściwym dla młodzieży, przygotowanej już dostatecznie przez wychowanie ogólne.

Jakieżbo przedmioty stanowią najistotniejszy cel wykształcenia w szkołach specjalnych? Czyż nie te, które wymagają zupełnego już rozwinięcia władz duszy i ciała, zdolności i wyłącznego powołania?

Powiedzcie proszę, dlaczegoż się tak śpieszyć i kwapić z wykształceniem specjalnym? dlaczegoż je rozpoczynać tak przedwcześnie? Czemuż tak skwapliwie zamieniać korzyści wykształcenia ogólnie ludzkiego, na stosowany i jednostronny specjalizm?

Wiem to zaiste, iż olbrzymi postęp nauk i sztuk w naszym stuleciu, uczynił specjalizm nieodzowną koniecznością społeczeństwa; lecz rzeczywiście specjaliści nigdy jeszcze tak nieodpornie jak w naszym mianowicie wieku nie potrzebowali pierwiastkowego ogólnie-ludzkiego wykształcenia.

Jednostronny specjalista jest albo całym epikurejczykiem, albo ulicznym szarlatanem.

Odszukawszy więc najwłaściwszy i najistotniejszy kierunek, w którym prowadzić winniśmy dzieci nasze, mające kiedyś dostąpić wzniesłego powołania *ludzi*, pozostaje nam jeszcze do rozwiązania jedna z najistotniejszych kwestyj życia, t. j. *jakim sposobem, i jaką drogą przygotować je do nieochybnej walki, która je czeka?* Jakim być powinien młody szermierz, przygotowujący się do téj walki?

Warunek 1 jest: iż młodzieniec mieć powinien od natury samęj jakieś prawo do rozumu i uczucia.

Korzystajcie z téj błogięj szcudroty Stwórcy wszech rzeczy, lecz obdarowanych przez Niego nie róbcie ślepymi wyznawcami martwéj litery, zagorzałymi przeciwnikami koniecznéj na ziemi powagi, nierozsądnymi czcicielami grubego materyalizmu, zagorzałymi rozrutnikami uczucia i woli i zimnymi zwolennikami rozumu.

To drugi warunek.

Powiecie mi może, że to są zwykłe retoryczne frazesy.

Lecz czyż to moją winą, że bez nich niepodobna mi odmałować tego ideału, którego tak gorąco pragnę, dla moich i waszych dzieci?

Nie wymagajcie odemnie więcej, nie ma dla mnie nic więcej nad to na świecie!

Niechaj wasi pedagogowie z głębszą znajomością rzeczy, bogaciej zdolnościami uposażeni, niech mówię, z gorejącą miłością dla prawdy i bliźniego, zdołają uczynić z moich i waszych dzieci to, czego ja tak gorąco pragnę; a przysięgam wam, że nikogo kłopotać nie będę mojami retorycznymi frazesami, tylko milcząc, modlić się za nich nie przestanę.

Wierzajcie mi; doświadczyłem téj wewnętrznej nieochybnéj walki, do której radbym przygotować z gruntu i zawczasu dzieci nasze; drzę o nie, na tę myśl, iż je czeka to samo niebezpieczeństwo, i nie wiem czy ten sam tryumf. Módlcie się, a nie wyrokujcie.

Nie chcecie słuhać ogólnych i oderwanych przypuszczeń, radziłyście mieć szczegółowo wytłumaczonym cały mechanizm, za pośrednictwem którego osiągnąćby można upragnionego celu.

Chwilkę cierpliwości!

Przedewszystkiem wykażę wam na indywiduach, jak się wprzód sposobili, a jak się my teraz gotujem do owéj walki, i prowadzim ją wpośród szrank życia, a wtedy może bez retorycznych słówek i dalszych objaśnień i mój mechanizm zrozumiecie. W każdym razie nie będzie on gorszym od ogólnie przyjętego.

Zacznijmy ab ovo. Przedewszystkiem niech każdy lub każda z was wyobrazi sobie, iż należy do liczby tych członków społeczności, którzy mają pretensyą do rozumu i serca. Wystawcie sobie nadto, że z łaski osób, którycheście nigdy nie znali przyśliście na świat, jak się zwykle przychodzi. Ochrzczono was, a wyście w swéj kolei wyrosli. Zwolna, Bogu tylko wiadomo, dlaczego zrodziło się w nas pragnienie *obejrzenia się*.

Do owéj chwili stanowiliście razem z podobnymi wam istotami, na całej przestrzeni świata, jedną ogólną klasę istot szczęśliwych, które Sam Odkupiciel przedstawił za modłę człowieczeństwa. Teraz więc wyrosłszy i obejrzawszy się naokoło, znajdziecie się w jednéj z następujących rozlicznych pozycyji.

Obejrzawszy się, widzisz się w mundurze z czerwonym kołnierzem, guziki zapięte, wszystko w porządku, jak należy. Jużes to wprzód słyszał, żeś wyrostkiem, teraz się sam o tém przekonywasz.

I zapytasz, coś ty za jeden?

Dowiesz się zaraz, żeś jest uczniem gimnazyum, zagorzałym rozkrzewicielem oświaty, studentem uniwersytetu, kandydatem, magistrem a nawet dyrektorem szkoły, gdzieś się sam uczył.

To wesołe. Otóż pierwsza pozycya...

Obejrzawszy się, widzisz się w mundurze z zielonym kołnierzem, z żółtą petlicą. Pytasz, co to znaczy? odpowiadają ci, że jesteś uczniem szkoły prawa, będziesz zapewno stróżem prawdy i prawa, referentem, przewodniczącym w wyższych magistraturach sądowych.

Wszystko to cieszące i schlebiające. Otóż druga pozycja.

Obejrzawszy się, zatrzymasz wzrok na białej lub zielonej wypustce munduru albo kołnierza. Więc znowu się pytasz. Odpowiadają ci głośno, żeś przeznaczony dla obrony ziemi ojczystej, jesteś kadetem, przyszłym oficerem, a możesz zostać generałem, admirałem, rycerzem. I tyś w zachwyceniu!

Obejrzawszy się, widzisz się w spódniczce; zaczesanie, fartuszek, talia. . . wszystko jak ulał. I dawniej słyszałaś żeś ty dziewczynką, teraz widzisz to jak na dłoni.

Cieszysz się, żeś nie chłopcem. Otóż i czwarta, lecz nie ostatnia jeszcze pozycja.

Dowiedziawszy się o tém wszystkiém, pytasz, co masz teraz robić? Odpowiadają ci: ucz się, słuchaj i słuchaj, chodź do klasy, prowadź się przyzwoicie i odpowiadaj trafnie na egzaminach, bez tego na nic się nie przydasz.

Więc się uczysz, uczęszczasz do klasy, prowadzisz się jako należy i odpowiadasz przytomnie na egzaminach, mijają lata, wyrosłeś bujnie z siebie, zaczynasz w siebie wrastać.

Poznajesz nakoniec, żeś już rzeczywiście studentem, który skończył uniwersyteckie kursa, żeś prawnikiem, biurokratą, oficerem, dziewicą, niewiastą.

Teraz się już nie pytasz, kim jesteś, i co masz robić? Sam to już pojmujesz, i sam wiedzieć winienesz, co teraz masz robić?

Prowadzono cię do kościoła, tłumaczono Objawienie. Patentowani inspektorzy, podinspektorzy, guwernerzy, guwernantki a nawet rodzice sami czuwali nad postępowaniem twojem. Wykładano ci takie i w takim duchu i zakresie nauki, jakie są nieodzowne dla oświeconego obywatela. Księgi niemoralne, zatrzymywane przez cenzurę nigdy rąk twych nie dochodziły. Otwarli ci twój zawód rodzice, opiekunowie, wysocy protektorzy i rząd dobroczynny. Zdaje się, iż po takim opracowaniu zostało ci tylko to co twoi opiekunowie pragną, abyś czynił. Czyli, żebyś jako struna wydawał dźwięk pewny. Tak dźwięcząc dla ogólnej harmonii, zgodzisz się i szarmonizujesz wielkie to powołanie. Czegóżby więc teraz brakowało dla twego szczęścia i dobra społeczności? Nie tak rzeczy się mają: Wstąpiłeś już w tę życia epokę, w której rozum i czucie zaczynają wstrząsać tobą; pierwszy zadają ci takie pytanie, na które nie umiesz odpowiedzieć, drugie podniecając bezustannie jako *tobie* instynkt i zmysłowość.

Zaczynasz więc zwolna wnikać w samego siebie i rozbierać, czego cię uczyli, i co się wkoło ciebie dzieje?

Przypominasz sobie, jak cię uczono, że kiedyś istniał jakiś świat inny, w którym ludzie myśleli i działali nie tak jak należało. Żyli tu oni tylko aby żyć. Pili, jedli, chodzili do łaźni, niewieściami, kłócili się, za bary wodzili.

Uczono cię, iż między nimi byli i bohaterowie, znakomici obywatele, i wzory cnót, i opiekunowie nauk i sztuk; lecz większa ich część brodziła w ciemności, nie znając nic lepszego nad życie

doczesne. Piekło ich i pola elizejskie były gdzieś na ziemi lecz pod ziemią, i to nie dla dusz ale dla cieni.

Uczono cię, iż słowo wcielone położyło koniec niepojętej krotchwilii rozumu i serca.

Świat otrzymał Objawienie.

Uczono cię, że Opatrzność odsłoniwszy tajemniczą zasłonę, ukazała daleki horyzont życia doczesnego, i wyrzekła: „tam dąż.” Dowiedziałeś się w szkole, i powinienes był to poznać, jaka przepaść oddziela cię od gruzów owego zapadłego świata, który tylko w samym sobie szukał zapory przeciw namiętnościom, sam bez przyszłości po za swemi kończynami.

Błogosławiąc zbawiennęj nauce Objawienia, oglądasz się w około, i cóż? Oto widzisz, iż otaczający cię ciągną losy na owe brudne bachanalie poganizmu, które Objawienie ogłosiło za fatalną zaporę w osiągnięciu prawdziwego szczęścia.

Wystąpiwszy na scenę życia widzisz, iż wszyscy ztąd uciekają do Kalifornii.

Widząc to jak na dłoni, mimowoli przychodzi ci na myśl, żeś tu mistyfikowany. Ma się rozumieć, iż nie chcesz zostać długo w stanie mistyfikacyi. Więc zaczynasz jeszcze głębiej wnikać w to, co cię otacza, rozbierać, i nakoniec jasno spostrzegasz przed sobą jedną wielką masę, ciągniętą ślepo przez jakąś niewidzialną siłę i prócz niej widzisz mniejszość innych, działającą nie bez samopoznania.

Zaczynasz więc zapoznawać się z celami i dziełami owych grup działających.

Z początku cię to zajmuje, lecz wkrótce przekonywasz się, iż cię czeka smutna alternatywa:

Albo stłumić w sobie głos nauki Chrystusa;

Albo złączyć się z jedną z grup owych.

Lecz ty nie jesteś szermierzem ani świętokradztwa, ani zaparcia się samego siebie. Zaczynasz się chwiać, żalić, szemrać. A chwila ucieka, trzeba działać!

Rzucasz się więc w objęcia pierwszej lepszej massy, i stajesz się zapalonym jój zwolennikiem. Niezadowolony przerzucasz się do drugiej i trzeciej. Nareszcie nadchodzi najkrytyczniejsza chwila twójgo życia.

Trzeba ci koniecznie wypłynąć na pełne morze, i dowiedzieć się koniecznie, czém jesteś? Czy się złączyć ostatecznie z jedną massą, i wszcząć bój ze wszystkimi innymi? Decydujesz się na pierwsze.

Żegnaj, nie mam więcej z tobą do czynienia.

Decydujesz się na drugie, lecz czyś gotów, gdzież broń i siła ku temu? Po chwili namysłu, przekonywasz się jasno, iż dla wytrzymania owego boju, należy ci *wychować siebie samego* na nowo. Zdecydowawszy się już na to, rzucasz okiem na przyszłe swe życie, i widzisz w sobie że, albo wewnętrzny (moralny) człowiek rozwinąwszy się za wcześniej, przemógł bez granic zewnętrzno, nie chciał

na chwilę w nim odpocząć, rwąc się ciągle naprzód, despotyzował; albo *człowiek zewnętrzny* (fizyczny) rozpuściwszy cugle, bujał samowolnie, jak wiatr, nie poddając się wewnętrznemu.

Nauczyciele twoi byli albo za nadto krótkowidzący, albo za nadto zajęci: nie widzieli, co się w tobie działo.

I tak minęła młodość.

Wewnętrzny lub zewnętrzny twój człowiek przekonawszy się nakoniec przez doświadczenie, iż działa przeciwko samemu sobie, spadł z sił i zwolna się ustatkował.

Przyuczysz się go trochę wnikać w samego siebie, widzisz że ci zostało *jedno z dwójga*:

Albo zrobić wieczny rozbrat z marzeniem, nie kusić się wędzej wnikać w siebie, zakuć się w żelazny pancerz formy, odziać życie we frak mundurowy, w ukrochmaloną spódnicę i w księdze twego bytu rozbierać nie myśl, ale martwą literę, lub też brodząc od rana do nocy po tajnikach duszy, śledząc wszystkie chwile jej moralnej swobody, przymusić ją do rozwiązania kwestyi życia. i wystąpić do walki z samym sobą, i z tém, co cię otacza.

I oto strawiwszy pół życia, doświadczywszy na sobie wpływu rozlicznych względów, przedsięwziąwszy choćby z największą ofiarą, wychować siebie na nowo, rozebrawszy przeszłość, zatrzymałeś się na rozdrożu twego zawodu. Próżniactwo i strach wałą cię na ziemię. Rozkosz pod cieniem szczęścia światowego i spokojnej powierzchowności wabi cię na bezdroże. Tysiące zewnętrznych okoliczności tak łudzaco cię okala, że całe twoje przedsięwzięcie rozwiązania kwestyi życia, które się dawniej tak wspaniale rozwiło czarodziejską nitką, zaczyna się chwiać i błąkać.

Myślałeś dawniej, że już masz przekonanie.

Przekonywaś się, że *przekonania* nie każdemu się dają.

Nie, to dar nieba, wymagający usilnego opracowania. Wprzód nimesz zapragnął mieć *przekonania*, należało się przekonać, czy je mieć możesz.

Ten tylko mieć je może, *kto od lat niemowlęcych nauczył się przenikająco patrzeć w siebie, kto z dzieciństwa przywykł kochać z całego serca prawdę, dać za nią gardło i być nieprzymuszenie otwartym jak z nauczycielami tak i ze zwierchnikami.* Bez tych przymiotów, nigdy nie osiągniesz żadnych przekonań.

Przymioty zaś te nabywają się wiarą, natchnieniem, moralną swobodą myśli, zdolnością marzenia, ćwiczeniem w poznawaniu samego siebie.

Doszedłeś teraz do najpierwszych, najgłówniejszych podstaw prawdziwie ludzkiego wychowania, bez których można wprawdzie tworzyć ukształconych artystów we wszech gałęziach naszych wiadomości, ale nigdy rzeczywistych ludzi.

Tym sposobem widzisz, iż ci przychodzi z ogromną pracą nabyć tego, co od pierwszego wstąpienia twego w szranki życia powinno być twoją niezaprzeczoną własnością.

Czy nie lepiej wrócić się raczej napowrót, złać się z tą albo ową masą, być szczęśliwym po swojemu? Przeżyć pół życia, i nie znać siebie, to hańba.

Lepiej to jednak, niż umrzeć nie poznavszy siebie.

Więc znowu bierzesz się do dzieła. Zaczynasz rozwijać w sobie zdolność do przekonań, i wkrótce poznajesz, żeś przez to trącił zaledwo jedną strunę *samopoznania*, żeby zaś stanąć do boju, trzeba ci niemi władać, jak piórkien.

I oto stajesz się teraz widzem niezmiernego krateru duszy, nie umiesz jeszcze uchwycić skrzydlatej chwili, kiedy ustaje wyrzut wiecznie kotłującej się lawy, nie mając nawet odwagi ukradkiem zajrzeć w tę przepaść straszną.

Kusisz się bój rozpocząć, i przekonywasz się, że go nie umiesz prowadzić bez *nienawiści*, nie umiesz jeszcze kochać bezinteresownie tego, z czém bój wiedziesz; nie umiesz jeszcze *zmierzyć* dostatecznie tego, co chcesz pokonać.

Lecz aby pokochać to, z czém się w boju i dotrzymać placu, koniecznym ci jest jeszcze jeden przymiot.

Trzeba ci mieć zdolność *poświęcania się*.

Nie wyrobiwszy go w sobie, wiedziony tylko ciemnym i ślepym dotknięciem *wzniosłego*, zmieniasz się w szukającego *silnych wrażeń*.

Któż z zadumieniem nie widzi, jak rozgałęzioną jest w naszym wieku realizmu, owa choroba rycerskich czasów. Czyż się ztąd przekonasz, że żadna materyalna ani praktyczna dążność na świecie, nie jest w stanie zabić *natchnienia* w człowieku.

Szukanie silnych wrażeń jest jednym z jego nienormalnych objawów.

Smutek albo tęsknota, jakby za rodziną ogarnia cię. Czujesz próżnię, brak ci czegoś.

Trzeba ci *natchnienia* i *współczucia*.

Jasnym jest i majestatycznym natchnienie; ono to jak święte szata obleka ducha, wynosząc go do nieba. Ciemnym jest i cichym współczucie; ono jak pieśń żalosa przypomina ci daleką rodzinę.

Jakiż bój może się spełnić bez *natchnienia* i *współczucia*? Jakiż walki nie wytrzymasz, gdy cię natchnienie opromieni, a współczucie zagrzeje?

Jeżeli wyznawcy kupczącej dążności, w naszym realnym społeczeństwie, z nśmiechem napomykają nam, że teraz nie potrzebnym jest natchnienie; nie rozumieją oni jak gorzki los czeka ich w przyszłości, przesyconych i odartych z tego niebieskiego daru, który jest jedyną spojnią naszą z Istotą Najwyższą. Wszyscy, nawet ci, którzy go nie potrzebują, szukają natchnienia, ale tylko po swojemu jak Derwisze i Szamani.

Bez natchnienia nie ma *woli*, bez woli nie ma *boju*; a bez boju nicość i samowolność. Bez natchnienia, umysł nasz jest słabym i krótkowidzącym. Przez natchnienie wnikamy w głębię duszy na-

szęj, a raz tam zagłębiwszy się, wynosim to przeświadczenie, że istnieje w nas coś tradycyjalnie świętego. Nie mogąc się obejść bez współczucia, mimowolnie sobie myślisz: czyż można mieć nadzieję, aby inni ze mną współczuli, zadawali sobie pracę poznać mnie wtenczas, gdy mnie samego kosztowało tyle trudu, walki i wysień, aby wybłągać od własnej duszy możność zajrzenia w jej głąb i to tylko ukradkiem.

Nie lepiejże strawiwszy pół życia, przebywszy szkołę samopoznania, poznawszy tłum i tłumy, nauczywszy się poświęcać dla innych; czyż nie lepiej, mówię, stać się zimnym i machinalnym wykonawcą swojego powołania, współczującym z innymi tylko z obowiązku, i nie wołającym o żadną wzajemność?

Wspominasz mimowoli, jakim udziałem darzyła ludzkość lepszych swych przyjaciół, gdy ci z zupełnym uznaniem tego co jest wzniosłem biegli za natchnieniem i współczuciem!

Spółczeństwo to z dawien dawna szukało tylko silnych wrażeń; kiedyż i jakież dobro przyjęło ono od swych dobroczyńców, którego by nie oburzyło purpurową życia rosą?

Nie On to, nie Słowo wcielone miłości i pokoju, ale sprawca dzieł krwawych, Barabasz, zyskał współczucie.

Ale potomność, to ziemi nieśmiertelność; czyż nie powinniśmy jej współczucia cenić wysoko? Tak, wszystko co żyje na ziemi, objawia myśl o potomności, czyto w życiu duchowym, czy w materialnym przeczuciu, czy w wzniosłym ideale, i wiedząc lub nie wiedząc o tém, dąży do potomności. Oh! bodajby samopoznanie choć o tyle mogło się rozwinąć w massach, uciekających od marzenia! Gdyby je ożywił ten słaby odblask idei nieśmiertelności, już i wtedy ziemski żywot ludzkości napełniłby się dziełami, którymi by potomność z czcią czołgiem uderzyła. Wtedyby historya, dotąd martwa i bez życia, dosięgła swego celu: uzyć i wlewać życie w człowieczeństwo.

Nie mówcie tego, iż nie każdy działać może dla potomności. Owszem, każdy w swoim kółku. Tylko próżność i krótkowidzenie szukają udziału w terażniejszości.

A zatem doszłście już do tego przeświadczenia, że żyjąc tu na ziemi, związani jesteście własnym udziałem z ową ojczyzną, i jego szukać winniście; lecz szukając go, powinniście żyć dla potomności, nie dla terażniejszej chwili.

I tak: jeżeli się już raz zrodziła w tobie konieczność współczucia innych, gdzież go szukać jeżeli nie w potomności całego człowieczeństwa i własnym waszém pokoleniu? I oto napotykasz w walce twój, jeszcze jedną kwestyę życia, którą rozwiązać musisz. Ale przedewszystkiem zatrzymujesz się, i mimowoli jeszcze raz oglądasz się poza siebie. Spozrzegasz, że dawno już wytarł się mundur i suknia, te same, któreś widział przy piérwszém na świat spojrzeniu. Czyż się ziściły owe przepowiednie, któreś się kiedyś tak zachwycał, patrząc na mundur lub gorset, i dotykając się tego, co się pod nimi tak spokojnie a tak słodko burzyło... Pa-

miętasz jak upięty w mundur (lub upięta w gorsecie) w całej formie wystąpiłeś na scenę świata, jakeś się cieszył, patrząc na świat Boży! Żaden ból ani cierń nie wyciskał wtedy z oczu twych łez nędzy, któremi byś musiał skrapiać chleb twój powszedni, żadna myśl troski i burzliwości codziennego życia nie straszyla złotych snów dziecińczych; wydierałeś się, by się rzucić w wir i godować w hulaszczém mass kole.

W tém odurzeniu twego zapędu nawet ci do głowy nie przyszło pomyśleć, że jeszcze wcale nie masz wychowania! (edukacji).

Bo i jakże to być mogło, gdy różnobarwny kołnierz, gorset i suknia, które waszą kibić tak strojnie ubierały, obce języki, w których tak biegle czytaliście i rozprawiali; klawicymbały, na którycheście tak biegle grali,—przekonywały was jasno, żeście już skończyli wasze wychowanie, jak lepiej niepodobna!

W tém przeświadczeniu przeszło szczęśliwych lat kilka; rozum twój i czucie, które dzięki losowi, jeszcze nie zdołały zupełnie ogłuchnąć i oniemić od szumu i wrzawy, zaczynają ci szeptać do ucha coś w rodzaju rad i nauk.

Rzuciłeś badawczym wzrokiem na otaczające cię massy, z którymi dotąd tak ślepo leciałeś.

Przed twemi oczyma otwarła się nago walpurgijska noc ziemskiego istnienia. Błądzącemu między grupami oczarowanemi, trudno przyszło wybrnąć na świat z bachusowych objęć czarodziejstwa.

Doświadczając samego siebie, padając, zatrzymałeś się wreszcie, aby zebrać siły i spytać samego siebie: gdzie jesteś, dokąd dążysz, czego chcesz?

I teraz dopiero zaczęło się dla ciebie to, co ci dawno już zacząć trzeba było; ale co mówię? nie!—nie tobie, ale tym, którzy cię puścili w kipiący wir swawolit!

Żaląc się na przeszłość, ty w walce z sobą zaczynasz na nowo swe wychowanie.

Mozoląc się i krzątając w głębi twój duszy, doszedłeś do przekonań, nauczyłeś się poświęcać; i bój ten już cię nie zastrasza.

Z pracą nakoniec doszedłeś do pewnego stopnia samopoznania, i *oto natchnienie padło na ciebie!*

I przeszła połowiczna życia; w chwili natchnienia, kiedy ci dano było głębiej i jaśniej zajrzeć w twoją duszę, otworzył ci się nowy tajemniczy zdroj, którego wody mają cię orzeźwiać w zapasach owój walki. Przeniosłeś w byt ziemski przeczucie dalekiej wieczności. Tęsknota za ową odległą rodziną, *nauczyła cię szukać współczucia u innych.*

Przeświadczyłeś się, że szukając ziemskiej doli, pragniesz objawić myśl o nieśmiertelności w rodzinie i w społeczeństwie. Przychodzi ci rozwiązać pytanie: jak ci urządzić twój byt familijny, i jak znaleźć współczucie u swoich?

Lecz cóż, jeżeli się nie trafi na tę, w której chcesz znaleźć współczucie dla twych przekonań, tak drogo kupionych; na tę, w której szukasz współpracownicy walki o ideał?

Przeszłość cię ostrzega, żeś nie powinien dozwolić ani przypadkowi, ani samowolności, ani schlebiającej zmysłowości wydawać sądu; odgłos jego odbije się w przeciągu ćwierci wieku, w pokoleniu, które może nogami deptać będzie prochy twoje dawno zapomniane.

Cóż dopiero, jeżeli cicha i spokojna w kole rodzinném żona twoja, patrząc będzie z uśmiechem bez myśli na twoją losem przekazaną walkę; albo jak Marta rzucając wszelkie zatrudnienia domowe, przejętą będzie jedną tylko myślą, aby uwygodnić i ulepszyć wasz ziemski byt materyalny? Albo jeżeli ją przeznaczenie użyje, jako Xantypę dla wypróbowania siły i hartu twój woli; a co największa, jeżeli burząc twe przekonania ceną pożycia, twego przekształcenia się, mozołów i walki nabyte, nie urzeczywistni ona nawet głównej myśli w wychowaniu twych dzieci?

A czy wiesz, co znaczy kwestya życia dla kobiety, która szczęśliwie zdołała objaśnić sobie, na czém zależy jej powołanie, która minawszy tuzinkowe mass dążności, rozumie i jasno dostrzega, że cel jej życia leży w przyszłości. Mężczyzna, zawiedziony we współczuciu rodzinnego gniazda, choćby ciężkim i bolesnym był jego zawód, może się jeszcze pocieszyć tém, że jego idea, czyn, urzeczywistnią się w potomności. Ale cóż z kobietą, w której potrzeba kochania, dzielenia się, poświęcania, rozwinięta stokroć silniej, a której brak jeszcze tyle doświadczenia, aby zmniejszyć przeniesienie zwodniczość nadziei. Odpowiedz, co się z nią stanie w zawodzie życia, gdy jej iść przyjdzie ręka w rękę z tym, w którym się tak boleśnie rozczarowała, który zdeptałszy jej rozkoszne przekonania, śmieje się z ich świątyni, szydzi z jej natchnień i ciągnie z prostych ścieżek na bezdroża?

A gdzie jest sposób; aby uniknąć tych smutnych następstw zabłąkania? gdzie sposób zasyceńia z zupełną nadzieją krzyczącej konieczności współczucia?

I co może być rękojmią postępu? Ani wiek kobiet, ani nasze wychowanie, jak się pokazuje, ani doświadczenia, nie są wiarogodnymi poręczycielami.

Młodość ciągnie je do próżności, wychowanie czyni lalką, doświadczenie wyradza skrytość. Szczęśliwa jeszcze ta młodość, w której próżność nie zniszczyła z korzeniem przedsiębiorczości (duszy), jeżeli świat ze swymi drobiazgowymi formami nie zdołał okuć jej w więzy i uczynić niedostępną dla pojęcia wszystkiego, co jest wielkiem i świętém. Szczęśliwa jeszcze ta młodość, jeżeli tłumy młodych i starych pochlebców, hołdujących błahym względem, wzięwszy w ręce ową działalność duszy, nie uspiły jej dla wyższych wrażeń, nie pozbawiły mowy, pojęcia i wykształcenia siebie. O! niech kobieta, otoczona nicością tłumu, upadnie na kolana i dziękuje Opatrzności, jeżeli położywszy rękę na młode serce, uczuje, że ono jeszcze bije dla świętego natchnienia, jeszcze jest zdolnem mieć przekonania i żyć dla wyższego celu!

Nie ulega zaprzeczeniu, że kobieta występując na świat, mniej jest podległą smutnym następstwom rozbratu kardynalnych zasad wychowania z dążnością społeczeństwa; rzadziej ona zniewoloną bywa mozołem zapracowywać na chleb powszedni i żyć niezależnie od mężczyzny, mniej nad nią ciąży handlarska dążność społeczeństwa; w kółku rodzinném oddano jej do pielegnowania tę życia dobę, w której się jeszcze nie marzy o złocie.

Ale za to wychowanie robi z niej lalkę; wychowanie strojąc ją, wystawia na dziwowisko gapiom, otacza ją kulisami, i zniewala działać podług sprężyn, które jej nasuwa. Rdza pożera owe sprężyny, a przez szczeliny wytartych i poszarpanych zasłon, zaczyna ona spostrzegać to, co tak troskliwie przed nią chowano. Czyż dziwno, że wtedy chce spróbować, jak się to samęj chodzi na świecie? Otóż i emancypacya, więc upadek pierwszym tu krokiem. Oby wiele rzeczy zostało dla niej tajemnicą; chlubić się ona tém winna, że wielu rzeczy nie zna, nie każdy z nas lekarzem; nie każdy bez konieczności powinien patrzeć w rany społeczeństwa; nie każdego jest powinnością brodzić po brudnych kałużach, próbować i węchem doświadczać tego, co tak woń odraża. Wczesne jednak rozwinięcie i myślenia i woli w kobiecie, jest tyle koniecznym, co w mężczyźnie. Aby osładzać współczuciem życie człowieka, aby mu być towarzyszką w walce ze światem, i kobiecie konieczną jest sztuka pojmowania; musi mieć wolę samodzielną, aby się poświęcać, myśl, aby wybór robić, i mieć jasne i widne pojęcie celu wychowania dzieci!

Mają słuszną ludzie głoszący emancypacyą, jeżeli przez nią rozumieją tylko wychowanie kobiet, lecz jeżeli przez to pojmują wyzwolenie z praw kobiety, sami nie wiedzą, czego chcieć powinni. I tak już kobieta jest wyzwoloną, a jeszcze być może nią bardziej od mężczyzny, lubo jej prawa nasze nie pozwalają być ani żołnierzem, ani urzędnikiem, ani ministrem. Ale czyż podobna mężczyźnie stać się karmicielką, matką wychowującą dziecko do 8 roku życia? czyż on może się stać spójnią społeczności, kwiatem jej i ozdobą? Tylko krótkowidząca chętność ludzka, wznosząc ołtarze bohaterom, patrzy na matkę, karmicielkę i piastunkę, jak na podrzędną istotę, tylko kupczący materyalizm, tylko zniewieściała czułośćka widzi w kobiecie istotę niższą od siebie i sobie podaną.

Wszystko, co jest wzniosłem i pięknem na świecie: sztuka, natchnienie, nauka nie powinna zanadto bratać się z życiem codziennym, bo straci swą pierwiastkową czystość, wyrodzi się i pyłem zajdzie. A więc niechaj kobiety pojną swe wysokie przeznaczenie w winnicy ludzkiego żywota, niech zrozumieją, że one to strzegąc kolebki człowieka, zakładając zabawy dziecinnego wieku, ucząc ustawa jego szczebiotać i pierwsze słowo i pierwszą modlitwę, stają się głównymi wznosicielkami ludzkiego towarzystwa. Kładą one kamień węgielny; chrześcijaństwo wykazał kobiecie jej przeznaczenie. On to

stawił ludzkości za wzór niemowlę od piersi odjęte. A Marta i Marya stały się uczestnicami słów i biesiad Zbawiciela.

Nie stanowisko kobiety w społeczeństwie, ale jej wychowanie, w którym się zamyka wychowanie całej ludzkości, potrzebuje zmiany. Niech tylko myśl wychowania samej siebie dla takiego celu, aby żyć dla nieuniknionej walki ze światem i poświęcać się, niech mówię ta myśl przeniknie do głębi moralną istotność kobiety, niechaj natchnienie uzbroi jej wolę, a pozna, gdzie powinna szukać swęj emancypacyi!

Ale jeżeli ani wiek, ani wychowanie kobiety nie mogą być rękomią ku rozwiązaniu tego pytania, tém mniéj poledz może na doświadczeniu życia ten, kto szuka udziału wyidealizowanego. Jeżeli doświadczenie ziębi i wysusza męczyznę, który żył marzeniami, to przesycony, wyziębły, oszukany w życiu, często kryje się z tém, co utracił bezpowrotnie. Kobieta zaś uzbraja się skrytością. Wstyd jej jakoś obnażyć przed światem te gorzkie owoce doświadczenia, otula je gruzami zburzonej świątyni.

Zmysł skrytości i nałóg podobania się pomagają jej utrzymać pięknie swą rolę, pod maską na scenie żywota. Sztuczny zapach, subtelna sztuka oddawać wzrokiem i słowem ciepło prawdy, a nawet nieskalaność duszy, wszystko to, wszystko daje jej w ręce próżność dla zwycięstwa. Nic ją to nie obchodzi, jak drogo przyjdzie okupić to zwycięstwo, gdy dopiąwszy celu, stanie się tém, czém była.....

Szukacie, a życie tymczasem idzie ku zachodowi. Kwestya życia jeszcze odległa, nierozwiązana jeszcze dla was. Chcielibyście zacząć je nanowo; lecz co się już raz skończyło, to już daléj iść nie może!



TYMON Z ATEN.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

W. Szekspira.

Zacniemy od najkrótszej treści: Tymon jeden z najznakomitszych Ateńczyków, tak ze względu zasług położonych dla dobra ojczyzny na wojnie, jak i z olbrzymiego majątku, oddanego na usługi wszystkich bez wyjątku, traci skutkiem nieumiarkowanej, i niczém nie chcącój się powstrzymać rozrzutności, całą fortunę. Udaje się przeto ufny w dobroć, szlachetność i przyjaźń, do swych przyjaciół, których miał tytu w dniach szczęścia, ale ci mają dla niego zamknięte drzwi i serca. Oburzony i wściekły, zaprasza ich na ucztę ostatnią, na której pryska im w twarz ciepłą wodą, przyniesioną w przykrytych naczyniach, a potem rzucając za nimi półmiskami, wyrzuca ich precz ze swego domu. Sam zaś pełen rozpacz, zwątpienia i rozczarowania, przeklinający ludzkość całą, obiera sobie las dziki za mieszkanie. Nadarmo go proszą Ateny, Alcybiades, fałszywi i prawdziwi przyjaciele, wierny sługa Flawiusz, ażeby ztamtąd powrócił i przyjął godność najwyższą. I tu jeszcze w puszczy, przekonywa się z coraz wzrastającą goryczą, o zepsuciu i przewrotności ludzi, którzy na wieść o odkrytych przez niego skarbach, przychodzą łąsić mu się do stóp, i nikczemnie pełzać. Tymon obsypuje złotem złoczyńców i nierządnicę, z tym atoli warunkiem, żeby przeklęte ludzkie plemię demoralizowali, niszczyli, wycieńczali, doprowadzali do najgłębszego upadku i zgnilizny.

Ideą zasadniczą tej głębokiej tragedyi, (w wielu scenach pokrewniej z Hamletem), jest okazanie, że miłość ludzi

pojęta jednostronnie, prowadzi ostatecznie do ogólnej ich nienawiści, bo nieumiejąc znaleźć różnicy, bierze zbiór wielu ludzi, za ludzkość całą. Nie można kochać wszystkich bezwarunkowo, pod karą pominięcia świętszych i bliższych węzłów jako: małżeńskich, rodzicielskich, ściślejszej przyjaźni, i obywatelskich nareszcie i miłości ojczyzny. Kto tak jak Tymon wszystkich kocha, ten nikogo nie kocha, a gdy ktoś w zamian za to hojne rozdawnictwo miłości, udarowany czcią bałwochwalczą chwilową, nagle zawiedziony zostaje, wtedy tak jak Tymon zbrzydzi sobie ludzkość całą, i stanie się nieuleczonym mizantropem.

Co do źródła inwencyjnego tej tragedyi, niewiadomo czy go Szekspir wynalazł w Northa tłumaczeniu angielskiem Plutarcha, czy też w dawniejszym jeszcze Paytnera: „Palace of Pleasure” gdzie również historia Tymona znajduje się spisana; to tylko wiadomo na pewno, że napisana została po r. 1605, czyli wtedy gdy już poeta miał 41 lat. Wiek to dojrzałości, i całej pełni doświadczenia.

Nazwisko Tymona weszło w starożytności w przysłowie, gdy chodziło o oznaczenie mizantropa. Prawdopodobnie uderzył Szekspira ten ustęp z Plutarcha, i poddał mu ideę:

„Tymon był obywatelem ateńskim, żyjącym w czasach wojny peloponezkiej, jak o tém sądzić można z komedyi Platona i Arystofanesa, gdzie jest wyśmiany jako złośliwy nieprzyjaciel rodu ludzkiego, brzydzący się wszelkiem obcowaniem z ludźmi, z wyjątkiem młodego i dzielnego Alcybiadesa, którego pieścił, całował i gościł. Dziwił się temu Apemantus i pytał go, dlaczego tego jednego tylko młodzieńca kocha a innych nienawidzi? „Kocham go dlatego — odrzekł tenże — bo wiem że kiedyś będzie on przyczyną wielkich nieszczęść dla Aten.” Tymon znosił też czasem w swoim towarzystwie Apemanta, może dlatego że był mu podobnym w obyczajach, lub że bardzo naśladował jego sposób życia. Pewnego też dnia, gdy obchodzono w Atenach „święto umarłych” podczas którego sprawiają ofiary za tychże, ugaszczali się obadwaj sami, a Apemantus rzekł: „To mi piękna uczta Tymonie!” Tymon odpowiedział: „Tak, gdyby ciebie przy niej nie było”.

Opowiadają, że jednego razu gdy się lud zgromadził na placu dla narady, Tymon wszedł na trybunę, jak to zwykli byli czynić mówcy odzywający się do ludu. Uciszyło się, bo każdy ciekaw był co powie; dziwną i rzadką to albowiem było rzeczą, widzieć go na mównicy. Nareszcie zaczął mówić. „Ateńczycy, mam w moim domu małe miejsce, gdzie rośnie drzewo figowe, na którym wielu się już powiesiło i udusiło, a ponieważ chcę tam budować, więc ostrzegam was że drzewo ściąć każe. Kto się powiesić chce, niech pospiesz!”

Pogrzebanym został nad brzegiem morza.

Rozwinięcie charakterów Tymona i Apemanta, nadanie tragicznego kolorytu całości, to już genialne właściwości Szekspira. Sztuka też ta, najprostszą jest ze wszystkich w swym układzie, jedność planu zachowana bez zbaczania na inne, odrębne przedmioty. Cynizm i sarkazm, któremi przepełniona tragedia dały powód komentarzom, uważania jej raczej za satyrę aniżeli za dramat. Przyznać trzeba, że wybór charakterów, nazwać się istotnie może prawdziwą krytyką ludzkiego serca, w człowieku wszelakiego stanu i profesyi, począwszy od senatorów aż do poety i malarza, zbezczeszczających szczytne swe powołanie. Na zagodzenie bolesnego wrażenia, wywartego nienawiścią bohatera, stworzył poeta takiego Flawiusza, przedstawiciela zacności i szlachetności natury ludzkiej. Jestto ustępstwo ze strony poety, ale spodziewać się go należało po pocie ludzkości.

Tymona z Aten, granego na scenie londyńskiej, przeobraził Cumberland, jeden ze znanych autorów dramatycznych angielskich. W roku 1723 Delisle wziął przedmiot z Tymona, i przygotował go dla teatru włoskiego z prologiem, śpiewami, tańcami, figurami allegorycznymi i arlekinem. Ze scen niemieckich, znany był tylko podobno w Burgteatrze wiedeńskim i w Berlinie. W polskim języku nie było dotąd przekładu tej tragedyi; podjęliśmy się go zachowując, ile możności dykcją dramatyczną, a zamieniając wiersz biały na prozę, odpowiedniejszą, może produkcyi scenicznej.

E. L.

OSOBY.

TYMON obywatel ateński.

LUCYUSZ

LUCULLUS

SEMPRONIUSZ

WENTIDYUSZ

} jego przyjaciele.

APEMANTUS filozof.

ALCYBIADES wódz.

FLAMINIUSZ

LUCILIUSZ

SERWILIUSZ

} służy Tymona.

CAPHIS

FILOTUS

TYTUS

LUCYUSZ

HORTENSYUSZ

} służy wierzycieli Tymona.

Dwóch służących Warrusa.

Służący Izydora.

Kupido i inne maski. Dwóch cudzoziemców.

Poeta, malarz, kupiec i jubiler, stary Ateńczyk, paż i błazen.

Frynia i Tymandra, kochanki Alcybiadesa.

Senatorowie, wodzowie, wojownicy, złodzieje, orszak.

(Rzecz dzieje się w Atenach i w pobliskim lesie).

 AKT I.

SCENA I.

Ateny.—Przedcień w Tymona domu.

POETA I MALARZ.

Poeta.

• Dzień dobry!

Malarz.

Ciesz się mnie, że was widzę w dobrém zdrowiu.

Poeta.

Nie widziałem was dawno. Cóż tam świat?

Malarz.

Zużywa się starzejąc.

Poeta.

To wiadome, lecz czy wydarzyło się co szczególnego, coś nadzwyczajnego, czego jeszcze nie było w historii? O uroku bogactwa! Twój to czar wywołuje wszystkie te duchy. Znam tego kupca.

Malarz.

A ja znam obydwóch: ten drugi jest złotnikiem.

Kupiec.

To godny pan!

Złotnik.

Nie ulega wątpliwości.

Kupiec.

Mąż nieporównany, rzec można niezmordowany w swój dobroci, wzór do naśladowania.

Złotnik.

Mam tutaj brylant.

Kupiec.

Proszę pokazać, to pewnie dla wielmożnego Tymona?

Złotnik.

Jeżeli cenę zapłaci, lecz co się tyczy tego...

Poeta.

(recytując) „Gdy się dla zysku pochwaliło niegodnego, płami to świetność pięknych wierszy, których kunszt poświęcony szlache-tnym”.

Kupiec.

(oglądając brylant) Ślicznie szlifowany!

Złotnik.

I kosztowny, jakiej wody!

Malarz.

Jesteś pan zadumany, zapewne nad dziełem które ofiaru-jesz wielkiemu Tymonowi?

Poeta.

Poezya nasza płynie jak żywica z życiodajnego drzewa, ogień skrzy się w kamieniu gdy się go wykrzesze, tylko nasz szlachetny płomień zapala się sam przez się, i podobien strumieniowi, obala każdą przeszkodę. A co wy macie?

Malarz.

Obraz, panie. I kiedyż ukaże się wasza książka?

Poeta.

Zaraz gdy się sam przedstawię. Przypatrzmy się obrazowi.

Malarz.

Piękne dzieło!

Poeta.

(oglądając obraz) W istocie doskonale!

Malarz.

Tak sobie, ujdzie.

Poeta.

Cudowne. Ileż wdzięku w tój postaci! ile rozumu błyszczą w tych oczach, jak żywa wyobraźnia karminuje te usta! Można by objaśnić każdy ruch niemy.

Malarz.

Dość szczęśliwe naśladownictwo życia. Ten rys podoba się panu?

Poeta.

Powtarzam że jest to lekcyja dana naturze, to życie drgające pochwycone sztuką, które się przedziwsem wydaje od natury.

(przechodzi kilku senatorów przez scenę).

Malarz.

Jakże rozrywany jest wielki Tymon!

Poeta.

Przez senatorów ateńskich. Szczęśliwy śmiertelnik!

Malarz.

Więcej jeszcze przybywa.

Poeta.

Przypatrz się pan temu natłokowi, tym falom odwiedzających. Co się mnie tyczy, zdołałem zaledwie naszkicować męża, któremu świat cały nie szczędzi uścisków i pieśczot; swobodny

mój geniusz nie zatrzymuje się nad szczegółkami, lecz żegluję dalej po szerokiem morzu rytmów; złośćka, osobistość, nie zatrzyma ani jednej zgłoski mych wierszy, szybuję jak orzeł, zuchwały w mym locie, bez obłoków za sobą.

Malarz.

Chciałbym pana zrozumieć.

Poeta.

Wyłumaczę się. Uważaj pan, że wszystkie stany, wszystkie umysły (lekkie i poważne), przychodzą składać swe hołdy wielmożnemu Tymonowi. Olbrzymia jego fortuna, oraz charakter jego miły i wspianiały, podbijają mu wszystkie serca, gotowe kochać go silniej, i to począwszy od giętkiego pochlebcy którego twarz podobna zwierciadłu, aż do Apemanta, nienawidzącego samego siebie. On także zgina przed nim kolano, i odchodzi zadowolony, i uszczęśliwiony jedném spojrzeniem Tymona.

Malarz.

Widziałem ich rozmawiających.

Poeta.

Otóż przedstawiam jak Fortuna siedzi na tronie, na szczycie wzniesłego i wesołego pagórka. Powierzchnia jęj, pokrytą jest talentami rozmaitego rodzaju, wszelkimi ludźmi, pracującymi dla polepszenia swego bytu. W pośrodku tego tłumu, zwracającego oczy na królową, umieściłem osobę z twarzą Tymona. Jemu to bogini daje znak alabastrową swą ręką, i z jęj to łaski przemieniają się wszyscy jego rywale, w pochlebców i poddanych mu niewolników.

Malarz.

Pysznie obmyślane: tron, pagórek, fortuna i ten jeden z pomiędzy wszystkich, wychylający swą głowę ponad spadzistą górę, spinający się ku swemu szczęściu. W ogóle godna scena malarskiego pęzla.

Poeta.

Być może, lecz pozwól mi pan dokończyć. Ci ludzie, niedawno jemu równi (niektórzy między nimi lepsi od niego) idą teraz trop w trop za nim, zapełniają portyki gromadnie, szepczą mu w ucho ubóstwiający pochlebstwa, uwielbiają strzemiona jego rumaka, zdając się oddychać jedynie z jego woli.

Malarz.

No i cóż dalej?

Poeta.

Gdy nagle, fortuna kapryśna i chwiejna, zepchnie swego niedawnego ulubieńca, wszyscy ci niewolnicy, którzy czołgając się za nim na kolanach i rękach, usiłowali się na szczyt wydrapać, nie wstrzymają leżącego, i ani jeden nie ulży mu w upadku.

Malarz.

To rzecz zwykła, mógłbym panu wskazać tysiące podobnych obrazów, malujących szczęścia szybką zmianę, żywiej od słowa. Lecz dobrze pan uczynisz, dawszy poznać Wielmożnemu Tymonowi, że oczy maluczkich widziały go leżącego z góry.

(wchodzi Tymon z orszakiem, sługa Wentidiusza rozmawia z Tymonem).

Tymon.

Mówisz, że jest uwięziony?

Sługa (Wentidiusza).

Tak, zacny panie. Cały dług jego wynosi pięć talentów. Środki jego szczupłe, a wierzyciele nieubłagani. Prosi o list Waszjej Wielkości do tych co go uwięzili, inaczéj straci nadzieję.

Tymon.

Szlachetny Wentidiusz! Dobrze. Nie umiem ja pozbywać się przyjaciół, gdy mnie najbardziej potrzebują. Charakter jego zasługuje na względy, będzie miał ratunek, bo ja płacę i wracam mu wolność.

Sługa.

Wasza Wielkość zobowiązesz go na wieki.

Tymon.

Pozdrów go odemnie, pošlę mu okup, a gdy będzie wolny powiedz mu niech mnie odwiedzi. Niedosyć bowiem podnieść słabego, trzeba go jeszcze podtrzymać późniéj. Idź z Bogiem!

Sługa (Went.).

Wszelkiéj szczęśliwości Wielmożnemu panu! *(wychodzi).*

(wchodzi starzec ateński).

Starzec.

Wielki Tymonie, posłuchaj mnie!

Tymon.

Mów, dobry ojczcie.

Starzec.

Masz służącego, imieniem Luciliusz?

Tymon.

Tak, co chcesz od niego?

Starzec.

Szlachetny Tymonie, każ mu tu przyjść.

Tymon.

Czy jest tutaj Lucyliusz?

(wchodzi Lucyliusz).

Lucyliusz.

Jestem na twoje rozkazy panie.

Starzec.

Ten człek tu, szlachetny Tymonie, twój niewolnik, przychodzi do mnie często wieczór. Od młodości poświęciłem się interesom, a stan mój zasługuje na godniejszego zastępcę, aniżeli jest ten który obnosi półmiski.

Tymon.

Więc?

Starzec.

Mam tylko jedną córkę; żadnych krewnych, i jęj zostawię majątek cały. Piękną jest dziewczyna, wieku stosownego na narzeczoną, a jęj wychowanie kosztowało mnie drogo, bom nie szczędził na nauczycieli. On, twój sługa, prześladowuje ją swą miłością, a więc szlachetny panie zabroń mu bywać w mym domu, bo na moje słowa nie zważał.

Tymon.

Ten młodzieniec uczciwym jest.

Starzec.

Niech więc będzie nim względem mnie... niechaj mu jego poczciwość wystarczy za nagrodę, bez wydzierania mi córki.

Tymon.

Ona go kocha?

Starzec.

Młodą jest i łatwowierną. Nasze zastygłe namiętności uczą nas, jak dalece młodość lekkomyślną bywa.

Tymon.

Kochasz tę młodą dziewczynę?

Lucyliusz.

Tak wielmożny panie, a ona mi wzajemną.

Starzec.

• Nie dam pozwolenia na to małżeństwo... raczjéj wyszukam sobie dziedzica między żebrakami tego miasta, a ja wydziedzicjé, przysięgam na bogi.

Tymon.

A jakiz będzie jej posag, jeśli poślubi odpowiedniego sobie?

Starzec.

Teraz trzy talenta, pózniej wszystko.

Tymon.

Dobry młodzian słuzy mi dawno, postaram się zapewnić jego szczęście; należy to do obowiązków człowieka. Oddaj mu córkę, co mu zaliczysz stanowić będzie miarę mych darów, tak iż ja wyrównam.

Starzec.

Szlachetny panie, daj na to rękę, a moja córka będzie jego żoną.

Tymon.

Oto moja ręka, a obietnicę poręczam honorem.

Luciliusz.

Składam ci pokorne dzięki Wielmożny panie, a jakikolwiek zyskam majątek, jakiekolwiek szczęście, zawdzięczę je tobie.

(Luciliusz i starzec wychodzą)

Poeta.

Przyjmij panie moją pracę, i żyj długo!

Tymon.

Dziękuję, wkrótce dowiesz się więcej: nie oddalaj się. A ty przyjacielu?

Malarz.

Mały obrazek, racz nie pogardzić nim.

Tymon.

Obraz mi się podoba. Malowidło jest jakby żywym człowiekiem, bo odtąd gdy nieuczciwość frymarczy uczuciami, człowiek jest nim tylko powierzchownie, postacie zaś wyszły z pod pęzła są tém, czém się okazują... Podoba mi się twe dzieło, dam ci tego wprędce dowód; zaczekaj tu, dopóki cię nie poproszę.

Malarz.

Niechaj cię panie niebo wspiera!

Tymon.

Bądźcie zdrowi przyjaciele, podajcie mi ręce, razem dziś obiadujemy. Panie, twój brylant stracił na tém, że go za- nadto oszacowano.

Złotnik.

Jakto? czyżby mniej miał wartości?

Tymon.

Nie, tylko przesadzano w pochwałach, bo gdybym zapłacił to co wart, popadłbym w nędzę.

Złotnik.

Panie, szacunek jego taki jakby zapłacili sami sprzedający. Lecz wiadomo, że rzeczy jednakowej wartości zmieniają cenę w rękach właściciela, i to według wartości tegoż. Wierzaj mi drogi panie, gdy ty go nosić będziesz, stanie się piękniejszym.

Tymon.

Dobry żart.

Kupiec.

Nie, panie, to co wyrzekł, powtórzmy za nim wszyscy.

Tymon.

Któż to przychodzi? Chcecież być zelzeni?

(wchodzi Apemantus)

Złotnik.

Podzielimy się tém z Waszą Wielmożnością.

Kupiec.

On nie oszczędza nikogo.

Tymon.

Dzień dobry, rozkoszny Apemancie!

Apemantus.

Zachowaj twoje dzień dobry aż będę rozkoszny, a wtedy będziesz psem Tymona, a ci oszuści uczciwymi.

Tymon.

Dlaczegoż ich nazywasz oszustami? wszak ich nie znasz?

Apemantus.

Czyż nie są Ateńczykami?

Tymon.

Tak!

Apemantus.

A więc się nie cofam.

Złotnik.

Znasz mnie Apemancie?

Apemantus.

Wiész dobrze że cię znam, nazwałem cię przecież po imieniu.

Tymon.

Bardzoś pyszny Apemanciel

Apemantus.

Pyszny przedewszystkiem z tego, zem nie podobny do Tymona.

Tymon.

Gdzie idziesz?

Apemantus.

Łeb roztrzaskać uczciwemu Ateńczykowi.

Tymon.

Czyn ten opłacisz śmiercią.

Apemantus.

Tak, jeżeli *nie* robić na karę śmierci załuguje.

Tymon.

Jak ci się podoba ten portret Apemancie?

Apemantus.

Bardzo, bo jest niewinny,

Tymon.

Wszak ten co go zrobił, tego pracował?

Apemantus.

Ten co zrobił malarza, pracował jeszcze tężej, a przecież spletał nędzne tylko dzieło.

Malarz.

Jesteś psem.

Apemantus.

Twoja matka z tego samego co ja rodzaju, czemże więc jest, jeśli ja jestem psem?

Tymon.

Apemancie, chcesz ze mną obiadować?

Apemantus.

Nie, nie jadam wielkich panów.

Tymon.

Gdybyś ich jadł, obraziłbyś damy.

Apemantus.

O! te jedzą wielkich panów i dlatego grubieją.

Tymon.

Nieprzyzwoite objaśnienie.

Apemantus.

Jeżeli je objaśniasz, weź je za fatygę.

Tymon.

Jak ci się podoba ten brylant?

Apemantus.

Nie tyle co szczerosć, która przecie nikogo nie kosztuje szeląga.

Tymon.

Jak myślisz, wiele wart?

Apemantus.

Nie wart mojej myśli. Cóż tam poeto?

Poeta.

Cóż tam filozofie?

Apemantus.

Kłamiesz.

Poeta.

Nie jesteś nim?

Apemantus.

Tak.

Poeta.

To nie kłamie.

Apemantus.

Nie jesteś poeta?

Tak.

Poeta.

Apemantus.

To kłamiesz, popatrz tylko w twoje napisane dzieło, gdzieś zmyślił, że on jest godnym mężem.

Poeta.

To nie jest zmyślane, ale rzeczywiste.

Apemantus.

Tak, on jest godnym ciebie ażeby ci za robotę zapłacić, kto lubi pochlebstwa, godzien jest pochlebcy. Nieba, czemuż nie jestem wielkim panem!

Tymon.

Cóżbyś uczynił Apemancie?

Apemantus.

To co teraz czyni Apemantus, nienawidziłbym wielkiego pana z całego serca.

Tymon.

Jakto? nienawidziłbyś samego siebie?

Apemantus.

Tak.

Tymon.

Dlaczego?

Apemantus.

Zem miał taki nędzny dowcip: zostać panem. Wszak jesteś kupcem?

Kupiec.

Tak.

Apemantus.

Oby cię handel zniszczył, jeśli tego nie sprawią bogowie.

Kupiec.

Jeśli to handel sprawi, to tak jak bogowie.

Apemantus.

Handel jest twym bogiem, więc niech cię twój bóg zniszczy!
(*fanfary, wchodzi sługa.*)

Tymon.

Cóż to za odgłos trąb?

Sluga.

Alcybiades z 20 towarzyszami.

Tymon.

Wprowadź go tutaj. Musicie dziś zemną obiadować, nie odchodźcie aż wam podziękuję, po uczcie przypatrzę się obrazowi.

(Alcybiades z orszakim)

Witam cię przyjacielu!

(ściskają się)

Apemantus.

Bodaj wam podagra wykrzywiła wasze giętkie członki. Ani krzty miłości u tych słodziutkich łotrów, i w tój powodzi grzeczności! Ludzka rassa wyrodziła się w małpy i pawianów!

Alcybiades.

Widząc cię, zadawałniam zachwycony moją tęsknotę.

Tymon.

Pozdrawiam cię serdecznie, a zanim się rozstaniemy, złącz nas godzina radości i zabawy. Proszę wejść.

(wszyscy wychodzą prócz Apemanta).

(Wchodzi dwóch panów).

Pierwszy.

Która godzina Apemancie?

Apemantus.

Godzina, w której trzeba być uczciwym.

Pierwszy.

Ta godzina jest zawsze.

Apemantus.

Więc tembardziej przeklęty jesteś, że ją zawsze zanie dbujesz.

Drugi.

Czy idziesz na ucztę Tymona?

Apemantus.

Tak, by ujrzyć jak się łotry karmią, a błazny winem poją.

Drugi.

Bądź zdrow, bądź zdrow!

Apemantus.

Głupcem być trzeba, by mi to mówić dwa razy.

Drugi.

Dlaczego Apemancie?

Apemantus.

Mógłbyś jedno zostawić dla siebie, bo ci nie myślę oddać drugiego.

Pierwszy.

Idź się powiesić.

Apemantus.

Nie uczynię tego. Wnoś twe petycje do twego przyjaciela.

Drugi.

Precz kłótlivy psie, albo cię kopnę nogą.

Apemantus.

A ja jak pies ucieknę przed kopytem osła (*odchodzi*).

Pierwszy.

Ten człowiek, to czyste przeciwieństwo ludzkości. No i cóż, wejdziemy i my, uczestnicząc w wspaniałomyślności Tymona? Prawdziwie, że on lepszy od samój dobroci.

Drugi.

Rozprasza ją na wszystko, co go otacza. Plutus, bożek złota, jest tylko jego intendentem; najlżejszą przysługę płaci siedm razy drożej niż warta, najlichszy prezent odwodzi in-nym przechodzącym granice zwykłej wdzięczności.

Pierwszy.

Dusza w nim szlachetniejsza od każdej, jaką kiedykolwiek obdarzon był śmiertelnik!

Drugi.

Oby żył długo w pomyślności! Wejdziemy?

Pierwszy.

Idę z wami. (*wychodzą*).

SCENA II.

(Głośna muzyka—oboje. Flaminiusz i inni słudzy obsługują przy bankiecie. Wchodzą: Tymon, Alcybiades, Luciusz, Lucullus, Semproniusz i inni senatorowie ateńscy z Wentydyszem i orszakiem. W pewnej oddali, w tyle po za innymi, stoi Apemantus zachmurzony).

Wentydysz.

Wielce czcigodny Tymoniel podobało się bogom przypomnieć sobie starość mego ojca, i powołać go na spoczynek. Opuścił to życie bez żalu, zostawiając mi bogactwa. Twe serce szlachetne zasługuje na mą wdzięczność, przychodzę więc oddać ci pożyczkę której zawdzięczam wolność, wraz z podziękowaniem i wyrazem mego przywiązania.

Tymon.

Przenigdy Wentydysz, zacny mąż! Darowałem na zawsze. Kto odbiera, nie może powiedzieć że dał. Jeśli tak wielcy czynią, nie naśladujmy ich. W bogatych zawsze podobały się ich wady.

(*Wszyscy otoczyli z uszanowaniem Tymona.*)

Wentydysz.

Co za wzniosłe uczucia!

Tymon.

Komplementa wymyślono dla zakrycia przyjaźni, dla czczych pozdrowień i dobrodziejstw, zanim się jeszcze spełniły, lecz prawdziwa przyjaźń bez tego się obejdzie. Siadajcie panowie, miłsi jesteście w nieszczęściu, aniżeli bogactwa (*siadają*).

Lucyusz.

Zawsześmy tak samo zeznawali.

Apemantus.

Zeznawali? i jeszcze nie wisicie?

Tymon.

Ha!—Apemancie, dobrze żeś przyszedł.

Apemantus.

Nie dobrze żem przyszedł, chcę żebyś mnie wypędził.

Tymon.

Wstydz się, szorstki jesteś i pełen żartów nieprzystojnych. Zwykle mówią: „ira furor brevis est” lecz ty zawsze rozwście-

czony. Przystawcie mu osobny stolik, bo ani on nie szuka towarzystwa, ani towarzystwo jego.

Apemantus.

Zostanę więc na twą odpowiedzialność Tymonie. Przeszedłem, sprzedam cię dla obserwacyi.

Tymon.

Nie zważam na ciobie, jesteś Ateńczykiem i dlatego u mnie pożądanym. Nie chciałbym tu nic rozkazywać, lecz prosiłbym cię ażebyś podczas uczy milczał.

Apemantus.

Gardzę twą ucztą... zdławiłaby mnie, bo nie umiem pochlebiać. Bogowie! jakaż chmara pożera Tymona, a on jój nie widzi! Dręczy mnie, że tyłu, chleb swój macza w jednego człeka krwi, a co gorzej, że sam ich jeszcze zachęca. Dziwi mnie, jak jeden drugiemu ufa, powinni by się zapraszać bez noży. Zyskałby na tem obiad, a więcej jeszcze zyskałoby ich życie. Zdarza się to często, że ten, który właśnie siedzi obok swego gospodarza, z nim chleb łamie i pije za jego zdrowie z jednego kielicha, pierwszy bywa w morderstwie. Gdybym był wielkim panem, bałbym się pić, ażeby moi goście nie wysłędzili słabych stron mego gardła. Wielcy panowie nie powinni pić, nie mając pancerza na szyi.

Tymon (do jednego z biesiadników).

Z całego serca—i niech obejdzie kolej.

Pierwszy z panów.

Niech nam tutaj naleją, z téj strony.

Apemantus.

Z jego strony. To mi zuch. Umie skorzystać z chwili. Wszystkie te toasty Tymonie, przyprawiają o chorobę ludzi i twą fortunę. Przypatrz się, uczciwa woda która jeszcze nikogo nie zepchnęła w błoto, najodpowiedniejsza mým potrawom. Uczty huczają za wspaniale, ażeby można bogom złożyć dzięki.

Apemanta gratias (akt laski).

Wy bogowie, nie o złoto proszę was,
Za nikim nie błagam, tylko za mną.
Zezwólcie, iżbym nigdy tak głupi nie był
Ażeby zaufać ludzkim przysięgom i wierze.

Ani kobiecie gdy płacze,
Ani psu gdy chrapać się zdaje,
Ani klucznikowi w więzieniu,
Ani przyjaciołom w potrzebie
Amen. A więc

Bogaty grzeszy, a ty jedz korzenie.
I niechaj one służą twemu dobremu sercu Apemanciel!
(*Jé i pije*).

Tymon.

Wodzu Alcybiadesie, myśl Twoja ściga w téj chwili pole bitwy.

Alcybiades.

Myśl moja zawsze na tve usługi, panie.

Tymon.

Wolałbyś jednak śniadać z wrogami, niż obiadować z przyjaciółmi.

Alcybiades.

Gdy świeżo zakrwawieni, żadna uczta im nie wyrówna, i takiéj uczyty życzyłbym najlepszemu memu przyjacielowi.

Apemantus.

Kiedy tak, to chciałbym ażeby wszyscy ci pochlebcy byli twymi nieprzyjaciołmi, bo zabiwszy ich, zaprosiłbyś mnie potem.

Pierwszy z panów.

Gdy kiedykolwiek nadarzy się szczęsna pora wypróbowania serc naszych; gdy kiedy podasz nam sposobność, okazania cząsteczki naszej gotowości do poświęceń, spełnisz wówczas najgorętsze nasze życzenia!

Tymon.

O! nie wątpicie drodzy moi przyjaciele, iż bogowie sami postarali się o to, iżbym w przyszłości zapotrzebował waszój pomocy; inaczej nie bylibyście mymi przyjaciółmi. Dlaczegożbym wybrał was za takich z pomiędzy tysiąca, gdybyście nie stali sercu memu najbliżsi? Powiedziałem sobie o was sam więcej, niżbyście wy skromnie powiedzieć mogli. O bogowie!—zawołałem—nacóżby nam przydali się przyjaciele, gdybyśmy ich nigdy potrzebować nie mieli?! Wszakże w tym razie byliby oni najniepożyteczniejszemi stworzeniami i podobni dwom instrumentom melodyjnym pozamykanym w futerałach, zachowującym dźwięki dla siebie. Zaiste, nieraz pragnąłem ubóstwa, dla ściślejszego z wami zbliżenia. Stworzeni jesteśmy dla pełnienia dobra, a cóż właściwiej nazwać się godzi „swojém” jeżeli nie majątek naszych przyjaciół? O! cóż to za pocieszająca myśl, że tak wielu na wzór braci, rozrządzać może wzajemnym majątkiem! O rozkoszy wprzód zamierająca, zanimes powstała! Zdaje mi się, że mam oczy łez pełne. Ażeby je zapomnieć, pije za wasze zdrowie!

Apemantus.

Płaczesz na to, ażeby oni pić mogli Tymonie?

Drugi z panów.

I w naszym oku radość się przyjęła, wyskoczywszy wnet ztamtąd płaczącem dziecięciem.

Apemantus.

Oh! śmiać mi się chce na wspomnienie, że to dziecię było bękartem.

Trzeci z panów (do Tymona).

Zaprawdę, panie, wzruszyłeś mnie do głębi.

Apemantus,

Gąsiorze!

(Odgłos trąb).

Tymon.

Co znaczą te trąby—co nowego?
(Sługa wchodzi).

Sługa.

Z pozwoleniem Waszej Wielkości, jakieś panie chcą tu wejść.

Tymon.

Panie? czego pragną?

Sługa.

Mają ze sobą gońca, który zawiadomi o ich zamiarach.

Tymon.

Proś, proś.

(Wchodzi Kupido).

Kupido.

Cześć czcigodnemu Tymonowi i wszystkim innym, którzy współuczestniczą w Jego łasce. Pięć zmysłów uznaje cię za swego pana, zbliżając się z powinszowaniem k'owym dostojnym progom. Słuch, smak, powonienie, powstają zadowolone od twego stołu; teraz chcą oko jeszcze twe rozerwać.

Tymon.

Pozdrawiam je serdecznie. Będą przyjęte dobrze. Niechaj muzyka uczi ich wejście.

(Kupido wychodzi).

Pierwszy z panów.

Oto panie, jakżeś od wszystkich kochany!

(*Muzyka. Kupido wraca, maskarada, damy przebrane za amazonki, grają na lutniach i tańczą.*)

Apemantus.

Hola! jakaż piramida próżności stoczyła się tutaj! tańczą! to szalone baby! Takieżto szaleństwem jest blask życia! Szalejemy ażeby się bawić, a rozrzucając pochlebstwa, pijemy z tymi ludźmi, których starość oblejemy kiedyś trucizną wzgardy lub nienawiści. Gdzież żyje taki, któryby nie cierpiał lub nie sprawił cierpień; gdzie umierający, któryby do grobu ze sobą, nie zabrał obelżywej rany z ręki przyjaciela? Bałbym się, ażeby ci co teraz tańczą, nie zdeptali mnie kiedyś. To się już zdarzało. Zwykle bramy zamykają o zachodzie słońca.

(*Goście wstają od stołu, otaczając Tymona wielką cziq; — dla okazania mu swego przywiązania, bierze każdy amazonkę do tańca; taniec kończy się przy wesołej muzyce.*)

Tymon.

Wy urocze panie upiększyłyście naszą ochotę, dodając wdzięku ucztę, bez was ani w połowie tak świetnej i przyjemnej. Wyście dodały jej większej wartości i blasku, zachwycając mnie nad własnym pomysłem. Składam wam dzięki za to.

Pierwsza dama.

Ze zbyt pochlebnej strony bierzesz nas panie.

Apemantus.

Niezawodnie, bo najgorsza jest brudną i pewnieby się wzięść nie dała.

Tymon.

Tam was panie oczekuje zakąska, raczcie zasiąść.

Damy.

Tysiączne dzięki.

(*Kupido i damy odchodzą.*)

Tymon.

Flawiuszu... przynieś mi małą skrzynkę.

Flawiusz.

Zaraz, panie. (*na stronie*). Jeszcze brylanty? Nie można go powstrzymać w jego fantazyach... dobrze... lecz gdy wszystko zniknie, chciałby iżbym go był wstrzymywał. Szkoda, że wspa-

niałomyślność nie patrzy poza siebie, gdyż przez to ginie własną winą.

(*Odchodzi i wraca ze skrzynką*).

Pierwszy z panów.

Czy są nasi słudzy?

Sługa.

Tak, panie.

Drugi z panów.

Niech konie zajadą.

Tymon.

Przyjaciele! pozwólcie mi jeszcze słówko. Oto dobry panie, proszę cię zaszczyć mnie przyjęciem tego brylanta: racz go nosić.

Pierwszy.

Już mnie obarczyłeś darami!

Wszyscy.

Nas wszystkich!

(*Sługa wchodzi*).

Drugi sługa.

Senatorowie zsiadają z koni, chcą Waszą Wielkość odwiedzić.

Tymon.

Prosić, prosić.

Flawiusz.

Pozwól Wasza Wielkość jedno słowo, które was bardzo dotyczy.

Tymon.

Mnie? to posłucham kiedyindziej, a teraz nie przeszkadzaj mi w należytem gości przyjęciu.

Flawiusz (na stronie).

Już nie wiem w jaki sposób...

(*Sługa wchodzi*).

Trzeci sługa.

Wielmożny Lucyusz, przysyła Waszój Wielkości w serdecznym upominku, cztery śnieżnej białości rumaki, z uprzężą srebrną.

Tymon.

Przyjmuję z wdzięcznością, postaraj się abyśmy odpowiedzieli godnie. A ten co?

(sługa wchodzi).

Czwarty sługa.

Wielmożny Lucullus chcąc polować jutro w towarzystwie Waszój Wielkości, przysłała dwie sfory psów gończych.

Tymon.

Dziękuję.—Odbierz je i odwdzięcz sownice.

Flawiusz (na str.).

Co nareszcie będzie? ugaszczą mamy i hojnie obdarzać z pustej skrzyni? On nie rachuje nigdy i każe mi zawsze milczeć wtedy, gdy mu chcę serce jego ukazać jako żebraka, nie mającego dosyć środków dla zaspokojenia wszystkich zachceń. Obietnice jego tak dalece przewyższają fortunę, że wszystko co obiecuje, staje się już długiem. Cały jego majątek siedzi u nich w księgach. Obym już ze służby jego dobrowolnie wyszedł, zanim ją będę zmuszony opuścić. Nie lepiejże nie karmić przyjaciół, aniżeli otoczonym być przyjaciółmi, gorszymi od nieprzyjaciół. Serce mi się krwawi za mego pana. *(Ochodzi).*

Tymon.

Sami się krzywdzicie, nie ceniąc odpowiednio własnej wartości. Oto drobny dar mojej przyjaźni.

Drugi z panów.

Przyjmuję z wielką wdzięcznością.

Trzeci z panów.

Tymon to wspaniałomyślna dusza!

Tymon.

A teraz przypominam sobie panie, żeś niedawno, bardzo chwalił mego kasztana na którym jeżdżę; gdy więc się podoba, niech do ciebie należy.

Trzeci z panów.

Lecz, panie, przepraszam....

Tymon.

Wierzaj memu słowu przyjacielu, że tylko to godnie chwalić można co się podoba; o uczuciach przyjaciół, sądzą według moich. Odwiedź was.

Wszyscy.

Któż może być nam miłszym!

Tymon.

Jestem tak wdzięczny za wasze odwiedziny, że nigdy do-
syć dać nie jestem w stanie. Chciałbym mieć dla rozdania mo-
im przyjaciółom królestwa, a nie znużyłbym się nigdy... Alcy-
biadesie jesteś wojownikiem, a przeto rzadko bogatym; należą
ci się dary, bo żyjesz z poległych, a ziemie jakie posiadasz,
znajdują się na polu bitwy.

Alcybiades.

Nieżyzne pole!

Pierwszy z panów.

Nie skończenie zobowiązań!

Tymon.

A ja wam!

Drugi z panów.

Przywiązani do śmierci.

Tymon.

Ja niemniej.— Światłał więcęć światła!

Pierwszy z panów.

Niechaj cię nie opuszcza szlachetny Tymonie, najwyższe
szczęście, bogactwa i zaszczyty.

Tymon.

Na usługi przyjaciół. (Alcybiades i panowie odchodzą).

Apemantus.

Co za hałas, ile pokłonów, ile zgigęć w karkul! Wątpię czy
te nogi warte tyle pieniędzy, ile za nie zapłacono. Przyjaźń
pełną jest szumowin, a kości fałszywe kulebby powinny. Czo-
łobitność rujnuje uczciwego głupca.

Tymon.

No Apemancie, gdybyś nie był tak zaciekły, doświadczył-
byś mój dobroci.

Apemantus.

Nie, nic nie chcę; bo gdybyś mnie przekupił, niktby cię nie
lżył a wtedy grzeszyłbyś jeszcze prędjiej. Oddajesz tyle Tymo-
nie, że boję się że wkrótce sam się oddasz. Na co te uczyty, po-
pisy, ta próżność?

Tymon.

Jeżeli już towarzyskość lżyć się ośmielasz, to nie chcę
więcej dbać o ciebie. Bądź zdrow, a wracaj w lepszym usposo-
bieniu.

(*Tymon odchodzi*).

Apemantus.

Tak? Nie chcesz mię więcej służyć, nie usłyszysz. Zamknę ci wrota niebios. O człowieku! dlaczego nedorzecznie zamknąłeś ucho dobrej radzie, zamiast pochlebstwom! (*Ochodzi*).

AKT II.

SCENA I.

(Sala w domu jednego z senatorów).

Senator wchodzi z papierami w rękę.

Zadłużył się dopiero na 5000 u Warrona, na 9000 u Izydora, dorachowawszy moje, wyniesie 25000. Jako? więc zawsze ta wścikłość wydawania, to trwać nie może. Gdy potrzebuję pieniędzy, dość mi ukraść psa żebrakowi i obdarzyć nim Tymona, pies wybije mi monetę. Gdy chcę sprzedać konia, i za jego cenę kupić dwadzieścia innych lepszych, dosyć iżbym go oddał Tymonowi nic zań nie żądając, natychmiast koń mój spłodzi mi przepyszne rumaki. Nie ma w pałacu jego klucznika, ale jest za to człowiek uśmiechający się do wszystkich, i zapraszający wszystkich przechodniów. To trwać nie może, bo nie można wierzyć w stałość jego fortuny. Hej, Kafis!

(*wchodzi Kafis*).

Kafis.

Jestem panie, czego żądasz?

Senator.

Wdzięj płaszcz i biegnij do Tymona, żądaj natarczywie mych pieniędzy; niech cię nie zraża lekka odmowa, nie daj sobie ust zamknąć odprawą taką: „kłaniaj się twemu panu” przyczembys czapkę kręcił w prawém rękę. Powiedz mu, że muszę zaspokoić napadających mnie, własnymi środkami. Dnie zwłoki już minęły, a zbytнім zaufaniem w jego obietnicę, zrujnowałem sobie kredyt. Kocham i szanuję Tymona, ale nie mogę łamać karku dla wyleczenia jego palca. Potrzebuję być pokrytym zaraz pieniędzmi, a nie kołysanym słówkami. Idź, przybierz minę zgniewaną, twarz wierzyciela, bo obawiam się że wielmożny Tymon, błyszczący teraz jak Fenix, przemieni się wkrótce w mewkę wypierzoną, której piórko każde złączy się ze skrzydłem, do którego należy.

Kafis.

Idę panie.

Senator.

Idź, idź, tylko zabierz rewers i pamiętaj termin upływowy.

Kafis.

Dobrze.

Senator.

Idź.

SCENA II.

Sala u Tymona.

(wchodzi Flawiusz z kilkoma papierami w ręku).

Flawiusz.

Ani go zatrzymać. Szalonym jest tak dalece w wydatkach, że nie chce nawet wiedzieć w jaki sposób wydawać dalej, ani nie chce powstrzymać marnotrawstwa. Nie troszczy się, gdzie to zaprowadzi. Nie, nigdy jeszcze, nie wiązało się razem tyle dobroci z takim szaleństwem! Co czynić? Nie posłucha dopóki nie zaboli, ale będę mówił otwarcie gdy wróci z polowania. Pfe, do djabła!

(wchodzi Kafis i słudzy Izydora i Warrona).

Kafis.

Cóżto Warronie, przychodzisz po pieniądze?

Sługa Warrona.

A nie toż samo ciebie sprowadza?

Kafis.

Tak, a ciebie Izydorze?

Sługa Izydora.

To samo.

Kafis.

Daj Boże aby nam zapłacono!

Sługa Warrona.

Wątpię.

Kafis.

Oto i pan.

(wchodzi Tymon, Alcybiades, Panowie i t. d.).

Tymon.

Kochany Alcybiadesie zaraz po obiedzie pojedziemy na wieś. Czy ze mną macie do pomówienia? cóż tam?

Kafs.

Panie, tu właśnie notatka pewnego długu...

Tymon.

Długu? Zkąd jesteś?

Kafs.

Z Aten panie.

Tymon.

Idź do mego intendenta.

Kafs.

Przebacz mi panie, ale mnie zwłóczył od miesiąca i to z dnia na dzień. Gwałtowna potrzeba zmusza mego pana do żądania pieniędzy, prosi więc Waszój Wielkości ażebyś ze zwykłą sobie szlachetnością, zadość uczynił jego wymaganiom.

Tymon.

Mój przyjacielu, przyjdź jutro rano, proszę cię.

Kafs.

Lecz panie...

Tymon.

Przestań, przestań.

Sluga Warrona.

Jestem służącym Warrona, panie.

Sluga Izydora.

A ja Izydora, który prosi pokornie o oddanie szybkie.

Kafs.

Gdybyś panie wiedział jak dalece potrzebny jest pan mój!..

Sluga Warrona.

Termin upłynął panie, przeszło od sześciu tygodni.

Sluga Izydora.

Intendent odsyła mnie zawsze, a ja mam rozkaz mówienia z samym panem.

Tymon.

Dajcież mi odetchnąć. Proszę was panowie, idźcie naprzód, zaraz powrócę. (*Alcybiades i panowie wychodzą*) (*do Flawiusza*)
Chodźno tutaj—cóż się to dzieje, żem nagle obłożony temi wrzaskami i długami, krzywdzącemi mój honor?

Flawiusz.

Panowie, nie jestto czas stosowny do interesów, wstrzymajcie wasz zapal do popołudnia, ażebym tymczasem objaśnić mógł Jego Wielmożność, dlaczego was nie zapłacił.

Tymon.

Tak przyjaciele, zaczekajcie. A niech was tam ugoszczą.

(Tymon wychodzi).

Flawiusz.

Posłuchaj mnie panie, błagam. *(wychodzi).*

(wchodzi Apemantus i błazen).

Kafis.

Zaczekajcie, oto przychodzi Apemantus z błaznem, pożartujemy sobie z nimi trochę.

Sluga Warrona.

Na szubienicę z nim, będzie nas lżył.

Sluga Izydora.

Niech choroba zadusi tego psa!

Sluga Warrona.

Co porabiasz błaznie?

Apemantus.

Czy ty rozmawiasz z twoim cieniem?

Sluga Warrona.

Nie mówię z tobą.

Apemantus.

Wiem, z samym sobą. *(do błazna)* Pójdź dalej.

Sluga Izydora do Slugi Warrona.

Otóż masz już na karku i błazna.

Apemantus.

Nie, sam stoisz i nie wiesz na nim.

Kafis.

Więc gdzież jest błazen teraz?

Apemantus.

Tam, gdzie zadaje ostatnie pytanie. Nędzne urwisy i fagasy lichwiarzy, faktory złota i nędzy!

Sludzy.

Czém jesteście Apemancie?

Apemantus.

Ośłami.

Wszyscy.

Dlaczego?

Apemantus.

Bo mnie się pytacie czém jesteście, a więc się sami nie znacie. Mów do nich błaznie.

Blazen.

Jak się macie panowie?

Wszyscy.

Dziękujemy bardzo błazniel! Cóż robi twoja pani?

Blazen.

Wstawia właśnie wodę, ażeby w niej zgotować takie jak wy piskłęta. Chciałbym was ujrzeć w Koryncie.

Apemantus.

Dobrze, dziękuję ci (*wchodzi paż*).

Blazen.

Oto paż mojej pani!

(*Paż do blazna*).

No kapitanie, co porabiasz w tak mądrém towarzystwie.— Jak się masz Apemancie?

Apemantus.

Chciałbym mieć w ustach różgę, któraby ci dała skuteczną odpowiedź.

Paż.

Proszę cię, Apemancie, przeczytaj mi adressy tych listów, bo nie wiem do kogo.

Apemantus.

Czytać nie umiesz?

Paż.

Nie.

Apemantus.

No to w dniu, w którym cię powieszają, nie wielka uczoność przepadnie. Ten list do Tymona, tamten do Alcybiadesa. Odejdź, urodziłeś się bękartem a umrzesz faktorem.

Paż.

A ty psew, i zginiesz z głodu jak pies. Nie odpowiadaj, bo mnie już nie ma (*paś odchodzi*).

Apemantus.

To największa dla nas grzeczność. Błaźnie pójdziemy do Tymona.

Blażen.

I zostawisz mię tam?

Apemantus.

Jeżeli Tymon jest w domu. Was trzech służy trzem lichwiarzom?

Śludzy.

Oby z łaski bogów oni nam służyli!

Apemantus.

Chciałbym. Jabym wam posłużył, jak kat złoczyńcy.

Blażen.

Czy wy trzech sługami lichwiarzy?

Wszyscy.

Tak, błaźniel!

Blażen.

Sądzę, że nie ma lichwiarza, któryby nie miał służącego błażnem. Moja pani także jest lichwiarką a ja jój błażnem, tylko że gdy ktoś pożycza pieniędzy od waszych panów, przychodzi smutny a odchodzi wesoło, tymczasem do mojej pani, przychodzi wesoło a odchodzą smutno. Powiedzcie przyczynę!

Śluga Warrona.

Powiem ci ją.

Apemantus.

Mów więc, ażebyśmy cię poznali jako infamisa, przez co nie stracisz na estymie.

Śluga Warrona.

Cóżto jest infamis, błaźnie?

Blażen.

To sobie błażen dobrze odziany, podobny trochę do ciebie; to duch okazujący się czasem w postaci wielkiego pana, czasem prawnika, czasem filozofa, czasem rycerza; nakoniec duch ten czai się pod wszelkimi postaciami, pod jakimi człowiek od 80 lat do 13 zwykł chodzić.

Śluga Warrona.

Tyś nie zupełnie błażen.

Błazen.

A ty nie zupełnie mądry. O ile ja posiadam błazeństwa, o tyle tobie brak dowcipu.

Apemantus.

Tój odpowiedzi, nie powstydzilby się Apemantus.

Wszyscy.

Z drogi, — nadchodzi wielmożny Tymon!

(*wchodzą Tymon i Flawiusz*).

Apemantus.

Chodź ze mną błaznie.

Błazen.

Nie lubię chodzić za kochankiem, za starszym bratem i za kobietą, lecz czasem za filozofem.

(*Apemantus i błazen odchodzą*).

Flawiusz.

Proszę was odejść. Zaraz z wami pomówię.

(*Słudzy odchodzą*).

Tymon.

Wprawiasz mię w osłupienie. Dlaczegoś wprzód nie obrachował mojego majątku? Byłbym mógł wprzód urządzić gospodarstwo, stosownie do dochodów.

Flawiusz.

Ilekróć mówić chciałem, nie słuchano mię.

Tymon.

Możeś wybrał właśnie chwilę, w której nieusposobiony kazałem ci odejść, a teraz dla niewinnienia się, znajdujesz tę wymówkę.

Flawiusz.

O drogi panie, ileż razy przekładałem ci rachunki, lecz ty odpychałeś je mówiąc: iż ufasz mojej uczciwości. Gdyś rozkazał lichy podarek wielkim odpłacić, potrząsałem głową płacząc tak, błagałem cię, panie, wychodząc nawet z granic uszanowania, ażebyś rękę szczelniej zamknął. Zniosłem nie jedno surowe łajanie, ilekróć ośmieliłem wskazać ci zmniejszenie fortuny a zwiększenie długów. O drogi panie, dowiedz się, choć to już za późno, lecz powiedzieć muszę, że cały wasz majątek, nie wystarczy ani w połowie na zapłacenie ciążących długów,

Tymon.

Sprzedaj wszystkie moje dobra.

Flawiusz.

Wszystko zastawione. Nie mało przypadło, a to co zostaje, zaledwie zagodzi naglące wierzytelności. Przyszłość pędzi na skrzydłach, a co nas zaratuje tymczasem, i jak nareszcie zakończy się ostatni rachunek?

Tymon.

Dobra moje rozciągały się aż do Lacedemonii.

Flawiusz.

O dobry panie, świat zawarty w jednym tylko słowie: gdyby był waszym, i gdybyś go mógł podarować jednym tchnieniem, jak długobys go zatrzymał?

Tymon.

Masz może słusność.

Flawiusz.

Jeżeli podejrzywasz mój zarząd, honor mój, to pociągnij mnie do odpowiedzialności przed najsurowszych sędziów. Bogowie jednak świadkiem, że gdy przedśionki, kuchnie i piwnice trzęsły się od natłoku rozpustnej czeredy, gdy sklepienia tryskały z rozlanego przez pijaków wina, i gdy wszystkie komnaty blaskiem świec promieniejąc, muzyką dźwięczały, jam wtedy w samotnym kącie siedział płacząc.

Tymon.

Dosyć, dosyć.

Flawiusz.

Bogowie, wołałem, jakżeż pan ten ludzki! Ileż obfitych kęsów, pożarli dziś niewolnicy! Kto nie poddany jest Tymonowi? Czyja głowa, serce, miecz, majątek, nie oddane jemu, temu wielkiemu, szlachetnemu, królewskiemu Tymonowi! Ach! lecz gdy zniknie bogactwo, które kupiło te pochwały, zniknie i oddech, który je wygłosił. *Jeden* dzień zimowy, a muchy te zginą.

Tymon.

Dosyć, nie dawaj mi więcej nauki! Przecież nie splamiłem serca mego, haniebnym marnotrawstwem. Rozdawałem nieroztropnie lecz szlachetnie. Czegoż płaczesz jeszcze? Czy sądzisz, ty podejrzliwy, że nie znajdę już przyjaciół? Uspokój się! Gdybym chciał napocząć wino miłości, pożyczkę serca wypróbować, mógłbym rozporządzać ludźmi i ich majątkami równie łatwo, jak mogę nakazać tobie abys mówił.

Flawiusz.

Obyś się nie zawiódł w twój ufności, panie!

Tymon.

A pod pewnym względem, cieszy mnie nawet ten niedostatek, bo mi nadarzy szczęśliwą porę doświadczenia mych przyjaciół. Wtedy uznając błąd twój, ujrzysz jak zamożny jestem w druhów! Hej, jest tam kto? Flaminiusz! Serwiliusz!

(słudzy wchodzi).

Słudzy.

Panie, panie...

Tymon.

Wysłać chcę was, ciebie do Luciusza, do Luculla ciebie: dziś jeszcze z nim polowałem. Ciebie do Semproniusza. Polećcie mnie ich sercu, i powiedzcie iż dumny jestem ze sposobności, przymówienia się u nich o pożyczkę. Żądam 50 talentów.

Flaminiusz.

Do usług, panie.

Flawiusz. (na str.)

Luciusz i Lucullus? hm.

Tymon (do innego sługi).

A ty pędź do senatorów, którzy za przysługi me dla państwa i dla nich, przysłać mi zechcą zaraz tysiąc talentów.

Flawiusz.

Byłem już tak śmiały (pewny będąc że to najłatwiejszy sposób) posłać im twą pieczęć i nazwisko, panie, lecz oni potrząsnęli głową a jam powrócił nie bogatszy.

Tymon.

Co, co? byćże to może?

Flawiusz.

Jednogłośnie mówią wszyscy i każdy z nich: „że teraz rozchody mają... że brak gotówki... że nie mogą tak jakby chcieli... że żałują... że pan jesteś zacnym mężem, ale życzyliby... nie wiedzą jakby to... nie wszystko tak się dzieje jak powinno... i szlachetny potknąć się może... dalby Bóg żeby znów wszystko się polepszyło... co za szkoda!” I tak do innych ważnych spraw przechodząc, pogardliwym wzrokiem i temi słów okruciami, półukłonami i suchym potakiwaniem, oziębili mi lodem słowa które wyrzec miałem.

Tymon.

Odwdzięczcie im to bogowie! Proszę cię drogi, nie martw się. U starych niewdzięczność wkorzeniona, krew u nich zaskrzepła, zaledwo się sączy; sercom ich brak ciepła, nic nie czują, bo w miarę jak człowiek ku ziemi zbliża się z powrotem, staje się jak cel podróży, ciężki i ponury. (do sługi): Idź do Wentydusza. (do Flawiusza): Proszę cię, nie bądź smutny, wierny jesteś i prawy; mówię ci szczerze i z serca: jesteś bez nagany. (do sługi): Dopieroco pogrzebał Wentydusz swego ojca, odziedziczył wielkie skarby; gdy był ubogi, gdy w więzieniu, wyparł się go wszelki przyjaciel, a jam mu dopomógł pięciu talentami. Pozdrów go, zapewne się domysli że gwałtowna tylko potrzeba, przymusiła jego przyjaciela przypomnieć mu pożyczone 5 talentów; (do Flawiusza) dasz je natarczywym. Precz z myślą, iżby szczęście u przyjaciół rozbić się miało!

Flawiusz.

Chciałbym iżby wspaniałość zwyciężyła me zwątpienie, lecz dobroć tylko ma i najgorszych za dobrych.

(*odchodzi*).

A K T III.

SCENA I.

Sala u Lucullusa.

(FLAMINIUSZ, służący wchodzi).

Sługa.

Pan zaraz przyjdzie!

Flaminiusz.

Dziękuję. (Lucullus wchodzi).

Sługa.

Oto mój pan.

Lucullus (na str.).

Sługa Tymona po mnie przyszedł, pewnie czeka mnie dar. Doskonale, śniła mi się dziś w nocy srebrna miednica i polewaczka (głośno). Czcigodny Flaminiuszu, jakżeś pożądany! (do sługi) przynieś wina. A cóż porabia najczcigodniejszy, najwyborniejszy, najwspanialszy mąż Aten, władzca ich i pan?

Flaminiusz.

Zdrowie jego dobre.

Lucullus.

Ciesz się mnie, że zdrowie jego dobre. A co tam niesiesz pod płaszczem Flaminiuszu?

Flaminiusz.

Nic, prócz próżnej szkatuły, którą myślę u Waszój Wielkości, napełnić dla mego pana. Zdarzyło się bowiem, że w tej chwili koniecznie potrzebuje 50 talentów, i dla tego posłał mnie do Waszój Wielkości, o gotowości Waszój nie wątpiąc.

Lucullus.

Ba, ba, nie wątpi, powiadasz? ach! zacny mąż! to mi szlachetny człek, gdyby tylko chciał obniżyć skalę swego domu! Często i nieraz obiadując u niego, mówiłem mu to, a jeśli przy-szedł na kolacyą, to tylko dlatego, żeby go do oszczędności nakłonić. Lecz on żadnej rady nie słuchał, a moją ustawiczną bytnością nie dał się ostrzedz. Każdy człowiek ma swoje błędy: hojność jest jego błędem. Mówiłem mu to zawsze, ale nadarmo.

(*sluga powraca*).

Sluga.

Oto jest wino.

Lucullus.

Flaminiuszu, zawsze cię miałem za rozsądnego chłopca. Piję do ciebie.

Flaminiusz.

Wasza Wielkość żartuje.

Lucullus.

Uważałem w tobie zmysł dostrzegawczy, spryt i giętkość. Tak, ty wiesz co się rozsądkiem zwać może. Ty potrafisz skorzystać z okazji, gdy się nadarzy. Masz niepospolite przymioty. (do odchodzącego służącego) Odejdź precz. Zbliź się poczciwy Flaminiuszu; pan twój dobroczynnym jest człowiekiem, ale tyś rozsądnym; wiesz dobrze, choć tu do mnie przychodzisz, że teraz nie pora na wydawanie pieniędzy w darze, dla gołej przyjaźni i bez poręczenia. Weź te trzy sztuki złota, poczciwy chłopcze, przymknij oczy, i powiedz żeś mnie w domu nie zastał. Bądź zdrow.

Flaminiusz.

Byłże może! czyż świat się tak zmienił a my z nim? Niekczemni! Podlił zostać przy tym, który cię czcił

(*rzucia pieniądze*).

Lucullus.

Ha! ha! no teraz widzę żeś głupiec, akurat dobry dla twego pana.

(*Lucullus odchodzi*).

Flaminiusz.

Dołącz to złoto do tamtego, które cię kiedyś spalił Bodaj piekłem twoim, stał się metal stopiony, ty zarazo przyjaźni, lecz nie przyjacielu! Czyż przyjaźni udziałem takie serce, co kwaśniejsze jak mléko w dwóch nocach? O bogowie! przeczuję gniew mego pana. Ten niewolnik, nosi jeszcze w żołądku ucztę Tymona, miałażby mu posłużyć za zdrowy pokarm, gdy się sam przemienił w truciznę? O bodajby zrodziła chorobę, a gdy już legnie na łożu śmiertelném, bodajby pokarm ten zapłacony przez mego pana, zwiększył boleści i konanie!

(*odchodzi*).

SCENA II.

Ulica.

(LUCIUSZ z trzema obcymi).

Luciusz.

Kto, Tymon? to mój najlepszy przyjaciel i najzaciejszy mąż.

Pierwszy obcy.

Z téj opinii go téż znamy, jakkolwiek obcymi tu jesteśmy. Ale mogę panu coś powiedzieć na ucho, co jest niemal pogłoską; oto: szczęście Tymona minęło, a bogactwa znikły.

Luciusz.

Nie wierz pan temu, złota nie zbraknie mu nigdy.

Drugi obcy.

Lecz uwierz łaskawy panie, że niedawno temu był sługa jego u Lucullusa, z prośbą o pożyczanie jakiejś summy, co więcéj prosił natarczywie, wskazując konieczność; lecz odmówiono mu.

Luciusz.

Co?

Drugi.

Tak, odmówiono mu.

Luciusz.

Cóż za postępek! wstydę się go. Odmówić tak godnemu mężowi, okazuje brak poczucia honoru?! Co się mnie tyczy, przyznać się muszę, że otrzymałem od niego kilka pamiątek jakoto: złoto, naczynia srebrne, brylant i tym podobne drobiazgi, nie mogące się równać tym które otrzymali inni; lecz gdyby był Lucullusa pominął a do mnie przysłał, byłbym nie odmówił żądanej summy. *(wchodzi Serwiliusz).*

Serwiliusz.

Ho, ho, jak to dobrze, toż spotykam zacnego Luciusza, spocikem się szukając pana, szanowny panie.

Luciusz.

Ach! Serwiliuszu, jakżem cię rad ujrzeć; no bądź zdrów, poleć mię przyjaźni twego czcigodnego pana, najdroższego z mych przyjaciół.

Serwiliusz.

Za pozwoleniem wielmożnego pana, pan mój posyła...

Luciusz.

Co posyła? I tak już tyle twemu panu zawdzięczam, a on posyła ciągle; powiedz mi, jakże mu podziękować? A cóż teraz posyła?

Serwiliusz.

Posyła tylko chwilową prośbę, łaskawy panie, o pożyczkę 50 talentów.

Luciliusz.

Wiem dobrze, że Tymon tylko żartuje: on nie potrzebuje 50 talentów, ani 5 razy tyle.

Serwiliusz.

Obecnie przyda mu się mniejsza summa. Gdyby jój tak nagle nie potrzebował, czyżby o nią tak natarczywie prosił?

Luciliusz.

Czy na seryo mówisz Serwiliuszu?

Serwiliusz.

Klnę się na mą duszę panie.

Luciusz.

Jakież ze mnie bydlę, żeby właśnie w takiej chwili, gdy mogę się pokazać jako człowiek *honoru*, pozbyć się pieniędzy!

Jakże nieszczęśliwie się zdarza, że małym zakupem uczynionym dzień przed tém, postradam część mego honoru. Serwiliuszu, wzywam bogów na świadki, że nie jestem w stanie tego uczynić; sam właśnie chciałem pożyczyć u Tymona, niech powiedzą ci panowie. Lecz teraz za wszystkie skarby Aten, nie chciałbym być pożyczyc. Pozdrów serdecznie odemnie twego dobrego pana. Spodziewam się że nie stracę u niego szacunku, dlatego, że nie mogłem go zobowiązać, gdyż powiedz mu, mam to sobie za największe nieszczęście. Kochany Serwiliuszu, będziesz tak łaskaw, powtórzyć moje własne słowa.

Serwiliusz.

Tak panie, będę.

Lucjusz.

A ja wynagrodzę ci to Serwiliuszu. (*Serwiliusz odchodzi*).
Mieliście słuszną rację panowie, Tymon jest zrujnowany, a kto raz stracił kredyt, już nie pójdzie w górę (*odchodzi*).

Pierwszy obcy.

Uważałeś Hostyliusza?

Drugi obcy.

Aż nadto.

Pierwszy obcy.

Oto jest duch świata, i z takiego to sukna, zszyty dowcip każdego pochlebcy. Możnaż teraz nazwać przyjacielem tego, który je z nami z jednego półmiska? Tymon, wiem o tém, był ojcem dla niego, workiem Tymona, trzymał się jego kredyt i majątek, pieniędzmi Tymona płacił swoje długi, pił z Tymona srebrnych naczyń, a przecież (o jakże ohydny jest człowiek, gdy się zdradza z niewdzięcznością) to co teraz odmawia, w porównaniu z tém co wziął, jest zaledwie jałmużną, daną żebrakowi.

Drugi obcy.

Religia cierpi na tém.

Pierwszy obcy.

Nie otrzymałem żadnych dobrodziejstw od Tymona, nigdy wspaniałość jego nie zalicza mię do przyjaciół, lecz przysięgam, że jedynie czcząc duszę jego szlachetną, i cnotę wielką, oddałbym mu, gdyby żądał, cały mój majątek. Tyle cenię jego serce. Ale niestety ludzie wyrzekli się litości, interes stawiając wyżej sumienia (*odchodzi*).

S C E N A III.

Sala w domu Semproniusza.

SEMPRONIUSZ wchodzi ze sługą Tymona.

Semproniusz.

Dlaczegoż mnie nachodzi przed wszystkimi innymi? Miał przecież Luciusza i Lucullussa, Wentidyusz téż, którego wykupił z więzienia, posiadał teraz skarby: ci trzej winni mu wszystko.

Sługa.

Niestety, wszyscy trzej odmówili.

Semproniusz.

Jakto odmówili? Lucullus odmówił i Wentidyusz, a on się do mnie zwraca? podobny krok zdradza z jego strony, brak rozsądku lub małej dla mnie przyjaźni. Czyż ja mam być ostatnią jego ucieczką? Trzech lekarzy zwątpiło o nim, a ja mam wyliczyć? O! bardzo mnie zmartwił, złym na niego, że mnie tak zapoznaje. Nie było powodu ażeby mię poprosić pierwszego, bo sumiennie mówiąc, pierwszy byłem który od niego otrzymałem dary, a teraz tak dalece cofa mnie wgląd, iż mi na ostatku dopiero wierzy? Nie potrzeba więcéj, ażeby się stać pośmiewiskiem całego miasta, i uchodzić za błazna u wielkich panów. Trzy razy tak wielką summę, dałbym mu był chętnie, gdyby mnie wybrał pierwszego, choćby tylko przez wzgląd na moje delikatne uczucie. Tak dalece pragnęło serce moje, wywzajemnić się przysługą. Lecz teraz odejdz, a do chłodnej odpowiedzi jego przyjaciół, dołącz moją: „ten, kto obraża mój honor, nie ujrzy moich pieniędzy”.

*(wychodzi).**Sługa.*

Nieporównanie! Wasza Wielkość jesteś wielce pobożnym łotrem. Sam dyabeł nie wiedział czego dokonał, stwarzając człowieka tak chytrym, i w końcu będę musiał uwierzyć, że zbrodniarz najniegodniejszą mądrością wy kieruje się na świętego. Jakież wielmożny Semproniusz, cnotliwe czynił wysiłki, aby tylko podłym się pokazał! Pobożnych szuka pozorów aby być bezbożnym, podobien tym, którzy odziani płaszczem gorącego patryotyzmu, całe królestwaby spalili. Taka to jest jego przemądra miłość, a przecież na nim polega pan mój najwięcej. Wszyscy prócz bogów od niego uciekli, przyjaciele pomarli. Podwoje, które w dniach pomyślnych nie znały zasuwki, zamykać się teraz muszą, ażeby zapewnić bezpieczeństwo swemu panu. Oto

owoce jego szczodroblewości. Kto nie umie chować pieniędzy, chować się musi w domu. (*odchodzi*).

SCENA IV.

Przedśionek w domu Tymona.

(*Wchodzą dwaj słudzy Warrona i sługa Lucjusza.—Tytus, Hortensyusz i inni słudzy wierzycieli Tymona*).

Sługa Warrona.

Jak się macie Tytusie i Hortensyuszu?

Tytus.

A wy poczciwy Warronie?

Hortensyusz.

Lucyuszu, cóż was tu sprowadza?

Sługa Lucyusza.

Mnie się zdaje, że to samo co wszystkich: pieniądze.

(*wchodzi Filotus*).

Aj Filotus także!

Filotus.

Dzień dobry panom!

Sługa Lucyusza.

Pozdrawiam cię kamracie, jak ci się zdaje, która też godzina?

Filotus.

Niedługo dziewiąta.

Sługa Lucyusza.

Tak późno?

Filotus.

A pana jeszcze nie widać. To mię dziwi, miał zwyczaj błyszczyć już od siódmój rano.

Sługa Lucyusza.

Tak, lecz jego dzień skrócił się teraz znacznie. Bo widzicie przyjaciele, bieg marnotrawcy tak świeci jak bieg słońca, lecz się nie odnawia tak samo. Obawiam się, że w worku Tymona gruba zima, co znaczy że choćbym rękę jak najgłębiej wsadził, nic nie wyciągnę.

Filotus.

Obawiam się także.

Tytus.

A teraz powiem wam ciekawą rzecz, twój pan posyła po pieniądze?

Hortensyusz.

Nie inaczej.

Tytus.

A nosi właśnie brylanty które dał mu Tymon, i za które oczekuje pieniędzy.

Hortensyusz.

To mnie boli.

Tytus.

Nie dziwneż to, że Tymon płaci za to czego nigdy nie miał, to tak samo, jak gdyby twój pan za to że nosi brylanty, kazał sobie Tymonowi zapłacić.

Hortensyusz.

Bogowie świadkiem, jak mi ciąży to poselstwo. Wiem, co wziął pan mój gdy Tymon był bogaty, więc niewdzięczność jego kradzieży równa.

Sluga Warrona.

Mnie się należy trzy tysiące koron; a tobie?

Sluga Lucyusza.

Pięć tysięcy.

Pierwszy sluga Warrona.

Wielka to summa, z czego się pokazuje, że pan twój więcej mu ufał niż mój, inaczej wierzytelności byłyby równe.

(wchodzi Flaminiusz).

Tytus.

Oto jeden ze sług Tymona.

Sluga Lucyusza.

Hej Flaminiuszu, słówkol Proszę was czy pan tu przyjdzie?

Flaminiusz.

Nie przyjdzie.

Tytus.

Proszę dać znać jego wielkości, że go tu czekamy.

Flaminiusz.

Nie potrzebuję znać dawać, wie on, żeście aż nadto punktualni.

(wchodzi Flawiusz, zasłonięty płaszczem).

Sluga Lucyusza.

Wszak ten zakryty, to intendent jego, ucieka zasloniony obłokiem. Wołajcie na niego.

Tytus.

Słyszysz pan?

Sluga Warrona.

Za pozwoleniem pana, oczekujemy tu zapłacenia pewnych summ.

Flawiusz.

Niezawodnie, że gdyby złoto tak pewnym było jak wasze czekanie, tobyście je otrzymali. Czemuż nie przynieśliście wówczas rewersów, gdy wasi fałszywi panowie ucztowali przy Tymona stole? Wówczas pieścili się, nie upominali, uśmiechali, pożerając zgłodzonymi ustami procental Z waszą tylko szkodą drażnić mię możecie; dajcie mi przejść spokojnie. Pan mój i ja kończymy nasz zarząd: on wydawać a ja rachować przestaję.

Sluga Lucyusza.

Ta odpowiedź, do niczego nam nie służy.

Flawiusz.

Jeżeli nie służy, to lepsza od was, bo wy służycie łotrom.
(odchodzi).

Sluga Warrona.

Co tam mruczy ten zbankrutowany panicz?

Tytus.

Co tam o to? dość kary dla niego że goły; komuż śmieliej mówić wolno, jeżeli nie temu, który nie ma domu gdzieby głowę przykrył. Takiemu ujdzie, choć drwi z najpyszniejszych gmachów.

(wchodzi Serwiliusz).

Tytus.

No teraz, otrzymamy przecież jaką odpowiedź.

Serwiliusz.

Jeżeli śmiem was prosić dobrzy panowie, przyjdźcie kiedy-indziej, bardzo wam podziękuję za to, bo wierzcie memu słowu,

pan mój nadzwyczaj zmartwiony. Opuściła go myśl wesoła,
i chory łoża pilnować musi.

Sługa Lucyusza.

Nie wszyscy co łoża pilnują, chorymi są. Wreszcie im bar-
dzięj chory jest, tém prędzej długi swoje zapłacić powinien, aże-
by sobie oczyścić drogę ku niebiosom.

Serwiliusz.

Ha, bogowie!

Tytus.

Tego także za odpowiedź wziąć nie możemy.

Flaminiusz z wewnątrz.

Serwiliuszu przybywaj na pomoc! Panie, panie!

(Tymon wypada w szale wściekłości, za nim Flaminiusz).

Tymon.

Co? drzwi moje przedemną zamknięte? Byłem wolny za-
wsze, a teraz dom mój własny ma być wrogiem, który mnie
więził i kaźnią moją! Czy i ta sala poświęcona ucztom, wyszcze-
rza na mnie, równie jak cała rassa ludzka, serce żelazne?

Sługa Lucyusza.

Zaczynaj Tytusie.

Tytus.

Tu panie, jest mój rewers.

Sługa Lucyusza.

I mój!

Hortensyusz.

I mój!

Wszyscy.

I nasz! i nasz!

Tymon.

Więc zamordujcie mię!

Sługa Lucyusza.

Ach panie!

Tymon.

Pokrajcie serce moje na monetę.

Tytus.

Mój rewers na pięćdziesiąt talentów....

Tymon.

Zapłać go sobie krwią moją!

Sluga Lucyusza.

Pięć tysięcy koron panie.

Tymon.

Pięć tysięcy kropel krwi mojej zapłaci. A wy?— a wy?

Sludzy Warrona.

Panie!

Tymon.

Pokrajcie mię na sztuki! A bogowie niechaj was zabiją!

(wychodzi).

Hortensyusz.

No teraz widzę ja, że nasi panowie mogą rzucać czapkami za swemi pieniędzmi; bo te długie nazwać można zrozpaczonemi, które chyba wściekły zapłaci.

(Sludzy wychodzą. Tymon i Flawiusz wracają).

Tymon.

Odetchnąć mi nie dali ci niewolnicy, wierzyciele! djabyły!

Flawiusz.

Drogi mój panie.

Tymon.

A gbybym tak postąpił?

Flawiusz

Panie, panie mój!

Tymon.

Tak być musi. Flawiuszu!

Flawiusz.

Słucham.

Tymon.

Idź, zaprosz znowu przyjaciół: Lucyusza, Lucullusa, Semproniusza: wszystkich. Chcę tych łotrów, raz jeszcze ugościć.

Flawiusz.

O drogi panie! pomieszany twój umysł, radę ci podobną daje. Wszakże nie wystarczyłoby nawet, na najskromniejszą wieczerzę.

Tymon.

Miłoś, rozkazuję ci, zaproś wszystkich. Niech raz jeszcze wedrze się tu ta złoczyńców zgraja. A kucharz mój i ja, postaramy się o przyjęcie.

(ubaj odchodzą).

SCENA V.

Sala senatu.—Senat zgromadzony.

Pierwszy senator.

Panie, wina jego krwawą, ja tak samo głosuję. Musi odpuścić śmiercią, bo nic zbrodni więcej nie ośmiela, jak miłosierdzie.

Drugi senator.

Wielka prawda—niechaj go więc prawo zniszczy!

(Alcybiades wchodzi z orszakiem).

Alcybiades.

Cześć, pozdrowienie i łaska niech będą z senatem!

Pierwszy senator.

Czego chcesz wodzu?

Alcybiades.

Przychodzę błagać cnoty wasze, bo litość cnotą jest praw, tyrani tylko wykonywają je okrutnie. Kaprys okoliczności i losu, dotknął jednego z moich przyjaciół ognistej krwi, popadł on w występki, którego przepaść niezgłębiona, dla wpadających nieostrożnie. Lecz mąż to, odrzuciwszy błąd ten, obdarzony najpiękniejszymi przymioty; żadna ohyda nie splamiła czynów jego, a sława okupi winę. Tylko w najwyższym uniesieniu szlachetnego oburzenia, widząc dobre imie swoje śmiertelnie skażone, porwał się na wroga. I tak powstrzymał gniew swój szalony, z takim niestychanem umiarkowaniem, iż zdawało się że walczy jedynie argumentem.

Pierwszy senator.

Podjąłeś się zbyt trudnego paradoksu, chcąc niecny czyn na piękny przerobić. Prawie usiłowałeś kunsztownym twym słowem morderstwo uznać, zawadyactwo niby waleczność wysłać, gdy przecież jest ona poronioną tylko odwagą, nieodstępującą na krok sekt i stronnictw. Prawdziwie odważnym jest ten, który znosi cierpliwie wszelką obelgę najzłośliwszego wroga, który ją uważa, jak suknię noszoną niedbale, i nie pozwala jej

dotrzedź do serca trująco. Jeżeli krzywda nam wyrządzona, złem jest, popchnąć mogącym do zbrodni, nie szaleństwemże jest, narażać życie swe dla złego?

Alcybiades.

Panie....

Pierwszy senator.

Nie usprawiedliwisz winy tak ciężkiej. Nie nazywa się odwagą zemścić się, ale przecierpić!

Alcybiades.

Pozwólcie mi odezwać się panowie, i przebaczcie gdyż mówię będę jak żołnierz. Dlaczegoż się ludzie narażają nieroztropnie w bitwach? Dlaczegoż nie znoszą wszystkich obelg? Dlaczegoż, nie pozwolą się zarznąć spokojnie i bez oporu wrogowi? Jeżeli tyle tkwi odwagi w zniesieniu, pocóż wychodzimy na pole bitwy? A więc kobiety pozostałe w domu, od nas odważniejsze? a więc jeżeli rezygnacya zwycięża, to osiód waleczniejszy od lwa, a winny obciążony kajdanami mędrszy od sędziego, gdy mądrość w cierpliwości leży? Sędziowie miejcie tyle litości, ile macie potęgę. Kto nie potępia na zimno, czynu gorącego? Zabójstwo przynaję, ostatnim jest stopniem złego, lecz zabójstwo we własnej obronie, sprawiedliwem zwać się może. Gniew do największych zaliczyć trzeba grzechów, lecz gdzież jest ten, który się nie gniewał? A teraz według tych okoliczności, sądzicie zbrodnię.

Drugi senator.

Bronisz daremnie!

Alcybiades.

Daremnie? a czyż usługi jego oddane w Lacedemonii i Byzancyum, nie wykupią mu życia?

Pierwszy senator.

Co przez to rozumiesz?

Alcybiades.

Powtarzam iż dzielnie on służył, nie jednego z waszych wrogów ubił na polu bitwy, a jak walczył w ostatniej jeszcze potyczce, to zaświadcza rany, które zadał!

Drugi senator,

Tak, on za wiele ran zadał, ten buntu zaprzysiężony przyjaciel! Nałóg który mu rozum zatapia, pęta też jego odwagę. Gdyby innych nie miał wrogów, ten jedenby go pokonał. Widziano go, jak się miotał w zwierzęcej wściekłości, i z rokosza-

nami bratał. I to pewnym jest, że pijaństwo jego, nam niebezpieczeństwem grozi, jemu hańbę niesie.

Pierwszy senator.

Umrze!

Alcybiades.

O srogi losie! dlaczegoż nie legł na wojnie?! Dobrze więc, jeżeli nie kwoli jego czynów, jakkolwiek prawa ręka całkiem od winy zwolnićby go mogła, to dla moich, dajcie się wzruszyć, łącząc czyny te w jedno. A ponieważ wiem, że roztropność wieku waszego poręczeń wymaga, więc daję wam w zastaw, zwycięstwa moje i sławę moją, niech staną za jego wdzięczność! Jeżeli za zbrodnię zadłużył życie swe prawu, niech je odda wojnie, dzielnej potyczce, gdyż prawo surowym jest, lecz surowym prawem: wojna.

Pierwszy senator.

Obstajemy przy prawie—umrze! Nie nalegaj, jeżeli uniknąć chcesz naszego gniewu. Przyjaciel czy brat, gdy przelał krew drugiego, odda swoją prawu.

Alcybiades.

Czyż tak być musi? Nie. Błagam was senatorowie, poznajcie mnie!

Drugi senator.

Co?

Alcybiades.

Przypomnijcie sobie, kim jestem.

Trzeci senator.

Jakto?

Alcybiades.

Zapewne,—zapomniała mnie starość wasza, inaczej stałbym tu tak wzgardzony, tak odepchnięty w niewielkiej łasce, o którą proszę? Rany moje, otwierają się na nowo z boleści.

Pierwszy senator.

Śmiesz drażnić gniew nasz? Słaby on może w słowach, ale silny w czynie: dlatego skazujemy cię na wieczne wygnanie!

Alcybiades.

Ja wygnany? Wygnajcie raczej waszą głupotę, wygnajcie lichwę, którą senat shańbiony!

Pierwszy senator.

Jeżeli po dwóch dniach Ateny cię jeszcze ujrzą, natenczas lękaj się surowości naszego sądu, a iżbyśmy większym nie rozgorzeli gniewem, tamten umrze natychmiast.

(wychodzą).

Alcybiades.

Postarzejcie się i złamcie, iżby od szkieletów waszych, oko odwracało się ze wstrętem. Ha, wściekłość mnie porywał! Jam bił nieprzyjaciela wtedy, gdy oni rachowali pieniądze swego boga, i wypożyczali je na lichwę. Mnie wzbogaciły tylko szerokie blizny! A jeszcze tak mi płacą za to! Taki to balsam kładziesz lichwiarski senacie, na rany twego wodza? Wygnanie? Nie gniewam się, ja lubię wygnanie, będzie ono słuszną przyczyną mego gniewu, który uderzy w Ateny. Teraz ożywią ducha mych niezadowolonych żołnierzy, i pozyskam ich serca. Tak, chwałą zwie się z mocniejszym walczyć! Wojownicy w tym podobni bogom, że nie powinni znieść obrazy.

(wychodzi).

SCENA VI.

(Tymona świetna sala, stoły poustawiane, służby naokoło.— Tymona przyjaciele, schodzą się z różnych stron).

Pierwszy z panów.

Dzień dobry panul

Drugi z panów.

A! dzień dobry. Mnie się coś zdaje, że ten godny mąż chciał nas trochę wypróbować.

Pierwszy z panów.

Właśnie gdyśmy się ujrzeli, myślałem to samo. Spodziewam się, że z nim nie tak źle jak udawał, posyłając do przyjaciół.

Drugi z panów.

Dowodzi tego nowa uczta, którą nam daje.

Pierwszy z panów.

Nie inaczej. Posyłał mi natarczywe zaproszenie, chciałem odmówić dla wielu ważnych interesów, ale tak naloگاł, że trzeba się było poddać.

Drugi z panów.

Mnie również wstrzymywały naglące interesa, lecz nie przyjął mojej odmowy. I martwi mnie to, że nie miałem pieniędzy wtedy, gdy przysłał o pożyczkę.

Pierwszy z panów.

Takiż żal uczuвам, zwłaszcza gdy widzę nowy obrót sprawy.

Drugi z panów.

Z każdym co się tu znajduje, było to samo. Wiele on chciał pożyczyć od pana?

Pierwszy z panów.

Tysiąc sztuk złota.

Drugi z panów.

Tysiąc!

Pierwszy z panów.

A od pana?

Trzeci z panów.

Odemnie chciał... ale otóż i on.

(wchodzi Tymon).

Tymon.

Witam was z całego serca, wy szanowni panowie. Jakże się macie?

Pierwszy z panów.

Bardzo dobrze, skoro i Wasza Wielkość ma się nieźle.

Drugi z panów.

Jaskółka nie zdąży radośniej za wiosną, jak my za Waszą Wielkością.

Tymon na stronie.

I nie porzuca spieszniej zimy, jak wy, ludzie podobni tym ptakom! Panowie, nasza wieczerza nie warta tak długiego czekania, lecz napięście tymczasem uszy muzyką, jeżeli odgłos trąb nie razi ich niemile. Zaraz siądziemy do stołu.

Pierwszy z panów.

Mam nadzieję łaskawy panie, że mi nie pamiętasz tego, iż odesłałem sługę z próżnemi rękami?

Tymon.

Ach! godny przyjacielu, niechże cię to nie niepokoi.

Drugi z panów.

Czcigodny panie, chory jestem ze wstydu, że wtedy gdyś do mnie przysłał, żebrakiem prawie byłem.

Tymon.

Proszę nie myśleć o tém.

Drugi z panów.

Gdybyś pan był przysłał, choćby dwie godzinki przedtém...

Tymon.

Niechże to wspomnienie, nie zatruwa panu weselszych myśli. Chodźmy, przynieście wszystko naraz.

Drugi z panów.

Wszystkie półmiski nakrytel

Pierwszy z panów.

Królewska uczta, wierzcie mi.

Trzeci z panów.

Nie wątpię, co tylko złoto i pora roku kupić pozwala.

Pierwszy z panów.

Jakże się pan masz, co słyhać?

Trzeci z panów.

Alcybiades wygnany, wiecie?

Pierwszy i trzeci z panów

Alcybiades wygnany?

Trzeci z panów.

Tak, z pewnością.

Pierwszy z panów.

Jakto, za co?

Drugi z panów.

Ehe, za co?

Tymon.

Szanowni przyjaciele, raczcie się zbliżyć.

Trzeci z panów.

Później powiem wam szczegóły, lecz tu czeka nas przepyszny bankiet.

Drugi z panów.

Zawsze ten sam człowiek.

Trzeci z panów.

Ale długoż to potrwa, długo?

Drugi z panów.

Potrwa, lecz przyjdzie czas, że...

Tzeci z panów.

Rozumiem, rozumiem.

Tymon.

Niechaj każdy zajmie swoje miejsce tak chciwie, jak gdyby się dotknąć miał ust kochanki: lubo będziecie zarówno dobrze usłużeni, gdziekolwiek bądź zasiądziecie. Nie róbcie ceremonii, i niech podczas naszej sprzeczki o miejsca, nie wychłódnie jedzenie. Siadajcie, siadajcie. A najprzód złożmy bogom dzięk: „O wy, wielcy dobroczyńcy, natchnijcie moje towarzystwo wdzięcznością. Pozwólcie na złożenie czci za wasze dary, ale zostawcie sobie zawsze w zapasie kilka dobrodziejstw, aby waszą boskością nie wzgardzono. Udzielcie każdemu tyle, iżby żaden nie miał potrzeby pożyczać od drugiego. Gdyby wasze bóstwa zmuszone były pożyczać od ludzi, ludzie porzuciliby bogów. Sprawcie, iżby ucztę więcej polubiono aniżeli tego, który ją wydaje, iżby się nigdy nie zebrało 20 biesiadników, bez równej liczby oszustów. Gdy dwanaście kobiet zasiądzie do stołu, niech tuzin z pomiędzy nich, zostanie tém, czém są. A co do innych waszych darów bogowie!... niechaj senatorowie Aten wraz z szumowinami ludu ateńskiego!... niechaj ich występki staną się narzędziem ich zguby! A tę resztę mych przyjaciół, ponieważ niczem są dla mnie, nie błogosławcie w niczém, i niech nie będą pożądanymi w niczém! Odkryjcie półmiski, a wy psy, nuże liźcie!

(odkrywają półmiski, pełne wrzącej wody).

Kilku z panów.

O kim mówi Jego Wielkość?

Inni z panów.

Nie wiemy.

Tymon.

Obyście nigdy lepszej nie zaznali uczt, ty szajko przyjaciół gęby! Dym i ciepła woda, oto wasz doskonały obraz! A to ostatni dar Tymona, który dotychczas ożłocony waszemi pochlebstwami, teraz tak się z nich zmywa, plunawszy wam w twarz własną złośliwością, dymiącą się jeszcze! *(pryska im wodą w twarz)*. Żyćcie długo wzgardzeni, a zawsze uśmiechnięci, przebrzydli pieczeniarze, grzeczni mordercy, uprzejmi wilcy, pieszczące się nie-

dźwiedzie; wy, błazny fortuny, przyjaciele półmiska, dzienne mu-
chy, niewolnicy zgięci w pokłonach, dymy, zmienne chorągiewki!
Oby choroba niszcząca człeka i zwierzę, pokryła was jedną sko-
rupą! Odchodzisz, a więc weź z sobą twoje lekarstwo, i ty tak-
że, i ty (*rzuca za nimi półmiskami, i wypędza ich*). Zostańcie,
nie wzmę od was pieniędzy, lecz wam pożyczę. Jakto? wszy-
scy uciekacie? Niechaj się nigdy nie odbędzie uczta, na którą-
by nikczemników nie sproszono! Pałacu, spłou w popioły! Ate-
ny zapadnijcie się w grazy! a ty człowieku i ludzkości cała, stań
się przekłętą Tymonowi! (*wybiega*).

(*Goście wracają z senatorami*).

Pierwszy z panów.

No i cóż panowie?

Drugi z panów.

Czy możecie wytłumaczyć wściekłość Tymona?

Trzeci z panów.

Cyt. Nie widzieliście mego nakrycia?

Czwarty z panów.

Zgubiłem odzienie.

Trzeci z panów.

To waryat, rządzący się czystym kaprysem; kiedyś dał mi
brylant a teraz zrzucił mi go z kapelusza. Nie widzieliście me-
go brylantu?

Pierwszy z panów.

Nie widzieliście mego kapelusza?

Drugi z panów.

Jest tu.

Czwarty z panów.

Tu leży mój kapelusz.

Pierwszy z panów

Wynośmy się czempredźej.

Drugi z panów.

Wielmożny Tymon zwaryował!

Trzeci z panów.

Czuje to w kościach.

Czwarty z panów.

Brylanty darował nam wczoraj, a dziś ciska na nas ka-
mieniami (*odchodzi*).

(*Dokończenie nastąpi*).



O KASSACH POŻYCZKOWYCH NA WZAJEMNOŚCI OPARTYCH.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

W Delitzsch, małym miasteczku Saxonii Pruskiej, liczącym zaledwie sześć tysięcy mieszkańców, p. Schulze urzędnik sądowy w tém mieście zrodzony, założył w r. 1850 zjednoczenie zaliczkowe i kredytowe (Vorschuss und Credit Verein). Uczestnicy wnosić mieli do kassy stowarzyszenia po jednym srebrnym groszu miesięcznie. Fundusz z tego źródła, tudzież z bezprocentowych pożyczek i darów powstały, miał być wypożyczany uczestnikom na procent, a zysk przedsięwzięcia dzielony między niemi w równych częściach. Ta ostatnia zasada odpowiadała równości udziałów w przedsięwzięciu, bo każdy z uczestników obowiązany był wnosić po jednym srebrnym groszu miesięcznie, a nad tę ilość, żadnemu z nich nie było wolno podwyższyć swojej wpłaty.

Założone na tych podstawach stowarzyszenie, w ciągu dwóch pierwszych lat swego istnienia nie osiągnęło pomyślnych rezultatów i bliskiem było swego rozwiązania. Liczba członków ze 117 spadła do 30; kapitał obrotowy wynosił zaledwie kilkaset talarów; zyski były żadne. Trudno było wówczas przewidzieć że stowarzyszenie pod tak niepomyślną wróżbą związane, w krótkim przeciągu czasu nabierze znacznego wzrostu, i co ważniejsza stanie się wzorem na który zapatrując się, powstaną w samych Niemczech tysiączne spółki, liczące uczestników na sta tysięcy, kapitał na miliony, a cyfrę rocznych obrotów na sta miliony talarów; że nazwa miasta w którym to stowarzyszenie powstało, stanie się przydomkiem jego założyciela, którego zdwojone imię Schultze-Delitzsch, będzie sławnem w Niemczech a głośnem w Europie.

P. Schulze przeniesiony na inny urząd opuścił Delitzsch w r. 1851. W tym czasie, dwaj jego przyjaciele pp. Bernhard i Burman założyli w sąsiednim miasteczku Eilenburg podobne deliczowskiemu stowarzyszenie kredytowe, z tą przecież różnicą,

że członkowie poddali się solidarnej odpowiedzialności za zobowiązania spółki, odpowiedzialności, która już z dobrym skutkiem w stowarzyszeniach do nabywania materiałów surowych, założonych przez Schulzego w Delitzsch i Ejlenburgu w r. 1849 zaprowadzoną została, lecz której nie odważono się z początku zastosować do stowarzyszenia kredytowego.

Stowarzyszenie Ejlenburgskie odrazu rozwinęło pomyślną działalność, co p. Schulze przypisuje głównie przyjętej w niem zasadzie solidarności i tę zasadę jak najmocniej popiera. W tym punkcie jest przecież nawet w Niemczech wiele zdań p. Schulze przeciwnych; liczne przykłady przytaczane są na dowód że solidarność nie jest koniecznym warunkiem powodzenia ludowych stowarzyszeń kredytowych.

Cóżkolwiek bądź, p. Schulze za powrotem swoim do Delitzsch w r. 1852, zreorganizował założone przez siebie wegetujące stowarzyszenie; przyjął zasadę solidarności; podnosząc minimum wpłat miesięcznych do dwóch srebrnych groszy, dozwolił nadto wpłat wyższych czyniąc je zależnemi od woli każdego uczestnika. Odpowiednio tej zmianie podział zysków miał odtąd następować w stosunku wysokości wpłat uiszczonych. Wszakże nie porzucono idei równego udziału wszystkich uczestników w stowarzyszeniu. Ztąd wynikło oznaczenie pewnej i jednakowej dla wszystkich członków wysokości udziału, aż do uzupełnienia którego każdy z nich wpłaty czynić był obowiązany, którego przekroczyć nikomu dozwolonem nie było. Dywidendy roczne wypłacane być miały do rąk tym tylko członkom, którzy całkowite udziały swoje wniesli; członkom którzy udziałów swych nie uzupełnili, przypisywać miano dywidendę do wpłat przez nich wniesionych.

Odtąd nowe życie wstąpiło w chylący się do upadku zakład. I liczba uczestników, i ich wpłaty, i cyfra roczna pieniężnych obrotów wzrastały raptownie. Zyski z początku przedstawiały wysoki procent dywidendy i p. Schulze mógł, rozpoczynając w r. 1855 swoje publikacye w przedmiocie ludowych stowarzyszeń kredytowych wskazywać na osiągnięte w Delitzsch rezultaty swojego systemu. Skutki propagandy Schulzego były takie jakimi rzadko może cieszyć się apostoł nowej idei. Nie zbrakło mu wprawdzie i na krytykach, lecz krytyka, jak zwykle, dopomogła tylko do rozgłosu sprawy, nie tamując jój postępu.

Stowarzyszenia kredytowe na wzór Deliczowskiego, z początku z nieufnością widziane przez niektóre władze, przez prawo ogólne w istnieniu swém niezabezpieczone, dostąpiły w dość krótkim stosunkowo czasie rządowego uznania; prawodawstwo postarało się stworzyć formy prawne odpowiednie potrzebom nowej instytucji (1).

(1) W Prusach wyszła ustawa o stowarzyszeniach zarobkowych i gospodarczych w d. 27 marca 1867 r. Tłumaczenie jój zamieściłem w *Ekonomiście* z r. 1868, półroczje Łsze, str. 67—84.

Co do rozwoju tejże, dość przytoczyć, że z końcem roku 1868 było w Niemczech znanych p. Schulzemu 1558 stowarzyszeń kredytowych. Z tych 666 które nadeszły do bióra centralnego swoje bilanse miały uczestników 256,337 z kapitałem 9,365.502 tal., ich fundusz rezerwowy wynosił 865,955 tal.; zaliczeń udzieliły członkom swoim 139,247,793 tal. Dla utrzymania związku między temi stowarzyszeniami założone zostało bióro główne mające pod sobą 26 biór centralnych miejscowych. Powstał nadto w Berlinie w roku 1864 oddzielny bank (Deutsche Genossenschaftsbank) ułatwiający stosunki pieniężne stowarzyszeń zaliczkowych, z kapitałem 270,000 tal. podniesionym w roku 1868 do 500,000 tal.

Ruch który ogarnął Niemcy przeszedł i do innych krajów. W Austrii było w r. 1868, 418 banków zaliczkowych, z czego 357 w Czechach i Morawii; z tych przynajmniej 217 czysto czeskich. We Francji liczono takich stowarzyszeń 323. W Księstwie Poznańskim i Prusach Zachodnich istnieje trzydzieści kilka polskich stowarzyszeń zaliczkowych oprócz niemieckich i mieszanych. W Warszawie nareszcie powstała w r. 1869 kassa pożyczkowa przemysłowców warszawskich, której ustawę p. Kirsztot w dziełku swoim zamieścił i uwagi swoje nad nią podał.

W dzisiejszym czasie ruch na polu finansowém jak każdy ważniejszy objaw życia publicznego odbija się w piśmiennictwie. O Schulze-Delitzsch'a i stowarzyszeniach zaliczkowych, jak naturalnie, pisano najwięcej w Niemczech, lecz pisano téż i za granicą Niemiec. My posiadamy rozprawy i dziełka pp. Trepki (Studia ekonomiczne r 1867 str. 113—155), Łyskowskiego (Przewodnik dla spółek pożyczkowych. Toruń 1870) Romanowicza (Banki rolnicze powiatowe. Lwów 1870) i Kirsztota (O stowarzyszeniach zaliczkowych a w szczególności o kassie pożyczkowej warszawskich przemysłowców 1870).

W Niemczech opozycja przeciwko p. Schulzemu Delitzsch wyszła głównie ze strony socyalistów. Na czele jój był utalentowany, zbyt wczesnie zmarły Lassalle, który nie uznając doniosłości usiłowań p. Schulze-Delitzsch, odmawiał im skutecznego wpływu na los uboższych klass ludności i agitację swoją skierował do osiągnięcia przez te klasy przewagi w życiu publiczném.

Pisarze nasi są bezwarunkowemi, rzec można, zwolennikami stowarzyszeń ludowych. „Trudno zrozumieć” (pisze p. Trepka str. 149) „że obok widocznych rezultatów, obok materyalnych i moralnych wyników znaleźć się mogą nieprzyjaciele téj instytu-

Z małym przerobieniem ustawa ta stała się prawem Związku Północno-Niemieckiego w d. 4 lipca 1868 r. Prawo weszło w wykonanie od r. 1869. Zamieszczone jest w tłumaczeniu w przewodniku dla spółek pożyczkowych p. Łyskowskiego, str. 28—42.

We Francji ustawa o spółkach o kapitale zmiennym, wydaną została w d. 24 lipca 1867.

cy." „Naprawdę” mówi w inném miejscu str. 125 „szukamy cienia obok tyłu światła téj instytucyi.” P. Kirsrot, który w czasie swego pobytu w Niemczech był świadkiem zaciętych walk piśmiennych między Schulzem i Lassallem, powiada we wstępie: „Trzeba się było oświadczyć za jedną lub drugą stroną. Nie wahałem się długo w wyborze. Cyfry i instytucye Schulzego z Delitzsch bardziej przemawiały do mojego przekonania, aniżeli utwory Lassalowskiéj wyobraźni” (wstęp str. 10).

Pojęcia utworzone pod wpływem gorącej walki nie dozwoliły może wzmiankowanemu pisarzom rozpatrzyć wszystkich stron przedmiotu. Nie masz światła bez cienia, a jeśli kto tego ostatniego nie widzi, to tylko dlatego że zawsze od strony światła staje.

Bezwzględne pochwały nie wiele nas nauczą co do istotnéj doniosłości, chociażby najpożyteczniejszój instytucyi. Czasowe powodzenie nie jest także podstawą bezzawodnego sądu. Żadne może instytucye w nowszych czasach nie miały tak głośnego powodzenia co instytucya kredytu ruchomego (*Crédit mobilier*). Upłynęło lat kilka a dziś już upadek większój części tych instytucyj jest tak głośny jak była niegdyś głośną ich pomyślność; potępienie tego rodzaju zakładów należy rzecz można do axyomatów nauki (p. Max Wirth *Handbuch des Bankwesens* str. 586). Takiemu przewrotowi opinii instytucye Schulze-Delitzsch'a zapewne nie ulegną; w pewnej mierze, w dogodnych warunkach będą one zawsze uważane za instytucye pożyteczne. W jakim zakresie pożytek przynieść mogą, to zdaniem mojem w dotychczasowych pracach dostatecznie nie jest wyjaśnioném, i nad tém właśnie zastanowić się zamierzam.

Oceńmy najprzód na podstawie dostarczonych nam przez sam zarząd danych skutki finansowe dotychczasowój ich działalności. Dane te, o ile je mamy pod ręką nie są tak szczegółowe jakbyśmy sobie tego życzyli; w każdym razie i takie jakie mamy mogą wystarczyć do utworzenia sobie o instytucjach kredytowych p. Schulze Delitzsch zasadnego pod tym względem zdania.

Najdawniejsza z tych instytucyj powstała jak nadmieniliśmy w Delitzsch w roku 1850. Dwa pierwsze lata jéj istnienia były nieudatną próbą; uległa reorganizacji na jesieni 1852 r. Odtąd rozpoczyna się nowe jéj istnienie; posiadamy o niej dane jakkolwiek nie zupełne do końca 1868 r., t. j. za przeciąg lat 16.

W tym czasie liczba uczestników która w roku 1852 spadła była do 30, podnosiła się statecznie przez lat 10, aż do końca 1862 r., w którym doszła liczby 515. W dwóch następnych latach liczba członków się zmniejsza, w dwóch dalszych znowu się powiększa, w dwóch ostatnich znowu się zmniejsza, tak że w końcu 1868 roku jest członków 486, t. j. o 29 mniej niż przed sześcią laty.

Jakkolwiek liczba członków się zmniejszyła, to przecież kapitał ich własnością będący ciągle wzrastał, z tą przecież różnicą, że kiedy w latach od 1855 do końca 1863 przyrost przynosił zwy-

kle kwotę 1000 tal rocznie, odtąd cyfra przyrostu maleje i w przecięciu nie dochodzi 700 tal. rocznie.

Summa ogólna zysków wzrasta statecznie (z małym wyjątkiem 1860 r.) do końca 1864 r., w którym dochodzi swego maximum tal. 811; w roku następnym raptownie spada do tal. 467 według tabelli zamieszczonej u p. Kirsztrot str. 66, do tal. 741, według cyfry przytoczonej przez Schulzego Delitscha w wydaniu czwartém jego *Vorschuss und Credit vereine* str. 215; odtąd ciągle się chwieje, lecz pomimo zwiększonego kapitału nie dochodzi cyfry 1864 r.

Zyski odniesione do wysokości kapitału który w rozdziale ich uczestniczy, czyli wysokość dywidendy, daje więcej jeszcze zastanawiający wypadek. Publikacye Schulzego Delitzscha i jego popleczników są pod tym względem bardzo dyskretnie. Tak np. Schulze-Delitzsch w czwartém wydaniu swojego dzieła o zjednoczeniach kredytowych, jakkolwiek wyszłem w roku 1867, daje nam cyfry idące tylko do końca 1861 r. P. Kirsztrot wysokości dywidendy w procentach wcale nie oznacza. P. Trepce zawdzięczamy cyfrę z roku 1864.

Według zaczerpniętych z tych źródeł danych, dywidenda wynosiła w stowarzyszeniu kredytowém w Delitzsch:

za	1853	rok	$33\frac{1}{3}$	%
"	1854	"	$58\frac{1}{2}$	
"	1855	"	$20\frac{1}{3}$	
"	1856	"	15	
"	1857	"	$11\frac{2}{3}$	
"	1858	"	$11\frac{2}{3}$	
"	1859	"	10	
"	1860	"	$9\frac{1}{6}$	
"	1861	"	$8\frac{1}{3}$	
"	1864	"	8	

Ponieważ rok 1864 przedstawia jak nadmieniliśmy wyżej maximum ogólnego czystego zysku, który w następnych czterech latach téj wysokości nie doszedł, i gdy obok tego cyfra kapitału biorącego udział w zyskach ciągle się powiększała, przeto jakkolwiek wysokości rozdzielonej dywidendy w latach 1865-8 w procentach od kapitału oznaczyć nie jesteśmy w stanie, możemy z zupełną pewnością twierdzić że w tych latach roczna dywidenda była znacznie niższą od 8%.

Widzieliśmy ztąd że wysokość dywidendy z początku nader znaczna, spadała ciągle i w ostatnich latach zeszła niżej 8% t. j. niżej stopy procentu, po której instytucya swoim uczestnikom własne ich pieniądze wypożycza.

Lecz nadto całe oznaczenie procentu dywidendy w stowarzyszeniu kredytowém w Delitzsch i w innych na wzór jego utworzonych, jest jak wykazemy zupełnie fikcyjne.

Francuzi trafnie uchwycili istotę stowarzyszeń *à la Schulze* zwąc je spółkami o kapitale zmiennym *sociétés à capital variable*. W istocie to, co je głównie odróżnia od innych spółek jest tworzenie się kapitału w ciągu istnienia spółki częścią przez obowiązkowe, częścią przez dobrowolne wpłaty uczestników. Z tej natury spółki wynika trudność w rozdziale dywidendy, bo udział każdego uczestnika, dopóki ten wkładu swego nie uzupełni, a nawet i później, zmienia się z każdym tygodniem lub miesiącem. Gdy z powodu trudności rachunkowych niepodobna byłoby rozdzielić zysku tygodniowo lub miesięcznie i zysk ten ustanawia się i rozdziela całorocznie, przyjęto w spółkach deliczowskich zasadę rozdziału zysków taką jaka wyrzeczona jest w § 17 Ustawy kassy pożyczkowej przemysłowców warszawskich brzmiącym jak następuje:

Dywidenda rozdziela się tylko na wkłady nagromadzone przed rozpoczęciem roku; pieniądze zaś wpływające w ciągu roku na uzupełnienie wkładu (1) nie biorą się do rachuby aż do następnego roku; przytém dywidenda oblicza się tylko na całkowite ruble.

Według tej zasady uczestnik który np. po wstąpieniu do wspólki, wniesie w ciągu pierwszego roku rubli 12 kop. 50 nie odbiera za ten rok żadnej dywidendy; na rok zaś drugi uczestniczy w rozdziale zysków z kapitałem rubli 12; wnioski jego w roku drugim dają mu prawo do udziału w zyskach roku trzeciego i tak następuje.

Taka zasada przyjęta dla dogodności rachunkowej prowadzi przecież w zastosowaniu swoim, do zupełnie mylnych wniosków o finansowych rezultatach przedsięwzięcia.

Weźmy np. pod rozbiór rachunki kassy deliczowskiej za rok 1853 t. j. za pierwszy rok jej istnienia po zreorganizowaniu. Za ten rok rozdano uczestnikom 33 $\frac{1}{3}$ % od kapitału w dywidendzie i jeszcze oddzielono prawie trzy razy tyle co wynosiła dywidenda, na kapitał rezerwowy. Dodając tę ostatnią kwotę do czystego zysku, wypadłoby że spółka przyniosła w roku 1853 około 130 sta od kapitału!

Rezultat finansowy inaczej się przedstawi, jeżeli zwrócimy uwagę na to: że z początkiem roku 1853 uczestnicy spółki posiadali 47 talarów kapitału i że do tej kwoty dołożyli w ciągu roku 145 talarów, a pomimo to kapitał uczestniczący w dywidendzie wyniósł tylko talarów 25.

Ustanawiając finansowy rezultat przedsięwzięcia należałoby wpłaty roku 1853 w połowie t. j. talarów 72 $\frac{1}{2}$ dodać do kapitału istniejącego w początku roku. Otrzymałibyśmy ztąd na rok 1853 kapitał około talarów 120, który znowu zmniejszyłby nieco wypadło z powodu wycofania zapewne w tym roku wkładów niektórych uczestników.

(1) Wkład czyli udział zupełny wynosi w kassie warszawskiej rsr. 50. Ob. § 6.

W każdym razie przyjąć możemy że kapitał rzeczywisty spółki w r. 1853 był więcej niż cztery razy wyższy od kapitału który wziął udział w dywidendzie.

Gdy przytém stopa procentu udzielanych przez spółkę uczestnikom swoim pożyczek wynosiła naówczas przeszło 14 od sta; gdy spółka która od swój reorganizacji w r. 1852 zaczęła przyjmować obce kapitały na procent, obracała w r. 1853 w stosunku znacznym do swego własnego funduszu pieniędzmi powierzonymi jej przez trzecich na procent zapewne znacznie niższy od stopy jaką sama pobierała, zysk osiągnięty wynoszący dla uczestników $8 \frac{1}{3}$ talarów a z dodaniem odłożonych do funduszu rezerwowego tal. $23 \frac{1}{2}$ wynoszący w ogóle talarów $31 \frac{1}{3}$ nie okaże nic nadzwyczajnego, nic coby za dowód wysokich normalnych rezultatów posłużyć mogło.

Można najzupełniej w błąd ludzi wprowadzić mówiąc im prawdę ale nie całą prawdę. Gdy usłyszano w Delitzsch o dywidendzie $33 \frac{1}{3} \%$ od kapitału, a nie każdy wiedział lub przynajmniej nie każdy zwracał na to uwagę, że kapitał od którego dywidenda obliczoną została nie jest istotną wysokością funduszu spółkowego, lecz że ustanowiony został wedle zasad dowolnie dla dogodności rachunkowej przyjętych, objawił się popęd do uczestnictwa w tak korzystnej instytucji i wpłaty w r. 1854 trzykrotnie przewyższyły wpłaty z r. 1853. A ponieważ z zysków w roku 1854 osiągniętych nic nie odłożono na fundusz rezerwy, więc dywidenda w tym roku wyniosła $58 \frac{1}{2} \%$ od kapitału. Pamiętajmy przecież zawsze na to, że tu mowa nie o kapitale rzeczywistym, ale o kapitale dla dogodności rachunkowej ustanowionym.

Sam Schulze Delitzsch (j. w. s. 215) wymienia jako przyczynę podwyższenia się wpłat w r. 1854 wysokość dywidendy za rok 1853, na $33 \frac{1}{3} \%$ podanej.

Każdy przecież głębiej w rzecz wnikający mógł łatwo już wówczas przewidzieć, że wysokie lat pierwszych dywidendy nie długo potrwają. Uczestnicy spółki i w dalszych latach korzystali z wpłat członków nowo przystępujących lub uzupełniających swoje udziały, gdy te wpłaty w roku ich wniesienia do kasy nie biorą udziału w dywidendzie. Lecz w miarę trwania spółki wpłaty roczne coraz mniejszy stosunek do kapitału dającego udział w dywidendzie stanowić zaczęły, lubo roczna wysokość wpłat się nie zmniejszała. Cóż dopiero gdy po roku 1863 zapał stygnąć zaczął i przyrost wkładów zwolnił. Nadto sama wysokość rozdzielanych z początku dywidend wpłynęła na obniżenie stopy procentu, po której spółka zaliczenia uczestnikom swoim udziela. Stopa ta zeszła do 8% ; gdy procent płacony od kapitałów przez trzecich spółce powierzanych, odpowiednio się nie zniżył, zysk na obrocie tych kapitałów zmniejszył się lub nawet zupełnie znikł. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że gdy stowarzyszenie weszło w stadyum swego stanu normalnego, ten jak widzieliśmy zbyt pomyślnych rezultatów nie przedstawił.

Stan ogółu stowarzyszeń kredytowych stwierdza cośmy szczegółowym rozbiorem co do spółki w Delitzsch wykazali. W spółkach tych, w stadyum ich początkowym dywidenda liczy się na wysokie procenta; z postępem czasu, z konieczności rzeczy zmniejszać się musi i rzeczywiście się zmniejsza, co sam Schulze Delitzsch przyznaje.

W końcu dzieła Schulzega o stowarzyszeniach kredytowych (wydanie trzecie) zamieszczony jest bilans 133 spółek za r. 1860. W bilansie tym procent dywidendy podany jest tylko co do 24 spółek, które wykazują cyfry dość wysokie. Było to świeżo po ich założeniu.

W bilansie za rok 1868 odnoszącym się do 666 spółek zamieszczonym w dziele Wirth'a s. 554—555, kapitał spółek pruskich podany jest na 5,768,569 tal.; rubryka *anticipando Zinsen*, co zapewne oznacza przedpłatę na dywidendę, podaje 87,808 tal., a zysk z końcem roku nierozdzielony tal. 230,677. Gdy z bilansu nie wykazuje się ani jaki był rzeczywisty kapitał tych spółek w przecięciu roku 1868; ani jaka wysokość kapitału uczestniczyła w dywidendzie, nie można na jego podstawie oznaczyć z ścisłością ani istotnego rezultatu finansowego przedsięwzięcia, ani wysokości przecięciowej dywidend obliczanych wedle zasad rachunkowych stowarzyszeń. Wszakże ani pierwszy, ani druga nie przedstawiają się zbyt korzystnie. To samo rzecz można i o spółkach po za obrębem Prus istniejących.

Na tym zapewne bilansie oparł się Wirth, wynurzając swoje zdanie, bez bliższego zresztą uzasadnienia (s. 557), że stowarzyszenia kredytowe, na deliczowskić zasadzie, nie przedstawiają pod względem finansowym wyższć korzyści, nad zwykłe, założone na akcye kassy oszczędności i pożyczkowe, i że dotychczas banki szkockie doskonalej załatwiają obrót pieniędzy i kapitału, niż jakibądź inny systemat bankowy (bank-complex) na świecie.

Zdanie to uważam za zupełnie zasadne; skłonny jestem także podzielić zdanie Wirtha, że zadziwiający wzrost stowarzyszeń kredytowych w Niemczech, przypisać należy głównie postępowaniu tamecznych domów bankierskich które „przed rzemieślnikami i kramarzami drzwi zamykały” (Wirth s. 547).

W Szwajcaryi gdzie systemat bankowy jest szeroko rozwinięty, gdzie kassy oszczędności są urządzone na wzór banków depozytowych, trudno było, mówi Wirth, zjednać wstęp stowarzyszeniom w rodzaju Deliczowskiego.

W samych Niemczech nawet rozpowszechnienie spółek nie zdaje się być jednostajne; królestwo i prowincya Saskie, Brandenburg i Szląsk dostarczyły według bilansu za rok 1868 połowę wykazanego ogólnego tych spółek kapitału. Wszakże bilans obejmuje tylko część spółek; nie można więc na nim stanowczych opierać wniosków.

Ze stanowiska finansowego możnaby podać jako ogólne prawidło służące do ocenienia działalności wszelkich stowarzyszeń

wzajemnego kredytu, a do tych należą i spółki deliczowskie, że działalność tych stowarzyszeń jest o tyle tylko finansowo korzystną, o ile są w stanie udzielać swoim uczestnikom kredytu na niższą stopę procentu niż wynosi stopa dywidendy. W przeciwnym razie uczestnik zapożyczając od stowarzyszenia wkład przez siebie wniesiony, więcej płacić musi niż od wkładu swego pobiera. Widoczna że w takich warunkach lepiejby na tém wyszedł, gdyby wkład w swoich rękach zatrzymał, mianowicie, jeśli nie potrzebuje wyższego kredytu niż wynosi jego wkład.

Ocenienie według tego prawidła stowarzyszeń kredytowych deliczowskich nie w pierwszych latach ich istnienia, lecz w późniejszym normalnym stanie, po większej części nie wypadłoby na ich korzyść. W większych miastach niemieckich zmieniły one swój charakter; stały się istotnemi bankami eskontowemi, służąc już nie klasie najuboższej, lecz przemysłowcom średniej zamożności. Postawione w takich warunkach, mogą przy trafnym zarządzie stałe przynieść swoim członkom odpowiednie korzyści, lecz widocznie ich uczestnicy mogliby takie same korzyści osiągnąć umieszczając swoje kapitały w zakładach kredytowych innego rodzaju.

Co do centralnego banku stowarzyszeń kredytowych, ten w pierwszym roku dał swoim akcyonaryuszom 4, w drugim 5 $\frac{1}{4}$ procentu. Dywidenda na przedsięwzięcie bankowe dość skromna, nie dochodząca średniej stopy otrzymywanych przez inne banki zysków.

Spółki deliczowskie udzielają pożyczek tylko należącym do nich uczestnikom. Ograniczając w ten sposób zakres swojej działalności, tém samém stawiają się w niekorzystnym stanowisku względnie do innych zakładów kredytowych żadnym ograniczeniem nie związanych. Ztąd w normalnym stanie tych spółek, zyski ich z natury rzeczy muszą być niższe od zysków spółzawodników. Jeżeli z początku ludźmi powszechność wysokim procentem dywidendy, to wykazaliśmy że ten rezultat otrzymany jest dla jednych uczestników kosztem drugich. Szczególny zaiste rezultat przedsięwzięcia, które właśnie założyło sobie za cel uwolnić swoich uczestników od wyzyskiwania przez kapitalistów.

Kto się stawia w sprzeczności z naturą rzeczy, zawsze w końcu dochodzi do skutku wprost przeciwnego temu jaki zamierzył osiągnąć. Schulze-Delitzsch z początku chciał, jak się dziś mówi, wyzwolić pracę od wyzysku kapitału; chciał dać do ręki kapitał tym którzy go nie mieli, a zyski dzielić między wszystkich uczestników zupełnie na równi. Rezultat wypadł że nie było ani kapitału ani zysków.

Reorganizując swój zakład, Schulze odstąpił od zasady bezwarunkowej równości; uznał nierówność za konieczną z początku; postanowił że zysk ma być dzielony w stosunku wpłat rzeczywiście uiszczonych; równość udziałów przecież pozostawił jako ideał, jako cel do którego dążyć należy; ustanowił wysokość udziału dla wszy-

stkich jednakową, do której jednak dopiero z czasem, jedni pierwiej, drudzy później przyjsć mieli.

Wynikło ztąd, że z początku dopóki nierówność była wielką, dopóki mała ilość uczestników uzupełniła swój udział, bogatsi, dawniejsi członkowie ciągnęli wielkie zyski kosztem uboższych, późniejszych. Gdy nierówność zmalęła a wkłady członków się zwiększyły, zyski przedsięwzięcia spadły i z natury rzeczy zejda niżej średniej stopy zysków otrzymywanych przez inne zakłady kredytowe.

Wcale nie myślimy odmawiać dla tego zasługi usiłowaniam Schulze-Delitzscha. Wykażemy poniżej ich dobre strony. Ale nie można zataić: że przymieszanie fałszywych idei ekonomicznych, że dążenie do celów z naturą rzeczy niezgodnych, wywarło odrazu niekorzystny wpływ na stowarzyszenia ludowe Delitzsch'a i nie dozwoli im wyrównać swobodnemu i żadnem dowolnem ścieśnieniem nie skrępowanemu działaniu instytucyj bankowych.

W sferze stosunków ekonomicznych, osobisty każdego interes jest głównym i najtrwalszym, chociaż nie wyłącznym, chociaż innemi ważnemi względami miarkowanym bodźcem i dźwignią działalności. Gdzie tego bodźca niema, działalność pod wpływem innych pobudek, może przez czas jakiś pomyślnie się rozwijać, może nawet z początku dojść do zadziwiających rezultatów, lecz zakres w którym to nastąpi będzie zawsze ścieśniony a trwałość powodzenia bardzo rzadką.

W ciekawém dziele Dixona p. t. Nowa Ameryka (New America) mamy opis kilku sekt, nawet w tym kraju sekt dziwacznością swoją uderzających, które usunięcie interesu osobistego za zasadę sobie położyły a pomimo to cieszą się wielką materyalną pomyślnością.

Lecz *nil novi sub sole*, podobne zjawiska nie są bez przykładu i przyszłość ich dość łatwo oznaczyć się daje; zapał sekciarski słabnie w miarę zwiększenia się liczby adeptów; działalność wolnieje; materyalna pomyślność znika; powstają niezgody i stowarzyszenie upada.

Nie tylko przecież religijne lecz i inne związki mogą nadać pewnemu, zawsze dość szczupłemu gronu tak silną spójnię, że bodziec interesu osobistego da się w nim zastąpić w stosunkach ekonomicznych, uczuciem interesu ogólnego.

Z początku w takiem stowarzyszeniu rzeczy idą dobrze lub przynajmniej znośnie; w dalszym przebiegu stowarzyszenia na takiej zasadzie oparte ustępują przed spótzawodnikami, którzy na interesie osobistym oparli swoją działalność. Wytężona czynność zwycięża ospałą stagnację; zabiegłość choć czasem samolubna więcéj się przyczynia do ogólnej pomyślności, niż ani swego, ani ogólnego interesu nie pojmująca gnusność.

Z licznych przykładów jakie historia finansowa w téj mierze pastercza, wskażemy niektóre bliższego dla nas interesu.

W Prusach, w tych jeszcze czasach kiedy posiadanie większych obszarów ziemi było wyłącznym przywilejem jednego stanu, kiedy posiadaciele dóbr rycerskich, jak ich nazywano, stanowili rodzaj kasty wyłącznej; tradycjami, stanowiskiem prawnem i troskliwością o utrzymanie swoich przywilejów, silnie z sobą związanęj; powstały, nie bez pomocy rządowej, stowarzyszenia kredytowe większych właścicieli, na zasadzie solidarności oparte, licznemi przywilejami nadane, tak zwane Landszafty.

Powodzenie tych stowarzyszeń było z początku świetne; chwalone je, uwielbiano nawet: stawiano za wzór i naśladowano za granicą Prus.

Z czasem kiedy posiadanie ziemi przestało być przywilejem jednego stanu, spójność uczestników tych stowarzyszeń osłabła, lubo w Prusach przynajmniej, wcale jeszcze nie znikła. W ogólnym postępie stosunków ekonomicznych i instytucyj kredytowych, Landszafty jakoś nie mogły nadażyć za drugimi i wyrównać kroku; przypisywano to różnym okolicznościom; starano się poprawić ich ustawy, udokładnić zasady taksy, podnieść wysokość pożyczek do dwóch trzecich części wartości dóbr a nawet wyżej; lecz przy tém wszystkiem nie można było utaić przed sobą, że potrzeby kredytowe ciągle wzrastają a Landszafty coraz mniej zaspokoić je są w stanie.

Nareszcie zaczęły się objawiać, z początku nie śmiało, zdania podające w wątpliwość pożytek tych instytucyj; a dziś już w gronie samych uczestników, nie brak głosów które je o szkodliwość obwiniają i wcale nie świetne w Prusach położenie właścicieli ziemskich im głównie przypisują.

W roku 1854 pisał radzca najwyższego trybunału Meyer, jedna z powag sądowych pruskich:

„Zachodzi pytanie czy instytucya listów zastawnych tak jak istnieje, z niepomiernemi przywilejami Landszafty, jest rzeczywiście tyle kredytowi rzeczowemu pomocną jak się to na pierwsze wejrzzenie wydaje” (1).

W szesnaście lat później, w roku bieżącym, jeden z właścicieli ziemskich w Prusach, odzywa się jak następuje:

„Dzisiejsze Landszafty są właśnie powodem dla którego tak trudno jest dostać pieniędzy. Jest tylko jeden sposób lekkomyślnego zadłużenia się: przystąpić do Landszafty... Mniemano że mo-

(1) P. Die preussische Hypotheken und Subhastationsgesetzgebung. Ihre Principien, ihre Maengel und deren Abhuelfe von Meyer Koeniglichem Ober-Tribnals Rathe. Berlin. Veit und Comp. 1854, str. 45.

Przywiedziony w tekście ustęp brzmi w oryginale: Ohnehin bleibt es fraglich ob das Pfandbrief Institut, wie es besteht mit seinen ungemessenen Vorrechten fuer die Landschaft dem Real-kredit in der That so foerderlich sei, als es auf den ersten Anblick scheint etc.

zna przyjść w pomoc wschodnim prowincjom przez Landszafty; zrujnowano je przeto" (1).

Ważniejszym objawem niż te pojedyncze zdania jest: że w najnowszych czasach coraz liczniej w Prusach, owéj kolebce Landszaftów, tworzą się banki hypoteczne na akcye. Nie powiemy iżby przez ich utworzenie kwestya kredytu rzeczowego stanowczo rozwiązana została: to pewna przecież że opinia publiczna coraz więcej na stronę ich się przechyla.

Podobnie w Galicyi gdzie w roku 1843 powstało stanowe towarzystwo kredytowe na zasadzie wzajemności oparte; kredyt rzeczowy zaczyna przechodzić w ręce zakładów kredytowych na akcye założonych. Bank hypoteczny Galicyjski zawiązany w r. 1866 coraz szerzej rozwija swoją działalność.

Widzimy że pod względem kredytu rzeczowego forma wzajemności, forma pierwotna, zaczyna wszędzie niemal ustępować miejsca formie towarzystw na akcye. W téj ostatniej formie instytucye kredytu rzeczowego przeszły do Francyi (Crédit foncier) (2).

Podobnie rzecz się ma w zakresie tak ważnych w dzisiejszych czasach ubezpieczeń. Wzajemność, gdzie nie jest na przywileju oparta, albo gdzie nie zachodzą szczególne okoliczności, nie może wytrzymać współzawodnictwa na tém polu z towarzystwami założonemi na akcye, które nieraz odnosząc same znakomite korzyści, wpłynęły przecież niezaprzeczenie na obniżenie stopy ubezpieczeń.

W roku 1860 powstało w Krakowie Towarzystwo ubezpieczeń na wzajemności oparte. Po roku jego istnienia odezwał się głos znamionujący wcale niezwykłą u nas znajomość przedmiotu, dający towarzystwu śmiałą radę aby z towarzystwa wzajemnego, przekształciło się na towarzystwo akcyonaryuszów. Autor (3) nie zaprzeczał że galicyjskie towarzystwo nie mogło się inaczej w danych okolicznościach, tylko jako wzajemne ukonstytuować; lecz

(1) P. Vertretung und Credit des Grundbesitzes von H. v. H. auf T. Berlin. Stuhr. 1870, str. 40—41.

Ustęp brzmi w oryginalne:

„Die jetzigen Landschaften sind gerade der Grund weshalb so schwer Geld zu bekommen ist. Es gibt nur eine Art leichtsinnigen Schuldenmachens: man nehme Landschaft auf... Man hat geglaubt den oestlichen Provinzen durch die Landschaften nuetzen zu können: man hat sie dadurch ruinirt etc.

(2) Inną zupełnie drogą poszły Włochy. Tam obroty kredytu rzeczowego powierzone zostały prawami z d. 14 czerwca 1866 r. i 11 sierpnia 1867 r., sześciu instytucjom dobroczynnym lub publicznej użyteczności. P. Relazione della Commissione Parlamentare d'inchiesta sul Corso forzoso dei Biglietti di Banca. Firenze. 1869. I, str. 87—94.

(3) Patrz broszurę p. t.: Galicyjskie Towarzystwo zabezpieczenia na akcye, napisał Herman Mises. Lwów 1862.

słusznie uważał, że jakkolwiek towarzystwo w pierwszym roku z zaskakującą szybkością się rozwinęło, i z powodu rzadkich przypadków ognia w tym roku, osiągnęło świetne rezultaty; to przecież nie dawało żadnej rękojmi na przyszłość, gdy jak nadmienić, z jednym wyjątkiem, towarzystwa ubezpieczeń na wzajemności oparte, po krótkim powodzeniu zawsze albo zbliżały się do upadku albo mozołnie wegetowały.

„Wzajemność, mówi autor, jest najpierwotniejszą formą idei zabezpieczenia, a nawet w zarodku była z nią identyczną; lecz skoro tylko assekuracja na wyższym stopniu doskonałości stanie, musi wzajemność ustąpić miejsca spekulacji (rozumie przez to autor formę towarzystw na akcye) która jedynie i wyłącznie jest zdolną, zasady z doświadczenia wynikające doprowadzić do prawdziwego i pewnego rozwoju”.

Głos ten przebrzmiał bez echa. Towarzystwo nie korzystało z udzielonej mu rady. Działalność towarzystwa nie wywołała przecież ogólnego zadowolenia, jak się zdaje, skoro właśnie obecnie zawiązało się we Lwowie towarzystwo ubezpieczeń na akcyach, które za nader groźnego spółzawodnika dawniejszej na wzajemności opartej instytucji musi być uważane, skoro temu spółzawodnictwu usiłowała zapobiedz decyzja tamecznego towarzystwa kredytowego, także instytucji wzajemnej, nakazująca stowarzyszonym ubezpieczać się w Towarzystwie Krakowskim.

Pozwoliliśmy sobie tego zboczenia, żeby uwydatnić przykładami z różnych sfer czerpanemi, które łatwo byłoby pomnożyć, rolę jaką w ogóle rzecz biorąc, odgrywają w stosunkach ekonomicznych, stowarzyszenia na wzajemności oparte. Zarząd tych stowarzyszeń najczęściej bywa uczciwym i pełnym dobrych chęci, rzadziej oszczędnym, pomysłowym i energicznym prawie nigdy.

Forma tych stowarzyszeń odznacza niski stan rozwinięcia stosunków ekonomicznych bądź w całym kraju, bądź w pewnych warstwach społecznych, i znika przy wyższym stopniu uspołecznienia.

W nowszych czasach usiłowano rzecz starą jak świat odświeżyć, odwołując się do zasady samo pomocy, *self-help*.

Ale wywodzić z zasady własnej pomocy formę stowarzyszeń na wzajemności opartych, jest zdaniem mojem bardzo fałszywem pojęciem téj zasady.

Własna pomoc nie polega na tém, żeby każdy sam lub na spółkę był swoim bankierem, tak samo jak nie wynika z téj zasady żeby każdy sam lub na spółkę robił sobie obuwie, odzienie, handlował wiktuałami i t. p. W takiem rozumieniu własna pomoc byłaby zniesieniem zasady podziału pracy, będącej podstawą ekonomicznego rozwoju.

Ale zdarzyć się może że gdzie np. systemat bankowy nie osiągnął kończyn społeczeństwa i zatrzymał się w wyższych jego warstwach, pożądanem jest czasowo uzupełnić niedostateczną dzia-

łałość tej gałęzi przedsiębiorstw, na jakiegokolwiek się to da osiągnąć drodze. Gdzie nie ma banków dla klas niższych, mogą w porę przychodzić stowarzyszenia zaliczkowe budząc w tych klassach uśpioną ekonomiczną działalność.

«Korzyści moralne, mówi p. Łyskowski (j. w. s. 4), jakie spółki pożyczkowe przynieść są zdolne, leżą jak na dłoni. Dość tu napomknąć że członek podobnej spółki obznajmia się z godziwym i umiejętnym obrotem interesów pieniężnych, przywyka do odkładania, uczy się porządku i akuratności w uiszczaniu się, czując się pod kontrolą najsilniejszej ze wszystkich opinii, bo rowieników i sąsiadów swoich; zapoznaje się z tajemniczą potęgą choć drobnych, byle licznie i zgodnie działających sił zbiorowych. Spółki podobne kształcą wreszcie obywateli, podnosząc poczucie godności człowieka, czującego się członkiem żywym i przydatnym organizmu, opartego w działaniu swém na własnych siłach, na własnym rozumie i przemyśle.»

Taką szkołę kształcenia się otworzył Schulze-Delitzsch przez swoje zjednoczenia kredytowe i to jest jego wielką zasługą. Przeszedłszy tę szkołę uczestnicy spółek będą mogli z korzyścią dla siebie używać pośrednictwa instytucji bankowych odpowiadających wyższemu stopniowi uspołecznienia niż zjednoczenia kredytowe na wzajemności oparte.

Oprócz tego ważną korzyścią stowarzyszeń kredytowych jest, iż pożyczając kapitał od obcych po tańszej cenie niżby to pojedynczy ich członkowie uczynić zdołali, udzielają kredytu stowarzyszonym na warunkach zbliżonych do kredytu bankowego i chronią ich od zdiekczej lichwy. Na sprzedaniu drożej tanio otrzymanego kredytu, wyraża się trafnie p. Łyskowski, polegają przeważnie zyski każdej instytucji pieniężnej. Tak zwany lichwiarz zwykle tylko swoje pieniądze wypożycza, albo jeżeli obcemi się zasila, przychodzi mu to po wysokim cenie. Drogo otrzymany kredyt musi drogo przedawać, czyli brać niepomierne procenta. Spółki pożyczkowe kupują kredyt po tańszych cenach, mogą więc go taniej przedawać, ale w tej mierze nie staną na równi jak to sam Schulze-Delitzsch przyznaje, z instytucjami bankowemi.

Jeżeli nakoniec stowarzyszenia na wzajemności oparte uważać zechcemy nie jako stopień przechodni, korzyści moralne uczestników głównie na celu mający, ale czysto pod względem ekonomicznym, to zdaniem mojem właściwy ich zakres określają dwa główne warunki.

Do korzystnego istnienia takich stowarzyszeń potrzeba najprzód:

Aby się zawierały w szczupłych kółkach osób związanych z sobą przez związki rodzinne, koleżeńskie, sąsiedzkie i t. p., tak ażeby wzajemna życzliwość członków zastąpić mogła brakujący bodziec interesu osobistego.

Potrzeba powtórze: ażeby zarząd tych stowarzyszeń mógł być wykonywany jako zatrudnienie poboczne. Każdy niemal w jakimkol-

wiek zawodzie pracujący ma zbywającą pewną część czasu którą z pożytkiem dla drugich, bez wielkich wymagań i znużenia dla siebie, może poświęcić innemu niż zwykłemu swemu zajęciu. Jeżeli tę część czasu zużytkuje w zarządzie stowarzyszenia na wzajemności opartego, może to mu przynieść niejaką korzyść, a w każdym razie będzie to dla niego jednym węzłem więcej łączącym go ze społeczeństwem, dodatkową zasługą jaką dla drugich położy.

Taka zdaje mi się być normalna doniosłość w sferze stosunków ekonomicznych, stowarzyszeń na wzajemności opartych. Czasowo jako stan przechodni, doniosłość ich może być wyższą, lecz gdy na tym stopniu przejścia chcą zatrzymać rozwój ekonomiczny, może się czasem zdarzyć iż przyniosą więcej szkody niż pożytku.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Najnowsze publikacje niemieckie: „Eisass und Lothringen sind und bleiben unsern, von Wolfgang Mentzel. Eisass und Lothringen, und ihre wiedergewinnung für Deutschland, von prof. Dr. Adolf Wagner. Eisass und Lothringen, von Adolf Smith ord. prof. an der Uniwer. von Jena”.—Sławna Biblioteka Strasburska.—Margrabia de Pombal, przez Luiza Gomez.—Brewiarz króla pruskiego przez Juliusza Janin.—„En Autriche”, przez Ludwika Deprés.—Missya kobiety w czasie wojny, przez panią William Monode.—Dla ranych: scena dramatyczna E. Manuela.—Zmarła księżniczka Amalia, siostra króla saskiego.

Stało się jakieśmy przewidzieli. Policzeni do gąb nieużytecznych, pożegnaliśmy Paryż, i oto znajdujemy się w Wiedniu, téj starożytnéj *Windobonie*, w kraju Gallów lub Celtów. Opuściliśmy więc Gallią, a oto jesteśmy znów w Gallii, w ziemi *Rakatrów*, których nazwa przechowała się dotąd, w nazwie dzisiejszych Rakuszan. Całe teraźniejsze cesarstwo austro-węgierskie było zajęte przez Gallów: *Bojowie*, mieszkali w Czechach, na południe *Rakatrów*, przebywały inne znów pokolenia galskie. Nazwy Bohemów, Rakuszan, do dziś dnia przechowane, przypominają te odwieczne pokrewieństwa starożytnych tutejszych mieszkańców, z tubylcami z nad Sekwany i Loary.

Taki stan rzeczy istniał na kilka wieków przed Chrystusem. Im więcej starożytnicy zagłębiają się w badaniach, nad ludami Europy, tém silniejsze wykazują dowody, tego szerokiego panowania Gallów, na które pierwszy zwrócił uwagę znakomity uczeń Surowieckiego Szafarzyk, w swoich *Starożytnościach słowiańskich*. Onto pierwszy wprowadził do historii Rakatrów i Bojów i Omblanów, jako przedstawicieli galskich na ziemiach Słowian.

Wiedeń od dawna nam znany. Byliśmy tu już nieraz, i nieraz zwiedzaliśmy tutejsze osobliwości; dziś jednak wydaje nam się jakby nowym. A i ten świetny Dunaj inaczej dziś na nas spogląda... i my wzajem inaczej nań patrzymy! Naturalny to skutek zewnętrznych wpływów, działających na nasz pogląd. Zdarzenia zaszły nad Sekwaną, dają nowe pobudki do myślenia. Cały świat europejski wstrząśnięty do gruntu, jak wówczas, gdy zorza wieków średnich, krwawą łuną pożarów zabłysnęła mu w oczy! i dziś, jak wówczas, ludy niby nagle przebudzone ze snu, pytają same siebie: Gdzie my? i jak wówczas, szukają nowych dróg, nowych bussoli! dla kierowania się w nowym życiu dziejowym, stosownie do nowych potrzeb i okoliczności!... Szczęśliwie jeszcze te, które pytają i szukają, których umysł zachowa trzeźwość i moc odpowiednio wielkim wymaganiom chwili!

W dzisiejszém wstrząśnieniu umysłów, powstało wiele pytań naukowych. Reformatorowie mający prawo do téj nazwy, równie jak utopiści, patrzą, na czas obecny, jako na chwilę sposobną do urzeczywistnienia ich pomysłów, tak w świecie fizycznym, jak politycznym, moralnym i społeczeńskim.

Alzacya i Lotaryngia! oto hasło które dziś porusza tysiące umysłów, zapala miliony serc. Uważamy też za właściwe, zwrócić uwagę na niektóre przynajmniej pytania dotyczące tego, tak ważnego przedmiotu. Ograniczamy się ra przedstawieniu rzeczy, ze stanowiska czysto naukowego. Zobaczymy jak oceniają tę sprawę najnowsze publikacye niemieckie. Jesteśmy tu prostemi sprawozdawcami.

Z mnóstwa pism w tym przedmiocie, wybieramy trzy, gdyż te skupiają w sobie wszystkie odcienia opinii, w téj panującej dziś a tak żywotnej sprawie.

Jedno z tych pism ma tytuł: *Alzacya i Lotaryngia są i pozostaną naszymi*. Pismo to wydane przez Wolfganga Mentzla, charakteryzuje sposób patrzenia na rzeczy stronnictwa, przeważającego dziś w Niemczech. Autor wypowiada jasno swoje zdanie. Na pierwszej zaraz stronnicy, zaczynającej rozdział p. t. *Nasze prawa do Alzacyi i Lotaryngii*; wyraża się w ten sposób:

„My Niemcy odbieramy Alzacyą i Lotaryngią, i zatrzymujemy te kraje, na prawie mocniejszego, (nach dem Recht des Stärkeren), na prawie podboju (nach dem Eroberungsrecht), na prawie odbioru własności; na prawie naturalném pokrewieństwa, nakoniec na prawie zachowawczém, to jest dla lepszego niż dotąd zabezpieczenia się przeciwko złemu sąsiadowi”.

Następnie autor usprawiedliwia swój sposób widzenia, mówiąc że Francuzi w XVII wieku zabrali te kraje przy pomocy zdrajców niemieckich; „dziś przecież my silniejsi od Francuzów, a więc przy nas jest prawo. Na usprawiedliwienie nasze, dość nam powiedzieć: „jak ty mnie, tak ja tobie! (wie du mir, so ich dir. str. 6)”.

Domyslają się czytelnicy nasi, że przy takich postawionych z góry argumentach, trudno rozumować naukowo. To też zostawiamy pismo Wolfganga Mentzla do dalszych uwag; ograniczamy się tylko na jedną, aby pokazać jak stronnictwo reprezentowane przez autora, zapatruje się na niektóre zdarzenia historyczne.

Stronnictwo to zarzuca zdradę wszystkim prawie książętom niemieckim, od XI już wieku. „Między tymi zdrajcami książęcymi—mówi Mentzel, występują nasamprzód Gwelfy, których potomkowie w Hanowerze, jeszcze za dni naszych, spiskowali przeciwko Niemcom. W XII wieku, Gwelfowie stają po stronie papieża, przeciw cesarzom niemieckim.”

Dom Habsburski policzony niemniej do kategorii zdrajców. Kiedy książęcy dom Gwelfów osłabił się podziałami, dom Habsburgów przejął jego rolę. Rudolf Habsburski kupił sobie cesarską koronę u papieża i u króla francuzkiego, upokarzającem czółganiem i obietnicą, że będzie służył wiernie interesom Rzymu i Francji. Przyrzeczenia tego dopełniał on również jak i jego następcy. Autor widzi w prześladowaniu Szwajcarów, przez Habsburgów, dowód nienawiści tegoż domu ku Niemcom. Za inne dowody, uważa przyjęcie korony tak czeskiej jak i węgierskiej! Dom tylko Hohenzolernów pozostał według autora wiernym posłannictwu narodowemu!

Zobaczmy teraz sposób widzenia szkoły zowiącej się *legalną*, przynajmniej w znaczeniu naukowem. Wyrazem jej, jest pismo prof. Dr. Adolfa Wagnera: *Alzacya, Lotaryngia i ich powrót do Niemiec*. Sam tytuł pierwszego rozdziału, wybornie określa tę *szkołę prawną*. „*Gegen Frankreich nicht gegen Napoleon!*” W odpowiedzi na odezwę rządu obrony narodowej we Francji, która jak wiadomo, przypominała wyrazy króla Wilhelma, iż prowadzi wojnę nie z narodem francuzkim, ale z Napoleonem, *Szkoła prawna* odpowiada: „Nie oszukujmy się, naszym wrogiem Francya, lud francuzki, nie zaś Napoleon”.

Długie pasmo wywodów o prawach Niemców do Alzacyi i Lotaryngii, autor zaczyna od wykazania pierwszeństwa ludów germańskich nad romańskimi i słowiańskimi. Pierwszeństwo to widzi w większem stosunkowo rozradzaniu się ludności niemieckiej, co u niego jest dowodem wyższości cywilizacyi. Poświęcił na te wywody znaczną część pracy swojej. Przechodząc do szczegółów, tak określa prawa Niemców do dwóch prowincyj francuzkich: „Opieramy się na zasadzie narodowości, na starożytnej jedności tych krajów z cesarstwem niemieckim, na zasadzie naturalnych granic, naostatek na prawie konieczności, nakazującym zabezpieczenie granic naszych od złego sąsiada”.

Główną cechę narodowości, stanowią według autora języki. Uważa jednak że narody mogą je zmieniać. Pokazuje tego dowód na mieszkańcach miast Metz i Belfort, również jak ioh okolic. „Mieszkańcy Metz, mówi, już w XVI wieku, w wielkiej wię-

kszości zarzucili swój język niemiecki, a przyjęli francuzki jako narodowy. Tu zatem prawo narodowości powinno ustąpić potrzebom strategicznym". Nawet Szampania, podług autora, jest z pochodzenia, ze krwi niemiecką, ale ludność tutejsza oddawna przyjęła język francuzki, a zapomniała własnego (str. 25). Professor Wagner zostawia przecież Szampanią Francuzom. Co do Metz utrzymuje, że oddalony tylko o dwie mile od miejsca gdzie panuje u ludu język niemiecki, z łatwością da się zniemczyć. Odrzuca myśl wcielenia całej Lotaryngii, tłumacząc się w ten sposób: „Zapominają ci którzy domagają się tego wcielenia, że Lotaryngia jeszcze przed połączeniem się z Francją, była w większej części zfrancuzioną.”

Co do języków w Lotaryngii niemieckiej i w Alzacyi, autor robi uwagę, że język francuzki jest tu salonowym i ogólnie powszechnym. Liczy on przecież na to, iż upokorzenie Francuzów, wpłynie pomyślnie na rozwój niemczyzny w tych prowincjach.

Professor zbija opinie pewnej części Niemców. Posłuchajmy jak formułuje myśli swych przeciwników. Ciekawy ten ustęp podajemy w całości, charakteryzuje bowiem dzisiejszy stan rzeczy w Alzacyi i Lotaryngii, przedstawiony przez Niemców.

„Jak tu radzić z ludnością niezadowoloną, którą musimy annexować? Jeśli nawet z pochodzenia prawie wszystka, a z mowy w większej części jest niemiecką, to przecież z ducha swego okazuje się francuzką i nieprzyjazną Niemcom, mianowicie Prusakom. Dzisiejsza wojna daje tego dowody. Widać to głównie po miastach napół zfrancuziałych. Upadnie tu przemysł, tak rozwinięty wysoko, gdy targowiska francuzkie będą dla nich zamknięte. Prowincje te pod względem gospodarstwa, przyjdą też wkrótce do upadku, a to podniesie do wyższego jeszcze stopnia nienawiść ludności ku Niemcom, a przychylność jej dla Francyi. I pocóż Niemcom brać na siebie ciężki obowiązek, zwrócenia prądu dwuwiekowych tradycyj, aby w końcu zmarnować się bez pożytku!

„Po co? odpowiada professor, bo tego wymaga honor narodowy Niemiec, bo tego wymagają warunki ich bezpieczeństwa, ich interesu, a nawet prawdziwe dobro Alzatzyków i Lotaryngów, jakie spłynie na nich z rozbudzenia bratniej narodowości niemieckiej! Odrzucenie ich (Entwelschung) trudne jest, ale możebne!” Autor przytacza dowody na różnych prowincjach słowiańskich, przyznaje że Prusacy zdolni dopełnić tak wielkiego zadania w Alzacyi i Lotaryngii. Daje z kolei przepisy *Odrzucenia*: bierze je żywcem z administracyi pruskiej. Na żydów jako na wielkich czynników Niemczyzny (stronnica 48) zwraca szczególną uwagę. Znajduje, że Francya nie dosyć okazywała im opieki. Do Niemców zatem należy wspierać ich, wzmacniać ich siły, i ośmielać do czynnego występowania.

Należy niemniej odfrancuzić za pośrednictwem szkół, wojska, urzędników przysyłanych z głębi Niemiec, a nakoniec przez kolonizacyą. Niemcy wydalen i z całej Francyi zamieszkają w tych dwóch prowincyach, i zostaną w nich gorącymi propagatorami idei niemieckiej."

Są jeszcze inne trudności co do połączenia dwóch prowincyj z Niemcami. Professor po kolei przywodzi i wyjaśnia te trudności. Przytaczamy z nich kilka:

Jakim sposobem Francuzi mogą wyrzec się Lotaryngów i Alzateczyków, kiedy ci ofiarują krew i mienie dla utrzymania jedności z nimi? Gdyby przyszło do głosowania, czyżby głosy wszystkich nie padły za Francją?

Autor odpowiada na to: „Francuzi muszą zgodzić się ponieważ są pobioi. Pytać zaś Lotaryngów i Alzateczyków nie należy, bo oni dziś zwichni z swego toru, nie rozumieją sami własnego dobra. Tak tedy nie powinniśmy wahać się z wcieleniem do naszego państwa, naszych ziomków almańskich i frankońskich w Alzacyi i Lotaryngii, nawet wbrew ich woli, a przynajmniej nie pytając ich o to (str. 69)."

Inne pytanie: czyby nie wypadało uczynić z tych prowincyj oddzielnego państwa neutralnego? Professor protestuje również przeciw podobnym myślom, krążącym jak mówi w głowach rewolucyonistów niemieckich. Idzie tu o siłę Niemiec, o mocną centralizacyą, która tylko przez dom Hohenzolernów może być zrealizowaną. Urzeczywistnienie tej jedności nie ogranicza się na samą Alzacyi i Lotaryngii: sięga ono do Belgii, Hollandyi, Szwajcaryi. Autor usprawiedliwia tę konieczność, już to wywodami słownikarskimi, w których widzi główną podstawę narodowości, już to potrzebami strategicznymi. Zostawia to jednak przyszłości, nateraz domaga się tylko zajęcia Szwajcaryi po Bazyleę.

Przechodzimy teraz do szkoły czysto historycznej, której organem jest dziełko Adolfa Smitha, profesora w Uniwersytecie Jeny p. t. *Alzacya i Lotaryngia, wyjaśnienie jakim sposobem cesarstwo utraciło te prowincye*. Mamy przed sobą trzecią, najświeższą edycyą tego pisma (podpisaną przez autora 23 września r. b.). Owa data ma swoje znaczenie; pierwsze bowiem wydanie wyszło w roku 1859. Professor pokazuje tym sposobem, że przed jedenastu laty, w przewidywaniu wypadków, przygotował już materiały historyczne, usprawiedliwiające dzisiejszą wojnę. To oświadczenie autora zasługuje na większą uwagę niż same jego wywody historyczne; w tych bowiem nie przedstawia nic nowego.

Wiadomo że sami protestanci niemieccy, żądali opieki królów francuzkich przeciwko cesarzom, i że właśnie to pragnienie wolności religijnej, wiązało ich z Francją tak silnie, iż nawet prześladowania późniejsze w końcu XVII wieku, nie przeszkodzi-

dziły przewadze francuzkiej w Niemczech. W skutek to owych wojen religijnych nasamprzód trzy biskupstwa Toul, Verdun i Metz, a następnie Strasburg, przyłączone zostały do Francyi. Wiadomo również co do Lotaryngii, że ta dostała się Stanisławowi Leszczyńskiemu, jako wynagrodzenie za koronę polską, ustąpioną Augustowi II, popieranemu od Austrii. Ludwik XV uczuł się mocno obrażonym na cesarza, za protegowanie elektora saskiego z pokrzywdzeniem jego własnego teścia. Tak więc, ustępstwem Lotaryngii, cesarz zadowolnił i króla Stanisława i Francją.

Że ze strony gabinetu francuzkiego były intrygi, że ów gabinet korzystał z walk domowych rozdzierających Niemcy, to także powszechnie wiadomo. Autor w jaskrawych barwach maluje intrygi francuzkie, a zostawia w cieniu usilne starania samychże Alzatzyków i Lotaryngów o połączeniu się z Francją. Wszystkich w ogółności stronników Francyi, zowie po prostu zdrajcami Niemiec, a na czele tych zdrajców stawia Maurycego księcia saskiego, naczelnika protestantów z połowy XVI wieku, który traktatem z r. 1551, z Henrykiem II królem Francyi, odstąpił mu trzy sławne biskupstwa: Toul, Metz i Verdun.

W konkluzyi autor cieszy się, że przygotowane przezeń materiały, wydały pożądany owoc. Główną pobudką do napisania téj odezwy do Niemiec w roku 1859, były dla niego zwycięstwa Napoleona III we Włoszech.

Trzy pomienione pisma, ztąd zasługują na szczególną uwagę, że są wyrazem nie pojedynczych osób, ale całych stronnictw. Pozwolimy sobie kilku nad niemi sprostować.

Nic nie mamy do powiedzenia stronnictwu p. Wolfganga. Nie wspomnielibyśmy nawet o pismach tego rodzaju w Niemczech, gdyby nie podtrzymywali ich ludzie nauki, professorowie uniwersytetów, w których młodź nasza czerpie światło!

Nie idzie nam o Alzacyą ani o Lotaryngią, ale jedynie o zasady czysto naukowe. Czyż jest naukowo, zapytujemy naprzód, porównywać stan rzeczy w Niemczech w wiekach XI, XII, XIV, ze stanem dzisiejszym, a porównywać w wyłącznym celu szukania jedności najwyższych interesów moralnych świata ucywilizowanego? i do czegoż prowadzą podobne porównania? Oczywiście tylko do najniedorzeczniejszych rezultatów. Bo i jakże ocenić historyka, który dla usprawiedliwienia swojej teoryi, musi nazywać Gwelfów XII wieku, lub Habsburgów wieku XVI, zdrajcami idei i jedności niemieckiej? Kiedy cała wielkość i piękność ludów składających rzeszę germańską, leżała właśnie w tém, że te ludy nie czuły bynajmniej potrzeby owéj silnej centralizacyi, do której dążą tak uporcezywie Niemcy dzisiejsi?

A cóż mówić o prawach cesarzów w wiekach średnich? Nie byli oni wcale cesarzami Niemców, ale *Cezarami* prawnymi, mo-

ralnemi, według pojęć ówczesnych Europy; tak dalece, że śmiało powiedzieć można, iż nie było narodu w Europie, któryby mniej więcej nie zostawał pod ich wpływem. Te prawa uświęcone były religią w osobie Karola Wielkiego.

Zdanie przeoiwne, to jest mniemanie jakoby cesarz rzymski był szczególnie niemieckim, urodziły się już bardzo późno w ciągu zeszłego wieku, na schyłku czasów, kiedy i sam tytuł Cesarstwa Rzymsko-Niemieckiego, miał być wkrótce zmienionym. Pod temi to nowemi ideami wychowani nasi professorowie, uczyli nas, że Mieczysław I uznając się choć w części lennikiem cesarstwa, shańbił tém i upokorzył swój naród. Najmylniejsze to zdanie poszło w obieg, i rozszerzało się w miarę jak wzrastały niechęci nasze ku Niemcom. Ależ zły to i bardzo niebezpieczny sposób, bronić prawa swoje naciąganiem faktów historycznych. Nie shańbił się wcale nasz Mieczysław, bo cesarstwo za jego czasów nie było wcale niemieckiem ale rzymskiem i takim zostało w pojęciach świata aż do dni naszych. Dlatego właśnie dzisiejsi Niemcy nie mają prawa ze stanowiska historyczno-naukowego, do ziemi i ludów, które składały podówczas państwo rzymskie.

Dziś szczególnie sprawa ta dokładnie jest wyjaśniona pracami uczonego W. A. Maciejowskiego, o znaczeniu starożytnej Germanii. Cesarstwo Rzymsko-Niemieckie było właśnie dalszym ciągiem owęj rzeszy germańskiej, która, jak słusznie udowodnił nasz uczoney, nie była wcale rzeszą niemiecką, ale raczej federacją Gallów, Niemców, Latynów, Słowian i Litwinów. Dlatego prawa magdeburskie i chełmińskie zwane niemieckimi, tak łatwo przyjmowały się w całej Polsce.

A cóż mówić o dowodach jakie przedstawia tenże uczoney co do moralnych praw przewagi Niemców, nad wszystkimi ludami europejskimi, z tytułu że Niemcy rozradzają się więcej niż Gallowie, Latyni i Słowianie? Podług tych zasad Chińczycy mieliby najślusniejsze prawo panowania i nad Niemcami, boć u nich ludność mnoży się w większym jeszcze stosunku.

Nie stopnie to zwiększania się ludności, jak w czasach pogańskich, ale raczej stopnie ich doskonalenia się moralnego, stanowią w świecie prawdziwie chrześcijańskim, cechę narodów mających prawo przewodnictwa. Podług tejtó modły należy sądzić ideę francuzką i prusko-niemiecką.

W czasach tak burzliwych jak nasze, sami nawet uczeni upadają częstokroć pod wpływem słabości ludzkich. Korzystają oni z talentu wzbogaconego pracą, aby stworzyć formuły naukowe, odpowiednie rozamiętnieniu chwili obecnej. Straszne to nadużycie nauki! To też właśnie w czasach tak namiętnych walk, nauka powinna protestować głośno przeciw zgubnemu kierunkowi, trzymając odważnie sztandar prawdy.

Dziś kiedy na Strasburg zwróciły się oczy całego świata ucywilizowanego, słusznie przypomnieć drogocenne skarby, jakie zamykała publiczna biblioteka tego grodu, zaczęć mieszczący ją gmach spalony został w skutek bombardowania.

Biblioteka Strasburska należała do najświetniejszych we Francyi. Łączyła w sobie dawną bibliotekę uniwersytecką i bezcenne skarby bibliograficzne darowane miastu w r. 1765 przez uczonego archeologa Schoepflina, wraz z bogatym zbiorem starożytności. W liczbie 150,000 tomów, mieściły się tu *Białe kruki*, i wielkiej wagi unikaty, jakimi mało księgozbiorów poszczycić się ma prawo.

Podziwiano tu szczególnie zbiór rękopisów średniowiecznych, i inkonabuły pochodzące z biblioteki starożytnej Komanderyi św. Jana; oraz pierwsze druki z XVgo wieku, odbijane przez samego Guttenberga, który jak wiadomo, długi czas przebywał w Strasburgu.

Do osobliwości bibliograficznych liczono tu niemniej:

Zbiór konstytucyi miasta Strasburga od XIIIgo wieku.

Akta procesu Guttenberga, ze spadkobiercami Dritzehua, i dokument świadczący jako kapituła św. Tomasza pożyczyla 80 liwrów wynalazcy sztuki drukarskiej.

Wielki volumin pod tytułem: *Hortus Deliciarum*, pisany w r. 1286 przez Herradę z Lansberg, księżkę klasztoru św. Otylii. Dzieło to ozdobione licznymi miniaturami, nadzwyczaj ważnemi pod względem historii sztuki, jak niemniej i kostiumów ówczesnych.

Zbiór modlitw z VIII i IX wieku pisany na welinie purpurowym, złotem i srebrnemi głoskami.

Mszał z cyfrą Ludwika XIIgo, z podpisem Franciszka arcy-biskupa Lyonu.

Brewiarz zdobny w piękne miniatury i arabeski.

Dykeyonarz charakterów stenograficznych, jakich używano w kancelaryi królów Karolowingów.

Zbiór praw kanonicznych, dokonany przez Rachio biskupa strasburskiego, a spisany w r. 788.

Poemat o wojnie Trojańskiej przez Konrada z Wartenburga, obejmujący 60,000 wierszy.

Kazania Eckarta i Jana Tauler.

Kroniki Koenigshovena po niemiecku i po łacinie.

Corpus Juris z glossą bolońską, należący niegdyś do sławnego Reuchlina.

Bajki Bonela.

Poezye Godfrieda z Hagenau.

Rękopisy wielu autorów klasycznych; matematyków greckich; rozmaite kodexa praw barbarzyńskich i t. p.

W zbiorze starożytności mieściły się niemniej drogocenne pomniki. Wyliczymy z nich najznakomitsze:

Dwa kolosalne posągi: jeden przedstawiający św. biskupa Arbogasta; drugi Rudolfa z Habsburga, który nim został cesarzem, był dowódcą wojsk strasburskich.

Starożytna płaskorzeźba z drzewa, złożona i pociągnięta farbą (w rodzaju Wita Stwosza), przedstawiająca strażę uspięoną przy grobie Pańskim.

Rzeźby wyobrażające bóstwo galskie Teutatesa.

Ołtarz Apollina, przezwanego po galsku Grannusem, to jest słońcem.

Inne ołtarze rzymskie z wizerunkami różnych bóstw w płaskorzeźbach.

Wielki stół kamienny, rzeźbiony w symboliczne zwierzęta; zabytek pierwszych wieków chrześcijańskich.

Kamień grobowy, przedstawiający rycerza galskiego w zupełnym uzbrojeniu, z napisem: *Leontius*.

Wielki kielich szklany, znaleziony w sarkofagu kamiennym, a na nim wyryty napis: *Salve, Maximiane Auguste*. (Drugiego takież sam znajduje się we Włoszech).

Zbiór medalów strasburskich i alzackich, między niemi z epoki Franków.

Wielki Schwoerbrief (konstytucya) zaprzysięgany corocznie przed katedrą.

Pian miasta Strasburga, wykonany rzeźbą przez Spehlina w r. 1574.

Chorągiew miasta Strasburga z wyobrażeniem Bogarodzicy.

Zbiór starożytnych okien z klasztoru Kartuzów z Molsheim, wykonanych przez braci Linek w XVII wieku, według wzorów Vossa z Antwerpii.

Kamień z napisem z IIIgo wieku, świeżo wykopany w pobliżu katedry.

Chrzcielnica z pierwszych czasów chrześcijaństwa, znaleziona w Renie.

Portrety Guttenberga, Keplera i t. p.

Stare instrumenta muzyczne.

Dwa obrazy przedstawiające sławne zebrania Minnesingerów i Meistersingerów.

Pałasz Klebera,

Kociołek brązowy Zurychczyków.

Z kociołkiem tym łączy się podanie z XVIgo wieku, zapisane w miejscowych kronikach. Strasburgczycy słynęli z celnego strzelania z łuku. Mieli oni po za jedną z bram miasta wielki plac na ten cel przeznaczony. Od czasu do czasu, cech strzelecki wyprawiał wielką uroczystość, powołując do konkursu, bratnie cechy z ościennych krajów. Taką uroczystość zapowiedziano na rok 1576. Zurychczycy, odwieczni przyjaciele i sprzymierzeńcy

Strasburgezyków, otrzymali wezwanie. Pamiętni zbrojnej pomocy, jakiej nieraz doznali od mieszkańców Strasburga, chcieli okazać wzajemnie, całą gotowość do spiesznego wsparcia ich w razie potrzeby. Pięćdziesięciu czterech cenniejszych obywateli Zurychu, puściło się w drogę o godzinie 2ej przed świtem, o 9ej wieczór, statek ich przybił do brzegów Strasburga. Przywieźli z sobą kociołek krup jaglanych, przyrządzonych w Zurychu; tak starannie osłonięty, że nie wystygł przez całodzienną drogę. Był to symbol ciepłych serc bratnich.

Te przygody opisał wierszem współczesny poeta Fischart, zmarły w roku 1589.

W wydziale publikacyj historycznych z r. b. na szczególną uwagę zasługuje dzieło uczonego murzyna portugalskiego Luiza Gomez, p. t. Margrabia Pombal.

Luiz Gomez zmarły kilka miesięcy temu, był tubylcem z Indyi portugalskich. Urodzony w Goa, należał do plemienia murzynów, właściwego tej miejscowości. Murzyni tameczni kolorem tylko skóry zbliżeni są do afrykańskich braci; rysy ich twarzy regularniejsze, włosy bynajmniej nie wełniste, inteligencya bardzo rozwinięta.

Osiedlony od młodu w Portugalii, wykształcony wysoko, zamiłowany w pracy umysłowej, Gomez oddał się pilnie naukom historycznym. Zbadał dokładnie archiwa portugalskie; wydobył z nich dokumenta nieznanne światu, i napisał obszerną biografię margrabiego de Pombal. Ważny to ustęp z dziejów Portugalii XVIIIgo wieku. Aby tém bardziej zpopularyzować to dzieło, autor napisał je w języku francuzkim, tak upowszechnionym w Portugalii. W stylu jego znać często obce zwroty, lecz nagradza je hojnie bogata wyobraźnia, nadzwyczajna werwa i zdolność obrazowania, właściwa ludom pierwotnym.

Luiz Gomez za położone w kraju zasługi, powołany był do Izby Korteżów. Paryzkie Towarzystwo Ekonomii Politycznej wezwało go także na członka.

Przypatrzymy się teraz pobieżnie historycznemu dziełu, któremu w wielkiej części Gomez zawdzięcza swoją sławę.

Podjął on i ożywił jedną z najwydatniejszych postaci XVIII stulecia. Pombal należy do tych wielkich typów, uosabiających nie tylko geniusz narodowy, ale bardziej jeszcze, oblicze wieku w którym żył i działał. Podobnych mężów stanu których prototypem był sławny kardynał Richelieu, wydawały w ostatnich dwóch wiekach, wszystkie niemal państwa Europy. Celem tych reformatorów było utworzenie władzy silnej a postępowej. Pracowali szczerze na korzyść ludu, nie przypuszczając go wszakże do współudziału w pracy. Szło im głównie o obalenie przywi-

leją szlachty feudalnej i duchowieństwa, a o zcentralizowanie władzy w ręku panującego. Rozwijali z całą usilnością handel, przemysł, rolnictwo, aby wzbogacić lud, a tém samém zasilać skarb państwa, którym król rozporządzał bez kontroli. Znane hasło Ludwika XIVgo: *L'Etat c'est moi*, było hasłem owych reformatorów.

Jeżeli nazwalimy Richelieu'go prototypem tego szeregu mężów stanu, wśród których Pombal ważne zajmuje stanowisko, nie idzie zatem żeby sławny kardynał był twórcą owej idei, oo tak długo rządziła światem. Idea ta sięgająca czasu rzymskich Cezarów, zwalczana silnie federalizmem wieków średnich, podniosła już głowę w czasach odrodzenia; Machiawel pierwszy ujął ją w teorię. My także połączeni tak ściśle z Europą w całym rozwoju dziejów naszych, musieliśmy poddać się ohoć czasowo wpływowi tego prądu, którego przedstawicielem u nas był Kalimach, nauczyciel i doradca młodych Jagiellończyków.

Pombal, równie jak inni mężowie stanu wieku XVIIIgo, głęboko był przekonany iż silnie zcentralizowana władza, sama tylko stanowi niechybną rękojmię postępu. W widokach dobra powszechnego przyjął on zasadę: iż cel usprawiedliwia środki. Jakoż nieznordowany szermierz walczył gorliwie w obronie swego przekonania.

Za przykładem kardynała Richelieu'go, Pombal wziął sobie za cel wzmocnić posady tronu; oswobodzić monarchę od opieki możnowładzców; uwolnić go od wszelkiej kontroli. Według niego, arystokracja przeznaczoną była jedynie na to, aby blaskiem swoim podnosić urok korony; ztąd całą jej czynność chciał ograniczyć na służbie dworskiej, usuwając ją od współdziałania w rządach. Aby tém pewniej podkopać jej znaczenie, postanowił wydrzeć szlachcie ostatki dawnych przywilejów, a jako przeciwagę postawić obok niej zamożne i oświecone mieszczaństwo. Takąż samą walkę wypowiedział i duchowieństwu; umyślił odsunąć je od wszelkiej władzy, a zwrócić wyłącznie do pełnienia kapłańskich obowiązków. Ta myśl przewodniczyła mu stale, przez długi ciąg politycznego zawodu.

Sebastyan Józef de Carvalho, późniejszy margrabia di Pombal, urodził się w r. 1699. Rodzina jego lubo zamożna, nie posiadała przywilejów szlacheckich. Był to człowiek nadzwyczaj urodziwy: wzrost miał wysoki, oko bystre, głos dziwnie harmonijny. W młodych latach poślubił panienkę wysokiego rodu; związki te postawiły go na widowni. W czterdziestym roku życia, po długiej pracy i gruntowném przygotowaniu naukowym, rozpoczął zawód publiczny, a rozpoczął go świetnie: najprzód jako pełnomocnik przy dworze londyńskim, następnie przy dworze wiedeńskim.

Po śmierci króla Jana Vgo Carvalho powrócił do Lizbony w r. 1750. Zmarły król wstępujący na tron dzieckiem, panował

około lat pięćdziesiąt. Wierny naśladowca Ludwika XIVgo, chciał zabłyszczyć światu niesłychanym przepychem; budował wspaniałe pałace, zakładał rozkoszne ogrody. Po burzliwej i wesołej spędzonej młodości, w ostatnich latach życia oddał się wyłącznie religijnym praktykom. Dwór jego przybrał postać klasztorną; ster rządu podjęli zakonnicy.

Nowy król Józef I, wstąpił na tron w trzydziestym piątym roku. Słaby i gnuśny z natury, nie miał ani siły, ani woli do rządzenia państwem. Matka jego Austriaczka nasunęła mu Sebastjana Carvalha, który dał dowody wielkiej zręczności w misji dyplomatycznej do wiedeńskiego dworu.

Pięćdziesięcioletni Carvalho, wziął wtedy czynny udział w rządach; najprzód jako minister wojny, później spraw zagranicznych, nakoniec spraw wewnętrznych. Król nadał mu wówczas tytuł margrabiego de Pombal. Niezmordowany pracownik, wytrawny mąż stanu, człowiek umysłu przedsiębiorczego, woli niezłomnej, a przytem chciwy panowania, pochwycił zręcznie wodze rządu, wysuwając się z rąk słabego monarchy, i został sam rzeczywistym władcą państwa.

Pierwsze jego pomysły nie były zbyt szczęśliwe, mianowicie pod względem finansów. Dzielił on panujące wówczas mniemanie, tak niezgodne z dzisiejszemi prawami ekonomii, że złoto i srebro stanowi główne bogactwo kraju; zabronił więc surowo wywozu brzęczącej monety, i to w czasach gdy złoto napływało tak obficie z kopalń Brazylijskich. Najmniejsze w tym względzie przekroczenie, karane było śmiercią. Prawo to istniało od dawna, lecz pozostało dotąd martwą literą, Pombal pierwszy przestrzegał ściśle jego wykonania. Pozaprowadzał też monopole w rozmaitych gałęziach handlu i przemysłu, z korzyścią uprzywilejowanych kompanii, a ze szkodą powszechną. Taki monopol udzieleny na wywóz wina, oburzył do żywego pokrzywdzonych. Miasto Oporto stawiło silny opór. Pombal wytoczył mu proces o zniewagę majestatu, dowodząc że obraza praw postanowionych przez monarchę, wyrównywa zniewadze samejże osoby. Tak utrzymywano w Rzymie za Tyberyusza. Skutkiem powstania w Oporcie, siedmnaście osób poniosło śmierć z ręki kata; innych osadzono w więzieniu.

Przyszły wkrótce smutne dni klęski, w których dyktatorska działalność Pombala, objawiła się w całej mocy, na korzyść dotkniętego ludu. W poranku 1 listopada r. 1755, wielkie trzęsienie ziemi zburzyło do gruntu Lizbonę. Na zgłiszczach powalonego miasta, wybuchnął straszny pożar i dokonał zniszczenia. W ciągu dziesięciu minut, najpyszniejsze gmachy rozsypały się w gruzy i przytłoczyły do 10,000 osób. Potrzeba było działać z niesłychanym pośpiechem, gasić pożar, grzebać umarłych, odgrzebywać żywych, uspakając postraszone umysły, zacząwszy od rodziny królewskiej która chciała uciekać do Oporto; potrzeba by-

ło myśleć o zaopatrzeniu stolicy w żywność, o wsparcie tysięcy nieszczęśliwych, przywiedzionych w mgnieniu oka do tułactwa i nędzy; potrzeba było wreszcie, porozpędzać bandy rozbójnicze, które rzuciły się na zgłiszcząca niby krucy na padło. Pombal wszystkiemu podołał. W chwili niebezpieczeństwa, okazał niesłychaną moc duszy i szczególną przytomność umysłu. Tej klęsce winien był swą potęgę. Lud wszystek skłonił głowę przed tym co go ocalił, i tak mądrą, otoczył opieką. Jeduomyślnie uznano go panem. Wówczasto Pombal zajął się czynnie odbudowaniem miasta; nadał mu blask jakiego nigdy dotąd nie miało. Korzystając zżęcznie z powszechnego zapału, usunął z ministerjum ludzi przeciwnych opinii, a zastąpił ich swemi poplecznikami.

W trzy lata potem r. 1758, inny wypadek wyżej jeszcze podniósł władzę ministra. Król Józef w przejeździe z Lizbony do Belem, strzałem z dubeltówki zranion był mocno w ramie; powód zbrodni przypisywano powszechnie stosunkom miłosnym z donną Teresą de Tavora. Król jechał właśnie do niej. Pombal przez trzy miesiące trzymał rzecz w tajemnicy, chorobę królewską przypisywał spadnięciu z konia. Gdy wszystko przygotował, zrzucił dopiero maskę. Rozkazał uwięzić księcia d'Aveyro, wielkiego marszałka dworu, margrabiego de Tavora teścia donny Teresy, żonę jego Leonorę de Tavora, z dwoma synami, i mnóstwo innych osób. Obok panów powleczone i sługi do więzienia.

Rodziny Tavora i Aveyro należały do najpierwszej arystokracji portugalskiej. Dona Leonora słynna z rozumu i dumy, traktowała z góry Pombala, nie chciała słyszeć o małżeństwie jego syna z córką swoją, zwała go pogardliwie dorobkowiczem. Książę d'Aveyra, usunięty od rządu, zaciętym był wrogiem ministra.

Wyrok trybunału królewskiego, któremu sam Pombal prezydował, skazał obwinionych na śmierć w najsrozszych katuszach. Książę Aveyro wpleciony był w koło, a następnie spalony na stosie wraz z przegięzem. Ten sam los spotkał margrabiego Tavora. Dwóch dworzanów księcia spalono żywcem, dwóch innych uduszono. Donna Leonora sądzona ze szczególnym względem, miała uciętą głowę. Przez grzeczność dla kobiety, rozpoczęto od niej krwawy dramat. Po matce wstąpił na rusztowanie jój syn dwódziesięcioletni młodzian.

Pombal dopiął swego. Upokorzył arystokracją, odarł ją z wszelkiego uroku w oczach ludu. Najzaciętszych wrogów powłókł na śmierć ohydną jako zbrodniarzy. Na pozostałych rzucił postrach.

Skończywszy sprawę z możnowładcami, wystąpił do walki z duchowieństwem, a mianowicie z jezuitami. Oskarżył ich o udział w królobójczym zamachu. „Z pomiędzy uwięzionych, mówi Gomez, Ojciec Malgarida był celem czci powszechnej w Lizbonie. Lud wszystek miał go za świętego, arystokracja otacza-

ła go miłością i poszanowaniem; matka królewska widziała w nim wyrocznię.”

Potrzeba było wielkiej zuchwałości, aby rzucić podejrzenie królobójstwa na starca czczonego tak powszechnie. Pombal nie poprzestał na tém. Postanowił on w osobie Malgaridy, zohydzić w oczach ludu cały zakon. Aby dopiąć celu, obwinił starca o kacerstwo i oddał go pod sąd inkwizycyi. Znalazł po temu pozór. Więzienie oddziało na nieszczęśliwego Malgaridę; umysł jego zdzieciniał. W samotności więziennj zaczął pisać życie świętej Anny, utrzymując że pisze pod dyktowaniem samj świętej; praca jego pełna splątanych formuł scholastycznych, świadczyła o pomięszaniu zmysłów. Łatwo było wyprowadzić z nię dowody herezyi.

W r. 1761, nastąpiło *Auto da fe*. Pięćdziesiąt dwie ofiar powleczono na stos. Straszne widowisko urządzone było według ceremoniału postanowionego za Filipa II. Wkoło placu pobudowano loże i galerie. Pięrsze w nich miejsca zajęli grandowie, dostojnicy i dwór, jak niemniej ambasadorowie obcych państw. Pręgięz z którego odczytano wyrok, przybrany był z niesłychanym przepychem. Na czele skazanych szedł Malgarida w asystencyi dwóch benedyktynów i dwóch panów, którzy według zwyczaju, służyli mu za ojców chrzestnych. Po zdjęciu sakry, odczytano mu wyrok trybunału; przez wzgląd na zgrzybiałe lata, sąd sfolgował karę pozwalając udusić starca przed spalaniem.

Luiz Gomez, który nie występuje bynajmniej jako obrońca jezuitów, zbadawszy do gruntu ówczesne archiwa, tak wyraża zdanie swoje co do tój sprawy: „Znalazłem niezliczoną moc zaskarżeń, lecz nie dostrzegłem ani jednego dowodu, któryby świadczył za współdziałaniem ich w królobójstwie”. Zarzut herezyi równie był bezzasadny.

Pombal szedł naprzód po zgliszczach i po trupach. Odrącał śmiało każdę zaporę, jaka stanęła mu na drodze. Wtrącił do więzienia mnóstwo panów tak duchownych jak świeckich. Dwóch nawet królewskich braci zamknął w klasztorze karmelitów bosych w Buseaco. Wszystko truchlało przed nim.

Autor z całą bezstronnością kreśli postać Pombala. Nie przemilczał jego okrucieństw, nie tłumaczy ich bynajmniej zasadą, której on mąż stanu trzymał się wiernie, że cel usprawiedliwia środki. Z drugiej strony za to wykazuje wielkie zasługi reformatora, położone tak w administracyi jak w sprawie wychowania publicznego.

Pombal pozakładał szkoły i kollegia po wszystkich miastach i postawił je na wyższej stopie. W r. 1761 założył kollegium szlacheckie, w którym synowie pierwszych rodzin mieli się kształcić na dyplomatów i światłych dostojników państwa. Montigny poseł francuzki, zdając sprawę rządowi swemu, ze stanu wycho-

wania w Portugallii, mówi, że znalazł w kraju ośmset trzydzieści siedm szkół elementarnych i wyższych. Zaprowadził też Pombal drukarnią królewską i radę cenzury, opartą na postępowych prawach. W roku 1772 zajął się zreformowaniem uniwersytetu w Koimbrze, pilnie on czuwał nad tym zakładem naukowym.

W prawodawstwie cywilnem zaprowadził zbawienne zmiany, usunął nadużycie. Zmniejszył powinności i daniny wieśniaczego ludu, tamujące rozwój rolnictwa. Zniósł wielką liczbę majoratów. Ograniczył władzę ojców nad dziećmi, co do gwałtownego narzucania związków małżeńskich. Zrównał w prawach tubylców w Iudyach portugalskich z białymi, podniósł dobrobyt, i urządził nową administracyą, w tych niegdyś kwitnących posiadłościach. Postanowił, że niewolnik skoro postawi stopę na ziemi portugalskiej, otrzymuje tém samém wolność. Nakoniec zniósł prawo spadkobierstwa w urzędach publicznych.

Umiał też Pombal utrzymać godnie niepodległość Portugallii w stosunkach z obcymi państwami. Zmusił Anglią do poszanowania praw morskich. W wojnie zarówno był szczęśliwym: stawiał dzielnie czoło napaści Hiszpanów, zmusił ich do odwrotu; słowem nadał małej Luzytanii niepoślednie w świecie stanowisko.

Nie było mu przecież dano jak Richelieu'mu, umrzeć w blasku dostojenstwa i chwały. Skon króla roku 1777, położył kres rządowi ministra, tak z wielu względów pożytecznym dla kraju. Młoda królowa donna Marya odziedziczywszy tron po ojcu, otoczyła się stronnictwem nienawistnem oddawna Pombalowi. Józef umierając złożył córce list, który miał być dla niej wskazówką postępowania. W owym liście nie ma i wzmianki o Pombalu. Świadczy to wyraźnie, że słaby król, aczkolwiek sam ulegał woli wszechpotężnego ministra, czuł jednak dotkliwie, ciężącą nad nim rękę.

Skoro król zamknął oczy, zaczęła się reakcyja; pyszny starzec wystawiony na tysiące pocisków, drogo okupił trzydziestoletnią władzę. Zrazu królowa zostawiła go przy ministerstwie spraw wewnętrznych, lecz odebrała mu ogólną dyrekcją rządów. Patrzył jak gmach wzniesiony przezeń z takim mozołem, szybko rozsypywał się w gruzy. Rozwarto bramy więzień; wyszły z nich liczne ofiary, wplątane w sprawę o królobójstwo. Włos ich posiwiały przed czasem, cera pożółkła, barki pochyłone, wymownie świadczyły przeciw gwałtom Pombala. Domagali się rozpatrzenia sprawy; trybunał ogłosił ich niewinność, przywrócił ich do praw i majątków. Lizbona przyklasnęła wyrokowi.

Pombal podał się do uwolnienia ze służby, otrzymał je niezwłocznie. Zamieszkał w zamku opodal od stołecznego miasta, lecz i tam nie znalazł spokojności. Pokrzywdzeni rozpoczęli straszny odwet. Posypały się gradem oskarżenia przeciwko dawnemu ministrowi. Królowa pod naciskiem opinii, wyprawiła do zamku Pombal dwóch komisarzy sądowych. Rozpoczęto indagacye w r. 1779.

Pombal ośmdziesięcioletni starzec upadły na siłach, nie potrafił się bronić. Trwoga ogarnęła jego umysł. Procedura przeciągnęła się lat dwa. W roku 1781 zapadł wyrok królowej oznajmiający, że sędziowie rozpatrzywszy do gruntu sprawę Pombala, uznają go zbrodniarzem, godnym przykładnej kary; ale zważywszy podeszłą jego starość, i chorobliwy stan zdrowia, królowa daje się przebłagać jego prośbie, w której sam potępia własną nieudolność, nadużycia i gwałty.

Wyrok ten skazywał Pombala na oddalenie się od dworu, o mil dwadzieścia. Ktokolwiek czuł się przez niego pokrzywdzonym, miał prawo wytoczyć mu proces i powołać go przed sąd. Starzec nie mógł przeżyć takiego upokorzenia. Umarł w kilka miesięcy po ogłoszeniu wyroku (1782).

Rzecz dziwna że królowa kierowana duchem stronnictwa, sprzysięgłego przeciwko Pombalowi, podpisała wyrok potępiający w najsurowszy sposób dwudziesto-siedmioletnie panowanie ojca. Można zapytać nawet, czy moralność publiczna zyskała na takim potępieniu?

Pombal w złém i w dobrém, należy do tych ludzi nadzwyczajnych XVIII wieku, jakich typ przynajmniej zbliżony powtórzył się i w kilku naszych reformatorach różnych czasów, którzy wyrobili sobie teorią wyrozumowaną, i chcieli ją przeprowadzić, bez udziału interesowanego społeczeństwa!

Pod tytułem *Brewiarz króla pruskiego*, Juliusz Janin napisał jedną z tych pogadanek, jakie on tylko pisać umie, pełną niesłychanego dowcipu obok erudycyi. Autor nazwał *Brewiarzem*, zasady skreślone blisko sto lat temu przez Fryderyka II, dla nauki bratanka swego i następcy. Jest to polityczny testament króla. Książka ta pod tyt. *Sztuka panowania*, wydana była przez Woltera z własną jego przemową. Do dziś dnia zachodzi wątpliwość kto ją w rzeczy samej napisał, to przecież nie podlega wątpliwości, że wszyscy następcy Fryderyka II, trzymali się wiernie skreślonych w niej przepisów.

Juliusz Janin według zwyczaju swego, krąży zgrabnie około przedmiotu, zaczęł go na dobre pochwyci. Kilkoma rzutami pióra kreśli humorystycznie postać Ludwika XV; na dworze wersalskim roku 1740 gdy nadeszła wieść o skonie Fryderyka Wilhelma, Ludwik nie raczył zwrócić nawet uwagi na tę chwilę, a przecież była to chwila ważna w następstwa tak dla Francyi jak i dla całej Europy: Fryderyk II podejmował berło!

Oto obrazek Janina:

„Dnia jednego, było to w czerwcu, deszcz padał ulewny. Król Ludwik XV nudził się bardziej niż zwykle. Próbował

z kolei rozmaitego rodzaju rozrywek: to przadł wełnę z kołowrotka pani Mailly, to jął toczyć bilbokiet dla panny de Nesle; to smażył jajecznicę na spirytusie, to rozstrzygał ważne pytanie ceremoniału dworskiego, czy księżniczki córki mają być noszone w krzesła do pokoju królowej, czy też chodzić na własnych nogach; to grał w pikietę z panią de Taillerand. Wszystko napróżno! czoło królewskie nie mogło się rozmarszczyć. Król nudził się i ziewał.

Wtém, wszedł do sali kardynał Fleury z większą jeszcze niż zazwyczaj powagą; oznajmił uroczyście że król pruski żyć przestał. Wiadomość ta nie poruszyła wcale Ludwika XV. Król pruski chorował na puchlinę, śmierć była przewidziana.

— Czy tak?, rzekł Ludwik, bawiąc się koronkowym mankietem. Wieczny odpoczynek! dodał otwierając usta do ziewania.

Nazajutrz panie dworskie przybrały się w żałobę, panowie pokryli krepą rękojmie szpad i włożyli czarne pończochy. Sześć tygodni trwała żałoba dworska."

Janin znów w kilku rzutach kreśli dwie postacie, zmarłego i nowego króla pruskiego.

Fryderyk Wilhelm umarł tak jak żył, ze szpadą u boku, odbywszy przegląd swoich 2750 olbrzymów tworzących pułk przybocznej gwardyi. Był to jedyny jego zbytek. Oprócz tych bajecznych Tytanów, kochał on tylko pieniądze. Z synem swoim dzieścim korony, obchodził się nielitościwie, czégo syn nigdy mu nie przebaczył. Następca tronu pozbawiony wszelkiej roli na dworze, zwrócił się do dwóch ludzi, dwóch słynnych pisarzy: do młodego Woltera i słynnego historyka Rollina.

Zaraz po wstąpieniu na tron, Fryderyk II zwinął kosztowną gwardyę. Kilkunastu ledwie z tych drabów, przebrał w liberyę, i zamienił w hajduków dworskich. Przystępny dla każdego, uprosił a raczej zniósł etykietę dworską. Obiad jego składał się z czterech dań: rosółu, sztuki mięsa, jarzyny i pieczeni: wety całkiem były nieznaane. U stołu rozprawiano swobodnie o rzeczach religijnych, rozbierano tajemnice polityczne. Król jednak, zwłaszcza co do polityki nie objawiał nigdy swego zdania. Pragnął wiedzieć wszystko co o nim mówiono, czytał liczne pampflety pisane przeciw sobie. Nie polegając na nikim, chciał każdą rzecz widzieć na własne oczy.

— Razu jednego—mówi Janin—przyszła mu ochota zobaczyć fortecę strasburską. Pojechał tam w towarzystwie brata, ale komendant twierdzy książę Broglie, równie był przenikliwym jak i Fryderyk; nie nie mogło się ukryć przed bacznyim jego okiem. Skoro tylko król przybył do Strasburga, pod nazwiskiem hr. Dufour, doniesiono o tém Brogliemu. Marszałek co żywo stroi się w paradny mundur, kładzie wszystkie ordery, pośpiesza do hotelu. Zastaje tam króla wśród grona oficerów francuzkich, z którymi się już poznał. Nikt z obecnych nie domyślał się króla pruskiego w mniemanym hrabi Dufour.

— Najjaśniejszy panie! rzekł Broglie z głębokim pokłonem, przybywam służyć Waszj Królewskj Mości.

Król zagryzł usta, lecz zataił gniew. Z rozkazu marszałka naczelny inżynier oprowadził dostojnego gościa po cytadeli, lecz ukrył przed nim najstabszą jej stronę. Tegoż wieczora Fryderyk odjechał nie osiągnąwszy celu.

Utrzymanie pysznej gwardyi zmarłego króla, kosztowało rocznie 2,800,000 luidorów, Fryderyk II za te pieniądze wystawił kilkadziesiąt tysięcy wojska. Zwrociło to uwagę ościennych państw, szczególnieij Austryi. Wiadomo było powszechnie, że po zmarłym zostało w skarbcu królewskim 140,000,000 oszczędności; że młody król z koroną otrzymał 40,000,000 dochodu.

Wkrótce wybuchnęła wojna szlązka. Aby ją usprawiedliwić Fryderyk rozesał do pełnomocników swoich po wszystkich dworach, dowody prawdziwego, czy zmyślonego zamachu. Dowody te świadczyły jakoby dwór austryacki kazał pochwycić króla pruskiego, i niezwłocznie dostawić go do Wiednia.

Wiadome są wypadki wojny siedmioletniej. Szlązk rozpoczyna ten szereg zdobyczy, któremi małe Elektorstwo Brandeburskie wzrosło do dzisiejszych rozmiarów.

Przechodzimy teraz do ocenienia dziełka o *Austryi*, wydane-go w tym roku przez p. Ludwika Deprés; książka ta w samą porę wpadła nam w oczy, na miejscu bowiem możemy ją osądzić stokroć lepiej niż w dalekim Paryżu.

Kilka dni temu, będąc na Graben, najokazalszej z ulic tu-tejszych, rzuciłmy okiem na bogatą wystawę księgarską. Tłumy przechodniów zatrzymywały się u wielkich okien, bo tóż od góry do dołu zawieszone mappami Zachodniej Europy i planami Paryża rozmaitych rozmiarów. Jedni z żalem, drudzy z widoczną chciwością, inni z wyrazem szyderstwa, poglądali na te dwadzieścia fortów oznaczonych czerwoną farbą wkoło wielkiego grodu. I nam serce ścisnęło się boleśnie na widok miejsc tak dobrze znanych, dziś może oblanych krwią i łzami. Żal nam było tych ofiar, które trupem własnym ścielą dla drugich szeroki gościniec dla przyszłości, lecz spokojni byliśmy o miasto. Głos proroczy poety IX wieku, szeptał nam wyraźnie: „Nie można wziąć Paryża!”

Mało tu dziś książek na wystawie, same broszury tyczące się obecnych wypadków. W jedném uboczném oknie ujrzelismy kilkanaście książek francuzkich: ostatni romans Georges-Sand, pierwszy romans córki jej Olesinger-Sand, dzieło p. Royer o pierwotnym człowieku i t. p. Zaciekawiliśmy nas tytuł jednej z nich:

En-Austriche p. L. Dipres. Książka wydana w roku 1870; imie autora znane nam było z reklam dziennikarskich. Wyborne! pomyśleliśmy, tego nam właśnie trzeba, znajdziemy tu nowe spostrzeżenia o kraju, dla nas jeszcze tak obcym. Weszliśmy do

księgarni. Po otworzeniu książki wzrosła nasza ciekawość. *De Paris à Bude*, taki był drugi tytuł. Mamy więc nie sam tylko Wiedeń, ale i Budę tak dla nas sympatyczną. Poniżej tytułu wyliczone szeregiem dwanaście poprzednich prac autora: są tam i poezye, i romanse, i przejażdżki po różnych krajach: Anglii, Hollandyi, Belgii i t. p. Zabieramy więc książkę z pośpiechem żeby jej nam ktoś inny nie porwał.

Co żywo powracamy do domu z naszą zdobyczą. Na piérwszej stronnicy dowiadujemy się że autor nie sam, ale w towarzystwie artysty-rysownika odbywał tę przejażdżkę. Tém lepiej! co dwóch to nie jeden! W przedmowie oświadcza autor, że powziął myśl podróży w czasie wystawy paryżkiej poznawszy się z wykształconym Madiarem, członkiem Międzynarodowej Komisji. Biorąc miarę z owego Madiara, który wybornie mówił po francuzku, nasi podróżni sądzili naiwnie, że w Peszcie, a tém bardziej w bliższym geograficznie Wiedniu, znajdą się jak między swoimi. Ruszyli więc w drogę, nie umiając po niemiecku ani jednego słowa. Pojmujemy zupełnie, że podróż odbyta w takich warunkach, nie mogła być ani przyjemną, ani pożyteczną; nie dziwimy się téż wcale, że nasi turyści, przeznaczyszy na nią blisko miesiąc, uważali za właściwe, ograniczyć ją do dni piętnastu. Słuszna rzecz! ale zkądże ta pretensya pisać książkę o krajach, których się z wierzchu nawet nie obejrzało, gdyż droga najczęściej wypadła nocą. Szczęściem przynajmniej że księżyc był w pełni. „Góry i wieże miast, mówi autor, oblaue srebrnym blaskiem, fantastyczny przedstawiały obraz, stokroć piękniejszy niż pod skwarzym lipcowego słońca płomieniem!”

Wychowanek bruku paryżkiego, nie lubi ani wody, ani gór, ani lasów, same tylko miasta mają dla niego urok; w nich bowiem ześrodkowane życie ludów, uderza silném tętnem: reszta nie zasługuje na uwagę.

Piérwszy etap wypadł oczywiście w Baden Baden. Jakże tu opuścić to wytworne przedmieście Paryża? jak nie być na koncercie, nie przyklasnąć pannie Rozie w ary Alicyi? jak nie spróbować szczęścia za zielonym stołem? Kto wie! gdyby *czerwony kolor* dopisał, możeby autor rozszerzył ramy podróży, i obdarzył nas nowym obrazem Bosforu i Dardanelów. Niestety! inaczej się stało. *Czerwony* chybił! ta to zapewne okoliczność, odcięła piętnaście dni z zamierzonej przejażdżki.

Podróżni nasi jednym tchem pędzą do Monachium. Autor w złym humorze; drażni go chrapanie towarzyszków, drażni go chmura której podobało się zasłonić księżyc i rzucić mrok na malownicze krajobrazy. Przykre wspomnienia z Baden Baden, zle działają na umysł Paryżanina, pod ich wpływem Monachium nie budzi w nim zachwyty. Zwiedza sławną Pinakotekę; ze wszystkich nagromadzonych tu cudów sztuki, zauważył tylko *blekitną sukienkę Dürera*, i jakiś obraz Memlinga który zbywa ogólnikiem, mówiąc że „prawdziwie Edeniczny.”

W Monachium jarmark. Tłumy ludu zdążają śpiewając pieśni narodowe. Jakież tu pole do spostrzeżeń etnograficznych! Autora wcale to nie obchodzi. Wsiadła jednak do powozu, każe się wieźć na plac targowy. Tu ogląda woskowe figury wystawione pod szopą, przygląda się Dioramom, wyobrażającym pola bitwy, gdzie Bawarzy „dzielnie bili Prusaków.” O żywym ludzie ani słówka, zabrakło czasu, bo jakże być w Monachium, a nie zobaczyć spiżowego kolosu Bawaryi? Autor pospiesza tam, wdziera się po krętych wschodach, z dumą dochodzi do szczytu, patrzy na miasto przez okienko, a raczej przez oko; spoczywa na ławeczce w niszy, która nie jest czem innem jak nosem olbrzyma. Zajrzał do serca i do głowy Bawaryi, a nie odgadł że one Dioramy którym się przed chwilą przyglądał, wnet znikną w obec nowych, na których Bawarzy wystąpią za pan brat obok tych dziś tak nienawistnych Prusaków.

Spieszmy z autorem do Salzburga. Podróż wypadła nocą. Księżyc otrząsnął się z chmur i świeci pełnym blaskiem. Autor zachwycony. Noc ta przypomina mu Szekspirowską fantasmagoryę. Sny elizejskie przenoszą myśl jego w dziedzinę ideału. I cóż tak porywa wyobraźnię poety? Czy księżyc? Bynajmniej—to rzecz powszednia! Oto miliony iskier wytryskujące z komina lokomotywy. „Jaka w tym kominie leżała tajemnica—mówi z całą naiwnością—odgadnąć nie potrafię; to tylko wiem: że przez trzy godziny deszcz ognisty spadał na wagony, co sprawiło niewysłowiony urok.”

Gdyby autor umiał po niemiecku, zapytałby konduktora, a ten jednem słowem wytłumaczyłby fenomen owego tajemniczego komina, zapalonego drzewem zamiast węgla. Pozostał jednak w niewiadomości, a raczej w miłym złudzeniu, że lokomotywa łamiąc na cześć jego prawa przyrody, wyprawiła tak cudowną illuminację!

W Salzburgu, dokąd przybył o północy, opisuje dramatycznie walkę o miejsce w omnibusie, stoczoną z tyrolskimi strzelcami. Zwinni Francuzi pokonali Tyrolów, zdobyli miejsca szturmem, a tak dostali się do miasta, inaczej byłiby zmuszeni przepędzić noc pod gołym niebem.

Rzecz dziwna! znamy wybornie Salzburg. Tuż przy kolei, jest tam przepyszny hotel, do którego dostać się łatwo bez omnibusu.

W mieście znów walka; trzeba wstępnym bojem zdobywać pokój. Tyrole tłoczą się hurmem; był to czas pamiętnego ich zebrania w Wiedniu przed dwoma laty.

Nucąc arję z Don Juana, na cześć Mozarta zrodzonego w Salzburgu, autor równo ze dniem przebiega z towarzyszem miasto; zachwyca się pięknością widoków; zachwyt to konwencyonalny; chwali Salzburg, bo go tysiące zachwalało przed nim; porównywa go do Edyburga, bo tysiące Anglików porówny-

wało go z tym szkockim grodem. Z owych czezych pochwał trudnoby jednak domysleć się jak wygląda ów uroczy Salzburg. O Alpach ani wzmiauki, autor zapowiedział że nie lubi gór; zkądże te uniesienia nad miastem, które Alpom winno jedynie piękność swoją?

Wartoby odwiedzić sławne saliny, lecz na to niema czasu! Wiedeń pociąga silnie Paryżanina. „Wiedeń—powtarza z zapamiętaniem—cały świat zaklęty w tém słowie! Wiedeń, tak silnie spleciony z losami Francyi; ojczyzna Maryi Teresy! Maryi Antoiny! Maryi Ludwiki! pole walk dyplomatycznych Metternicha i Tayleranda!—a co więcej, Wiedeń słynny z wdzięków niewieścich—jeszcze europejski, a już opromieniony brząskiem Wschodu!”

Pociąg zatrzymuje się w Linz. Autor przypomina sobie, że jeszcze w Paryżu radzono mu opuścić w Linz kolej żelazną, a popłynąć do Wiednia Dunajem. Nie idzie jednakże za radą. Szkoda czasu! a potem wyrozumował sobie, że skoro Dunaj tak ciekawy, lepiej poglądać na brzeg jego siedząc w wagonie, aniżeli z Dunaju przypatrywać się brzegom. Tak samo podróżował dawniej nad Renem, i poznał go jak mówi *doskonale*. Zapomniał śnać o przekopach i tunelach, które w miejscach najpiękniejszych zasłaniają zupełnie widok. To co widział, było mu dostatecznym; miał prawo powiedzieć: „Zwiedziłem brzegi Renu.”

W Linz wspomina cesarza Leopolda, który przebywał tu podczas gdy Turcy zdobywali stolicę; przypomina główną kwaterę Napoleona, po zwycięstwie pod Wagram.

„Sądziłby kto—mówi naiwnie—że mi te wspomnienia same nasunęły się na myśl. Miałżebym czem zaprzętać sobie głowę? Towarzysz mój wziął z sobą książkę Joanna; zajrzałem do niej; oto źródło mojej erudycyi.”

Zapadła noc, księżyc zaszedł za chmurę. Dunaj co chwila odbiegał od drogi, i znów się do niej zbliżał. Ochybiła nadzieja przypatrzenia się rzecze, którą Hugo nazwał królewską! Lecz Dunaj nie przepadnie; autor zobaczy go jadąc z Wiednia do Pesztu.

Otóż i Wiedeń—to wymarzone miasto! Zobaczymy jak autor spędzi trzy dni w jednej z pierwszych stolic europejskich? Wprawdzie trzecia część książki poświęcona na skreślenie odebranych tu wrażeń, lecz jakież to wrażenia! Główną ich treścią podziw nad ciemnotą Niemców że nie umieją po francuzku; skargi na barbarzyńskie łóżka niemieckie, na kuchnię, tak odmienną od paryżkiej!

Pierwsze odwiedziny do Tumu Stefańskiego, bo wszyscy od niego zaczynają; ale czemuż on w obec Notre Dame! w obec Strasburskiego Ministeru—mówi turysta pogardliwie; wdziera się jednak na wieżę; ogarnia z niej okiem wyżyny Kahleberga; przypomina jak około dwieście lat temu, zastępy Kara-Mustafy obległy gród, i byłyby deptały po nim zwyciężką stopą, gdyby nie bohaterska odsiecz Sobieskiego.

Podróżnik francuzki wyczytał to zapewne w Joannie, bo jak widzieliśmy nie zwykł tracić czasu na historyczne badania. A przecież tém oddaniem czci zasłudze, o ileż się wyższym okazał, od owych burszów niemieckich, którzy kilka tygodni temu, w dniu pamiętnej rocznicy, piorunowali z wyżu Kahlemberga na obcych, że się sprzysięgli przeciw Niemcom. Kiedy jedni wydarli im Alzację i Lotaryngię, drudzy śmieli przywłaszczyć sobie chwałę z obrony Wiednia! Sobieski mówią oni—przybył już po wszystkim! Wprzód książę Karol Lotaryngski na czele Sasów i Bawarów pokonał Turków i oswobodził miasto. Cała czynność Sobieskiego ogranicza się na złupieniu obozu Kara Mustafy!

Skorośmy dotknęli tego smutnego przedmiotu, dodajmy: że mieszczaństwo wiedeńskie wcale nie podziela takiego zdania ultrasów pangermańskich i wraz z całym kościołem, składa w tym dniu dziękczynne modły Panu Zastępów, że ramieniem Sobieskiego ocalił chrześcijaństwo.

Wróćmy do naszego Paryżanina. Patrzy z podziwieniem na dzwon ulany z dział tureckich i zapytuje czy to prawda że gród taki jak Wiedeń mógł być obleżony i to w czasach niedawnych... ledwie przed dwustu laty? W oczach jego to sen, to fantasmagorya! Takie gwałty zdarzały się w czasach Troissardów i Commingów, ale dziś to prawdziwy anachronizm!

Radzibyśmy wiedzieć co biedny Paryżanin mówi na dzisiajszy anachronizm spełniający się pod murami Paryża.

Nie myślimy wcale chodzić trop w trop za autorem w jego trzydniowej peregrynacji po Wiedniu. Powiemy tylko że zwiedził Prater, który w oczach jego nie wart Pól Elizejskich, na co i my zupełnie się zgadzamy, że był na przedstawieniu księżnej de Geroldstein, w piwiarni Drehera, koncercie popularnym Straussa. Dziwi się bezmyślniej wesołości Wiedeńczyków, gdy jeszcze nie oschła krew na polach Morawii. Słuszna to uwaga! i my dziś podziwiamy tę radość z jaką prasa wiedeńska w stu organach swoich głosi tryumfy niedawnych bohaterów Sadowy!

Nie pominął nasz turysta żadnej osobliwości Wiednia. Za powrotem do Paryża powie śmiało: byłem w Burgu cesarzów i w grobach kapucyńskich; widziałem trumnę Maryi Teresy, i trumnę Maksymiliana świeżo sprowadzoną z Meksyku; widziałem arcydzieło Canowy Mauzoleum arcyksiężniczki Krystyny u Augustyanów, i rękopism Tassa w bibliotece, i sławne Velasquezy w Galeryi Belwederskiej; ale niech kto zażąda bliższego objaśnienia tylu widzianych przedmiotów, wykręci się zręcznie pokrywając szumem słów sąd niedowarzony i płytki.

Wyjechał nakoniec do Pesztu. Tu jest żart posunięty za daleko. Od bram Wiednia uderza go świat nowy; czuje wyraźny powiew *Wschodu!* Pomiedzy Presburgiem a Pesztem widzi o wieczornym pomroku, *rozległe stepy*, istny *ocean falujący trawą*, a na tym oceanie pasące się wielkie gromady owiec, *których pilnują konni pasterze w wysokich butach z ostrogami.*

Domyslamy się że Paryżanin zasnął w wagonie, i że przed oczyma jego przesuwwały się jakieś idylliczne obrazy, bo przecież sławna Puszta madiarska, ciągnie się dopiero od Pesztu do Debreczyna, pomiędzy Dunajem a Cissą, a i tam nawet *juhasy* nie jeżdżą konno za owcami. Znać poplątał z nimi *Czykosów*.

Na zwiedzenie Pesztu i Budy, poświęcił *dziesięć... godzin!* Z tych dwie zeszło na pisaniu listów do Paryża, na których urząd pocztowy miał wycisnąć napis *Peszt*, tryumfalny dowód pobytu w mieście Korwinów i Kossutów! Drugie dwie godziny zeszły na wyszukanie pięknych bramowanych czamarek, i butów z wielkimi ostrogami! Pozostało godzinu sześć na objechanie powozem celniejszych ulic Pesztu, i na obejrzenie sławnej Budy wydeptanej stopami Ottomanów, która w oczach autora wygląda na stare cmentarzysko. Czego nie miał czasu zobaczyć, dopełnią jak mówi fotografie i stereoskopy w które się hojnie zaopatrzył.

Poprzestajemy na tem. Czytelnik zapyta nas może, dlaczego tak długo zatrzymujemy się nad taką książką? Oto dlatego, że ona tak wydatnie charakteryzuje tę ujemną stronę, naukowego wychowania młodzieży francuzkiej, przeciw któremu silnie powstawał były minister oświecenia Duruy. Szkoły specjalne jak wiadomo wysoko stoją we Francyi, ale geografia i historia obcych narodów, wykładana była dotąd z niesłychaną niedbałością. Równie zaniedbane i obce języki. Ta pogarda ku wszystkiemu co obce, tak daleko sięga, że w ambasadach francuzkich przy zagranicznych dworach, trudno znaleźć urzędnika wyższego, któryby znał język miejscowy. Używają do pośrednictwa drogmanów tak samo w Berlinie, Wiedniu i Monachium jak w Konstantynopolu i Pekinie. Zbyt późno Francuzi zwrócili uwagę na taki niedostatek. Nim nowy zwrot wskazany przez ministra Duruy wydał owoce, gorzko Francya opłaca dziś tę pogardę geografii i historii sąsiednich ludów!

Skargi nasze tyczą się wyłącznie niedostatecznego wykładu po szkołach. Któż bowiem nie wie z jaką wytrwałością i przeczornością uczeni francuzcy badają gałęzie specjalne jakie sobie obrali? Z pomiędzy znajomych naszych, przypominamy sobie zmarłego niedawno Viquesnela, który pisząc pomnikowe dzieło o Turcyi i o Słowiańszczyźnie, zarzucał listami wszystkich niemal uczonych świata, gdy szło o wyjaśnienie jakiegoś wyrazu, jakiejś daty lub cyfry statystycznej. Podziwialiśmy nie raz tę niezmordowaną cierpliwość, którą dziś w ogólnem mniemaniu sami Niemcy odziedziczyli po benedyktynach. Ktokolwiek wpatrzy się bliżej w prace dzisiejszych uczonych Francuzów, musi przyznać, że i oni wzięli znakomitą puściźnę po kluniackich ojcach swoich. Nie owi to uczeni, ale tacy dyletanci literaccy jak autor dziełka o Austryi, ściągnęli na cały naród zarzut lekkomyślności, onito w wielkiej części są powodem klęsk które dziś tak ciężko dotykają Francją! Wyższe umysły spostrzegły niebezpieczny kierunek, niestety! spostrzegły go zapóźno. Wypadki nie

czekały! Wątpię jednak o przyszłości byłoby największą niedorzecznością. Dla narodu pełnego sił żywotnych, same klęski stają się nowym bodźcem do odrodzenia. Owe 150 tysięcy Francuzów rozrzuconych dziś po całych Niemczech, za powrotem do kraju, przyniosą mu więcej pożytku niż go przyniosły upojone tryumfami Napoleona I. Już nie same jak dotąd jednostki, ale całe massy, uczują potrzebę nowych reform w wykładach szkolnych a szczególnie w wydziale geografii, języków i historii obcych ludów. W obec prawdziwego postępu umilkną owi tak dziś liczni we Francyi zarozumialce, którzy z taką pogardą ośmielają się sądzić obce narody i kraje, jak autor dziełka o *Austrii*.

Nowe publikacye w Paryżu są dziś prawdziwą osobliwością. Do tych policzymy ciekawą książkę pani William Monode p. t. *Missya kobiet w czasie wojny*. Autorka nie bawi się czezą deklamacyą, ale przytacza prawdziwe wypadki, przypomina wielkie poświęcenie; aby rozbudzić serca czytelniczek i dobyć z nich energią w chwili stanowczej, opowiada co kobiety uczyniły dla ludzkości za wielkich wojen bieżącego stulecia od Marengo aż do Sadowy.

Pięknie tu skreślony obraz siostry Marty z Besançon, bohaterki pierwszego cesarstwa. Była ona prawdziwą matką więźniów i rannych! w ciągu kilku miesięcy, pozbawiona wszelkich zasobów, karmiła i opatrywała tysiące nieszczęśliwych. Własnymi rękoma przyprawiała i rozdawała dziennie do 234 wiader zupy! Nieraz oddawała żołnierzom własne obuwie, sama zaś kaleczyła nogi chodząc boso. Wiele kobiet w chwili uniesienia, gotowe zapewne zdobyć się na podobne ofiary, ale czém szczególniejszą przyświeca postać siostry Marty? Oto wytrwałością w poświęceniu! wytrwałością!... tym dzielnym wyrobem woli, tą najwyższą zdobyczą ducha ludzkiego, bo jak pięknie wyrzekł poeta:

Czemże jest świętość—jak nie wiecznym trwaniem,
Wiecznym natchnieniem—i wiecznym Kochaniem!

Otóż siostra Marta przeżyła siedmdziesiąt pięć lat w zupełnym zapomnieniu o sobie; w czynnej miłości bliźniego, podsycającej wytrwałą wolę! Ta bohaterka nie umiała czytać ani pisać! „Potrzeba kochać Boga w znoju i pocie czoła!” W tych słowach co dnia przez nią powtarzanych, leży cała tajemnica jej mądrości.

Autorka wspomina potem zasługi młodej Angielki panny Niehtingale, która podczas kampanii krymskiej służyła ziomkom z prawdziwie chrześcijańskim poświęceniem. W początkach wojny choroba wkradła się do obozu. W ciągu pierwszego półrocza

na 100 żołnierzy umierało sześćdziesięciu; tymczasem w drugim półroczu śmiertelność znikła, dzięki zaprowadzonym przez pannę *Nightingale* reformom po szpitalach.

Anglicy wdzięczni młodej rodaczce, u której serce szło na równi z inteligencją, okazali wdzięczność prawdziwie po angielsku. Zebrali sposobem składkowym 750,000 franków, i tę sumę złożyli w jej ręce. Panna *Nightingale* lubo nie zamożna, nie przyjęła pieniędzy dla siebie, ale przeznaczyła je na fundacyą zakładu dla kształcenia dozorczyń (*gardes-malades*).

W wojnach włoskiej, niemieckiej i amerykańskiej, autorka wspomina liczne poświęcenia kobiet, mianowicie pani *Simon*. „O wielu z nich—mówi—świat nigdy nie słyszał i słyszeć nie będzie; bo miłosierdzie kobiety, to owa delikatna roślina, co kwitnie tylko w cieniu. Wystaw ją na promień słoneczny, a zwinie listeczki i zwiędnieje.”

Autorka szydzi dowcipnie z tych *wielomównych* opiekunów, którzy niosąc pomoc lubią prawie niewczesne kazania. W *Harrisous-Landing* w Ameryce zebrano z pola dwudziestu pięciu rannych; urzędowi infirmerzy komisji sanitarniej obmyli im nogi, zmienili odzież, powiedzieli perorę, a nakoniec przystąpili do rozdania im chłodzącego napoju.

— Oh! to lepsze daleko niż słowa!—zawołali biędni ranni.

Infirmerzy pamiętali naukę.

W dziełku tém spotykamy co chwila sceny obozowe pełne życia i barwy, jakby pochwycone na gorącym uczynku. Wybornie oddany pochód wojska, żywiej jeszcze chwila popłochu. Po mistrzowsku skreślona straszna scena po bitwie, gdzie kobieta występuje już nie w roli opiekuńczego anioła, lecz piekielnej harpii. Powtarzamy tę scenę acz ze wstrętem.

Było to w Niemczech r. 1866. Noc zapadła... nie uprzątnięto jeszcze trupów. Cienie jakieś krążą tu i tam... to się pochyla, to wstają znowu... coraz ich tu więcej a więcej!.. Pokryły całą przestrzeń... wyrastają niby z pod ziemi. To godzina obłowu. Tłumy maruderów przebiegają parowy, zaglądną w każdą kotlinę... w każdy rów... w każdy wypróchniały pień drzewa... Biada temu kto wpadnie w ich ręce! Patrole i widety nie dość silne aby stawić im czoła... Rzucają się na trupów... odzierają z nich suknie... nagie ciała zwalają na kupy!.. Niech przypadkiem zabłyśnie im pierścień... niema czasu się bawić!.. odrąbiają go z palcem, choćby od ręki drgającej krwią ciepłą!.. Biada temu kto spojrzysz im w oczy! To niebezpieczny świadek... umilknął mu na wieki!

Na skraju lasu leży młody oficer, lekko raniony w głowę. Omdlał... zostawiono go w pośród trupów. Maruderka przystępuje do niego. „Zobaczmy czy cię warto rozebrać—rzeczę półgłosem, i wsuwa mu rękę w zanadrze. „Dobry początek!”—woła uradowana wyciągając pugilares. Ale uczuła w sercu słabe tętno.

„Ha! żyjesz mi jeszcze, zasyczy z piekielnym śmiechem, leż cicho dopóki nie skończę!”

Nieszczęśliwy ocknął się, spojrzął na furę, błaga o pomoc przyrzeka nagrodę...

Jeszcze mówił, gdy coś zimnego prześliznęło mu po twarzy, w głowie uczuł straszny ból... krzyknął okropnym głosem... ogarnęła go ciemność... furę wydarła mu oczy.

„Gotów nas kto obwinie o przesadę—dodaje autorka. Ofiara tej straszliwej przygody żyje po dziś dzień w Niemczech.

Nie oddalając się od życia obozowego, dajemy tu w skróconym przekładzie scenę dramatyczną Manuela, odgrywaną w Paryżu na korzyść ambulansów, dopóki był teatr w Paryżu! Tytuł sztuczki: *Dla rannych*. Rzecz dzieje się w chacie służącej za ambulans. W głębi na tarasie chorągiew biała z krzyżem czerwonym. Blżej łóżko obozowe, dwa krzeselka i stolik. Młody oficer francuzki leży pokryty płaszczem wojskowym. Przy nim na krześle mundur i szpada. Młoda kobieta, ubrana jak infirmierka z krzyżem czerwonym na piersi, stoi u wezłowania.

KOBIETA.

Śpijże biedny żołnierzu, śpijże jeszcze chwilę!
Tyś w szalonej gorączce przecierpiał dni tyle;
Oh! czy ty wiesz jak twoje bolały mnie rany!
Lecz przyniosłam ci ulgę, tyś uratowany.

(przygląda się z zajęciem).

Budzi się... nie!..

(słucha).

Cóż mówi... nie rozumiem słowa,
Puls jego tak spokojny, taka chłodna głowa!
Pomnę, kiedy biedaka wniesiono w te progi
Ledwie duch w nim kołatał... drzę jeszcze od trwogil..
I kiedyż ja, mój Boże w moc serce uzbroję,
W obec mordów spełnionych w święte Imię Twoje!
Złożono go na słomę, zbliżyłam się z cicha;
Straszny był... w krwi starzany... pierś ledwie oddycha.
Przywalon stosem trupów przeleżał noc całą,
Do posług już sił naszym i czasu nie stało!
Okropnaż to posługal wśród trupów tysiąca
Wskłuchiwać się gdzie słabo uderza pierś drżąca.
Biedny! kula głęboko utkwiała mu w łonie,
Lecz słabiuchna iskierka jeszcze w sercu płonie;
Patrzę w oczy lekarza... on wiary nie traci,
Cudowna moc nauki! ależ tylu braci
Na pomoc biegłej ręki niecierpliwie czeka;

Gdy oko jego czuwa nad chorym zdaleka,
 Niechże ktoś u wezgłowia schylon dniem i nocą,
 W każdej chwili rannemu pospieszy z pomocą.
 To zbliży do ust napój, gdy spragniony woła,
 To uniesie poduszkę, to pot otrze z czoła.
 To w bólu słodkiem słowem doda mu podniety.
 Oto walk naszych pole! tu tryumf kobiety!
 Nie same rany ciała nam goić przystało,
 Lecz kojący lać balsam na duszę zbolaną.
 Mówić tym o nadziei, o Bogu, o niebie,
 Których ziemia w swém łonie może dziś pogrzebie;
 Kiedy śmierć im na czole blade piętno znaczy,
 Błogosławioném słowem ustrzedz od rozpaczy!
 (*chwila milczenia*).

RANNY *półsennie*.

Daj mi pić!..

KOBIETA *podając mu kubek*.

Oto woda.

RANNY *ukazując bok*.

Jakież cierpię męki.

KOBIETA.

Płaszcz ci pewnie dolega? usuńmy go.

RANNY.

Dziękil!

Wzrok mi razi to światło.

KOBIETA *spuszczając firankę u okna*.

Tak lepiej ci może?

RANNY.

O lepiej!.. Chciałbym pisać do matki... Mój Boże!
 Biedna ona! w tej chwili widziałem ją we śnie:
 Daj mi papier i pióro!

KOBIETA.

Dziś jeszcze za wcześnie,
 Ja za ciebie napiszę, podyktuj mi słowa;
 Każde twoje życzenie jam spełnić gotowa.

RANNY.

Ty, siostrzo!

(*otwiera oczy*).

Któż ty jesteś? co ten ubiór znaczy?
 Wszak siostry miłosierdzia przywdziane inaczej,
 Pomnę, z czołą nieraz czoło chyliłem przed nimi.

KOBIEȚA.

Ich zastęp dziś nie starczy; więc siły wspólnemi
 Lubo z światem związane spieszymy ochoczo.
 Służyć mężnym, co z piersi strumienie krwi toczą;
 Doglądać ich w chorobie, nieść osłodę w bólu,
 To nasz znak... patrz... czerwony krzyż na białem polu.

RANNY *z podziwieniem.*

Was-że widok nędz ludzkich, was śmierć nie ustrasza?

KOBIEȚA.

Francya tego żąda, to powinność nasza!
 (Następuje scena liryczna. Ranny ozywając się coraz bardziej, opowiada jak padł ugodzon kulą).

RANNY.

Na polu trup przy trupie, jak trawa zsieczona,
 Bruzdami z pluskiem płynie, powódź krwi czerwona;
 Kilku drogich przyjaciół padło pod mym bokiern,
 Nie czas płakać!... pułk naprzód mknie rączym poskokiern.
 Pędzim w ował przez ogrody, rowy, zgorzeliska,
 Dym wygryza nam oczy, po krwi droga śliska,
 Byłem głodny, spragniony, zbieram sił ostatki:
 Na sercu miałem portret ukochanej matki.
 Myślałem właśnie o niej, gdy z stodołki małej
 Błysło mi straszno w oczy, rozległy się strzały;
 Padłem na wznak plecyma przyparty do płota;
 Aż tu nagle z zasadzki wyskoczy piechota,
 Zrywam się, bom posłyszał głos trąbki tak znany:
 Daremno! krew gorąca wybucha mi z rany,
 Zaszumiło coś w uszach, w żrenicach mi ciemno
 I odtąd, już nie pomnę co się stało ze mną.

(Ranny błogosławił troskliwą opiekę kobiety która dnie całe
 czuwa u jego wezglowia. Nagle przychodzi mu na myśl własne
 jej niebezpieczeństwo. Błaga aby się oddaliła z tych miejsc strasznych, gdzie nieprzyjaciół uderzy lada chwila).

RANNY.

Uciekaj, póki pora.

KOBIEȚA *spokojnie.*

Próżne twe obawy...

RANNY z naleganiem.

Jutro tu lub dziś jeszcze nastąpi bój krwawy,
Nieprzyjaciół ztąd blisko. O! nie zwlekaj dłużej;
Gdy pomnę co cię czeka, krwę we mnie się burzy!

(słychać strzał).

Czy słyszysz? uchodź spieszenie!

(nowe strzały).

Znów! uchodź co żywo.

To wojna, wróg cię gotów zszarpać ręką mściwą.

(strzały powtarzają się)

Zapóźno już, niestety! Zostań... bądź spokojna!..

Jam zdrow, ja cię obronię!..

(Zrywa się, zarzuca płaszcz, chwytą szpadę, lecz bezsilny opiera się o krawędź łóżka).

KOBIETA.

Nie trwoży mnie wojna.

Twój stan jedynym tylko powodem mej trwogi.

Nikt stopą świętokradzką nie wkroczy w te progi,

Ten krzyż na białym polu bezpieczną mi strażą;

Ręce krwią ubroczone tknąć go się nie wazą.

Siądź tu... dłonie twe płoną i twarz dziwnie blade,

Daj słowo, jeszcze w pochwie niech spocznie ta szpada.

(Zmusza rannego aby usiadł na łóżku, poczem zabiera się do wyjścia).

RANNY.

Jakto? już mnie opuszczasz!

KOBIETA.

Tam może ktoś drugi

Dziś pilniejszej odemnie wymaga posługi.

RANNY.

Powiedz choć imię twoje, błagam cię na Boga!

KOBIETA.

Na cóż ci o nim wiedzieć?

RANNY.

Niechże matka droga,

Jeśli kiedyś to imię z ust syna posłyszysz

Z błogosławieństwem niebu zasyła je w ciszy.

KOBIEȚA.

Próżno żądasz, tu imię nie rzeczy nie zmienia,
 Miłosierdzie niech w czynach żyje bez imienia.
 Bóg mnie zna! On modlitwy nie odrzuci szczerój,
 Nie zstępujmy z wysokiej ideału sfery;
 Ty cierpisz, ja uzdrawiam, to święte ogniwo
 Dziś serca siostr i braci połączy tak żywo.

W dniu 17 września zmarła w Dreźnie księżniczka Amelia siostra panującego króla saskiego, urodzona w roku 1794. Należała ona do grona najświetlejszych kobiet w Niemczech. Wolna od związków małżeńskich, życie całe poświęciła naukom, liczne podróże znakomicie też wykształciły jej umysł. W roku 1829 wystąpiła po raz pierwszy na widownię literacką pod pseudonimem Amelii Heister. Dwa jej dramata wierszem *Dzień koronacyjny* i *Mesru*, do których przedmiot zaczerpnęła z dziejów wschodnich, odegrane były w Dreźnie, z nie małym powodzeniem. W roku 1833 posłała tajemnie do Berlina komedye: „Lüge und Wahrheit (Kłamstwo i prawda). Tu tryumf jej był prawdziwy: publiczność berlińska z zapałem przyklasnęła sztuce, nie domyślając się imienia autora. Inne dramata i komedye księżniczki: *Stryj*, *Oblubienica księcia*, *Naręczona z miasta stołecznego*, *Gospodarz wiejski*, *Pierścień ślubny*, *Opiekun*, *Kuzynek Henryk*, *Wiejska panna*, *Majorat* i wiele innych, ukazywały się z kolei na wszystkich niemieckich teatrach. Oprócz tego pisała zręczne libretta do oper i religijnych oratoryów. Wszystkie jej utwory tak wierszem jak prozą, zalecają się prawdziwie artystycznym smakiem; większą ich część przełożono na język francuzki.

Kraków, 22 października 1870 r.—W tych dniach wyszło w Wiedniu dziełko w języku niemieckim, p. t.: *Zwei Polen in Weimar (1829). Ein Beitrag zur Göthe-literatur, aus polnischen Briefen übersetzt und eingeleitet, von Th. Bratranek*. Jestto tłumaczenie „Listów z podróży” Antoniego Edwarda Odyńca, umieszczanych w *Kronice Rodzinnéj*, a opisujących pobyt jego i Mickiewicza w Weimarze, podczas obchodu ośmdziesięcioletniej rocznicy urodzin Göthe’go w r. 1829. Tłumacz książd Bratranek, augustyanin, rodem z Morawii, professor w uniwersytecie Jagiellońskim, wykłada literaturę niemiecką od lat dwudziestu i wciąż tego czasu był rektorem. Wydał między innymi: „Aesthetische studien”, „Aestetik der Planzen” i wiele rozpraw odnoszących się do życia, pism i wpływu Göthe’go. Przekładał także poezye W. Pola, i pisywał sprawozdania z ruchu literatury polskiej.

Nie tylko jest umiejętnym i gorliwym zbieraczem tego wszystkiego, co się odnosi do Göthe’go, ale zostaje z jego rodziną w Wej-

marze w ścisłych i przyjacielskich stosunkach. Przekład więc swój terażniejszy dedykował pani Otylii Göthe, synowej wielkiego wieszca; poprzedziwszy go wstępem, w którym skreśla obraz literatury polskiej, współczesnej pisarza tych listów. Pani Göthe podziękowała mu obszernym i uprzejmym listem, w którym między innymi mówi:

„Szczerze mogę panu powiedzieć, że pomimo tylokrotnych opisów naszego domu i kółka, żaden inny nie daje tak wiernego wyobrażenia o rodzaju ich towarzyskości, która stanowiąc sama najprostszą ale też razem (że się śmiem tak wyrazić) i najdelikatniejszą gościnność, starała się zawsze dla każdej znamienitszej indywidualności, dostarczać najstosowniejszego dla niej materiału; przez co i samo to kółko, acz szczupłe, było wszakże tak pełne interesu, i ojciec (Göthe), jako przewodnik chóru, sam zawsze tworząc szczyt jego, widział się otoczony gronem, stanowiącém niezbędną ogniwo wszelkiej towarzyskości, gronem wykształconych kobiet. Inaczej, wszelkie najświetlejsze zebranie może być akademią, prelekcyą, ale nigdy kółkiem towarzyskiem.

A i ja także za siebie winnam podziękowanie panu Odyńcowi; bo choćbym mogła przypuścić, że z samego obowiązku gospodyni domu mogłam może wydać mu się gościnną, to wszakże, że i jako w synowej (Göthe) nic we mnie do nagany nie znalazł czyni mi zaszczyt większy nad zasługę”.

Przy téj okoliczności może nie bez interesu będzie wiadomość, że znakomity literat i poeta czeski ksiądz kanonik Wacław Stulce, zajmuje się przekładem na język czeski wierszem Barbary Radziwiłłówny A. E. Odyńca. Praca ta jest już na ukończeniu. Przed dwoma zaś laty mieliśmy sposobność czytać sami dokonane tłumaczenie tegoż dramatu na język niemiecki wierszem przez pana Woytkę, profesora w Warszawskim niemieckim gimnazjum, które tak pod względem wierności, jakoteż mocy i wdzięku nie zostawia nic do życzenia.

W. W.

PISMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Stanisław Orzechowski i wpływ jego na Rzeczpospolitą w obec reformacyi XVI wieku. Rzecz historyczna. Napisał Ludwik Kubala Dr. filozofii. Lwów. 1870.

Stanisław Orzechowski był jednym z najobfitszych pisarzy jednego z najbogatszych okresów naszej literatury, to jest drugiej połowy XVI wieku—był on lubo (jak się wyrażał o sobie) *gente Ruthenus* jednym z najpierwszych którzy zaczęli pisać w kraju w przedmiotach poważniejszych narzeczem polskiém,—jako pisarz łaciński celował on piórem tak świetném, iż pisma jego spótcześnie stawiane były za wzory w krajach europejskich,—jako szermierz w spótczesnych krajowych kwestyach religijnych i politycznych nie miał sobie równego pod względem siły słowa i gorliwości, i był jednym z najbardziej wpływowych na dalsze przekonania krajowe w obu tych kierunkach. Postać ta tak znacząca i świetna, nie dziw że nieraz już stawała się u nas przedmiotem obszerniejszych studyów; dosyć tu wspomnieć na pracę tak poważnego pisarza jakim był Józef Max. Ossoliński a który całe obszerne dwa tomy swych *Wiadomości historyczno-krytycznych* (3ci i 4ty) jednemu Orzechowskiemu poświęcił. Obecnie otrzymaliśmy w tym przedmiocie studium nowe nieznanego nam dotąd pióra p. Ludwika Kubali. Jest to studium stosunkowo nie obszerne ale treściwe i nie niegodne także swego przedmiotu. Aby wartość i wnioski wyrażone w tém dziełku stały się jaśniejsze, przypomnijmy tu najprzód czytelnikom sami, kim mianowicie był i jakim się nam przedstawił w treści pism swoich Orzechowski?

Stanisław Orzechowski (urodzony w r. 1513 w okolicach Przemysła) był synem ziemianina herbu Oksza i córki księdza ruskiego. Ojciec jego (ojciec zarazem kilkorga dzieci) przeznaczył go był do stanu duchownego, i obyczajem wieku jeszcze dla dzie-

cka wyjednał był u przyjaciela swego arcybiskupa Starzechowskiego kanonię przemyską. Stan duchowny w owym czasie mógł zjednać byt dostatni i główne krajowe godności, i ojciec dla uzdatnienia syna do godnego przebycia tego zawodu wysłał go dla ukształcenia się za granicę. Kształcił się Orzechowski w Niemczech lat 5, we Włoszech 11, w Niemczech a mianowicie w Wittenbergu (gdzie bawiło z nim wtedy wielu spółkrajowców, a między innymi *St. Warszewicki, Tomicki, Ostrorogowie, Górkowie*) zaprzyjaźniony z Marcinem Lutrem, Melanchtonem i innymi reformatorami wieku, nabył od nich zamiłowania w kartach Pisma S. niezawisłości w sądzie, energii w słowie; we Włoszech (bawiąc po kolei w Wenecyi, Bononii, Padwie i Rzymie) znajomości literatury klassycznej i wprawy w świetne władanie językiem Rzymian. Wróciwszy do kraju, stosownie do woli ojca przyjął święcenie i objął kanonią. Ale obok zdatności i bogactw duchowych, odziedziczył był Orzechowski w równie silnym stopniu i passyę zmysłowe;—począł więc najprzód gorszyć otwartém rozpustném życiem i wnet występować słowem i piśmem przeciw wymaganemu w kościele łaćnińskim bezżeństwu księży. Strofowany przez właściwego biskupa (Dziaduski) i następnie powoływany przed sąd, przybył (w r. 1550) na sejm w Piotrkowie i tu przedstawił wniosek o udzielenie ogólnego dozwoleńia w kraju żenienia się księżom; -- wniosek ten został bez skutku, w roku przeto następnym (to jest w 8 od wyświęcenia a 38 życia) złożył godności duchowne i poślubiwszy szlachciankę Magdalę Chełmską osiadł w ojczystej wiosce Żurawicach. Za postępek ten biskup Dziaduski rzucił nań kłatwę i małżeństwo za nieważne obwołał; Orzechowski od decyzji tej odwołał się do Prymasa (Dzierżgowski), ale bez skutku, sprawę swoją wniósł więc na sejm, sejm zaś (do składu którego wchodzili i Dygnitarze duchowni) dopuściwszy go do złożenia wyznania wiary, po wysłuchaniu tegoż kłatwę cofnął, wyrzeczenie zaś co do małżeństwa zawiesił na rok, pozwalając mu przez ten czas wystarania się potwierdzenia małżeństwa u Stolicy Apostolskiej. Potwierdzenia tego nimo wymowne traktaty i listy do Papieży nie otrzymał Orzechowski ani w ciągu roku ani nigdy potem; jakkolwiek bowiem celibat księży w kościele katolickim dogmatem nie jest (czego jawnym dowodem jest dozwolone w nim posiadanie żon kapłanom w obrządkach wschodnich), ale obok dyscypliny obowiązkowej zachodniej dogmatem było zawsze, iż śluby małżeńskie nie mogą być czynione po złożonym ślubie czystości lub wyświęceniu; tłumaczenie się przeto Orzechowskiego iż arcybiskup Starzechowski nie wymagał od niego ślubu czystości przy wyświęcaniu, nie było uwzględnioném. Wszakże Orzechowski w trakcie tej sprawy nietylko był zajęty obroną własną, ale też walczył gorliwie i silnie w obronie kościoła katolickiego przeciw coraz liczniejszemu i coraz czynniejszemu w kraju różnowiercom; jego walki uczone i walki wymowne kazały go oszczędzać, stolica apostolska w rzeczy apellacyi Orzechowskiego nic więc nie wyrzekała, a władze krajowe

(prymas Przyrębski) oczekiwanie na to wyrzeczenie do nieokreślonego czasu przedłużyły. Orzechowski przez ten czas bawił na wsi i tylko jako ziemianin zajmował się ogólnymi sprawami kraju. W niedługim czasie, w 15 już jednak roku pożycia, a oczekując zawsze wyrzeczenia co do jego prawności, umarła Magdalena Chelmska, i w tymże roku (1566) umarł i Orzechowski.

Orzechowski umarł w Żurawicach, prawie w niedostatku, otoczony licznym potomstwem; spodziewane urzędy i dygnitarstwa minęły go, godność jednak do której był doszedł i którą przewyższył był może innych społecznych w kraju, była to powaga jego pism. Od powrotu do kraju do śmierci, myśl i pióro Orzechowskiego nie znalazły wyczerpania. Liczba znanych pism jego dochodzi do 40. Żaden wprawdzie z utworów tych nie dał nam jakiegokolwiek wykończony albo na większą skalę całości, były to wszystko prawie pisma okolicznościowe, nakreślane z powodu kwestyj społecznych, w celach społecznych, ale wymowa pióra, żywość słowa i nieraz nowość pomysłów, które były ich cechą, nadawały im nawet niejednokrotnie wartość okresową w gałęziach ich.

Czas w którym pisał Orzechowski, był to ów wiek XVI, w którym myślenie ludzkie doszło było do swego ogólnego podrostu, i skutek ten objawiało i w utworach ducha i w dociekaniach. Do dociekań tych należały między innymi: ocenianie umysłem nowym wiar ludzkich i urzędów społecznych, — i w tych właśnie kierunkach, myśl Orzechowskiego głównie była upodobała. Wróciwszy on do kraju, nowe tu a gdzieindziej nieznanne żywioły do badań tych znalazł. Kraj ten jego był to kraj, któremu sądzonem było być ledwo nie we wszystkim oryginalnym. Oryginalną była jego formacja, oryginalnem trwanie, oryginalną być miała śmierć, życie pośmiertne i t. p. Zajęcie się szczegółami tego kraju musiało więc i poświęcone im pisma odziać w pewną odrębność. W rzeczy wiary znalazł tu mianowicie autor Chrześcijaństwo jak w innych krajach i znalazł liczne umysły żądające reformy w wierze tak jak gdzieindziej, ale znalazł tu nadto (czego nie widział gdzieindziej) w połowie kraju Chrześcijaństwo stojące niewzruszenie przy wierze dawniej ale mające odmienny obrząd niż na Zachodzie. W rzeczy stosunków społecznych znalazł tu monarchę i poddanych jak wszędzie, ale stosunek władzy tego monarchy do poddanych i stosunek poddanych do monarchy, był tu zupełnie różny niż gdziekolwiek indziej (ówczesny parlament w Anglii nie był tam jeszcze tém, czém się miał stać wiekiem późniejszym, Henryk VIII był panem nie tylko głosu ale i życia jego członków). Te przeto różne względy jak były źródłem takich nie innych rodzajów pism, tak też następnie takiego nie innego ich koloru pod piórem Orzechowskiego. Dzieła ważniejszej treści które wyszły były z pod pióra tego autora, były mianowicie następujące. Z pism w których przemagały więcej względy polityczne:

Fidelis subditus (wierny poddany). pismo którym Orzechowski przybywszy do Krakowa w sprawie Kapituły Przemyskiej z Bi-

skupem Tarło (poprzednikiem Dziaduskiego), pierwszy raz dał się być poznać Królowi i krajowi. *Turcyki* czyli mowy pisane na wzór Filipik Demostenesa a powołujące do wojny przeciwko Turkom. Mowa na pogrzebie Zygmunta I (oba te pisma po kilkakrotnie przedrukowywane były w Europie). *Annales* czyli Roczniki opisujące cztery pierwsze lata panowania Zygmunta Augusta. *Rozmowa* albo *Dyalog około egzekucyi korony polskiej*, pismo podane na sejm z roku 1562, zastosowane do rozbieganych kwestyj. *Quincunx* pismo podane na sejm z r. 1564, — i *Policya* czyli księgi o urządzeniu kraju na wzór Arystotelesowych, dzieło które uważał Orzechowski za swój testament.

Trzy te ostatnie pisma pisał Orzechowski po polsku, pisma w których znowu przemagał wzgląd religijny, pisane były wszystkie po łacinie, a do główniejszych z nich należą następujące:

De coelibatu contra Siricium, pismo przesłane przez autora papieżowi Juliuszowi III wraz z listem do niego. *Repudium Romae* czyli rozbrat z Rzymem, pismo którego wydrukowanie wstrzymał był autor na wdanie się Prymasa Uchańskiego. *Chimera* czyli o zgubnej sekcji Stankara, pismo przypisane Zygmunutowi Augustowi, a następnie przesłane przez autora na Sobór Trydencki. *Fricius* czyli o powadze Stolicy Apostolskiej przeciw Modrzowskiemu. *Confessio Fidei Catholicae* pismo na 3 lata przed śmiercią Orzechowskiego drukowane w Kolonii.

Co do charakterystyki zewnętrznej tych pism dosyć tu będzie przytoczyć zdanie ostrego dla wszystkich pisarzy polskich Brauna, który ją tak określił: *certe, habuit iste vir conatam et acquisitam industria potentissimam vim dicendi* (zaiste, miał ten człowiek wrodzoną i przez sztukę nabytą ogromną potęgę słowa).

Co do treści wewnętrznej, powiedzieliśmy już jakie ich było tło ogólne, dodać zaś tu najróżd wypadła, że jak na ich powód tak i na ich kolor, wpływały przedewszystkiem cechy charakteru autora których przeważną stroną były: duma, gwałtowność, namiętność i t. p.

Powodem téj dumy autora, jak to zaledwo nie co chwila widzieć można, pod jego piórem były: herb jego dziedziczny Oksza, przywileje szlacheckie, którym, jak wierzył, nie było równych na świecie, nauka którą był nabył, oraz ten talent pióra który posiadał. Dla Orzechowskiego gdy pisał nic nie znaczyły ani czyjaś władza ziemiska, ani czyjaś duchowna, ani czyjeś naukowe zalety, tam więc nawet gdzie widział jakowąś wyższość, gdzie miał potrzebę błagania, starał się wznosić siebie nad swe stanowisko, poniżać ową wyższość i t. p.

Jakoż szczegół ten był powodem, iż lubo np. królowi Zygmunutowi Augustowi poświęcał swe pisma, co chwila jednak przypominał mu jego powinności i przywileje własne.

W piśmie *Wierny Poddany* którym się temu młodemu królowi poraz pierwszy właśnie chciał dać poznać, przypomina mu, iż w kraju którym rządzi, nie królestwo jest dla króla ale król dla

królestwa; iż trwoni lata gorsząco, co zjedna mu pośmiech u swoich a wzgardę u obcych; „żyjesz tu, mówi między innymi, rozkosznie w Krakowie, jak niedys Ludwik w Budzie; taką też będziesz miał i powagę u swoich jak niedys Ludwik w Budzie”. Pisząc Turyki wiedział że pisał przeciw woli Zygmunta, który pragnął raczej przymierza niż wojny z Turcją. W *Rocznikach* (przypisanych także królowi) wyśmiewał miękkie wychowanie królewskie, szydził z swych protektorów (Kmity) i t. p. W listach pisanych w swój sprawie do Papieżów Juliusza III, Pawła VI i i. więcej groźbą jak prośbą domagał się potwierdzenia swego małżeństwa. Kiedy surowy nuncyusz *Lipoman* przybył do Polski mając zlecenie wejrzeć w sprawę Orzechowskiego, Orzechowski w podaniu do niego piśmie z rozpaczą błagał o uprawnienie jego małżeństwa i jego potomstwa, i z taką między innymi skruchą się wyraził: „Nie wyjeżdżaj mi tu ze swoim rzymskim bożyszczem, musiała mu jakaś éma wszechmocności mózg zamięszać, jeżeli sobie roi, że tak łatwo może udzielić daru wstrzemięźliwości jak wyrzec słowo: „nie żeń się”.

Gwałtowność ta charakteru była też właśnie powodem, że nieotrzymując żądanej odpowiedzi z Rzymu, gotował się nawet do rozbratu z Rzymem i wygotował owo *Repudium Romae*.

Jak jednak mimo ujemne obrazy króla i paszkwile na króla, Orzechowski był zawsze z winnymi względami dla niego i z kądinąd z głęboką czcią (czego dowodzi i ostatnia jego dedykacja *Policji*) tak było i z rzeczywistym jego stosunkiem do Stolicy apostolskiej.

Rzeczywiste stanowisko autora w kwestyi religijnej było następnę:

Orzechowski podzielił był zupełnie słyszana w Wirtembergu zasadę, iż należy czcić Pismo Ś. i do jego wykładu stosować sąd *osobisty*, ale ten jego sąd osobisty do innych go powiódł wniosków niż reformatorów zachodnich. Orzechowski nie dzielił najprzód owego reformatorów zdania, iż z obrządków chrześcijańskich winno być odrzuconém to wszystko co nie jest zaleconém przez Pismo; zasadę tę wyśmiewał nawet wyraźnie, np. w jedném z najpierwszych pism swoich p. n. *Za pogrzebem Zygmunta Jagiellona* gdzie zwracając słowa do niejakiego S. Q. który wieczierając z nim w dzień pogrzebu wyśmiewał z owój zasady: świątka, kadzidła i śpiewy słyszane przy obrzędzie, mówi między innymi: „a więc i to żeś ty wczoraj wieczerał ze mną u posła Ferdynandowego, żeśmy wczoraj szli za pogrzebem, bajką jest także, bo o tém w Piśmie nie stoi;”—i powtóre (a było to główne) Orzechowski był zdania, że skoro się przyjmuje Pismo, tedy wypadało nieodbicie przyjąć i te następstwa które wypływają z Pisma, a mianowicie tę hierarchię która oznaczoną została słowami Chrystusa po trzykroć powtórzonemi do Piotra: „Paś (t. j. strzeż i kieruj) owce moje”. Powagę tej władzy Orzechowski uznawał zawsze, nawet w *Repudium Romae*. Z razu tylko (t. j. w pierwszych swych pismach) inne jęj przyznawał granice, nie wierzył w jęj wszystkie decyzje, i nawet

wyżej niekiedy zdawał się stawiać instytucje cywilne. W *Republika Romae* groził odstępstwem jeżeliby Rzym nie sprawował się tak jak nań przystało. W liście do Juliusza III przechwalając się jakimś krajem jest mieszkańcem, zwracał uwagę iż w każdym razie decyzja jego przesłana królowi nie byłaby jeszcze ostateczną. „Król pan nasz (wyraża tu między innymi) nie jest mocen uczynić co chce, nie rzecze mi natychmiast skoro tylko palcem na niego skiniesz, lub przed oczy mu migniesz swoim rybackim pierścieniem: Stanisławie Orzechowski! Juliusz papież chce, każe, ażebyś szedł na wygnanie, idźże. Upewniam cię, król nie może chcieć co ty, i choćby chciał nie może przeciwko mnie postąpić według swój woli, bez sejmu”. Ale z następstwem czasu, z biegiem licznych polemik, gorliwość dla téj władzy i bazwarunkowa cześć dla niej stopniowo w nim rosły; twierdził o tém i pisał, i dnia jednego zapalwszy się w sporze o ten przedmiot z Modrzewskim na obiedzie u prymasa Uchańskiego w Wolborzu, wybiegłszy wezwał go na drzwiach katedry o odwołanie twierdzeń przeciwnych,—i wydrukował wkrótce jedno z najgłośniejszych swych pism *Fricius*, w którym między innymi i własne swe w tym przedmiocie błędy wyznawał i odwoływał (1).

Z polemik religijnych które prowadził Orzechowski najdłuższą i najzawziętą ta była którą wiodł ze *Stankarem*. Reformator ten przesładowany w Europie przez stronników nawet Kalwina i Lutra, tu w Dubiecku znalazł był opiekę Stadnickich, a liczna młodzież szlachecka zbiegała się tu słuchać jego nauki. Orzechowski wyzwał go był najprzód na dysputę do Warszawy, następnie ścigał listownie, i wreszcie napisał ów sławny traktat *Chimerę*, którą jak rzekliśmy przypisał królowi, przesłał na sobór, a o której akademik J. Górski wyraził się: że jeżeli Orzechowski w innych

(1) Przytaczamy tu to miejsce z Traktatu, które da téż poznać czytelnikom i ten stopień ironii i złośliwości osobistych do jakich się uciekał Orzechowski i jakich używał w sporach. „O gdybyś kiedykolwiek Modrzewski — mówi tu między innymi autor — w ślad mego upamiętania się wstąpił i rzuciwszy się pod stopy Piotra bijąc się w piersi zawołał: Ojczy Świąty! zgrzeszyłem przeciwko tobie i niebu; urodzony w twojej owczarni odbiegłem od ciebie, mego pasterza; niemogąc uległością twojej nauce wzbic się nad wszystkich, szukałem innego żywiołu mojej dumie. Łechtały mię po uszach babskie poszepty: oto mi głowa, oto człowiek nad ludzi! nie tak wierzy jak księża! Nie urodziłem się szlachcicem, nie posiadam dóbr, nie posiadam głębokiej nauki; ledwie przeszedł przez grammatykę, o retorykę trochę się otarł, filozofii anim liczał; podlego gniazda piskłę, chudak, nieuk, goły, bez wszelkiego znaczenia, postanowiłem dźwignąć się nad mój los choćby i czynem Herostrata” (*przekład Ossolińskiego*). Orzechowski jak tu widzimy dla oznaczenia stopnia naukowej zasługi odwoływał się i do herbu. Tak téż i nieraz czynił. O *Hoziuszu*, *Kromerze* (np. w liście do Dudycza) wyraził: iż „ci synowie mieszczan nie mogą nawet świadczyć przeciwko niemu.”

swych pismach przewyższał wszystkich, w tém piśmie przewyższył sam siebie. Traktat ten *Chimera* miał nie tylko treść religijną, ale i polityczną; Orzechowski poraz pierwszy w nim z właściwą sobie wymową, system swój religijno-polityczny wyłożył.

Jakaż mianowicie była treść téj *Chimery*? Napis *Chimera* oznacza tu sektę Stankara, która tak pustoszyła kraj jak niegdyś owa starożytna *Chimera*, siebie zaś przedstawia tu autor jako Bellerofona który zabił Chimerę. Traktat ten ma dwie różne części: pierwsza jest religijną wyłącznie, opisuje w niej autor zasady i historią sekty Stankara, oraz swoje zwycięstwo; druga która wypływa z pierwszój jest w części i teorią polityczną; skreśliwszy autor królowi zgubność nauki Stankara, starał się dalej dowieść, iż obowiązkiem jego jest właśnie wyniszczać różnowierstwo, i w tym celu zastanawia się i umieszcza wywód: czém król chrześcijański różni się od pogańskich? a czém król polski od innych chrześcijańskich? Autor przypomina tu mianowicie na tę odpowiedź którą udzielił był Chrystus uczniom zapytującym kto z nich jest większy? a w którój wyraził iż „nie tak będzie pomiędzy wami jako u pogan, ale ktoby się między wami zdał być większy, niech będzie jako sługa,”— i zwróciwszy uwagę iż takim właśnie powinien być król chrześcijański (1), i że tak właśnie pojął tę zasadę pierwszy kraj jego, wnosi: iż pierwszym obowiązkiem Zygmunta Augusta, jest czuwać nad dobrem kraju, strzedz wiary jego, ścigać jój przeciwników i t. p.

Chimera oddaną była na soborze do opinii Jezuitów *Lainez* i *Bobadilla*, a Hozyusz doniósł autorowi iż z przyjemnością przez członków soboru była czytana; zasady jój zaczął odtąd autor rozszerzać i opowiadać i w języku krajowym, a między innymi wyłożył je z zastosowaniem praktyczném w piśmie *Rozmowa czyli Dyalog około egzekucyi korony polskiej* (Rozdziałów VII), który za najpełniejszy i najcharakterystyczniejszy z politycznych traktatów jego poczytujemy.

Cóż znaczył ten *Dyalog około egzekucyi*? W r. 1562 zbierał się sejm w Piotrkowie, w którym iść miało głównie o egzekucyę i sposób egzekucyi praw dawnych, a mianowicie Statutu Alexandra z r. 1507 o rozdawaniu starostw. Orzechowski wygotował rozbierające te kwestye pismo i podał je na sejm, lecz cel ten podał mu był zarazem pretext do rozwinięcia swych postrzeżeń i myśli o należnym rządzie krajowym, o obowiązkach króla, urzędów, o stosunku władz cywilnych do władz duchownych i t. p. Do wykładu tego użył autor formy Platona i ztąd *Dyalog*. *Dyalog* ten czyli rozmowę prowadzą tu zebrani jakoby na gęś Marcinową *Ewangelik*, *Papieźnik* i *Gospodarz* (t. j. sam Orzechowski). Już

(1) In Barbaris—mówi tu w texcie autor—caput regni Rex, placitum regis Lex; at in ecclesia Christi contra sunt omnia; in Barbaris dominantur reges, in Christianitate ministrant, ibi reges sunt Domini, hic servi servorum Christi.”

sam ten skład dyalogu objaśnia jego charakter; tytuł zapowiada politykę a nazwiska interlokutorów oznaczają odcienia wyznań religijnych. Stanowisko Orzechowskiego kiedy ten traktat pisał było już, jako dziś nazywają (lubo nader niesłusznie) *ultramontańskie*. Autor mówi tu między innymi o początku władzy królewskiej i o jej stosunku do władz duchownych i znajduje iż ta władza królewska o tyle tylko jest władzą, o tyle ma powagi, o ile mu jej udzieliła duchowna. Orzechowski mówi tu prawie tak: Bóg nie rzekł ani do Piasta ani do Jagiellona ty będziesz królem, ale rzekł tylko do Piotra: „paś moje owce.” Król Zygmunt o tyle więc tylko ma władzę, o ile mu jej udzielił Prymas. Wyrazem (wykłada tu autor) należytego składu państwa jest trójkąt t. j. figura trzy-ramienna, której jedno ramię ma być nazwane *Król*, drugie *Ołtarz*, trzecie *Kapłan*. Król winien bronić ołtarza, więc ścigać reformatorów i nowowierców. Tak żarliwy obrońca swobód jak Orzechowski, w kwestyi wiary trzymał się jednak wprost przeciwniej zasady. Stosując do przedmiotu t. j. do kwestyi *tolerancyi* zasady ewangeliczne, pomijał on te nauki które się tam do przedmiotu tego bezpośrednio odnosiły, np. kiedy na domaganie się uczniów aby spalić miasto niewierne, Chrystus rzekł: „nie wiecie jakiego ducha jesteście,” lub téż owo wyrażenie paraboli do którego miał odwoływać się Zygmunt August strofowany o tolerancję „*dopuszćcie obojgu rość*,” lecz natamując znaczenie textów wołał: „powroza na kacerza trzeba nie pisma, bo i Pan Jezus *biczkiem* przepędzał tych którzy *kupczyli* w kościele jego” i następnie konieczność nietolerancyi wykładał w tym Dyalogu zkadinał z wymową, która przypominała wymowę jego pism łacińskich. „Pomazując—mówi tu autor—papież (t. j. prymas) króla olejem św., koronę na głowę jego kładąc, miecz i sceptrum jemu dając, nie mówił mu tak: Sigismunde Auguste, tym mieczem któryć daję w ręce wzięwszy go z ołtarza broń tego kościoła, w którym Luter, albo Kalwin, albo Stankar, albo Lizmanin zwodząc lud uczyli, ale tak mówił: tego ty królu kościoła broń w którym ja jestem pasterzem. Ludzie bezecni i zkadinał wygnani przyszli nie bojąc się króla i prawa naszego, nabudowali nam rozlicznych ołtarzów; mamy ołtarze: aryańskie, mamy nestoryańskie, mamy mahometańskie, których jeśli król nie wykorzeni na tym sejmie piotrkowskim przez egzekucję, upadkiem swoim zapłaci.” Orzechowski był zdania, iż nie było na świecie kraju tak wybornego składu politycznego jak była Polska, lecz że przeznaczone jej było zginąć z powodu *tolerancyi*. (Orzechowski mylił się, upadek kraju rozpoczął się był bowiem następnie przeciwnie z powodu nietolerancyi). Raz zaś uznawszy, iż obowiązkiem było króla bronić wiary, wnosil ztąd autor, iż król w tym celu powinien mieć bogactwa i wielkie; rozbiera więc dalej kwestję bogactwa kraju, obrony kraju, i w szczególności te które miały być w tych przedmiotach traktowane na sejmie. Łączenie wszystkich tych kwestyj z duchem chrześcijańskim było zapewne powodem iż zasady Orze-

chowskiego w tym dyalogu, w sposób wyjątkowy prezentowały się tu na chwilę inaczej niż w innych jego pismach. Autor nie tylko zapomniał tu na swój herb, ale nawet na różność stanów, a stany miejski i wiejski zaledwo nie za stany równej wagi ze szlacheckim uznawał. Mówi tu nawet wyraźnie, iż pięć stanów które składają Królestwo Polskie winny też mieć równy udział i w radzie o niem. „Mamy tedy—mówi tu—pięciorakowe ludzie którzy Polskiego Królestwa używają: król, duchowny, ziemianin, handlownik, kmięć, a gdyż ci wszyscy Korony Polskiej używają, są powinni o niej radzić...” Rozd. VII. i dalej: „Nic ona (Rzplita) nie pyta: chłopi, szlachcici, comesli, królewicli jęj pomógł, na uczynku przestawa, na ród się nie ogląda” i jakby spowiadając się z swych dawnych w tęg rzezy błędów, dodaje: „Oto jest teraz w Trydencie Concilium wielkie i sławne. Jest tam w tęg mieście teraz zjazd ze wszystkich okolicy świata tego; jest tam dziś rada o wszystkich państwach i królestwach chrześciańskich. Nie pytają tam (jednak) kóregoś ty jest rodu albo herbu, ale kóregoś ty jest rozumu? Słyszycie Stanisława Hozyusza biskupa i kardynała prezydentem być Concilii. Ten się nie w pałacu królewskim w Krakowie rodził, ani w Tarnowie, ani na Tęczynie, a wždy widzicie jako usiadł wysoko przez dzielność rozumu oświeconego swego;“ gdy zaś następnie na wysokie zalecenie pism Hozyusza i Kromera Ewangelik powiada że jednak słyszał ludzi którzy wyżej jeszcze stawia Orzechowskiego, Orzechowski odpowiada: a toć prawdziwie o sobie powiem, zem nie jest godzien wtenczas świeczki ku czytaniu dzierżęc, kiedy Hozyusz czyta albo Cromeris pisze... oni nie herbem w Norymbergu rytym, ale rozumem oświeconym i tęg dzielnością swą własną szlachectwa swego dowodzą.”

W piśmie które podał na sejm następny (1564) p. n. *Quincunx* ideał dobrze urządzonego kraju wykłada już nie jak trójkąt ale jako figurę mającą pięć boków (jest to jedno ze znaczeń napisu *Quincunx*;) do trzech pierwiastków kraju: król, ołtarz i kapłan dodane tu jeszcze *wiara* i *kościół*; to pomnożenie jednorodnych i prawie jednoznacznych pierwiastków, więcjć jednak zaćmiło niż rozjaśniło wykład i pismo to więcjć jest zajmujące z powodu licznych swych wzmianek o mówcach, pisarzach i pismach niż nauk swych politycznych. Przeciwnie ostatnie pismo Orzechowskiego *Policya* kórego nie wydrukował wprawdzie autor, lecz które był przygotował do druku (wydrukowane dopięro w roku 1859 wraz z *Ziemianinem*) zajmuje nas tylko z powodu zasad swych politycznych, a w zasadach tych wrócił tu autor znou do wyobrażeń swych dawnych o stanach od których był w Dyalogu na chwilę, (może tylko z powodu szczegółów owego Concilium) odstąpił. Orzechowski który w Turcykach pisał: „samiście jedni na świecie całym prawdziwie wolni... *wszyscy* w wolności jak godności równi”,—w *Policyi* dowiódł iż tęg równość i wolność, do drobnęj tylko części kraju odnosił. Mówi on tu obszernie i co chwila do zasady tęg wraca, że władze cywilne w kraju są wpływem duchownych i że tym we wszy-

stkiem ulegać powinny, zarazem jednak powtarza także co chwila, że całość kraju składają tylko król, duchowni i szlachta, a iż stany miejski i wiejski za istotne nawet stany krajowe uważane być nie mogą, i dowodzeniem tego całe nawet rozdziały poświęca. „Policja nasza, mówi tu między innymi, ku cnotcie wszystko swe wiódąc królestwo na tych staniach znacznych (król, kapłan, rycerz) jak na słupiech swych wybornych postawiła Polskę, a onym którzy grosz groszem gonią, albo łokciem mierzą, albo kwartą szynkują, albo rzemiosła robią, albo pługiem u drugiego zniewoleni są, takowe miejsce w królestwie polskim zostawiła co w domu gospodarza miewają słudzy, bo tym wszystkim nad cnotę zysk smakuje bardziej, które go gdyby tylko doszli waży się wszystkiego lubo dobrego lubo złego. A gdzie takowa chciwość jest zysku, tam téż jest chciwość i fałszu, bo to tego zawsze się dierzy. Nadto jeszcze ci wszyscy jako około niższych rzeczy chodzą, tak téż i niskie myśli mają; to bacząc *Policja* (konstytucya) nasza odłączyła od zacności swój oracze, rzemieślniki, kupce, a przy kapłanie, królu i rycerstwie polskim wszystka została”. Dziwić się naturalnie można dlaczego jeżeli mierzenie kwartą uważane było za hańbę, nie uważało się jednak za tę mierzenie korcem albo wiadrzem, i dlaczego wywijanie orężem a nawet zabicie poddanego (jak to się miało zdarzyć samemu Orzechowskiemu) za cnotliwsze uważać się miało niż praca około rzemiosł, praca która jednak, według samego Pisma, miała być właśnie niegdyś zajęciem się pierwszych założycieli chrześcijaństwa. Wyobrażenia podobne były to wprawdzie wyobrażenia prawie powszechne wieku, ale dola krajowa chciała iżby tu silniejszą popierane wymową, trwalszą wiarę i trwalszy skutek wywarły. Rozumowania podobne o hańbie rzemiosł powtarzano u nas nieraz prawie dosłownie (czytać np. *Reformacyą* Starowolskiego).

W ogólności więc, gorące zamiłowanie swobód lecz odnoszenie ich tylko do szlachty, gorąca wiara i gorliwość w katolicyzmie lecz posunięcie ich do nietolerancyi, to jest główny charakter pism, rozumowań i działań Orzechowskiego, charakter który téż był udzielił głównej barwy i wszystkim prawie innym a nader licznym pismom w kraju polityce poświęconym, a który dopiero podany na sejm elekcyjny *Głos* Leszczyńskiego, a bardziej, rozwijające go pisma *Konarskiego* w inną drogę popchnęły.

Takię to osobistości i takiego znaczenia pisarzowi poświęcone jest dzieło p. Kubali, którego napis przywiedliśmy. Treścią tego pisma nie jest traktat o dziełach Orzechowskiego pod względem bibliograficznym, ani téż szczegółowy rozbiór ich treści, ale jak o tém ostrzega sam napis, przedmiotem tym jest: oznaczenie i ocenienie „wpływu tego pisarza na kraj, w obec reformacyi”. Zwięzłe ale i obrazowe i wiernie wywiązał się tu autor ze swego zadania. Krótko ale z bogactwem szczegółów skreślony tu obraz religijny kraju w połowie wieku XVI. Żywo i trafnie narysowana

w obec tego ruchu postać Orzechowskiego, jego rysy życia, jego działalność jak równie obrazy osób z którymi miał związki i które wywierały wpływ większy na kraj ówczesnie, jak np. Zygmunta Augusta, prymasa Uchańskiego, Frycza Modrzewskiego i t. p. Co do wniosków głównych, to jest: co do oznaczenia religijnych celów Orzechowskiego, autor jest najprzód zdania iż głównym z tych celów było połączenie dwóch kościołów chrześcijańskich które znajdował w kraju w jeden, to jest, że kościół zachodni winien był według niego przejąć od kościoła wschodniego kielich i małżeństwo księży; zaś wschodni od zachodniego jego hierarchią. Co do stosunku Orzechowskiego, do reformacji zachodniej, autor uważa iż on mimo odcienia zwrotów, stał zawsze od początku do końca przy katolicyzmie, i że pisma jego były właśnie głównym źródłem tego kierunku który Jezuici (zastosowawszy jego zasady do swych wykładów) krajowi następnie nadali. Za Zygmunta Augusta i Batorego, kraj polski z wielką żywością zajmował się reformacją, każda sekta wymowniej opowiadana znajdowała tu posłuch i protektorów; wszystkie prawie bogatsze i znakomitsze rodziny kraju nie tylko dawały przytułek nauczycielom nowości, ale budowały dla nich świątynie, zakładały szkoły, łożyły nakłady na ich pisma i t. p. w końcu tego czasu zaledwo już nie 10-ta tylko część szlachty całego kraju była katolicką. Cóż było powodem następnie i tak powszechnej i silnej w lat kilkadziesiąt reakcyi? Autor tu słusznie uważa iż niedostatecznym jest twierdzić, że powodem tego była gorliwość Zygmunta III i jezuitów; i pobożność bowiem Zygmunta III (który był z domu protestanckiego) i sympatya dla Jezuitów były już skutkiem a niepowodem zmienionego w kraju kierunku. „Któż, zapytuje autor, zmusił odszczepionych panów polskich przyjmować jezuitów, stawiać dla nich kościoły, powierzać im wychowanie dzieci?” i t. p. i wnosi iż piérwszy do tego popęd dały właśnie pisma Orzechowskiego; autor sądzi téż iż Orzechowski był wcieleniem i uosobieniem rysów głównego charakteru szlachty polskiej. a pisma jego przez oparcie tych rysów na tle religijném najwięcej się przyczyniły do rozszerzenia ich i utrwalenia.

Nie na każde zapewne zdanie wyrażone w téj książce p. Kubali moglibyśmy się zgodzić i nie bezbłędne tu są wszystkie twierdzenia,—tak na przykład na str. 8 wspominając aut. o piśmie Orzechowskiego *Fidelis subditus* powiada: iż była to pierwsza broszurka polityczna w kraju naszym a może i w całej Europie,—w kraju naszym na długo piérwój i nawet od wieku bywały już tego rodzaju broszurki, dosyć jest wspomnieć na sławny pamiętnik Jana *Ostrogora* o potrzebie reformy administracyjnej w kraju (*Monumentum pro Comitibus etc.*) podany na sejm z roku 1459, — traktat z r. 1507 *De reformatione Regni* (autorem którego miał być według Janockiego *Zaborowski*, według Brosciusza *Czepel*) i t. p.—Jako na dowód wpływu i licznych wydań pism Orzechowskiego, autor zwraca mianowicie uwagę na jedenaście wydań pisma jego *Idea apocaliptia*, ale *Idea apocaliptia* ukazała się była najprzód bezimiennie,

a objaśnienie Brosciusza i dowody Osolińskiego (*III, 500*) dostatecznie wskazały, iż było to pismo Solikowskiego nie Orzechowskiego.—Nie powtórzylibyśmy z autorem, iż Orzechowski był powodem w kraju podwójnego kierunku religijnego, zwrot bowiem ku reformacyi żywym już był w Polsce przed rozpoczęciem jeszcze przezeń kłótni z duchowieństwem (1550) i mieliśmy już nie jedno pismo przedtém ten zwrot powściągnające, jak naprzykład *Mateusza z Kościany: Cohortatio ecclesiarum sarmaticarum etc.* z roku 1543 i t. p.—Nie powtórzylibyśmy także z autorem z okoliczności Turcyk, iż pisanie ich było skutkiem podmuchu polityki rzymskiej chcącej odwracać umysły od reformacyi,—Turcyki pisał Orzechowski nie skutkiem bojaźni reformacyi ale bojaźni Solimana, który zajmwszy wtedy Budę i Węgry, z kolei przybliżał się do Polski, bezpośredniej podówczas sąsiadki Węgiei. Co do twierdzenia autora o podobieństwie zasad Orzechowskiego do zasad dawniej szlachty polskiej, moglibyśmy żądać wsparcia go jakiemiś dowodami lub wskazówkami, i żądałibyśmy mianowicie dowodów, iż nauka jezuitów w ich szkołach była rzeczywiście (jak to aut. twierdzi) odbiciem zasad Orzechowskiego, a które jak to widzieliśmy, były religijno-demokratyczne:—pomijając wszakże te szczegóły, musimy przyznać: iż wszystkie prawie spostrzeżenia i wnioski p. Kubali w tém jego dziełku są trafne, i że autor jak w nakreślaniu obrazów dziejowych tak i w rozumowaniach stoi wszędzie na stanowisku i społecznych badań i wyobrażeń.

Po tém cośmy tu przytoczyli wyżej z charakterystyki Orzechowskiego i jego pism, jasne téż będą czytelnikowi i szczególne twierdzenia dziełka p. Kubali o tym pisarzu, których tu kilka dla objaśnienia zalety tego dziełka wypisujemy:

„Odkąd, mówi autor, wieki zstąpiły na naszą ziemię nie było instytucji, któraby tak wielką siłę zdobyła, któraby tyle korzyści dla ludzkości przyniosła (jak kościół chrześcijański),—nikt się więc dziwić nie będzie, że kiedyś żył człowiek, który bardziej kochał kościół niż siebie, a kochając namiętnie swoją Rzeczypospolitą pomieszał, połączył ją w sercu i głowie swój z kościołem.” „Jego walka z różnowiercami i system teokratyczny wprowadzony (następnie) przez jezuitów w szkołę i państwo zostawiły do dziś dnia ślady w naszym społeczeństwie.” „Cała część systemu Orzechowskiego, która określa stosunek kościoła do władzy świeckiej (to jest jego supremacyę) jest doktryną katolicką, która wzięta życie jeszcze przed czasami św. Bonifacego i Karola W., ale ta część systemu która dotyczy Rzeczypospolitej jest zupełnie nową.” „Szlachcic systemu Orzechowskiego będzie stronnikiem wolnej elekcji, obioru Piasta, przeciwnikiem wolności miast, żydów, sołtysów i kozaków, wrogiem nobilitacji wojska chłopskiego, stronnikiem *liberum veto*, nie dozwoli egzekucji nowych praw, będzie osłabiał władzę królewską a nierząd będzie jego wewnętrzną polityką z nazwiskiem wolności.” „Orzechowski, dodaje autor, nie myślał zapewne, iż jego zasady teokratyczne będą przeprowadzać jezuci siłą świeckiego

ramienia, on u którego pojęcie wolności stało wyżej jak król i ojczyzna, nie myślał o tém, że popularne jego myśli i frazesa przedrukowane mało nie po wszystkich pismach, głoszone po kraju, po sejmach, po sejmikach, przejdą w krew i duszę szlachecką i poprowadzą kraj do anarchii." 103.— Co do tych uwag dodać jednak należy, iż ściśle mówiąc, tylko ostatnia z nich jest trafną, to jest iż Orzechowski nie myślał iżby zasady jego miały poprowadzić do anarchii, że bowiem w rzeczy nietolerancyi dopominał się działania ramienia świeckiego, to widzieliśmy z własnych słów jego,— a że miał nadzieję i chciał aby zasady jego przeszły w przekonania szlacheckie, dowodem tego jest, że właśnie każde prawie swe pismo podawał na zbierające się sejmy (i chwalił się naprzykład w *Quincunxie*, iż jego *Dyalog* na poprzednim sejmie i w kraju był rozchwytny i poraz drugi odbijany). Przeciwnie za zupełnie trafne poczytujemy uwagi odnoszące się do ogólnego zaaczenia Orzechowskiego w naszej literaturze. Orzechowski pisał o prawie, pisał z wymową,—w Rocznikach skreślił trafny obraz dziejów krajowych, wszakże, uważa p. Kubala, autor ten nie był właściwie ani historykiem, ani mówcą, ani prawnikiem, lecz pisma jego mają największy walor jako broszury okolicznościowe. „Orzechowski, mówi p. K., był publicystą, był ojcem publicystów krajowych, ojcem najbogatszego działu naszego piśmiennictwa.” „W pismach jego uosobiła się była Rzeczpospolita polska z XVI wieku, i Orzechowski stał się być przez nie ojcem XVII wieku naszego kraju.”

Historya literatury naszej postąpiłaby pięknie, gdyby otrzymywała częściej monografie podobne tym jak obecna p. Kubali.

X.

Powieści: „Hazardy.” W 1 tomie przez Wład. Łozińskiego. (Lwów, 1870).— „Kilka słów o ś. p. Walerym Łozińskim.”— „W otchłani,” nowella W. Gomulickiego.— „Błyszczące nędze,” powieść M. Bałuckiego. (Kraków, 1870).— „Milion na poddaszu,” powieść w 1 tomie, przez Jana Zacharyasiewicza. (Poznań, 1870).— „W mętnej wodzie,” powieść przez J. I. Kraszewskiego. (Poznań, 1870).

O zadaniu właściwém powieści, nikt jeszcze nie wyrzekł ostatniego słowa, być może dlatego, że powieść jest jedną z wyłącznych prawie form literackich, w których nie chodzi, o ściśle zachowanie pewnych reguł i przepisów. Forma dramatyczna obejść się bez nich nie może, —powieść zaś, jeżeli tylko odzwierciedla prawdę ży-

cia, nie zbaczając przytém od estetycznego piękna, to już usprawiedliwia rację swego bytu. Z tego tóż zapewne powodu, posługują się rozmaici pisarze powieścią, jakoby środkiem przeprowadzania pewnych tendencji: socyalnych, politycznych, ekonomicznych, a w najświętszych czasach nawet: teologicznych (d'Israeli w powieści p. t. „Lothar”). Przed wszystkimi innymi pisarze niemieccy przeprowadzają w powieści swoje idee i pomysły społeczno-polityczne, z podstawą filozoficzną, bez czego się nigdy obćić nie mogą. Do takich należy Freitag, Spielhagen, Auerbach (na tle sielankowém) i inni. Francuzi fotografują chwilę bieżącą w jej najszeptniejszych choćby objawach, starając się przeważnie o skopiowanie codziennéj rzeczywistości, którą mylnie biorą za prawdę, jakiej wymaga sztuka. Angielscy, których możnaby oznaczyć z wyjątkiem Bulwera, jedném mianem: „Szkoły Dickensa”, stanęli najbliższéj celu, spełnili najwyborniej postannictwo, jakiego się spodziewać można po utworach, formą najprzystępniejszych ogółowi. W naszej literaturze powieściowéj, z wyjątkiem romansu historycznego (gdzie królami: Rzewuski i Z. Kaczkowski,) nie ma tak wybitnego kierunku, iżby się go dało zaliczyć do jednéj głównej szkoły, lub podporządkować pod jedną nazwę mistrza — przewodnika. Kraszewski i Korzeniowski, a nie mało tóż i Zygmunt Kaczkowski (Dziwożona i Bajronista) są wprawdzie owymi wodzami, którzy stworzyli armią, rozbudzili zapał, ale nowo zaciężni i ochotnicy, zaledwie wyćwiczeni w robieniu bronią, wnet porzucili sztandar wodzów, i puścili się szukać, każdy dla siebie, nowych zwycięstw. Było w tém i jest wiele samodzielności, wiele siły, wiele warunków powodzenia, ale tóż i wiele bezrządu, nieładu i sporo naśladownictwa *paryżkiego* realizmu. Przyczynił się on może do dramatyczniejszego, a przynajmniej ruchliwszego traktowania przedmiotu, ale skaził oryginalność pomysłów i swojskość gruntu, na którym z taką chwałą pracowali wyżej wymienieni, znakomici powieściarze. Jaskrawość sztuczna, wielce ponętna, zwłaszcza dla młodych pisarzy, kopiowanie drcbiazgowe szczegółów powierzchownych, zastępują prawdę istotną, psychologiczne studia i owo ciepło duszy, tak charakterystyczne w romansie angielskim. Napozór, wydaje się dziwném to połączenie jaskrawości i awanturniczności z realizmem, zdającym się ją odpychać, lecz właśnie ta jaskrawość zapożyczająca się z zewnątrz, stała się niezbędną, uzupełniającą brak głębszego wniknięcia w stronę duchową. Zład pochodzi, że zamiast obrazów, typów, tworzą fotografie, zamiast znamion wewnętrznych wywołujących wzruszenie, brodawki i inne szczegóły, świadczące o dobrym mechanizmie, ale nie o trafności oka duszy.

Skutkiem takiego naśladownictwa, pomijają często autorowie stosunki, w których wzrosli, jakotéż potrzeby i choroby społeczeństwa, które leczyć mają, a za bohaterów, zwłaszcza zaś bohaterki wybierają postacie, jeżeli nie najzupełniej nam obce, to co najmniej, bardzo wyjątkowe. Za tém tóż idzie, że od lat kilku nie

wiemy prawie o żadnej powieści, którejby można wróżyć trwały byt w literaturze. Wiele z nich zabłyśnie, chwilowo olśni, zadziwi, wywoła nawet dyskusję, lecz wkrótce w zapomnieniu ginie. Brak im podwaliny, zbudowanej na rodzinnym obszarze, znamion charakterystycznych, odróżniających typ od figur powszednich, a wreszcie zdrowych lub wyższych idei, wyciskających piętno niepopulitości na literackim utworze.

Przechodząc od uwag ogólnych do przykładów, zajmiemy się najprzód powieściami dwóch młodszych pisarzy. Jedna z nich nosi tytuł: „*Hazardy*,” druga „*W otchłani*.” Autorem pierwszej p. Władysław Łoziński, drugiej p. Gomulicki.

Treść pierwszej taka:

W teatrze zapoznajemy się z bohaterem głównym. Sala przepełniona, towarzystwo świetne; ale nikt nie patrzył na scenę, wszystkich oczy zwrócone były w stronę, gdzie siedział młody mężczyzna, o twarzy tak wybitnej, że niepodobna było nie zatrzymać się na niej dłużej wzrokiem. Była to twarz piękna, blada, patrzyła się na gorejącymi, pełnemi tajemniczej głębi i zagadki, a drgała uśmiechem oryginalnym, prawie straszonym... Nie jedna kobieta patrzyła nań z współczuciem, ale to zdawało się go właśnie niecierpliwie i gniewać. W łóżach opowiadają o nim, że nie miał wielkiego majątku, a wyrzucał pieniądze jak nabob indyjski; że się pojedynkuje z łada przyczyny, że przepyszemu Arabowi, za którego zapłacił 2,000 dukatów, z rewolweru w łeb strzelił. Młody człowiek domyśla się lub nie, że jest przedmiotem ogólnej ciekawości, dość że patrzy w jedno tylko miejsce, gdzie siedzi kobieta olśniewającego powabu. Ale kobieta ta, nie ma dla niego spojrzenia. Nazywa się pani Sylwia, i jest żoną hrabiego Daniela, którego później poznamy. Zajęcie publiki wzmogło się jeszcze więcej, gdy do łóż bohatera, pana Amadeusza Ordawskiego, wszedł brodac jakis w czerwonej koszuli, który wchodząc nie zdjął nawet kapelusza. Po krótkiej rozmowie, wyszli obaj z teatru. Amadeusz oburzony obejściem i tonem nieznanego, musiał jednak wysłuchać opowiadania, którego rezultat przyniósł mu kilkakroć, niby w spadku po stryju, zeszytym samobójczo w Homburgu. Nadarmo chciał bliższą znajomość zabrać z oryginałem; chłodno i milcząco pożegnał on zdziwionego, który się ujrzał panem fortuny w chwili, gdy już ostatkami pędził.

Ten pan Amadeusz wzbogacony na nowo, nie poprawia jednak życia, owszem trwoni pieniądze jak nigdy, bez przyjemności i bez celu, a cały plan przyszły ogranicza się u niego, do zdobycia sobie miłości owiej p. Sylwii; rozkosznej żony hr. Daniela. Miłość ta, a właściwie namiętność, trawi go piekielnym ogniem; odbiera mu sen i spokój, trzyma go w zawieszaniu i zwątpieniu. Nie oświadczył, jeszcze nigdy swych zapałów, bo kobieta ta nęci go i odpycha, ciągnąc urodą, a imponuje obejściem. Na męża jej nie wiele zważa, mając go za lichego i zwykłego człowieka, a w dodatku za wielce schorzałego. Hr. Daniel albowiem (figura, która się najlepiej po-

wiodła autorowi) jestto sobie dziwak niepospolitego rodzaju, a ma nadto tę specyjalność, że umiera od lat dwudziestu. Wszyscy znajomi ubolewali, krewni zaś oczekiwali przez długie lata jego sutój ojcowizny. Nizki, niezmiernie wątły, lat czterdziestu, wiecznie otulony w futra i szale, przedstawiał postać mizerną, którą słuszenie mógł pogardzać silny i piękny Amadeusz. Niedawnemi czasy krewnych, niechybna śmierć spotkać miała, przywiozł sobie towarzyszkę bardzo piękną, w której krewni z przerażeniem uszanować musieli żonę. Hr. Daniel ustawicznie dogorywając, administrował mimoto wybornie ogromnym majątkiem, i nie dał się podejść rządzcom i ekonomom. Nikt nie pojmował, z kąd brał na wszystko sił i czasu. Otóż w takiego to człowieczka żonie, kochał się zapamiętale pan Amadeusz, postanawiając pewnego dnia, wyraźnie jęj to powiedzieć. Ale pani Sylwia umiała tak zręcznie poprowadzić rozmowę, że nie wiele z nięj mógł wyrozumieć, a nadto swobodnej wymianie myśli, przeszkadzała niejaka pauna Irena, którą niedawno przed tém rozkochany porzucił bez skrupułów i bez litości. O tęg miłości Ireny wię pani Sylwia, która umyślnie, trochę z pustoty a głównie dla upokorzenia don Zuana, drażni go i nęci. Atoli uczciwa i szlachetna, przerachowała się w niewinnej zabawce, bo roznamiętniony kochanek pisze do nięj list ognisty, stanowczy, w którym opisując jęj całą wulkaniczność swego płomienia, domaga się wzajemności. Wtedy boleśnie dotkniętą i obrażoną uczuwa się Sylwia, jako kobięta uczciwa i jako kochająca całą duszą swego męża. Spłakana, wzburzona nie wię co począc, lecz odpisuje mu ażeby przybył na herbatę, gdzie go zamysła pociągnąć do surowego tłumaczenia. Spłakaną, zastaje mąż hr. Daniel, i naleganiem wymusza najszczerze zeznanie. Schorowany człowieczek potężnieje nagle, prostuje się dumną i obrażoną czią małżonka. Kiedy niecierpliwy kochanek przybywa, zastaje zamiast wzajemnem uczuciem pałającej kochanki, surowego i nieugiętego męża, dopominającego się z mężką godnością, o reparacyą zamachu na honor. Naznaczają sobie schadzke z kilka miesięcy, u wód w Baden-Baden. Tam tęg przyjechała cierpiąca Irena ze swym opiekunem i wujem, owym oryginalnem nieznajomym, p. Rochem Czerskim, który wręczył spadek Amadeuszowi.

Człowiek to prawy, silnego ducha, surowych zasad, kochający nad życie Irenę, tak jak niegdys kochał jęj nieboszkę matkę. Ów spadek była to darowizna z jęgo strony, uczyniona na prośby Ireny, litującej się nad zrujnowanym a tak przez nią ukochanym Amadeuszem, co się wyjaśnia na końcu. W Baden-Baden wię zjeżdżają się hr. Daniel z żoną, Irena z wujem, i niejaki p. Zygmunt Szarski, zakochany skrycie w Irenie, bez nadziei. Całe zajęcie przeniesione teraz na biędną dziewicę, która wię ze się pożęgnęła na zawsze z nadzieją szczęścia. Amadeusz nie występuje już wcale na widownią, a czytelnik nie widzi nawet jęgo trupa; dowiaduje się tylko z opowiadania, że zginął w pojedynku z małym człowie-

czkiem, hrabią Danielem, który wymierzył kulą w same czoło. To nagłe zniknięcie głównego bohatera, wplata w powieść jakby część drugą, odmienną, w której pierwsza wygląda jak epizod. Psuje to wrażenie całości, osłabia niezmiernie interes, i niweczy do reszty znaczenie tytułu. Irena dowiedziawszy się o tak strasznym nieszcześciu jedzie do Wenecyi, gdzie dogorywa, a niepocieszony p. Roch chce zamieszkać w górach, w sąsiedztwie zacnego Szarskiego, do którego za jego miłość dla Ireny, mocno się przywiązał.

Występuje tu jeszcze kilka innych figur, które lubo narysowane dosyć szczęśliwie i prowadzone żywo, mają wszakże w powieści podrzędne całkiem znaczenie. Takimi są: Albin Wywilski, pieczeniarsz, intrygant, *chevalier d'industrie*, żyjący kosztem drugich; ojciec Ireny, starzec głupi i śmieszny, figura zużyta; p. Schwinder agent giełdowy, postać żywo sfotografowana z galicyjskich stosunków; p. Ożarko sąsiad Szarskiego, człek szlachetny, układny, skromny i olbrzymiej pracy na rodzinnym zagonie.

Najpierw zarzucić musimy autorowi, sam tytuł zbyt abstrakcyjny i nieusprawiedliwienie jego, nie wytłumaczenie się z idei, jeżeli jaką tytuł miał oznaczać. Wnioskując z nazwania „Hazardy” mogła to być teoria bohatera; ale bohater ani ją jasno postawił, ani jęj katastrofą ostatnią nie dowiódł, ani jęj nawet w rozmowie z hr. Danielem (str. 102) według własnej logiki, nie przedyskutował. Powiada między innymi w tęj rozmowie, że życie absolutnie nie da się pojąć bez ślepego igrzyska losu, i że ludzie zostają pod tajemniczym zaklęciem losu; trochę później mówi o szlachetnym hazardzie, jakim jest np. „namiętność” (?) dla ideału, dla szczytnego jakiegoś celu. Jakiemuż więc hazardowi hołduje? Jeżeli pierwszemu, to jestto fatalizm, a nie hazard; jestto uleganie tajemniczości losu a nie poddawanie się ślepemu przypadkowi, który w takim razie, takieby samo miał znaczenie, jak spadnięcie dachówki na głowę. Teoria wszelka czy idea, wymaga wiary w nią; przekonania że albo czyny są jęj wynikiem, albo ona wpływem czynów. Tymczasem Amadeusza działanie burzliwe, lekkomyślne, ulega przypadkom a raczej nieuniknionym konsekwencyom, jak być nie mogło inaczej; ale on sam nie idzie naprzeciw tych wypadków; nie wywołuje ich z tą wiarą, że choć działa źle, ale inaczej działałby nie był w stanie. Hazardy więc tutaj nie są tępem, czego zapewne autor chciał, to jest fatalizmem, ale seryą wypadków, podyktowanych bezmyślnym szaleństwem, rzucaniem się bez celu i bez jakiegokolwiek najmistyczniejszej choćby zasady. Dlatego i wtedy nie może Amadeusz powiedzieć: że hazard jego to fatalizm, gdy się pojedynkuje z Rochem, opiekunem Ireny. Ten albowiem zetknąwszy się z nim wypadkiem u siebie, zarzuca mu nieszczemność w postępieniu z nieszczęśliwą dziewczyną, i zmusza go do natychmiastowego pojedynku. Amadeusz strzela pierwszy i chybia, bo pistolet był nabity ślepym nabojem. Roch strzela w lustro, i upokorzywszy go głęboko, wyższością swoją moralną, tak do zmieszanego mówi: „... Nie ja żartowałem z ciebie, ale ten hazard

w który wierzysz, i który Bogiem jest twoim!" Wszakże to najprostszy wypadek, bo Amadeusz najniespodziewaniej był zagadnięty, i najniespodziewaniej bić się musiał. Gdyby był poprzednio przygotowanym, a mimo to nie wahał się; gdyby szedł śmiało bez względu na to: czy go śmierć spotka lub zwycięstwo, a jedynie pod wpływem wiary swój w tajemniczość losu, która potężniejszą bywa od ludzkich rozumowań, to wiedzielibyśmy na pewno, że jest fatalistą. A tak rzecz się płacze, gdy powinnaby być postawioną i przeprowadzoną logicznie, boć przecie stanowi założenie autora i książce daje tytuł.

Ta niezgoda autora ze samym sobą, odbiera książce wartość idei, ogołaca ją z jednostajności działania, jednem słowem odejmuje jej najżywotniejszy interes. Pojedyncze rozdziały, mniej lub więcej zajmujące, czyta się jak oderwane epizody, a nie jak części układające się w całość jednolitą. Podobne to do płótna malarza, na którym znajduje się i kawałek pejzażu, i napoczęta grupa rodzajowa. Jedno i drugie może być obok siebie, ale nie tłumaczy dokładnie, czego chciał malarz właściwie.

Autor tymczasem: „Hazardy,” czyli komentarz powieściowy do tychże, stworzył osią i podstawą, a reprezentanta ich Amadeusza, chciał uczynić osobą główną. To mu się więc wcale nie udało, a nadto Amadeusz, na samym wstępie silnie narysowany, później błędnie, a w ostatku gdyśmy go jak najbliższej poznać chcieli, gdy powinien się rozwinąć w całej wszechstronności swego charakteru, znika bez śladu, i tylko z za kulis, dochodzi nas odgłos dalszych jego smutnych kolei. Pół-bajronista to, i pół-bohater, jaskrawego francuzkiego romansu. W postaci téj, znać za wielki zamach do maluczkiej działalności życia i duszy. Namiętność wreszcie dla Sylwii, zbyt za jednostronnie go odsłania, zbyt pobieżnie i sylwetkowo zapoznaje nas z człowiekiem, w którym bądźco bądź, tkwić muszą i wady i przymioty. Znamy tylko jego namiętność, i to niebardzo ponętnie skręśloną, i jego mętną teorię, ale nie znamy wnętrza, nie znamy duszy, w której się przecie przerabiać musiały uczucia i myśli, zanim wybuchły w najdziwaczniejsze choćby czyny. Tu się odkrywa słaba strona psychologiczna, a właściwie i śladu procesu psychologicznego nie ma.

Lepiej bezporównania udało się autorowi postać Rocha, oryginalna z szlachetnym sercem, z energią żelazną a z duszą dziecięcoczułą, a lepiej jeszcze hrabiego Daniela. Kontrast wątków jego budowy fizycznej z olbrzymią energią, z niepospolitą inteligencją, dochodzi do istotnej dramatyczności w rozmowie między nim a Amadeuszem, gdy karcąc go za niecość postępku, ustanawia się surowym onegoż mścicielem.

Charaktery kobiet blade i niewyraźne. O pani Sylwii tyle zaledwie wiemy, że była pięknnością posagową, ale nie dopatryliśmy nic w niej takiego, coby nawet bez jej woli, samym tylko poniewolnym urokiem, jakim obdarzone niektóre wybrane kobiety, roznamiętnić i namiętność Amadeusza usprawiedliwić mogło. Dwa

razy tylko z nim rozmawia, a i w tych obydwóch razach, rozmowa toczy się tak salonowo, z taką restrykcyą, że jeżeli zakochany rościł sobie żąd jakie pretensye, to winien sam sobie, a raczej uporowi, z jakim koniecznie chciał wmówić w siebie miłość. Zdaje się nam jednak, że zachowanie się tak biernie kobiety, jak jest pani Sylwii, nie może rozplomienić nikogo do takiej gwałtowności, a tém téż jeszcze bardziej ośmielić do kroków, dozwoionych za ledwie wzajemnie kochanym. Wiemy również o pani Sylwii, że kocha swego męża, co bardzo chwalebnie z jéj strony, ale dla czego kocha go tak bardzo, co w powieści wiedzieć wypada, zwłaszcza gdy się wchodzi w styczność z huraganem podobnym Amadeuszowi, to pozostało tajemnicą dla czytelnika. Jeżeli tylko przez sam fakt sakramentalnego małżeństwa, ustrzegła się pokus tak ponętnego uwodziciela, to należało w takim razie zapoznać z domowém pożyciem, czémś ważniejszém, aniżeli jest powtarzane całowanie męża w głowę. Inaczej pani Sylwii wydaje się cnotą od stóp do głowy, a w takim razie nie ma walki, a gdzie nie ma walki, tam nie ma kolizyj, a gdzie nie ma kolizyj, tam nie ma dramatycznego węzła; — albo téż jest egoistką zadowoloną z bogactw małżonka, i z obawy jedynie utracenia tychże, obawiającą się narazić. Panna Irena wyraźniejszą się przedstawia, ale jedynie z opowiadań osób trzecich, bo osobiście działającej, nie widzimy prawie nigdy. Raz tylko zetknęła się w salonie Sylwii z Amadeuszem, i wtedy zarumieniła się i zemdląta, a potem słyszymy już tylko o niéj z opowiadań, że podróżuje, i że nareszcie umiera na suchoty. Co się tyczy dialogu, nie pochwalimy go ani z dowcipu ani z potoczności, a nadto co do języka, poprosimy autora usilnie o ochranianie go od skazy gallicyzmów, których wprawdzie mniej w téj powieści utworzył w „Czarnych godzinach”, ale zawsze jeszcze za wiele, jak na utwór literacki szerszych rozmiarów. Między innymi błędami, wymienimy kilka rażących, jako na stronnicy 117: „dodała z *parodystycznym patosem*” — (co to znaczy? czy to po polsku?) lub (str. 245) téj istnej „*meskineryj*” moralnej. (To za wielka zuchwałość, przyswajania cudzoziemskich wyrazów). Albo „za *subtelnych nieco ryśów*.” (Rysy mogą być delikatne, ale nigdy subtelne). Nie zaleca się téż składnia, posługująca się zaimkiem: *który, która, które*, bez przerwy kilkakrotnie, w jednym niewielkim okresie. Nie dziwimy się téż, że pani Sylwia niewzruszoną pozostaje listem Amadeusza, napisanym wcale nie stylistycznie, z powtarzaniem zanadto poufałym zaimka *Ci*. Oto ustęp: „Niechaj *Cię* nie dziwi, że ten list otrzymujesz, ale niechaj *Cię* dziwi, że go dopiero dziś otrzymujesz... Pani, ja *Cię* kocham! Czy może *Ci* się wydać niespodziewaném to słowo?... Nie, niepodobna, aby wyznanie to nowém *Ci* było!... — lub trochę dalej: ... Natenczas jest ona draperyą, która spadnie sama z *Ciebie*, lub którą ja *Ci* zedrę pani! i t. p. i t. p.”

Wyrzekłszy nasze zdanie, jakie nam nasunęło przeczytanie téj powieści, konkludujemy, że widzimy w niéj mimo zaznaczonych błędów i usterków, postęp w stosunku do powieści

„Czarne godziny,” z której zdawaliśmy sprawę w przeszłym roku. Jest w tej powieści wiele ruchu, dosyć samodzielności, a nade wszystko nie sprawia tego wrażenia, co powieść poprzednia, którą trzeba było zaliczyć do tak zwanego „*genre ennuyeux*.” Miejmy nadzieję, że płodność p. W. Łozińskiego, której daje dowody, obdarzy nas wkrótce, nową powieścią, dojrzałą pomysłem i obrobieniem.

Mówiąc o p. Władysławie Łozińskim, godzi się krótkim słowem wspomnieć o ś. p. bracie jego Walerym. Żył zanadto krótko dla literatury, i dla rozwoju wielkiego swego talentu. Nicukończywszy szkół, nie dopełnił swego ukształcenia; ale dowód pisarskich zdolności złożył już w 18 roku życia. Pierwszą jego powieścią excentryczną, pełną okropności, w obec których zniknąłby mogły romanse francuzkie, ujawniającą jednak już wtedy zdolności pisarskie, była „Kamień nad Spasem.” Przybywszy do Lwowa z prowincyi, wziął się pod przewodnictwem ś. p. Szajnochy, do studyów dawnych pisarzy, osobliwie gdy na wezwanie wydawnictwa Biblioteki polskiej Turowskiego w Sanoku, zobowiązał się wydobywać i odpisywać rzadkie rękopisma; w powieści którą wydał w roku 1857 p. t. „*Szlachcio chodaczkowy*,” znać wyczytanie się w styl dawny. Treść wziętą z wypadków okolicy, w której się wychował. Okolica ta przepelniona jest zaściankami szlachty chodaczkowej, która między sobą prowadzi spory, lub przez możniejszych wyzyskiwać się daje. Powieść ta, drukowana w Dzienniku Literackim Lwowskim, rozgłosiła nagle jego sławę. Z nieznanego, stał się teraz rzeczywistym pisarzem. Druga większa powieść p. t. „*Szaraczek i Karmazyn*,” powtarza mniej więcej typy „*Szlachcica chodaczkowego*,” Świat arystokratyczny odmalowany bez wewnętrznej prawdy, bo Łoziński salonów nie znał. Atoli żywe tu dramatyzowanie, a figury ze sfer niższych, skreślone z niepospolitą bystrością spostrzegawczą. W ogóle celuje w scenach ludowych, i w rysowaniu charakterów ludowych, jak naprzykład ex żołnierza, górala, i innych. Komiki a raczej humoru szczerego, wesołego (nie mającego żadnej wspólności z dowcipem salonowym) bardzo wiele, w karykaturach zaś, a nawet typach klas niższych, nieporównany. Nikt chyba po nim nie unieśmiertelni tak przepyszenie policyantów, rewizorów, mandataryuszów, ich pisarzy, ekonomów, i małomieszczan. Ten przymiot najwidoczniejszy w powieści dwu tomowej p. t. „*Zaklęty dwór*.” Łoziński znał tylko kraj między Lwowem a Samborem, i w ten niewielki światek, prznosił rzeczy swych powieści, a pomimo tego, że malował drobne sceny, umiał tchnąć w nie *myśl wyższą*. W „*Zaklętym dworze*,” główną postacią przesuwającą się tajemniczo, i tajemniczo w końcu znikającą, jest szlachcic zamożny, zjawiający się między ludem, szlachtą i mieszczaństwem. Stoi on w głębi powieści, lecz porusza wszystkim. Tenże sam jest i w drugiej powieści p. t. „*Dwie nocy*” (1860). Ale w „*Dworze zaklętym*,” dużo jest artyzmu i zaokrąglenia, czego brak w tej drugiej. Znać tu już znużenie a może

roztargnienie młodości, połączone ze zbytнім zaufaniem w swój talent, prowadzącem jak zwykle do pobieżnego pisania.

W chwili zjawienia się „Szlachcica chodackowego,” nie chciano wierzyć, żeby autorem był młodzieniec, nie mający jeszcze lat 20. Uderzał rysunek śmiały lubo cokolwiek za szorstki, tak, że się nawet zaczęto obawiać o kierunek jego idealny. Ale było to w naturze Łozińskiego, że od grubój, dosadnej rzeczywistości dochodził do stron miękkich i czulszych, jak to widzimy w „Czarnym Matwieju,” który unosi czytelnika w krainę ideałów i rzewności. Talent rozwijał się z tą chwilą wszechstronniej, szlachetniej, wraz z rozwijającą się pięknie młodością.

I w dramacie próbował sił swoich. „Verbum nobile,” — „Niebezpieczny człowiek,” były to próby, mile witane na scenach. Napisał także poważniejszým krojem opracowaną powiastkę p. t. „Starsza siostra Zygmunta Augusta.” A prócz tego drukował powieści: „Pan Stanisław Białobocki,” „Żaby” studjum humorystyczne (przełożone na niemieckie i czeskie). Jego studjum p. t. „Ludzie z pod słomianej strzechy,” uzyskało premium. Piérwsze jego próby (1853) drukowały pisma „Telegraf,” i „Szpargały,” jako: „Człowiek bez imienia,” — „Powieść o błędnym rycerzu,” — „Pan Skarbnik Drochorucki,” „Sąsiadka” i inne. Był to pisarz bardzo obfity, a pisał z pośpiechem, jakby przeczuwał, że okrutna śmierć porwie go w zimne objęcia z zalem wszystkich, ze szkodą piśmiennictwa, w 24 roku życia!.

Powiastka p. t. „W otchłani,” maleńką jest książeczką, wydaną w zeszytach Biblioteki kieszonkowej, i możebyśmy jój byli wcale nie dostrzegli, gdyby polemika z jój przyczyny, nie zwróciła naszej uwagi. Zarzucano, o ile sobie przypominamy, autorowi wprost plagiat, odkradzenie pomysłu z wielce udatnej komedyjki p. t. „Obiaduję u mojej matki,” granój nawet przed laty na scenie tutejszój. Rzeczywiście, zarzut to ciężki, zważywszy zwłaszcza gęstość podobnych przykładów, na które nie wolno patrzeć przez szpary. Własność umysłowa, jest tak samo, co mówię, jest stokroć świętszą od własności rzeczowój. Zdobyta ona najszlachetniejszą pracą, produkcją myśli. Kto więc cudzą własność przywłaszczywszy, ze zmianą jedynie niektórych szczegółków, za utwór własny podaje, nim się szczyli, za niego pochwały odbiera, ten zasługuje na piętno nagany publicznej. Atoli między wzięciem pomysłu a plagiatem niezgrabnym, nie mała często zachodzi różnica. I tu właśnie przypomnieć trzeba słowa Molier'a: „*je prends mon bien, ou je le trouve.*” Molier brał pomysły, Szekspir całe opowiadki, a przecież bodajby wielu takim spożytkowaniem cudzój własności, poszczycić się mogło!

Otóż przeczytałem z uwagą powiastkę p. Gomulickiego, i znalazłem, że część piérwsza całkowicie jest wzięta z powyższój komedyjki, i przerobioną na opowiadanie. Ale część druga, czyli rozwinięcie i zakończenie, napisaną jest samodzielnie, i z taką siłą

na tak drobne ramy, że zwycięzko obalić może, wszelkie złośliwe czy nieusprawiedliwione zarzuty.

P. Gomulicki, młody bardzo autor, przenikniony jest nieestety na wskroś ową szkołą francuzką, o której napomknęliśmy na wstępie; więc lubi wybierać przedmioty, mniej może stosowne dla występującego dopióroco pisarza, lubi dotykać się zbyt namacalnie jątrzących się ran, których może lepiej byłoby nie goić wcale, ale skoro już się raz na to zdecydował, (to wybrnął z niezaprzeczonem talentem. Nie lubiąc szafować tym wyrazem, nie mierzymy go jednak na łokcie, i często dotykaliśmy się nam on przedstawia w kilku kartkach, aniżeli w kilku tomach.

Zobaczmy o co chodzi.

Jestto wilia Bożego Narodzenia. W saloniku, umeblowanym z owym gustem wytwornym i rozkosznym, jaki właściwy Aspazyom starożytnym i kokotom spółczesnym, kończyła strój wieczorny Lorka przed lustrem, a za nią konfidencyjnie uśmiechnięta, stała subretka. Z wdziękiem i kokieteryą, patrzyła Lorka w szybę zwierciadła. Oczekiwała Gustawa, gdy wtém bryftreger przyniósł list. Przeczytawszy, sposepniała, zmięta go w różowych paluszkach. „Nie przyjdzie!”—szepnęła ze łzami, niechętnie patrząc na lukullusową kolację, wniesioną na wspaniałym serwisie przez garsona z restauracyi.

„Zuziu — mówiła Lorka przez łzy— kiedy mnie Gucio porzucił na dzisiejszy wieczór, to już ty musisz zastąpić jego miejsce.” Dziewczyna milczała, nareszcie mimo błagań i przymilań pani, wybuchnęła z płaczem: „Nie mogę! matka na mnie czeka!” — I poszła subretka spożyć wieczere z rodziną, podobnie jak to uczynił garson, który się wprost ztamtąd kazał zawiéźć na Dunaj, do staruchnej, swéj matki. A biedna Lorka została sama, ze swémi straszniemi wspomnieniami szczęśliwego dziecięctwa w dworku szlacheckim, i czystéj młodości... aż do dnia piérszój pokusy, fatalnego spotkania bogatego i cynicznego Gucia, który ją zbezczescił, uwiódl z domu owdowiałéj mateńki, pozostałéj w więkším jeszcze siéroctwie i rozpaczy.

Ocknęła się Lorka. Wspomnienia piérsj jej wezbrały, nastąpiła piérsza chwila refleksyi. Wstała, przystąpiła do łóżka i kłękła przy niém. Między fałdami obston batystowych, lubieżnych (?), wisiął *krzyżyk*. Podniosła się blasku pełna... wyjęła z komody skromną sukienkę, zrzuciła z siebie brylanty, i opuściła nocą ten przybytek zbytków i hańby!

Na Browarnej tymczasem, czytała przy płomieniu lampy, stara niewiasta Pismo święte, i szeptała głucho: „Przyjdzie!”... Z wiarą w zbolałém sercu czekała, co chwila nadsłuchując. Czekwała długo, szukając pociechy w Psalmach. Zegar wybił sycząc dwunastą.

„Północ! — mówiła cichutko. Cud wcielenia spełniony. Odkupiciel przyszedł w chwale!...” Płaczem wybuchła. Nagle ktoś

wbiegł na schody, klamkę naciśnięto, drzwi skrzypnęły; Lorcka padła w objęcia matki.

W krótkim dopisku, opowiada autor jak spotkał Lorckę z matką. Matka była rozpromieniona, bo odziedziczyła majątek. Chciała zamieszkać daleko, aby dać córce zapomnienie i spokój; ale Lorcka była wciąż milcząca; potem zaś rzekła: „Na szczęście trzeba zarabiać nieraz łzami i potem krwawym”... a mówiąc dalej, miała w twarzy jakieś znamię, które odpychało: „jakaś surowość i chłód beznamiętny, wyzierały z jęj lic, dawniej ciągnących magnetycznie”... Ktoś objaśnił ten fenomen przypomnieniem, że gdy Dante ukończył boską swą komedję, i wyszedł z celi swęj ponuręj na ulicę, chmara prostaków obiegła go ze wsząd krzycząc: oto człowiek, który z piekła wraca! Poeta obcując z szatanami idealnego bytu, spokrewnił się z nimi nie duchem, ale twarzą... Otóż Lorcka, wraca jak Dante... z *otchłani*.

Na tém się kończy krótka ta powiastka. Przedmiot odkupienia upadkęj kobięty, nie nowy, a jednak opowiedziany wymownie, stylem niepospolitym plastycznie malajęcym, nadajęcym koloryt żywy i barwny. I to największa zasługa tęj „nowelli” jak ją autor nazwał, a zasługa według nas niemała, bo zarazem daje świadectwo, że autor mógłby stworzyć rzecz większą, oryginalniejszą, z prawdziwém powodzeniem. W stylu tym świeżym, malowniczym, przebija się młodość pełna ognia, a spragniona szerszych obrazów. Wspomnienia Lorki z pobytu w domu rodzicielskim, są to maleńkie, wcale udatne obrazki. I dla tęj a nie innęj przyczyny, poświęcamy autorowi kilka słów uznania i zachęty.

„Błyszczące nędze” brzmi tytuł nowęj powieści p. Michała Bałuckiego. Tytuł zachęcajęc, zdajęc się wskazywać przedmiot żywotny i wielkięj wagi w naszém społeczeństwie, w którém choroba życia nad stan, epidemicznie grasuje. Dziwne to zaiste ale prawdziwe zjawisko, że gdzie dobrobyt kraju niezaprzeczonny i ogólny, tam życie nad stan wyjątkowym bywa faktem; tam każdy odpowiednio zaróbkowi, utrzymuje siebie i rodzinę, nie kusząc się o pozorny blask, o blichtr, o przypruszenie oczu innym, o fałsz, prowadzjący ostatecznie do nieochybnęj zguby. W naszém społeczeństwie, w którém klasa średnia zamalgamowała w sobie rozliczne żywioły, rozliczne pochodzenia i uroszczenia, pojaw jęj zewnętrzny, wydaje się jednolitym, nie przedstawiającym ani rażającęj różnicy, ani przywilejowęj wyższości jednych nad drugimi. A przecież w praktyce, na każdým kroku, w najnędzniejszych drobiazgach, różnice te wyskakują, popychając indywidua do ambicyi dorównania tém, co dziś kosmopolitycznie układa towarzystwa, to jest zbytkiem, a przynajmniej życiem nad stan. Począwszy od rzemieślnika do bogatego bankiera, lub zamożnego właściciela ziemskiego, każdy wydatkuje więćj jak może, więćj jak powinien. Przyczyn tego szukać w coraz udoskonalajęcym się wynalazkach, rozwiniętym przemyśle, umozębniającym i najuboższemu komfort o jakim dziad jego nie marzył; a może tęcz w demokratycznęj chęci.

dorównania innym pozorem choćby, dającym prawo przysłowia: „jak cię widzą, tak cię piszą.” Badźcobądź, popęd ten wydawania więcej, aniżeli się zarobić jest w stanie, sprowadza w następstwie rzeczywisty niedostatek, który przed okiem ludzkim zakryć trzeba; a często nędzę, okrywającą się pysznie jak hidalgo hiszpański podziurawionym płaszczem. Autor rzeczonéj powieści nędze takie i równoległe jéj moralne, miał na względzie. W tym celu, wybrał sobie maleńki światek, zamknięty w nie szerokiém kole, ale dostateczny do prze prowadzenia założenia.

Kilkanaście figur tu wchodzących, ma uprzytomnić cały szczebel społeczński, od najniższego do coraz wyższych; a wiążąc się ze sobą, w mniej więcej wspólnie powiązaną intrygę, złożył obraz całkowity choć jaskrawy, jednéj wspólnéj wszystkim, chorobliwéj chęci błyszczenia. Przyznać trzeba, że autor położył sobie zadanie chwalebne, kwestyę palącą, wymagającą ratunku; jak się z tego wywiązał, starajmy się pokazać podaniem najkrótszój treści:

Mieszka dwóch młodzieńców, szkolnych kolegów razem: Ludwik utrzymujący się z dawania lekcyi, i Józef prawnik. Jednego wieczoru wpada do Ludwika jakiś elegancki kawaler, i w poufném zwierzeniu błaga go o pożyczkę 200 guldenów, które go mają ratować od hańby fałszerstwa wexlu. Ludwik sam biedny, z krwawéj żyjący pracy, obiecuje mu je przynieść wieczorem, do jego domu, gdzie uczy małego jego braciszka. Prócz małego braciszka jest tam i dorosła siostra, cudnéj twarzy, Marya... *hrabianka*. Kładziemy nacisk na tę właściwość, bo stanie się ona węzłem i kolizyą dramatyczną, dwojga zakochanych osób. Wieczorem przynosi Ludwik owemu kawalerowi, hrablemu Maurycemu uproszoną sumę, którą z wdzięcznością pozorną tenże odbiera, zostawiając Ludwika sam na sam z dumną hrabianką, a jego siostrą. Autor opowiada tutaj, że nie byli sobie obojętni; że dla Ireny „ta cicha i niemowna miłość ubogiego młodzieńca, była rodzajem snu rozkosznego, którego wrażenie jednak znika z nadchodzącym dniem”; ale bała się odplącić wzajemnością, bo nie poświęciłaby dla niéj ani odrobiny dumy swojéj. Ludwik wié o tém; walczy ze sobą napróżno; po tysiącakroć postanawia nie widziéć jéj więcej, lecz zawsze wraca stęskniony i bardziej zakochany.

Kolega jego i przyjaciel Józef, jestto charakter nieugięty i prawy; w szkołach nazywano go Katonem. Był synem chłopca, czém się chlubił, a wielorakiemi swemi przymioty zasłużył sobie na ogólny szacunek. Zajmuje się on losem rodziny Podachowskich, składającéj się z ojca, matki i córki: ślicznój Leoni. Podachowski albowiem stary, marnotrawnik i lekkiego charakteru, źle się wywiązał z powierzonéj mu opieki, za co mu pełnoletni pupil wytoczył proces. Proces ten grozi zabranie obdłużonéj kamienicy czyli nędzą, a od tego chciał uchronić ich koniecznie, zakochany po swojemu Józef. Jakież jednak jego zdziwienie, gdy przyszedłszy do nich jednego wieczoru, zastaje wystrojonych na bal; nie

troszczących się bynajmniej o to: że może jutro nie będą mieli gdzie schronić głowy. Uproszony przez Leonie, idzie na bal lubo z niechęcią. Tam czeka go bolesny zawód, i pewne rozczarowanie. Leonia, śliczne dziewczę, pierwszy raz będąc na publicznym balu, oszłomiona komplementami i zabawą, a głównie nadszkakiwaniem owego panicza Maurycyego—traktuje szorstko i z góry zacnego młodzieńca, który jest jój narzeczonym.

Trzeci obrazek, wprowadzony równocześnie przez autora, przedstawia młodego malarza Kamila, mieszkającego ze staruszką matką. Siedząc przed sztalugą, wykończy kredką kontur obrazu, przedstawiający dziewczynę, stojącą przed zwierciadłem i wyciągającą rękę do stoliczka, na którym leży róża i kosztowny dyadem. Zdaje się namyślać, którą z tych ozdób wziąć do jasnych włosów. Dziewczynka ta, to ideał malarza, objęty w rzeczywistość, cudne kształty, a zwie się Lucynka.

Lucynka mieszka u siostry swój Adeli, aktorki płochych obyczajów. Patrzeć tu musi codziennie, na haniebne sceny zepsucia. Nieprzyzwoite rozmowy, gry hazardowne, bezecne orgie; życie błyszczące, bez myśli o jutrze—oto codzienna jój strawa. Lucynka umiała żyć wśród tego gwaru, życiem pustelnicy. „Zły przykład zamiast działać na nią z gubnie, był dla niej nauką moralności” jak określa autor. Chroniło ją może od zepsucia, uczucie czyste i szlachetne dla Kamila. Nadeszła jednak chwila, w której widziała konieczność ucieczki z domu siostry; napisała przeto list do Kamila szczerzy, proszący o ratunek. Kamil nie zawahał się, opowiedział matce swą miłość, i sprowadzili ją pod dach swój spokojny, skromny i pracowity.

Po takiej expozycji kilku obrazków, nić intrygi wikła się coraz bardziej i rozwija. Ludwik zapłaciwszy owe 200 guldenów, ję chleb suchy; za całą pociechę mając rozmowę z ukochaną Maryą, która raz nęcać go, to znowu odpychając, doprowadza wreszcie do rozpacy. Ludwik ucieka, nikt nie wie gdzie; a Marya, zawsze dumna, zawsze pamiętna obowiązków, jakie według niej, wymaga urodzenie, zostaje zakonnica. Podachowski stary brnie w coraz większą ruinę, aż zrobiwszy znaczny deficyt w kassie publicznej, zapada w śmiertelną chorobę, przywołując do siebie Józefa. Józef przebaczył dawno w duszy Leonii, ów postępek na balu; rozumną pobłażliwością wywnioskował: że zajęcie się jój Maurycym mogło być tylko chwilowem, ale skoro go pozna należycie, odepchnie z pogardą. Tak się też stało; Leonia żaluje gorzko krzywdy twyrządzonej Józefowi. Po śmierci też ojca czuje się najszcześliwszą, gdy ją Józef powtórnie prosi o rękę. Józef stwarza teraz rodzinę. Matka mieszka z nimi, a dwoje dzieci, które ich Bóg pobłogosławił, spajają ściślej jeszcze węzeł rodzinny, jaki tenże rozumem swoim i sercem umiał zacieśnić.

Lecz Lucynka, owo dziewczę o zamysłonych oczach, zrazu szczęśliwe, że znalazło się obok ukochanego, otoczone miłością

i szacunkiem, wkrótce zaczyna się nudzić i tęsknić za gwarem, do którego od tak dawna, a mimowoli przywykła. Nudzi ją i męczy ta codzienna praca, i poetyczne wycieczki pieszko, w skromnej sukience. A do tego jeszcze, wśliznął się wąż kusiciel, znowu w postaci owego Maurycego, który pod zręcznym pozorem dawnego koleżeństwa, umie się wkraść w dom Kamila, i pozyskać nawet przychyłność starłej matki, nieufającej mu z początku. Wyciąga rodzinę na spacer, eleganckim lubo pożyczanym powozem. czaruje ich rozmową dowcipną i salonową, słowem obalamuca słąbą Lucynkę, która przyjmuje od niego listy i prezenta. Kamil nie mogąc nie spostrzedz zmiany w Lucynie, zaczyna podejrzynwać, aż raz znajduje przypadkiem w jej sukience list Maurycego. List ten uderzył go jakby gromem, uczuł się znicestwiony, wrócił do pokoju, gdzie siedział Maurycy z Lucynką, i rzucił na stół, kawałek dobrze im znanego listu. Winni struchleli, Maurycy uciekł, a nazajutrz Lucynka.

W jakiś czas potóm, widzimy Lucynkę przierzucaną z rąk do rąk, skalaną i zbezczeszczoną, zawsze w towarzystwie Maurycego, który ją sprzedaje, którego ona nienawidzi. Na balu maskowym, siedzi w gronie bachantek i pijanych biesiadników. Kamil, który właśnie co powrócił z Włoch, znajduje się tu także z Józefostwem. Przechodząc do bufetu, ujrzał wesołe grono, lecz nie zważa na nie; dopiero gdy go pijany Maurycy zaczepia, wymierza mu głośny policzek. Nazajutrz ma się odbyć pojedynek, Kamil walczy długo ze sobą, czy ma narazić na nędzę starą matkę. Lucynka, w której widok Kamila obudził wszystkie szlachetne uczucia, wszystkie czyste marzenia, chce go ratować jakim bądź sposobem. Lecz się jej to nie udaje. Kamil postrzelony w ramię, traci jedyny środek zarobku, a co okropnie, możność urzeczywistnienia malarzkiego swego talentu.

I znowu autor robi przerwę lat kilku. U Józefów mieszka zgnębiony, apatyczny Kamil, i uczy im dzieciaka. Przypadkiem na spacerze, styka się z księdzem, w księdzu poznaje Ludwika, który powróciwszy z Rzymu, został kapelanem w pobliskim klasztorze. W tym klasztorze, mieszka jako panna matka, dawna hrabianka Marya, kochająca dziś więcej niż kiedykolwiek Ludwika, i on niemniej ją, on, jej spowiednik. Ze spowiedzi wié o wzajemności. Miłość ich staje się coraz gorętszą, Ludwik proponuje ucieczkę, poprzedzoną naturalnie porzuceniem ślubów zakonnych. Marya nie zgadza się na to, ale dla tego jedynie, że jej znów *duma wrodzona* nie pozwala, że jako hrabianka, nie jako zakonnica, nie może przełamać dzielącej ich zapyry. Marya wyjeżdża w odległe strony, Ludwik pociesza się przyjaźnią Józefostwa.

Lucynka znędziała, schorzała, utrzymuje się z haftu. Z liłości, bierze ją do siebie pani Józefowa. Teraz przebacza Kamil umierającą, której pokuta straszna zatarała nieszczęsny błąd. Maurycy za morderstwo, stawiony przed kratki sądowe, skazany zostaje na wieczne więzienie.

Widzimy, że treści, obrazków, wydarzeń jest wiele, może za wiele, ze względu na warunek jedności akcji i opowiadania. Autor założeniem uwidocznienia „błyszczącej nędzy” w rozmaitych sferach, popsuł trochę spójność i wątek, podnoszący zajęcie czytelników. Niektóre też obrazki, szczególniej umiłowane przez autora, rozwinięte doskonalej, inne zbyt zwięzłe i ucinkowo. Historia Lucynki i Kamila najszersza, z prawdziwym nakreślona talentem. Znać, że to pisze człowiek, który patrzył z boleścią na takie spowiewanie czci niewieściój, na taką nędzę moralną, usiłującą swe łachmany, pokryć blaskiem zbytku i świecidel. Rodzina Podachowskich, a zwłaszcza samego Podachowskiego, przedstawiająca ludzi żyjących z dnia na dzień, byle wesoło, choćby kosztem sumienia i honoru, wzięta z życia; szkoda tylko że się autor z nią odbył zbyt prędko. Taki Podachowski, mógłby posłużyć za typ w galerii przedstawicieli „nędzy błyszczącej”. Hr. Maurycy i jego ojciec to pasażerzy, jakich zawsze w naszym społeczeństwie, na nieszczęście napotkać można. Można więc powiedzieć, że p. Bałucki ideę swoją przeprowadził konsekwentnie, logicznie, ze znajomością życia i ludzi, choć często zbyt jaskrawo, i z pewnym z góry uprzedzeniem.

Uprzedzenie to widoczne, ilekroć autor opisuje hrabiów, a wogóle herb szlachecki. Wtedy autor zapala się mimowiednie, i z obiektywności malarza przechodzi w innektwy osobiste, w rażącą tendencyjność. Szanujemy zasady każdego, nie zaprzeczamy praw pisarzowi, nawet wtedy, gdy chce otwarcie być tendencyjnym, ale na tém traci prawda ogólna, wieczna i nieśmiertelna, o którą głównie w utworze sztuki, chodzić powinno. Nie chcemy przeto powiedzieć, iż taki hrabia Maurycy nie mógł być skończonym łotrem, ale nie chcemy także wierzyć w to, że każdy hrabia dla tego że jest hrabią, łotrem być musi.

A taki wniosek wyciągnięty ze sposobu przedstawienia w tej powieści. Uprzedzenie to jednak, zepsuło prawdę psychologiczną, w nakreśleniu charakteru hrabianki Maryi. Dopóki zostaje w domu rodzicielskim, i poświęca Ludwika mimo że go kocha, przekładając śluby zakonne nad śluby doczesne z ukochanym, jedynie dla zadość uczynienia dumie, (bo nawet nie obowiązkom rodowym) dotąd możemy to zrozumieć i poniekąd usprawiedliwić. Po wielu jednak latach, będąc już panną matką, i ciągle zakochaną, odrzuca Ludwika prośbę porzucenia zaprzysiężonych ślubów, nie dla tego że byłoby to świętokradztwem, grzechem lub występkiem, ale znów jedynie dla tego, że *duma jej rodowa* ugiąć się nie chce i nie może. W tém leży rażące nieprawdopodobieństwo, fałsz wierutny, a czytelnika ogarnia niesmak z dwojakiego względu. Najprzód z tego, że skoro raz dobrowolnie przyjęła śluby, to powinna była więcej mieć mocy nad sobą, i przytłumić uczucie, i nie objawiać go w konfesyonalnie przed spowiednikiem-kochankiem; a potem że odrzuca jego prośbę, nie z przyczyn religijnych lub moralnych, ale znów z tej śmiesznej, monstualnej dumy. Gdzie autor wyszukał taką kobietę-

tę, któraby gotową była podeptać wszelkie węzły uświęcone obyczajem, dogmatem, z zachowaniem tylko czczego przesądu pochodzenia? Tu się rozminął autor z prawdopodobieństwem, czyniąc ustępstwo tendencyjnym swym uprzedzeniem.

W wypowiedaniu téż motywów tego śmiałego projektu, jaki książd Ludwik względem Maryi przeprowadzić chce, pomija autor prawdopodobieństwo, zwyczaje, tradycją przekazaną wiekami, a radby się stać nowatorem. Nowatorstwo atoli i reformy, wprowadzają ludzie potężni czynem, lub słowem podyktowaném pragnieniami mass.

W krótkich okresach powieściowych, zuchwale cokolwiek wygłąda, zaczepienie radykalne tak ważnych, tak gorących kwestyj. Książd Ludwik rozczytując się w żywocie Orzechowskiego, powinienby właśnie był odstąpić od niebacznego swego zamiaru, a nie dojrzyć w nim, z czysto osobistój zwłaszcza, a może nawet namiętnój pobudki. Ażeby się połączyć z kochaną od dawna, namawia ją do potargania węzłów, i sam własne potargać gotów. Czyż nie godniejszym było szlachetnego człowieka, nigdy się niemi nie krępować *bez przekonania*? Autor dla wypowiedzenia jaskrawo-oryginalnych frazesów, popełnił błąd psychologiczny, i zgrzeszył jako artysta. Główny ten zarzut, jaki z obowiązku czynimy autorowi, mieści wszakże w sobie i zaletę, bo tylko myślącym pisarzom, tego rodzaju błędy wydarzać się zwykły. P. Bałucki zaś myślącym i oryginalnym jest pisarzem, powtarzamy to z rzetelną przyjemnością. Umie patrzeć się na społeczeństwo bacznóm, choć czasem uprzedzonóm okiem, widzi w niém choroby wymagające gwałtownego ratunku, i umie podać trafne moralne lekarstwo. Dowiódł tego w skreśleniu charakteru Leonii, i jój znakomitego lekarza Józefa. Ten Józef, to człowiek z krwią i kośćmi, dzielny czynem, praktyczny a wyższy, pozornie prozaiczny, a umiejący odczuwać ludzkie łyzy i cierpienia. Udał się autorowi najlepiej ze wszystkich, tak jak Kamil i Lucynka do chwili odrodzenia. Tego samego nie powiemy o Maryi, o Ludwiku od czasu zniknięcia, a w Maurycym widzimy przesadę. Trudno bowiem uwierzyć w urodzonego łotra, niemającego ani jednego momentu zacności, ani jednego wzruszenia, ani jednego poczciwego natchnienia. Wpada się zawsze w taki fałsz przy rysunku charakterów, gdy się im z góry obmyśliło *jednostronny* tylko kierunek.

Język pana Bałuckiego gładki, wyrażający myśl treściwie, czysto poetycznie. Więcej téż widzimy umiejętności dramatyzowania scen strasznych, aniżeli daru wywołaniarzewności lub wzruszenia, lecz to już należy do właściwości talentu, którego panu Bałuckiemu nikt zaprzeczyć nie może.

Dwie jeszcze powieści, o których pisać chcemy, noszą nazwiska autorów powszechnie już znanych, składających bezustannie dowody obfitej działalności: jedna p. t. „Milion na poddaszu,” Jana Zacharyasiewicza, druga p. t.: „W mętnej wodzie,” J. I. Kraśzewskiego.

Rzecz pierwszój, odnosi się do początków Królestwa Kongresowego. Była to epoka przesilenia, uspakajającego się fermentu społeczeńskiego, i grupowania nowego stanu rzeczy w życiu rodzinném. Potomkowie znakomitych imion, zbiędniali a nie zdolni jąc się uczciwój pracy, podobni byli sztandarom odartym, których nawet chwała niedawna, pójdzie w zapomnienie, jeżeli nie w poniewiórkę. *Homines novi*, dorobkowicze, powstali z pańskich fortun, szukali godziwými i mniej godziwými drogami, uprawnienia w blasku społecznym czy towarzyskim. Ztąd więc na ówczesnych salonach warszawskich, spotykały się i mieszały ze sobą te grupy odmienne, łącząc i rozdwarzając w wzajemnych intrygach, ambicyach i dążeniach. Takim salonem, głośnym na owe czasy, był salon pani wojewodziny. Tam się zbierały wszystkie znakomite i historyczne nazwiska, tam również, cały tłum nieznaných a wzbogaconých. Ztąd rozchodziły się opinie o ludziach, złe lub dobre, podnoszące lub ośmięszające.

Zdarzyło się w tę porę, że przyjechała do Warszawy pani szambelanowa Mirska z głębi Litwy, i zamieszkała na poddaszu ze swą wnuczką, ku wielkiemu zgorzeniu sfer arystokratycznych. Pogłoski chodziły, że po śmierci męża, który stracił wielką fortunę, zakopała się na wsi przez lat kilkadziesiąt, i pracowała ciężko jak ostatni wyrobnik, że zebrała miliony, z którými się kryje umyślnie, maskując pozorną nędzą. Wieści te głuche zrazu, rozniósł jeden z podżytych kawalerów, najpiérw w gronie towarzyszy: pana podkomorzycy, pana podczaszycy i innych. Byli to sami podżyli kawalerowie o historycznych nazwiskach, ale zrujnowanej fortunie. Wiadomość ta obudziła w każdym, chciwe plany zdobycia miliona posagu, należącego do wnuczki pani szambelanowój. I wszyscy równocześnie, tając się przed sobą, rozpoczęli kampanią, która się wszakże żadnemu nie powiodła.

Szambelanowa w kilku pokojkach zamknięta, z śliczną wnuczką Teressą, i z panną służebną, prowadzi życie klasztorne i więcéj jak skromne, bo pozornie: prawie gminne. W domowém, cichém życiu, zachodzi nagle ważny wypadek, wynajęcia jednego pokoiku. Nieznające miasta dziewczę, marzy o przyszłym lokatorze, który się téż zjawia w osobie niejakiego Bernarda, młodego człowieka, ex-wojskowego, a obecnie urzędnika o bardzo szczupłej pensyi. Młody człowiek otwartego i ujmującego obejścia, szlachetnego charakteru, spodobał się od razu pani szambelanowój, a sam zakochał się ognicię w Tereni. Stawszy się ich codziennym gościem i przyjacielem domu, kocha coraz silniéj i tylko marzy o większój pensyi, ażeby módz Terenię zaślubić. Terenia mile patrzy na niego, z czego nieomal wnioskować może o wzajemności. Nie obawia się rekuzy, bo widzi biędę równą swojój. Aż nagle zmienia się stan rzeczy.

Razu jednego, podkomorzycy zetknął się w sieni z panią szambelanową i to w chwili, gdy zamyślał atak na milion przypuścić na seryo. Zmieszszany, wymienia swoje nazwisko i pokrewieństwo.

Szambelanowa bez ceremonii wzięła go pod rękę, tak iż musiał ją poprowadzić na Stare Miasto, zkąd z powrotem musiał dźwigać kupioną marchew. Był to cios straszliwy dla eleganta i lwa salonów. Zropaczony, chcąc uciszyć plotki całego miasta, zaczął w salonie wojewodziny sam, głośno, z pewną ostentacją, tę kwestyą, opowiadając jak niósł pani szambelanowej marchew i kurczęta przez ulicę, czego się jednak nie wstydzi, bo wnuczka jest prześliczna i ma milion posagu. Milion oddziaływał magicznie na chciwe dusze. Każdy namotał sobie na prędce plan postępowania; kobiety przestraszone, że podkomorzyc może im się wymknąć, natarły na niego z podwójną gwałtownością, głównie pani pułkownikowa, wdowa po dwóch mężach; panny dorobkiewiczówne zdecydowały się stanowczo wyjść za wzdychających dotąd napróżno konkurentów, ciągle w obawie Tereni milionowej, mogącej im tychże sprzątnąć. — a p. podczaszyc zręczną intrygą, pozbywa się najniebezpieczniejszego rywala, podkomorzycy, który wyjeżdża z podziły pułkownikową do Londynu, i tam się żeni.

Zostawszy sam, chce się wkraść w dom szambelanowej. Pod pozorem przeto zdjęcia widoku z kościoła na Lesznie, odnajmuje za wysoką cenę pokoi od Bernarda, który chcąc ulżyć biedzie swych gospodarzy, zgadza się na odstąpienie, choć z bólem serca. Pan podczaszyc zaś wkrótce, jako bardzo przystojny kawaler, umiejący grać na cytrze i na klawikordzie, umiejący zawracać główki niedoświadczonym dziewczętom, obalamca Terenię, która wnet zapomina o skromnym i pełnym poświęcenia Bernardzie. Szambelanowa tylko surowa jak zawsze, pełna godności, złośliwa dla intruza, a serdeczna dla stroskanego Bernarda. Przekonał się albowiem prędko, że wpuścił wilka do owczarni. Kto wie coby się było stało, gdyby jednego ranka, gdy podczaszyc przygrywał melancholijnie na cytrze, nie wpadli nagle słudzy sądowi z komornikiem. Przyszli oni zabrać ubożuchne graty szambelanowej. Podczaszyc struchlał, bo się przekonał, że wyniasty o milionie były najfałszywsze. Zamiast biedz na ratunek, ucieka nikczemnie, przysyłając jeszcze lokaja po zostawione rzeczy swoje w pokoiku, z obawy o zajęcie ich przez komornika. Bernard zaś, który tegoż dnia dostał dekret podwyższenia pensyi, dowiedziawszy się o nie-szczęściu szambelanowej, zastawia go u lichwiarza, i biegnie wykupić tych, których ukochał nad życie. Ale spieszył się niepotrzebnie. . . bo teraz szambelanowa z rozjaśnioném licem, przyciska go do piersi jako syna, i każe mu z sobą jechać do wspaniałego apartamentu. Terenia, przekonana o ohydny charakterze podczaszycy, wraca z wznowioną miłością do Bernarda, a wieść o milionie potwierdziła się z dodatkiem, że rzeczywiście na poddaszu, więcej było jak milion.

P. Zacharyasiewicz jako doświadczony autor, zręcznie i kunsztownie ubarwić umiał osnowę dosyć zwykłą i prostą, a rzekłbym nawet: anegdotyczną. Od pierwszych kartek, czytelnik domyśla się po troszę, że szambelanowa tai majątek, nie wie tylko dlaczego,

i kiedy prawdę odłoni. Dlatego, chciwe i brzydkie podstępny podkomorzycy i podczaszyca, nie tyle go interesują, ile zacna miłość Bernarda, nieprzypuszczającego że ma do czynienia z bogatymi ludźmi, a więc działającego z całą swobodą człowieka niepodległego charakteru, i samodzielnej, wytrwałej pracy. W nim skupione całe zajęcie, — czyni jego, troski, obawy obchodzą żywo, a niepotrzeba dodawać, że autor umie zajęcie to podtrzymywać i ożywiać. Charakter Bernarda i szambelanowej, nakręślone z wielką znajomością ludzkiego serca, z wielką konsekwencją, i z taką dosadnością, że dwie te postacie widzi się ciągle jakby żywe, i jakby spowiadające się osobiście czytelnikowi, ze swych cierpień i nadziei. Dwie też te figury skupiają całą uwagę, inne wydają się podrzędne i służą za akcesorya. Nawet ładna Terenia, mniej przywiązuje do siebie, chociaż autor z prawdą życia, wplótł jej obalamucenie przez podczaszyca. Podczaszyca narysowany wyraziście, bledszym i niewyraźniejszym jest podkomorzyc, którego poznajemy z jednej tylko brzydkiej strony: wyrachowania i egoizmu. Pani pułkownikowa, szkicowana tylko, ale wprawnym piórem. Z jednej sceny komedyi, jaką odgrywa z podkomorzycem, poznaje się całą przeszołość burzliwą płochę kobiety. Portret jej trafny, i żywo przypominający wietrznice z epoki Stanisława Augusta.

Raziło nas tylko cokolwiek, zbyt drobiazgowo i gminne powtarzanie szczegółów domowego życia u pani szambelanowej. To, że Bernard nosił bułeczki w kieszeni, i kupował lój do kołdunów litewskich, niekoniecznie mogło chwycić za serce poetyczną, artystycznie ukształconą i marzącą jak każde młodzieńcze dziewczę, Terenię. Dlatego nic dziwnego, że ją olśnił świętny, błyszczący, elegancki i pański podczaszyca. Mogło się to wielce podobać szambelanowej, jako kobiecie starzej, rozsądnej i praktycznej. Autor nie bał się więc tego środka, jako mającego wykazać „prostotę” bohaterki, ale w tym razie zakrawa ona na prostactwo, a raczej na trywialność, której estetyczne względy, użyć zabraniają w utworze literackim.

P. Zacharyasiewicz, pisarz niestrudzony, który nas już niejedną dobrą obdarzył powieścią, umie pochwycić rozmaite struny życia ludzkiego, i na nutę powieściarską naciągnąć. Wybiera przedmioty wszelkiego rodzaju, obyczajowe i historyczne, z których wkrótce spora ułoży się biblioteka. Niemniej i ta powieść, mniejsza rozmiarem i założeniem, czyta się przyjemnie, przenosząc czytelnika w świat dobrze mu znany, bo swojski, a opowiedziany z nieudanym zamiłowaniem.

Nadzwyczajnej płodności autor, któremu tomy powieści sypią się jak z rękawa, i to powieści niepowszednie, I. J. Kraszewski, napisał kilka miesięcy temu, nową powieść p. t.: «W mętnej wodzie».

Po tylu chwalebnych latach doświadczenia pisarskiego, przedmioty i obrazy jakie ten autor wybiera, muszą się opierać na prawdzie życia, czasem smutnej i ponurzej, ale nie dającej się zbić zarzutem, że są wymysłem częściej wyobraźni, lub poetycznej tylko

inwencji. W zawodzie każdego powieściopisarza z talentem, nastaje epoka równoległa z wiekiem, w której idealniejszy nastrój, zastępuje obserwacja głęboka, wykwitła na gruncie najbliższej rzeczywistości, a mająca za cel ostateczny: leczenie stanowcze społeczeństwa, bolesnym choćby medykamentem. Nazwałbym zwrot taki: utylitarno-moralnym, jeżeli do wyrazu moralność, da się przyczępić przymiotnik, napozór wprost przeciwnego znaczenia. I zaiste, kiedy młodemu pisarzowi przedewszystkiēm chodzi o wydobyć efektu, o dekoracyę, o blask, słowem o proceder olśniewający, wzbudzający podziw, bez uwagi na cele wyższe, dla których przedewszystkiēm dzieło sztuki tworzyć się powinno; to pisarz poważny przeciwnie, wzgląd ostatni najbardziej ma na bacności. Widzi on wkoło siebie błędy i niedostatki; zaślepienie i zgubę, więc bieży na ratunek; wypala jątrzące się rany, z odwagą biorącą na siebie całą odpowiedzialność. Taki lekarz, dalekim jest od rzeszy szarlatanów i fanfaronów, widzących wszędzie złe i zgniliznę, a nie mających na to ani ochoty ratunku, ani zasobów uzdrawiających. Nie-doświadczeni pisarze, zaczynają zwykle od karcenia i potępienia wszelkich stosunków społecznych, od piętnowania, pędzlem maczanym w najczarniejszych farbach, wszystkiego co bez nich poczęte, bez nich istnieje.

Nie można inaczej powiedzieć, ani inszj podsuwać pobudki autorowi powieści „W mętnj wodzie”. Złe tylko, straszliwie niemal, jakie dostrzegł, jakiego może zmuszony był się dotknąć, natchnęło go oburzeniem i zgrozą, podyktowało mu słowa ostre, gryzące, pełne wyrzutu dla pewnych inndywiduów, a raczej dla społeczeństwa, które takie inndywidua znosi.

Spółczeństwo odpowiedzialnē jest za grzechy, które silnā swā wolā przytłumić jest w stanie, odpowiedzialnē jest za szkody, jakie kilku, pod płaszczykiem najczystszych i najszlachetniejszych zasad, ogółowi wyrządza. Jeżeli karany bywa pospolity złodziej lub morderca, to jakże ukarany być winien, morderca wszystkiego co zacne i dąży do postępu, a co się bratać nie chce z brudnym jego osobistym interesem? Stokroć on niebezpieczniejszy, bo szermując frazesami obmyślonymi podstępnie, podszywając się pod hasło, które wszyscy szanować przywykli, podkopuje się jak kret, odkrada zaufanie, należne jedynie ludziom uczciwym i dobrej woli.

A takiego przedstawił nam autor w roli Drabickiego, dziennikarza. Człowiek to bez talentu i sumienia, niemający ani poszanowania dla cnoty, ani litości dla pognębionych; szalbierz i kłamacz, u którego zasada, wyznanie wiary wyginają się kauczukowo, stosownie do potrzeby, a przecież ciesząc się pewnē znaczeniem i wpływami, zdolnemi obalić tych, co idą prosto i szlachetnie do celu. Wszyscy go znają jako łotra bez czci i wiary, a mimoto wszyscy pomagają mu w tryumfie, pognębienia jego przeciwników.

Jakim sposobem się to dzieje, wykazuje autor w charakterystycznē zestawieniu faktów i złączeniu osób najrozmaitszego kalibru, służących za świadome i bezwiedne narzędzia. Drabicki dla utrzy-

mania monopolu swój gazety, oplatał tysiącem intryg, dzielnego i cnotliwego młodziana, Młyńskiego, któremu się zdawało, że wystarczy poświęcenie, zdolność i odwaga walki, ażeby zapewnić zwycięstwo: ideom zdrowym i postępowym. I ani się spostrzegł, kiedy wpadł w sieci, w których zostawia spokój swój, majątek, zdrowie, szczęście, wiarę i marzenia.

Porzucił zacisze wiejskie, kął spokojny, ażeby żywotniejszą pracą zasłużyć się społeczności. Gotów był porwać się za bary z olbrzymem, a zetknął się zaledwie z karłem, i runął. Broni jakiej używał, nie obawiają się tacy Drabicczy. Na otwartość mają podstęp, na szczerłość obłudę jezuicką, na uderzenie kopią w otwartym boju, lisie doły, na ognistość talentu, skrytobójczy paszkwil. Z szlachetnym walczy garstka, z nikczemnym szeregi, dające się obaćmucić i oszukać. Młyński młodocianym zapałem, siłą przekonania i obowiązku, chciał poradzić przebiegłej chytryści, niewahającej posłużyć się najniegodziwszemi środkami. Nie wiedział, że czyny, które mu chlubę przynieść powinny, (zaopiekowanie się sierotą Leną) odstąpią go tylko w obec wroga, narażą cześć jego i dobre imię tych, których kocha. Drabicki na życie jego prywatne rzucił pogłoskę skandaliczną, na publiczne: śmieszność. I zabić go musiał. Pojedynek, skutkiem którego Młyński, stracił zdrowie, to już nieunikniona konsekwencya. Nie dokonawszy niczego, zmarniał, unieszczęśliwiwszy tych, których kochał i od których był kochanym. Miałaby taką być nagroda sprawiedliwych i wybranych? Niestety, taką bywa często. Autor, ciemnego obrazu nie chciał oświecić promieniem choćby nadziei, i za to może mamy żal do niego. Bo koniecznością wydaje się nam w tym razie zawołać: „Autorze, obarczyłeś nas strapieniem, wyrwałeś kartkę czarną z historyi naszego żywota, krwawą luną oświeciłeś nam terazniejszość; lecz dlaczego nie zostawiasz w umyśle czytelnika wrażenia, że ta kartka była jedyną w całej księdze, fatalną, szkaradną, ale wyjątkową? Wszakże zaprzeczyć nie możesz, że *jest ona wyjątkową*; że na wyjątkowe, odrębne patrząc wydarzenia, mogły ci się pod wrażeniem słusznego oburzenia, wydać *ogólnemi*.”

Tak jest, stoimy przy tém, że powieść ta napisana z potężnym talentem, dotyka się stosunków wyjątkowych, a chłoszcząc je jak na to zasługują, nie może przecież mieć praw utworu, zawierającego typy ogólne i stosunki ogólnoludzkie.

Taki Izidor, dziennikarz z miedzianém czołem, co pogrzebał już dawno godność człowieka i pisarza, najemnik pióra dla wytuczania brzucha, sportretowany po Van-dykowsku, jest mimo to egzemplarzem rzadkim niezmiernie, i służy w tym posępnym obrazie, do jaskrawszego tylko uwydatnienia, nikczemności Drabickiego. Niechajby przepadło takie społeczeństwo, w którémbyśmy takich Drabickich i Izydorów, liczyć mieli na dziesiątki! W obec głównej postaci Drabickiego, dla którego rzecz można, tendencyjnie powieść była napisaną, nikną bardzo piękne szczegóły, i bardzo wdzięczne

profilowe charaktery, jakiemi są: książdź kanonik, Jadzia i Lena (tój portret zupełny i doskonały). Niemniej trafnie wyrwani z życia, taki Sopoćko sługa jezuicki, lub hr. Dreysowa modna dewotka, bawiąca się w spódnicowego Venillota.

Młyńskiego, nazwać można prawdziwym bohaterem. Dzielny, pełen zapału, choć upada w końcu, lecz po mężnej i opornej walce. Rzadko się gdzieindziej spotkać z bohaterem powieści, takiej krwi i ducha, takiego szczerzotego odlewu. Zazwyczaj młodzi bohaterowie powieści, bywają wielkimi mazgajami, lub przesadnymi ideologami; Młyński przeciwnie, umie połączyć idealne cele z praktycznymi środkami, a przytém umie czuć i kochać, jak człowiek wyposażony hojniej od Boga. Dlatego cierpienia jego, obchodzą żywo czytelnika, wzbudzając w nim braterskie współczucie.

Dodajcie do tego umiejętność dramatyzowania, dyalog płynący swobodnie, język potoczny i łatwy; dodajcie mnóstwo oryginalnych myśli, które autor umie rzucić, niby kwiaty o tęczyowych barwach na murawę zieloną, a wraz ze mną: ządziwicie się, zachwycicie nad tą wieczną młodością, niewyczerpanego naszego pisarza.

E. Lubowski.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Październik 1870 r.—Zbieramy troskliwie szczegóły do biografii znakomitych mężów naszego kraju, ażeby ułatwić trudne zadanie późniejszym badaczom, w malowaniu rzeczywistych ich wizerunków. Niemało takich szczegółów do życiorysu Adama Mickiewicza, w ostatnich czasach podały nasze pisma czasowe; powtarzamy je tutaj, z dodaniem nowych i nieznanych.

W zbiorach J. I. Kraszewskiego w Dreźnie znajduje się list Mickiewicza, z Moskwy dnia 10 sierpnia 1827 r., w którym pisze do Gotarda Sobańskiego o życzeniu swoim, ażeby illustrować poemat Konrada. „Słyszałem (pisze w nim) że masz zamiar zająć się winietą do Wallenroda; zwlekałem dotąd przysłanie modelu do kostiumów, chcąc je tu dostać; spodziewam się że w Petersburgu większa będzie łatwość. Trzeba wyszukać kroniki Duesburga. Polewoj to mnie przyrzeka. W tej kronice na czele jest rysunek wielkiego mistrza Krzyżaków i jego kapelana; są to właśnie osoby poematu które chciałybym na winietce umieścić. Wielki mistrz ma mieć lat trzydzieści kilka, chudy i twarzy ponuręj; w celi zakonnej widać łóżko nakryte skórą zwierzęcą; na ścianach łuk, piki i szable; stolik pośrodku, na nim parę butelek i puhar niedbale porzucony. Kapelan zakonu starzec lat sześćdziesięciu. Sytuacya jest następną: wielki mistrz zamknięty w celi, lubi przebierać miarę w napoju; wtenczas wpada w pewien rodzaj gwałtownego uniesienia, porywa lutnię i śpiewa, a jeśli rycerze znajdują go w tém położeniu, przestaje śpiewać, gniewa się, grozi, bluźni bezbożnie. Natenczas kapelan przeciwko niemu usiada i wzrok surowy wtopiwszy w oblicze Wallenroda, rozstraja jego gniew. Na winietce tedy schwycić należy ten moment; właśnie kilku rycerzy drzwi odmyka, Wallenrod gniewnie pogląda. Kapelan siedzi naprzeciwko niemu, ręce założwszy na piersiach, i spokojnie patrzy w oczy wielkiemu mistrzowi”

Sobański nie dał żądanego rysunku, ale wówczas w Petersburgu w szkole sztuk pięknych kształcił się Wincenty Smokowski, znakomity rysownik. Podług wskazówek poety, illustrował Wallenroda i ten poemat wyszedł pierwotnie z jego rysunkami litografowanymi. Mickiewicz jedyne go wizerunku swego bohatera nie znał. Zachował się on w Malborgu, w małym obrazku olejnym. Kiedy K. Wł. Wójcicki w końcu roku 1831 zwiedzał zamek malborski i zobaczył ten rzadki zabytek—pragnął mieć dokładną z niego kopię. W kilkanaście lat później

zaczętej pamięci książd *Gizewiusz*, spełnił to jego życzenie, i wierną podobiznę olejną, posiada w swoich zbiorach.

Podług treści powyżej przytoczonego listu Mickiewicza, Walerj Eljasz, znany z talentu artysta krakowski, wykonał rysunek większych rozmiarów, wysokiej wartości, tę właśnie chwilę z poematu przedstawiającą.

Obraz olejny Wallenroda zachowany w zamku malborskim, ma 21 cali wysokości a 14 szerokości. Konrad w całej postaci jest odmalowany; lewą ręką, wsparty na tarczy z orłem czarnym, w prawej trzyma miecz długi obosieczny. Jest w pełnej zbroi rycerskiej, w płaszczu białym z czarnym krzyżem. Głowa odkryta, włos siwy zarówno na wusach i brodzie. Twarz długa, pociągła; oczy czarne i duże. Po prawej stronie na kolumnie widać herb zakonu, a poniżej monety srebrne i złote bite za czasów jego mistrzostwa. U spodu napis po łacinie następujący:

„Effigies Reverendissimi ac illustrissimi Domini Dni Conradi de Wallenrodt XXI Magistri Generalis in Prussia qui per aliquot Annos laudabili terebidem regnando Obiit anno 1393 ac Marienburgi in Crypta Magistrorum Generalium sepultus ex optimi generis Annalibus Prussicis ordinis Teutonici Mariani Habitu delineata.”

Kiedy Mickiewiczowi pierwsza się urodziła córka, J. U. Niemcewicz trzymając ją do chrztu, napisał wierszyk następujący, napamiątkę tego obrzędu:

DZIECIĘ NA RĘKU STARCA.

Zeszły już starzec, gdy na rękę trzyma
Dziewczę ledwie trzymiesięczną,
Już się śmiejącą z pięknymi oczyma,
Świeżą, i ładną, i wdzięczną.
Matka widząc z słodką chlubą,
W objęciu starca dziecinę swą lubą,
Zawoła: „Gdy się w ten obraz wpatruję,
Zda mi się że noc jutrzeńkę piastuje.”

Była to Marya (łodają *Kłosa* z których wzięliśmy tę wiadomość) poślubiona młodemu Góreckiemu artyście malarzowi, synowi słynnego poety Antoniego; dziś już wdowa, albowiem mąż jej w samej sile wieku, zakończył życie.

W pierwszym życiorysie Mickiewicza który napisał K. Wł. Wójcioki, na czele wydania wszystkich pism tego poety w wydaniu warszawskiem S. Merzbacha, prostujemy drobną myłkę. Do chrztu go trzymała Aniela nie Uzłowska, ale Uzłowska—babka żyjącego i praktykującego doktora w Warszawie Stanisława Uzłowskiego.

— W tym czasie wyszło na widok publiczny bardzo pożądane dla praktyki sądowej dzieło: Wykład prawa rozwodowego podług ustaw mojżeszowo-talmudycznych, z ogólnym poglądem

na ich rozwój i uwzględnieniem przepisów obowiązujących, napisał Józef Goldszmit, magister prawa i administracyi. Warszawa. Wydawnictwo Stanisława Czarnowskiego i spółki; r. 1871. Według obowiązującego prawa, małżeństwa starozakonnych podlegają co do wszelkich szczegółów przepisom ich religii. Rozpoznawanie zaś spraw rozwodowych pomiędzy starozakonnymi i wyrzeczenie prawne rozwodu, oddane jest Trybunałom Cywilnym. Dla wyjaśnienia sądom przepisów religijnych w tym przedmiocie, władze starały się dostarczać stosownych wyciągów z prawa mojżeszowo-talmudycznego o rozwodach, mianowicie z księgi Eben Haezer, a nawet w roku 1841 p. Jakób Tugendhold przetłumaczył z tej księgi na język polski 36 rozdziałów. Praca ta jednak drukiem ogłoszoną nie była, a nawet bez śladu zaginęć miała. Przy zupełnym więc braku wiadomości o przepisach religijnych do tego przedmiotu, kiedy sprawy rozwodowe pomiędzy starozakonnymi coraz są liczniejsze, dzieło p. Goldszmita w praktyce sądowej jako prywatna pomoc naukowa, może być bardzo użyteczne. Dzieło to dzieli się na dwie części. W pierwszej wiadomości historyczne, to jest: Prawo mojżeszowe. Talmudyczne. Jurysdykcyja żydów do XI w. p. Chr. Prawa żydów w Polsce. Jurysdykcyja żydów w Polsce. Religijne i prawne znaczenie rabina. W drugiej części: Wykład prawa rozwodowego ze wszystkimi szczegółami, gdzie się mieści prawo rozwodowe; wyciąg główniejszych przepisów z księgi Szulchan Aruch i późniejszych komentarzy, sporządzony przez Pinchesa Hirszkopf, przekład wraz z tekstem hebrajskim. Do tych dwóch części dołączone są dodatki: Wyrok senatu w sprawie rozwodowej. Formalności rozwodowe i podobizna listu rozwodowego a raczej jego wzór.

— Cesarskie Ruskie Towarzystwo Jeograficzne w Petersburgu, na zebraniu swoim w r. b., wysłuchało sprawozdania wielce zajmującego z podróży p. M. Sidorowa, odbytej w roku 1869 na Ocean Północny, na paropływie żelaznym „Jerzy”, o sile 85 koni. Celem tego naukowego badania było, przekonanie się o przejściach od ujścia Pieczory, przez morze Karskie do ujść rzek Syberyjskich i dowiedzenie, iż na morzu tém nawet wówczas gdy na całej swęj powierzchni pokryte jest lodem, zawsze istnieje przejście swobodne dla statków, pomiędzy lodami napływającymi z północy, z brzegami morza. P. Jarzymski konserwator Muzeum Zoologicznego przy Uniwersytecie Petersburskim, zdawał sprawę ze swęj ekskursyi botanicznej 1869 roku, wzdłuż brzegu Marmańskiego przy morzu Białem i Oceanie Północnym, — pracę tę podjął p. Jarzymski z polecenia Towarzystwa badaczy przyrodny przy Uniwersytecie Petersburskim. Ważne rezultaty jakie pokazał, spowodowały pomienione Towarzystwo, wysłać tego uczonego raz drugi na północne wody, dla dalszych poszukiwań, które obiecują dla nauki niemałe zdobycze.

— P. *Duvernoi* zamieścił r. z. „Wiadomości Uniwersytetu Moskiewskiego” ciekawą i wyczerpującą rozprawę o dokumen-

tach tubingskich, dotyczących pierwotnych druków słowiańskich w Wirtembergu. Rozprawa ta nietylko zajmuje się badaniem rzeczy drukowych pierwotnie na użytek Słowian południowych i roztrząsa źródła tę rzecz badające, ale i rzuca pewne światło na stosunek tychże Słowian (Krańców i Chorwatów), zajętych bardzo dawno w kordon germański, do plemienia zwierzchniczego.

— Świeżo opuściła prasę w Lipsku rozprawa doktoryzacyjna, napisana w języku ruskim przez p. J. Baudouin de Courtenay Magistra b. Szkoły Głównej w Warszawie, p. n. „*O staropolskim języku do XIV wieku*” str. 99 i 84 bardzo ścisłego druku w wielkiej 8-ce. Autor w braku czysto polskich pamiętników, odnoszących się do tego czasu, zebrał starannie wszystkie wyrazy polskie napotykanne w dyplomatach i kronikach łacińskich, jak równie i na monetach, i ułożył z takowych słownik. Słownik ten wydrukowany jako dodatek do rozprawy, dał możność autorowi odtworzyć stan języka polskiego jakim był przed XIV wiekiem, przynajmniej pod względem fonetycznym. Co się zaś tyczy morfologii, to autor mógł z tak ubożego materiału (w pamiętnikach bowiem napotykaną się przeważnie imiona własne i tylko niewielka liczba technicznych terminów jak równie i innych wyrazów) podać uwagi o urabianiu wyrazów (etymologii) i zaledwo niektóre wskazówki o odmianie. Jest to pierwsza praca nad językiem staropolskim, odpowiadająca dzisiejszemu stanowisku nauki, wykonana z wielką sumiennością i zdolnością i dlatego zasługuje ze wszelkich miar na obszerny rozbiór.

— Pp. Antonowicz i Kozłowski z Kijowa, wydają dyplomaty wielkich książąt litewskich, drukując je w „Wiadomościach uniwersytetu” kij. częściami, ale z osobną paginacją, tak że wyjęta z zeszytu i zebrana ta publikacja stanowi może osobną książkę. Tom pierwszy zaczyna się w zeszycie kwietniowym 1869 r. tychże Wiadomości (Nr. 4) i obejmuje dyplomaty od końca XIV wieku do roku 1569, to jest do unii lubelskiej. Zawiera on: dyplomy W. Ks. litewskich nadające prywatnym ziemie, majątki, oraz w ogólności akta odnoszące się do posiadłości ziemskich na Rusi południowej; dyplomaty dotyczące: kościoła i duchowieństwa, służby wojskowej, miast, żydów, chłopów i ich stosunków z ziemio-władzcami, administracyi, sądownictwa i urzędzeń skarbowych; w ogóle tom ten zawiera 59 tej treści dyptomatów.

Starożytnie rody do których te dyplomaty odnoszą się mogą, są: Olelkowiczów, Ostrogskich, Lubeckich, Wisniowieckich, Sauguszków, Koszyrskich, Kapustów, Koreckich, Czetwertyńskich, Ostrożeckich i Kurbelich.

Dyplomaty te pisane są w języku łacińskim, ruskim i polskim, przeważnie w ruskim: pochodzą zaś głównie ze zbiorów centralnego archiwum Kijowskiego, niemniej z oryginałów i kopii autentycznych znajdujących się w prywatnym zbiorze p. Antonowicza. Nadto pięć przedrukowano z *Ateneum* (r. 1842 tom II).

— *Gramatyka krytyczno-porównawcza języka polskiego* ze stanowiska dzisiejszej umiejętności, przez ks. Fr. Ks. Malinowskiego, już w druku ukończoną została. Dzieło to (podług ogłoszenia wydawcy Dr. L. Rzepeckiego), „odznacza się wielką wartością naukową, nie tylko dla samych Polaków, nie tylko dla pobratymców Słowian, lecz oraz dla wszystkich badaczy języka; autor bowiem na każdym kroku, odwołuje się do języków: sanskryckiego, litewskiego i staro-słowiańskiego”. Z całej edycyi pozostało tylko 94 egzemplarzy, z tych 66 na zwyczajnym papierze, po pięć talarów a 28 na welinie w cenie sześciu talarów.

— Dnia 25 września r. b. odbyło się w Petersburgu w akademii nauk, rozdawnictwo nagród fundacyi hr. Uwarowa. Premium 1500 rs. otrzymał professor języków wschodnich A. N. Popow, za studyum p. n. *Pogląd chronografów ruskiej redakcyi*. Po 500 rs. otrzymali: professor Moskiewskiego Uniwersytetu Popow za dzieło: *Serbia i Rossya*, professor liceum Demidowa M. Włodzimirski, Budanow, za pracę p. n. *Prawo niemieckie w Litwie i w Polsce* i N. A. Afanasiew, za książkę: *Poetyczne poglądy Słowian na przyrodę*. Akademia przyznała nadto złote medale za współudział w pracach sądu konkursowego p. A. J. Pawińskiemu docentowi Warszawskiego Uniwersytetu i kilku innym ruskim uczonym.

— W mieście Warcie w roku 1859 odkryto w kościele po Dominikańskim zwłoki książąt Mazowieckich Trojdena (nie Trajana jak Kuryer Codzienny w Nrze 212 z r. b. ogłosił) syna Bolosława II zmarłego w roku 1341 i Ziemowita II † 1343. Staraniem i kosztem p. Wysockiego przeniesiono te szczątki w r. 1859 do kościoła po Franciszkańskiego, gdzie dotąd spoczywają. Szaty na nich przetrwały przeszło pięć wieków, i utrzymały się w dobrym jeszcze stanie.

— W zeszytcie za maj redakcyja Biblioteki Warszawskiej zamieściła wiadomość o dziele p. Alexandra Tyszyńskiego profesora b. Szkoły Głównej pod tytułem: *Pierwsze zasady krytyki powszechnej*. W zeszłym miesiącu dzieło to opuściło prasę drukarską i znajduje się już we wszystkich księgarniach. Składa się z dwóch tomów. Motto wykazujące cel pisma jest następujące: W zamęcie codziennych faktów, w odmianach czasów, czyli i jaka jest nić? Wyjątek z tego dzieła pod napisem: *Budhizm* (najbliższa figura chrześcijaństwa) ogłoszony w miesiącu maju w Bibliotece Warszawskiej poznali czytelnicy nasi. Oddawna znanym jest autor z tylu swych prac, z zdolności wyższej, z indywidualizmu odrębnego, z obszernej nauki, i z tego szlachetnego dążenia, które znamionuje każde jego pismo. Nad terażniejszemu dziełom autor strawił ówieré wieku. Ogrom więc wiadomości zapełnia system, którym autor stara się rozwiązać najwyższe zagadnienia ludzkości i obejmuje: przeszłość, terażniejszość i przyszłość; a całość rozwija się zawsze w trzech dziedzinach:

ciała, myśli i ducha. Dzieło takiego rozmiaru i wartości zasługuje na szczegółowy rozbiór.

— Druga część: *Zabytków dawnych urzędzeń sądowych miasta Warszawy* zebranych przez Alexandra Wejnerta wyszła z druku i zawiera: Uzupełnienie organizacyi przez komisję porządkową.

— Znany z prac swoich ekonomicznych i gorliwie poświęcający się dla dobra ogołu p. Julian Statkowski wydał w tym czasie pożyteczną książeczkę pod tytułem: *Przystępny wykład pierwszych zasad ekonomii społecznej moralnej*, które zebrał z niemieckich i francuzkich autorów i pomnożył własnymi uwagami. W ośmnastu lekcyach w wykładzie popularnym przedstawia: Pracę. Własność. Kapitał i procent. Maszyny. Podział pracy. Wymiana. Moneta. Użyteczność i cena. Fabrykant i rzemieślnik. Fabrykant i robotnik. Kupiec. Bankier i kredyt. Rolnik. Urzędnik. Nauka. Bogaty i ubogi. Nędza; jój przyczyny i środki zaradcze. Głód i nieurodzaj.

— W Krakowie w drukarni Uniwersytetu wyszła w jednym zeszyście użyteczna i szacowna praca p. Skiby pod tytułem: Średni bieg roczny zboczenia magnetycznego w Krakowie, obliczył Edward Władysław Skiba, Dok. fil., mag. nauk matematyczno-fizycznych, Docent prywatny fizyki teoretycznej przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Zeszyt opatrzony jedną pół arkuszową tablicą. Autor w przemowie nadmienia, że prawa zmian jakim ulegają w różnych peryodach czasu miejscowe pierwiastki siły magnetycznej ziemskiej są jeszcze mało znanymi, dlatego mając przed sobą w rozprawie profesora Weisse (*Variationen der Declination der magnetnadel in Krakau, Wien, 1869*) bogaty materiał pod względem zmian zboczenia magnetycznego w Krakowie, autor starał się wykryć przynajmniej niektóre prawa rządzące temi zmianami. Ważność tej naukowej pracy p. Skiby specjaliści ocenić zechcą.

— Gazeta Polska donosi że w Krakowie wyszła dySSERTACYA doktorska pana St. Krzyżanowskiego, pod tytułem: „*De Simonis Okolseii vita et scriptis historicis. Dissertatio inauguralis quam typis mandandam curauit auctor Stanislaus Dębno de Wola Sienińska Krzyżanowski*”. Cracoviae 1870, in 4-to, str. 36, w Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dysertacya ta odnosi się do dziejów piśmiennictwa naszego, rozjaśnia nie jeden ustęp literatury historycznej i heraldycznej. Autorem tej rozprawy jest młody wychowaniec Uniwersytetu Kijowskiego i Krakowskiego, który już od kilku lat pracuje na polu historii a mianowicie archeologii polskiej. W bież. kursie letnim uzyskał po złożeniu ścisłych egzaminów, stopień doktora filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim na podstawie rozprawy, której tytuł został wyżej przytoczony. Pan Krzyżanowski wznowił zaniedbany oddawna w Krakowie, a chwalebny i użyteczny zwyczaj

ogłaszania dysertacyi doktorskich drukiem; i godzi się ze wszęch miar spodziewać, że ten przykład nie pozostanie bez naśladowania, chociaż doktorski statut wydziału filozoficznego w Uniwersytecie Jagiellońskim nie koniecznie wymaga, aby kandydat swoją rozprawę publikował.

Autor poświęcił swoje pióro zakonnikowi dominikańskiemu, Szymonowi Okolskiemu, który aczkolwiek skromnych zasług literackich i miernego talentu, zawsze należy do ludzi, wyobrażających uczuciem i duchem naród swój w pierwszej połowie XVII wieku. Pan Krzyżanowski podzielił pracę swoją na trzy części: W pierwszej wymienia wszystkich, którzy go w tém samym badaniu poprzedzili. W drugiej wystawia Okolskiego jako obywatela i kapłana. W trzeciej nareszcie oczęści zapuszcza się w roztrząsanie szczegółów prac literackich Okolskiego, i waży wartość jego płodów na tém polu, przyczem charakteryzuje w kilku wybitnych rysach jego język, którym przemawiał i wpływ wywierał.

Forma rozprawy wcale poważna, odpowiada w zupełności czci, jaka niegdyś otaczała tego zakonnika, którego zdolności zarówno dygnitarze duchowni jak i świeccy oceniał umieli. I w tém właściwie sobie pan Krzyżanowski postąpił, że użył do swojej dysertacyi łaciny, gdyż Okolski, jako autor łacińskiego herbarza, nie tylko u nas, ale i w ościennych krajach, które nie mogą korzystać z polskich herbarzów, jest powagą heraldyczną. Dopatrzył pan Krzyżanowski w pismach Okolskiego wielu jasnych stron; studyum to więc archiwalno-literackie, dorzuciło niejeden rys, który nam Okolskiego w prawdziwszych zarysach okazał.

Otrzymaliśmy tę rozprawę, a przy końcu znajdujemy krótki życiorys autora, i wyliczenie prac literackich które dołączamy: 1. Równianka, pismo zbiorowe Humańskie rok 1861. Humań 1861. 2. Dwa szkice. Kraków 1861. 3. Tulezyn monografia. Kraków 1862. 4. Pamiętki polskie w Muzeum Towarzystwa historyi i archeologii w Odessie. Kijów 1863. 5. *Silva revum* ks. Szymona Krzysztofowicza (1763—1808). Odessa 1864. 6. Kościół N. Maryi Panny w Mochylewie nad Dniestrem. Kraków 1867. 7. Wspomnienia Padwy, notatki z podróży. Kraków 1868. 8. Materjały do dziejów Polski, z księgozbiorów prywatnych na Ukrainie. Kraków 1868. 9. Słownik heraldyczny. Kraków 1870.

— P. Eulogiusz Wyssoła Zakrzewski ogłosił w Poznaniu następny prospekt na swoje dzieło, które już jest pod prasą:

„Wielu, zapewne, z myślących ludzi uderzały brzmienia napotykanne często we wszystkich prawie obcych językach, które dziwnie przypominają brzmienia nasze ojczyste, choć nieraz znaczenia ich nam nie są jasne. Mnie owe odgłosy mowy naszej, zabłąkane jakoby w najodleglejsze ziemi okolice, zawsze mocno zajmowały; zastanawiałem się zatem nad niemi, starając się je wyrozumić; i nieraz wpadłszy na trop wyobrażeń jakie przedstawiały, bywałem olśniony jak światłem błyskawicy, która mi

otwierała nowe horyzonty poglądów na przedmioty, objęte znaczeniem brzmień owych. Najczęściej także pokazywało się, iż chociaż znaczenie ich w mowach zupełnie obcych było takie same, jakie brzmienia te w mowie naszej miały, takowe w żaden sposób z obcych tych języków nie dały się wyprowadzić, w mowie zaś naszej i znaczenie i brzmienie jawnym do razu było. Gdy po dłuższej obserwacji mnożyły się w notatkach moich brzmienia tego rodzaju, a powstała w naszych dopiero czasach nauka lingwistyki porównawczej ułatwiła poszukiwania językowe; badać także zacząłem na tej drodze, jakim sposobem wiele z tych brzmień przypadkowo przezemnie pochwyconych, podług zasad tej nauki wejść mogło w styczność z mową naszą—i z zadowoleniem mojem prawdziwym, na podstawie naukowej metody, podług której wszystkie języki się wyrabiały, przychodziłem nieraz do wyjaśnień tych samych, na jakie sam poprzednio wpadałem. Zachęcony tém odkryciem śmieliej jeszcze badałem coraz to nowo spotykane takowe brzmienia, a nawet umyślnie takowych wyszukiwałem, nawet w przetworzeniach ich zewnętrznych, które im na pierwsze spojrzenie obcą dawały postać, a wszelako w podstawie swęj czyste nasze zachowywały głosy i od nich znaczenie swe brały. Praca ta tak była wdzięczną, iż mi na tej drodze wyjaśniła ciemną, w mgłę wieków pogrążoną przeszłość, z której, przez błyskawicę jakoby słów i wyrazów, nowe dziejowe otwierały się obszary; w rezultacie zaś ostatecznym zajaśniały mi podstawy etnograficzne, na których się opiera Filiacya Narodów!

Pogląd ten stosowany do podań naszej narodowości, naprowadził mnie na studia nad Lechią i Lechami; a zwróciwszy się w ten kierunek, ślęczyłem przez 20 lat nad masą najróżnorodniejszych źródeł, aby sobie w tym zakresie, z brzmień nazw rozmaitych, naukową zdać sprawę,—zrazu dla własnej swęj ciekawości tylko! Lecz gdy widziałem, iż rezultaty jakim osiągnąłem, same z siebie składają się w system lingwistyczny, usprawiedliwiony przez dzisiejsze stanowisko nauki, a który dziwnie nam tłumaczy naszą przeszłość i objaśnia wszystkie ciemności naszych kronik—postanowiłem takowy w porządek ułożyć i podać go jako materiał dalszej pracy w tym zawodzie do wiadomości publicznej.

W widoku tym wydaję obecnie dzieło pod tytułem: *Lechia, studyum etnograficzne.*

Dzieło to składać się będzie z trzech części. Piérwsza, obecnie drukować się mająca, wyłoży znaczenie Lechii i Lechów, wskazawszy poprzednio, za świadectwem Greków i Rzymian, dawność i rozpostarcie się tych nazw w różnych fleksjach językowych, które czas i położenie modyfikowały; przyczem położy podstawy, według których kroniki nasze mają być wyrozumiane. Druga część poświęconą jest filiacji obcych narodów, przez których wpływ powstały różne nazwy, jakie Słowiańszczyzna nosiła; wyłoży zaś szczególniej stosunek Niemców do Słowian. Część ta także się już do druku gotuje. Trzecia część wyjaśni czem jest

Lechia? Część ta, wymagająca jeszcze niejakich studyów, ułożoną i dopełnioną zostanie później, jeśli Pan Bóg życia i zdrowia uzyczy.

Rachując na to, iż publiczność nasza cokolwiek się też do tego przyczynić będzie chciała, otwieram prenumeratę najprzód na obecnie drukującą się część pierwszą, która podobno coś około 25 arkuszy druku wynosić będzie. Cenę stanowią za egzemplarz 2 talary. Po ukończeniu druku takowa do 3 talarów podniesioną zostanie. Prenumerować można u wszystkich polskich siggarzy, którym za fatygę od sprzedanych 20tu egzemplarzy, 3 egzemplarze nadto ofiaruję. Udawać się też można do Karola Salkowskiego, budowniczego w Poznaniu. Na żądanie księgarzom zgłaszającym się kwitaryusze na prenumeratę rozsyłać będę.

† Dnia 15 października r. b. umarł w Warszawie Henryk Emanuel Glücksberg b. sekretarz główny Rad Zarządzających dróg żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej. W piśmiennictwie dał się poznać pod pseudonimem Franciszka Chlewaskiego, i pod nim ogłosił drukiem: 1. „Sceny małżeńskie” powieść. Warszawa 1842, w dwóch tomach. 2. Żywot i podróże Krzysztofa Kolumba przez Washingtona Irwina, z angielskiego 1843. 3. Tajemnice Paryża przez Eugeniusza Sue, przekład z francuzkiego, tamże 1844 r. tomów dziesięć. Pracował przez lat wiele nad przygotowaniem krytycznego wydania wszystkich pism tak polskich jak łacińskich Jana Kochanowskiego. Na kilka lat przed zgonem, zajmował się nad podobną edycją krytyczną *Dworzanina* Łukasza Górnickiego.

Od redakcyi

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA wychodzić będzie w roku 1871, w którym pismo to zacznie trzydziesty pierwszy rok życia. Literatura, nauki, umiejętności jak dotąd będą na przyszłość jedynym przedmiotem Biblioteki. Cena dotychczasowa utrzymana: w Warszawie rs. 9, na prowincyi 10; *kto pragnie z poczty regularnie i w należytem porządku odbierać wychodzące zeszyty, zechce wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa (Krakowskie Przedmieście Nr. 415) przestać prenumeratę rs. 10 i zarazem zawiadomić, z której stacyi pocztowej zeszyty odbierać sobie życzy, a żadnego w przesyłce nie dozna zawodu.*

Prenumeratorowie raczą wcześniej zaraz po 1 grudniu r. b. zgłaszać się, drukarnia bowiem odbija ilość egzemplarzy stosownie do ilości zgłaszających się prenumeratorów.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni Gazety Polskiej (J. Bergera), ulica Daniłowiczowska, Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 15 Октября 1870 г.

MIESZKANIA JEZIORNE.

Ludwika Pigorini.

(Przekład z włoskiego) (*).

I.

„Żeby poznać przeszłość naszego rodu, powiada jeden z głośniejszych francuzkich pisarzy, trzeba przedewszystkiem zbadać obecne położenie, śledząc człowieka wszędzie, tam gdzie on zbrzdrował morza i gdzie porała ziemię. Należy zaznajomić się z różnemi żyjącymi narodowościami, z ich przemysłem, zwyczajami, obyczajami, jedném słowem z całym sposobem ich życia. Tą drogą postępując, przyjdziemy do poznania wszystkich stopni rozwoju ludzkiego, od szczybla najwyższego, aż do pierwszych najdawniejszych i najniższych początków”. Ztąd też, gdy o mieszkaniach jeziornych rozprawić zaczniemy, które powstały w Europie w dobie przedziejowej; wypada mi potrącić o mieszkania podobne, które jeszcze dziś u różnych spotykamy narodowości, tym sposobem łatwiej przekonać będę w stanie o istnieniu pierwiastkowych najdawniejszych.

Ile razy pracujący nad porównawczą etnografią zaczyna rozmyślać o *mieszkaniach jeziornych*, kusi się o to, żeby zdać sobie sprawę z tak dziwnego sposobu budowania domów, myśl jego ulatuje ku wyspom rozrzuconym po oceanie, i szuka rozwiązania zagadki między dzikimi,

(*) Nuova Antologia. Styczeń. 1870 r.

leśnemi plemionami które te wyspy zaludniają. W owej części świata, wśród oceanu pogrążonej, najczęściej napotykać się dają mieszkania wodne zbudowane, według tamecznej opinii dla uchylenia ich od bezpośredniego zetknięcia z lądem stałym, dla zabezpieczenia ich od napadu dzikich zwierząt, gadów a głównie owadów. Takie np. domki budują mieszkańcy wyspy Sumatra i wysp Malezyjskich, jak również i Chińczycy mieszkający na archipelagu indyjskim. Gdy się nad Oceanią zastanawiamy, przychodzi nam w pomoc ów sławny podróżnik Dumont d'Urville. Opisuje on najprzód domek na Borneo, zbudowany na palach wbitych w wodę, opowiadając jako silnie między sobą jest spojony za pomocą desek i trzciny. Przypomina mi to, woła podróżnik, mieszkanie na jeziorze Ontario, opisane przez Coopera. Dom w Borneo był jego najwierniejszym odtworzeniem i wątpić nie można, że zbudowany był dla znalezienia bezpiecznego schronienia przed nieprzyjacielem i dzikim zwierzem”.

Ten sam Dumont d'Urville widział inne mieszkania, podobne do poprzednich na wyspie Solo, które wzniesione na palach mieściły się w środku ujścia rzeki, połączone między sobą przy pomocy niewielkich mostków ale nadzwyczajnie giętkich. Takie same domki widzieli podróżnicy na wyspie Mindinao, na Karolinach, na wyspie Celebes, Ceram i Labuam.

Szczególniej godne są jeszcze wzmianki mieszkania Papuzów z Nowej Gwinei, gdyż te zdaje się więcej niż wszystkie inne, przedstawiają podobieństwa do jeziornych budowli spotykanych w Europie. U Papuzów znajdują się w liczbie dość znacznej pale white prostopadle w wodę, w niewielkiej odległości od brzegu, rzędem równoległe doń umieszczone, na których spoczywają przyciesy, nieco wyżej nad poziom wody wystające. Na tej podstawie wznoszą się chaty splecione z palików i sitowia, a mieszkaniac ich dostaje się do brzegu według upodobania przeprawiając się przez mały most na ten cel urządzony, albo przepływając na czółnie, zrobionem z wydrążonego pnia drzewnego.

W Dorei napotykamy również chaty, których kształty i położenie przypominają dopiero co opisane. Wszedłem do jednej z nich, opowiada Dumont d'Urville; przedstawił mi się prawdziwie pływający zamek, otwarty ze wszystkich

stron. Wązki a długi kurytarz, przeprowadzony w środku, odgraniczał podwójny szereg celek, z których każdą jedna zamieszkiwała rodzina. Meble i sprzęty takich celek, składały się z jednej lub dwóch rogózek, z jednego dzbanka, z jednego lub dwóch naczyń kuchennych fajansowych i z kilku worków mąki sagowej, (sago). Naczelnie izby lepiej zaopatrzone, mieściły w sobie kilka koszów splecionych z liści bananów, w których przechowywano ich kosztowności i ich skarby. W drugiej zaś chacie, która mi się wydała niby haremem, lub gynecceum, spostrzegłem kilka kobiet zgromadzonych w wspólnej izbie, zajętych różnemi pracami. Jedne plotły koszyki, inne rozczyniały glinę i z niej wyrabiały różnokształtne naczynia. Jedna z nich śpiewała, a towarzyszki zdawały się zachwycać jej pieśnią.

O mieście Tondano, które oznacza ludzi wodnych, Dumont d'Urville udzielił wiele ciekawych wiadomości, które pozbierać i powtórzyć nie zawadzi. Niegdyś w dawniejszych czasach miasto Tondano było całe zbudowane na jeziorze i z jednego domku do drugiego, przeprowiano się tylko za pomocą czołna. Widziałem podobne mieszkania, tak dalej ciągnie nasz podróżnik, tak stare, że chwiały się na wszystkie strony i groziły nawet runąć zupełnie w wodę. Pietermann dodaje, że mieszkańcy tameczni zachowują je w szczególniejszém poszanowaniu i wiele trzeba podjąć trudu, żeby ich skłonić do porzucenia tych siedzib, i zbudowania sobie trwalszych. Z tém ich uczuciem wiąże się jakaś myśl religijna.

Troyon, który wpadł na chwalebna myśl opisać różne kształty domków zbudowanych na wodzie, w obecnej chwili znajdujących się w różnych krajach, nie omieszkał rozwinąć podobnych poszukiwań w Ameryce, lecz nie wiele mógł zrobić odkryć, jakkolwiek Le Hon zapewnia, że takie budowle spotykają się w krajach południowych téj części świata.

Nie zbywa na wskazówkach, mówiących o istnieniu jeziornych mieszkań w Ameryce. Oprócz budowli na jeziorze Ontario opisanych przez Coopera, ważne posiadamy wiadomości meksykańskie, które wykazują przynajmniej że tak powiemy, ostatnią fazę, ostatni kształt wodnych mieszkań stron tamecznych. Za dni Korteza znaczna

część miasta Tezkuko wznosiła się wśród jeziora tejże nazwy, a o dwie mile od Meksyku znajdowało się około dwóch tysięcy mieszkań zbudowanych na wodzie. Toż miasto Meksyk należące do Azteków zbudowane było wśród wody, podtrzymywane na palach, jak gdyby przez wysepki niskie i błotniste. I miejsce to służy tu za główną twierdzę obronną. „Meksyk, przypomina Wenecyą i z wielu względów obydwaj miasta są w obecnym czasie tém, czém w dobie przeddziejowej były budowle wodne.”

Z Ameryki przejdźmy do Afryki, żeby odnaleźć ślady takichże mieszkań wodnych, o których wspomina Dr. Baikie i które słowami jego niech nam opisać będzie wolno. „Byliśmy nad brzegiem jeziora Tsad w środkowej Afryce, wśród jednego z żyjących tamże plemion. Zapusciliśmy się, powiada on, po zatoce która ciągnęła się równoległe z rzeką i nagle spostrzegliśmy wieś wstającą przed nami. Ku wielkiemu naszemu zdziwieniu pierwszą zawadę która nas w biegu powstrzymała, spotkaliśmy w kształcie małego domku, o który uderzył przód naszego czółna. Zwracamy oko w tę stronę i oto całe miejsce gdzieśmy się znajdowali, było jakoby całe wodą zalane. Dotarliśmy do wsi, i tam ani jednej piędzi suchej ziemi nie znaleźliśmy. Woda rozlewała się na wszystkie strony z lewej, z prawej, przed nami i za nami. Za naszym przybyciem mieszkańcy powychodzili z domków i zatrzymali się na progu. Mieli oni, mówiąc bez przesady, wodę po kolana, dziecku zaś dochodziła aż do pasa. Nie umiałbym opisać wnętrza domków tych ziemnowodnych ludzi; zauważyliśmy tylko, że jeżeli to są ich prawdziwe chaty, to ich mieszkańcy na podobieństwo bobrów zmuszeni są nurzać się w wodzie, skoro z niej wyjść zechcą.

„Przeplłynęliśmy spokojnie przez miasto wodne zastanawiając się nad tém, jak mogą istnieć ludzie, co w podobny sposób pędzą życie. Słyszeliśmy opowiadania o leśnych pokoleniach, co w szczelinach lub otworach skał przebywają; znamy dziwny sposób u niektórych Indian, chronienia się na drzewa, jak również i godny zastanowienia zwyczaj u Chinńczyków, mieszkających nieraz całe życie na tratwach i łodzjach; wiedzieliśmy o tém, że Tuaryki i pokolenia Shanbah błędzą bez siedzib wśród piasku pustyni, że Eskimosi wśród śniegu wykopują sobie łożyska: aleśmy nigdy nie widzieli,

a tém mniej sobie wyobrażali rozumnych istot, tworzących dobrowolnie jakby osadę bobrów, mających zwyczaj hippopotamów i krokodyli, które niepokoją sąsiednie bagna.”

Zwyczaj Chińczyków, o którym opowiada Baikie, należy bezpośrednio do przedmiotu jaki wyłożył zamyślam, dlatego też choć pobieżnie o nim wspomnieć należy.

Na kilku jeziorach Niebieskiego Państwa znajdują się pływające wyspy, zbudowane zwykle z grubego bambusu, które służą i za mieszkania i za twierdze. „Na pierwszy rzut oka—powiada Huc, który je opisał z zadziwiającą żywością słowa—ujmuje cię prawidłowość kształtów tych poetycznych kwadratów. Zatrzymajmy się na chwilę, żeby podziwiać malowniczą samotność: jesteśmy zdumieni genialnym dziełem chińskiej rasy, zawsze wielkiej w swoich pracach”. Huc mniema, a za nim zdanie to powtarzają i inni pisarze, że podobny zwyczaj między wielu chińskimi rodzinami przenoszenia się na wodę powstał, z powodu braku miejsca na stałym lądzie. My zaś przy pomocy światła jakie rzuca porównawcza etnografia, objaśnilibyśmy sobie te wodne chińskie domki, jako pozostałe szczątki jeziornych mieszkań, istniejących w Chinach jak i w innych częściach świata.

Co do Państwa Rosyjskiego z porządku pomieścić należy kilka podobnych wiadomości, przypominając, że Czerkask, dawna stolica kozaków dońskich, zbudowana jest wśród wody na palach. Prócz tego i Kamczadale w Syberii wschodniej mają oddzielne chaty na zimę i na lato, letnie zaś zwykle budują na palach a część Koryaków, zamieszkujących w Irkuckiej gubernii górzystej, bogatej w jeziora, podobne mają wodne osady jak i Kamczadale.

Letnie mieszkania Kamczadalów odpowiadają domkom rybaków na Bosforze, z tą tylko różnicą, że pierwsze wznoszą się na palach, wbitych w twardą ziemię. Zresztą budowle na palach na lądzie stałym spotykać się dają u wielu bardzo narodów, u których taki sposób budowania wywołany koniecznością mieszkania na wodzie, ma na celu przechowywać nadal tradycją, wtedy, kiedy już mniej potrzebnym okazuje się mieszkać na stawach lub jeziorach. Budowle na palach na lądzie stałym spotykamy w Kochinchinie, Kambodży i Królestwie Siamskim. Prócz tego Dumont

d'Urville zwiedzając Arfaków, sąsiednie plemię Papuzów na pobrzeżu Havre-Dorei, opowiada: że całe ich pokolenie złożone ze 150 ludzi, zamieszkuje w dwóch ogromnych domach, zbudowanych na łądzie stałym na wysokich bardzo palach i do tych mieszkań wchodzi się po drabinie wydrążonej w pniu drzewnym, którą się wciąga do siebie na każdą noc lub w każdym wypadku, kiedy się nieprzyjaciel zbliża.

Na wodach Bosforu, jak wyżej wspomniano, znajdują się wodne domki. Zamieszkane przez rybaków, nędzne z powierzchowności, stanowią kontrast szczególniejszy z wytwornymi i bogatymi domami w nowym stylu, wznoszącymi się nad brzegiem w Babeku i Soraglio. Takie chatki odsłaniały widok podobny do tych, które w wiekach średnich znajdowano w Syrii na jeziorze Chrześcian; Abulfeda donosi: że tak się mianowicie owo jezioro nazywało, gdyż *incolitur a piscatoribus Christianis, qui in loco isto boreali in tabernis ligno compactis super sublicis, degunt* (zamieszkane jest przez rybaków chrześcian, którzy na tém jeziorze północnym w chatkach z drzewa zbudowanych, wznoszących się na palach, życie pędzą).

Dzieje mieszkań jeziornych jak i każdego przedmiotu porównawczej etnografii, zawierają w sobie trzy odmienne części. Pierwsza część opisuje mieszkania dziś istniejące, druga zastanawia się nad temi, co zniknęły w dobie historycznej; trzeciej zaś obowiązkiem jest wykryć szczątki jeziornych mieszkań, o których pamięć do nas nie doszła. I jestto wszystko bardzo proste. Pewne plemiona wyszły ze stanu dzikiego wcześniej, drugie później; inne w nim jeszcze po dziś dzień pozostają. Te co się najprzód wykształciły, nie zachowały wspomnień o pierwotnym swoim stanie, ale zaświadczyłyby mogły o podobnych warunkach tych plemion, które widziały wychodzące ze stanu dzikiego, albo w nim pozostające. Podobny wypadek powtarza się stale w dziejach życia każdego pojedynczego człowieka. Gdy dojdziemy do wieku dojrzałego, gaśnie w nas wspomnienie pierwszego dzieciństwa, i nie jesteśmy w stanie przypomnieć sobie drobnych jego szczegółów; ale dzieciom i wnukom opowiadać umiemy jaką była ich młodość, kiedyśmy ich widzieli około nas wzrastających.

Dziś i dawniej spotykano i ludność uobyczajoną i ludność dziką. Dziś więc i dawniej, człowiek wykształcony bada warunki życia dzikiego, opisuje je i pragnie pamiętać o nich przechować. Pobudza go zaiste do pracy gorąca wiara: że w bliższej lub dalszej przyszłości światło cywilizacji zabłyśnie w każdym zakątku ziemi, i że powoli stopniowo, dojdzie do owego szczęśliwego wieku, gdzie wspominać będzie o minionych klęskach i biedzie; lecz żeby się ich doczekać trzeba wprzód drogę utorować. Pamięć smutnej przeszłości zawsze będzie najlepszym bodźcem, jako dla pojedynczego człowieka tak i dla całej ludzkości; żeby zachowywać z żarliwą starannością dobre urządzenia obecnej doby, a porzucać szlachetne dopiero wtedy, kiedy wyjąłowieją dla osiągnięcia upragnionej szczęśliwości przyszłego czasu.

Nic więc dziwnego że greccy i rzymscy pisarze poświęcili kilka stronnic opisowi mieszkań jeziornych, które za ich czasów istniały. W jednym z moich pism młodzieńczych starałem się pozbierać wiadomości, jakie w tym przedmiocie rozsiane są po Germanii Tacyta i po komentarzach Cezara. Dziś nie umiałbym może obstawać przy licznych wnioskach, jakie wtedy poczyniłem, i z przyjemnością przychodzi mi to oświadczyć i przyznać się do własnych błędów, jeżeli takowe już przeszły w dziedzinę własności powszechniej. Z pomiędzy greckich pisarzy, zapewne Herodot i Hipokrates przekazali najwięcej najważniejszych wiadomości, odnoszących się do wodnych budowli, które wdzili w Tracyi i w Kolchidzie.

Peonowie z okolic góry Pangeum, pisze Herodot w księdze noszącej imię Terpsychory, Doberowie, Agrianowie, Odomanie i Peonowie z nad jeziora Prazya nie dali się podbić przez Megabera. Ale on z tém wszystkiém usadził się na to, żeby szałdować sobie tych, co na owém jeziorze mieszkali w sposób następujący urządzeni. Na palach wbitych w ziemię i grunt jeziora, i które wierzchołkami równały z poziomem wody, umieściły ludy owe rodzaj dobrze przytwardzonej szerokiej drewnianej podstawy, która się z brzegiem łączyła tylko za pomocą wązkiego mostku. Każdy posiadał na takiej podstawie drewnianej swój domek,

w którym mały znajdował się otwór, co wychodził na jezioro.

Hipokrates znowu donosi o ludach azjatyckich, które za czasów jego mieszkały na wodzie i były to właśnie drobne plemiona, osiadłe na rzece Fazys w Kolchidzie. Zajmowały one okolicę błotnistą, zimną, wilgotną i leśną; wystawioną na ciągłe i nieustanne deszcze. Mieszkały—powiada ojciec medycyny—na stawach; a domki ich sklezione z gałęzi drzew i z trzciny, sterczały na wodzie. Ten sposób życia jak na nich tak i na innych ludzi, mających podobny zwyczaj, musiał najniekorzystniejszy wpływ wywierać na fizyczną konstytucją. I dlatego też — w dalszym ciągu mówi Hippokrates—tak znacznie różnią się mieszkańcy Fazysu od innych ludów. Inni dochodzą do nadzwyczajnej wysokości, ci zaś tak małego są wzrostu, że na ciele ich niepodobna ani stawów, ani tętnic odróżnić. Cera ich jest również posępna jak cierpiących na żółtaczkę; a głos ich jest więcej chropawy niż innych ludzi, z powodu powietrza, jakim oddychają.

Ale już czas jest, żebym dalej się posunął w pracy mojej opisującej mieszkania jeziorne odkryte w Europie i znajdujące się w dobie przeddziejowej; gdyż długa jeszcze do przebieżenia pozostaje mi droga, nim dojdę do wyczerpującego przedstawienia obranego przedmiotu. Prawdę powiedziawszy, należałoby jeszcze słów kilka dodać o budowlach wodnych w Irlandyi, znanych pod nazwą Krannogów, które do ostatnich prawie przetrwały czasów; ale g'woli krótkości, wolę natomiast zakończyć wzmianką o płaskorzeźbie na kolumnie Trajana i przytoczyć wiadomość Swidasa o Allobrogach; gdyż szczegóły te utwierdzą nas w przekonaniu, że za czasów Rzymian wznosiły się jeszcze prawdziwe domki jeziorne, w samym środku stałego lądu Europy.

Między płaskorzeźbami na kolumnie Trajana przedstawioną jest wieś Dacyjska. Budowa chat wiejskich dziwnie podobna jest do chat opisanych przez Herodota i do domków jeziornych odkrytych w Szwajcaryi. Frochner następujący daje opis: „Chata o ostro zakończonym wierzchołku zbudowana jest z desek i wznosi się na palach, sterczących z wody rzeki. Nie ma tam żadnych drzwi, tylko wejść można przez

mały otwór. Prócz tego dla większego ubezpieczenia otacza ją na około ostrokół."

Swidas zaś opowiada, że Allobrogowie mając mieszkania zimowe i letnie, zmieniali miejsca swego pobytu i przenosili się albo na wodę albo na ląd stały. Okoliczność godna uwagi, gdyż przypomina zwyczaj zachowywany u Kamczadałów, o którym już wyżej była mowa. I to na nowo twierdzić nam pozwala, że człowiek niezależnie od miejsca i czasu w jednakowy śród pewnych warunków zachowuje się sposób. Jak człowiek tak i całe narody w pierwszej dobie życia swego podobne są do siebie wzajemnie. Podobieństwo staje się mniejszem w miarę tego, jak się zbliża wiek dojrzały. Gdy czas ten nadejdzie, każdy naród, każda jednostka idzie po równej kolei, pokazując w jasnym świetle charakter i wyłączne dążności, zgodne z materyalną i moralną każdego naturą. Jestto okres w którym się zmniejsza działalność zewnętrzna, ustępując miejsca działalności umysłowej.

II.

Rzecz dopiero co wyłożona znana była przed laty piętnastu, ale nikt się nie znalazł, coby umiał ocenić głębsze jej znaczenie i zdać sobie z niej sprawę. Ci którzy wzmianki w powyższym przedmiocie spotykali w dziełach jeograficznych, historycznych, lub w opisach podróży, puszczali je mimo, albo za nic więcej tylko za bajki uważali, lub też najwyżej poświęcali im kilka wykrzykników współczucia, jakimi się odezwał Baikie na widok dzikich z nad jeziora Tsad. Otóż jak nielicznie rozrzucone wiadomości naprowadziły na odkrycie jedno z najciekawszych, jakie zrobić mogła porównawcza etnografia, odszukanie *świata jeziornego...*, nieśmiertelny pomnik, który wystawił sam sobie Dr. Ferdynand Keller w Zurychu.

Dzieje nauki rzadko zaznaczają zdobycz tak świetną rozumu ludzkiego. Przypomina ona nam podobną z odmiennego świata, dokonaną przez sławnego Cuviera. „Dawno przed tym znanym badaczem przyrody, pozbierano pozostałe szczątki ssących zwierząt w gipsowych jaskiniach Mont-

martru, ale niepostrzeżenie przeminał związek blizki, w jakim szczątki pozostawały z miejscem, w którym były przechowane. Uważano je za przedpotopowe. Zjawił się Cuvier, bada owe pozostałe szczątki skamieniałe, i poznaje w ich związku, w ich warunkach położenia, pozostałości całej fauny przed ukazaniem się jeszcze człowieka. Dość było dla francuzkiego naturalisty kilku kości skamieniałych dla odtworzenia sobie w umyśle całego okresu dziejów naszej ziemi, dla Dr. Kellera wystarczyło kilka naczyń kuchennych zachowanych w jeziorze Zurychskim, żeby odsłonić nieznaną dobę-dziejowego życia wyprzedzającą znacznie okres historyczny”.

Odkrycia Cuvier'a i Kellera, są najwymowniejszym świadectwem najwyższej harmonii którą się w całej naturze wszystko łączy i wiąże. Jedna kość świadczy o zwierzętach, do których należy, jedna skorupa mówi o całym naczyniu, którego jest częścią. Pierwsza jest wyrazem całej fauny, która wykrywa związek wszystkich kosmicznych warunków czasu w którym żyła; druga przedstawia ułamkowy pomnik przemysłu ludzkiego, który objaśnia nam odrazu całą epokę rozwoju naszego rodu. Odkrycia Cuviera i Kellera dowodnie przekonywają, że nie masz nauki prawdziwej i zapewniającej korzyści, która się nie rozpoczyna od gromadzenia materyału, zestawiania i porównywania i gdzie go się nie przechowuje dla wyprowadzenia ostatecznych wniosków.

Przez długie lata, mieszkańcy brzegów szwajcarskich jezior spostrzegali jakieś szczątki palów wbitych w dno owych jezior. Kto je powbijał? W jakim celu? Głęboka tajemnica okrywała przed oczami wszystkich, początek i dobę budowlę w mowie będących.

Pod koniec zimy roku 1853 na czwarty, nadzwyczajne opadnięcie wody w jeziorze Zurychskim, pozwoliło rozpocząć początkowe badania w Meilen nad brzegiem samego jeziora. Dr. Keller znajdujący się właśnie w tamtych stronach, miał sposobność przypatrywać się tym szczątkom ludzkiej pracy, i powoli coraz jaśniejsze co do nich wyrobiło się pojęcie.

Z błota czarniawego wydobyto pale, między którymi znaleziono szczątki naczyń kuchennych, tu i owdzie rozrzucone,

jak również i kilka rozmaitych sprzętów i broń z kości i z kamienia. Naczynia były dość grube, niezgrabne, ale wypalone, ręką ulepione, noszące na sobie ślady pierwotnej nieudolnej sztuki. Inne przedmioty świadczyły o więcej jeszcze niezgrabnej ręce, porównać je można było jedynie z przedziejowymi szczątkami znalezionymi w bagniskach skandynewskich. Keller zbadawszy przede wszystkim związek zachodzący między naczyniami kuchennymi i innymi sprzętami, zaczął sobie zdawać sprawę, dlaczego te właśnie przedmioty przechowały się między palami, wbitemi w bagnisko, utworzone przez wody jeziora. Nie trudnym było dla tego uczonego archeologa odszukać związek między jedną a drugą okolicznością, i wyprowadzić ztąd bardzo prędko uzasadniony wniosek, że znalezione przedmioty należą do budowli wzniesionej na wodzie.

Zaledwie się rozniosła wieść o odkryciu Kellera, kilku pracowitych archeologów i naturalistów szwajcarskich zaczęło z całym zapałem i zamiłowaniem szukać podobnych przedmiotów w niezliczonych jeziorach i w licznych kraju swego bagniskach. W krótkim czasie odkrycia wzrosły do tego stopnia, że w każdym zakątku szwajcarskiej rzecypospolitej znajdowano mieszkania jeziorne, utworzono muzea dla przechowywania rozlicznych szczątków, i dawano do druku i ilustracyi najciekawsze przedmioty. W niespełna lat dziesięciu owoce poszukiwań w szwajcarskich jeziorach stały się wspólną własnością uczonych całego świata, i posłużyły za pochodnię która prowadziła naturalistów i archeologów do odkrywania pozostałych szczątków domów budowanych na wodzie i w innych częściach Europy.

Od czasu owego, kiedy się zajęli uczeni albo ocenianiem znaczenia już odkrytych budowli, albo odszukiwaniem nowych, odnaleziono ślady mieszkań wodnych w Hiszpanii, Irlandyi, Anglii, Szkocyi, w Meklemburgu, w Hannoverze, w Holandyi, Bawaryi, Karynty, w Brandenburskiem i w Pomeranii. O istnieniu pozostałości budowli jeziornych zbytecznym byłoby szerzej rozpowiadać; już pobieżna wzmianka wystarczającą nam się być zdaje. Niech mi tylko wolno będzie dotknąć jeszcze nowych odkryć poczynionych na tém polu we Włoszech, co wszakże w ostatnim ustępie uczynić zamierzam. Postępując przyjętą drogą od znanych już do nieznanых rzeczy przekonałem, zdaje mi się,

czytelnika, że różne plemiona ludzkie, zupełnie odmienne co do miejsca i czasu swego istnienia, w pewnej dobie swego życia lubią przebywać na wodzie. W tym względzie wypadnie mi jeszcze zerwać zasłonę jaka pokrywa mieszkania jeziorne Europy w dobie przeddziejowej. Nie dość mieć wiadomość o ich istnieniu, trzeba je sobie odtworzyć w umyśle, ożywić te wsie, które się z nich składały, wyszukać spokojnych mieszkańców którzy je zaludniali, zbadać wszystko, co po sobie zostawili; jednem słowem rozpatrzyć wszystkie po sobie kolejnie idące fazy europejskiego uobyczajenia rozwijającego się w okresie jeziornym. Nie mamy nazwy tego plemienia, żadnych śladów głośnych czynów, żadnej legendy poetycznej, żadnego podania religijnego; ale przy pomocy zebranych pomników jesteśmy w stanie odtworzyć sobie owych plemion stan przemysłu, mogący nam posłużyć jednocześnie za wyraz ich stanu moralnego. Nie jestto bynajmniej fantastyczna praca, do której się zabieramy. Każdy wypadek społeczny, który się dokonywa, pozostawia po sobie niezatarte ślady. Niezliczone były plemiona ludzkie, co przebiegały Europę nim się zaczęły chwiejne podania, które zniknęły jako dym w ciemnościach mglistych najdawniejszej zamierzchłej starożytności. Owe plemiona zginęły nie zostawiwszy wspomnienia w pamięci następnych pokoleń, ale dobroczynne dzieło zamuleń przyczyniło się do przechowania pierwotnych plemion pozostałości, szczątków ich domów, sprzętów i broni tu i owdzie zgubionej, tak jak w podobny sposób starannie przechowują się nasze kości i nasze szczątki, żeby mogły służyć dla następnych późniejszych pokoleń. Idźmy więc ścieżką geologa i paleontologa. Zbadajmy drogi naszej ziemi i jako na kartach nieśmiertelnej księgi, mówiąc słowy Morlota, czytamy w nich dzieje pierwotnych czasów ludzkości, wymownymi słowami pomników pisane.

III.

Zapewne w umyśle czytelników nieobeznanych z badaniami etnologicznymi, powstanie bardzo naturalnie wiele pytań, jakie i kiedy były owe przeddziejowe doby, tyle razy

już wspomiane? Kto je odznaczył? Jakim sposobem można je ograniczyć? Niech mi to jako rozwlekłość nie będzie policzono, jeśli słów kilka w tym przedmiocie dodam.

W większej części krajów jednej i drugiej półkuli, zdarza nam się znajdować w pewnej głębokości ziemi, kamienie jakby obrobione, mające kształt siekiér, strzał i które lud prosty za kamienie spadłe razem z piorunem zwykł jest uważać. Te piorunowe kamienie są to narzędzia lub broń pierwotnego człowieka, pomniki dzieciństwa rodu ludzkiego, słowa owéj wielkiéj księgi, w którój wyczytać usiłujemy najdawniejsze karty dziejów człowieka.

Michał Mercati z San Miniato, był pierwszy który w drugiej połowie XVI wieku wydał sąd swój o tych kamieniach piorunowych, ale znów zgasł pierwszy promień światła rozlanego na ten przedmiot, gdyż dzieło jego znane pod nazwą: *Metalloteka* zaledwie za dni Klemensa XI (1719) ogłoszone zostało.

Po wyjściu na świat *Metalloteki*, kilku uczonych skorzystało ze wskazówek Mercati'ego, z nich wymienię Włocha Vallisnieri i Francuzów Jussieu i Maudhel. Spostrzeżenia ich utorowały drogę i przygotowały świetne odkrycia, które poczynił Goguet, wyłożone w dziele p. n.: *Początki praw, sztuk i nauk* (1752). Gdy sławny ten pisarz zobaczył kamienie piorunowe, umiał on jak najdokładniej porównać je z kamieniami używanymi przez ludy Oceanii i Ameryki. Drogą takowego porównania mógł dojść do wniosku, że i Europa miała swoje dzikie ludy, które stopniowo udoskonalały swoje sztuki i swój przemysł, podobnie do tych ludów, co żyją w dzieciństwie społecznego stanu. „Kiedym się ujrzał, pisze Goguet w swéj przedmowie, pozbawionym wszelkich faktów i pomników, odnoszących się zwłaszcza do piérwszój doby, wziąłem na pomoc to co powiadają pisarze o zwyczajach dzikich ludów. Zdawało mi się, że sposób życia tych ludów, może najwięcej dostarczyć najpewniejszych danych co do stanu w którym zostawały piérwobytné plemiona.”

W ten sposób prowadząc poszukiwania i badania, zdołał Goguet oznaczyć, że po piérwszój dobie przemysłu, w którój wyrabiano broń i narzędzia z kamienia, nastąpiła doba, w którój używano miedzi i bronzu, i że nakoniec tak dalekie zrobiono postępy w metalurgii, iż w trzecim okresie

wydobywano żelazną rudę, która w przetworzonym stanie najobszerniejsze znalazła zastosowanie w życiu człowieka. Wypadki tych poszukiwań, co dziś zdumiewają swą ważnością, przypominają nam mimowoli sławne kiedyś wiersze rzymskiego poety Lukrecjusza Karo (1).

Pierwotną bronią ręce, pazury, zęby były,
 Nie mniej kamienie, a drzew suchych gałęzie,
 Nim płomień, nim ogień odkryte zostały;
 Później z żelaza i miedzi zrobiono użytek,
 Pierwszą jednak miedź była, a potem żelazo.

Z tém wszystkiém jednak wnioski Goguet'a poszły w zapomnienie, dopókim ich na nowo nie wyprowadził na światło z ukrycia, w którym tak długo zostawały. Caumont nie zależnie od Goguet'a poszukiwań, wykłada w swoim kursie Starożytności pomnikowych (1830) podobną teorią twierdząc, że używanie kamienia wyprzedziło dobę używania miedzi, i że pod koniec dopiero, żelazo zostało zastosowane. Lecz do czego innego skierowane były uczone jego badania i nic dziwnego że pozostawił nierozwiązaném pytanie, o którym nikt inny ani myślał. Zdawało się wtedy, że po za pomnikami pisanemi dziejów nic na siebie nie ściągnie uwagi uczonych historyków. A przecież było to już po czasach Giambattysty Vico'na, w świadomości filozofów powinno było utwierdzić się to przekonanie, że dla zbadania praw rozwoju przyszłego ludzkości, należy wysledzić początki. Żeby wiedzieć dokąd się dąży, łatwo to każdy zrozumie, należy wiedzieć zkąd się idzie.

Jeżeli w środkowej i południowej Europie nawet w latach trzydziestu naszego stulecia, zupełnie odłogiem leżały wszelkie paleontologiczne badania, zupełnie inaczej postępowały sprawy naukowe w Danii i Szwecyi. Dwaj znakomici krajów owych archeologowie, Thomsen z Kopenhagi i Nilson z Lundu, przebiegali z tryumfem też samą drogę, którą otworzył Goguet; składając w szczegółowych dziełach (1821) owoce swoich poszukiwań kładli podwaliny nowej nauki, która dążyła do wyświecenia pierwszych zaczątków ludzkiego uspołecznienia. Ale tylko zwolna nowe idee

(1) De rerum natura lib V. v 1282—1287.

torowały sobie drogę po przez błędy i przesady przeszłości. Nic więc dziwnego, że blisko lat czterdzieści upłynęło, nim wypadki poszukiwań Thomsena i Nilsona rozpowszechniły się między uczonymi.

Pierwsze wnioski obudwu skandynawskich archeologów zgadzały się z rezultatami Goguet'a. Szło o to, żeby udowodnić, iż Europa rzeczywiście posiadała swoje dzikie ludy, podobne zupełnie w dziełach przemysłu do ludów zamieszkujących Oceanią i Amerykę. Thomsen i Nilson spostrzegłszy, że z licznych pomników dzikiego stanu spotykają się najczęściej groby; zwrócili głównie na nie swoją uwagę, i poszukiwania ich najświetniejszym uwieńczone zostały skutkiem. Jakież pomniki są w stanie lepiej niż groby, przedstawić stan ludu, którego popioły przechowują? Groby są szczątkami przeszłości naszego rodu, które wymownie mówią do naszego umysłu, jeśli je tylko pytać się umie. Warunki geologiczne ich położenia wskazują czas w którym zostały usypane, sposób w jaki zwłoki w nich złożono świadczy o religijnych pojęciach plemienia z którego wyszły, narzędzia zaś i broń wspólnie ze wszystkimi pozostałościami przedstawiają dość dokładnie życie materialne całego pokolenia.

Thomsen i Nilson zauważyli, że niektóre groby północne tworzące cały rząd dość charakterystyczny, zawierają prócz szczątków szkieletu i kuchennych narzędzi mniej lub wężej grubych, tylko narzędzia i broń kamienną, bez żadnej metalowej oprawy. Wyprowadzili ztąd wniosek bardzo naturalny, że pierwotni mieszkańcy Europy nie używali metalu, i że porównać ich można do obecnych dzikich plemion, przynajmniej w tém co się odnosi do wyrobów przemysłowych i życia materialnego. W innym rodzaju grobów, znaleziono narzędzia ostre i broń z metalu, siekiéry, noże, miecze i ostrza od dzid; ale wszystkie te przedmioty nie były jeszcze robione z żelaza, tylko z bronzu, z mieszaniny miedzi i cyny. Gdyby im było znane żelazo, nie omieszkaliby zeń korzystać, zwłaszcza przy narzędziach do rąbania, ciosania i łupania. Ztąd łatwo wyprowadzić wniosek, że przed użytkiem żelaza, znanym być bronz musiał. Ztąd téż żelazo jest i było zawsze w ścisłym związku z przemysłem, z uspołecznieniem w ogóle, poprzedza je zwykle doba bronzu,

a pierwszym okresem jest okres kamienia. Tym sposobem ustalono różnicę między równymi epokami odległej starożytności, nazywając jedną jej dobę kamienną, drugą brązową a ostatnią dobą żelazną.

Dalsze badania pozwoliły jeszcze dokładniej podzielić pierwszą dobę na okres, archeolityczny i neolityczny starokamienny i nowokamienny. Do pierwszego, odnieść należy broń i narzędzia kamienne najdawniejsze z grubego tylko ociosane, zupełnie nie obrobione. Do nowokamiennego okresu zaliczyć wypada broń i kamienne narzędzia, w których się przejawia większe sztuk udoskonalenie. Pierwszy okres obejmuje w Europie czas ubiegły w epoce geologicznej minionej i na początku nowej epoki; drugi zaś wśród epoki geologicznej nowej i zamyka się z dobą wprowadzenia brązu.

IV.

Podczas każdego z oznaczonych wyżej okresów wznosiły się mieszkania wodne na obliczu Europy, najliczniej w okresie kamienia, mniej obficie w dobie brązu a najrzadziej już w okresie żelaza. Liczba ich w każdej epoce zmniejsza się w stosunku prostym do nowych i skuteczniejszych środków, jakie wynajdywano dla zabezpieczenia życia. Wróćmy przecież do głównego naszego założenia, które nas najwięcej zaciekawia, do poznania pierwotnego domku. Oświadczyć mi jednak wypada, że poszukiwania moje odnoszą się tylko do okresu nowo kamiennego, gdyż właściwie w tej dobie Europa pokrywała się prawdziwymi budowlami wodnymi i jeziornymi, jakkolwiek i w okresie starokamiennym spotkać można szczątki mieszkań plemion przebywających na wodzie. Prócz tego nadmienić należy, że czytelnikom moim przedstawię prosty szkic mieszkań jeziornych w Szwajcaryi tylko, gdyż z powodu znacznej ich liczby jako i z dokładnego ich zbadania, najłatwiej dać mogą dokładne pojęcie o stanie życia europejskiego, rozwijającego się na wodzie, w chwili zamykania się okresu starokamiennego i w przejściu do czasów historycznych.

Biskup z Labuan opisujący mieszkania wodne wyspy tegoż samego nazwiska, wyżej już wzmiankowanej dodaje,

że domki są dobrze wietrzone, wszystkie pozostałości wpadają do wody. Uważamy za konieczne tę uwagę powtórzyć, aby czytelnicy moi zrozumieć mogli gdzie szukać należy szczątków mieszkań wodnych, i gdzie jest właściwe ich miejsce. Na jeziorach wznosiły się domki, a mieszkańcy każdego z nich podobnie jak Dyakowie na wyspie Labuan, albo chowali w dołach na lądzie stałym, albo do wody wrzucali kuchenne okruchy. Jasną więc jest rzeczą, że pozostałości głównie na dnie jezior spoczywają, przykryte stosownie do różnych zmian którym ulegało jezioro, albo warstwą błota, albo torfu pokrywają.

We wszystkich jeziorach szwajcarskich prawie zawsze znajdują się różne szczątki. Nie mówiąc o mniejszych dość przypomnieć, że już lat kilka temu, znaleziono pale 20 wsi na jeziorze Bienne, 24 na Lemańskim, 32 na Konstancyeńskim, 46 Neuszatelskim jeziorze, tak, że liczba wszystkich mieszkań wodnych w Szwajcaryi zapewne do kilkuset dochodzi.

Pierwszą myślą nasuwającą się naszemu umysłowi, kiedy się zabieramy do odszukania szczątków wsi wodnych, jest bezwątpienia chęć dowiedzenia się, jak były obszerne owe wodne osady, jaki kształt i jakie wymiary miały domki wodne, żeby określić można, ile w nich rodzin się mieściło, i jaka wtedy liczba ludności zalegała Szwajcaryą. Nie brakło w rzeczy samej takich, co się tym przedmiotem zajęli, ale nie wiele poszukiwania przyniosły owoców; dość więc tylko powiedzieć, że domki były kształtu okrągłego; jak świadczą o tém ściany, sklecone z gałęzi drzewnych, pospajane zapomocą gliny, i że na znacznej rozciągały się przestrzeni, skoro na Genewskim jeziorze wprost Morges (przystani) osada wodna zajmowała 180,000 stóp kwadratowych.

Jeżeli mniej lub więcej jednakowy i wspólny był kształt wszystkich domków jeziornych we wszystkich okresach przedhistorycznych, wielce naturalnie różniami być musiały przedmioty do życia codziennego służące, stosownie do doby, do której się odnoszą. Zacznę najprzód od okresu kamienia.

Sądząc z pozostałej broni i różnych narzędzi wnosić można, że pierwotna ludność jeziorna w podobnych znajdowała się warunkach, w jakich żyją obecnie dzikie ludy na

wyspach Oceanii i morza Spokojnego. Broń ich składa się ze strzał i z ostrzy od dzid krzemiennych, dość zręcznie wyrobionych, niekiedy i z ostrzy dzid kościanych. Prócz tego wyrabiano łopatki, spinki i szpilki do włosów. Były narzędzia używane do lepienia naczyń, do dziurkowania skór, żeby je łatwiej z sobą zszywać, do upięszania głowy.

Z kamienia prócz tego wyrabiano wszystkie narzędzia, które posługiwały w życiu codzienném. Z takiego materiału dochowały się z owego czasu noże do krajania mięsa i owoców, rodzaj pilników kamiennych do czyszczenia skór zwierzęcych, młotki do różnych potrzeb, siekiérki do zabijania zwierząt i ludzi, do ścinania drzew używanych do budowli domków, lub do wydrążania czółen; jedném słowem do posług życia powszedniego. „Siekiérka, powiada Lubbock, była narzędziem odległej starożytności, *par excellence*, używano jój podczas wojny, na polowaniu, i przy codziennych czynnościach życia domowego.“ To samo powtórzyć można i o dzikich ludach współczesnej nam doby.

Mieszkaniec naszych domków jeziornych okresu nowokamiennego, był mniej myśliwym, więcej rybołowczym. Nie wiele odmienny sposób życia prowadzą różne dzikie ludy dziś jeszcze żyjące. Mieszkaniec bądź rybołóstwem, bądź myślistwem się trudniący, doszedł w prędkim czasie do wyszukania sobie odpowiednich narzędzi. Nic dziwnego, że znajdujemy sieci sznurkowe lub oszczepy kościane. Jakikolwiek są te przedmioty, przyznać jednak należy, że są one wyrazem posuniętego już społecznienia. Sieci mają mieszkańcy Australii, tak iż ogółem ich stan przemysłowy porównaćby można ze stanem w epoce starokamiennój w Europie, oszczepów zaś używa ludność Otaitaska, jakkolwiek jeszcze smutniejsze są ich warunki życia.

Ludność jeziorna nowokamienna pozostawiła po sobie naczynia kuchenne, wyrobione ręcznie z grubój massy, mało lub zupełnie nie wypalone. Massa bywa grubsza w większych naczyniach, mniej gruba w mniejszych, różnica zależy od celu, na jaki się naczynie przeznacza. Niektóre z tych naczyń służyły do gotowania mięsa, inne do przechowywania płynów, inne znowu do zachowywania zboża; już bowiem w okresie nowokamiennym rolnictwo błogie swoje owoce

wydawać zaczęło. Zresztą budowle jeziorne jasno i dowodnie pokazują, że ich mieszkańcy stałe już mieli siedziby, co zwykle ściśle się wiąże z początkami uprawy ziemi. Jak tylko człowiek przechodzi do zajęcia rolnego, już wtedy porzuca stan koczowniczy.

Pszenica, jęczmień, owies i kilka rodzajów jarzyny stanowiły główną część pożywienia pierwotnej ludności wodnej, gdyż nie rzadko między palami na jeziorach Szwajcaryi znajdowano resztki chleba, rozczynionego i rozrobionego dość grubo, i kamienie, które służyły do rozcierania ziarna. Prócz tego ludy te jeszcze uprawiały len, z którego wyrabiano sieci i inne tkaniny, z których resztki drogocenne pozbierano w Wangen i Robenhausen.

Heer badał z wielką starannością wszystkie szczątki roślinne palów nowo-kamiennych w Szwajcaryi; Rüttimeyer zaś objaśnił uczenie szczątki zwierząt znajdujących między powyższymi palami wodnemi. Niemogąc się długo rozszerzać nad wywodami przytoczonych naturalistów, dość tylko dla nas nadmienić, że w owych czasach już znane były człowiekowi, pies, trzoda chlewna, koza, owca i dwa rodzaje wołów. Co do szczątków zwierzęcych kości nadmienić także wypada, że takowe bardzo często spotykają się rozszczepione, coby dowodzić mogło, że szpik wydobywano na pożywienie albo do nacierania ciała używano. Wszak jestto zwyczaj zachowywany prawie przez wszystkie dzikie ludy.

Po takim przedstawieniu życia przemysłowego ludności jeziornej z doby nowo-kamiennej, możeby czytelnicy zażądali, żebym im kilka słów powiedział o plemieniu, do którego ludność ta należała, o składzie rządu, jaki zaprowadziła, o czci, jaką bóstwu oddawała, o jej wierze w życie zagrobowe, ale światło jest bardzo skąpe i szczupłe, żeby niem można poniszczone przedmioty oświecić. Dotychczas osiągnięte rezultaty są tak mało znaczące, że najsilniejszy umysł prawdy zbadać nie byłby w stanie, chyba tylko stworzyć rozdział do fantastycznej powieści. Z czasem nie omieszka zupełnie się rozjaśnić przedmiot tyle ciekawy, zwłaszcza że bez przerwy postępują naprzód badania i odkrycia, z każdym rokiem coraz dalej się posuwamy. Dziś umysł poważny może sobie w myśli odtworzyć stan mieszkań jezior-

nych, jeśli przypominać sobie będzie jak wyglądają nędzne osady Papuzów na Nowej Gwinei, zapełni sobie te chatki wodne mieszkańcami, co się krzątają około potrzeby życia codziennego, najprostszego. Tylko tym co mają dar poetycki, pozwolono jest bujać na skrzydłach fantazyi i wtedy przesuwać się mogą przed okiem wyobraźni postacie owych biednych dzikich, wracających przy zachodzie słońca do domu z polowania lub z pola, zasiadających u ogniska domowego, żeby sobie opowiadać legendy przeszłości, albo wesołą pieśnią krzepiących się do nowego znoju, to znowu inny w wyobraźni stworzyć sobie może obraz, kiedy nagle płomień ogarnie całą osadę wodną, albo kiedy gwałtowna burza zahuczy na wodzie, lub kiedy groźny zwierz, niedźwiedź lub wilk zawyje w liczném zbliżając się stadzie, albo kiedy inny nieprzyjaciel popłoch po wodnej osadzie rozniesie.

Po okresie kamienia nastąpił, jak już powiedziano wyżej okres bronzu w Europie, co znaczy że przodkowie nasi bez żadnej znajomości metalów przyszli do używania miedzi i cyny, i utworzyli z tego mieszaninę znaną pod nazwą bronzu. W Ameryce inne było kolejne po sobie następstwo. Tam między okresem kamienia i okresem bronzu była pośrednia doba miedzi, jak to wykazali uczeni archeologowie: Squier i Davis w wielkiem swém dziele o starożytnościach doliny Mississipi. Ponieważ w Europie nie masz zupełnie śladu okresu miedzi, trzeba by wnosić, że sztuka mieszania tego metalu wkładną do Europy wniesioną została. Zkąd doszedł do nas ten przemysł? Nilson mniema, że Europa zawdzięcza go Fenicyanom; inni znowu, jak naprzykład Le Hon zaprzeczają tym przypuszczeniom twierdząc, że sztukę tę wnieśli z sobą różne plemiona aryjskie; Davis zaś chciałby znowu odróżniać epokę bronzu w Szwajcaryi, od okresu bronzu na północy, i dalej w tym kierunku prowadzić poszukiwania. Nie będziemy się trudzić nad rozwiązaniem wątpliwości. Przyjmujemy tu jako fakt niezbity okres bronzu, i raczej pytać się teraz zamierzamy, jak i w tym okresie, w którym jeszcze budowano jeziorne domki, życie ludów tamtoczesnych wyglądało?

Dotarliśmy do wielkiej epoki w której znajomość metalów tak silną dała pobudkę do uspołecznienia na-

szej ziemi. Bez metalu, to każdy przyzna, ród ludzki byłby jeszcze pozostał w pierwotnym stanie. Myśl ta, która na pierwszy rzut oka mogłaby się wydać paradoxalną, coraz prawdziwszą się okazuje. Bez metalu byłibyśmy pozbawieni pługa, narzędzi naukowych, druku, machin przemysłowych. Tak więc cała nasza cywilizacja mniej lub więcej łączy się w dziwny sposób z metalami.

Z ukazaniem się bronzu zajaśniało w Szwajcaryi jak i w pozostałej Europie światło dość żywe, jaśniejsze od blasku, którym oświecone zostały ostatnie lata epoki kamienia. Ustał wiek dzikości, sztuki uprzyjemniały życie, a różne narzędzia często upiększały się rzeźbą lub inną ozdobą. Nigdzie jeszcze nie spotykamy śladów, iżby gdziekolwiek jakaś zręczna ręka wyrzyła literę, lub artysta naśladował wiernie naturę; dziwaczne tylko kształty odbiły się na naczyniach. Dziwna to rzecz!—woła Desor. Ludy te nie wpadły na myśl naśladować naturę w jej ozdobach, ale przeciwnie zajęły się kreśleniem dziwacznych linii. Gdyby mi wolno było porównać z jednym z żyjących plemion, mógłbym powiedzieć, że ten sposób upiększania bardzo żywo na myśl przywodzi stereotypową sztukę Chińczyków.

Z tém wszystkiém nie można zbyt nisko cenić sztuki z owego okresu, jużto ze względu na samą masę, z której wyrabiano naczynia, jak niemniej i ze względu na formę którą jej nadawano. Naczynia, jak na owe czasy i na ludy owe które je wyrabiały, rzadkie są piękności i niekiedy ukształtowane jak gdyby według stylu etruskiego. Znajdują się czasem w ich liczbie naczynia gliniane, których powierzchnia czarnej świecącej się barwy z zadziwiającą sztuką napuszczaną jest cyną. Wszystko to są dzieła właściwe mieszkańcom jezior szwajcarskich w okresie bronzu.

Równym krokiem z naczyniami postępowała i sztuka odlewu. Ztąd téż zachowały się: miecze, noże, toporki, rohatyny, szczególnież budzące ciekawość, jużto swoim kształtem, już téż z powodu malowideł jakimi są ozdobione. Prócz tego pozostały jeszcze siekierki, kosy, medaliki ładnie odlane i znaczna ilość szpilek do włosów, spinek i rodzaj biżuterji; które to ozdoby bynajmniej zazdrościć nie powinny przedmiotom zbytku noszonym przez włoskie i rzym-

skie panie. Desor wspomina, że widział na ręku jednej ze znajomych kobiet bransoletę jeziorną ze Szwajcaryi, którejby się nie powstydzili tegocześni jubilerowie.

Rzućmy raz jeszcze okiem wstecz na ludzi jeziornych z okresu brązu; jasnym się nam okaże jakie były warunki całego ich życia. Stanowili oni lud więcej rolniczy niż myśliwy; mieli wielkie zamiłowanie w przedmiotach zbytku: ztąd wnosićby należało że oddani byli sztukom pokoju więcej niż ich poprzednicy. Mieli stosunki handlowe za pomocą wymiany uskutecznianej z innymi ludami europejskimi, gdyż sprowadzano bursztyn z brzegów morza Bałtyckiego, żeby wyrabiać różne przedmioty do ozdoby służące; z wysp Cynowych (Wielkiej Brytanii) sprowadzano cynę dla przygotowywania brązu. Zresztą lud ten sam był twórcą swojej broni z pomocą swoich metalowych narzędzi, jako świadczą formy przez nich używane i doszłe aż do naszych czasów. Postępował naprzód tryumfalnie z rozwojem sztuk swoich po drodze, która poprowadzić musiała do okresu żelaza, to jest do owego okresu wyższego uspołecznienia, gdzie ustawały wszystkie zwyczaje życia barbarzyńskiego, a z blaskiem pisma i monety; ukazało się słońce, które rozwidniło dobę czasu historycznego.

V.

Z chwilą rozpowszechnienia żelaza zaczynają zniknąć na obliczu Europy domy jeziorne, i jeżeli są jeszcze jakie, zachowały się tylko drogą szczególnego wyjątku. Zostały one jako szczątki przeszłości, pamięć której nie mogła się przechować w podaniu europejskim a później nawet i widoczne po nich nie pozostały ślady. Sądzę że już dobiegł do celu mojego pisma, gdzie mi wypada wywiązać się z obietnicy co do opisu odkryć dokonanych we Włoszech.

Około pomników jeziornych a w ogóle około pomników przedhistorycznych we Włoszech, zaczęto krzątać się w czasie bardzo późnym, tak iż Momsen mógł jeszcze w r. 1854 powiedzieć: nie masz żadnego pomniku, któryby upoważniał nas do powiedzenia, że ludność ziemi italskiej sięga dalej poza okres uprawiania roli i topienia metalów.

W rzeczy saméj w owym roku prócz niewielu notat zebranych w tym przedmiocie przez Mercati'ego, Aldovrandi'ego, Vallisnieri'ego, Lanzi'ego ukazały się tylko wzmianki Bouchera de Perthes o broni kamiennéj z jaskini Palo w Romanii i Salvagnoli'ego Marchetti o podobnéj broni znalezionéj w grocie Świętych około przylądka Srebrnego; wzmianki G. F. Scarabellego o krzemieniach obrobionych przez mieszkańców wyspy Imoli; słów kilka braci Villa o przedmiotach przeddziejowych bagniska Bosisio; opis grobowiska w Cumarola w Modeńskim przez Cavedoniego podany i krótka wzmianka którą uczynił Gabryel Rosa o kilku narzędziach kamiennych z okolic Brescii. Lecz wszystkie te wiadomości były zbyt szczupłe, zbyt rozrzucone żeby już w r. 1854 można było dowieść że i Włochy podobnie jak i cała Europa posiadała pomniki z doby przeddziejowéj.

Pierwszy Desor we Włoszech obudził w 1860 r. zamiłowanie do studyów paleo-etnologicznych, gdy wykazał iż w saméj rzeczy istniały mieszkania jeziorne w Piemontcie i w Lombardyi. Pobudka przez niego dana zachęciła Bartolomea Gastaldiego i w niespełna rok już naturalista turyński dał do druku rozprawę o czasach przeddziejowych apenińskiego półwyspu.

W następnym roku wzmiankowany Gastaldi prócz zbierania nowych faktów paleo-etnologicznych z całej górnej części Włoch, popierał jeszcze archeologów i naturalistów z Emilii w dokończeniu przedsięwziętego dzieła.

P. Megrino Strobel chętnie odpowiedział na zawezwanie i w tymże jeszcze roku odkrył budowle w prowincyi parmeńskiej. Wkrótce potém dzielny ten archeolog powołał i nas do swoich poszukiwań i tak połączywszy pierwsze rezultaty naszych studyów z wnioskami Gastaldiego mógł w r. 1862 ogłosić dzieło, które pobudziło wszystkich uczonych do poszukiwań podobnych w każdéj prowincyi oddzielnie. Od tego czasu badania tak się rozpowszechniły a rezultaty tak były świetne, że dziś prawie w każdéj prowincyi podkrywano szczątki czasów przedhistorycznych.

Podobnie więc jak Szwajcarya, inne ludy europejskie i Włochy posiadały mieszkania jeziorne, które istniały, jak i gdzieindziej od okresu nowo-kamiennego aż do okresu że-

laza. Zachowały się ich ślady w całej Lombardyi w różnych punktach wenecjańskiej okolicy i w prowincjach środkowych Parmy, Reggio i Modeny.

W ciągu tej pracy mieliśmy nieraz sposobność wykazywać jak różne były kształty mieszkań jeziornych. Spotykamy mieszkania na palach jak na wodzie tak i na lądzie stałym; co do pierwszych niekiedy widzimy mieszkania utrzymywane na palach wbitych prostopadle, lub też wznoszące się na łyżwach zbudowanych z trzciny i z gałęzi drzewa. We Włoszech zachowały się szczątki mieszkań wszelkiego rodzaju.

Najwięcej jednak spotykać się daje szczątków owych domków budowanych na wodzie, w środku stawu lub jeziora. Resztki domków zbudowanych na łyżwach odkryliśmy tylko w dwóch miejscach: w Parmezańskim i w Modeńskim. Prócz tego wzmiankę jeszcze uczynić należy o palowej budowli w przedhistorycznych czasach, zachowanej w bagnach Castellazzo di Fontanellato, z którymi porównać można szczątki odkryte przez Gaetano Cherici w miejscowościach około Reggio.

Warunki życia ludności włoskiej, do której odnoszą się wzmiankowane pomniki, są zupełnie te same jak i plemion współczesnych zaludniających wtedy Szwajcaryą i inne kraje Europy. Takż sam jest stopień uspołecznienia w każdym z okresów; jednakie są przedmioty przemysłu, jak o tém przekonywają najdowodniej dwie rozprawy w tym przedmiocie: najświeższa Kamilla Marinoni i drugie sprawozdanie o budowlach na palach w Parmezańskim, ułożone przez nas i Strobla.

Wypadałoby czyniąc wzmiankę o treści tych rozpraw, powtórzyć znowu to wszystko co już z powodu mieszkań jeziornych w Szwajcaryi powiedzianem było. Odpowiedniej więc jeśli natomiast dodamy, iż wielce prawdopodobnem jest, iż światło cywilizacyjne w okresie mieszkań jeziornych z za Alp przeszło do Włoch.

Takie przynajmniej moje jest zdanie, ile razy rozważam, że w górnych Włoszech znajdują się budowle z okresu nowo-kamiennego i z okresu brązu; w prowincyi zaś Emiliańskiej spotykamy szczątki tylko z drugiego okresu i to w liczbie dość szczupłej; w pozostałej zaś części kró-

lestwa prawie już żadnych śladów. Zresztą pomniki z dolnych Włoch, które nie wątpliwie łączą się ze starożytnością jeziorną, głównie należą do terytoryum albańskiego i odnoszą się do okresu przejścia między epoką brązu a żelaza, ale jednak bez żadnych śladów budowli na palach. Zapewne więc w okresie nowo-kamiennym ludność jeziorna przeszła przez Alpy i zatrzymała się w Piemontcie, w Lombardyi w prowincyi wenecyańskiej. Rzekę zaś Po przeszła ta ludność dopiero w okresie brązu i zajęła prowincye emiliańskie, zostawiając po sobie mało śladów mieszkań na palach; co się zgadza zupełnie z faktem: iż w tej epoce można było zabezpieczyć się osobiście nie szukając schronienia na wodzie. Pod koniec tego okresu nowi najeźdźcy posunęli się już tak daleko na półwyspie, że mogli zająć pagórki albańskie, gdzie zbudowali ów sławny gród umarłych, który od gór nazwę swą otrzymał.

Tak więc w okresie jeziornym, Włochy zaludnione były przez plemię które tubylcami (autochtonami) nazywamy, dopóki wyjaśnionem nie zostanie z kąd przybyli. Plemię to zdobyło półwysep już w okresie geologicznym poprzednim; zamieszkało jaskinie i najwyższe szczyty Apeninu; widziało diluwalne rzeki które utworzyły pokłady kwaternarne Tybru; współczesném było z zwierzętami zaginionego rodzaju i przez długi czas pozostało ludożernem. Ślady tej ludności spotykamy od jaskini w Mentone i Roccabruna aż do jaskiń brzegów sycylijskich. Gdy przeżyła i przetrwała okres diluwalny, widzimy ją później w jaskiniach postępującą w rozwoju ku epoce nowo-kamiennej, która poprzedziła okres jeziorny, jak to poświadczają cenne odkrycia poczynione w Alpach Apuańskich przez Karola Regnoli.

Owe dzikie ludy pierwotne we Włoszech, zdaniem naszym, zajmowały cały półwysep kiedy się rozpoczął napływ cudzoziemskich plemion, które tylu gwałtownymi falami w ciągu wielu wieków przepływały po powierzchni włoskiej ziemi. Z Alp wyszły ludy jeziorne i zwolna postępując dotarły wreszcie aż do serca półwyspu, kiedy wulkan Lacyum wydawał ostatnie gwałtowne ryki. Ztąd zdaje się dalej już się ku południowi nie posunęły. Może ich zatrzymały na powolnej ich drodze pierwsze plemiona ludzi więcéj

uspołecznionych, które drogą morską zaczęły przybijać do brzegów naszych i którym zawdzięczamy pierwsze zawiązki wielkości italskiej przed rzymskiej. Co się stało z tubylcami wśród pomieszania tylu plemion tak różnorodnego pochodzenia? Ani my, ani nikt inny nie byłby dziś w stanie dać zadawalniającej odpowiedzi, chyba nam tylko rzecz naszą zamknąć wypada życzeniem, aby dalej prowadzono badania sumiennie, a nikt nie będzie się wahał poświęcić własne przekonania g'woli odszukania prawdy (*).

P.

(*) Przed sześcioma laty, znany archeolog Dr. Józef Łepkowski i professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, odkrył budowle na palach w jeziorze *Czeszewskiém* w Wielkopolsce pod *Gołańczą*, w dobrach swego teścia Karola Libelta. O tych wodnych mieszkaniach, mówił w r. 1868 Al. hr. Przezdziecki, w Bonn na kongresie archeologów. Dr. Łepkowski opisał swoje odkrycie w dziele: *O zabytkach Kruszwicy i Gniezna* (Kraków 1866 roku). Domysły tego archeologa i orzeczenia wypowiedziane w niem potwierdziły się, znajduwaniem na brzegach Czeszewskiego jeziora, wyrzucanych przez wodę ostrokołów, sickierek, strzał i młotów ze zwierzęcych skamieniałych kości. Więc mamy zabytki z pierwszego okresu kultury, z epoki, w której człowiek z kości wyrabiał sobie broń i narzędzia. W roku bieżącym w okolicy *Ischl*, w północnej części jeziora *Attersee*, znaleziono ślady budowli wodnych. W wiedeńskim *Fremdenblacie* z r. b. (Nr. 250) jest o nich lubo niedokładna i nieumiejtna wiadomość. Twierdzenie autora, jakoby owe zabytki budowli na palach, były pierwszym takim odkryciem w Austrii, a przedstawiały mieszkania nadjeziorne, najbardziej posunięte ku Wschodowi są mylnie. Nie pierwsze to odkrycie budowli palowych w Austrii, gdy sobie przypominamy owe w okolicy *Lubany* lub na *Morawach*, badane przez pana Jeittelesa z Olomuńca. Nie są też najdalej na Wschód posunięte, gdy *Czeszewskie* odkryte przez Dr. Łepkowskiego w Wielkopolsce 1864 roku, leżą pod 36 stopniem długości, jezioro zaś *Attersee* pod 31 położone. Z dzieła niedawno wydanego Toeppena: *Historja Mazowsza pruskiego* (*Geschichte Masurens*) (Gdańsk, 1870 roku str. 52—56), mamy wiadomość o odkrytych przez p. Belduhn, budowlach jeziornych w *Czarném jeziorze*, powyżej jeziora Arys, obecnie osuszonej koło *Werder*, i w jeziorze *Tulewskim*, w powiecie elkskim. Znalezione też zostały przy tych budowach kości i szczątki naczyń glinianych. Belduhn opisał swoje odkrycia w *staropruskiém miesięcznym czasopiśmie* (*Altpreussische Monatschrift*) 1867 r. (str 667—672) z dodatkami w roku 1868 (str. 750 i następne). Odkrycia te posuwają wschodnią granicę znanych mieszkań jeziornych do 40 stopnia długości jeograficznej.

(Przyp. Red. B. W.)

TYMON Z ATEN.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

W. Szekspira.

(Dokończenie).

AKT IV.

SCENA I.

W polu.

Tymon.

Niech was raz ujrzę jeszcze mury, za którymi wilki żarłoczne; — zapadnijcie się pod ziemię, nie chroniąc wigcej Aten! Kobiety, bądźcie rozpustnemi, dzieci—nie słuchajcie rodziców! Niewolnicy i błażni, porwicie z siedzeń senatorów poważnych, i na ich miejscu sądzicie! Dziewice, zanurzcie się w kale zepsucia! Bankruci nie oddajcie pieniędzy, i rzućcie się z nożem do gardeł tych, co wam je pożyczyl! Rabujcie stużalcy, wasi panowie to długoramienni zbojce, uprawnieni złoczyńcy! Dzięwko zasań się kotarą twego pana, wszak pani z kochankiem! (1). Szesnastoletni wyrostku, wydrzyj kule ojcu kaléce, i rozbij mu nimi czaszkę. Pobożność, bogobojność, religia, sprawiedliwość, dobra wiara, szacunek, spokój nocny, przyjaźń, wychowanie, obyczaje, przemysł, zwyczaje i prawa, niech się zamienią w przeciwnieństwa, i pędzą was w zniszczenie! — Zarazo, klęsko ludzi, wzbierz nad Atenami w śmiertelne gorączki, one dojrzały dla twych ciosów! Paraliżu, zegnij sonatorów, iżby ich pokrzywione członki, podobne się stały obyczajom! Rozpusto i bezczelność, wśliźnij się w szpik i umysły młodzieży, iżby płynąc przeciw cnocie, zagrzęźli w zgniliznie! Niechaj Ateny zasiane będą wrzodami i wiecznym trądem, niechaj oddech zaraża oddech, iżby samo zbliżenie tak jak i przyjaźń, jadem truto śmiertelnym!

(1) W domu rozpusty.

Przeklęte miasto, prócz tój nagości nic od ciebie nie biore, i tó mi wydrzyj, mnożąc przekleństwa! W bory idzie Tymon, gdzie dzikie bestye więcéj mu okażą miłości od ludzi. A wy, bogi wszystkie, spalcie piorunem Ateny całe, miasto i sioła; i niechaj w Tymonie, w miarę lat postępu, rośnie nienawiść do całego ludzkiego plemienia! Amen! (*oichodzi*).

SCENA II.

W domu Tymona.

(FLAWIUSZ z kilkoma jego sługami).

Pierwszy sluga.

Mów, panie rządzco, gdzie pan nasz? Zgubieni więc jesteśmy, odpędzeni, nie zostało nic?

Flawiusz.

Ach towarzysze, cóż wam powiedzieć mogę? — Świadczę się sprawiedliwymi bogami, żem tak ubogi jak wy.

Pierwszy sluga.

Taki dom runął! Ani jednego przyjaciela, któryby jął za ręce los jego, i ulżył mu!

Drugi sluga.

Tak jak odwracamy się od towarzysza pochłoniętego w grobie, tak przyjaciele jego, widząc pochłoniętą fortunę, uciekli precz, rzucając przed niego zwodnicze przysięgi, niby worki puste; a nieszczęsny, popadły w żebractwo, powietrze mając jedynym dobrem, w ubóstwie, od którego każdy jak od choroby ucieka, idzie ku hańbie, samotny. (*Wchodzą nowi słudzy Tymona*). Jeszcze kilku towarzyszy.

Flawiusz.

A wszyscy, niby zgruchotane naczynia zburzonego domu!

Trzeci sluga.

Lecz serca nasze noszą jeszcze barwę Tymona, czytam to na twarzach. Jeszcześmy wszyscy towarzyszami jednej niedoli. Rozbiło się nam czółno, a my biedni marynarze, stojmy na pokładzie nadstuchując szumu fali; — lecz rozłączyć się nam trzeba, i rozproszyć po szerokim oceanie powietrza.

Flawiusz.

Przyjaciele! Podzielę z wami resztę mojej chudoby. I gdziekolwiek się znów zobaczymy, pozostanmy przez miłość dla Ty-

moną przyjaciółmi! Potrząśnijmy głową, i powiedzmy na pożegnanie grobowe szczęściu naszego pana: „Znaliśmy lepsze czasy.”—Wyciągnijcie ręce i niechaj każdy cząstkę weźmie! (*daje im złoto*). Odchodźmy ubodzy, lecz w zgryzotę bogaci. (*Rozchodzą się śludzy*). O w jaką straszliwą nędzę, spycha nas blask świetny! Któż pożąda jeszcze przepychu fortuny, gdy w jej ślad pędzi ubóstwo i sromota? Kogóż blask jeszcze tak omamić zdoła, kogo czcze mary przyjaźni? Kto zapragnie wielkości i potęgi, gdy te tak jak przyjaciele, tylko malowane? Zacny ty mój panie zubożały przez dobroć serca, przez własną zduszony tkliwość! Szczególny to charakter, którego największym była grzechem miłość zbyt wielka! Któż teraz odważy się w połowie tak być szczodrym, gdy szczodrość, która Boga Bogiem czyni, człowieka zgnębia! O drogi panie! uwielbiany niegdyś aby dziś być przeklinanym, bogaty na to, aby być nędzarzem! twe wielkie skarby, stały się dziś najsrozzém twém cierpieniem! Niestety! dobry pan w zapalczwym gniewie porzucił miasto niewdzięczne, jaskinię fałszywych przyjaciół, i nie nie wziął z sobą dla utrzymania lub ulżenia życia. Pójdę go wynaleźć! posłużę mu dopóki sił moich, a dopóki *ja* mam złoto, rządzcą jego będę. (*Odchodzi*).

SCENA III.

Las.

(TYMON wchodzi).

Tymon.

O błogosławione słońce odrodzenia, wysącz z głębi ziemi wilgoć zaraźliwą, i zatruj powietrze w siostrzanym kregu księżycy! Wziąć dwóch braci, bliźniąt z jednego łona, których spłodzenie, mieszkanie i urodzenie jednoczesne były, a tylko szczęście różne, zaraz większy wyszydza mniejszego. Natura obarczona tyloma cierpieniami, zniesie wielkie szczęście wtedy tylko, gdy naturą wzgardzi. Podnieś żebraka, a strąć możnego: możnemu, pogarda stanie się dziedzictwem, tak jak żebrakowi cześć. Karmienie nadyma bogatszego brata, niedostatek go wycieńcza. Kto ośmieli się powstać z czystej ludzkości i zawołać: „Człowiek ten pochlebcą jest!”, kto? jeżeli nim jest jeden, to są nimi wszyscy; gdyż pod każdy wyższy szczebel szczęścia, wplata się niższy. Uczona głowa nurza się przed głupią, ostonioną złotem. Wszystko jest skrzywione. Nic w naszej przeklętej naturze prostego, chyba prosta ścieżka przewrotności. Dlatego bądźcie przeklęte uczyły wszystkie, towarzystwa, tłumy ludzi, bo Tymon nienawidzi sobie równych, nienawidzi samego siebie. Zniszczenie ludzkiemu plemieniu! (*Kopie w ziemi*). Ziemiol! żyw mnie korzeniami. Kto

więcej w tobie szuka, temu spał podniebienie najostrzejszą trucizną! Co widzę? (*uderza o sztabę złota*) Złoto? błyszczące, czerwone złoto? Nie, bogowie, jam nie słuzałec mamony; korzeni, czyste nieba! Ta garstka złota, wystarczy na przemianę czarnego w białe, brzydkiego w piękne, złego w dobre, starego w młode, lekliwego w waleczne, podłego w szlachetne. Wy bogowie! na co mnie to? na co, bogowie? Ha! to złoto odwiedzie wam kapłana od ołtarza, odedrze napół zdrowego od miękkich poduszek. Tak, ten czerwony niewolnik, rozwiąże i ściśni najświętsze związki, uzacni przekłętego, trąd umili, uczci złodzieja, otoczy go dostojnością i wpływem w radzie senatorów, zegnici przed nim kolana. Onto napędzi przeżyłej wdowie kochanków, a pokrytą trującymi ranami, ze wstrętem wypchniętą z szpitala, odmłodzi balsamicznie majową młodością. Przeklęta ziemio, nikczemna nałożnico ludzi, ty która niesnaski rozrzucasz w gromadę ludów, dla mnie pozostaj tęp, czém jesteś. (*Słychać granego marsza*). Odgłos trąby! — Żywem jesteś, złoto, lecz ja cię pogrzebię; o będziesz biegać jeszcze, ty silny morderco, gdy twój pedogryczny stróż, stać nie będzie mógł. Lecz na zadatek zostawię tę trochę. (*Zostawia przy sobie trochę złota, resztę zakopuje*). *Wchodzi Alcybiades z trębami i fanfarą w pochodzie wojennym. Frynia i Timandra*).

Alcybiades.

Kto jesteś, mów!

Tymon.

Zwierzę jak i ty. Niech ci trucizna rozeżre serce za to, że mi znów ludzką ukazujesz twarz.

Alcybiades.

Kto jesteś? I czy tak nienawidzisz człowieka, ty który człowiekiem jesteś?

Tymon.

Mizantropem jestem, i nienawidzę ludzkości. Chciałbym przez wzgląd na ciebie abys psem był, a wtedy lubiłbym cię trochę.

Alcybiades.

Znam cię, lecz nieznanie i obce mi twe losy.

Tymon.

Ciebie także znam, i więcej nie chciałbym wiedzieć jak tylko: że cię znam. Idź za twoją surmą wojenną, pomaluj ziemię ludzką krwią, na czerwono, czerwono. Boskie przykazania, ludzkie prawa okrutac są, czemu więc ma być wojna? Oto ta nałożnica twoja, mimo jej oczu cherubina, pewniej zniszczyć może, aniżeli twój miecz.

Frynia.

Bodaj ci wargi zgniły!

Tymon.

Wszak całować cię nie chcę, więc niech zgnilizna do ciebie wróci.

Aleybiades.

Jakimże sposobem, tak się zmienił szlachetny Tymon?

Tymon.

Takim jak księżyc, gdy mu światła zabraknie; lecz nie mogłem tak jak księżyc, jasności odnowić. Mnie nie pożyczyło żadne słońce.

Aleybiades.

Czy Tymonie, mogę ci przyjacielską wyświadczyć usługę?

Tymon.

Jedną tylko: wzmocnij moją wiarę.

Aleybiades.

Jaką Tymonie?

Tymon.

Przyrzecz mi przyjaźń, ale nie dotrzymaj wcale. Jeżeli mi nie chcesz przyrzec, niech cię bogowie ukarzą, bo jesteś człowiekiem, a jeżeli dotrzymasz obietnicy, zniszczą cię nieba, boś jest człowiekiem!

[*Aleybiades.*

Styszałem już coś o twojej nędzy.

Tymon.

Widziałeś ją wtedy, gdy mi się szczęście uśmiechało.

Aleybiades.

Widzę ją teraz—pora wtedy była rozkoszy.

Tymon.

Tak jak teraz twoja, spędzana z dwiema kochankami.

Tymandra.

I tenże to ma być ozdobą Aten, o którym świat tak mówi sławnie i pięknie?

Tymon.

Czyś ty Tymandra?

Tymandra.

Tak.

Tymon.

Pozostań nazawsze kochanicą. Ciebie nie kocha ten, co cię zna. Niewolników twych połam we czworo, kwitnącego młodzieńca przygotuj do głodowych leków.

Tymandra.

Na szubienicę z potworem!

Alcybiades.

Przebacz mu droga Tymandro, bo rozum jego przepadł, zatopiony w nieszczęściach. — Niewiele złota mam, dzielny Tymonie, brak jego, pobudza biednych mych żołnierzy do codziennego buntu. Dowiedziałem się z boleścią, że przeklęte Ateny zapomniały o twych zasługach i zwyciężkim mieczu, który je uratował wówczas, gdy sąsiednie państwo, zgnieść je chciało.

Tymon.

Proszę cię, uderz w bęben i odejdz.

Alcybiades.

Twoim przyjacielem jestem, i żal mi cię Tymonie.

Tymon.

Jak możesz żałować tego, którego dręczysz? Chciałbym zostać sam.

Alcybiades.

Więc bywaj zdrow, i weź to złoto.

Tymon.

Zatrzymaj sobie, ja go jeść nie będę.

Alcybiades.

Gdy już Ateny pyszne zburzę...

Tymon.

Wojujesz Ateny?

Alcybiades.

Tak Tymonie, i sprawiedliwie.

Tymon.

Oby bogowie przez ciebie wydusili wszystkich, a gdyś wydusił wszystkich, ciebie potem.

Alcybiades.

Mnie Tymonie?

Tymon.

Bo mordując łotrów, przychodzisz zdobyć ojczyznę moją. Schowaj twe pieniądze — odejdz, tu jest złoto — odejdz! Bądź na podobieństwo zaraźliwej planety, gdy Jowisz na zbrodnicze miasta, truciznę rozrzuca. Niech miecz twój nie oszczędzi nikogo! Ani czcigodnego starca dla siwych jego włosów: to lichwiarz! — ani matrony, dla szat jej tylko skromnych: to obłudna żona! Niech nie złagodzi ostrza twego miecza, dziewicy oblicze, bo piersi jej, poprzez przezrocza czarujące oczy mężczyzn, nie są zapisane w litości księdze. Nie! — na wskroś w nich ohydna zdrada! Ani nie oszczędź dzieciaka, którego śliczne ust dołeczki głupców wrzucić mogą; pomyśl że to bękart, przeznaczony ci tajemniczym słowem wyroczni: na mordercę. Rozsiecz go bez litości, przysięgnij śmierć życiu, zamknij oczy i uszy miedzianym pancerzem tak szczelnie, iżbyś za nic miał krzyk matek, dziewcząt, dzieci, a nawet kapłanów, broczących w szatach świętych. Tu masz pieniądze dla walecznych — széř w okół zniszczenie, a gdy wściekłość ugasisz, przepadnij ty sam! Nie mów więcej, i odejdz.

Alcybiades.

Skoro masz złoto, wezmę je, ale nie wezmę wszystkich rad twoich.

Tymon.

Usłuchasz mnie lub nie — przekleństwo niebios, niech ciąży nad tobą!

Frynia i Tymandra.

Daj nam złota dobry Tymonie — wszak masz jeszcze?

Tymon.

Mam go tyle, iżby wam zbrzydzić wasze zatrudnienie. Nędznice, roztwórcie rańtuchy! Nie waszą to rzeczą przysięgać, choć wiem, iżbyście przysięgły tak straszliwie, że nieśmiertelni bogowie słysząc to, zadrzeliby z przerażenia! Nie, nie przysięgajcie, wołę zaufać skłonnościom waszym. A więc: pozostańcie bezwstydnymi zawsze! A temu, któryby was nawrócić chciał pobożnym słowem, stawcie się dzielnie, skućcie go i spalcie ogniem waszym, potężniejszym od dymu jego rozpraw. Nie cofajcie się napróżno, choćbyście na to sześć miesięcy strawić miały. A głowy łyse wasze, pokryjcie tém co nosili zmarli i wisielcy. Cóż to szkodzi? Noście to, oszukujcie dalej, i życie bezwstydnie dalej. Gładźcie zmarszczki i malujcie twarze wasze...

Frynia i Tymandra.

Dobrze, tylko więcej złota, co jeszcze? Wierzaj nam, za pieniądze sprawimy to, czego żądasz.

Tymon.

Zasięćcie wycieńczenie w szpiku ludzi, wykrzywcie im nogi, złamcie jeźdźca siłę, przytłumcie adwokata głos, aby już fałszywych spraw, nie wykrzykiwał chrapliwie. Trądem pokryjcie kapłana, który gromiąc zmysłów pokusę, sam w siebie nie wierzy; odbierzcie węch temu, który publiczne dobro wyzyskuje dla siebie. Niech niepokryty ranami junak, przez was pociérpi. Zatrucijcie wszystko, przyduście i wysuszcijcie wszelkie życiodajne źródła! — Coraz więćej złota! — Gubcie innych, a potém niech to złoto was zaprzepaści i zgubi, i niech was wszystkich jeden dół zagrzebie!

Frynia i Tymandra.

Więćej rad i więćej jeszcze złota daj, wspaniały Tymonie!

Tymon.

Więćej hańby, i więćej zniszczenia przedewszystkiém! Zaczniście, jam dał zadatek.

Alybiades.

Zagrzmijcie w surmy — do Aten! Bywaj zdrów Tymonie. Jeśli się uda, jak mam nadzieję, obaczmy się wkrótce.

Tymon.

Jeżeli się uda, jak ja sobie życzę, nie zobaczę cię więćej.

Alybiades.

Wszak nic nie uczyniłem ci złęgo.

Tymon.

Tak, tyś dobrze mówił o mnie.

Alybiades.

Czy i to masz za złę?

Tymon.

Doświadczenie codziennie uczy. — Odéjdz precz, i zabierz z sobą szczenięta.

Alybiades.

My zawadzamy mu tylko. — W drogę!

(Alybiades, Frynia i Tymandra odchodzą.)

Tymon.

Byćże może, iżby natura, niewdzięcznością urażona czło-wieka, głód uczuła! — O matko wspólna, ty, której łono niezmiernone i pierś urodzajna, rodzi i żywi wszystko, (*kopie w ziemi*) — ty, która z tój samėj materyi, z jakiej nadęte dumne twe dzie-cię: człowiek, spładzasz i czarnęgo kreta, i siną żmiję, złotą ja.

szczurkę i jadowitego węża, i tyle poczwara pod łukiem niebieskim, daj temu, który nienawidzi wszystkie tve dzieci ludzkości, nędznych korzeni! Zniszcz wieczną płodność twych wnętrzności, ażeby więcej nie wydały niewdzięcznika. Spładzaj tygrysów tylko, smoków, wilków, niedźwiedzi i innych potworów, których powierzchnia twa, nie ukazała jeszcze nigdy upstrzonemu sklepieniu!—Znalazłem roślinkę, serdeczne za nią dzięki! -- Wy-susz twoje żyły, winnice i niwy zorane pługiem, z których niewdzięczny człowiek wysysa słodki trunek i przysmaki oszołomiające zmysły! (*Wchodzi Apemantus*). Jeszcze jeden? Przekleństwo! przekleństwo!

Apemantus.

Wskazono mi tę drogę, mówiąc, że naśladujesz obyczaje moje i czyny.

Tymon.

Tak, bo nie masz psa, któregobym mógł naśladować. Przekląty!

Apemantus.

To wszystko jest tylko u ciebie udaniem, melancholią niegodną mężczyzny, bo źródłem jęj zmiana fortuny. Co ma znaczyć to miejsce, łopata, suknia niewolnicza i to spojrzenie ponure? Przecież pochlebcy twoi piją wino jeszcze, jedwabie noszą, na puchu się wysypiają, zapomniawszy zupełnie, że żył niegdyś jaki Tymon. Nie hańb tego lasu, odgrywając w nim rolę cenzora! Bądź ty teraz pochlebcą, staraj się podnieść w górę przez to, co cię zepchnęło. Zegnij kolano, i niechaj już sam oddech tego, któremu oko twoje służy, zdmuchnie ci czapkę z głowy; występki jego chwal, zwiąc je cnotami. Wszak się z tobą nie inaczej działo. Potakiwałeś niby szynkarz każdemu, kto ci się kłaniał: oszustom i wszelkim innym. Sprawiedliwie więc, iżbyś ty teraz został oszustem. Bo gdybyś miał dosyć złota, znówbyś im oddawał. A nie staraj się być mnie podobnym!

Tymon.

Gdybym się o to starał, wyrzekłbym się samego siebie.

Apemantus.

Wyrzekłeś się siebie, będąc tórn, czém byłeś. Niegdyś szalony, dzisiaj nedorzeczny. Jaktó, czy sądzisz, że to ostre powietrze, obecny twój natarczywy kamerdyner, ogrzeje ci koszulę? że te omszone drzewa od orłów starsze, pójdą za tobą, poskoczą na twe skinienie? że ten zimny strumień z lodowemi brzegi, zgotuje ci ranne śniadanie, wzmacniając po nocném zmęczeniu? Zawezwij wszelkie istoty, które nagie i odarte wytrzymują mroźno wichry; zawezwij bezlistne drzewa, oddane na pastwę walce ży-

wiołów, one odpowiedzą tylko naturze; — lecz rozkaż by tobie schlebiały, a przekonasz się...

Tymon.

Że jesteś błaznem! precz!

Apemantus.

Ciebie więcej lubię teraz, aniżeli dawniej.

Tymon.

A ja więcej nienawidzę.

Apemantus.

Dlaczego?

Tymon.

Bo schlebiasz nędzy.

Apemantus.

Nie schlebiam. Mówię tylko żeś nędznikiem.

Tymon.

Lecz pocoś tu przyszedł?

Apemantus.

Ażeby cię gnębić.

Tymon.

Zawsze to urząd błazna lub nikczemnika! czy tak ci się podoba?

Apemantus.

Tak!

Tymon.

Nawet, że jesteś łotrem?

Apemantus.

Gdybyś był gorzkim i wystygłym jedynie dla ukarania własnej pychy, powiedziałbym: dobrze; lecz ty z musu jesteś takim; bo gdybyś nie był żebrakiem, zostałbyś dworskim pochlebcą. Dobrowolne ubóstwo przeżyje czczy zbytek, zwycięzki zdobywając wieniec: bo zbytek ciągle rosnąc, nigdy nie ustaje; ubóstwo wystarczy sobie. Najbogatszy, gdy niezadowolony, niepokojnym i biędnym się czuje, biędniejszym od najuboższego, z losem swym zgodnego. Powinienbyś umrzeć pragnąc, skoroś taki nędzny!

Tymon.

Lecz przecie nie dlatego, iż to ty mówisz, ty stokroć nędzniejszy. Tyś niewolnikiem, którego szczęście nigdy nie objęło

miłosném ramieniem. Ty się psem już urodziłeś. Gdybyś, tak jak ja od kolébki, zasmakował wszystkich słodyczy, jakich ten świat przelotny nie szczędzi tym, którzy swobodnie poddać się mogą wszelkim na ich skinienie poskusznym powabom, byłbyś się cały zanurzył w rozpuszcie bez miary; młodość twoją stopiłbyś na schadzkach lubieżnych, nie posłuchawszy nigdy zimnego głosu rozumu. Tak, byłbyś się uganiał bez końca, za słodką zwierzyną. Lecz ja, dla którego świat cały jedną był biesiadą, który w usługach miałem więcej ust, języków, oczu i serc ludzkich, niż ich użyć mogłem, — (gdyż przyczepieni do mnie jak liście dębu, nagle jednym wichrem mroźnym zerwani z gałęzi), stoję dziś nagi, z piersią otwartą burzom i zawiei. Więc mnie, który zaznałem szczęśnej doli, znieść to trudno; nie tak jak tobie, który w cierpieniach zacząwszy życie, z upływem lat, bardziej je tylko zahartować mogłeś. Za cóż ty ludzi nienawidzić masz?—Czy pochlebiali ci kiedy? Cóż im dałeś? Chcesz przeklinać, to przeklinaj ojcu twemu, nędzarzowi, który w rozpaczę łączył się z jakąś żebraczką, ciebie spłodził, każąc ci od przodków dziedziczyć ubóstwo. Precz ztąd! Gdybyś się nie urodził ludzkości wyrodkiem, zostałbyś oszustem i pochlebcą.

Apemantus.

Jeszcze więc dumnym?

Tymon.

Tak: że nie jestem tobą.

Apemantus.

A ja, że nie byłem marnotrawnym.

Tymon.

A ja, że nim jeszcze jestem. I gdybym wazystkie skarby w tobie był umieścił, zezwoliłbym jednak, ażebyś się powiesił.— A gdyby życie całych Aten, w tém tu zwarte było (*zjada korzenie*) zjadłbym je.

Apemantus.

Popraw sobie ucztę. (*Podaje mu coś*).

Tymon.

Najprzód polepsz moje towarzystwo; odejź!

Apemantus.

Polepszę moje, gdy odejdziesz.

Tymon.

Polepszoném nie będzie, chyba złataném;—w każdym razie żyć tego.

Apemantus.

Co chcesz posłać do Aten?

Tymon.

Ciebie w huraganie! a chcesz, to powiedz tam, że mam złoto,—ot patrz.

Apemantus.

Nie przyda ci się tutaj na nic.

Tymon.

Przyda najwięcej, bo tu spoczywa, nie dając się nagiąć do złego.

Apemantus.

Gdzie sypiasz w nocy?

Tymon.

Pod tém, co jest nademną. Apemancie, gdzie jadasz we dnie?

Apemantus.

Tam, gdzie żołądek mój żywność znajdzie, a raczej tam gdzie jadam.

Tymon.

O, gdyby trucizna wiedziała, czego pragnę, i posłuchała mnie.

Apemantus.

Gdzieżbyś ją posłał?

Tymon.

Twoją ucztę zaprawić.

Apemantus.

Nigdyś nie znał pośredniej drogi ludzkości, lecz zawsze jéj ostateczności. Gdyś żył w pośród złota i pachnidła, szadzono z twego wyszukanego wykwinu, w łachmanach nie znasz go wcale, i znów nienawidzą cię za to przeciwieństwo. Oto masz szyszkę, zjedz ją.

Tymon.

Nie jadam wcale tego, czego nienawidzę.

Apemantus.

A nienawidzisz szyszki?

Tymon.

Tak, bo do ciebie podobna.

Apemantus.

Gdybyś był dawniej więcej nienawdził intrygantów podobnych tym szyszkom, byłbyś dzisiaj więcej kochał siebie. Znałeś bowiem kiedy marnotrawcę, któregooby lubiono, gdy się wyzbył wszelkich środków?

Tymon.

A kogóż znałeś, któregooby lubili bez tych środków?

Apemantus.

Siebie samego.

Tymon.

Rozumiem cię, raz w życiu miałaś tyle, iż mogłaś się utrzymać.

Apemantus.

A cóż na całym świecie, najbardziej zbliżone do twych pochlebców?

Tymon.

Kobiety! Ale mężczyźni, o mężczyźni istnieć są pochlebstwem! Cóżbyś Apemancie uczynił, gdyby świat do ciebie należał?

Apemantus.

Oddałbym go dzikim zwierzętom, ażeby ludzi się pozbyć.

Tymon.

Jakto, więc chiałabyś zginąć z innymi ludźmi, dlatego iżby zostać zwierzęciem, między zwierzętami?

Apemantus.

Tak, Tymoniel

Tymon.

Zwierzęce życzenie, niech ci je więc nieba spełnią! Gdybyś był lwem, lisby cię oszukał. Gdybyś był baranem, lisby cię pożarł. Gdybyś był lisem, a osioł cię przypadkiem zaskarżył, wpadłbyś w podejrzenia u lwa. Gdybyś był osłem, męczyłaby cię twoja głupota, a przecież zjadłby cię wilk na śniadanie. Gdybyś był wilkiem, męczyłaby się twoja żarłoczność, a przecież musiałbyś często życie narażać dla obiadu. Gdybyś był jedno-rozcem, własna pycha i wściekłość zgubiłaby cię, i stałbyś się łupem własnego gniewu. Gdybyś był niedźwiedziem, zabiłby cię koń; gdybyś był koniem, stałbyś się łupem lamparta; a jako lampart byłbyś bratem lwa, i wtedy twa skóra plamista, sprzyściłaby się przeciw życiu. Byłbyś bezpiecznym tylko w ucieczce, a twoją obroną byłaby nieobecność. Jakiemże zwierzęciem, któ-

reby nie było poddaném drugiemu zwierzęciu, mógłżeś być ty? A jakim zwierzęciem już jesteś, gdy nie poznajesz ilebyś na przemianie stracił?

Apemantus.

Gdyby mi się kiedy mowa twa podobać mogła, to chyba teraz. Rzeczpospolita Ateńska, stała się lasem zwierząt.

Tymon.

A jakże się osioł przedarł przez mury, gdy ty jesteś za miastem?

Apemantus.

Widzę nadchodzących: poetę i malarza. Niechaj cię ściga zaraza towarzyska, lecz ja bojąc się zarazy, odchodzę. A gdy kiedy nie będę wiedział, co z sobą począć, to cię znów odwiedzę.

Tymon.

Jeżeli prócz ciebie, nie ma już na świecie żadnej żyjącej istoty, to mi będziesz pożądanym; wolałbym wszakże być psem żebraka, aniżeli Apemantem.

Apemantus.

Jesteś głową błaznów całego świata.

Tymon.

Chciałbym iżbyś był dosyć czystym, ażeby mózgi na ciebie napluć.

Apemantus.

Nienawistny! Jesteś znanym złym, ażeby cię przeklinał.

Tymon.

Wobec ciebie, każdy łotr jest szlachetny.

Apemantus.

Nie ma obrzydliwszego jadu, od twojej mowy.

Tymon.

Tak, gdy o tobie mówię, wybiłbym się, gdybym przez twoje rąki nie powalał.

Apemantus.

Chciałbym aby od samej mowy twojej zgniły.

Tymon.

Precz przebrzydła poczwara! Wściekłość mnie porywa, że żyjesz. W głowie mi się kręci, gdy cię widzę.

Apemantus.

Dzikię zwierzę!

Tymon.

Precz! Żal mi na ciebie cisnąć kamieniem! (*rzuca kamieniem*).

Apemantus.

Zwierzę!

Tymon.

Niewolniku!

Apemantus.

Krecie!

Tymon.

Łotrzel! (*Apemantus udaje, że chce odejść*). Brzydzą się tą przewrotną ziemią! A pożądam tylko niezbędnego pokarmu, co rośnie na jej powierzchni. Dlatego Tymonie wykop sobie grób, leż tam, gdzie morska piana zmywać będzie ciągle kamienie. Ułóż twój epitaf: że śmierć moja drwi sobie z życia innych. (*oglądając złoto*). O ty słodki królobójco! drogi metalu niezgody między synem a ojcem! połyskujący kazicielu czystości małżeńskiego łoża! dzielny Marsie, gachu zawsze młody, zawsze świeży i zwodniczy! ty zawsze kochany, którego blask czerwony, stapia świętą śnieżność czystego łona Diany! Ty widoczne bóstwo, spajające ściśle niepodobieństwa, zmuszając je do całości, ty, który mówisz w każdym języku dla każdego celu! o ty kamieniu serc probierczy, pomyśl, że człowiek, twój niewolnik, zrywa pęta. Zażegnaj więc potęgą swoją, między ludźmi śmiertelne niesnaski, iżby przy zwierzętach została się moc nad światem.

Apemantus.

Spełni się twoje życzenie, lecz niech naprzód ja umrę. Teraz powiem, że masz złoto, i wnet cię tłum otoczy.

Tymon.

Tłum?

Apemantus.

Tak.

Tymon.

Odejdź.

Apemantus.

Ukochaj swoją nędzę i żyj.

Tymon.

Żyj długo w ten sposób, i umrzęj tak samo. Skwitowaliśmy się. (*Apemantus odchodzi*). Znów ludzkie twarze? Jedz Tymonie, i nienawidź ich (*wchodzą zbójcy*).

Pierwszy zbójca.

Zkądby on miał pieniądze, chyba jaką resztkę, jakiś szczątek uratowany. Wszak brak pieniędzy i zdrada przyjaciół, prawiły go w melaucholią.

Drugi zbójca.

Według pogłoski, znalazł on wielki skarb.

Trzeci zbójca.

A więc nuże, jeżeli o złoto nie dba, to nam je zaraz odda; lecz jeżeli go czujnie pilnuje, co poczniemy?

Drugi zbójca.

Zapewne! gdyż pewnie skarb schował.

Pierwszy zbójca.

To on!

Inni.

Gdzie?

Drugi zbójca.

Według opisu, to on sam.

Drugi zbójca.

Ja go znam.

Wszyscy.

Dzień dobry Tymonie!

Tymon.

Co, złodzieje?

Zbójcy.

Wojownicy, nie złodzieje!

Tymon.

I jedno i drugie, a nadto synowie kobiety.

Wszyscy.

Wcale nie jesteśmy złodziejami, tylko ludźmi w wielkiej potrzebie.

Tymon.

Waszą największą potrzebą, jest brak pokarmu. Lecz dlaczego wam go brak? W ziemi są korzenie, dąb daje żołądzie, krzaki różowe jagody, natura ta dobra gospodyni, rozpościera na każdym krzaczku wyborną wieczerzę. Czegoż więc chcecie?

Pierwszy zbójca.

Nie możemy żyć ziołami, jagodami i wcdą, jak dzikie zwierzęta, ptak lub ryba.

Tymon.

Nie możecie żyć ze zwierząt samych, ryb i ptaków? ludzi zjadać musicie? Lecz ja wam dziękuję, że będąc otwartymi złodziejami, nie przybiéracie świętych pozorów. Bo nieskończoném jest łupieztwo prawne, każdego stanu w społeczeństwie. Bierzcie łotry to złoto; idźcie, wysyssajcie słodką krew winogron, aż krew wasza rozpalona ogniem gorączki, oszczędzi wam szubienic; nie dowierzajcie lekarzowi, jego antydoty trucizną są; on zabija gorzej jak wy: rabuje złoto razem z życiem; spełniajcie zbrodnie, to wasze powołanie, wasz cech. Lecz wiedźcie, iż wszystko i wszyscy rabują: słońce jest rabusiem, obdziera siłą przyciągania szeroki Ocean; arcy rabusiem jest księżyc, co odkrada blade swe światółko słońcu; rabusiem jest morze, którego płynne fale, stapiają księżyc w słone łyzy. I ziemia jest rabusiem, ciągnącym soki z szlamu, odkradzionego wszelkim odpadom. Wszystko jest rabusiem; prawo, co dla was biczem i jarzmem rabuje także zuchwale i bezkarnie. Precz, nienawidźcie się i rabujcie nawzajem! Oto więcéj jeszcze złota! Podrzynajcie gardła! wszyscy, których spotkacie, to rabusie! Daléj do Aten, wyłamcie sklepy; wszystko co ukradniecie, ukradniecie rabusiom; nie przestańcie kraść dlatego, żem wam to złoto darował; niechaj was bądź co bądź w przepaść wtrąci. Amen!

(Tymon chowa się do grotty).

Trzeci zbójca.

Zachwalając moje rzemiosło, prawie mi go zbrzydził.

Pierwszy zbójca.

To nie z zyczliwości dla naszego zawodu, rad tych nam udzielił, ale przez złość do ludzkiego plemienia.

Drugi zbójca.

Co się mnie tyczy, uwierzę mu jako wrogowi, i porzucę moje rzemiosło.

Pierwszy zbójca.

Dostańmy się tylko bezpiecznie do Aten, przecieź zawsze czas będzie na to, aby zostać uczciwym. *(odchodzi, wchodzi Flawiusz).*

Flawiusz.

O bogowie! czyż ów w haniebnéj nędzy człek, to mój pan? tak schudzony i w łachmanach? O pomniku godny pamięci, źle odwdzięczonych dobrodziejstw! Jakieź przeciwieństwo dostojności i przepychu, zrodził rozpaczliwy niedostatek! Cóż może

być nigodziwszego na świecie, jak haniebni przyjaciele, którzy szlachetny umysł, w taką bezdeń hańby wpędzili? Jakże dobrze do naszych czasów nadaje się przykazanie: iż kochać trzeba swoich nieprzyjaciół! Czyż nie lepiej kochać tego, który mnie nienawidzi, aniżeli tego, który miłość udając, złe knuje!—Dostrzegł mnie, niech widzi moją boleść głęboką, ja zaś, jako memu panu, do śmierci służyć będę. Drogi panie!

(Tymon wychodzi z grotty).

Tymon.

Kto jesteś? Precz!

Flawiusz.

Zapomniałeś mnie panie?

Tymon.

Po co mnie pytasz? zapomniałem ludzkość całą, więc jeśliś człowiekiem, zapomniałem i ciebie.

Flawiusz.

Jestem twoim wiernym, przywiązanym sługą.

Tymon.

To cię nie znam, gdyż wiernego nie było nigdy przy mnie; miałem służącymi oszustów, którzy posługiwali łotrom.

Flawiusz.

Bogowie zaświadczy, iż nigdy większej boleści nie doznał sługa z upadku swego pana, jak ja z mojego.

Tymon.

Cóżto? płaczesz? zbliż się! teraz cię Kocham! bo jesteś kobietą i wyrzekasz się twardych ludzi, których oka nic nie zwilży prócz śmiechu lub rozpusty. Litość śpi; o wieku który płaczesz ze śmiechu nie z rozpaczy!

Flawiusz.

Błagam cię dobry panie, przypomnij mnie sobie. Uznaj mój szczerzy smutek, i dopóki to złoto wystarczy *(pokazuje mu pieniądze)* niechaj rządę u ciebie.

Tymon.

Jakto, miałem sługę tak prawego, tak wiernego a dziś tak niepokieszonego? Prawie się wzruszonym czuję. Pozwól mi spojrzeć w twe oblicze. A przecież człowieka tego, zrodziła kobieta! Przebaczy mi wiecznie mądrzy bogowie, zbyt zuchwale i ogólne przekleństwa. Zeznaję, *jeden* człowiek prawy jest—

stuchajcie dobrze, jeden tylko, nie więcej, a tym jest mój intendent. O jakżebym chętnie nienawidzić chciał całą ludzkość, tyś się wykupił; lecz prócz ciebie, niechaj dosięgnie wszystkich wznoszone me przekleństwo! Zdaje mi się, żeś ty więcej uczciwy niż roztropny, bo gdybyś mnie był zdradził, tém łatwiej znalazłbyś inną służbę; wszak tylu dostaje się do drugiego pana, przechodząc po zwłokach pierwszego. Lecz powiedz mi prawdę, gdyż wątpię będę mimo méj pewności: czy ta czułość twoja nie jest udaną lichwiarsko, jak owego bogacza, który rozdaje prezenta w nadziei, że odbierze dwadzieścia za jeden?

Flawiusz.

Nie, drogi panie! Niewiara i podejrzliwość zamieszkały, niestety zbyt późno w twój piersi; wpośród uczt twoich, bać się mógłś zdrady; lecz podejrzliwość wówczas się zjawia, gdy szczęście minęło. Klnę się na niebiosa, że co czynię, czynię z czystej miłości i z uwielbienia dla twój duszy, szlachetny panie! Będę się starał o twoją żywność; i wierzaj mi, czcigodny panie, najwyższego szczęścia. które mi teraz i w przyszłości uśmiechnąć się może, nie oddałbym za to życzenie: iżbyś był w możności, własném szczęściem i mnie wynagrodzić.

Tymon.

Oto życzenie twe spełnione! Ty! jedyny pocziwcz, bierz! Bogowie w nędzy mojej, posyłają ci ten skarb. Bądź szczęśliwym i bogatym, jednak z tym warunkiem, że wyprowadzisz się zdaleka od ludzi, że wszystkich znienawidzisz i przeklniesz; nikomu nie okażesz litości, że zanimbyś wsparł żebraka, pozwolisz raczej, iżby ciało jego wycieńczone głodem, odpadło od kości. Daj psom to, czego odmówisz ludziom. Niechaj ich więzienia pochłoną, niechaj ich długi przygniotą! Niechaj wyschną jak lasy, nawiedzone mroźnym wichrem, i niechaj w krwi ich fałszywej, gorzej jad gorączki! A teraz bywaj zdrow, i bądź szczęśliwy!

Flawiusz.

Pozwól mi zostać dla pociechy Waszój, drogi panie!

Tymon.

Jeżeli niecierpisz przekleństw, to nie zostawaj, ale uciekaj, pókiś wolny. Nie patrz nigdy na ludzi, i niechaj ja nigdy cię nie widzę! (*odchodzą w różne strony*).

AKT V.

SCENA I.

Przed grotą Tymona.

(Wychodzą poeta i malarz, Tymon w głębi).

Malarz.

Według tego jak mi opisano miejscowość, mieszkanie jego musi być ztąd niedaleko.

Poeta.

Co o nim sądzić? czy się sprawdzi pogłoska, że ma tak wiele złota!

Malarz.

Niezawodnie, mówił Alcybiades, że Frynia i Tymandra od niego dostały; wzbogacił też biednych, wędrownych żołnierzy, a mówią nadto, że swemu intendentowi wielkie podarował summy.

Poeta.

Więc bankructwo, było tylko próbą jego przyjaciół?

Malarz.

Niczém więcéj, ujrzycie go znowu wyniosłym jak drzewo palmowe w Atenach, kwitnące aż do szczytu. Nie będzie téż od rzeczy, gdy mu złożymy nasz hołd, w pozorném jego nieszczęściu. Wyda się to w nas zacnością, i zapewnie napelni nasz wórek, o co nam przecie chodzi, jeżeli prawdziwą pogłoska jest o jego skarbach.

Poeta.

Cóżeście mu teraz przynieśli?

Malarz.

Teraz nic prócz mojej osoby, ale mu wspaniałe malowidło przyrzeknę.

Poeta.

Posłużę mu tém samém, opowiedziawszy szkic przyszłego dzieła, napisanego dlań umyślnie.

Malarz.

Wybornie! Obietnica, to obyczaj wieku, otwiera ona oczy oczekiwaniu,—tém głępsze spełnienie, gdy się zdarzy. Atoli wy-

jąwszy prostych głupich ludzi, dotrzymanie obietnic nie w modzie. Obiecywać to rzecz dworska, i dobrego tonu, — dotrzymywać: zwie się pewnego rodzaju testamentem, świadczącym o niebezpiecznej chorobie rozumu u tego, który dotrzymuje.

Tymon (na stronie).

Znakomity malarzu, ty niepotrafisz drugiego tak odportretować, jak samego siebie.

Malarz.

Namyślam się, coby tu za kompozycyą wymyślić dla niego? Chyba powiem, że to będzie przedstawiać jego samego, satyrę przeciw zbytkowi, odsłonięcie nieograniczonego pochlebstwa, nieodstępującego młodości i bogactwa.

Tymon (na stronie).

Więc jeszcze trzeba, iżbyś odgrywał rolę oszusta we własnym twém dziele? Chcesz własne występki chłostać w innych? Dobrze, ja mam złoto dla ciebie.

Poeta.

Chodźmy, wyszukajmy go, nie zaniedbujmy naszej fortuny przez spóźnienie.

Malarz.

Bardzo słusznie. Na jasnym dniu zbadaj czego ci brak, zanim noc, zagrzebie wszystko w ciemnym swém łonie. Chodźmy.

Tymon (na stronie).

Pójdę naprzeciw was. — O jakimże bogiem jest to złoto, gdy mu służą w gorszej świątyni od chléwu prosięcia. Złoto! ty ekwipujesz okręta, i przerzynasz pianę morza, ty sprawiasz, że niewolnikowi ze czcią, hołd składają. Na kolana przed tobą, ale twoim świętym pachółkom za nagrodę ciernie, które tylko ty splatać umiesz! Czas, ażeby do nich przystąpił.

(*Postępuje naprzód.*)

Poeta.

Pozdrowienie zacny Tymoniel

Malarz.

Niegdyś nasz szlachetny władzco!

Tymon.

Spodziwałemże się dożyć, aby ujrzeć dwóch prawych?

Poeta.

Panie! doświadczywszy niejednokrotnie twój hojności, i dowiedziawszy się o twém schronieniu, i o zdradzie twoich przy-

jaciół, których natury niewdzięczne... o! dusze nikczemne! niebo nie dosyć ma na nich kary!.. Jakto? ciebie?, którego wspaniałość gwiazdom podobna, udzielała im życie i żywność! Wściekłość mnie porywa, i nie mam dość silnych wyrażań, ażeby przyodziać olbrzymiość ich niewdzięczności.

Tymon.

Pozostaw ją naga, a ludzie lepiej się jęj przypatrzą. Wy poczciwi, samém postępowaniem, odsłaniacie tém wyraźniej złość tamtych.

Malarz.

On i ja, pławiliśmy się w orzézwiającym deszczu twych dobrodziejstw.

Tymon.

Tak, wyście poczciwi.

Malarz.

Przychodzimy ofiarować ci nasze usługi.

Tymon.

Wy zacni — ach czémże wam odwdzięczę? Potraficie jeść korzenie i pić wodę?

Obaj.

Co tylko potrafimy, uczynimy na twoje usługi.

Tymon.

Wy zacni, dowiedzieliście się, że mam złoto — prawda? przyznajcie, wszak jesteście uczciwi?

Malarz.

Mówią coś o tém drogi panie, lecz nie dlatego przyszedłem tutaj, ani téż mój przyjaciel.

Tymon.

Wy poczciwcy — ty malujesz obrazy. Zaprawdę. Tyś najlepszy z całych Aten. Malujesz z życia.

Malarz.

Tak drogi panie, tak.

Tymon.

Tak powiedziałem. (do poety). A twoja poezya! czyż wiersh twój nie płynie tak gładko i słodko, że sztuka twa znów staje się natura! — Przy tém wszystkiém jednak, szanowni moi przyjaciele, powiem wam otwarcie — popełniacie jeden bład — prawda nie zbyt on straszny, i nie żądam téż wcale, abyście się poprawili.

Obaj.

Racz go nam powiedzieć.

Tymon.

Za złe mi weźmiecie.

Obaj.

Wdzięcznie przyjmiemy.

Tymon.

Rzeczywiście?

Obaj.

Nie wątp, szlachetny panie.

Tymon.

Każdy z was zawierzył łotrowi, który was bardzo oszukuje.

Obaj.

Być nie może!

Tymon.

Tak—wy patrzycie na to jak on kłamie; jakim jest obłudnikiem; znacie jego sztuczki niezgrabne, a przecież go kochacie i żywicie, i nosicie w sercu; a przecież zaręczam wam, że to łotr skończony.

Malarz.

Nie znam takiego panie.

Poeta.

Ani ja.

Tymon.

Słuchajcie—ja was lubię, ja wam dam złota, tylko wypędźcie tych łotrów z waszego pobliza. Powieście ich, przebijcie, rzućcie ich w kloakę, zniszczcie ich jak się da, i przyjdźcie znów do mnie, a ja wam znów dam pieniądze.

Obaj.

Daj nam ich poznać, szanowny panie.

Tymon.

Oto są. Ty tutaj—i ty tam, ale gdy stoicie razem, dwóch was jest. Niech każdy znów stanie osobno, sam, zawsze mu arcy-łotr towarzyszyć będzie. (*Do malarza*). Jeżeli tam gdzie stoisz, nie chcesz iżby dwóch łotrów stało, nie zbliżaj się do niego. (*Do poety*). A ty, jeśli nie chcesz przebywać tam, gdzie

się drugi łotr znajduje, uciekaj od niego. Precz, tu macie złoto, przyśliście po nie, niewolnicy. Za waszą robotę bierzcie zapłatę, precz! Tyś alchmistą, zrób z tego złoto— precz pódle psy!

(Pędzi ich przed sobą).

SCENA II.

Przed grotą Tymona.

Wychodzi Flawiusz, z dwoma senatorami.

Flawiusz.

Nadarmo chcielibyście się rozmówić z Tymonem, gdyż tak jest zadumany, iż ze wszystkich którzy ludzką twarz mają, on tylko sam, w dobrych jest stosunkach ze samym sobą.

Pierwszy senator.

Prowadź nas do jego groty. Jesteśmy wysłańcami i przyrzekliśmy Ateńczykom, że się z nim rozmówimy.

Drugi senator.

W okolicznościach podobnych, ludzie nie zawsze są tymi samymi. Czas i zgryzoty tak go złamały; lecz czas ofiarując mu laskawszą ręką szczęście przeszłych dni, wskrzesi w nim dawnego męźa. Prowadź nas do niego, a potem niech się dzieje co chce.

Flawiusz.

Oto grotą. Pokój i szczęście chacie téj! Tymonie! Panie! racz porozmawiać z przyjaciółmi. Ateńczycy ślą ci powitanie przez godnych senatorów; o! szlachetny Tymonie, pomów z nimi!

(Tymon wychodzi).

Tymon.

Ty dobroczynne słońce, spal się! *(Do senatorów).* Mówcie i powieście się. Za każde słowo prawdy, niech wam krosta język przetnie; a za każde fałszywe, niech go rak zeżre od korzenia.

Pierwszy.

Godny Tymonie...

Tymon.

Tylko takich godny jak wy, tak jak wy Tymona.

Drugi.

Tymonie, posyła ci pozdrowienie senat ateński.

Tymon.

Dziękuję mu, i chciałbym wywzajemnić mu się postaniem zarazy, gdybym ją mógł na ten cel pochwyć.

Drugi.

O! zapomnij, czegośmy sami z twój żałowali przyczyny. Senatorowie jednogodną miłością, proszą cię byś do Aten powrócił, ofiarując ci wysokie godności, czekające tylko na to, abyś się niemi przyozdobił.

Pierwszy.

I przyznają się, iż za wielką była niewdzięczność ich względem ciebie. Lud nawet, który rzadko odwołuje swe wyroki, uczył potrzebę pomocy Tymona, bez niej uznając własny upadek. Dlatego śle nas, z wyrazem swego żalu i z nagrodą, przewyższającą miarę wyrządzonej obrazy. Tak, lud przyrzeka ci tyle nabieranych sum miłości i złota, że krzywdy się zatrą, a przywiązanie jego wyrzeje się w tobie, wieczystym piętnem.

Tymon.

Jakże mnie czarujecie, jak niespodziewanie wzruszacie, prawie łzę wydobywając z oka. Użycie mi serca błazna, oka kobiety, ażebym się rozbeczał przy waszych pociechach, senatorowie.

Drugi.

Racz więc powrócić między nas. Odbierz napowrót władzę nad Atenami naszymi i twojemi, a dzięki cię wynadgródzą, najzupełniejsza potęgą uwieńczy. Imię twoje w sławie rozkwitnie, a my odpędzimy wkrótce zuchwałę napady Alcybiadesa, który niby dzik wściekły, zakłóca pokój ojczyzny.

Pierwszy.

I wieżycom Aten, mieczem swoim grozi.

Drugi.

Dlatego Tymonie...

Tymon.

Tak, senatorowie, chcę tego. Tak, chcę! Jeżeli Alcybiades zabije moich współ-obywateli, powiedźcie mu od Tymona, że się Tymon tém nie zmartwi; lecz jeżeli wyda piękne Ateny na łup, jeżeli pobożnych starców targać będzie za brody, a nasze święte dziewice, wystawi na hańbę zwierzęco-dzikiego zuchwałego żołnierza, to powiedźcie mu, tak, powiedźcie mu, iż Tymon

rzekł: „przez litość dla naszej młodzieży i starców nie mogę się powstrzymać, iżby ci nie powiedzieć, że wcale o nich nie dbam. Niech jeszcze gorzej postąpi! niech się nie zatrzymuje wrogi nóż jego, dopóki wy gardła macie!” Co się mnie tyczy, wołę najgorszy nóż w nierządym obozie, aniżeli najczcigodniejsze gardelko z Aten. Zostawiam was przeto pod opieką sprawiedliwych bogów, tak jak się zostawia złodziei pod opieką kluczników.

Flawiusz.

Odéjdźcie, to nadarmo.

Tymon.

Właśnie zajęty byłem napisem moim nagrobkowym; ujrzye go jutro —Zaczynam przychodzić do siebie, z téj długiej choroby życia i zdrowia. Odnajduję we wszystkiém nicość. Odéjdźcie i życie dalej; niech Alcybiades będzie wam męczarnią, wujemu, i niech to długo trwa.

Pierwszy senator.

Mówimy nadarmo.

Tymon.

Lecz ja kocham moją ojczyznę, i nie cieszę się z jéj ogólnego rozbicia, jak wiéść o mnie niesie.

Pierwszy senator.

Dobrze powiedziane.

Tymon.

Polećcie mnie, drogim moim współziomkom.

Pierwszy senator.

Oto słowa, godne przejść przez usta.

Drugi senator.

Wchodzą one w uszy nasze, tak jak zwycięzca przez bramę, brzmiającą okrzykami.

Tymon.

Polećcie mnie ziomkom, i powiedźcie, ażeby zmniejszyć ich zgryzoty, obawę wroga, straty i boleści, cierpienia miłosne i inne smutki, które zatapiają kruchy okręt natury, w niepewnej podróży życia,—iż chcę im dobrze uczynić, chcę ich nauczyć, w jaki sposób uprzedzić mają wściekłość Alcybiadesa.

Pierwszy senator.

To mi się podoba, Tymon pewno powróci z nami.

Tymon.

Rośnie drzewo, tu blisko mojej groty, które dla własnego użytku ściąć muszę. Powiedz moim przyjaciółom, wszystkim mieszkańcom Aten, panom i ludowi, najwyższym i najniższym, że gdy który zakończyć chce umartwienia, niech tutaj spieszy, i zanim siekiéra drzewo moje zetnie, niech się na niem powiesi. Proszę was, spełńcie polecenie.

Flawiusz.

Nie przeszkadzajcie mu więcéj, zawsze go takim znajdziecie.

Tymon.

Nie wracajcie tu więcéj, ale oświadcźcie Atenom, że Tymon zbudował tu wieczne swe mieszkanie, na brzegu słonego strumienia, który kiedyś zakryje go burzliwą swą falą i szumiącą pianą; wtedy przychodźcie w nagrobku moim szukać wyroczni. Wy usta, skończcie gorzkie słowa! Poprawę złego, zarazie powierzam! Ludzkiém dziełem, niech tylko groby będą, a śmierć, ich nagrodą! Słońce schowaj twe promienie! Tymon już skończył!
(*Odchodzi.*)

Pierwszy senator.

Nienawiść jego, nieodłączna od całej istoty.

Drugi senator.

Z nim zgasła nasza nadzieja. Powróćmy obmyślc, jaki nam jeszcze ratunek zostaje, w tak wielkiej potrzebie.

Pierwszy senator.

Spieszmy! (*Odchodzą.*)

SCENA III.

W Atenach.

(Dwóch senatorów i posłaniec).

Pierwszy senator.

Czyś dobrze zbadał, czy tak liczne szeregi jego, jak donosisz?

Posłaniec.

To nic jeszcze, gdyż szybkość ruchów jego wskazuje, że się tu wnet zjawi.

Drugi senator.

Zgubieni jesteśmy, jeżeli Tymon nie przybędzie.

Posłaniec.

Spotkałem się w drodze z posłańcem, jednym z dawnych moich przyjaciół, jakkolwiek z innego stronnictwa. Skłonieni dawną zażyłością, rozmawialiśmy jak przyjaciele. Szedł on od Alcybiadesa do groty Tymona, niosąc mu listy bardzo go proszące, iżby szedł wspólnie na wojnę na wasze miasto, gdyż przecież po części dlań, wojna ta zaczęta.

(Senatorowie wracają od Tymona).

Pierwszy senator.

Oto bracia nasi wracają.

Trzeci senator.

Ani słowa o Tymonie, nie spodziewajcie się niczego po nim. Trąby nieprzyjaciela grzmia, pochód roznosi kurz w powietrzu. Dalej, ruszajcie się. Obawiam się, iżbyśmy nie wpadli w sidła nieprzyjaciół. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

Przed grotą Tymona, widoczny kamień grobowy.

Żołnierz.

Według opisu musi być to miejsce. Hej! kto tam? żadnej odpowiedzi? cóż to? ha! Tymon umarł! odpłacił dług naturze! lecz czy kamień ten zwierzę zbudowało?, ani śladu człowieka. Tak! umarł pewnie, a to jego grób! Co na kamieniu wyryte, przeczytać nie mogę, lecz odcisnę znaki te na wosku; wódz zna wszelkie pismo, stary to badacz, chociaż młody wiekiem. Teraz grozi on Atenom, dumnemu miastu, którego upadek najwyższym jego celem. *(Odchodzi).*

SCENA V.

Przed murami Aten.

(Fanfary. Alcybiades na czele wojska).

Alcybiades.

Zatrąbcie w uszy, temu tchórzliwemu i rozpustnemu miastu zbliżanie się moje. *(Trąby. Senatorowie wychodzą na mury). Do-*

tychczas zapełnialiście dowoli wasz czas nadużyciem władzy, biorąc wolę waszą za wskazówkę praw. Ja i inni spaliśmy w cie- niu waszych rządów, wędrując z założonemi rękami i wzdychając boleśnie nadarmo. Lecz nadszedł wreszcie czas, że ciężarem obciążone zwierzę, silném poczuć się może i zawołać: już do- syć! Zemsta wypocznie sobie teraz wygodnie na waszych mię- kich siedzeniach, a niecznośna zuchwałość, utraci oddech z prze- rażenia popłochu.

Pierwszy senator.

O szlachetny młodzieńcze! gdy pierwsza twoja obraza za- myśłem zaledwie była, i zanim ty siłę miałeś, a my powód oba- wy, już posłaliśmy wtedy dla ukojenia twój wściekłości, i na- prawy niewdzięczności naszój, dowody przywiązania obfite.

Drugi senator.

Także zaprosiliśmy w nasze miasto zmienionego dla nas Tymona, błagając go pokornie, obiecując miłośnie. Nie wszyscy zawinili, niechaj więc nie wszystkich, tenże sam cios uderza.

Pierwszy senator.

Oto mury te, wszak nie były zbudowane ręką tych, którzy cię obrazili, ani téż tak wielką jest obraza, iżby świątynie i wie- życe, spaść miały z winy kilku.

Drugi senator.

Ci téż, którzy przyczyną byli, iżeś nas porzucił, już nie żyją; wstyd za wielkość ich błędu, rozdarł im serce. Więc wéjdz, szlachetny wodzu, w miasto nasze z rozwiniętymi sztandary. Je- żeli uczucie twój zemsty łaknie téj potrawy, przed którą natura się wzdryga, to zdziesiątkuj nas losem, i niechaj nieszczęsni, prze- znaczeni losem kości (1), zginą.

Pierwszy senator.

Wszyscy nie zawinili. Czyż to sprawiedliwie, iżby za umarłych, mścić się na żyjących? Grzéchu nie dziedziczy się, jak ziemi i majątku. Dlatego drogi współziomku, wojska twoje wprowadź, lecz gniew zostaw za progiem. Uszanuj kolébkę twoją, Ateny, i tę krew wszystką, którąbyś w uniesieniu przelał wraz z krwią winnych. Zbliź się tak jak owczarz do swój trzo- dy, oddziel chorych, lecz nie zadławiaj wszystkich!

Drugi senator.

To czego żądasz, zdobędziesz uśmiechem raczej anizeli mieczem.

(1) Gra w kostki.

Fiérwszy senator.

Wstąp nogą na te oszańcowane mury, jeżeli wprzód jako przyjacielskiego wystąńca, serce twe łagodne pošlesz.

Drugi senator.

Rzuć twoją rękawicę lub inny zakład wiary, który nas zapewni, żeś pochwycił za oręż dla wymiaru sprawiedliwości, a nie dla powalenia nas; a wojsko twoje zamieszka w mieście naszym, dopóki nie spełnimy najdokładniej twych żądań.

Alcybiades.

Oto moja rękawica! — Roztwórzcie nie strzeżone wrota, zstąpcie z murów. Ci tylko, którzy są Tymona i moimi nieprzyjaciółmi, i których sami pociągniecie do kary, ci tylko zginą. A dla zaspokojenia waszych obaw, poręczam wam słowem, iż ani jeden z mych żołnierzy nie opuści swego stanowiska, i nie zamieszka biegu sprawiedliwości zwyczajnej w waszém mieście, a to pod karą, całej surowości waszych praw publicznych.

Obaj senatorowie.

Zacne słowa!

Alcybiades.

Zéjdźcie i dotrzymajcie przyrzeczeń!

(Senatorowie schodzą, i otwierają bramy. Żołnierz wchodzi).

Żołnierz.

Dzielny mój wodzu, Tymon umarł, pogrzebany nad pustym brzegiem morza; na kamieniu grobowym te znalazłem słowa, które odcisnięte w wosku, niechaj'ci powiedzą, czego ja przeczytać nie umiem.

Alcybiades (czyta).

„Tutaj spoczywa smutne ciało, z którego smutny uleciał duch. Nie pytajcie się o moje nazwisko! Przekleństwo wam wszystkim, nędznicy, którzy żyjecie! Tu leżą ja, Tymon, który, gdy żyłem, nienawidziłem was żyjących. Przechodniu, przeklinaj dowoli, lecz nie zatrzymuj dłużej twoich kroków tutaj!” Dobrze słowa te wyrażają, coś czuł w ostatku. Jeżeliś w ohydzie miał ludzki żal, strumień łez i te krople wody, które skąpo wzruszenie wyciska, toś przecie natchniony, zmusił wielkiego Neptuna, iż teraz odpokutowane winy, wiecznie opłakuje na twoim niskim grobie. — Szlachetny Tymon zmarł; zajmijmy się nim później. — Wprowadźcie mnie w wasze miasto; wraz z mieczem niosę gałązkę oliwną: wojna zrodzi pokój, pokój powstrzyma wojnę! Jeden udzieli rady drugiemu, iżby się wylęczyli wzajemnie! — Uderzcie w surmy! *(Ochodzą).*

K O N I E C.

POEZJA LUDOWA MADIARÓW.

PRZEZ

Hr. Dora d' Istria.

(Dokończenie)

II.

Wplyw miejscowości tak silnie działa na ludy, że w końcu nie tylko zmienia ich obyczaje, lecz przeistacza nawet typy. Gdyby Madiary zamieszkali w Europie zachodniej, nie zachowaliby nic z obyczajami praojców, koczowników Tinno mongolskich (1). Tymczasem kraj w którym osiedli, pozwala im zachować w części dawne przywyknienia. W rzeczy samej, lubo *Magjar-orszag*, (Madiarya) posiada góry sięgające w sfery wieczystych śniegów, jakkolwiek te góry tworzą nieprzebyte szaniec od Północy, od Wschodu i Zachodu, przecież rozległe przestrzenie zalegające środek kraju, szczególnie przypadły do smaku ludowi „stworzonemu do konia”, jak mówi przysłowie. Rozległa płaszczyna niższych Węgier, ciągnąca się na wschód pomiędzy Dunajem a Cissą, obejmuje przestrzeń 1100 myriametów kwadratowych; z tych 700 należy do Węgier. Można więc powiedzieć, że ta płaszczyna jest jedną z najrozleglejszych równin stałego lądu, że przypomina owe niezmierzone okiem, azyatyckie koczowiska ludów turańskich. Podniesiona ledwie o 133 metrów nad poziom morza, a 23 nad poziom Dunaju, tworzy pomiędzy Dunajem a Cissą, bagniska zarosłe wikliną i tatarakiem.

(1) Autorka ma za jedno plemiona fińskie i mongolskie. Jestto nadużycie wyrazów. Wiadomo bowiem powszechnie, że Mongołowie należą do plemienia żółtego, kiedy Tinowie i Turcy, obok turańskiej cywilizacji, są częścią białego plemienia.

Mniej rozległą lubo znacznych także rozmiarów jest płaszczyna wyższych Węgier ciągnąca się po obu stronach Dunaju, pomiędzy Prezburgiem a Komarnem. Otoczona górami, wystawiona na działanie słońca, zabezpieczona od wichrów północnych, ta żyzna i wybornie uprawna dolina, nosi nazwę *Złotego grodu*.

Madiar w ogólności, nie ma takiego upodobania w rolnictwie jak Finczyk (?); przekłada on życie pasterskie. Sama już miejscowość stepowa, rozwinęła w nim instynkt wrodzony. Trudno pojąć ludom zachodnim, o ile stopy działają na wyobraźnię ludzi zrodzonych i wychowanych pod ich wpływem. Tu im tylko poruszać się swobodnie, tu oddychać im pełną piersią. Sposób w jaki poeci arabscy opiewają pustynię, dowodzi wymownie że najwspanialsze grody i najżyźniejsze pola, nie odpowiadają bynajmniej ideałowi ludzi, którzy przechowali instynkt pierwotnego życia pasterskiego. Malownicza góra, tak czarująca w oczach Micheleta, nieznośną jest Petëfiemu. Posłuchajmy co mówi:

Pyszne Karpaty w koronie świerkowej,
Wasze uroki serca mi nie wzruszą,
W strome urwiska, w cieniście parowy
Nigdy marzącą nie zbłąkam się duszą.

Milsza mi stepu przestrzeń niezmierna,
Step mi ojczyzną, nie oddam go za nic;
Jak orzeł z gniazda, serce rwie się z łona
Patrząc w widnokrag bez brzegu, bez granic!

Snadno pojąć zapał jaki wielka pustynia budzi w pisarzach madiarskich. Poeci, historycy i powieściopisarze: Petëfi, Bolde-ny, Mikołaj Jozika, Ludwik Kulhy i inni, mówią o niej z tém samym uwielbieniem, jak i śpiewacy ludu. I cóż dziwnego, że w kraju przypominającym wielkie pustynie wschodnie, instynkt wschodni przetrwał w duchu mieszkańców? Można śmiało powiedzieć, że Wschód, którego granice dotąd nieokreślone, poczyną się razem ze stepami, jak Afryka poczyną się za pasmem Pirenejów, na głuchych wyżynach, wydeptanych stopami pasterzy staréj Kastylii i Leonu. To téż Madiar zagnany do Azji, czuje się jakby w domu własnym; gdy tymczasem podróżnicy zachodni, począwszy od mnicha flamandzkiego Rubruka, do francuza Bourboulon'a, wkroczywszy w świat pasterzy, sądzą się być na innéj planecie. Zachód bowiem, podobien do człowieka z Biblii: „oko jego nie znuży się patrzeniem, ucho jego nie znuży się od słuchania”. Nieskory do rozmyślań, woli raczój żyć w wielkiém a burzliwém rojowisku cywilizacji nowoczesnej. Madiar nie czuje takich potrzeb; umysł jego spokojny i zadumany, znajduje na stepie rozmaitość obrazów, niedostateczną dla umysłów upragnionych ruchu i wrzawy. Kiedy mgły przedświtu ogarniają ustrzępiony złotem widnokrag, błądzi on rozkosznie wzrokiem po niezmierzonéj przestrzeni. Wpa-

truje się pilnie w grę światła i cieni: tu spojrz na przepalony piasek, tam na szerokie pola, i na dalekie wody, i na trawy falujące z wiatrem po stepie. Gdzie wzrok powiedzie, nowy napotka urok.

Tu Delibaba w rąbek mgły spowita
Przepływa górą; tu na bujnej trawie,
Olbrzymie woły pasą się do syta:
Po nad studniami w krąg sterczą źórawie.

A tam, do wiosek przytulone łona,
Kłonią się płowe na zagonach kłosa;
I świeża łąka jak stepu korona,
Na tle szmaragdu szkli się w perły rosy.

Wieczorem ogniska rozrzucone wkoło okopów, za którymi noclegują trzody, nadają stepom dziwnie fantastyczną postać. Widok samotnego bociana, lub jeźdźca przemokniętego lotem błyskawicy, dźwięk wieczornego dzwonu, albo trąbki pastuszej, drząc rozbudza wrażenia w duszy człowieka, który przywykł żyć na łonie przyrody, i czerpać w niej niezmacony spokój. Jeśli myśl jego, nie porwana jeszcze gorączkową wrzawą wielkich miast, znajduje tu obfite źródło pociechy, w legendzie narodowej, przechowanej w pieśniach i opowieściach, które w końcu dnia starszy juhas powtarza młodemu druhom przy ognisku. Imię Etela miliej brzmi dla nich niż imię bohatera Jeny, dla wieśniaka francuzkiego; zwycięzca bowiem Cezarów nie był nigdy zmuszony oddać wrogom swych ogromnych zdobyczy. Tak mówi tradycja. Eteł przeistoczony wyobraźnią ludową, jak Romulus patrycyatu rzymskiego, jak „boski Trajan” Rumunów, jest tylko bohaterem, ojcem, dobroczyńcą ojczyzny. Na tej ziemi nadanej przezeń synom, a odbitej znów przez Almosów i Arpadów, godnych następców *bicza bożego na nieczemniki*, Madiar wie że żyje życiem naddziadów swoich; ale żywot to oczyszczony wpływem chrześcijaństwa, uszlachetniony posiadaniem wolnych instytucyj. Pamięć tyłu bohaterów, w obec których zachwiał się w posiadach stary Rzym, zadrżał znikczemnioty Carogród, którzy ponieśli do Azji sztandar ze znakiem krzyża, a piersią jak szanćcem stonili przez wieki Europę, i zapisywali imię swoje krwią Osmanlisów, na wielkiej księdze chwały; którzy bronili zacięcie praw swoich przeciwko Habsburskim Cezarom, pamięć ta żyje w pełni, dzięki poezyi ludowej, a żyje tak pod najuboższą strzechą, jak w pałacu magnatów. Nie darmo rzekł poeta:

Wszak praojce świat zdobyli,
Wielkie duchy niech nas strzegą;
Niech nas sądzą od Atylli
Aż po wieki Rakoczego.

Instynkt społeczński, tak silny nawe w ludziach przywykłych do samotnego życia, znajduje zaspokojenie w *Czardzie* ste-

powój. Czarda (gospoda) odgrywa nie małą rolę w ludowej poezji Madiarów. Pieśń jedna, wiernie maluje urok jój na umysł pasterzy, skazanych na samotność:

Gdy czarę Becsali
Dosięgnę oczyma,
Żar serce mi pali:
Nic mnie nie powstrzyma.

Poeta opowiada co go ciągnie tak silnie w progi czardy. Tam chodzą piękne dziewczęta, tam płasają radośnie przy dźwięku hucznej gędźby. Tam znajdziesz węgierskie wino i śliczną szynkareczkę. A zachwała ci trunek, bo też wyborny, zwłaszcza gdy go postawisz przy niemieckim piwie.

Piwa z winem, jako żywo,
Nie pomieszasz; zła to para,
Niechże Niemiec pije piwo,
Wino będzie dla Madiara.

„Pogarda dla wody, mówi pieśń, nie jestże dowodem wyższości naszego rodu? Kiedy Przedwieczny postawił człowieka nad wszystkie istoty ziemi, przygotował mu napój zgodniejszy z wysokiem jego stanowiskiem. Na początku Bóg stworzył wino, i nadał je ludzkiemu plemieniu, aby człowiek w niem zasmakował, i żył innem życiem niż zwierzęta”.

Trzeba też przyznać na usprawiedliwienie pieśni, że woda stepowa, przepełniona sodą i saletrą, równie jest niesmaczna jak i szkodliwa zdrowiu.

Taniec należy do najulubieńszych rozrywek narodu madiarskiego. Wszyscy od magnatów do skromnych pasterzy, przechwalają się i słusznie, z wielką zręcznością w tém ćwiczeniu. Lud widzi w niem równie jak w winie, skuteczny środek przeciw melancholii.

Gdy skrzypki zagrają od ucha,
Wnet rośnie dla serca otucha!

Grajkami są tu zwykle cygany; Madiar uważa ich za najlepszych gędźbiarzy w świecie. Stary historyk madiarski Pray, zamiast odwoływać się do nowych hipotez o pochodzeniu cyganów, słusznie mówi że przybyli z Azji, w czasach kiedy Tamerlan zburzył rozległe jój obszary. Być może iż to są potomkowie nieczystych kast indyjskich, zbiegli przed jarzmem Mongołów. Bądź co bądź, łatwo cyganie przyswoili się w Węgrzech. Żadna uroczystość ludowa nie obejdzie się bez nich. W ciągu tygodnia cygan siedzi w obozie swoim, w bliskości puszy na skraju lasu, lub nad wodą; odzież jego ocdzienna godna zaprawdę Paryasów. W niedzielę za to prystrajają się po madiarsku, w futra i świecidła,

i zasiada na beczce obróconej dnem w górę, z godnością indyjskiego nababa. Skrzypki, flet, basetla i cymbałki, składają całą orkiestrę. Cygan czuje tém bardziej swoją wartość, bo wie że nikt lepiej od niego nie odda nuty narodowej, zwanęj czardaszem, od miejsca gdzie bywa zazwyczaj grywaną, od czardy albo gospody. Ktokolwiek znał Liszta, sławnego artystę madiarskiego, wie jaką wagę przywigiżywał do czardasza. Wypowiedział on zresztą własne zdanie w dziele nad tym przedmiotem (Cyganie i muzyka w Węgrzech. Paryż 1859). Madiary sądzą słusznie lub nie, że ta nuta sięga początków narodu, co podnosi jeszcze ich zapal.

Nuta czardasza jest w harmonii z tańcem. Zaczyna się zwolna, na rytm poważny i bojowy. Tancerz i tancerka poszczękują w żelazne podkówki; poczem tancerz porywa wpół tancerkę i wywija z nią młynca coraz zwawiej a zwawiej. To ją unosi w górę, to puści, to złapie znowu, okrążając w poskokach izbę w najrozmaitsze koła i gzygzaki; to wykrzyknie ochoczo, to prawą ręką uderzy się pokarku, to bije w obcasy dzwoniąc wielkimi ostrogami. Wśród tych zwawych obrotów, twarz i postać cała Madiara zachowuje zwykłą sztywność wojskową. Tancerka idzie w ślad za tancerzem, obracając się z lekka. To też pieśń porównywa ją do łódki unoszonej prądem bystrzej rzeki, lub róży porwanej wichrem.

Łatwo pojąc jak wiele wagi przywigiżują dziewczęta do stroju, gdy im przyjdzie wystąpić na zabawę: wiedzą bowiem młode Madiarki, o ile sztuka podnosi wrodzony urok. Latem zrzucają kaptan, a poprzestają na gorseciku i białej koszulce, z krótkimi rękawami bogato wyszywanemi, z pod których wyglądają okrągłe jak wałki ręce. Chusteczka barwy jaskrawej, związana w tyle, przysłania im piersi. Na ciemnej spódniczce noszą czarny sztywny fartuszek. Ubiór głowy zmieniają według wieku i stanu. Buciki, opiewane nieraz w pieśni, stanowią najważniejszy szczegół ich ubrania. Zagadniona Madiarka odpowiada dumnie:

Jam córka wójtowa, mam żółte buciki.

Inna wierna swemu Andraszowi choć ubogi, odrzuca dary półkownika, nawet pierścień złocisty i buciki czerwone.

Szynkareczka w czardzie bywa zwykle przedmiotem hołdów; pieśń często ją wspomina. Jedna piosenka mówi: że zabija wzrokiem, ale kłamię brewką. Inna odzywa się w ten sposób:

Hej! gospośiu czarnobrewa,
Daj tu wina, wina wiele,
Coś mi w duszy słodko śpiewa,
Ze mnie kochasz mój aniele.

Żałośnie ludowy poeta patrzy na gruzy staręj czardy:

Zwaliska czardy sterczą pod lasem,
Głucha tu cisza dokoła,

Jam tu po drodze wstępował czasem;
Kędyż dziewczeczka wesoła?

Pomnę, ach pomnę, jam szalał dla niej,
Rad-że witałem te progi,
Ilekróć do dom jadąc z Orani
Ujrzałem czarzę wśród drogi.

Żwawe dziewczątko, istne wrzeciono,
Zwija się z dzbankiem po sali,
A ja całuję szyjkę toczoną,
Całuję usta z koralami.

Smagła cera ludu cisnącego się w progi czardy, równie jak jego mowa, przypomina dotąd pierwotne plemię; ale rysy twarzy dość kształtne obok właściwego im wyrazu, świadczą o wpływie miejscowości i o pomięszaniu krwi. Oko błyszczące, wąs bujny, zwykle podkręcony, włos długi, czarny jak krucze skrzydło, wszystko to nadaje Madiarom postać wojskową. Niekiedy zaplatają włosy, dawniej nawet zdobili warkocze przepaską. Zwyczaj turecki podgalania głowy, znikł całkiem za austryackich rządów. Szczególne mają upodobanie w odzieży płóciennój, jak starożytni Hunnowie w V wieku. Mieszkaniec Pesztu nosi szerokie szarawary z płótna, wystrzępione u dołu, spadające na wysoki but do połowy, podobne do fustanelli Albańczyków. Krótki kaftan barani zabezpiecza ich od mrozu podczas zimy dokuczliwej na otwartych stepach. Szeroki pas skórzany, przystrojony w świecące kółka i kieszenie, obciśnięty na biodrach, uwydatnia pierś ich wypukłą. Noszą także odzież zwaną *szür*, tkaną z białej wełny, wyszywaną w kwiaty czerwonym sukniem. Wśród tych kwiatów, narodowy tulipan na sztywnój łodydze, główną odgrywa rolę. Pieśń téż zowie ten strój „kwiecistym szürem”. Zimą zastępuje go inna odzież zwana *bundą*. Jestto po prostu biały kozuch barani, bogato naszywany we wzory, kawałkami skóry różnobarwnój.

Heje! heje! he ha!
Alboż to nie piękna
Moja nowa bunda!
Nie oddam jój za sto wołów,
Nie oddam jój za nic!

Bunda dla wieśniaka madiarskiego jest przedmiotem niezbędnym, najgłówniejszą odzieżą. Kto nie ma bundy, na którejby, jak mówi pieśń, dziewczyna położyła zbolałą główkę, ten przepadł; wszystkie dziewczęta odtrącają go z pogardą. Najszpetniejsza nawet nie weźmie go za męża. Kołpak madiarski znany powszechnie; kto go nie widział na głowie huzarów? Podczas uroczystości godowych, chłopcy zdołają go w sztuczne kwiaty i wstęgi. Wspominany on w niejednej pieśni:

Mój kołpaczek strojny wkolo,
Piór i wstążek na nim siła,
Dziś mi smutno zwiśł na czoło,
Bo mnie Rózia opuściła.

Inna piosenka wyraża się jeszcze smutniej:

Na moim kołpaczku gałązka zielona,
Ale w mojem sercu radość pogrzebiona.

Jeżeli Madiar nie obroni się od miłości, snadniej za to obroni się od wroga. Bronią jego narodową jest mały toporek *czekan*. Obsadzony na mniej więcej długiej rękojęści, służy on przeciw dzi-kim zwierzętom, których nie brak w tych stronach. Pasterz przysłoniwszy pierś ciężką bundą, może stanąć do zapasu, z uzbrojonym w pikę ułanem, dzięki niesłychanej zręczności z jaką wyrzuca swój toporek. Broń ta nieodstępnie mu towarzyszy.

Bydło rogate, nie zbyt rośnie lecz wyborowej rasy, szczególnie nad Cissą, zostaje pod opieką pasterzy zwanych *gulyasami*. Zawód gulyasa nie zbyt kłopotliwy na tych ogromnych stepach; tu bowiem hodowla bydła jest jeszcze tém, czém była za czasów Attyli. Obora całkiem tu nieznaną: bydło i pasterze jednakięj używają swobody. Lubo wół trudniejszy w wyborze trawy od konia, musi jednak w letnią posuchę poprzestać na chudém pastwisku.

Gulyasy tak samo jak czykośy (pasterze koni) zahartowani na wszelkie zmiany powietrza: niczém dla nich zimna rosa poranna; niczém gorący wiatr stepowy; niczém burze od Karpat spadające straszną ulewą. Schronieniem ich całém maleńki szałas, upleciony z trzciny błotnej; tam kryją się nocą podczas mrozu:

Kiedy zima biała
Od Polski przypruszy,
Przejmie cię wskroś ciała
Aż do głębi duszy!

Lubią gulyasy nadzwyczaj wołowinę. Aby zachować mięso, nie suszą go na słońcu ani wędzą, lecz krają na drobne kawałki i przyprawiają cebulą i papryką (pieprzem tureckim). Wyborne to lekarstwo przeciw chorobie zwanęj *Czösmor* (brak apetytu), którą teolog jeden niemiecki w średnich wiekach, przypisywał działaniu djabła. Ta narodowa potrawa zwana *Gulyas-hus*, ulubiona Madiarom, ukazuje się nieraz i na stołach magnatów, lecz nie przywykłym do niej spali język i podniebienie.

Zimą gulyasy zbliżają się do lasu, do wsi, lub przynajmniej do jakiegóś czardy; bydło trzymają w otwartym zakopie, wystawionym na mrozy i zawieruchy. Wielka téż część nie przetrwa zimowiska. Twarde warunki życia, tak dla ludzi jak i dla bydła,

sprawiają że człowiek połączony tu ściśle ze zwierzem, jak błędny Arab z koniem na pustyni. Gromada cała zna swego gulyasa, jakby przeczuwała w nim obronę, który toporkiem umie odstraszyć wilka od zakopu. Ale niech się ukaze obcy człowiek: woły uzbrojone strasznymi rogami długimi na stóp trzy albo cztery, rzucają się nań hurmem, i przebodą nieraz zuchwałego przybysza. Podróżnik francuzki Beudart, który zwiedzał Węgry w 1818 roku, uważa iż gulyas równie jest dzikim i srogim, jak zwierzęta wśród których trawi życie. Dodaje, że odzież jego prostacza, włos rozczochrany, a do tego toporek w rękę: wszystko to nadaje mu postać straszną i odrażającą. Inny — za to badacz współczesny Erazm Schwab, pomija słusznie te pozory, i przyznaje, że gulyas równie jak inni pasterze z puszczy, ma wiele zdrowego rozsądku, który wychowanie rozwinąć może z czasem; że ma serce prawdziwie madiarskie: gościnne, otwarte, energiczne; że daje dowody nadzwyczajnej odwagi w pełnieniu obowiązków; że w każdej okoliczności okazuje prawdziwie mężski spokój. Pieśń gulyasów wyraża z wielką prawdą te uczucia.

Nie żałuję wcale méj doli wieśniaczéj,
Czyżbym gulyasem mógł zostać inaczej?
Dać budę za pałac, psu taka zamiana,
I w podagrycznego przemienić się pana!

Tu mojm królestwem pastewnik bogaty,
A prawem rządzącém ten kosztur sękaty;
A w mojm królestwie mam poddanych wielu:
Nie jest-że mocarzem gulyas z Rewbelu?

Dziesięciu bojtarów (1) jestem-ci ja panem,
Zowią mnie swym wodzem i swoim hetmanem;
Gdy świsnę biczyskiem, gromada wnet zmilka,
A sześciu psów nocą strzeże ją od wilka.

Serce w piersi mojej bez trwogi uderza,
Nie boję się zbójcy, ni dzikiego zwierza,
Prawda żem ubogi, alem z sobą w zgodzie,
Służę za pasterza aby żyć w swobodzie.

Gdy chłopek zaciężny grabi kopki siana,
Nie chciałbym ja — mówię — pracować dla pana,
Miej sobie kęs chleba i półroczną płacę:
Ja wszystko mam w rękę, więc na tém nie tracę.

Gdy żyję pod niebem, siła we mnie wzrasta,
Jam tu swobodniejszy niż mieszkaniec miasta;
Nie potracam drugich gdy spieszę do celu:
Nie jestże szczęśliwym gulyas z Rewbelu!

(1) Bojtár, pastuch niższego rzędu.

Sukiennego płaszcza nie noszę na grzbiecie;
Gdy grozi ulewa, tną śnieżne zamiecie,
Odwracam ja bundę kożuchem do góry
I czekam spokojny aż przebiegną chmury.

Nie mam stołu, krzesel—powiecie mi może,
A jakiż pan tyle ma ich w swoim dworze;
Wkoło te pagórki, toć moje nie czyje,
Kędy chce zasiadam, jem sobie i piję.

Gdy sobie tarysznę (1) na plecy zawieszę,
Z mą kuchnią na barkach, rad przez stopy spieszę;
Mam w niej łyżkę, nożyk, kociótek, kęs chleba,
Wiaderko do wody, i czegoż mi trzeba.

Choć dnie moje płyną jednako, powoli,
Przecież wielkim panom, nie zajrzę ich doli;
Pokłonię się temu, kto mi nie da wiary,
Héjże na murawę, chwyćmy się za bary!

W Babolnie, w Moshedzie, niechaj pastérz drugi,
Hojniejszą ma płacę za wierne postugi,
Nasz Erdosz Janosik, pan jakich nie wielu:
Bodaj to być, bodaj, pastérzem z Rewbelu.

Mamci ja lotnego jak wicher konika,
Zaledwie że ziemi kopytem dotyka;
Jak ja szczéry Madiar, w obu krew gorąca:
Na nim ja rączego prześcignę zająca.

Mam ja narzeczoną, córeczkę gazdzinęj,
Hej za góry złota, nie oddam dziewczyny;
Gdy ja méj gromady strzegę w nocną ciszę,
Dziewcze mnie słościuchno w serduszkku kołysz.

Za paniczem z Pesztu oczyma nie goni,
Choć przed nią białemi talarkami dzwoni;
Ja téż ścigam dziewczę myślą utęsknioną,
Przystałóż być Frani Gulyasa żoną.

Pastérz owiec Juhas ma umysł nierównie spokojniejszy.
Hodowla owiec stanowi w Węgrzech bardzo ważną gałąź go-
spodarstwa. Widzimy tam trzody złożone z piętnastu lub dwudzie-
stu tysięcy owiec. Ludzie przeznaczeni do ich pilnowania, zacho-
wali charakterystyczne cechy pierwotnych obyczajów pasterskich.

(1) Taryszna torba płócienna, a rączej worek.

Nie zapisują oni na skałach jak Chaldejscy ich poprzednicy, „archiwów niebieskich”, według wyrażenia poety, ale zajmują się praktyczną astronomią i meteorologią. Snadniej im przychodzi żyć w rozmyślaniu aniżeli innym pasterzom, gdyż zatrudnienie ich nierównie spokojniejsze. Łagodne owce nie podobne do burzliwych źrebców, ani do rozhukanych buhajów stepowych. Juhasy postępują z cicha za trzodą owiec, opatrzonych w dzwoneczki; wyuczone przez nich osły, służąc za przewodników, pomagają im dzielnie w utrzymaniu porządku; na pogwizd pasterza otaczają trzodę w około, i wiodą ją w miejsce wskazane. Wielkie psy idą za pasterzem, chroniąc owiec od wilka i złodzieja. Przy tak czujnej straży, pasterz może spokojnie używać czasu, zwłaszcza że ranna rosa bardzo szkodliwa trzodzie. Nie wyrabiają tu wiele sérów, lecz owce hodują wyłącznie dla wełny. Pasterz madiarski, skazany na bezczynność, przypomina też bardzo owego pasterza z Eneidy, którego bogowie olimpijscy dali zakosztować błogiego spokoju. Spędza on długie godziny z lulką w ustach, wsparty na długim kij, zagiętym w górze naksztalt biskupiego pastorału. Tym kijem zagania owce, gdy chce wieczorem udoić trochę mleka.

U nóg jego leży pies z długą białą siercią, z okiem czarnym i niespokojnym: to pozięwa, to drzymie naprzemiany. Lulka nieodstępna towarzysza Juhasa, daje mu postać dziwnie zadumaną. Wrażenia zewnętrzne, jak zwykle u ludów pierwotnych, głównym są przedmiotem tej zadumy. Tysiączne drobne objawy, które uchodzą uwagi człowieka, snującego wątek własnej myśli, działają na uwagę pasterza. Tu orzeł kołysze się na tle błękitnej fali, tam siwe żurawie przeciągają z bagna na bagno; tam znów samotna czapla stoi nad wodą oczekując na drobną rybkę; tu kruki i wrony pokrakują w powietrzu; bliżej jeszcze chmury skrzydlatych owadów, wśród których brakuje tylko pszczoły i szarańczy, brzęczą na różne tony. Mógłżeby Juhas, w obec takiego hymnu przyrody, pozostać sam niemy i obojętnym? On też jeden z pomiędzy pasterzy madiarskich może iść w zawody z Cyganem, dmie bowiem wybornie w ligawkę i fletnię pastuszą. Uczucie poetyczne wysoko u niego rozwinięte podnosi jeszcze tę zdolność. Juhas też lubi namiętnie pieśni ludowe, te zwłaszcza, które odnoszą się do ich życia; skłania piśnię ucho na opowieści mniej więcej historyczne, o sławnych bohaterach ukochanych przez naród.

Życie tak jednostajne nie nuży bynajmniej pasterza.

Jeśli kto swobodny, to pastuszek młody,
Gdy po bujnym stepie wiedzie swoje trzody;
To przyspieszy kroku—i piosenkę utnie,
To chwilkę przystanie—i poduma smutnie!

Z kijem pastuszym w rękę, w długiej bundzie, która służy mu w potrzebie za łożę i za namiot, zimą zabezpiecza go od mrozu,

latem zaś odwrócona futrem na zewnątrz, chroni go od palących słońca promieni, juhas zwłaszcza gdy nosi włosy zaplecione oby-
czajem ojców, jest wiernym obrazem starożytnych pastérzy wscho-
dnic. Słusznie też pieśń wystawiając jego szczęśliwą dolę, mówi:
że „*swobodny jak król*” postępuje zwolna za trzodą.

Zawód czykosów pastérzy koni, narażony na tysiące niebez-
pieczeństw, rozwija w nich burzliwy charakter. W Węgrzech ko-
nie żyją dotąd w stanie pół dzikim; więcéj tu przecieé zajmują się
niémi, aniżeli hodowlą wołów. Oprócz stad wojskowych, są także
liczne stada należące do prywatnych właścicieli. Rasa miejscowa
nie odznacza się wzrostem, ani pięknoscią kształtów; lecz za to,
pełna ognia, i niezmordowana w biegu. Potrzeba czykosowi wiel-
kieé odwagi aby ująć i dosięść dzikiego konia. Zręczność jego, tak
wielka w tym względzie, że skoro dotknął konia ręką, już zapano-
wał nad nim: przystępując do zwierza niby to obojętnie, jednym
skokiem rzuca się na grzbiet zdziwionego i wściekłego bieguna; nie
zarzuca nawet uzdy, pozwala mu pędzić na oślep,... pusztą szeroka
nie stawia mu zapory... leci jak strzała, aż zmordowany, wycień-
czony z sił, uchyla głowę, i w dzielnym jeźdcu uznaje godnego sie-
bie pana.

Czykos nie zna trwogi, gardzi niebezpieczeństwem. Chwyta-
jąc najdzikszego bieguna, nie wypuszcza z ust lukki. Rysy jego,
cała postawa, świadczą wymownie, że umieé zawsze być panem wła-
snych wrażeń, że posiada wolę niezlomną. Hydra siedmiogłowa,
nie zwali go na ziemię — mówi Petöfi. Tacy to ludzie, lepiej niż
warowne mury, strzegą narodowości madiarskiej. W razie najazdu
chmara tych rycerzy wystąpiłaby z pod ziemi, aby zasłonić kraj
własną piersią.

Żołnierze z ducha, mają oni także wady i narowy żołnierzy.
Wyrzucano nieraz generałom z krajów zachodnich, upodobanie
w piórach, haftach, złożonych blaszkach i wstążeczkach. Czykos
przywiązuje także wielką wagę do stroju. Lubo odzież jego nie
różni się w gruncie od odzieży Gulyasa, umieé on przecieé nadać jéj
pozór wytworniejszy. Koszula jego z szerokiemi rękawami, sta-
rannie obdzierzgana; kapelusz przybrany w wstęgi i sztuczne kwia-
ty, dołman sztur bramowany wzorzysto, naszyty metalowemi gu-
ziczkami, szarawary długie, szerokie; buty z obszerną cholewą, za
którą chowa lukkę i woreczek z pieniędzmi, przystrojone wielkiemi
ostrogami. Siedząc nawet na koniu nie wypuszcza z ręki czekana.
Długi bicz jego, poprzewiązywany w węzły, obsadzony na krótkim
trzonie, nabijanym suto w gwoździki, z metalową kulką w samym
końcu, zasługuje na szczególną uwagę. Czykos używa go zręcznie
zamiast arkanu do chwytania koni, a zamiast procy w walkach
z nieprzyjacielem.

Wiadomo jak żołnierze napoleońscy gardzili mieszcuchami;
Czykos naśladuje ich wiernie. Ponieważ większą część roku trawi

zdala od siedzib ludzkich, a tam rodzaj życia jaki prowadzi, wyrabia w nim siłę niepospolitą, lekceważy też ludzi których spotyka w czardzie albo na targu. Każdy z nich zda się powtarzać piosenkę Petöfięgo:

Jam zrodzon na stepie—bez dachu, bez chaty,
I rola dojrzałym nie dzwoni mi kłosem,
Mam pieska, konika, nie jestem bogaty?
Na puszczy madiarskiej jam sobie Czykosem!

Na moim koniku wiatr gonię po świecie,
Na los mój z królewskim nie zmienię się losem;
Gdy oklep wronemu dosiadam na grzbiecie,
Na puszczy madiarskiej jam sobie Czykosem!

Koszulkę i gunię we wzory mi szyła
Dziewczyzna—rózyczka, z wijącym się włosom;
Dzisiaj jutro różyczka zaślubi mnie miła,
Na puszczy madiarskiej jam sobie Czykosem!

Kiedy siedzi na koniu, trudno pojąć jak pogardliwie patrzy na piesze tłumy. Gdy czeka na kochankę a doczekać się nie może, wpada w gniew zapamiętały. W uniesieniu prosi Boga, aby w nią ugodził gromem jeżeli złamała przysięgę, a potem dodaje:

Pojadę ja do Fejerwar—gdzie stoją żołnierze,
Tam się rychło gracki Czykos—w huzara przebierze,
A gdy będę miał konika—i szabelkę moję,
Bądź mi zdrowa piękna Basiu—o ciebie nie stoję.

Do innych wad właściwych wojskowym, Czykos łączy wielkie nieposzanowanie cudzej własności. Ztąd wpada nieraz w kłopot, jak ów kochanek, o którym mówi piosenka, że chciałby pojechać do swjej milěj, ale konik jego „uwięziony”, wójt zajął go, bo mu smakowało cudze pastwisko.—Inny znów, według Petöfięgo „lubi położyć rękę na cudzej klaczy, i rad podąży na targ, gdzie skradnie zrebca, lekkiego jak ziarnko piasku, niesione wiatrem; i powiē wbrew właścicielowi, że ma i bez tego dość koni w swojem stadzie.” W tym duchu utworzona ludowa piosenka:

Dajże wina szynkareczko,
Że zapłacę miēże wiarę,
Ztąd do czatry niedaleczko,
Tam koników skradnę parę,
I odprzedam byle komu.
Wszak talarki mnie nie miną,
Bóg da wrócę zdrów do domu,
I zapłacę twoje wino.

Inny znów Czykos, skradłszy konia na jarmarku w Debreczy-
nie, i odprzedawszy go zaraz pospiesza do Rózi; składa pieniądze
w jej ręce dla bezpieczeństwa, i porównywa się do ptaka, co ani
sieje, ani orze, a przecież używa życia z całą swobodą. Nie długa
to jednak swoboda, jak świadczy koniec pieśni. Biédnego chłopca
wywleczone przededniem z chaty, okuto mu obie ręce. Dziewczyna
patrzac na to, zaléwa się gorzkimi łzami, a serce jej pęka od bólu.

W innéj znów pieśni, *Szegeny-legeny* (oprzyśnek) skazany na
śmierć, przeklina godzinę, w której skradł pierwszego konika i roz-
począł przeciwko społeczeństwu zaciętą walkę, co go w końcu po-
wiodła na szubienicę. Ogólnie mówiąc, pogarda praw własności,
upowszechniona dotąd na Wschodzie, mocno się wkorzeniła w oby-
czaje ludów fińsko-mongolskiego plemienia. Pisarz francuzki hra-
bia la Tour, autor romansu w którym występują Madiary, mówi że
niedawno minęły czasy w Węgrzech, kiedy słabi, zmuszeni byli
zrzekać się należącego im dziedzictwa.

Powieściopisarz jeden angielski, silniej jeszcze nastaje na
bezwładność prawa u Madiarów. Raport hr. Gedeona Raday, mia-
nowanego w roku 1868 „nadzwyczajnym komisarzem królewskim,”
ów raport tyżący się band rozbójników, ogłoszony świeżo w *Pres-
sie* Wiedeńskiej, wymowne stawia cyfry. Hrabia w ciągu urzędowa-
nia swego, kazał uwięzić 445 kryminalistów; popelnionych zbrodni
dowiedziano 554; z pomiędzy winnych 234, skazanych było na
śmierć.

Jakkolwiek od początku tego wieku, wyższe warstwy społecz-
ne w Węgrzech, zdobyły właściwe pojęcia o prawach, pojęcia te
przecież tém trudniej przechodzą w massy ludu, że sama miejsco-
wość nie pozwala rozgraniczać ziemi, płotami, murami ani kopca-
mi, jak to widzimy w zachodniej Europie. Wśród ogromnej puszc-
zy madiarskiej, tak samo jak na koczowiskach mongolskich, po-
szanowanie własności, zabezpieczając postęp aryjskich plemion,
słabsze daleko, niż się domyślają ludzie Zachodu.

Czykos nie patrzy w przyszłość tak daleko. Myśl jego zajęta
niedzielnym tańcem w czardzie, po ciężkiej tygodniowej pracy.
Poezya ludowa przedstawia dziarskiego Czykosa w świetle ideal-
ném, na koniku, albo przy czarce wina. Śmiały do zuchwałości,
lotny jak wichur, niezmordowany w boju, w ostatniej zwłaszcza woj-
nie, dał on dowody niesłychanej energii i wytrwałości. Tak wro-
dzone wady jak i zalety, usposabiają go na wybornego żołnierza
do narodowej kawaleryi madiarskiej.

III.

Lasy, lubo mniej rozległe od stepów, zajmują przecież nie
małą przestrzeń Węgier. Kasztanowe bory ciągną się na zachód,
śliwkowe od południa. Owoce leśne, równie jak i owoce sadów

uważane tu za wyborny przysmak; świadczą pieśni, w których poeta porównywa dziewczynę: to do rumianego jabłuszka, to do jagódki winnej.

Ze śliwek wyrabiają Węgrzy mocny trunek zwany śliwowicą. W lasach dębowych *kanasze* wypasają wieprze żołędzią. Nie jesteśmy tu pod uroczym niebem Grecyi, ani w czasach owych poetycznych pastuchów, o których wspomina Odyseja. Sposób życia kanaszów, stawia ich w niższym rzędzie od innych pastérzy madiarskich. Jeżeli człowiek ma siłę oddziaływania na zwierzęta domowe, niemniej téż i wpływ zwierząt z którymi przestaje. wyciska na nim swoje piętno. Nie zapominajmy przy tém, że wieprze napót dzikie w tym kraju, znacznie się różnią od zwykłej trzody chlewniej. Tu pastuchy, aby ich zaprowadzić do bronienia się wilkom, rzucają im od czasu do czasu „na łup jakiego psa zabłąkanego, a tém samém budzą w nich krwiożercze instynkta. Rzadko téż wilki narażają się na ich wściekłość. W jesieni sam kanasz nie zupełnie dowierza swojej trzodzie; tém ona groźniejsza, iż solidarnie złączona z sobą: niech tylko jeden wieprz pocznie kwiczcée, inne zbiegają się hurmem, powalając wszystko co napotkają w drodze.

Pastuch czuwający nad trzodą prowadzi jak ona życie koczownicze i grubiańskie. Latem wiezie ją na wzgórze, jesienią w doliny pełne bagnisk. Oderwany od społeczeństwa ludzkiego, okazuje charakter dziki i nieuległy. „Nie trudno tu poznać kancelerza z postawy—mówi pieśń—ma on długą i grubą pałkę; niech nią wymierzy w dopatrzonemu dzika, a powali go w miejscu.” Taka zręczność obok dzikiego charakteru, staje się wielce niebezpieczną, zwłaszcza że kanasz równie biegle umie władać toporkiem. Wyrzuca go w górę jak dziurę, a rzut jego tak pewny, że o pięćdziesiąt kroków nie chybi nigdy celu. Jednym pociskiem, ugodzi skazanego na zabicie wieprza, w głowę przy samym uchu; inaczej nie zdolałby go ująć z pośród dzikiej gromady.

Wyobraźnia kanasza zajęta silnie przygodami sławnych opryszków; ztąd to budzi się w nim pociąg do życia zbójckiego. Przez długie czasy las Bakony był świadkiem ich krwawych sprawek; tu nie jeden kanasz został zawołanym rozbójnikiem.

Marcin Zold, albo Marcin Zielony (tak nazwany zapewne od zielonego munduru hajduków serbskich), był za młodu kanaszem; rozpoczął zawód zbójcki w lesie Bondy w kraju Madiarów. Sławny on także z miłosnych przygód swoich. Dwie pieśni opiewają żywo uczucia młodej dziewczyny, którą opuścił idąc na zbój. Biędne dziewczę smutno się żali:

Straszoż o północy dmie zamieć szalona,
Moja dusza cała na wskroś przemrożona!

W sercu dziewczyny powstają złowrogie przecucia! Kto wie czy Marcin nie zaprzedał się złemu? czy nie przyjdzie jój kiedyś

przeklinać jego pamięć? Ale skoro pomyślała, że ten straszny kanasz nie był dla niej nigdy złym człowiekiem, czeka niecierpliwie rychło zapuka w jej okienko o świcie, skoro zapięją kury.

Inna pieśń lepiej nam jeszcze odkrywa serce dziewczęcia. Kocha Marcina, bo i on też kocha ją gorąco. Te gwałtowne dusze nie znają miary tak w miłości jak i w nienawiści. Niespokojnym okiem śledzi biedaczka na niebie przebieg chmury, zapowiadającej rychłą burzę. Błyskawica przenika ją dreszczem.

Błagałam Marcina, błagałam go szczerze,
By nie szedł, bo w lesie czatują żołnierze;
Ale moja prośba serca mu nie wzruszy,
Zostawił mnie samą z ciężkim żalem w duszy.

Wyraziwszy całą boleść rozłączenia, piosenka dodaje dalej:

Jeśli już Marcina nie będzie na świecie,
Poproszę ja śmierci—niech mnie także zuiecie;
Niechże mnie do chłodnej poniosą mogiły,
Bo życie bez niego, to ciężar nad siły.

W trzeciej pieśni widzimy rozwiązanie małego dramatu, łatwe do przewidzenia. Marcin czeka w więzieniu na pierwszy brzask dzienny; będzie to dlań ostatnia zorza. Porównywa smutno dolę swoją z dolą innych stworzeń na ziemi. Lis zasypia spokojnie w swojej jamie; owca płąsa wesoło po pastwisku; żrebię cwatuje po puszy. Dla tylu innych, zieleni się murawa; dla tylu przyświeca wspaniały błękit niebios! Tamtym ukaże się jeszcze słońce w promienistej koronie, i miesiąc zabłyśnie im srebrnym obliczem, gdy on pogrzeban będzie w wiekuiściej ciemności; kiedy powleczone na szubienicę wraz z druhami, zatraci obraz tego pięknego acz znikomego świata. Zarówno prostych poetów ludowych jak i wytrawnych artystów, uderza zawsze sprzeczność między niezmałym spokojem przyrody, a gwałtowną burzą ludzkiego serca.

Sobri, sławny opryszek, który wyszedł z lasu Bakony w r. 1836, popularniejszy tu jeszcze od Marcina Zolda. Odgrywa on też wyjątkową rolę w poezji ludu. Pojawił się nawet na deskach teatralnych w Peszcie, w dramacie *Kit Pistoty* układu Józefa Szatmary. Pieśni z tego dramatu są dziś we wszystkich ustach. Aby zrozumieć życie tego szczególnego opryszka, nie zapominajmy że kanasze mają co do własności luźniejsze jeszcze pojęcia od Czykosów. Sobri nieodrodny kanasz, dzielił taki sposób widzenia. Był to piękny chłopiec; lubił w świetnym stroju ukazywać się w czardzie, i tam ściągać na siebie oczy dziewcząt. Ukradł nasamprzód kilka wieprzów, za co zamknięto go w więzieniu na dwa lata. Więzienie złą bywa czasem szkołą; kanasz zatracił w niem ostatek sumienia; to też wypuszczony na wolność, zabił innego

pastucha, który jak i on, zalecał się do żony dozorczy więziennego w Szombatkely.

Ujęty powtórnie, skazany na śmierć, Sobri uciekł z więzienia za pomocą kochanki. Wówczas został w lesie bakońskim przewodcą groźnej bandy, złożonej z kanaszy i zbiegów wojskowych. Zuchwały rozbójnik odgadł instynktowo idee, które Schiller wzięł z pesymistycznych utopii autora *Kontraktu społecznego* i *Rozprawy nad nierównością*. Począł więc zabierać bogaczom złoto, a rzucać je pełną garścią ubogim. Właściciele okoliczni, aby się uchronić od okupu, przypuszczali go do uczt swoich, które Sobri dziwnie ożywiał, wyśpiewując pieśni znane w kraju. Petöfi przypomina te sceny charakterystyczne, kiedy maluje „biednego opryszka syna stepów, pana szerokiej puszczy, jak zatrzymuje wspaniały pojazd i w grzeczny sposób żąda tylko pocałunku szlachetnej pani.” Jeśli panowie okazywali pobłażanie, lud objawiał szczerą zapał dla śmiałka, który stał się postrachem pandurów. Sobri znikł nagle z widowni. Jedni utrzymywali że poległ w zapasach z pandurami; inni że popłynął za morze do Stanów Zjednoczonych, gdzie używał spokojnie dostatków, i bronił murzynów od ucisku. Przepuszczenie to bardzo wątpliwe, gdyż Sobri nie zbierał pieniędzy.

Rosza Sandor, bardziej jeszcze od Sobrego, przypomina sławnych Kleftów Grecyi nowoczesnej.

Rosza przed rokiem 1848, prawdziwym był królem puszczy. stawał się tak dzielnie, w obec ścigających go oddziałów zbrojnych, że rząd powstańczy przyrzekł mu amnestyę, z warunkiem, że powiedzie drużynę swoją na wspólnego nieprzyjaciela. Przewódzca dał słowo, i dotrzymał go wiernie, lecz nie zdołał przywieźć do sfory burzliwych swych opryszków. Trzeba było rozpuścić bandę. Po kapitulacyi w Vilagos, Rosza nie złożył broni. W ciągu lat ośmiu tak się stał groźnym władzy, że przyrzeczono w Wiedniu 10,000 zł. r. za jego głowę. Ujęto go wreszcie i powieszono w r. 1858. Ale wyobraźnia ludu otoczyła niezwykłym urokiem pamięć sławnego opryszka. Pasterze przekonani dotąd że Rosza uszedł śmierci, że w ostatniej chwili, jeden z druhów oddał się w ofiarę za wodza, któremu podobnego nie znaleźć w całym świecie”.

Włóścianin madiarski ma umysł spokojniejszy od pasterza; jego obyczaje nierównie łagodniejsze. Niepodobien on przecież do osiadłego na roli Flamanda ani Lombarda. Snadno w nim poznać potomka ludów koczowniczych. Ledwie że chłopiec zdoła się chwycić grzywy końskiej, ojciec sadza go na siodło i mówi z powagą: „Jesteś człowiekiem!” Wszyscy tu od dziecka noszą ostrogi na znak że należą do *ludu jeźdźców*. Wieś każda przypomina tu obóz. Domy bez piętra, zbudowane z cegły, powleczone gliną i pobielone wapnem, tworzą niby dwa rzędy namiotów. Rozdziela je szeroka droga, po której konie cwałują swobodnie, czasami wysadzana

dwoma rzędami akacyi. Kościół, świątynia protestancka, dom municypalny, stoją w pośrodku, jakby namioty wodzów. Wszystkie domy obrócone do drogi szczytem, mają od téj strony wystawę bez drzwi, z wysokim śpiczastym dachem, pokrytym zwykle słomą albo gontami. Parkan z desek i chrustu, łączy jedną chatę z drugą; widać przez ten parkan, front domu zwrócony na podwórko. Domy w głębi podwórza, obrócone do drogi, ocienione drzewami, stanowią tu rzadki wyjątek. Jeżeli taki da się czasami widzieć, jest on niechybnie własnością jakiegoś dymisyonowanego oficera lub człowieka przywykłego do pobytu między obcymi. Wpływ Zachodu objawił się tu w prawach, lecz nie oddziałał na obyczaje. Jeżeli ciężary feudalne przez długi czas cisnęły ludność wieśniaczą, i trzymały ją w bezwładnem niejako uśpieniu, dziś za to, wielu z pomiędzy włóścian, stanęło w rzędzie drobnych właścicieli. Wielkie tymczasem posiadłości panów, rozdrabniają się coraz bardziej, skutkiem prawa równego podziału, jakiego arystokracja angielska nie chciała nigdy przyjąć.

Nazwa *wieś* nie ma tu tego znaczenia jak w innych krajach. Wsie madiarskie rozległe są i ludne. Tureckie najazdy nie pozwalały wieśniakom rozrzucać swych siedzib po kraju, ztąd ludność rolnicza skupiała się w wielkich osadach.

Poza Cissą, takie osady liczą niekiedy do dziesięciu lub piętnastu tysięcy mieszkańców. Mimo wzrostu, zachowały one pierwotną cechę. Sam nawet Debreczyn, prawdziwy typ miasta madiarskiego na stepie, liczący najmniej 60,000 mieszkańców zachował postać wielkiego obozowiska. Ulice pełne kurzawy lub błota, względnie do pory roku, ciągną się tu daleko między dwoma rzędami małych, pobielonych wapnem domów.

Mieszkańcy puszy i lasów, zahartowani w trudach, mogą w potrzebie tworzyć wyborne pułki jazdy. Madiar utrzymuje też że cesarz Napoleon byłby opanował świat, jak Alexander Wielki albo Cezar, gdyby do swój niezwykniętej piechoty, przyłączył był kawalerią madiarską. Ludowa poezya pełna ducha rycerskiego, opowiada jakim sposobem syn stepu stawał się żołnierzem, to jest huzarem. Huzar sięga chlubnych czasów Macieja Korwina. Wśród zbrojnych oddziałów które magnaci wiedli z sobą do obozu, huzar uważany był niemal na równi z rycerzem. Hr. Esterhazy i Bereseny, towarzysze sławnego Rakoczego, w XVII wieku uorganizowali we Francyi pułki huzarskie, które utrzymały się dotąd. Mundur ich jest po prostu narodowym strojem madiarów. Cuda waleczności huzarów węgierskich, podczas ostatniej wojny, podniosły jeszcze ich popularność między ludem. W poezyi huzar oznacza bohatera.

Sławny taniec huzarski, silnie porywa wyobraźnię ludu. Tym to środkiem werbownicy ściągają młodych ochotników pod chorągwie. Na widok rycerskiego tańca, instynkt wojenny

budzi się w synach stepu. Niekiedy jednak bierze górę instynkt niepodległości. Świadczy o tém piosenka:

Tańczą huzary, ostrogami dzwonią,
 Nie będę żołnierzem—toć mnie nie nakłonią!
 Komu się dziewczeczka uśmiecha na ziemi,
 Ej, byłbym szalony—gdybym poszedł z niemi!
 Daremno mnie łudzą błyskiem swojej szabli,
 Wszystko to nie nada—niech ich porwą dyabli;
 Szabelka huzarska nie tak mi przyświeca,
 Jak oko dziewczeczki, jak krasa jój lica.

Częściej jednak instynkt żołnierski przemaga w młodém sercu:

Tańczą huzary, hej dzwonią w ostrogi;
 Zostanę żołnierzem—nie mam w sercu trwoży.

Sama nawet matka, nie lęka się wojny dla syna:

Chętnie matka syna w szabelkę uzbroi,
 Niechże broni króla i ojczyzny swojej.

IV.

Przechodzimy nakoniec do przedmiotu ważnego w poezji madiarskiej: do charakteru kobiety. Poeci ludowi przyznają jój wszystkie zalety, czasami tylko zarzucają niestałość. (Idy w poezji madiarskiej mowa o kobiecie, nie łatwo tu oddzielić rzeczywistość od ideału. Stawiając lud węgierski w obec innych ludów, poezya okazuje szereg optymizmu:

Hej naród madiarski—odważny i śmiały,
 A któreżby ludy w parze z nim iść miały?
 Tak było i będzie, prawda jak świat stara:
 Nie masz to narodu—nie ma nad Madiara!

Taż sama pieśń równie względnie sądzi i Madiarkę, zwłaszcza jeśli trzyma się wiernie stroju narodowego, jeśli nie gardzi madiarską czapeczką, i nie obciąży główki cytaadelami z gazy. Nie sam tylko Madiar oddaje pierwszeństwo narodowi własnemu nad innemi. Wszystkie niemal ludy zwykły się stawiać w pierwszym rzędzie. Potrzeba ich pytać kogo stawiają w drugim, aby z ich sądów wyprowadzić wniosek co do istotnego pierwszeństwa.

Kronikarz niemiecki Regino, uczony opat z Prum, nie usposobiony wcale do schlebiania Madiarom jak i wszyscy jego ziem-

kwie, mówił w IX wieku: „Odwaga ich niewiast, równą zjednała im sławę jak dzielność ich wojowników”. To téż otrzymały zaszczyt, że im pozwolono piastować chlubne berło króla apostołskiego; lud najdzielniejszy z nad brzegów Dunaju, nie przyłączył się do narodów, które zabraniają niewieście wstępu na tron. Prowadzenie Maryi I, z domu Anjou, Elżbiety I, z domu Habsburgów i Maryi II (Maryi Teresy), świadczą wymownie, że jeśli Arpadowie, wierni przesądom azyatyckim, zachowali poniekąd prawo salickie, następne za to dynastye przyszły do innych pojęć. Upowszechniona między Madiarami cześć do Najświętszej Panny, patronki Węgier, musiała obok innych powodów, silnie wpływać na uczucie ogółu. Od rządów Beli IV, ryto na monecie napis: *Sancta Marya patrona Hungariae*. I dziś jeszcze kiedy opryszek spostrzeże zdaleka figurę patronki Węgier, wypuści z ręku toporek, i nie popełni zbrodni w obec Tój, której wizerunek zdobi tak pałace możnych jak i wieśniacze chaty.

Dzielność węgierskich niewiast, zjednała im uwielbienie poetów, nawet w ojczyźnie Joanny d'Arc, Joanny Hachette, pani Roland i tylu innych bohaterek. Historyk Klaudiusz de Saçy wyznaje, że żadna ziemia na świecie nie natchnęła córek swoich, żywszą miłością kraju rodzinnego. „Nieraz w tém królestwie — mówi on — kochanka wskazywała kochankowi drogę chwały, małżonka szła śmiałym krokiem obok męża, matka wyprawiała syna na śmierć, a pomściwszy go kładła z nim razem głowę” (1). Tym sposobem niewiasty podtrzymywały dzielnie cześć narodu.

Równa mężowi pod względem moralnym, kobieta madiarska niższą jest od mężczyzny pod względem estetycznego wdzięku. Madiarski pisarz Boldenyi przyznaje co do rysów oblicza, nieskończoną wyższość mężczyźnie. „Całym urokiem dziewcząt madiarskich — mówi on — jest świeżość lica, żywy rumieniec, oczy duże, ciemne, pełne życia”. Pieśni ludu zgadzają się zupełnie z tém określeniem, zowiąc dziewczynę *czerwoném jabłuszkiem*, *różyczką*, *gwiazdką* albo *perelką*. W tych epitetach przebija wschodnia wyobraźnia Madiarów. Zamiłowani sami w świetnej i błyskotliwej odzieży, kiedy chwają piękność niewieścią myślą o złocie, o srebrze, o perłach i o gwiazdach. Pieśń wystawia niekiedy złoto-włosą, „z której oka wytryska błyskawica jak on modry płomyk, unoszący się w powietrzu po nad zaklętym skarbem.” Częścięć jednak pieśń hołduje czarnookiej. Jestto typ prawdziwie narodowy. Według pieśni, piękna dziewczyna powinna mieć cerę ogorzałą, oko płomieniste, mordercze.

Czasami poeta zwie dziewczynę *gołąbką*, lecz ta nazwa nie przypada do smaku niektórym bohaterkom pieśni. Jedna z nich tak odpowiada:

(1) Histoire général de la Hongrie, 1778.

Gdybym była różą, zwiędłabym za chwilę,
Któżby na uwiedłą, chciał popatrzeć mile.
Nie zwij-że mnie różą ani marnym kwiatem,
Gdy słońko przypali—kwiat usycha latem.

Gdybym ci ja była gołąbeczką białą,
Czyjeżby mnie serce szczerze ukochało?
Nie zwij mnie gołąbką: ptaszyna skrzydlata
Z jednej gałązeczki na drugą przelata.

Daj mi lepij nazwę twój wiernój i miłój,
Bo moje kochanie przetrwa do mogiły.

Nie zawsze jednak dziewczyna dochowuje wiary do grobu.
W niejednej piosence młodzian żali się na niestałość ukochanej:

Jak listki różyczki, jagody jej wabne,
Cudnie połyskują jej włoski jedwabne;
Na jedno ja tylko słusznie się pożalę:
W jej łonie śnieżystym serce nie drga wcale.

Ale piosenka nastając na niestałość dziewczyny nie prze-
bacza także i chłopcom:

Jam dobry dziewczyno, lecz kłamie w potrzebie;
Zdradziłem już tysiąc, to zdradzę i ciebie.

Mam ja w ogródeczku dwie zielone smugi,
Będę kosił trawkę z jednej albo z drugiej;
Mam ja trzy kochanki, trzy dziewczynki hoże,
A każda mnie czeka, cóż czynić mój Boże!

Lata ptaszek lata z krzewów na krzewiny,
Wolno bałamucić chłopcu trzy dziewczyny?
Do tej chodzi z rana, do tamtej pomrokiem,
Za trzecią z daleka: goni tęsknym okiem.

Nie sami tylko poeci ludu osądzili w ten sposób Madiarów. Gorący patriota, pełen poświęcenia dla kraju hr. Stefan Szechengi, z otwartością godną Anglika, wyrzuca wady ziomkom. Madiar — mówi on — nie znosi surowego o sobie sądu. Najznakomitsi pisarze pokryli milczeniem słabe strony plemienia naszego; mamy za to niezliczonych pochlebców". Aby nie wpaść w tę wadę; Szechenyi wypowiada wbrew Madiarom, że zachowali popędy azyatyckie, że są z natury zazdrośni, mściwi, kłótlivi i niestali.

Pieśń ludowa świadczy iż Madiar nie trapi się długo, niesta-
tecznością doli ziemskiej. *Dobry trunek na frasunek* mówi pio-
senka, a inna dodaje:

Zdradziła mnie Rózia, by wypłoszyć smutki,
Za trzydzieści złotych przynieścież mi wódki.

Madiar chlubi się z winnic swoich, a szczególnież ze sławnego tokaju „czystego jak złoto i cennego jak złoto.” Poeci ludowi opiewają go z zapalem. Sam Petöfi dorzucił nie jedną nową zwrotkę do licznych pieśni epikurejskich, krążących przy kieliszku. Weźmy oto pierwszą lepszą:

W ciepłym kąciku—z braćmi bez liku,
Czas przy kominie—wesoło płynie.
Rad naléwam Eger stary,
Z dłoni w dłonie krążą czary,
Dobre winko, dobre druchy,
Mnie na tém dość!
W piérs mi wpływa zdroj otuchy,
Jak miły gość!

Zamilknij bez wieści—jęku boleści,
Postrachu marny—zwin całun czarny.
Dziś pogrzebmy o Madiary,
Błądą troskę na dnie czary.
Jeszcze puhar!.. przyjaciele!
Jeszcze drugi—co chcesz mów,
W serce wróci z nim wesele,
W ustach piosnka zabrzmi znów!

W innéj piosence przy kieliszku, tak Petöfi przemawia do ziem madiarskiéj:

Duch za tobą mój pomyka
Wiernie w noc i w dzień,
Jak za śladem podróżnika
Idzie głuchy cień!

Rośnie pomrok, gdy na niebie
Promień słońca zbladł,
Ból mój sroższy, im na ciebie
Grubszy całun padł.

Wznosząc wtedy czaszę śmiało
Wołam z braćmi w chór,
Niech tve słońce dawną chwałę,
Błyśnie z mętnych chmur.

Żwawo pełne krążą czasze,
Z rąk do rąk mkną,
Gorzkieź wino... ach! lzy nasze
Zamąciły dno!

Trzeba przyznać ludowym poetom madiarskim, że umieli wysoko podnieść w pieśni, prawdziwe uczucia serc ludzkich. Nie wielu w nich sądzi, aby człowiek zagłuszył zabawą albo zatopił w winie, rany odebrane w twardych zapasach życia. Weźmy oto pożegnanie straszego Marcina Zolda, krwawa boleść wyrażona tu w pieśni dziewczyny:

„Jakże miłość jego szczerą, — Jak uściął mnie gorąco! — O! aniele duszy mojej! — Twoje usta płyną miodem. — Zarżał konik jego wrony. — Trzykroć ku niemu zwrócił głowę, — Jakby dzielił boleść naszą — Jakby dzielił żal rozstania!..”

W innej pieśni zapytują młodziana dlaczego tak smutny? czemu oczy jego zalévają się łzami? czemu twarz jego powleczone trupią barwą? Młodzian odpowiada, że płacze za dziewczyną madiarską, świeżo pogrzebaną w mogile.

Z równą boleścią żali się opuszczony młodzieniec. „Dzwon poranny bije z wieży wiejskiego kościołka; woła na człowieka aby podniósł myśl ku wieczności... Gołąbka dzika zawodzi głucho w lesie, ale ja mam piosenkę smutniejszą, i śpiewam ją z duszy zboląlej. Złota wiosna życia już przeszła, kwiat zwiędły nie odkwitnie zimą! Ale na murawie cmentarnej rosną kwiaty żałoby.”

Może kiedyś o pomroku
Przyjdiesz droga, ze łzą w oku,
Zcicha siądiesz na mym grobie;
Ja nie podam ręki tobie,
Bo mróz padnie mi na oczy,
I mogiła mnie przytłoczy.

Pieśń wierna kapłanka domowego ogniska, zachęca Madiara do wczesnych związków małżeńskich:

Kto się wczas z dziewczką nie połączy miłą,
Ten żyje na świecie — jakby go nie było:
Zamarznie mu serce, pożółknie twarz gładka,
A w głowie u niego nie krew lecz serwatka.

Jeżeli chłopiec — mówi pieśń — lęka się małżeńskiego stanu, to mech lepiej wzuje sandały, wsunie na oczy kaptur i kratą klasztorną odgrodzi się od świata; albo niech rusza do lasu, i pomrukuje tam jak niedźwiędź. Mimo takiej zachęty Madiar nie żeni się młodo. Długie zaloty, przeszły od Germanów w obyczaje madiarskie. Małżeństwo ważna sprawa, potrzebuje wielkiej rozwagi:

Dawnoż ja się, dawno zalecam dziewczęciu,
Chodzę wiernie do niej od latek dziewczęciu!

Pieśń upomina chłopca jakiej ma szukać żony:

Nie szukaj bogatěj, co ci chłopcze potém,
 Że nosi sukienki bramowane złotem;
 Niechaj będzie skromna—potulna—nie płocha,
 A taka cię chłopcze na wieki pokocha.

Nie długo ja sobie pojme żonkę młodę,
 Po białym ją śnieżku do chaty przywiodeę;
 Jak mi będzie wierna uścisknę sto razy,
 Jeśli mnie obrazi—przepomnę urazy.
 Pończoszki czerwone kupię dla dziewczeczki,
 Do butów stalowe dam jěj podkóweczki;
 Daleko i jasno gładka stal przyświeca,
 Lecz jaśniej mi świeci urok twego lica.

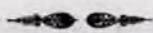
Nim młoda para przystąpi do ołtarza, zajmuje się pilnie wyprawą. Mąż powinien mieć tradycyjną *bundę*, haftowaną suto we wzory. Dziewczyna musi mieć na zimę barani kożuszek (*ködmon*), a na lato kaftan wyszywany aksamitką i srebrnymi guzikami. Przysposabia się także w bieliznę. Gdy wszystko gotowe, chłopiec wybiera sobie dziwoślęba *kero*, człowieka statecznego, aby przemawiał w jego imieniu. Wszedłszy w progi rodziców, *kero* występuje z uroczystą oracyą; pyta czy nie ma w domu dziewczyny na sprzedaż. Wyraźny to ślad odwiecznych obyczajów.

Pieśń ważną odgrywa rolę podczas uczty weselnój. Przy każdej misie przyniesionėj na stół, z kapustą, kukurydzą, drobiem i t. p., *kero* śród ogólnego milczenia wysławia wierszem dzień szczęśliwy. Panna młoda siedzi za stołem przystrojona w czółtko aksamitne czarne, naszyte paciorkami, od którego różnobarwne wstęgi spadają jěj na warkocze. Po uczcie młodzież przyśpiewuje godowe pieśni, lub prawi oracye na cześć młodėj pary.

W każdym obrzędzie domowym pieśń równy bierze udział. Podczas chrzcin przy radosnej uczcie, drużyna przyśpiewuje wesoło, życząc szczęścia nowo-narodzonemu. A gdy śmierć zakłóca w progi chaty, i wtedy jeszcze pieśń brzmi nad łóżem śmiertelném, jak brzmiała nad kołyską dziecięcia. Drużyna zbiera się gromadnie, i przez całą noc śpiewa żałobne pieśni nad umarłym.

Poezya ludowa najlepiej wyjaśnia życie polityczne i społeczne danego narodu. Jeżeli jest jego odbiciem, winna mu téż udzielać rad i natchnień, zmieniając je według czasu i okoliczności. Narodowość węgierska zdobyła od pamiętnego dnia Sadowy, wyjątkowe stanowisko w Europie wschodniej; Austria uczyniła zadosyć jěj wymaganiom, daremnie powtarzanym od kapitulacyi w Vilagos. W Cesarstwie Austro-Madziarskiem—według urzędowego dziś wyrażenia—Węgry odgrywają ważną rolę, a nie brak im mężów stanu, którzy je poprowadzą do świetnych przeznaczeń.

Platon radził, aby uwieńczyć poetów różami i wyprawić za granice Rzeczypospolitej. Może być że poezya nie zgadzała się z Rzeczpospolitą platońską, ale cała historia Madiarów wymownie świadczy, jak wielką muza ludowa odgrywała w niej rolę. Od pojawienia się Madiarów na widowni dziejowej, aż do ostatnich czasów; od starych kobziarzy, których imiona poszły dawno w niepamięć, aż do Petőfiego, którego pieśni żołnierze powtarzali chórem przy obozowém ognisku: poeci ludowi wplatali zawsze złote dźwięki swój liry, w tkanę życia narodu; pieśnią podniecali go w walce, pieśnią koili w dniach smutku i żałoby. Dziś nowe pole otwiera się dla poezyi madiarskiej.



W SZPITALU.

(Z NEKRASOWA).

Otóż i szpital. Świecąc, rozespany
Wskazał nadzorca ciemny kąt u ściany,
Gdzie kończył życie samotnej niedoli
Autor biędny—ciężko i powoli....
Myśmy mu wszyscy z cicha wyrzneli,
Czemu, gdy popadł w długi, przy chorobie,
Mając przyjaciół, nie dał znać o sobie;
Lecz tu się schronił w tej posępnej sali?

„Cóż mi za smutek?”—zartując odrzeczę;
I tu w szpitalu, życie dość swobodne,
Na postrzeżeniach spokojnie czas ciecze,
Nie jedno tutaj oka mistrzów godne.
Spójrzcie na tego w pobliżu subjekta,
Najwyszukańsze układa projekta;
Pragnie je w życie puścić co najprędzej,
Tylko mu brakło jednego—pieniędzy....
Bo gdyby nie to, w pomysłach szczęśliwy,
Dawnoby perły wyciskał z pokrzywy;
Sypnął też łaską w mój ubogi kątek:
Milion obiecał dać mi na poczętek!

„Albo ten stary aktor wysłużony,
Co tutaj jeszcze z losem się kramarzy,..
Niekontent z ludzi, o swych rolach marzy
I dwuwierszami przeplata androny.
Z resztą czupurny, gadatliwy, miły;
Szkoda że zasnął (albo umarł może?)

Dziwactwa jego wasby ubawiły...
 A cóż i tamto milczy coś nieboże,
 Numer dziewiąty... Tęskny, czeka żony,
 On ją w gorączce widzi uniesiony;
 We śnie, na jawie ciągle we frasunkach,
 Marzy o domu, dzieciach, pocałunkach,
 I zamiast żony, swe szpitalne chusty,
 W szale chciwemi pochwytuje usty!...
 Nie budź się biedny! umrzesz w zapomnieniu,
 Nie zamknie oczu twoich dłoń kochana,
 Oto nas jutro stróż obchodząc z rana,
 Tym którzy zmarli, w kolejnym sprawdzeniu,
 Oczy przyciśnie, narzuci całuny;
 I znów pod liczbą, a może bez trumny,
 Rzucą nas dalej, z szpitala do dołu...
 Nie nieście takiej wieści jego siołu;
 Bo żona z sercem trafi do szpitala,
 Ale czy znajdzie, gdzie mąż, gdzie mogiła?
 Chociażby całą stolicę zburzyła,
 Czy pozna piasek, co mu pierś przywała?

„Zaszło tu kiedyś straszliwe zdarzenie:
 Ze wsi przyjechał ojciec szukać syna,
 Lecz wszędzie obcy jęk, albo milczenie...
 Długo tak chodził w tej niemiej męczarni,
 Aż w końcu stróż mu chłodno przypomina:
 „Nie ma? to lepiej zajrzeć do grabarni”.
 Zachwiał się starzec... lecz o drogę prosi,
 Poszedł tam szukać, gdzie nie ma nadziei:
 Chodzi od trupa do trupa z kolei;
 Drżącemi dłońmi całuny unosi,
 I milcząc w twarze okropne zagląda;
 Lecz syna nie ma, a on syna żąda!
 Nareszcie znalazł... i skarb uroniony,
 Konwulsyjnymi pochwycił ramiony.

„Zresztą nie zawsze śmierć tu tak straszliwa,
 Nie zawsze całun obca dłoń nakrywa;
 Pomnę: raz w nocy oko mi się skłęja,
 A wtém do sali, z głową rozkrwawioną,
 Z twarzą zuchwałą, pięścią zaciśnioną,
 Przeprowadzają starego złodzieja.
 W walce, towarzyszy wspólnego cierpienia,
 Głowę mu strzaskał o kratę więzienia.
 Zaciekły, straszny, nie słucha nikogo,
 Drwi lub wymyśla, lub grozi złowrogo.
 Patrzy na niego posługaczka nasza;
 Podchodzi—staje; spojrzął—nie odstrasza...

Przeszło chwil kilka... oczy ich badały,
 Jedno drugiego... I ten zatwardziały,
 Co z raną śmierci, bez siły nadziei,
 Przyszłego życia kresie ostatecznym,
 Jeszcze się miota jak dziki zwierz w kniei:
 Wybuchnął płaczem głośnym i serdecznym...
 Świetlany obraz miłości, hart kruszy
 I płacz ten straszny wydzięra mu z duszy.
 W młodości z sobą znali się oboje,
 A dziś się zesli... I wnet ze zbrodniarza
 Stał się barankiem, rzucił groźby swoje,
 Pochylił głowę pod lancet lekarza.
 Modlitwa, obca może długie lata,
 Łagodnie teraz w serce mu kołata.
 Ale napróżno, nie ma dlań pomocy...
 O! nie zapomnę téj straszliwój nocy:
 Kiedy już konał, gdy został bez ducha,
 Kobięta nad nim rozpościęra ręce,
 I dobadując czy żyje, czy słuca,
 Błaga go ciągle w rozpaczy i męce:
 „Żyj, żyj najdroższy!..”

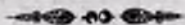
Co miała, sprzedała,
 Na przyzwoite pogrzebanie ciała.
 O, nieszczęśliwa, jakże żyła mało,
 I jakże wiele serce jęj kochało!
 Lecz jakież miłość przyniosła jęj kwiaty,
 Oprócz niedoli i trwoźliwój mrzonki?
 W młodości — hańbę, a z staremi laty:
 Rozpacz i przepaść ostatnięj rozłąkil..

„Jeżeli chcecie, są tu i pisarze.
 Oto spojrzycie na tego młodzieńca,
 Co gruby w ręku zeszytik przekręca,
 I bładny, trwoźny, spogląda nam w twarze...
 Przyszedł piechotą, zdala, bez obawy:
 Tak miłość sztuki duch młody zapala,
 Przyszedł z nadzieją, ale zamiast sławy,
 Kontent, że znalazł choć ten kąs szpitala!..
 Wszystkim on czytał swe dziecinne twory,
 Zapomniał kaszlu, zapomniał że chory;
 Co było śmiechu nad jego zapałem!..
 Lecz jam się nie śmiał.. o nie!.. ja dumałem...
 Bracia pisarze! w naszém powołaniu,
 Nieodwołalne kryją się wyroki:
 Jeśliby każdy, po własném zbadaniu,
 Wybrał byt inny, tor nie tak szeroki:
 Prawda — świat na tém skorzystałby wiele,
 Nie miałyby nędznych pismaków, pedantów;

Ale powiedzcież teraz, przyjaciele,
Któżby mu stworzył Szekspirów i Dantów!
I zanim jeden chwyci palmę w dłonie
Słabszych tysiące w przepaści utonie;
Daremna walka, daremna odwaga,
Bo świat za tryumf ofiary wymaga...'

Tu nasz przyjaciel westchnąwszy głęboko,
Rzucać się zaczął na szpitalnym blichu;
A kiedy łzawe do snu przywarł oko,
Smutni przecuciem, wyszliśmy pocichu.

Józef z M.



O ŁANACH I WŁÓKACH. (*)

Łan i włóka, to przestrzeń gruntu zawierająca mniej lub więcej łokci kwadratowych, według tego, czy wydzielone były zwyczajem chełmińskim, frankońskim lub polskim.

Łan i włóka, to świadectwo historyczne ludu, na roli lemieszem przez wieki zapisywane.

Łan lub włóka to serce rodziny, którą jednoczy i żywi.

Duńczycy i Niemcy krzątając się około włók i łanów różnego składu i wielkości, na których przemysłem i pracą zakwitł im dostatek, pierwsi upatrzyli, że ta rozmaitość powtarzana, nie była dowolną, i zapragnęli poznać początek i przyczynę istniejącego podziału. Badając, znaleźli, że jest to wpływem rolniczych urządzeń przedwiekowych, ludu towarzyskiego, umiającego oceniać dobroć gleby, i sprawiedliwą potrzebę jednostki i ogółu; co nie mogło być dziełem ich dzikich przodków, i Słowianom tę wyższość przyznali. Z wymiarów i formy włók, ze sposobu rozdziału opola i sposobu założenia osad, wynajdują niezatarte ślady pierwszej uprawy gruntu, oraz wskazówki do historii najdawniejszych osiedlań i poprzedniego ruchu ludów.

Nasi znowu badacze, rozpatrując stosunki i byt ludności rolniczej, skreślili obraz dawnego narodowego ustroju i tych ogniw materialnych i moralnych które kmiecia łączyły z ziemią: z włóką i łanem. Ten łan obracany jego dłonią, skrapiany potem, był miarą powinności i danin, był utrzymaniem i wyżywieniem rodziny, był światem dla kmiecia, bo opuścić go nie mógł.

Dosyć zaiste powodów aby wyrozumić co były włóki i łany.

Jak w ogólności wyrażenia łan i włóka nie tylko pewną miarę gruntową, lecz także znaczyły własność, posiadłość, majątek, tak też i różne rodzaje łanów i włók jak: chełmińskie, frankońskie i t. d. nie tylko rozmaity obszerność, lecz również znaczyły pewien *rodzaj* posiadłości; mianowicie przy początkowym ich nadaniu.

(*) Wstęp do książki niewydanej, pod tytułem: *Łany i włóki w dawnych czasach, jak były używane i mierzone.*

Tak np. włóki chełmińskie, łany polskie i kmiecie używane były przy osiadaniu wsi na prawie polskiem, frankońskie przy osiadaniu kolonistów, wybranieckie na osady wojskowe i t. p. Miały więc takie łany nie tylko swoją właściwą miarę i podział, lecz zarazem charakter prawny; miały nadto cechę rolniczą, bo i rodzaj gospodarstwa na nich się różnił. Nie utrzymywało się to stale, grunta z pod jednego prawa przechodziły pod inne, lecz bez zmiany podziału i granic; więc piętno ich początku pozostawało.

Wielkość przecież włók każdego rodzaju ściśle nie była jednakową. Używając do wymiaru gruntu znaną na miejscu miary długości, jaką był łokieć nie wszędzie jednaki, otrzymywano stąd powierzchnie różne. Prócz tego ze względu na rodzaj gleby powiększano niekiedy liczbę jednostek gruntowych, to jest morgów i stają w skład włóki i łanu wchodzących. Były to jednak odmiany i zastosowania miejscowe, nie psujące właściwego charakteru miary gruntowej. Jakkolwiek zatem dzisiaj mierząc jedną miarą wszystkie grunta, można znaleźć powierzchnie bardzo rozmaite czyli wielką różnicę włók i łanów (jak to i dawniej już dostrzegano i mylnie niekiedy nowe rodzaje łanów uznawano, gdzie one były tylko odmianą pewnego rodzaju), to jednak wszystkie te wielkości sprowadzają się do małej liczby miar gruntowych stałych czyli normalnych. Prócz tego włoka lub łan, najczęściej nie stanowiły jednej zwiężłej sztuki gruntu, lecz ze względu na trzypolowe gospodarstwo wydzielone były w trzech oddzielnych polach, lub w większej liczbie działów; czasem z dodatkami i przymiarkami. Były to zatem *wielkości zbiorowe*, złożone z kilku odrębnych części.

Z tego co powiedziane widno, dlaczego mniej świadomi błędzili dawniej i błędzą dziś przy poszukiwaniach, nie mogąc często zdać sobie sprawy z wynajdywanych wielkości włók i przypisując przodkom naszym nieumiejętność i niewiedzę, w których sami zostają.

Jeżeli dzisiaj przy tak rozwiniętym przemyśle i urozmaiconych stosunkach międzynarodowych, ludy nie mogą się zgodzić na jednaki miary, wagi i monety, obstając każdy przy swoich; cóż dziwnego że dawniej każda prowincya, każde miasto, pilnowały miar swoich. Jeżeli zresztą ujednostajnienie miar do towarów i rzeczy przenośnych jest pożądanem, to do rzeczy nieruchomych, gruntowych, nie zachodzi i nie zachodziła taka konieczność. Owszem każda miejscowość ma swoje przyrodnie własności i potrzeby, a miara gruntowa takowemi wywołana i zwyczajem uświęcona, była najstosowniejszą i najdogodniejszą.

Nie było też dawniej tak skąpo ziemi aby ją mierzyć na piędzi; nie było łatwo zmieniać przestrzenie nadane, wymierzone, odgraniczone i używane.

Każdy posiadacz prócz tego miał świadomość obszerności gruntu dzierżonego. Wszystko co mówią i piszą o niewiedomości i niepojmowaniu miar gruntowych w dawnych czasach, jakoby

z powodu nieznania matematyki i małego oświecenia, należy chyba odnieść do tych klas ludności które się rolnictwem nie zajmowały. Kmieć i człowiek z rolą obeznany, jak dziś tak dawniej, i bez wiadomości matematycznych, miał wyobrażenie o powierzchni, a rozległość gruntu rozumiał. Wyobrażenie to ułatwione zawsze było pojęciem, że do wymierzania powierzchni gruntu, potrzeba pewnej *normalnej szerokości* jaką jest: *zagon, pręt, sznur*. Chcąc podwoić pręt kwadratowy czyli półko, prosty człowiek łatwo zmierkował że nie należy na długości i na szerokości po przecię dodawać. Zdarzały się wprawdzie przypadki trudniejsze do rozwiązania, gdy szerokość nie była współmierna z normalną lub obwód gruntu nieregularny; lecz powszechnie temu zapobiegano prowadząc zawsze ściany i działły w liniach prostych.

Najdokładniejszą jednak kontrolę wielkości gruntu miał rolnik w pracy codzienniej, jaką na własnym i na pańskim gruncie odbywał. Krajął on ziemię, składając skiby jednakię szerokości, na równe zagony. Nie robił skib dowolnej długości, wymierzał najprzód stajanie, z kąd wedle zwyczaju miał nawrócić. Nie rzucił też w rolę uprawną, przy siewie, ziarna bez miary; a wiedział wiele potrzeba czasu aby zebrać plon z zagona, pręta lub morga. Tak ciągle pracując około roli, ciągle ją wymierzał i pługiem i ziarnem i czasem, a poznawszy raz wielkość pręta lub morga, zawsze i wszędzie ocenić i wyznaczyć potrafił.

Zebrawszy to wszystko co pisali o miarach gruntowych Solksi, Czacki, Zaborowski i inni, przekonać się można, że podane wiadomości nie są dostateczne; znaczenia różnych miar nie wyjaśniają, a nawet ścisłością i formą matematyczną praktycznego pożytku nie przynoszą. Jeden tylko uczony Czacki rzecz dobrze rozumiał, stosunki i przywileje dawne, oraz powinności gruntowne zbadał, lecz poszukiwań swych do miejscowości i nowszych czasów nie zastosował, mylnie podania Solskiego za prawidło przyjął i przedmiotu nie rozwinął.

Chcąc zatem wyrozumić znaczenie włók i łanów należało rozpocząć pracę zupełnie nową, na tle historycznym osnutą a ile można na miejscowych dokumentach opartą; tém trudniejszą że zmiany polityczne i rolnicze kraju, w stuleciu bieżącym, przeważnie ślady dawnych urządzeń zatarty. Nie sądzę ażeby badania moje były wyczerpujące i dostateczne; łatwo pojąć ileby na to potrzeba materyałów z różnych okolic kraju i ile czasu. Zgromadziwszy jednak co było można i założywszy podstawy do szczegółowych poszukiwań, myślę, że łatwiej już będzie dopełnić takowe, o ile zajdzie potrzeba.

Praca ta dzieli się na cztery części.

Pierwsza część. Początek miar gruntowych, i początek osad rolniczych słowiańskich.—Znaczenie jednostek gruntowych i ich związek.—Różność i sposób używania włók i łanów w Słowiańszczyźnie.—Przykłady urządzenia wsi, w Saxonii około Altenburga, a na Szlązku około Wrocławia—z planami.

Druga część. Zarys historyczny osad rolniczych w Polsce. Różność i znaczenie włók i łanów w Polsce.—Sposób ich wymierzania i używania.—Przykłady urządzenia wsi z lat 1560 do 1784 z planami.

Trzecia część, techniczna. Objaśnienie wielkości miar gruntowych.—Rozbiór krytyczny autorów i źródeł.—Zasady i porównanie rozmaitych miar gruntowych.—Narysy porównawcze składu i wielkości włók i łanów.

Część czwarta. Wyciągi dosłowne z różnych autorów o włókach i łanach z objaśnieniami i uwagami.

Oprócz wymienionych w oddzielnym spisie autorów, do poszukiwań służyły głównie akta sądów referendarskich w archiwum głównem Królestwa, lustracye starostw i dóbr królewskich, dawniejsze inwentarze i mapy wsi rządowych. Chociaż poszukiwania takie są bardzo mozolne, przecież materiału jest wielka obfitość.

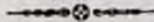
Z żalem zaś wyznać mi przychodzi, że starania moje o wiadomości, najciekawsze może, co do łanów i włók kmiecych w *dobrach prywatnych*, bardzo niedostateczny plon przyniosły. *Dla tego, wstrzymując się z ukończeniem i wydrukowaniem dziełka, śmiem odwołać się publicznie do szanownych panów właścicieli dóbr, administratorów majątków, jeometrów, autorów dzieł, jak historia rolnictwa, rolnicza ludność w Polsce, i innych, o dopomożenie w tej pracy: wskazanie lub udzielenie materyałów, jakie w tym przedmiocie znać lub posiadać mogą. Pożądane są szczególniejszy mapy z przeszłego lub z początku bieżącego stulecia, inwentarze, opisy i rejestra dawne, które porównane z dzisiejszym stanem i rozległością, mogą wyjaśnić wielkość gruntów dawniej przez kmieci osiadłych.*

Nie wątpię że takich mapp i materyałów w różnych miejscach kraju znaczna liczba się znajduje, i że przy ostatniem urządzeniu włościan, nie jeden przeszłości zabytek wyszukano z dawnych papierów.

Bezinteresowna praca moja, w celu jedynie naukowym podjęta, materyalnej korzyści dla wydawcy nieobiecująca, może być dla właścicieli dokumentów rękopiśm., że takowe uszanowane i z należyta przezornością zwracane im będą. Pośrednictwa zaś podejmuje się znana księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

Listopad 1870 r.

Wilhelm Kolberg.



KRONIKA ZAGRANICZNA.

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Nowe badania nad celtyzmem w Austrii, pp. Starck, Goehlert, Obermüller.— Dzieło p. Obermüller p. t.: „Deutschkeltisches geschichtlich-geographisches Wörterbuch, zur Erklärung der Fluss - Berg - Orts - Gaw - Völker und Personen-namen, Europas, West-Asiens und Nord-Afrikas etc.” Ludy galskie na ziemiach dzisiejszego państwa Austriacko-Węgierskiego według badań Starcka.—Literatura węgierska: poeta Garay i jego poematy „Mojżesz węgierski i Arpad.—Podróże Nilsa, powieść Ksawerego Marmier, nowego członka akademii francuzkiej.—Szkic do powieści, znaleziony w papierach Napoleona III.— „Hrabia Horn”, nowy dramat Józefa Weilen.

W przeszłej korespondencji, pisaniej zaraz po przybyciu do Wiednia, rzuciliśmy kilka słów o galskich ludach, które w tych stronach przebywały. Nie wiedzieliśmy jednak wówczas, że pytanie, co do starożytnych tubylców galskich, w krajach terażniejszej Austrii, tak żywo zajmuje umysły uczonych Wiedeńczyków, jak to dziś spotrzegamy. Jeżeli sprawa Gallów, podniesiona gorąco we Francyi w ostatnich czasach, nie mogła być dla nas obojętną, tém więcej nabiera ona znaczenia, podjęta w ościenniej nam Austrii.

Na czele tutejszych celtystów, o ile nam wiadomo, stoją pp. Starck, Goehlert i Obermüller. Pan Starck drukuje spostrzeżenia swoje w buletynie tutejszej Akademii Nauk. Goehlerta rozprawę bardzo ważną czytaliśmy w buletynach Towarzystwa Jeograficznego Wiedeńskiego. P. Obermüller ułożył cały system celtyzmu, w słowniku który wydaje zeszytami. Dotąd wyszło jedenaście zeszytów tej pracowitej i nowej w swoim rodzaju publikacyi. Sam tytuł dzieła wskazuje ogrom przedsięwzięcia; przytaczamy go w całości. „Niemiecko-celtycki, historyczno-jeograficzny słownik, wyjaśniający nazwy rzek, gór, miejscowości, opolów, jak również imiona własne osób i nazwiska ludów Europy, Zachodniej Azyi i Północnej Afryki, z szczególnym po-

glądem na kraje niemieckie, i z wykazaniem pierwotnej historii ludzkości, na zasadzie tych badań.” Długi tytuł świadczy o niemieckim pedantyzmie uczonego celtysty, i o szerokim planie, jaki sobie zakreslił.

Czy system pana Obermüllera odpowiada na wszystkie pytania, jakie poruszył, nie możemy o tém wyrokować. Wątpimy nawet, czy przyjdzie czas, aby starożytność celtycka mogła być ujętą w tak dokładny systemat naukowy, w jaki są już ujęte starożytności hebrajskie, greckie i rzymskie. Dziś jednak, kiedy rządy i towarzystwa naukowe, wydają krocie na drukowanie dzieł, o których wartości ledwie kilku uczonych europejskich wyrokować ma prawo, jak tego przykład widzieliśmy na dziele p. Bourbourg: *O starożytnych kronikach tubylców Ameryki* (1), dziś powtarzamy, byłoby niewłaściwie przesądzać prace uczonych, poświęcających życie całe na usystematyzowanie starożytności celtyckich, w Europie, w Azji i w Afryce.

Tém pilniej zwracamy uwagę na słownik pana Obermüllera, że autor w pracy swojej ogarnia Słowiańszczyznę, poświęcając jej obszerne i ciekawe ustępy.

Poznaliśmy osobiście pana Obermüller. Należy on do tych ludzi gorąco zamiłowanych w przedmiocie podjętych badań, do tych zawziętych karczowników, których ogół tak mało pojąć zdoła, których pracami świat nie wiele się zajmuje, a przecież oni to jedni oddają hołd owym pierwotnym tubylcom Europy, którzy w krwawym poie czoła przygotowali grunt do przyszłej cywilizacji starożytnych Greków i Rzymian, jak i nowożytnych ludów europejskich.

Oo do prac pana Goehlerta, uderza nas w nich ostateczny rezultat. Podług tego uczonego, nazwiska miejscowości kończące się na *ina, ana, esa, isa, jub, ib, ing, barn* i *ron*, charakteryzują początek galski. Na tém prawie, nazwa księżniczki czeskiej *Libuszy* byłaby w harmonii z miejscowością *Luibisa*. Może to mieć związek z pobytem Gallów w Czechach.

Autor udowadnia osiedlenie się Gallów w Austrii na 1000 lat przed Chrystusem. Nie mamy nic przeciwko wnioskowi sięgającym tak głęboko w starożytność tutejszych mieszkańców, jak również nie zarzucamy wcale p. Obermüller, że sięgajeszczę dalej. Sądzymy jednak, że chcąc wniknąć do takich głębin, potrzeba zstępować po szczeblach. Takim to szczeblem w poszukiwaniach celtyckich nad Dunajem, Wisłą, Dniestrem i Dnieprem, są czasy około V wieku przed erą naszą; kiedy ludy galskie, wyszły z gniazda swego na Zachodzie—z dzisiejszej Francji, a rzuciły się na Wschód, gdzie zamieszkały w większej lub mniejszej *massie*. Ta migracja Gallów, to ich osiedlenie się w tych stronach, jest dziś pewnikiem historycznym. Ale ten pewnik nie

(1) Bibl. Warsz. Styczeń 1870 r. Kronika Paryzku.

został dotąd szczegółowo rozebrany. Zatrzymać się nad nim, rozwinąć go, oto główne zagadnienie dla badaczy, mianowicie słowiańskich, którzyby chcieli wziąć celtycyzm za przedmiot naukowych poszukiwań. Przedmiot to bardzo ważny i pojętny samą nowością. U nas wreszcie pierwsze lody przełamane już pracami Bielowskiego; niech bowiem krytyka co chce mówi, owe to prace stanowią epokę w rozwoju historycznym dziejów naszych, przez wprowadzenie do nich żywiołu celtyckiego.

Z ludów galskich, które przebywały w długim pasmie wieków na przestrzeni dzisiejszej Austrii, najwięcej obchodzą nas Bojowie. Część ich sięgała od źródeł Dunaju, przez Bawaryę i Tyrol aż pod Wiedeń; druga część osiedliła się w Czechach, Morawii i na Szlązku; inna znów część zamieszkała we Włoszech. Bohemia czeska była dla wszystkich gałęzi Bojów jakby główną fortecą, do niej to chroniły się w czasie niedoli, dalsze odrosłe tego szczepu. Tu pokonał ich wódz markomanów Marobut na lat dwanaście przed Chrystusem. Szczątki owych Gallów przechowały się dotąd w ziemiach czeskich i morawskich, pod nazwą rodową *Welchów* i *Wołochów*. Po przybyciu w te strony Słowian z Nadwiśla w V i VI wieku ery naszej, ludy te poczęły używać słowiańskiej mowy; pierwszy Palacki zwrócił uwagę na Welchów czeskich w czasopiśmie czeskiego muzeum z r. 1833. Według Goehlerta, w stronie Czech, gdzie dziś przeważa żywioł niemiecki, więcej pozostało śladów, galskich, niż w innych częściach kraju. Rzecz to ciekawa z wielu względów i godna sprawdzenia.

Z innych gałęzi galskich, przypominamy Skordysków osiadłych między Sawą, Drawą a Dunajem, aż do ujścia Morawy. Część to owych Skordysków spłądrowała Delfy na 278 lat przed Chrystusem. U Serbów dotąd *Stari Wlachy* zowią się mieszkańcy z nad Zbaru i Dryny. Serbowie przyszedłszy tu z za Karpat w r. 638, zastali jeszcze Gallów. Nazwisko *Wlachy* oznacza i dziś w mowie ludu serbskiego, mieszkańców Bośni, Kroacyi i Dalmacyi, jak to widzimy w *Starożytnościach słowiańskich* Szafarzyka.

Ombrowie przebywali u źródeł Wisły. Musieli oni silnie uciemieścić tubylców, kiedy od nich powstała nazwa Olbrzym, u Słowaków Ombryn. W języku celtyckim *Ambro* znaczy rycerz.

Z innych ludów galskich, Bastarny i Kotyni mieszkali nad Dniestrem i w Siedmiogrodzie. Kto wie, czy nazwisko *Chocim* nie pochodzi od galskich Kotynów; nie zapominajmy bowiem, że i sławna *Olbia*, acz nierównie dalsza, na dwa wieki przed Chrystusem, zagrożoną była przez Gallów.

Co do Rakatrów, od których pochodzi nazwa Rakuszan, istnieje spór pomiędzy uczonymi: jedni mają ich również za Gallów, inni widzą w nich szczep germański.

Bytność ludów powyższych na ziemi słowiańskiej jest pewnikiem. Od wyjaśnienia ich dziejowego rozpocząć należy szczególnie u nas badania nad Celtami. Poznawszy dokładnie te lu-

dy w czasach bliższych, można dopiero spuszczać się po szczeblach, w głębiny coraz odleglejszej ich starożytności.

Poezya madiarska ściągnęła dziś na siebie uwagę Europy. Wielu znakomitych krytyków niemieckich i francuzkich poświęca jej obszernie sprawozdania. Wszyscy w ogólności zgadzają się na to, że jeśli poeci madiarscy nie przyszli jeszcze do tej wytwornej doskonałości w formie, jaka zaleca utwory pierwszorzędnych poetów europejskich, nagradzają ten brak żywotnym zapałem i dziwnie bogatą wyobraźnią. Każdy ich utwór, czy to epos, czy dramat, czy prosta pieśń liryczna, nosi na sobie wybitną cechę ich indywidualizmu. Nie mała to zaleta, ona przecież sprawia, że poezye madiarskie trudne bardzo do tłumaczenia, nie dają się o tyle spopularyzować, o ile na to zasługują.

W licznem gronie prawdziwie narodowych poetów madiarskich, jedno z najpierwszych miejsce zajmuje Garay Janosz, zmarły przed dziesięcioma laty. Przez długi czas, przyémiony blaskiem Petöfiego, zdobywał on z trudem uznanie ziomków. Szedł wolniej niż śmiały współzawodnik, ale każdy krok posuwał go naprzód, aż stanął na wyżynie, z kąd przyświeca dziś narodowi.

Świat nie znał tych zaciętych walk, które Garay staczał codziennie z życiem. Nie były to wcale owe romantyczne walki Petöfiego, to oplakującego przedwczesny skon Etelki, to znów jak nowy Tyrteusz z szablą i lirą prowadzącego lud do boju. Garay walczył z nędzą; w czoła pocie zdobywał każdy kęs chleba dla rodziny; lecz kraj nie domyślał się nawet tych codziennych zapasów; odgadł je dopiero, gdy szermierz padł z mordowany na wyłomie!

Jan Garay urodził się w Szekszard 1812 roku. Pierwsze nauki odbył w Pięciokościolach, wyższe w Uniwersytecie Peszteńskim. W dwudziestym pierwszym roku życia, rzucił się z zapałem na pole literatury. Było to w czasach budzącego się romantyzmu. Pracował w dziennikarstwie; obok tego zajmował się poezją. Pierwszym jego utworem był poemat bohaterki w dziewięciu pieśniach pod tytułem: *Czantar*. Wydał go w roku 1834. Żywy to obraz pierwotnych czasów Węgier. Młody poeta wlepił badawcze oko w przeszłość; z mroku wieków wydobył wielkie wspomnienia, które miały być wskazówką i zachętą dla przyszłości. W roku następnym utworzył dramat: *Słowo proroka*, odegrany w Budzie w roku 1838. Inne dramata jak *Arbocz*, *Helena Orszagh*, *Ostatni Khan*, *Elżbieta Batorówna*, wysnute zarówno z rodzinnych podań, należą do pierwszego okresu jego prac poetycznych. Po roku 1838 rzucił chwilowo poezję, a począł wydawać w Prezburgu dziennik polityczny. Wkrótce potem wrócił do Pesztu, gdzie powołany został na członka Akademii Węgierskiej i Towarzystwa Kiszfaludich.

W pierwszych pracach Garaya znać już niepospolity talent i duszę gorącą. Słowo jego płynie jak żywy strumień, lecz więcej w nim potoczności niżli głębokiej siły; jeszcze Garay nie wydobyl z siebie tych palących zgłosek, które piętnują się na zawsze w pamięci ludu. Zbiór dopiero poezyi lirycznych, wydany w roku 1843, stawia go w rzędzie mistrzów. Nie szukać tu ani uczonej formy Wörösmartego, zaprawionego na wzorach klasycznych, ani orlego polotu Petöfięgo. Myśl Garaya prosta, ale głęboka, wyobraźnia trzeźwa lecz pełna barwy. Garay najświetniej wystąpił w tak zwanęj *Balladzie historycznej*. Są to obrazki z przeszłości, przedstawione z niesłychanęm życiem dramatycznęm w formie pełnej uroku. W nich poeta odtworzył mnóstwo podań dziejowych, które niegdys ożywiały massy ludu, nim czas przysypał je prochem niepamięci, i zagrzebał w starych kronikach. Z owychto kronik Garay dobył zaklęte skarby, przetopił je w gorącej piersi, naznaczył niejako własnym stęplem, i oddał narodowi drogą a zapomnianą puściznę. Wkrótce maleńkie te arcydzieła rozbiegły się po kraju, chwywane z równym zapałem przez magnatów, jak przez pasterzy puszczy. Garay stał się poetą prawdziwie popularnym.

W małym poemaciku p. t.: *Mojżesz węgierski*, odżywia on mityczną postać Almosza ojca Arpadowego. Z kronik średnio-wiecznych wydobyl wspomnienie tego wodza, który przyprowadził Madziarów do Europy. Trzej najdawniejsi kronikarze węgierscy: notaryusz króla Beli z XIgo wieku, biskup Chartuitius i Szymon Kéra z XIII, mówią długo o starym Almoszu. Opowiadają, jak bohater przybył z drużyną z Azyi nad Cisse, aby odbić straconą dziedzinę Attyli. Garay odtwarza tych praojców, nie w historycznej zapewne ich postaci, ale w takiej, w jaką przybrała ich tradycya ludowa, zaprawiona duchem rycersko-chrześcianańskim. Wiemy ze znakomitego dzieła Amadeusza Thierry, w jaki sposób wyobraźnia ludów, według właściwego sobie geniuszu, przerabiała postać Attyli. W oczach potomności, król Hunów nie jest bynajmniej barbarzyńcą; to bohater, to posłannik Boży, to szermierz pchnięty wolą Opatrzności na karki grzesznych plemion. Kiedy w tysiąc lat po nim, Maciej Korwin przedsiębrał krucyatę przeciwko Turkom, zwie się dumnie nowym Attylą! Garay trzyma się wiernie tej tradycyi. Ukazując Almosza jak prowadzi Madziarów z koczowisk skityjskich do stóp Karpat, ożywia w narodzie otuchę wspomnieniem wielkiego pradziada!.. Almosz jak nowy *Mojżesz* wiedzie lud swój do ziemi obiecanej, do ziemi zdobytej niegdys mieczem Attyli!

Wielka postać Almosza, otwiera długi cykl ballad historycznych, które wydał Garay w r. 1847, p. t. *Arpady*. Zbiór ten znalazł niesłychane powodzenie. W tymże czasie legenda o Zofii Bośniaczce, zjednała autorowi pierwszą konkursową nagrodę w poezyi. Wkrótce potem skreślił poetyczny obraz na tle kronik narodowych p. t.: *Żona Krzysztofa Frangepana*. Nakoniec poprobował

sił w poemacie na szerszą skalę: przedmiot do niego zaczerpnął w drogich narodowi wspomnieniach średnich wieków: ten poemat p. t.: *Ś-ty Władysław*, wyszedł poraz pierwszy w r. 1850.

Wypadki z czasów późniejszych, dostarczyły też poecie wątku do pięknych obrazków. Sławny kronikarz Turoszy, współczesny Macieja Korwina, opowiada o wielkiem upodobaniu tego króla w pieśniach ówczesnych kobziarzy. Do najpiękniejszych liczy pieśń o *Stefanie Konth z Hederwar*, rycerzu z XV wieku, sławnym pogromcy Turków. Był on niemniej żarliwym stróżem praw narodowych. Skazany na śmierć przez Zygmunta cesarza niemieckiego, oddał głowę pod topór kata.

Garay odnowił bohaterską pamięć Kontha z Hederwar, pieśń jego przeszła w usta ludu. Z domowej kroniki Zrynych wysnuł też krótki, lecz dziwnie piękny poemat, p. t. *Zrynyi Illona*. Bohaterką rapsodu jest żona dwóch przesławnych zapaśników XVII wieku, najprzód Franciszka Rakoczego, zaślubiona później Pöhölemu.

Umarł Garay w roku 1843, mając zaledwie lat czterdzieści, w chwili gdy talent jego przyszedł do zupełnego rozkwitu, gdy najpiękniejsze na przyszłość zapowiadał owoce. Trudy nad siły zaprowadziły go do grobu. Zmuszony pracować w dziennikarstwie na chleb dla licznej rodziny, z drugiej strony rwany w sfery ideału, polotem prawdziwie poetycznego ducha, nie mógł stawić czoła tym dwom tak sprzecznym prądom. Krytyk madiarski Kerbeny, gorzko wyrzuca magnatom, że dali zgasnąć tej gwiazdzie pierwszorzędnej na widnokręgu kraju swego. Zarzut to niesłuszny.—W ojczyźnie Kiszfaludich, Telekich, Szechenych, trudno obwiniać szlachtę o obojętność dla narodowej poezyi. Garay tał się z nędzą, żył w ukryciu, kłonał bez skargi. Śmierć dopiero zdarła tajemnicę tak pilnie ukrywaną. Wieść o nieszczęściu przeniknęła do głębi serca Madiarów. Zbierano podpisy w całym kraju, urządzono koncerty i widowiska teatralne. Kraj zabezpieczył utrzymanie rodziny; tym sposobem oczyścił się z zarzutu niewdzięczności względem poety narodowego.

Poważni krytycy, tak madiarscy jak niemieccy i francuzcy, wysoko stawiają poezye Garay'a. Tworzy on z Wörösmartym, Petöfim i Arany, świetną plejadę nowoczesnych poetów madiarskich. Według ogólnego zdania, jeżeli Wörösmarty panuje w tej plejadzie formą, doprowadzoną do wysokiej doskonałości; jeżeli Petöfi przyświeca w niej niezrównaną siłą młodzieńczego zapału: zato Garay przechodzi ich potęgą myśli i samodzielną siłą twórczą.

Z Cyklu arpadów dajemy w przekładzie dwa małe poematiki: o Almoszu, którego poeta przezwał *Mojżeszem Madiarów*, i o synu Almoszowym *Arpadzie*, któremu dano było jak Jozuemu wprowadzić lud swój do ziemi obiecanej. Idąc za tradycją upowszechnioną u kronikarzy średniowiecznych, o pokrewieństwie Arpadów z Attylą, poeta wziął sobie za cel, udowodnić prawa Ma-

diarów do ich ziemi, na odwiecznych podbojach Hunów. Attyla zdobył te ziemie na Germanach, na dwieście lat wprzód, niż Słowianie przybywszy tu z nad Wisły założyli państwo Morawskie nad Dunajem. Tak poeta madiarski legitymuje zabory Almosza i Arpada, zowiąc je raczej odbiciem własności niż podbojem.

Co do nas, nie wdajemy się wcale w historyczno-stenograficzne wywody, któreby nas zbyt daleko zaprowadziły. Nie zaprzeczamy bynajmniej Madiarom prawa obywatelstwa w Europie; wkupili się w nie krwią i ofiarą, wstrzymując szansem piersi własnych powódź Muzułmanów, grożącą zalewem światu chrześcijańskiemu. Przy tak rzeczywistych zasługach, położonych dla cywilizacyi, zasługach, które wycisnęły piętno europejskie na obliczu węgierskiego narodu, czemuż są prawa oparte na zdobyczach Attyli? Poetyczną fikcją... niczém więcej!

Przytaczamy tu dwa obrazki Garay'a, które wysoko oceniamy pod względem artystycznym. Żałujemy tylko, że ta barwa, ta woń czysto narodowa, stanowiąca główną ich zaletę, musi w wielkiej części zatrzeć się w tłumaczeniu.

Mojesz Madiarów.

Na błoniach stopą Skity wydeptanych w okół,
Zuchwały jak pantera, a wolny jak sokół,
Lud zrodzon w brzasku wieków z krwi magoga starej,
Nad Donem, niezmierzone zalegał obszary.

O karki tego ludu wróg szczerbił oręż,
Silni zgodą, w olbrzymów wyrosli tu męże;
Śmierć walecznych nie strwoży, przemoc ich nie złamie,
Aż w domowych zapasach zwątłało im ramie.

I ziemia, co karmiła ich od lat tysiąca,
Z gniewem niesforne syny od piersi odtrąca;
Upada pod boleści i sromu ciężarem,
Gdy widzi ład skłócony w oném gnieździe starém.

I wstrząsł się wielki obóz od zgiełku i wrzawy,
Bratobójczych zapasów powiał sztandar krwawy,
I łuna krwawym rąbkiem pokrywa pół nieba,
A lud krzyczy jak wściekły: „oręza i ohleba!”

Cóż to! czy grom uderzył? czy w śmiałym rozpędzie
Don gnany skrzydłem burzy, bije w skał krawędzie?
To głos wodza tak zagrzmiał... on gwałty powstrzyma,
Lud umilkł, słucha głosu—wzrok utkwiał w olbrzymia.

To Almosz, syn Turula (1), mąż niezłomnej duszy,
Cudnież mu włos gołębi nad czołem się puszy;

(1) Turul czyli Gryf. Podanie nadaje Gryfa za ojca Almoszowi.

Żrenica jak noc czarna; lecz popatrz w nią z bliska,
Jaki płomień słoneczny z jej głębi połyska!

„Słuchajcież mnie, zawoła, wy chobrze Madiary:
Wamże ramie z bezwładniac bratniemi poswary?
Z brakłoż to ziemi żyzněj na szerokim świecie,
Co Madiara do łona przytuli jak dziecię?

„Tam za góry, za rzeki nam pomknąć już pora,
Tam pełne zwierza knieje, pełne ryb jeziora:
Sławny pradziad nasz Étel, przed wieki dawnemi
Krwiaż ojców drogo kupił każdą piędź tej ziemi.

„Do lotu bracia orły, za góry, za wody,
Tam siać nam czyste ziarno miłości i zgody;
W księdze wieków nam skrésił z głoski ostrzem mieczy,
Niezlomna moc ramienia prawa zabezpieczy!”

Rzekł, i tysiąc płomieni błysnęło ku górze,
Tysiąc szabel w słonecznym kąpie się lazurze;
Z tysiąców piersi grzmiące rozległy się głosy:
„Prowadź nas... pójdziem z tobą wodzu siwowłosy!”

I oto siedem rodów bratnich z krwi i z ducha,
Zaczém pomkną na Zachód istna zawierucho;
Patrzą w step, znać dostrzegli wśród mnogich rozdroży,
Szlak czarny, co go zdeptał przed wieki *Bicz Boży!*

Almosz wzywa Tuchtuna, Eloda i Tasza,
Unda, Huba i Knuda: „Wodzowie, krew nasza
Niech uświęci serc węzeł!” Chwycą miecz z ochotą,
I siedm krwi strumieni zciekło w czaszę złotą.

Z rąk siedmiu krew wytryska! już dobiegła miary,
Kolejno wodze usta przyłożą do czary;
Uroczystym przysięgi zwiążali się słowem,
Wybiierać zwierzchnich władców w gnieździe arpadowém.

Z łupów w boju zdobytych, w moc bratniej uchwały,
Wszystkim wodzom jednakie niech przypadną działy;
Im to sądzić przestępce, im stać na praw straży,
Ten zgubion, kto na prawo targnąć się poważy.

Ruszają chmary ludu przez jary i wzgórze,
Mkną chyzo jak po niebie mknie gradowa burza;
Spieszą męże i starce, drobnój dziatwy roje,
Krasnolice niewiasty, jak kwiaty dziewoje.

Po przedzie, niby promień gdy z chmur się wysunie,
 Jedzie wódz srebrnowłosy na śnieżnym biegunie;
 Co krok zdobywa kraje, zbiera łup sowity,
 W tryumie książę Skitów wie dzie dumne Skity.

Pędzi po karkach ludów; przez siół zgorzeliska
 Przebrnął bagua Mohaczu, pot z czoła mu tryska;
 Gdzie przemknie, wicher przed nim niesie okrzyk grozy:
 Już na Karpat wierchołku rozbija obozy.

Tu powstrzymał krok starzec, tu serce w nim rośnie,
 Ztąd wzrokiem po obszarach zatoczy radośnie;
 Kraj on mlekiem i miodem znać bogato płynie,
 Niby ogród kwiecisty w rozkosznej dolinie.

Wtedy w duchu Almosza wielka myśl powstała,
 Wzniósł w górę obie ręce, wzrok ogniem mu pała:
 „Oto wasza ojczyzna! Bóg ją dał! — wyrzeczcie:
 Niech kresy jej na wieki zakreślą te miecze.

„Ufność w Bogu i w mieczu! Bóg i miecz nie myli,
 Waszą będzie ta ziemia praojca Attyli,
 Wam dziś serce i ramie uzbroić w moc nową;
 Jam strudzon, mnie czas spocząć pod darną grobową.

„Ty spełnisz wielkie dzieło z woli nieśmiertelnej!
 O mój synu bądź mocny, bądź wielki, bądź dzielny!
 Lud to wosk w dłoni książąt — kłatwa tych dosięże,
 Co z tego wosku lepią jasełka, nie mężel!”

Umilkł, a lud tumanem na dolinę spada,
 Grzmiały rogi, krwawo błyska proporzec Arpada;
 Kraj wzduż i wszérz końskimi stratowan kopyty,
 Zgiełk, teutent, stare Karpat wstrzęsły się granity.

A tam olbrzym-bohater stoi na gór szczycie.
 Podniósł ręce ku niebu, wzrok utkwil w błękiecie;
 Nad promienistém czołem zadrżał puch gołębi,
 Znać brzask ojczytwej chwały, błysł mu w ducha głębi.

Arpad.

Czyjeż one po nad Cissą
 Te żyzne obszary?
 Tu panuje dzielny Zalan
 Z bitnemi Bulgary.
 Wiatr mu latem na doliuie
 W złote kłosa dzwoni,
 Ma na łąkach trzody bydła
 I tabuny koni.

Ale chyżej niż chmur tuman
 Widnokrąg zaścienie,
 Drze się Arpad z półki swemi
 Przez Ungu gardziele;
 Szczętkły miecze—walczą wrogi,
 Trup w pokosy pada,
 Bój się skończył—dzwonią rogi
 Na tryumf Arpada!

Któż to w Bihar pod złocistym
 Pyszni się namiotem?
 Pije kumys z drogiej czaszy
 Cały odzian złotem?
 Sto huryszek ma przy boku,
 Tysiąc koni w stadzie,
 To Man-Maroth Khan Chazarski
 Zasiadł przy biesiadziel!

Ale chyżej niż prąd rzeki
 Pędzi z gór przez skały,
 Na Chazara z półki swemi
 Pomknie Arpad śmiały,
 Szczękną miecze, walczą wrogi
 Trup w pokosy pada,
 Bój się skończył—dzwonią rogi
 Na tryumf Arpada!

Cóż za lasy tak się czernią,
 Tam na tle błękitu?
 W wnętrzu ziemi dość tam złota
 I soli do sytu;
 Tam wołoskich siedem grodów
 Czołem w chmury strzela,
 A w parowach żyją wnuki
 Rozbitków Etela.

Ale chyżej niżli z nieba
 Grom ziemi dosięże,
 Wypuścili w cwał bieguny
 Arpadowi męże.
 Szczętkły miecze—walczą wrogi,
 Trup w pokosy pada,
 Bój się skończył—dzwonią rogi
 Na tryumf Arpada.

I ty królu Światopełku
 Ustąp z twemi Tody (1),

(1) Do tego to głównie ustępu stosują się uwagi nasze, któremi poprzedziliśmy dwa poemaciki Garay'a. Todami jak wiadomo zowią Ma-diary Słowian, którzy zajęli w VI wieku ziemie na Południe Karpat; nazwa

Nie wstrzymają nas twe wojska
 Ni warowne grody.
 Bóg przemawia naszym głosem,
 On nam ostrzy miecze,
 To *Bicz Boży* karki ludów,
 Przez Madiary sieczel

Ziemiaż padnie męźnych łupem?
 Oh! sił im wystarczy!
 Wtém uderzy trzykroć Arpad
 Po szerokiej tarczy.
 Trzykroć zabrzmie groźne hasło,
 Czy się wstrzęsły góry,
 Czy tak morze zaryczało,
 Czy grom wypadł z chmury?

Na znak pierwszy bitne druchy
 Powstrzymały boje,
 Na znak drugi do Arpada
 Lecą jak pszczoł roje;
 Na znak trzeci głucha cisza
 Na obszary pada,
 Po nad głowy dzielnych drużyn
 Rozgrzmiał głos Arpada.

„Gdzież to? gdzież to? Ha! Witezie,
 Czyż wam niedość na tém?
 I książęce błysły lica
 Chwały majestatem.
 Własność ojców już odbita,
 Na cóż nam łup nowy?
 Czas na wieki usłać gniazdo
 W ziemi Etelowej.

„Strzeżmy pilnie jak źrenicy
 Tęj puścizny męże,
 Niechże jedność, niechże zgoda
 Nasze serca sprzężel
 Dość zaprawdę krwi pociekło,
 Oh! nasz trud nie marny,
 Czas nam zasiać na podziękę
 Panu hołd ofiarny!”

ta szczególniej tyczy się Słowaków. Nie mogliśmy wyrzucić tego ustępu, żeby nie psuć całości artystycznej, zresztą maluje on to smutne usposobie- nie umysłów, które wywołało wojnę roku 1848.

I dym buchnął pod niebiosa,
 Rozgorzało błonie,
 Poświęcili na cześć Bogu
 Dwa śnieżyste konie.
 Wiatr północny z taką siłą
 Powietrze roztrąca?
 To dziękczynna pieśń Madiarów
 Grzmi z piersi tysiąca!

Do ołtarza siedmiu wodzów
 Przystąpi w milczeniu,
 Drogocenne kładą łupy
 Na świętym kamieniu,
 Pastérz jagniąt białych parę,
 Przynosi na gody,
 Rolnik kłosy, góral słodkie
 Tokaju jagody.

Idą dziewy krasnolice,
 Wzrok ich ogniem błyska,
 Z pochyloną kornie głową
 Klęły u ogniska.
 I pomknęła pieśń dziewicza
 Na stepy, na wody:
 „Złącz o Boże serca ludu
 Świętym węzłem zgody!”

Donosząc kilka miesięcy temu, o przyjęciu do akademii francuzkiej Ksawerego Marmier, zapowiedzieliśmy sprawozdanie z jego ostatniej publikacji p. t. *Podróże Nilsa*. Jest to niewątpliwie najznakomitsza z licznych prac autora. Talent jego pokazuje się tu w całej sile, tak w badaniach psychologicznych, jak w wydziale etnografii i historii. Podnosi wartość dzieła i to, że ogarnia większą część narodów europejskich

Autor wyprowadza na scenę fikcyjną postać młodego Nilsa, ucznia Upsalskiego uniwersytetu, który pragnie widzieć na ziemi urzeczywistniony ideał ludzkości i szuka go pomiędzy różnemi narodami. Zna doskonale Marmier usposobienia Skandynawów, długo bowiem przebywał między nimi i nieraz po mistrzowsku malował ich postacie. I w Nilsie przedstawia nam nieodrodnego syna Dalekarlii; a przecież w poglądzie na świat i ludzi, mianowicie w ocenieniu filozofii niemieckiej, Marmier zapomina o fikcyjnej osobistości Szweda, w którą się przyoblekł, a sądzi rzeczy przez pryzmat geniuszu czysto francuzkiego. Nie ujmuje to przecież wartości dzieła: jest to obraz etnograficzno-psychiczny i moralny rozmaitych krajów Europy, skręślony w obrazach świeżych, pełnych wdzięku, z jakimi dziś nie często spotkać się można.

Nils ukończył nauki w Upsalu. Powraca do rodzinnego gniazda, w góry Dalekarlii. Ów zakątek w górach nad jeziorem to prawdziwy raj ziemski. Młodzian znajduje tu wszelkie warunki rzeczywistego szczęścia: i czcigodnych rodziców, i ukochaną siostrę Stinę, i jasnowłosą Ebbę śliczne dziecię Dalekarlii, przedmiot młodzieńczych jego marzeń. A przecież myśl Skandynawa wyrwa się za te góry zarosłe jedliną, które czarnym pasem pokryły mu widnokrąg. Napróżno siostra, starsza o lat kilka, przedstawia z całą wymową kochającego serca, że świat cały nie da mu tego, co zostawia pod strzechą domową, napróżno powtarza rozmaitemi słowy stare przysłowie nasze: *wszędzie dobrze, a w domu najlepiej*. Nils jednak tęskni za ideałem, którego urzeczywistnienie musi znaleźć na świecie. Brzmią mu jeszcze w uchu słowa profesorów: jeden z nich kręślił tak piękny obraz Niemiec; drugi tak podnosił przemysłowy postęp Anglii; trzeci tak uroczo malował Francję! Opór siostry tém silniej podnieca młodzieńczy zapał brata. Nils puszcza się w drogę. Ojciec stary kapitan wojsk szwedzkich, dziś dyrektor kuźnicy, wyprawia go sam w podróż. Niechże syn własnem doświadczeniem sprawdzi teorie upsalskich profesorów.

Następuje chwila pożegnania nad jeziorem. Matka błogosławi jedynaka ze łzami, ojciec tłumy wzruszenie. Mała Ebba przybiega z wiązką kwiatów. Siostra Stina prosi o długie szczegółowe listy. Owe to listy, stanowią główną ósnowę dzieła.

Nasz młodzian zatrzymuje się w Stokholmie: z wyczyn Morsbachu patrzy na gród skandynawski, rozsiadły nad jeziorem, w posród drzew i zieleni, najeżony w gotyckie wieże, oblany dalej białemi wodami Bałtyku. Serce młodziana uderza dumą narodową na widok starożytnej stolicy, jednej z najwspanialszych w świecie; myśl jego przecież wyrwa się na skrzydłach w świat obcy i nieznan.

„Ztąd—pisze—jadę do Niemiec, do kraju pieśni, gdzie wszystko technie żywą poezją. Tam mury starych zamczysk powtarzają jeszcze urocze zwrotki Minnesyngerów; do ich gzymsów przyrosły ze nichem tradycje wieków rycerskich. Tam pod cieniem zagrody wyrastają idylle, niby modre niezabudki po łąkach; u każdego ogniska krążą ludowe klechdy, schwycone żywo piórem braci Grimm; w każdym lesie odzywa się podziwiew tajemniczego rogu; przy każdej studni gwarzą Hermany i Doroteje.

Tak marzył nasz młodzian, płynąc Bałtykiem do pomorskiego Szczecina. I jakże rzeczywistość nie odpowiedziała ideałowi wypieszczonemu w duszy poetycznej! Zobaczmy, co pisze z Berlina.

„Otóż jestem w Niemczech, a do tego w jednej z pierwszych stolic niemieckich. Kraj, który przebywałem, wcale mnie nie zachwyił: wsie i zagrody jakoś nie idylliczne; owe Gretchen i Doroty pochylone z motyką nad zagonem kartofli, równie dalekie od ideałów Goethego, jak panorama Berlina od cudnej panoramy Sztokholmu!

„Tu nie dopatrzysz ani morza, ani jeziora, ani zielonych pagórków; wkoło piaski i wydmy porośłe tu i owdzie karłowatą sosną lub jałowcem. W pośród tych stepów piaszczystych, toczy się leniwie ponura i mętna Sprea. Z obu stron rzeki na szerokiej przestrzeni, widzisz spiętrzone gmachy, poważne, zimne, jednostajne. To Berlin!

„Owe ulice wyciągnięte prosto jak pod sznur, dają mi obraz sławnych grenadyerów gwardyi Fryderyka Wilhelma Igo uszykowanych do przeglądu. Te gmachy zbudowane na rozkaz, strojne w kolumnady greckie, albo we włoskie frontony, dziwnie się przedstawiają na bladém tle północnego nieba. Tu teatr pomiędzy dwoma kościołami; tam muzeum obok arsenału; tu przy milczącej bibliotece, spiżowe posiłki generałów: wszystko pomieszczone dowolnie, bez myśli, bez związku, bez harmonii!

Otóż i ulica *Pod Lipami!* jak uroczą sama jej nazwa. Ale patrz!.. w jednym jej końcu zobaczysz brandenburgską bramę, a na niej tryumfalny wóz, uprzążony w cztery bieguny; w drugim końcu kordegardę, zkąd odgłos wojskowej pobudki rozlega się na miasto. Gdzie rzucisz okiem, roje oficerów i żołnierzy. Słowem Berlin przedstawia się w oczach moich jak rozległe obozowisko, zdobne o ile można, by uprzyjemnić pobyt w oczekiwaniu na nową, piękniejszą stolicę.

Prusacy mają Berlin za prawdziwy cud świata.

„Jak pysznie zbudowane miasto nasze! — powtarzają z przechwałką — jak wytworne, jak majestatyczne! Świat słusznie zazdrości nam pomników i zbiorów naukowych! Nasza biblioteka posiada prawdziwe skarby; nasze muzeum przystrojone w freski Kaulbacha, pełne wiekopomnych arcydzieł. Płody przemysłu naszego rozchodzą się na wszystkie krańce ziemi; z naszych ksiązek bije słoneczny blask po świecie! Sami Anglicy zazdroszczą nam wielu gałęzi handlu; pyszni nawet Francuzi badają pilnie organizację nierównanych szkół naszych!”

Z równem zarozumieniem Prusacy głoszą pochwały swego kraju, najpotężniejszego, najwaleczniejszego, najszcześliwszego, jak mówią ze wszystkich krajów ziemi. Według nich, inne państwa Europy zestarzałe, spróchniałe, chyłą się do upadku. Wśród tych narodów przekwitłych i strupieszających, Prusy wyrastają jak młody dąb, pełen siły żywotnej. Chwila jeszcze, a ów dąb rozciągnie nad światem swe szerokie konary. Prusy, to głowa Niemiec! wywalczyły pierwszeństwo siłą młodzieńczego zapału, potęgą idei, mądrością administracyi, a do tego nieporównaną armią, która obok tradycyi Fryderyka Wielkiego, posiada najdoskonalsze środki niszczenia, owoc nowoczesnej nauki!

„Tak Prusacy — pisze Nils — patrzą na przyszłość swego kraju. Wojsko pruskie nie zadowolone tryumfem Waterloo, pragnie raz jeszcze obmyć we krwi pamiętną klęskę Jeny!

„Może być — dodaje — że z uprzedzeniem spoglądam na Berlin, ale wstrętny mi tu szczególniej widok tych oficerów w kas-

kach, brząkających pałaszami po bruku, z postawą tak zuchwale wyzywającą. Ilekroć przechodzę koło którego z nich, obawiam się by nie szukał zaczepki."

Otóż nastąpiło to, co przewidywał spokojny uczeń upsalskiego uniwersytetu. Jednego poranku *Pod Lipami* nastąpił przypadkiem na ostrogę idącego przed nim oficera; Prusak odwrócił głowę, zmierzył Szweda wzrokiem płomienistym, i rzucił mu w oczy dwa słowa, straszne dla każdego studenta: *Dummer Junge!*

Krew skandynawska zawrzała w młódem sercu. Nastąpił pojedynek. Uczeń upsalski znał prawidła fechtunku, trudnoż jednak mierzyć się z pruskim oficerem! Draśnięty w bok zmuszony był przeleżeć w łóżku dwa tygodnie!

Przed ową przygodą, Nils dzięki listom rekomendacyjnym swych profesorów, porobił w świecie naukowym niejakię znajomości. To też gdy wieść o pojedynku rozbiegła się po mieście, uczeni którym był zalecony, poczęli go odwiedzać. Zobaczmy, jak intelligencya berlińska przedstawiła się oczom młodego Szweda.

"Uczeni tutejsi—pisze do siostry—nadmierzają sztywni i nastrojeni; grzeczność ich dziwnie pretensjonalna, każde ich słowo wyrzeczone jakby z katedry.

Odbieram często odwiedziny dwóch ludzi wysoko tu cenionych: poety i filozofa.

"Poeta zaczął układać długi szereg dramatów, przedstawiających w chronologicznym porządku historię świata, od najgłębszej starożytności aż do czasów dzisiejszych. Doprowadził rzecz do Faraonów. W kilku wielkich tragediach, postanawia skreślić główne fazy dziejów starożytnych Greków i Rzymian; jak niemniej historią Europy w średnich wiekach. Doszedłszy do nowoczesnej epoki, rozszerzy swój plan; pomnoży ilość sztuk i liczbę działających w nich osób. W tym wielkim Panteonie pamiętek, Prusy zajmą godne siebie stanowisko. Z pomroku wieków ma wyprowadzić na widownię bohaterkie postacie, którym zawdzięczają zorzę chwały swojej, zaczawszy od Alberta Niedźwiedzia założyciela Brandeburgii, walecznego pogromcy Wendów, do księcia Ludwika poległego w walce z Francuzami.

"Zapytałem tego historyka dramatycznego, co myśli o Goethem i Schyllerze?

"Ci pisarze—odparł—nie byli bez talentu; zρέcznie nawet oddali niektóre postacie, ale wyobraźnia ich krążyła w zanadto ciasnem kole. Nie zrozumieli idei humanitarnej, której ja będę apostołem!

"Po takim zapowiedzeniu—dodaje Nils—nie wspomniałem już Kornela Rasyna, ani Szekspira. Bałem się, aby prorok idei humanitarnej nie zniewazył ulubionych mi poetów.

Posłuchajmy teraz co mówi berliński filozof:

„Ze wszystkich nauk najwyższą jest filozofia; a ze wszystkich szkół filozoficznych, najwyższą stoi szkoła niemiecka, przedstawiona przez pięciu ludzi, którzy należą ściśle do Prus, jeśli nie rodem, to przynajmniej pracami. Leybnitz był prezydentem akademii nauk w tym królestwie; Kant profesorem w Królewc; Fichte, Szelling, Hegel zajmowali katedry w Berlinie.”

„Razu jednego—mówi Nils—ośmieliłem się wyznać, że filozofia niemiecka cokolwiek jest za ciemna.

— Ciemna—zawołał oburzony professor—pan żartujesz zapewne.

— Bynajmniej! wasz sławny poeta Heyne powiedział:

„Kiedy książka filozoficzna wyjdzie w Niemczech, czekam aby ją przetłumaczono po francuzku.”

— Heyne był bezczelnym szydercą! Dziwię się, że pan bierzesz go na świadectwo. Nasze książki ciemne! szczególny zarzut!.. ależ mój panie, one jasne do zbytku!.. to jedyna ich wada! Pierwszy lepszy zastanowiwszy się trochę, zrozumie *Teodyceę* Lejbnitza; *Krytykę czystego rozumu* Kanta; *Ja* Fichtego; *Identyczność* Schellinga; *Idealizm obiektywny* Hegla.

„Filozofia przecież to nie prosta zabawka dla dziewcząt. Zniżyć ją do pojęcia tłumów, byłoby największym jej ublizeniem. Francuzi, którzy nie umieją nic uszanować, dopuszczają się takiej zniewagi. My czuwamy tu nad arką świętą. Co do mnie, chciałbym, żeby filozofowie jak starożytne magi, znaleźli osobny język do formułowania swych axyomatów. Może kiedyś przyjdzie do tego. Założyliśmy właśnie towarzystwo, które ma na celu tworzyć nowe wyrazy osłaniające myśl, aby stała się niedostępną profanom.

„Zagłębiamy się jak górnicy w tajemniczy świat systematów. Tworzymy coraz to nowe problemata w dziedzinie abstrakcyi, i od czasu do czasu odczytujemy rozprawy na ogólnych zebraniach. Niedawno i ja napisałem podobny traktat; oddałem go pod sąd specjalnego komitetu, a potem jednemu z najuczestniejszych prezydentów naszych, którego wszyscy uważamy za mistrza. Otóż mój panie, ani komitet, ani sam prezydent nie zrozumiał mojej rozprawy. Jakiż to dla mnie tryumf.”

Łatwo pojąć, że militarno-filozoficzny Berlin nie odpowiedział ideałowi naszego marzyciela.

Lepiej przypadło mu do myśli Drezno, owa północna Florencyja z pyszną galerją i bezcennemi zbiorami; ta kolebka sztuk pięknych, gdzie Weber tworzył Frejschitza, gdzie Rafael Mengs malował swe madonny; ta urocza dolina przecięta białą Elbą, opasana wieńcem wzgórz, pod których cieniem żyje lud poczciwy, światły, oszczędny i pracowity: istny ideał ludu!

„Zobaczymy—mówi Nils—co się stało z tym ideałym krajem? Panował tu słodki król, którego poddani zwali sprawiedliwym; któremu zbudowali pomnik. Ten król Fryderyk August

sprzymierzył się z Francją. Kiedy Europa podniosła na nią oręż, on jeden pozostał jej wiernym. Upadła Francja. Fryderyk August drogo przypłacił niezłomną swoją wiarę.

Nasz młodzian pośpiesza do Wiednia. Widok starożytnego grodu Habsburgów, silnie działa na młodą wyobraźnię. Przebiega z zajęciem te uliczki wąskie, wijące się wężykowato w różnych kierunkach, to pnące się pod górę, to spuszczone na dół, przyémione wysokimi domostwy, gdzie na każdym zakręcie oko spotyka miłą niespodziankę: tu odwieczny kościół lub pomnik, tam szeroką przestrzeń wysadzaną drzewami, miejsce dawnych fortyfikacyj. Różnoplemienna i różnobarwna ludność, zlewa się harmonijnie z malowniczym obrazem grodu. Nils patrzy ciekawie na przesuwające się tłumy Czechów, Węgrów, Dalmatów, Tyrolów, Włochów, Rumunów, Greków i Ormian. Prawdziwa wieża Babel! Jakież tu pole do etnograficznych badań, do psychicznych spostrzeżeń!

Właściwa ludność wiedeńska pracowita, wesola, swobodna, przedstawia się z idealnej strony w oczach młodego Szweda. Przy ognisku domowem mieszczan, spotyka patryarchalną gościnność i prostotę. Tu stare podania jeszcze nie poszły w zapomnienie, tu w ustach dziewcząt krążą romantyczne powieści o pięknych księżniczках i walecznych rycerzach, powieści przyrosłe do murów starych zameczysk, których szereg ciągnie się nad Dunajem. Patrząc na domowe cnoty tego ludu, Nils przebacza mu tradycyjną zastołość, lenistwo ducha i zbytne zamiłowanie w dobrobycie; nie zważa nawet, że kucharka wiedeńska więcej tu nierównie liczy wydań, niż arcydzieła Schillera i Goetego.

Ale i do tego naddunajskiego Edenu wślizgnął się wąż w postaci Włocha. Było to w czasach, gdy Austria posiadała jeszcze Medyolan. Nils poznał młodego Paolo, postać dwuznaczną i podejrzaną. Złudzony wpływem Włocha pożyczył mu sto reńskich. Nie będziemy tu powtarzać, jaką siecią intryg chytry Paolo osnuł łatwowiernego syna Dalekarlii, jak wprowadził go pomiędzy Karbonarów, jak zaskarżył przed policją, słowem, jak zręcznie pozbył się wierzyciela.

Nils wydalony z Wiednia, pośpiesza do Bawaryi, zatrzymuje się w Nuremberdze. Posłuchajmy, co mówi o starożytnym grodzie niemieckim.

„Cudowne! jedyne w świecie miasto! widzę żywy typ sztuki średniowiecznej, w frontonie przybytku Panny Maryi, pod sklepieniem świętego Sebalda, w przepysznym grobowcu tegoż świętego, wykowanym ręką Fiszera, w tych oknach różnobarwnych, do których Albert Dürer malował cudne wzory.”

Nie wiemy, dlaczego Nils zowie Fiszerelem naszego Wita Stwosza. Wiadomo przecież, że krakowski mistrz był twórcą grobu świętego Sebalda i wszystkich arcydzieł przechowanych ze czią w tym kościele. Niemcy jak widać, przerobili go na Fiszera

i jako swojego zamieścili w panteonie narodowej sławy, na tém samym prawie, na którym przywłaszczyli sobie polskiego Kopernika, szwedzkiego Linneusza i duńskiego Torwaldsena! O tych dwóch ostatnich wpadły nam niedawno w oczy, gorące protestacye Skandynawów.

„Ulice Nuremberga—mówi Nils—wazkie, kręte, zachowały pierwotny charakter. Te domy strojne w kamienne koronki, najeżone tysiącem wieżyczek, jakże malowniczy tworzą obraz! Nad każdą bramą wyryty napis: tu pobożna sentencya, tam data lub imię przekazane pamięci potomnych.

Jeden z tych napisów oznacza dom Alberta Dürera, drugi Hanza Sachsa, sławnego szewca-poety, mistrza minnesyngerów, który nie wypuszczając z rąk kopyta ani dratwy, utworzył sześć tysięcy pieśni lirycznych, i trzysta komedyj granych w Nuremberdze, przy poklasku całego miasta.

Wiele z tych domów historycznych zachowało po dziś dzień dawne swe przeznaczenie. Rytownik sprzedaje mapy jeograficzne w tym samym domu, gdzie w wieku XV rysował je sławny kosmograf Marcin Beheim, który spotkał w Portugalii Krzysztofa Kolumba, puszczając się na wybrzeża Afryki zachodniej, nieknięte jeszcze ludzką stopą.

Zegarmistrz sprzedaje po dziś dzień zegarki w sklepie, gdzie kilka wieków temu wyrabiano i sprzedawano tak zwane jaja Nuremberskie.

Potomek Fischera (Wita Stwosza!) odlęwa dotąd spiż, w tej samej giserni, gdzie sławny pradziad odlęwał posągi i arkady do grobu świętego Sebald!

A przecież tu i owdzie wznoszą się budowle, nowym nacechowane smakiem. Młodzi ludzie utrzymują, że te nierównie wygodniejsze i piękniejsze od dawnych. Starzy mieszczanie ciężko boją, patrząc na ten popęd młodego pokolenia. Drżą na myśl, że wkrótce może padną pod młodem te starożytne domy, z których oni tak byli dumni.

„Prawdaż to? zapytuje Nils — miałżeby Nuremberg przestać być Nurembergiem? Wszystko na świecie czas niszczy lub przetwarza. Wschodnia powieść Ruokerta maż być symbolem prawdy?”

Powtarzamy z Nilsem tę powieść:

Wbrew niezbląganym prawom przyrody,
Chinar żył wiecznie krzepki i młody;
Czas go nie zużył, śmierć go nie zmiecie,
Niezmordowany chodzi po świecie.

Szedłem ja, mówi, wieczornym chłodem,
Szeroką drogą pod wielkim grodem;
Ku zachodowi słońce się kłoni,
Patrzę... rwie starzec owoc z jabłoni

— Ojcie! zapytam, gołąbku biały,
Kto pobudował ten gród wspaniały?
— Hej! niepamiętne przetrwał on lata,
I przetrwa jeszcze do końca świata!

Zbiegło lat pięćset. O świcie rano
Szedłem tu znowu drogą mi znaną;
Widzę, na łące pasą się trzody,
Struże fujarkę pastuszek młody.
— Chłopcze, zagadnę, tu, na tej łące
Wszak się piętrzyło domów tysiące:
Kędyż się podział ów gród bogaty?
— Coby tu było, nie wiem, przed laty,
Zaśpiewa chłopiec; czas wszystko mieni:
Ja tu nie pomnę nic prócz zieleni!

Zbiegło lat pięćset. Czas bieży skoro,
Szedłem znów tędy: patrzę... jezioro!
Woda na słońcu uroczu świeci,
Rybak w głąb toni zarzuca sięci.
— Rybaku, pytam, ten obszar cały,
Dawnoż jeziora wody zalały?
A rybak na to potrząśnie głową:
— Ej! szkoda czasu na próżne słowol
Odkąd świat światem, odkąd człek w pracy,
Łowim tu ryby biedni rybacy!

Zbiegło lat pięćset! Spieszę tym torem,
Patrzę... dolina zarosła borem,
Dre się gęstwiną, gdzie wzrok poniesie,
Wtém głuchy łoskot posłyszę w lesie.
Schylon ku ziemi kmięcz widzę stary
Wali siekiérą w dębu konary,
Drugi na ściętej spoczywa sośnie.
— Dawnoż, ojcowie, ten las tu rośnie?
I widzę uśmiech na ustach kmięci.
— Odkąd słoneczko na niebie świeci,
Jak ziemia ziemią, po wszystkie czasy,
Na tej dolinie bywały lasy.

Zbiegło lat pięćset! Idę w te strony,
Tu gdzie szumiały dęby i klony,
Pyszne się gmachy biela z daleka,
Pod miastem wielka przepływa rzeka,
A w mieście gwaro, szumno i ludno,
Przez wielkie tłumy przedrzeć się trudno.
Tuż się to pasły na łąkach trzody?
Tuż przepływały jeziora wody?

Tuż niedźwiedź leśne zalegał knieje?
 Daremnie pytam! ten się zaśmieje,
 Ów zart złośliwie rzuci mi w oczy.
 Ha! pomyślałem, tak świat się toczy!
 Kiedy lat pięćset znów się przewinie,
 Cóż tu zobaczę?.. proch i pustynie!

„Miałby taki los spotkać piękny Nuremberg, ów idealny typ średniowiecznego piękna? — pomyślał upsalski marzyciel. Ale nie szukać mi ideałów rzeźbionych ręką ludzką, pójdę tam, gdzie ręka Boża wycisnęła typ nieśmiertelny, na owych Alpach granitowych, z poza chmur połyskujących wiecznym śniegiem.”

I Nils pospieszył do Szwajcaryi. Zobaczymy jego pierwsze wrażenia:

„Znalazłem tu idyllę! — woła zachwycony; odkryłem blisko St. Gall na stoku góry zarosłym jedliną, domek wiejski z ogródkiem. W tym domku zająłem pokój, przy poczciwej i pracowitej rodzinie. Ojciec pełni służbę w domu handlowym w St. Gall. Wychodzi z rana, wraca późno wieczorem. Matka, krzepka Szwajcarka, cały dzień na nogach, nie spocznie ani chwili. Ledwie że kur zapieje, pośpiesza do studni po wodę, rąbie drzewo, zapala ogień w kuchni, gotuje śniadanie i obiad, chodzi, sprząta, kręci się bez ustanku. Załatwiwszy się z domem, dalejże do ogródka: okopuje kartofle, obiera kapustę z suchych liści, podpięra groch tyczkami. Dwie córki haftują od rana do wieczora kołnierzyki dla kupców z St. Gall, którzy te hafty rozsyłają na wszystkie krańce świata.”

Wkrótce rozwiąta się idylla, potracona o ziemską rzeczywistość. Przy odjeździe Nils odebrał z rąk gospodarza ogromny rachunek, w którym obliczono ściśle nie tylko spożyty, chleb i mleko, ale i powietrze i słońce i wodę i szum jodeł.

„Co pan chcesz! — rzekł gospodarz, widząc zdziwienie w oku młodziana — kraik nasz mały i ubogi: podróżni to całe nasze żniwo. Czekamy na nich jak Holendrzy na śledzie, jak mieszkańcy Północy na słomki i przepiórki. Wielka też radość nasza, gdy z początkiem lata patrzym na przyciągające chmury gości: to pieszo, to konno, to dylizansem, to statkiem parowym, to koleją żelazną. Widzimy tu i wytworną arystokrację, i tłustych kapitalistów, i uczonych, i zakochane pary, i starych podagryków, i młodych awanturników: słowem różniaczą gawieź z wszystkich krajów świata. Szwajcaryja nasza to istna wieża Babel. My nie pytamy nikogo o legitymację; co nam do tego, jaką drogą doszedł kto do złota, byle go nam zostawił choćby garstkę!

„Dogadzamy też jak możemy cudzoziemcom: uśmiechamy się słodko do nich; wodzimy ich po górach i parowach; nie żalujemy trudów — bo też to nasze żniwo!”

Rozczarowany uczeń upsalski przebiega piękną ojozyzną Tella; co chwila nowy zawód. Razą go wysokie kominy machin

parowych wkóło jeziora zurychskiego; rażą go w Interlaken roje wystrojonych a poziewających Angielek; razi go chciwość bankierów i przemysłowców bazylejskich; razi go bardziej jeszcze, o zgrozo! ruleta na dolinie Chamouny... w obec Mont-Blanc! Niegdyś lud genewski, patrząc na to okropne pasmo gór, nazwał je *przekłętymi*, bo wierzył w prostocie ducha, że szatan więzi w tych wiekuistych śniegach legiony dusz potępionych.

Szatan osiadł tu rzeczywiście... Któż go nie poznał w postaci krupiera, pochylonego nad ruletą!

Znalazł nareszcie młody Szwed idealny zakątek nad jeziorem czterech kantonów, u stóp Rutli zwieńczonej kapliczką Tella, gdzie blisko sześć wieków temu, w zimną noc listopadową, trzech dzielni Helweci z Schwitz, Uri i Unterwalden zaprzysięgli wyrwać kraj ze szponów Geslera.

Tu wszystko jeszcze technie dawną poezją. Dym parowych kominów nie brudzi jeszcze uroczej łąk zieleni; drobna dziatwa nie więdnije przy warsztacie. Tu dziewczęta zachowały hozy rumieniec i dawny strój, w którym tak im do twarzy! Tu nie dojrzyć ani spanoszonych bogaczów, ni nędzarzy w łachmanach. Tu naczelnik rady złożywszy mandat, wraca do pług jak dawny Cyncynatus; tu sędzia pokoju w braku spraw do sądzenia, grabi siano i sadi kartofle!

Niestety i w tém gnieździe starożytnych swobód helweckich, to właśnie co było podstawą dziejowego bytu Szwajcaryi, a źródłem natchnienia dla poetów całego świata ucywilizowanego, to stało się właśnie powodem zatargów i klęsk domowych w ostatnich czasach. Wierni odwiecznym tradycjom religijnym, potomkowie Tella nie chcieli się nagiąć do idei, jaką nowi mędracy zalecali im w imię postępu.

Mieszkańcy Schwitz, Uri, Unterwalden przetrwali wieki w wierze ojców. To słabość! wołali chórem sąsiedzi. Nie sprzedali jak tamci, starożytnych okien, obrazów i naczyń kościelnych na budowę targowisk i jatek. — To szaleństwo! — To prawdziwa ślepotą! nedorzecznosc!

I oto propagatorowie idei postępowej, z słowem wolności na ustach, zaufani w liczebną siłę, chwytają miecz, uderzają na braci, wołając: „Przynosimy nasz postęp, naszą wolność; pochylcie wam głowy lub zginać!”

I krew zboczyła piękną dolinę udeptaną stopami Tella! i zmaciła piękny ideał marzyciela z Upsalu.

Nils pospiesza do Holaudyi. Tu patrzy zdumionem okiem na owoce mozolnej a wytrwałej pracy człowieka; bo też nigdzie człowiek nie okazał tak zwycięzko praw swoich nad przyrodą, jak na tej dolinie, nad którą góruje ocean, a przecież pochlonać jej nie zdoła; jak w tym kraju, który za czasów Tacyta, *nie był już wodą a nie był jeszcze łądem*, gdzie człowiek pozbawiony drzewa,

żelaza, kamieni nawet, dał cudowne dowody najwyższej twórczości ducha, niezłomnej niczem siły woli!

Oblicza Nils te tytaniczne dzieła, któremi Holendrzy zakreślili morzu granice, i ziemię kęs po kęsie, wydzierali z jego niesytą paszocy. Powtarzając swe hasło: *Zgodą rosną narody!* Osuszają Beemster, przetaczają wody Harlemu, jeziora i morskie zatoki przemieniają w żyzne pastwiska.

Z témże hasłem na ustach walczą jak lwy przeciw Hiszpanom, a walczą póty, aż po ośmdziesięcioletnich zapasach, wypierają najezdźców z kraju; z tém hasłem przepływają dalekie morza, zdobywają lądy, zatykają zwyciężko flagi na dalekich wybrzeżach.

„Cierpliwość, to geniusz Holendrów, mówi Nils; piętno tego geniuszu, wyciśnięte na każdej stronicy ich dziejów, w arcydziełach ich szkoły malarskiej, w budowie ich miast, słowem na każdej piędzi ziemi.

„Zwiedziłem te miasta holenderskie, sławne po świecie całym, zbudowane na palach, poprzecinane kanałami, zwieńczone lasem masztów. Wszystkie począwszy od Amsterdamu, wielkie, czyste, jednostajne, pełne ruchliwej a przemyślniej ludności; przebiegłem wzdłuż i wszere te bujne łąny falujące zbożem, te żyzne łąki, po których pasą się sławne gromady bydła. Widziałem wsie wzorowo zbudowane, czyste jak szkło, z wymiecioną ulicą, wymytymi domostwy, gdzie niedopatrzyć dziury w dachu, gdzie kupka śmieci osobliwym zjawiskiem, gdzie płoty i parkany całym nieznane, bo któżby tu śmiał targnąć się na cudzą własność?

„Patrząc z poszanowaniem na ten lud holenderski, tak spokojny, tak roztropny, tak pracowity, tak uczciwy!—tu dziecko nawet nie popłąsa, nie poswawoli, bo od kolebki powtarzają mu, że życie nie jest igraszką ale trudem.

„W tém surowém państwie rozumu chciałbym dopatrzeć choćby iskierkę wyobraźni! W tej mądrej Holandyi, brak mi poezyi natury i poezyi życia!”

Tę poezję natury i życia, znalazł młody Szwed w starożytnej Hibernii, w Zielonym Erynie, na onej wyspie świętych, z kądem światło wiary wybiegało niegdyś za morza; w tej kolebce Bardów, z kądem melodye ostatniego z nich Moora poruszyły niedawno świat cały.

Obszerny ustęp poświęcony Irlandyi, skreślony z gorącym uczuciem, stanowi najznakomitszą część dzieła. Autor stawia nam przed oczy żywotny szkic dziejów tego celtyckiego szczepu, począwszy od wieku V, kiedy Irlandya oświecona promieniem chrześcijańskiej cywilizacji, rozsyłała apostołów po Europie, zanurzoną jeszcze w pomroku bałwochwalskim. Wspomina pracę i trudy świętych: Patryka, Kewina i Kolumbana, powtarza poetyczne legendy krążące o nich po dziś dzień w ustach ludu. Przebiega siedmiowiekowe pasmo klęsk, bijących bezustannym na-

wałem, w ten Eryn wiecznie kwitnący i zielony, bo podsycany przez wieki ciepłą krwią dziatwy swojej.

W smutnym tym kalejdoskopie widzimy i napady Normandów na schyłku XII wieku, i krwawsze stokroć zapasy z Anglią za Plantagenetów, za Lankastrów, Tudorów a nawet za katolickich Stuartów, wznowione straszniej jeszcze za Kromwella i Wilhelma z Oranii!

Pomijamy te przerażające obrazy! Przejdźmy z autorem do O'Conella, zobaczmy jak maluje tę piękną postać.

„Wierny obraz typu irlandzkiego tak rysami oblicza, krępką i dorodną postawą, jak zaletami serca i umysłu, Daniel O'Connel rodem swoim nawet przedstawiał smutne losy Irlandyi. Pradziady jego byli księżętami, ojciec skromnym dzierżawcą wioski należącćj do uniwersytetu Dublińskiego.

Pierwszym jego nauczycielem był prosty pieban wiejski. Ojciec widząc w synu nadzwyczajną zdolność do nauk, umieścił go we Francyi, najprzód w kollegium Donais, a następnie w St. Omer.

Za powrotem do kraju młody O'Connel wystąpił w zawodzie prawnika. Wymowa jego wywierała wpływ prawdziwie czarodziejski. Nie długo przecież adwokat opuścił kratki sądowe, a wystąpił jako obrońca Irlandyi, przed trybunałem świata.

I oto młodzieniec dopiéro co nieznan, jeden z dziesięciorga dzieci ubogiego fermiera, dzięki potędze wymowy, a bardziej jeszcze potędze wzniosłych uczuć, opanował rzecz można Irlandyę, kierował tysiącami umysłów, pociągał tysiące serc, słowem odbierał hołdy całego ludu.

Gdy objeżdżał kraj, pasterze zstępowali z gór, zapalali szereg ognisk po drodze, dziewczęta rzucały mu kwiaty pod stopy, matki pokazywały go dzieciom, lud garnął się tłumnie koło niego, widząc w nim jedyną otuchę.”

Dzięki niez mordowanym usiłowaniam, O'Connel wywalczył sławne prawo, zwane *emancypacją katolicką*.

Wellington, równie jak on Irlandczyk rodem, ówczesny prezes ministrów, ogłosił to prawo w r. 1829, ulegając jak mówił, sile okoliczności. Stowarzyszenie katolickie O'Connella tak było liczne, tak potężne, że rozważny minister ustąpił rad nie rad pod naciskiem, by uniknąć wojny domowej.

Na prawie owej emancypacji katolickiej Daniel O'Connell wszedł do parlamentu i rozpoczął pamiętną a długoletnią walkę. Do ostatniej chwili dzielny szermierz walczył orężem słowa; śmierć zaskoczyła go na wyłomie”.

Ustępstwa na rzecz Irlandyi nie mają téj doniosłości, jaką Anglicy chcieliby im nadać wobec świata. Nowe prawa w większej części pozostały martwą literą. Wprawdzie katolicy nie wyłączeni już od urzędów publicznych; nie mają wszakże tych przywilejów, jakich używają protestanci. Duchowieństwo katolickie może dziś pełnić religijne obowiązki, lecz kościół anglikań-

ski uważany zawsze jako panujący w Irlandyi, a przecież protestanci stanowią tylko ósmą część ogólnej ludności. Dla tej garstki liczącej zaledwie 800,000 dusz istnieje w kraju 22 biskupstwa, 2,400 presbyteryj. Każdy biskup anglikański pobiera 250,000 fr. każdy pastor do 5000, wszystko to kosztem ubogiej Irlandyi.

Nils kreśli uroczy obraz Dublinia: „Miasto ślicznie położone na wschodnim brzegu wyspy, nad zatoką, którą porównują tylko do neapolitańskiej. Z jednej strony zatoki rozpostarta łąka, jak pyszny zielony kobierzec, z drugiej lasy świerkowe pokrywają strome wierzchołki Wicklow. Z tych wyżyn skalistych spada rzeka Liffley, która dzieli Dublin na dwie połowy. Nad rzeką piętrzą się gmachy rządowe i pałace wielko-brytańskich nababów, pobudowane z wytwornym smakiem, otoczone ogrodami i parkami; dalej srebrzą się piaski nadbrzeżne; dalej jeszcze szumi niezmierny okiem ocean.

Główną ozdobą Dublinia są właśnie te rozległe parki i skwery. Czegóż one dowodzą? oto, że ziemia tu za bezcen w porównaniu z Londynem i Edyburgiem. Ta okoliczność sprowadza do stolicy Irlandyi tłumy spanoszonych dorobkowiczów angielskich. Gdy ci rozsiadają się pysznie w swych pałacach, tymczasem na sztydach nędznych kramików czytamy nazwiska zubożałych parów i książąt tej ziemi nieszczęśliwej. Naddziady rządzą krajem, prowadzili waleczne klany do boju; prawnuki sprzedają na ulicy bawełnę i cygara!

Stare miasto zbudowane na górze, zowie się dotąd *dzielnica wolności*, z powodu szczególnych swobód, jakich używało w średnich wiekach. Było to niegdyś ognisko handlu i przemysłu, gniazdo zamożnego mieszczaństwa. Wojny, konfiskaty i proskrypcye wyludniły część grodu; ozdobne domy wsparte na gotyckich kruczkach, powaliły się w gruzy; opustoszoną dzielnicę, zajął ubogi proletaryat.

Ohydny obraz przedstawiają dziś te domy bez dachów, te okna bez szyb, pozabijane spróchniałymi deskami; te mury przerosłe mchem i pleśnią, pokryte chmurą pełzających jaszczurek. Długie drabiny przyparte do ścian zastąpiły miejsce pogniętych schodów. Po ulicach gdzie rzucić okiem, kupy śmieci i błota; stęchłe kałuże rozsiewają woń odrażliwą. W pośród tych zwalisk, na tych cuchnących śmietnikach roi się lud wybladły od głodu, półnagi, ledwie brudnym odziany łachmanem. Są to rzemieślnicy bez roboty, żebraki, gałganiarze i t. p. Jednej nocy policya naliczyła ośmuset tych biedaków, powalonych na barłogu, w opuszczonej ruderze.

Czasem ci nieszczęśliwi, pchnięci głodem do ostateczności zchodzą z góry i z przeraźliwym krzykiem, oblegają pałace dolnego miasta. Straszny to obraz! patrząc na trupią ich cerę, na wzrok ich obłąkany, na wychudłe ręce wyciągnięte z pod łachmana; rzekłbyś, że to jakieś widma cmentarne, a nie ludzie. Na ich

widok dzieci krzyczą, kupcy zamykają sklepy, bogacze drżą ze strachu za progami pysznych pałaców.

Ten biedny lud zapomniał już mowy ojców swoich, używa dziś zepsutego języka angielskiego. Piękny język staro-celtycki poszedł tu w poniewierkę; sami tylko filologowie wzięli go pod troskliwą opiekę, unosząc się nad szczególną harmonią, obrazowością i poetyczną barwą starożytniej mowy Hibernów. Przechowują oni ze czcią rękopism należący do epoki przedchrześcijańskiej.

Język przecież starożytnych Celtów przetrwał dotąd w hrabstwie Minster, a szczególnie w Connaught, gdzie Kromwel przesiedlił znakomitą część ludności. W innych prowincjach zupełnie zapomniane. Cała Irlandya umie na pamięć odwieczne legendy i ballady, lecz większość ludu powtarza je i śpiewa już tylko w języku angielskim.

Forma znikła, duch jednak przetrwał wcielony w obcą mowę. Wielu pisarzy irlandzkich zasłynęło w angielskiej literaturze. Do nich to należy Jonathan Swift, sławny humorysta, Goldschmidt ulubiony powieściopisarz, Scherydan poeta dramatyczny, Burke znakomity członek parlamentu z czasów wojny amerykańskiej i wielkiej francuskiej rewolucyi. Z pomiędzy kobiet irlandzkich znane powszechnie: Miss Edgeworth, Lady Morgan, Mistress Hall autorka wybornego dzieła o Irlandyi, mistress Jameson, zajmująca podróżniczką. W gronie mówców dość wspomnieć Daniela O'Connella, w gronie poetów Tomasza Moora, śpiewaka Lalla-Ruck i melodyj irlandzkich.

Te sławne melodye Moora są dla nowoczesnej Irlandyi tém, czém były pieśni bardów dla starożytniej. Weszły one wstępny bojem do salonów angielskiej arystokracji; poruszają tam najzimniejsze serca i budzą mimowolne współczucie dla tego zielonego Erynu, tak rzewnie opiewanego przez poetę.

Tomasz Moor dobrze zasłużył się krajowi, to też kraj serdeczną czcią otacza jego pamięć. Każde dziecko w Dublinie ukaże podróżnemu dom, w którym urodził się wielki poeta.

Poznawszy gruntownie Dublin, Nils najmuje *Jaunting-Car*, dorożkę irlandzką na dwóch kołach, zabytek pierwotnych czasów, i z woźnicą Mickiem puszcza się w okolicę. Mick, prawdziwy typ Irlandczyka, nie umie czytać ani pisać, ale umie na pamięć historię poetyczną swego kraju; zna wszystkie zwaliska starożytnych zamków i opactw, powtarza chętnie dawne podania i legendy przyrosłe do ich murów; śpiewa niezliczone ballady narodowe, zwłaszcza gdy podochooci sobie czarką whisky. Zawsze wesół i swobodny jak prawdziwy Irlandczyk, filozoficznie znosi codzienne troski życia. Nienawidzi Anglików. Zmuszony mówić ich językiem, przekręca z umysłu wyrazy, mieszając je napół z celtyckimi; zna bowiem język praojców, będąc urodzony w Connaught. Niech mu kto powie, że jako dobry katolik powinien miłować bliźniego, odrzeczce bez namysłu:

— To niepodobna, sam Bóg nie żąda tego; dopóki *Paddy Paddym*, musi nienawidzić *John Bulla!*

Młody Szwed przebiega z zajęciem ów zielony Eryn, zwany w pieśni Moora najpiérwszym kwiatem ziemi, najpiérwszą perłą oceanu. Przysłuchując się opowieściom Micka, zwiędza ruiny starych zamczysk, przystrojone w sploty dzikiego wina i powoju, i rumowiska dawnych opactw, tych niegdyś ognisk chrześciańskiej cywilizacji. Z równém zajęciem, zagląda i do dworku ubogiego plebana, i do chaty wieśniaka irlandzkiego. Okropnyż to widok téj chaty; oddajmy go wiernie za autorem:

Wyobraź sobie, pisze do siostry, cztery ściany ulepione z gliny, pokryte słomą lub darnią. Nie zobaczyć tu ani podłogi, ani przepierzenia z desek, ani komina, ani okien. Do téj czarnej dziury powietrze i światło wchodzi przez drzwi otwarte. Przez też same drzwi wychodzi na zewnątrz dym z ogniska. Całym sprzętem sagan na kartofle i koszyk zastępujący miskę. Stół i szafa należą tu do sprzętów zbytkowych i świadczą już o pewnym stopniu zamożności. Wkoło ogniska powalone kamienie służą w miejsce nieznaných stolców; tu i owdzie garść słomy lub grochowin potrząśnięta po ziemi, zastępuje łożo i pościel. Jeżeli biedna rodzina ma krowę, trzyma ją w izbie razem z sobą.

W takiéjto szopie bez światła, bez powietrza, gnieźdzą się ci biedacy. Dach pokryty ziemią psuje się bezustanku, deszcz wpływa do izby przez spękaną darnię, istnie jak przez rzeszoto i tworzy w niej wieczną kałużę, z której bucha zapowietrzony wyziew.

Szczęśliwy jeszcze, kto ma odzież całą, lecz i to należy do wyjątków. Dzieci polnagie, bosy, okopcone dymem, tulą się zimą do ogniska; starce drżą na barłogu, skuleni pod brudnym łachmanem.

W Irlandyi kmięd hoduje bydło, orze i posiéwa zagon, lecz kto inny zbiera plony z téj praoy. Krwawy zarobek biedaka starczy ledwie na opłacenie wygórowanego czynszu i niezliczonych danin. To téż tysiące biednych chłopków irlandzkich nigdy w życiu nie skosztowało mięsa, chléb nawet wielką u nich osobliwością. Tak śniadanie, jak obiad i wieczerza składają się tu wyłącznie z kartofli, przykraszonych zaledwie serwatką albo słoną wodą od śledzi. W latach nieurodzaju mieszają kartofle z trawą morską. Gotują je napół, aby utrudnić trawienie, i bez zaspokojenia głodu oszukać go przynajmniej!

Nie téż dziwnego, że w takich warunkach ludność pięknego Erynu zmniejsza się z każdym rokiem. W r. 1841 liczono jeszcze 8,170,000 mieszkańców, w 1861 r. cyfra ludności zesłała do 5,670,000! Biedni Irlandczycy wyganiani głodem z domowych ognisk, biegną w świat za chlebem i pracą. Z sercem rozdartém porzucają progi domowe; żegnają starych ojców, jedyną ożywienną nadzieją, że po kilku latach wrócą jeszcze na swoje śmieci.

W Kork siadają zwykle na statek, który ich niesie do Ameryki lub Australii. Autor stawia nam przed oczy rozdzierający obraz pożegnania:

„W dniu naznaczonym wychodzą z różnych stron nadciągają do portu. Jedni siedzą na ziemi nieruchomi i milczący jak głazy; drudzy wpatrują się w zielone wybrzeża, jakby chcieli wryć głęboko w pamięć ich obraz; inni wreszcie podzieleni na grupy, płaczą gorzko, żegnając rodzinę i przyjaciół.

„Moje dziecię — mówi kapłan do młodziana, nie upadaj na siłach, wytrwaj mężnie; pozostań wiernym Bogu: On ciebie nie opuści.

„Mój Patrycy — mówi do syna matka zalana łzami — włożyłam garstkę koniczyzny w twoją torbę podróżną. Jest tam jedna o czterech listkach, zerwałam ją na smugu blisko chaty. Ona przyniesie ci szczęście. Niechże ci przypomina tę ziemię, gdzieś się urodził, ten święty żagon, który orałeś z ojcem, ten kościółek, gdzieśmy razem modlili się w niedzielę, to ognisko, przy którym siadywaliśmy co dnia. Oj! smutnoż tam będzie bez ciebie! Jest wprawdzie młodsza dziatwa, ... ale niechże nam kto utnie jeden palec u ręki, inne go nie zastąpią!

„Bądź spokojny Kewinie — mówi młoda kobieta, jedną ręką tuląc do piersi jasnowłose dziecko, drugą trzymając silnie rękę męża — ja się nie boję ani morza, ani cudzych krajów i obcych ludzi. Jeśli płaczę, to z żalu za siwym ojcem, za starą matką, co mnie wykarmiła i wypiąstowała, gdy byłam małym dzieckiem. Jak oni biedni poradzą sobie bez nas!

I oto zegar z kościelnej wieży bije dwunastą; uderza dzwon na Anioł Pański — dźwięk jego rozlega się po falach i odtętnia w sercach wychodźców, istny jęk pogrzebowego dzwonu! I wnet potem odzywa się dzwonek parowca. Serca pękają z bólu, łzy mieszają się razem! Kapłan wstępuje na pomost, błogosławi biednych tułaczy. Wszyscy stojąc z odkrytą głową, króślą znak krzyża i chóróm powtarzają *Amen!*

Chwila jeszcze, a ofiara spełniona; rodziny rozdzielone na wieki! Synowie płyną w świat obcy i nieznan, stare matki płaczą na brzegu.

„Znalazłem w Irlandyi, mówi Nils, czysty ideał poezyi, ideał najszlachetniejszych uczuć; ale obraz tego nieszczęśliwego ludu zaprawił mi serce goryczą!

Miałże upsalski marzyciel znaleźć ten ideał w zimnym i samolubnym Albionie? Pospiesza do Anglii, zatrzymuje się w Liverpoolu, a następnie w stolicy. Zdziera on świetną zasłonę, łądcząc wzrok obcych pozorem dobrobytu, szczęścia i chwały, a odsłania gangrenę toczącą łono pysznego społeczeństwa. Ukazuje ten straszny proletaryat, rozpościerający swoje łaohmany u bram zwartych szczelnie pałacu West-Endu. Wprowadza nas w te zapowietrzzone *Work Housy*, nawskroś przesiąknięte zgnilizną, z których zatruty miazmat bucha na cały Londyn, połączony z dymem

tysiąca kominów, rozpościęra nał grodem ów załobny całun, przez który niedopatrzeć błękitu nieba, ni słonecznych promieni.

Francya stokroć lepiej odpowiada wewnętrznemu ideałowi. Młodzian olśniony zrazu urokiem Paryża, zwie go *stolicą stolic*, jedynym w świecie miastem; tak samo jak Wiktor Hugo w świeżej odezwie do Niemców, która tak obraziła germańską pychę! — Byłby może Nils pozostał w swém złudzeniu, ale nieszczęściem zaskoczył go w Paryżu rok 1848, nadeszły okropne dni czerwcowe! Nieprzyjaciel bezładu społecznego, patrzy ze wstrętem na tę chorągiew czerwoną potarzaną w błocie ulicznym, na lud wściekły z szału, pijany krwią, w imię wolności rozpasany na gwałty, morderstwa i swawole!

„Sen mój, pisze do siostry, nie miał nigdzie znaleźć urzeczywistnienia... napróżno szukałem ideału! Słońce ma swoje plamy, każdy zakątek ziemi ma swoje niedostatki i nędze.

Myśl ta przypomniała nam śliczną powieść Kraszewskiego — owego Tomka Prawdzica, szukającego ideału prawdy, nie po różnych krajach, jak Nils, ale w świecie psychicznym.

„Z moich kilkoletnich wędrówek, kończy młody Szwed, tę przecież wy dobyłem prawdę, że najmądrzej działa człowiek, który żyje tam, gdzie mu Bóg żyć przeznaczył; szuka zadowolenia serca w uczuciach rodzinnych, spokoju ducha w pełnieniu powinności, który kocha domowe gniazdo, nie dlatego, że wielkie i piękne, lecz dlatego, że własne.

Zakończa rzecz słowami Seneki: *Nemo enim patriam, quia magna amet, sed quia sua.*

My tę sentencją przełożymy słowami Krasickiego:

Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny;
Prawda że niebogaty, szczupły, ale własny!

W papierach tajemnych Napoleona III, znalezionych w Tuileries a ogłaszanych zeszytami, wydrukowano plan powieści, nakreślony własnoręcznie przez cesarza. — Dajemy go w przekładzie jako ciekawość literacką.

Pan Benoist, uczciwy *episier* z ulicy *la Lune*, zwinawszy interesu handlowe, popłynął w roku 1847 do Stanów Zjednoczonych. W ciągu lat dwudziestu, przebywał w różnych miejscach na szerokiej przestrzeni, między rzekami Hudson a Missisipi.

Powraca nakoniec do kraju, w kwietniu r. 1868. Mieszkając na drugiej półkuli, śledził wypadki zaszłe we Francyi od roku 1848, lecz sądząc je z daleka, nie mógł wyrobić sobie właściwych pojęć o zmianach zaszłych w ziemi ojczystej. Niektórzy podróżni francuzey mówili mu, że naród jęczy po rządem narzuconym, że za powrotem, ujrzy upadłą i dziwnie zubożałą ową Francję, którą opuścił tak kwitnącą za czasów Ludwika Filipa.

Pocziwy Benoist przybywa do Brestu parowcem transatlantyckim. Wpływa do zatoki, pełen uprzedzeń i przesądów, dręczony trywogą i żalem.

— Co znaczą owe czarne okręta, tak szpetne w porównaniu z naszymi dawnymi żaglowemi?—pyta pierwszego lepszego marynarza, którego spotkał w porcie.

— A przecież to okręta pancerne, pomysłu cesarza—odręcze zagadniony—okute żelazem, zabezpieczone od pocisku bomb! Ta pomyślna przemiana w statkach naszych, niszczy w pewnym względzie przewagę morską, jaką dotąd przyznawano Anglii.

— Może być—odparł kupiec —mnie jednak żal naszych starych okrętów, z wysokim masztem, i poetycznie rozpiętymi żaglami!

Podróżny prezentuje paszport; mówią mu, że ta formalność oddawna już zniesiona. Widzi tłumy ludu zbierające się na wybory. Dziwi się powszechnemu głosowaniu, niemniej się dziwi licznym kolejom żelaznym i elektrycznym telegrafom.

Przybywa do Paryża—patrzy zdumioném okiem na zaprowadzone upiększenia i zmiany. Kupuje rozmaite przedmioty; spostrzega, że nierównie tańsze niż były dawniej, dzięki handlowym traktatom; żelazo np. staniało o połowę.

Nie widzi ulicznych zaburzeń, tak zwyczajnych za Ludwika Filipa. Nie słyszy o więźniach ze świata dziennikarskiego, ani o wygnańcach politycznych.

Tu kończy się osnowa powieści; następuje szereg prostych notatek, które miały być wprowadzone w treść dzieła.

Pospiech w czynnościach sądowych.—Bank, zapomogi dla starców.—Dom przytułku w Vincennes.—Prawo koalicji.—Służba wojskowa złagodzona.—Żołd powiększony.—Medale ustanowione.—Emerytura większa niż dawniej.—Rezerwy wzmacniają siły armii.—Bank dla chorych księży.—Zniesione więzienie za długi.—Rady prowincjonalne.

Taki zarys cesarskiej powieści. Wyobraźmy sobie, że Benoist uszczęśliwiony stanem jaki zastał, odjeżdża znów za morze, i wraca, już nie po dwudziestu, lecz tylko po dwóch latach, jak sprzeczny zobaczyłby obraz! — jak odmienne wstrząsłyby nim wrażenia!

Wiedeń szczyci się i słusznie jednym z najznakomitszych poetów dramatycznych czasu dzisiejszego; mówimy tu o Józefie Wejlen. Jest to niewątpliwie pierwszorzędną gwiazdą na widnokręgu literatury niemieckiej. Innym razem powiemy obszerniej o samym autorze i o poprzednich jego utworach: *Eddie*, *Drahomirze*, *Rozamundzie*; tych klejnotach poezji, połyskujących tak czystym blaskiem na tle dzisiejszego realizmu. Teraz wspomnimy tylko ostatni jego dramat p. t. *Hrabia Horn*, odegrany po raz pierwszy w Wiedniu 30 października r. b.

Mistrzowski ten utwór przyjęty z niesłychanym poklaskiem, ukazał geniusz poety z nową, nieznaną jeszcze stroną. Wejlen w Rozamundzie i Drahomirze krążył w czarodziejskim kole średniowiecznych podań germańsko-słowiańskich. Wybierał bohaterów swoich z tego świata zamarłego w rzeczywistości, który miał tylko odżyć w pieśni poetów, według wyrażenia Szyllera. W Eddzie już zstąpił po raz pierwszy do epoki bliższej nas, w porządku chronologicznym do czasów wojny trzydziestoletniej; w Hornie przysunął się bardziej jeszcze do naszych czasów. Rzecz odbywa się już nie w starych Niemczech, ale we Francji, za smutnej pamięci regencyi księcia Orleanu w początkach XVIII wieku. Co zaś czyni dramat prawdziwie żywotnym, co szczególnie podnosi psychiczną i moralną jego stronę, to zadziwiające podobieństwo owej epoki z dzisiejszą. Jeżeli bowiem pod względem obyczajów, czasy regencyi nigdy się nie powtarzają, za to pod względem gorączki giełdowej, tej strasznej epidemii grasującej dziś w świecie, a zwłaszcza w Wiedniu, obecna chwila nie ustępuje bynajmniej czasom sławnego Lawa. Autor zatem ukazując w całej okropności gangrenę, jaka toczyła społeczeństwo przed stu kilkudziesięciu laty, przyłożył niemniej rozpalone żelazo do raka wysysającego krew żywą z piersi dzisiejszych ofiar. Gorący zapał, z jakim publiczność wiedeńska przyjęła sztukę; sąd krytyków, którzy pomimo przeważnego wpływu dotkniętych osobistości, jednomyślnie nazwali utwór arcydziełem, wszystko to świadczy, że choroba acz groźna, nie jest przecież śmiertelną.

Niektórzy upatrują w osobach wprowadzonych na scenę tożsamość z koryfeuszami dzisiejszego świata finansowego a nawet politycznego w Wiedniu. Co do nas, pewni jesteśmy, że talent takiego polotu, jaki się objawia w panu Wejlen, nie zniża się do zdejmowania prostych fotografii. Autor ma na celu ideał; maluje serce ludzkie, a że słabości serca jedne w gruncie, bez względu na wieki i strefy, łatwo zatem dopatrywać podobieństwo, szczególnie, kiedy epoki tak straszliwie do siebie podobne!

Pierwszy akt odbywa się w Paryżu w salonie markizy Lusignan, występuje służący Baptiste. Pogląda oknem na tłumy ludu otaczające karety Lawa, który wraca z posiedzenia akademii, jako nowo mianowany jej członek. Naiwnie komiczny Baptiste, wysławia czarodziejską sztukę; dziwi się, jakim sposobem Law umie zamieniać papier w złoto. Porwany ogólnym prądem zamierza całą swoją chudobę, zebraną w dwudziestoletniej pracy, poświęcić na kupno akcji.

Nadchodzi młody malarz Gustaw Hauteville, pragnie zobaczyć sliczną Blankę, przebywającą od kilku tygodni w pałacu markizy Lusignan. Blanka wychowała się z nim razem, pod opieką jego dobrej matki, w ubogim dworku wiejskim. Gustaw kocha ją i nawzajem od niej kochany. Przybył tu, aby pożegnać ją na długo, opuszcza bowiem kraj rodzinny; oburzony smutnym kierunkiem czasu, i upadkiem umysłów, postanawia udać się do Ame-

ryki, i tam na dziewiczej ziemi nowego świata wyrobić sobie stanowisko silną wolą a żelazną pracą. Za powrotem poślubi drogą Blankę. Następuje tkliwe pożegnanie: kochankowie rozłączają się pewni wzajemnej wiary.

Ledwie że Hauteville odszedł, wchodzi Michał Bourdon, jenerałny sekretarz Lawa, zimny, blade, wyżółkły jak pargamin: nosobiona zemsta i rachuba. Chce się widzieć z markizą Lusignan, która pojawia się niebawem.

Bourdon w imieniu Lawa zaprasza markizę, aby uświetniła dziś obecnością swoją ucztę, którą intendent jenerałny wyprawia z powodu przyjęcia swego do akademii. Kwiat arystokracji francuzkiej będzie na owęj uczcie. Sam książę rejent przyrzekł obecność swoją. Onto pragnie, żeby markiza zrzuciła w tym dniu wdowie szaty, i ukazała się znów wielkiemu światu. Markiza odrzuca ze wstrętem niewczesne zaprosiny.

— Ja! miałabym—wofa z oburzeniem—przestąpić progi tego nizekzemnego oszusta? Nie! Moja noga nigdy tam nie postanie!

— Nigdy! odrzecz szyderczo Bourdon—zaraz to zobaczymy. Posłuchaj pani, opowiem ciekawą historiją. Była niegdyś młoda, uboga dziewczyna, która musiała, rozumiesz pani *musiała* przyjąć rękę starego markiza. Jakże się wywdzięczyła za dobrodziejstwo? Oto przegrała na giełdzie cały jego majątek! Starzec w rozpacz odebrał sobie życie. Powód samobójstwa niewiadomy światu. Nikt go nie zna prócz mnie i pani. A co markizo, wszak będziesz dziś u Lawa?

Markiza przerażona, spojrzy nagle na pierścień złoty, połyskujący na jej palcu, czy jej zajaśniały radością.

Widzi to Bourdon. Nie koniec jeszcze historii— rzecz z piekielnym uśmiechem. Taż sama pani zaraz po śmierci męża, trzy miesiące temu, napisała list do dawnego kochanka, wzywając go, aby natychmiast przybył, gdyż pragnie połączyć się z nim, i ukazać mu córkę, której dotąd nie widział.

Każde słowo Bourdona rani jakby sztyletem pierś markizy. Mięsza się, blednieje, drży jak liść, szarpana gniewem i rozpaczą.

— A cóż—pyta spokojnie Bourdon—wszak pani przyjedziesz dziś do Lawa?

— Szatanie!—zawoła markizą—wszak ty sam wpłatałeś mnie w przekłętą grę giełdową! ty sam sprowadziłeś okropną katastrofę!

Bourdon przypomina, że markiza pozostała mu dłużną 30,000 liwrów. Pani będziesz u Lawa! powtarza nakazującym głosem i wychodzi z pokoju.

Ledwie odszedł, wpada hrabia Horn.

Markiza czuje się oswobodzoną. Otucha wstępuje w jej serce.

Horn mówi ze zgrozą o tym szalonym wirze, w jakim dziś cały Paryż pogrążony. Tylko co przybył do stolicy po długim oddaleniu. Jakaż tu straszna zmiana? Idąc tu, dziwne jakieś

niezrozumiałe słowa potrącały mu ucho. Na ulicy nie słyszał nic oprócz wyrazów: *bank, akcje, kompania, Mississipi, hausse baisse* i t. p. Nie dziwi go to, że motłoch rzucił się w ten odzłomne filary starożytnych domów, przykute dziś do tryumfalnego wozu Lawa! Pragnie uciec czempredzėj z tego wiru namiętnėj cieiwości, nieprawego zysku!

W Normandyi pozostał mu jeszcze zamek rodzinny. Tam schroni się z markizą; tam ją poślubi; tam będą żyć spokojnie, zdaleka od tėj duszającėj atmosfery paryzkiej.

Markiza oznajmia mu, że dziś jeszcze, zagnalona koniecznością, musi być na balu u Lawa.

— Niel ty nie będziesz tam! woła Horn z najwyższém oburzeniem

W tėj chwili otrzymuje list wzywający go również na wieczór do Lawa. Tam dowie się ważnych rzeczy dotyczących zamku w Normandyi.

Oboje ze wstrettem postanawiają zejść się na owym balu. Jutro opuszczą zapowietrzony Paryż.

Drugi akt rozpoczyna się w gabinecie Lawa. Przybywa minister Dubois. Odbiera Lawowi cały fundusz zakładowy banku, w ilości 12,000,000 franków, a nadto otrzymuje dla siebie pół miliona. Za to wręcza intendentowi jeneralnemu blankiet podpisany przez rejenta. Jest to nominacya na gubernatora Mississipi. Law wpisze nazwisko osoby, którą uzna za odpowiednią.

Dekoracya rozsuwa się i przedstawia salę balową, przybraną z niesłychanym przepychem, oświetloną tysiącem jarzących świateł. Markiza Lusignan odgrywa rolę gospodyni balu, drżąca od trwogi, z sercem przepelnioném goryczą. Bourdon istny szatan, raz po raz przybliża się do niój i szyderczém słowem rzuca pocisk w jēj serce.

Nadchodzi książę Orleanu, wesoły, cyniczny, wykwintny jak zazwyczaj. Przystępuje do markizy, mówi z przymileniem. Ona odpycha go z zimną pogardą.

Goście napływają coraz tłumniej, świetne grupy krążą po sali. Na boku przy zielonym stole, potomkowie najpierwszych rodzin, oddani z szafem grze hazardownej, rzucają paczkami akcje. Tymczasem wieści giełdowe istne race, przebiegają z ust do ust. Akcje, któremi pomiatano przed chwilą rosną do bajecznej wartości. Z drugiej strony sali, nie młoda lecz strojna pretensjonalnie hrabina jakaś przystępuje do Lawa, błaga aby jēj wskazał akcje, które ma kupić.

— *Wnuki* pani hrabino, rzeczce złośliwie znudzony Law, te najwłaściwsze dla pani.

Jedne z akcji nosiły nazwę *Wnuków*.

Hrabina cofa się dotknięta do żywego.

Książę Saint-Simon (autor sławnych pamiętników) przedstawił zdrowej części społeczeństwa, patrząc z oburzeniem na ten odmet. Tymczasem książę Orleanu wpada na dziwaczny pomysł: rozkazuje, aby każdy z obecnych wypowiedział otwarcie co myśli. Wiedzą wszyscy, że w takich razach nie trzeba maskować się w obec cynicznego rejenta. Występuje pierwszy książę St. Simon i w jaskrawych barwach maluje chwilę obecną, przedstawia upadek szlachty, szaloną pogoń za złotem, brak zamiłowania w uczciwej pracy.

— Ależ moi książę! — woła rejent — tożto kazanie wielkopiątkowe a nie salonowa pogadanka! Teraz ja wam powiem co myślę! Dziś w nocy zajrzałem głęboko w kielich szampana, a że *in vino veritas*, mówi przysłowie, otóż stanęła mi w oczy filozofia życia w całej prawdzie. Ziemia ta nie jest czem innem, tylko szpitalem warjatów! — my wszyscy obłąkani, a im bardziej szalejem, im pustszy wir porywa nas w swe koło, im raźniej rzucamy się w szal uciech i rozkoszy, tém lepiej spełniamy zadanie!

— Stare ideały runęły bez powrotu — rzecze Law do księcia St. Simon — świat potrzebuje nowych. Otóż więc z bogacenie narodów, jest dziś niewątpliwie najzaoczniejszem zadaniem dla samej nawet szlachty.

Młodzi panice przyklaskują hurmem Lawowi.

Na to wpada Horn w gwałtowném poruszeniu. Błady, drżący rzuca wzrokiem pogardy po wynarodowionych synach możliwych rodzin franouzkich.

— Także to — woła — spadliście już nisko, że wam ten awanturnik śmie zachwalać w oczy swe szalbierstwa giełdowe, jako chlubne pole popisu? Dla nas świecą dwie tylko gwiazdy: jedną honor, drugą ojczyzna!

Słowa te jak grom rozległy się po sali. Książę rejent zaśmiał się na głos; St. Simon przyklasnął z zapalem; Law zbladł jak trup. Część szlachty rzuca się w gwałtowném poruszeniu; druga część stoi zawstydzona, jakby jej stopy wrosły w ziemię.

Bourdon przystępuje do Lawa:

— Mianuj go pan teraz gubernatorem Missisipi — poszepie mu na ucho.

Law stosownie do rady wpisuje na blankiecie nazwisko Horna. Hrabia z oburzeniem odtrąca nominację. Na tém zakończy się akt drugi.

Trzeci akt w domu Horna: Markiza Lusignan rozmawia z nim o córce. Ze względu na tę córkę błaga, aby hamował gniew, i nie ściągał na siebie nienawiści potężnych przeciwników. Horn przyrzeka zadosyć uczynić jej woli; mimo to zamierza wyzwalać Lawa na pojedynek.

Przychodzi Law. Przeprasza Horna, że śmiał tak samowolnie rozporządzać jego osobą; jednak obstaje przy tém, aby hrabia przyjął posadę gubernatora: w przeciwnym bowiem razie kredyt towarzystwa zachwiany w dotkliwy sposób. Cały Paryż wie

już o tej nominacji. Przytém zręczny finansista, w ponętnych barwach przedstawia hrabiemu wielkie zadanie, jakie może spełnić, będąc gubernatorem bogatej kolonii, większej co do rozmiaru niżli cała Francya. Po odejściu intendenta, Horn walozy sam z sobą złamany w postanowieniu.

Na to nadchodzi malarz Hauteville. Opowiada, że i on wpiisał się do owęj amerykańskiej wyprawy, lecz cofa się ze wstrętem; w towarzyszach bowiem zamiast ludzi energicznych, szlachetnych, gotowych do pracy, jakich spodziewał się znaleźć, poznał tylko same wyrzutki społeczeństwa: rozbójników, szulerów, galerników, słowem spędzony razem najnikczemniejszy motłoch, nad którym oddział wojska musi czuwać z nabitą bronią.

Horn zachwiany poprzednio przez Lawa, dziękuje Hautevillovi za takie ostrzeżenie. Dowiaduje się, że młody malarz kocha córkę jego Blankę. W tém ostrzeżeniu widzi wyraźny palec Opatrzności.

Gdy odszedł Hauteville, przybywa nagle Bourdon. Wyciąga z kieszeni nominację na gubernatora Missisipi. Podaje ją hrabiemu do podpisu.

— Odemnie rzecze — jako od dyrektora towarzystwa będziesz pan odbierał rozkazy.

Horn uniesiony gniewem rozdziera dyplom, rzuca go pod nogi przybyłemu: Bourdon z założonemi w tył rękoma okropnym wybucha śmiechem.

— Nie przyjmujesz pan nominacji! — rzecze zimno — zobaczymy to zaraz.

W mgnieniu oka zmienia Bourdon postawę. Stawa przed Hornem już nie jako agent Lawa, ale jako uosobiona zemsta i nienawiść. Z piekielną złością bluzga w oczy hrabiemu gradem wyrzutów, które tém silniej godzą, że po części uzasadnione. Ojciec Bourdona był poddanym Hornów. Urzędnicy starego Horna przygotowali go o śmierć. On sam dzieckiem, przypuszczony do zabaw zuchwałego panicza, polykał co dzień srogie upokorzenia i obelgi. Kiedy panicz cwałował konno po parku, on jak pies musiał biegnąc na równi z koniem, a jeśli tehu brakło mu czasem w piersi, jak pies odbierał chłostę. Długo tak było, aż dnia jednego przebrała się miara i uciekł od harapu. Zemsta była mu odtąd hasłem, jedynym celem życia. Postanowił bądź co bądź zzbogacić się, zdobyć potęgę jaką daje złoto i zimny rozum. Krok za krokiem szedł cierpliwie do mety. Kiedy młody hrabia obarozony długami, strwoniwszy ojcowiznę, opuścił na długo Francję, on pomalu poskupywał od wierzyteli wszystkie jego rewersa; co więcej wydobyl mandat aresztu, wymierzony przeciw zbiegowi.

Z zimnem, pogardliwem szyderstwem rzuca Bourdon palące słowa. Rozkosznie pastwi się nad ofiarą, jak pająk nad uplątanym w sieci owadem. Hrabia miota się, istny lew zraniony; drży szarpany gniewem i trwogą; tacza się rozpaczliwie po pokoju, zaciska pięści, oczy stają mu słupem! Ale nie dosyć jeszcze. Bour-

don na domiar okrucieństwa szydzi z miłości hrabiego, obrzuca markizę powodzią nikczemnych potwarzy. Horn doprowadzony do wściekłości, porywa szpadę, zatapia ją w piersi nieprzyjaciela. Tu kończy się akt trzeci.

Przed rozpoczęciem aktu następnego, wyrok śmierci zapadł już na Horna. Czwarty akt odbywa się w posłuchalnej sali księcia Orleanu. Przybywają do rejenta trzy deputacje: jedna od szlachty z prośbą o ulaskawienie skazanego; druga od finansistów, pod przewodnictwem samego Lawa, żąda spiesznego dopełnienia wyroku, inaczej upada kredyt, zachwiane bezpieczeństwo towarzystwa; trzecia od ludu żąda niemniej wymiaru sprawiedliwości.

Rejent przyjmuje razem wszystkie trzy deputacje, aby nadać sprawie zabawniejszy charakter. Nie czyni zadosyć niczym prośbom, zachowuje w tajemnicy ostateczne postanowienie. W końcu jednak pociesza markizę Lusignan, przyrzekając półsłówkiem łaskę dla Horna.

Piąty akt odbywa się w obszernym dziedzińcu, pomiędzy murami więzienia. Horn występuje otoczony orszakiem szlachty. Gotów umrzeć; jedyne tylko zostało mu jeszcze pragnienie: chciałby patrzeć własnymi oczyma na upadek oszustwa giełdowego.

Na ulicy tymczasem powstaje gwałtowny zgiełk; wrzawa wzmaga się coraz bardziej. Akcje nagle spadły. Bursę zamknięto; znikły nieprzeliczone skarby, istne fata morgana. Rozpacz ogarnia całe miasto. Wyzyskiwany lud miota najstraszniejsze klątwy. Law wpada na dziedziniec, za nim pędzi rozjuszone społeczeństwo, gotowe zasypać kamieniami sprawcę ogólnego nieszczęścia.

Horn przemawia do ludu, powściąga jego zapęd. Wczorajszy król finansistów, koryfeusz bursy, dziś zohydżony bankrut, Law, wymyka się przez tłumy, które na widok jego cofają się ze zgrozą.

Przybywa markiza Lusignan z Blanką i malarzem Hautevillem, aby pozornie pożegnać skazanego. Ufa przecież obietnicy rejenta, wierzy w ulaskawienie.

Pojawia się na koniec sam rejent, ofiaruje łaskę hrabiemu z warunkiem, że podda się pod wyrok, i przeprosi z pokorą sąd, za gwałt popełniony przeciwko społeczeństwu.

Horn odrzuca łaskę rejenta. Powoduje nim nie pycha, ale raczej sumienne przekonanie, że przelaną krew powinien opłacić krwią własną. Wchodzi na rusztowanie spokojny; widział bowiem w ostatniej chwili sprawiedliwość spełnioną na oszustach giełdowych.

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Jeżeli zajmujące są opisy krajów odległych, niemniej warte uwagi bliższe i bliżej nas obchodzące kąty Europy, mało zwiedzane, więc nieznanie prawie. Niema tu miast wielkich, rzek znakomitych, głośnych ludzi; ale są wsie zamożne, rozkosznie położone; miasteczka z pamiątkowemi murami, zamczyska romantyczne, okopy, dawne obozowiska. Ziemia bogata roślinnością, nierzadko gurbi się mogiłami. Jest wał kilkadziesiąt mil długi, zwany wałem Trajana. Rzeki, jeśli nie pierwszorzędne, to dlatego że zaniedbane. A ludzie?—ludzie, jak wszędzie. Od panów siedzących w pałacach do zagonowego rolnika, rozmaite stopnie drabiny społecznej. I tu odgrywają się dramata życiowe. Jest tło do zajmujących opisów i nauki. Są ludzie pracy, światli, szczerze pracujący dla społeczeństwa. Jest rolnik uczciwy, prosty, skromny, ale ma rozum w miarę potrzeby. Postęp ogólny ma echo tu i może prawdziwe ocenienie. Kilka rysów tego ustronnego kraju przesyłam redakcyi.

Okolica nad Wołkiem.

Rzeka tego nazwiska poczyna się od wsi Wołkowiec. Pierwsze zbiorowisko wody widać w rozległym moczarze; brzegi tego moczaru równe, czarno-ziemne. Pod wsią Karpowcami nowy przyciek powiększa masę wody, a w Szumowcach staw na Wołku zajmuje już sto morgów. Ztąd rozległym przestworem, tworząc łąkę użyteczną, po pod wieś Kołybanie, Bohdanowce, gdzie go przecina nasyp kolei żelaznej, idzie do miasteczka Derażni i rozlewa się tu ślicznym stawem zajmującym tysiąc morgów. Staw Derażeński ma młyny większego rozmiaru. Wielka szyba wody wygląda jak odlew przymorski. Obfituje w ryby. Niezmierna ilość ptaków wodnych ożywia go. Są tu już wydry, kaczk i gęsi dzikie, a nad brzegami tłumy żurawi i dropi. Śliczne te ptaki, wielkimi stadami obsiadają przyległe pola. Wyborne jako pokarm, szczególnie dropie; robią niemałe szkody w zbożu. To też rolnicy okoliczni wypowiadają im walkę. Bekasy, dubelty, kulony licznie obsiadają kępy; dla lubowników myślistwa doskonała

miejscowość. Od Derażni Wołk coraz większy; w każdej wsi zajmowany pod stawy; pod Latyczowem, a bardziej zaraz za Latyczowem, w osadzie Szczochowa wpada do Bohu. Od miasteczka Michałpola i wyżej zbiera się mniejsza woda zwana Wołczkiem; tu pod Dereżnią wpływa do Wołku, przebiegłszy kilka mil i ożywwszy łąki podobne do podwołczeńskich. Lasy już znacznie przetrzebione, jednak jeszcze w poważnej massie, zdobną i użytecznią kraj. Po większej części składają się z grabów, lip, jesionów, jaworów; gdzieniegdzie dęby, szczególnie pod Ziańkowcami tworzą oddzielne lasy, zwące się dębinami. Pyszny to las jeśli dobrze utrzymany. Każde drzewo prawie proste, zdrowe, silne, dźwiga się na czterdzieści łokci. Ziemia zwykle pod takim lasem doskonała. Obrócona pod zasiew wydaje wielki plon i obchodzi się bez nawozu lat wiele. Rozkoszny pobyt w tym lesie, szczególnie w drugiej połowie maja, w czerwcu i aż do października. Obfitość kwiatów różnej barwy, grzybów prawdziwych i podrzednych, miła zieleń i tęgość liści, obfitość żołądki, cisza ptaków, spotykane sarny, od kilkunastu lat znacznie rozmnożone; częste dziki, które od krymskiej wojny zjawiły się, urozmaicają i ożywiają sceuę. A las sam dębowy, to kapitał. Są drzewa wartujące kilkadziesiąt złotych, a liczą się na wiele tysięcy.

Właściciele ziemscy wszyscy prawie dawnym obyczajem sło-wiańskim mieszkają po wsiach. Klasa bogatsza i średnia nawet pobiera nauki w wyższych szkołach krajowych i zagranicznych. Wielu jest ludzi oświeconych, lubowników nauki. Mało kto szuka kariery w wielkich miastach. Zwykle skończywszy kształcenie się, możniejsi zwiedziwszy zagraniczne zakłady, wracają do swych wsi, żenią się i pracują na roli. To też znajdziesz tu domy z wielkim komfortem. Pałaców rzadko, chociaż są; ale porządnych dworów, obszernych, wygodnych gęsto. Ogrodów dość ładnych: bujne drzewa, świeże trawniki, umiejętnie prowadzone ulice, a nadewszystko massa kwiatów. Jest kilka ogrodów urządzonych przez Miklera, głośnego ogrodnika. Sadów, wielkich jak lasy, wiele. Lasy nawet, pełne dzikich jabłoni, grusz, a nadewszystko czereśień. Z pierwszym brzaskiem wiosny, gdy zakwitną różowo-białym kwiatem, sądziłbyś, że to nie lasy, ale ogrody.

I warto tu pracować na wdzięcznej glebie. Znana na wszystkich rynkach Europy tutejsza pszenica, jest pierwszego gatunku. To też wzięwszy pod rachunek, kilkanaście tylko wsi, gdzie gdy niema jakiej kłęski, rodzi na morgu ośm do dziesięciu i więcej kóp; sto kilkadziesiąt tysięcy korcy przedaje się do Odessy, czasem przez Bug do Gdańska, rzadziej do Galicyi. Mając więc nie olbrzymi majątek, lecz tylko jedną lub kilka wsi, można mieć znaczny dochód. Z takimi środkami po co szukać kariery gdzieindziej? Teraz uprawa roli kosztuje dość drogo; ludność niezbyt wielka a szczególnie oderwanie się od roli dla zyskowniejszej pracy przy kolei jest powodem. Ależ kolej, to arterya, ów gościniec do sto-

sunku z całym światem, wynagrodzi w przyszłym czasie trudność obecnego.

Boh, pod Szczodrową powiększony Wołkiem płynie już otwartą okolicą. Lasów już prawie niema, gdzieniegdzie tylko bukiet drzew. Boh rozdzieliwszy się na dwie gałęzie, tworzy rodzaj półwyspu, na którym świeci murami i dawnym zamkiem Sieniawskich Międzyborz. Półwysep dość stromy. Zamek ma cechy średniowieczne. Przed kilkunastu laty odnowiony, bieleje długą ścianą w zęby i grozi basztami. Ogół widoku piękny. Widać dawny most zwodzony, dziś już osadzon na stałej arkadzie; rozety przez całą długość i obwód muru, pas rzeki w dole głębokim; krzyż świątyni wznosi się po nad mury, a niedaleko za obrębem zamku jest drugi kościół parafialny, wązki a wysoki, z nadgrobkami Esterhazych. Tu w okolicy odegrał się wielki dramat, po którym pamiątki zostały w wysokich mogiłach. Stefan Czarniecki ztąd gromił Rakoczego, i zniewolił do przyjęcia twardych, lecz sprawiedliwych warunków. Wyjeżdżając z miasta, spotyka się kilka murowanych słupów, zabytków tureckiego najazdu. Zaraz za miastem płynie rzeczka nazwana Bożkiem; między nią a głównym Bohem wznosi się miasto. Kilka dróg wysadzonych pięknem już dziś drzewem pobiegło w kilku kierunkach; szkoda tylko że za wązkie. Drzewa podniósłszy się, dały cień; po deszczach ziemia nie łatwo wysychała, drogi więc popsuty się i zwykle jeżdżą po za aleje.

Tu, o wiorst dziesięć leży wioska, odznaczająca się czystością i dobrym stanem wiejskich mieszkań. Każda chatka okrągła, biała, z dziedzińcem oparkanionym; każde okno ma okiennice malowane. Sady zielenieją przy domkach i stoją duże stogi zboża. Wioska nazywa się Karpowcami. Przed piętnastu laty mieszkał tu właściciel téj wioski Kajetan Dorożyński; postać to była sympatyczna. Jeżeli wartość człowieka mierzy się miłością otaczających ludzi, on tę miłość posiadał. Ludzie pracy zwykle chłodni, spotkawszy go, cieszyli się widocznie. Niedosć że im zawsze stawał z pomocą, że każdego podniósł do bytu, że ich sam leczył w chorobach, ale znał każdego naturę; umiał z nimi rozmawiać, trafić do ich humoru; znał po imionach ich dzieci i pamiętał o ich potrzebach i przyjemnościach. Nieraz przyjechawszy tu, zastawałem go przy robocie wiejskiej, otoczonego kołem słuchaczy uradowanych i ciekawych końca tego, co opowiadał. Chociaż w całej okolicy lubiony i oczekiwany, najlepiej lubiał przebywać w swój wiosce. Każdego gościa prowadził na wieś, wstępował do chat, chwalił lepsze gospodynie, szczególnież te, u których była większa czystość w mieszkaniach i okrężność koło dzieci. Nieraz z nim siadywałem na ławie w izbie porządnéj; okna się odmykały, pościel gruba ale biała, sprzęt gospodarski czysty i dowodzący pewnej zamożności. Nie tylko że znał każdego właścianina, całą jego rodzinę, ale każdego konia, wołu i krowę; wiedział czyja, czy dobra, najczęściéj na jarmarkach sam ją wybierał.

Był to człowiek dawnego wychowania, uczył się mało, ale miał rozum przyrodzony, serce poczciwe i dowcipu bardzo wiele. Co umiał i wiedział, to z praktyki i nasłuchania się. Bywał w najlepszych towarzystwach, wszędzie lubiony i na swoim miejscu. Ubierał się starannie, jeździł porządnym powozem i dzielnymi końmi. Powozy miewał zagraniczne, ale najczęściej własnej fabryki, którą lubił się zajmować. Inwentarz jego nie wielki, ale dobrany i najlepszego gatunku. Trzeba było widzieć jego woły z rogami ogromnemi, zwykle siwe i tłuste; czasem kupowane w Bałcie na jarmarku, najczęściej swego chowu. Skoroś przyjechał do niego, zaraz cię wiódł do stajni i obór. I warto było chodzić: porządek wzorowy. Lubiał głaskać każde bydlę, i ono go lubiało i znało. Wróciłeś z obchodu, aż tu Iwaś prowadzi Mergesza stalowej maści, którego zwykle każdemu pokazywać kazał. Koń ładny, świecący się od szczotki, w trenzli z kutasami. Już od stajni wspinał się na dwóch nogach, dochodził aż do ganku pod wielką topolę. Czasami kazał go przejechać, czasem sam dosiadał. Pięknie było patrzeć, jak na żywym koniu słuszny mężczyzna muskularną ręką kierował bystrém zwierzem. Jeździec-był wyborny. Trzeba było pójść na jego tok, jaka precyzya w ułożeniu stert, ile tych stert na niewielką wieś, czystość wszędzie, zdaje się każda słomka na swoim miejscu. U wejścia magazyn piętrowy murowany własnej architektury z balkonem, na który często wiódł gości, z widokiem na dziedziniec dworu i całą wieś. Lubiał bardzo młodzież, w rozmowie z poważniejszymi swobodny igrający słowem. Czasem byle koncept się udał bezwzględnie; nigdy młodemu nie dał złego przykładu. Przy młodzieży wazył słowa. Śmiał się tylko z przesadnych i umiał mających pretensyę zawstydząć, i to tak zręcznie, że długo się postrzedz nie mogli. Na zgromadzeniach sąsiedzkich zaraz dostrzegłeś, że jest Kajetan, bo przy nim wszyscy się tłoczą, wpatrują zasłuchani; opowiadanie poważnie się toczy, aż nagle szmermel wszystkich rozśmieszył. Szkoda, że czas mi wybił z pamięci anegdoty przezeń opowiadane, niektóre żywe i iskrzące myślą wesołą. Możeby poważna nauka starła tę lotność swobodnej i prostej myśli, ale gdyby te zasoby rozwinęły się stopniowém ukształceniem; gdyby ten człowiek miał szersze pole; gdyby się w nim znalazł talent pisarski, byłyby to komedyo-pisarz pierwszorzędny. A w każdej jego anegdocie, wymyślanej na prędce i zawsze stosownej, ile serca i dobrych chęci dla ludzi. Ile razy z kąd przyjechał, zawsze z drogi przywiózł zapas świeżych opowiadań. Kogoś on spotkał, jakieś miał zdarzenie, z uprawy gruntu i powierzchowności wsi, odgadł, czy w niej mieszka dobry gospodarz, w każdej wsi porozmawiał z włościanami i z arędarzem. Charakterystykę żydów znał wybornie i umiał przedstawić. Książy nie lubił, dopatrywał w nich egoizm; chciałyby zupełnie ich inaczej postawić. Potrafił malować rozumnego i użytecznego księdza.

Wyjeżdżać lubiał szczególnie do tych, gdzie gospodarze byli według jego zasad. Najmilszym był gościem. Zaraz zajrzał do wszy-

stkich kątów; porozmawiał ze służącymi, opatrzył dobytek. Jeśli gdzie zastał niefad albo chorobę, zaradził i poprawił. Bawił się z dziećmi, umiał do nich trafić, że wszystkie go lubiały; choć kaprysów nie znosił i nie pozwolił nigdy. Pamiętam raz, przyjechawszy do domu, nie wiedziałem, że mam gościa, z półgodziny byłem zajęty, wreszcie przechodząc przez garderobę, patrzę że on siedzi i płaszcz mój naprawia. Umiał szyć wybornie. Często sam zszywał sukno do wybicia powozów, a skórę to już lepiej umiał szyć od rymarzy. Miał zawsze fabrykę siodeł i upręży, nieraz go widziałem z dratwą w rękę; lubiał chwalić się, jak sam zrobił jaką sztukę. Otrzymałem od niego w prezencie cztery szlejek przezeń uszytych. Często można go było zastać w kuźni przy młocie. Pewnego czasu jacyś państwo jechali wielkim powozem niedaleko Karpowiec. Złamał im się resor; byli w ambarasie, ledwo mogli dociągnąć do wsi. Od kołowrotu postrzegłszy kuźnię, dążą ku niej. W kuźni widzą człowieka w fartuchu, proszą o naprawę, nie odmawia. Prędko i porządnie przekowywa resor, z wielkim zadowoleniem podróżnych. Po skończonej robocie pytają go, kto mieszka w tej wsi, wymienia swoje nazwisko nieznane im; chcą mu płacić, nie przyjmuje, a zaprasza do dworu, zapewniając, że gospodarz przyjmie ich uprzejmie. Zgadza się i prosi, żeby ich zaprowadził, bo karczma pewno niewygodna. Prowadzi—wielkie było zdziwienie ich, kiedy w kowalu co się umył i prędko przebrał, poznali właściciela wsi. Oprócz tego, że zajmował się losem i dobrobytem swoich włościan i okolicznych, sąsiedni właściciele mieli w nim pomoc w każdej potrzebie. Mało na siebie tracił, a z porządnego gospodarstwa miał dobry dochód. U niego najłatwiej można było dostać pieniędzy. Sam się dowiedział, gdzie kto potrzebował i nieproszony często przywoził. Sprawy między sąsiadami godził; wyprawy dla żeniących się kupował. Koni bez jego rady nikt nie wybierał. Wiedziałem o kilku jego pięknych czynach, z którymi się tał. Trzech czy czterech młodych ludzi własnym kosztem oddawał do szkół, i potem w uniwersytecie utrzymywał. Wyszli na dobrych lekarzy. Kobięt się bał, zdawało się, że się nigdy nie ożeni, a jednak choć już nie młody, pojął w małżeństwo miłą i zacną pannę. Byłem na jego weselu. Żenowało go, że wbrew zasadom postąpił, ale był potem bardzo rad. Wielka szkoda, że nie długo się cieszył tym związkiem, żona w rok z połogu umarła. Długo, długo nie mógł jój zapomnieć, ile razy o niej mówił, miał w oczach łzy. Syna mu zostawiła, lecz i ten prędko umarł. Wrócił więc do dawnego trybu i ze dwadzieścia lat użytecznie, poczciwie, miły i pożądany dla wszystkich, przeżył w swoich Karpowcach. Co rok siódmego sierpnia, na Kajetana, miewał dużo gości. Aż raz jeden wróciwszy z utrudzającej podróży, wyszedł na dziedziniec i spostrzegł w sąsiedniej wsi ogień. Wpada na koń, pędzi, rozporządza ratunek; kilka godzin na koniu i chłodzie nie odstępował płonącego toku i tam się przeziębził. Wróciwszy, dostał gorączki i już słabego mocno przywieźli o kilka

mil do brata. Ta podróż, snąc wzmogła chorobę. Odwiedzałem go, a w ostatnich dniach nie odstępowałem. Mimo starań, z silnego tyfusu umarł. Wszyscy go żalowali serdecznie. Choć nie nie pisał, żałuję, że wielu jego opowiadań drgających życiem nie pochwylił na papier. Pomysł miał, a spostrzeżenia robił rozsądne bardzo, dowcipu zaś i soli pełne. Może niektóre w przyszłości dadzą się zgromadzić.

Tu niedaleko od Wołku, przepędził ostatnich kilka lat Franciszek Kowalski, znany w literaturze tłumacz Molier'a i innych ogłoszonych różnocośnie poezyj. Przed przybyciem w tę okolicę, ze trzy lata mieszkał w Tulczynie, miał tam czas i zrzeczność korzystać z zamożnej biblioteki — toż i korzystał. Kiedy go odwiedzałem, pokazywał mi wiele notat i wypisów. Bardzo mu tam było dobrze, nawet pod względem materyalnym. Mieszkał w skrzydle sławnego pałacu u Szczęsnego Potockiego. Stół miał w pałacu, mógł codziennie przechadzać się po świetnych salonach, mieszczących arcydzieła malarstwa i rzeźby, i po Choroszym, tak się zwie ogród Tulczyniecki. Na trawniku ostawionym posągami, jest pyszna altana; trawnik utrzymywany z dziwną elegancją, wygląda na aksamitny kobierzec. Tu on, najczęściej czas trawił i ztąd rzucił się w wodę, oblewając śliczną wyspę. Kąpał się codziennie od Marca do Października. Czytał mi poezycy swoje, mało większych rozmiarów, najwięcej okolicznościowe. Talentu mu nie brakło w rodzaju Beranżera. Warto, by wszystkie jego utwory obaczyły świat. Gdzie są obecnie, nie wiem, ale miał pełne teki. Ztąd przeniósł się do Czerniatyna, pięknej rezydencji nad rzeką Rowem. Własność to była wówczas Witosławskiego. Wykładał literaturę jego córkom. Ztąd kilka razy przyjeżdżał do mnie, i tam go już złożonej chorobą, z której nie powstał, odwiedzałem. Złamany już, nie tracił humoru, zajmowała go literatura. Miał postać dość pospolitą, płeć czarną, brodawki na twarzy. Mówił grubo i tak szybko, że wyraz z wyrazem się zlewał; trzeba było wprawy, żeby go zrozumieć. Umiał kilka języków, trochę muzyki, a conceptów miał pełno. Na ostatnim wyjeździe zatrzymywał mnie; gdy się tłumaczył potrzebą, „Wkrótce już pójdę spać, to się nie obaczym więcej.” Znaczyło to, że się wybięrał umrzeć. Tak się i stało. Był ożeniony z Jagielowiczówną, zostawił dwóch synów i cztery córki. Jeden z synów, doktor, ładnie gra na skrzypcach, drugi żołnierz.

Tu także niedaleko mieszkał w Zamiechowie Stanisław Starzyński, tłumacz Matki rodu Dobratyńskich i autor wielu poezyj. To był człowiek bogaty. Zamiechów miasteczko rozległe i handlowe z przyległemi folwarkami stanowiło poważną fortunę. Znałem go zbliżka. Postać znacząca. Blondyn, białej i rumianej twarzy; trochę miał powieki jakby przymknięte: dystynkcyi wiele. Żony nie miał, towarzystw nie bardzo lubił, miał tylko wybrane koło. Śród swoich pełen swobody i dobrego humoru. Lubiał przyjmować

u siebie, bez występu. Najmilsza jego rozmowa była o literaturze. Znał wszystkie europejskie, czytywał niewiele, pisał mało, jednak z kilkunastu lat co tu przeżył, zebrałaby się spora wiązka. Szkoda, że dotąd nieogłoszone. Miał dużo werwy, poglądy zdrowe, dowcip i natychmiastowość. Nagle przyszła mu myśl swój śliczny Zamiechów sprzedać. Spełnił ten nieogładny zamiar. Wziął grubą summę i zamieszkał czas jakiś w Kamieńcu, gdzie u niego bywałem. W domku małym, na wązkiej ulicy, w powietrzu ściśnionem, po takiej zamiechowskiej przestrzeni. Kupił także dwa kawały wsi, niedaleko Zbrucza, część jednej, część drugiej. Tego to już nie można było zrozumieć. Nakoniec wszystko sprzedał i przeniósł się do Lwowa. Tu już mój z nim stosunek przerwał się. Podobno wziął tam gruby spadek. Po kilku latach dowiedziałem się, że umarł. Szkoda; był to człowiek pełen sił, ukształcony z talentem.

Okolica nadwołczańska nie liczy się do najżyźniejszych. Są tu płodniejsze i piękniejszego położenia, wielkie przestrzenie ziemi. A jednak, gdyby tak była uprawiona jak należy, nie zostawiałaby nic do życzenia. Gdyby podobna gleba znalazła się w Prusach, lub Królestwie, liczyłaby się do najpiérwszych. Fyzyognomia jój ma wiele powabu. Szczególniej jadąc do Deraźni, ze wzgórz ślicznie wygląda; długi pas szerokiej łąki, wiecznie zielonój, przebłyskującej w niektórych miejscach wstążką wody, a po sianokosie jeżącej się stogami siana, nieprzeliczonemi, regularnie ułożonemi, czekającymi zimy aby je zwiéźć można. Po nad wzgórze rozsiadły się bielejące wioski, z dworkami i większemi domami gdzie niedzie. Nad brzegiem Wołczku, jest miasteczko Michałpol, na wzgórzu nad wielkim stawem. Ma kościół parafialny nie źle utrzymany, fundacyi Wisłockich; miasteczko było ich własnością, dziś przeszło do Kosielskiego. Zamieszkują go żydzi, kilkanaście domów zajezdnych z daleka nie źle wygląda, ale zblizka, tracą. Co dwa tygodnie bywają tu jarmarki na bydło i konie włościańskie. Są tu komisanci na wełnę. Okolica ma dość stad hiszpańskich owiec. Przeszłego roku trwoga się rozniosła spadkiem cen. Doszła wieść, że Australia dostarczyła wielką ilość wełny i ciągle dostarczać będzie; przedawano po osmdziesiąt złotych polskich pud; wielka więc ilość właścicieli sprzedała owce. Tego roku ceny się podniosły do stu dwudziestu, żałuje wielu pośpiechu. Dalej za Wołczkiem, co za Litkami wpada do Wołku, jest piękna wieś Manikowce, własność Ludwika Kosielskiego. Ma dom piętrowy, niemałych rozmiarów, owocowy ogród i przed domem piękny parter. Jest tu cukrownia i gorzelnia. O kilka wiorst leży długim rzędem zbudowana wieś Jaśkowce, własność Bernatowicza. Dom nie piętrowy, ale porządny z pięknym ogrodem. Są tu figarnie, dęby w ogrodzie okazałe, przesłiczna aleja, trawniki i kwiaty rzadkie. Deraźnia, miasteczko Stanisława Raciborowskiego, zdaleka czerwienieje dachami. Ma dom piętrowy i ogród niedawno założony, ale szybko wzrosły. Przed kilkunastu laty prócz dwóch alei li-

powych, był pusty plac, dziś mnóstwo świerków, topol, dębów i krzewów umiejętnie posadzonych, przedstawiają niby stary ogród. Wegetacya tu silna, drzewa rozkoszne. Tuż za domem właściciela wznosi się banhof kolei żelaznej. Pociągi już pędzą, i wąż ognisty dwa razy na dzień, świszcząc, wynurza się z blizkiego lasu. Przyszłość Derażni, obiecująca. Gościniec kolei przed Derażnią przechodzi głębokie jary, szczególnie na Wodzianej, zasypano go wielkim kosztem. Za Derażnią idzie po nad Wołk i w Bohdanowcach go przebywa. Tu niemniej praca była wielka, i tém kosztowniejsza, że całą robotę, wiosenny zalów zepsuł. Już temu poradzono. Za Derażnią po nad Wołk są wsie: Niższe, Czereszeńka, Śnitowka. W każdej duże młyny, gleba kamienista, wypalają się wapna i dobywają młyńskie kamienie. Latyczew, miasto powiatowe, nad Wołkiem, ma do sześciu tysięcy ludności. Kościół słynny odpustami, szczególnie na Jagodne, zbiera się tu kilkanaście tysięcy ludzi. Są tu sklepy i magazyny z dobrymi towarami. Była tu niegdyś rezydencya Potockiego, zwanego Rewera, który zamek swój oddał na kościół. Wielkie lasy podchodziły niegdyś pod same miasto, dziś już wycięte, jednak zajmują jeszcze ogromną przestrzeń. Jest tu dom starościński, dziś marszałkowski i wieża już nadniszczona.

Fr. Kr.



PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANIUCZNE.

Przegląd utworów dramatycznych z r. 1869.

Do przeglądów prasy peryodycznej, książek naukowych i powieści z roku zeszłego, pragniemy jeszcze dodać przegląd utworów dramatycznych, które w roku zeszłym zjawily się u nas już jako oryginalne, już jako przekłady, już téż jako naśladowanie. Niepodobna w przeglądzie takim objąć wszystkie dramatyczne utwory w języku polskim w rozmaitych okolicach wyszłe; ograniczymy się więc do wydanych w Warszawie i w Królestwie.

Wśród ogólnego upadku poetycznej twórczości od lat już kilku, *powieść* tylko i *dramat*, jeżeli nie rozszerzyły swojej produkcji, to przynajmniej z dawniejszemi czasami utrzymały się na równi, starając się sobą zapelnąć brak innego duchowego pokarmu, i odpowiedzieć wymaganiom publiczności, która prócz chleba powszedniego, czegoś więcej jeszcze potrzebuje. Jakoż epopeja od chwili ukazania się *Hetmańskiego pacholecia* W. Pola (1863) zdrzęmała; liryka ziewnięciem niesmaczném a niekiedy serdecznym jakimś uśmiechem z sfer wyższych, lub zadumą tęskną ślady życia okazuje; o sielankach, satyrach, gawędach i t. p. drobnych płodach poetyckiego talentu już nie marzymy; bajka tylko wypełnia swoją powinność względem tych umystów, które potrzebują allegoryi dla przekonania się o prawdzie. Za to odcinki gazet, felietony ilustracyj i pism modnych; dzienniki i tygodniki najrozmaitszej treści i dążności, zapelniają szpalty powieścią albo dramatycznym utworem. Prócz tego deski teatralne muszą także dawać od czasu do czasu jakieś nowości, co nie mało wpływa na wywołanie żądanych utworów. Jednakże pomimo takiego odbytu na powieść i dramat, nie zdobywamy się na zaspokojenie go za pomocą wyrobów własnych, musimy je sprowadzać z zagranicy. Stosunek utworów powieściowych oryginalnych do tłumaczonych wyrażał się, jak

widzieliśmy, cyframi 2—3; stosunek zaś w dramatycznych utworach jest bardziej pocieszający, bo przedstawia go 1—1, 3. Wyznać tu atoli należy z góry, że przewaga oryginalności objawia się tylko w utworach mniejszego zakresu, tak zwanych obrazkach dramatycznych, dramatów zaś właściwych i komedyi wyższej posiadamy tylko *pojedyńcze* przykłady. Już to oddawna narzekano u nas na brak zupełny dramatycznych talentów; szukano nawet przyczyn tego zjawiska w charakterze naszym narodowym, w owej bucie szlacheckiej, nie pozwalającej, żeby ją przedrzeźniano na *theatrum*. Imiona *Fredry*, *Korzeniowskiego*, *Magnuszewskiego*, *Słowackiego*, *Szujskiego* przedstawiają nam całkowite bogactwo nasze w tym kierunku; a dzieł tych dramatyków ileż na miano arcydzieł zaskuży?... Obecne czasy nie sprzyjają wcale do utworzenia jakiegś większej, potężniejszej całości, coby ześrodkowała w sobie wszystkie prądy i dążenia, wszystkie występki i śmieszności naszego społeczeństwa.

Nie każdemu ludowi przypadnie taki los w udziale jak Grekom, Anglikom albo Hiszpanom, którzy na gruncie narodowym potrafili zasadzić i wypielegnować najpiękniejsze drzewo w czarującym ogrodzie ludzkiej fantazyi; ów dramat, ów poemat czynu i energicznej działalności potężnych czynników, dających ludziom nieśmiertelność na ziemi.

U nas, cośmy mieli mniej gustu, a może tylko mniej czasu do estetycznej zabawy, gwiazda poczui i sztuki weszła wtedy dopiero, gdy wszystkie inne pogasły, gdy się nam zrobiło ciemno i smutno, gdy duch zrozpaczony, wielkim głosem wołał o rosy kropelkę! Gieniusz jeden i talentów kilka podało ją nam ze spóközuciem, a ich epigoni rozwodnili ją wodą zwyczajną a czasami... błotem i przytykali nam orzeźwiajączą czargę. Zeszło się więc na tór zwykły życia, na opisywanie jego drobnostek i słabostek; raczono się plotkami jakby w towarzystwie wiejskiem, gdzie od pogody począwszy kończą na deszczu, a z deszczu pogodę prorokują... Dramat nie podjął się rozwiązać wyższych kwestyj nad zwykłe, proste plątaniny miłosne, komedya nie sięgnęła do bardziej znaczących śmieszności, błędów nad pyszałkostwo dorobkowicza, albo parafiańskie plotkarstwo. Bądź co bądź, umysły teraz spowaźniały i nie mogą się już zadawałniać lada conceptami, które autorowi komedya nazwać się przywidzi, ani zużytemi, a niby poważnami tematami, które za dramata uchodzą.

Nie można się więc dziwić, że i sąd o zeszłorocznej naszej literaturze dramatycznej nie wypadnie bardzo pochlebnie.

Utworów i utworków dramatycznych rozmaitego zakresu i długości mieliśmy 20—z tych 7 oryginalnych, a 13 tłumaczonych. Są one następujące:

Oryginalne: 1. *Anna sekretarzem*, przez p. *Oskara Stanisławskiego* (w Opiek. Dom. i osobno); 2. *Hrabina się nudzi*, przez

Gabryelę z Güntherow Puzyninę (w Kłosach); 3. *Niepokój domowy*, p. *Karola Estreichera* (w Tyg. Ill.); 4. *Niewiara*, p. *Władysława Maleszewskiego* (w Tyg. Ill.); 5. *Piękne za nadobne*, p. *Mieczysława Dzikowskiego* (w Przeg. Tyg); 6. *Siłą wspomnień*, p. *Stanisława Rzętkowskiego* (w Wędrowcu); 7. *Żyd*, p. *Edwarda Lubowskiego* (w Kłosach i w odbitce).

Tłumaczone: 1. *Donna Dyanu Moreta*, tłumaczenie *K. Kaszewskiego* (w Bluszczu); 2. *Drahomira, Jozefa Wailena*, tłumaczenie *W. Ł. Anczyca* (w odbitce); 3. *Filiberta, Emila Augiera*, tłumaczenie *K. Kaszewskiego* (w odbitce); 4. *Miss Mutton, Eugeniusza Mus i Adolfa Bėlot*, tłum. *Seweryny Duchwińskiej* (w Tyg. Mėd); 6. *Narzeczone Arragońskie, Michala Beera*, tłum. *F. H. Lewestama* (w Kłosach); 6. *Półswiatek, Al. Dumasa syna*, tłum. *Al. Przedzięckiego*; 7. *Przyjaciel kobiet tegoż*, tłum. *Jana Chęcińskiego* (w Gaz. Pol.); 8. *Przepaść, Karola Dickensa*, tłum. *Joanny Belejowskiej* (w Tyg. Mėd); 9. *Przechodzień, Coppée*, tłum. *K. Kaszewskiego* (w dod. do Tyg. Ill. i osobno); 10. *Post-scriptum, Emila Augiera*, tłum. *F. S.* (w Wędrowcu); 11. *Rozbójnicy, Fryderyka Schillera* (osobno); 12. *Uczynność i wdzięczność, Eugeniusza Labiche i Edwarda Martin*, tłum. *Mirosławy Kaszewskiej* (w Tyg. Mėd); 13. *Wszystko albo nic, Karola Gėrand*, tłum. *Joanny Belejowskiej* (tamże).

Podziału trzymam się zwykłego, zaczynając od przekładów.

I. Tragedya. Rozwiemożniona niegdyś wszechwładnie na scenie, schodzi z niej coraz bardziej, nie budząc wielkiego żalu po sobie, gdyż koturny i ton jej wyniosły nie przypadają do smaku dzisiaj publice. Skromniejszy w wymagania dramata zastępuje jej miejsce. Nawet trudno dać teraz dokładne i wyczerpujące jej określenie, bo gdy kiedyś w starożytności przedstawiła ona walkę ludzkich namiętności i pragnień z nieubłaganą *anankę* (fatum), a później w świecie chrześcijańskim chciała dać obraz śmiertelnej waśni między uczuciem, pociągami a obowiązkiem i prawem; to dramat dzisiejszy a niekiedy nawet komedya mniej więcej podobne obierają temata, a pomimo to, tragedjami pėwszechnie ich nie nazywają. Rzecz więc cała polega na innym, podnioślejszym wypowiedzeniu burz, miotających sercem ludzkim i na wywyższeniu ich nad skalę życia codziennego. Jestto okoliczność bardzo względna i trudna do oceny z ścisłością. Jakkolwiekbyś kierując się tradycyą i uapisami na czele książki, możemy w roku zeszłym wyróżnić trzy tragedye: *Drahomirę, Narzeczone Arragońskie* i *Rozbójników*.

Treść *Drahomiry* (1) stanowi walka chrześcijaństwa z pogaństwem, walka, w którą zrzęcznie wplątano grę uczucia macierzyń-

(1) Recenzya *Drahomiry* przez E. Lubowskiego napisana, ogłoszona jest w Bibliotece Warszawskiej w roku 1869, w zeszytcie za grudzień, str. 508.

skiego i synowskiego przywiązania. Rzecz dzieje się w Czechach za pierwszych książąt tej ziemi. Drahomira księżniczka Łużycka, poganka, weszła w związku małżeński z księciem czeskim, który się spodziewał nawrócić ją na chrześcijaństwo. Zawiódł się atoli. Po jego śmierci matka Ludmiła obejmuje rządy, zabiera wnuka a syna Drahomiry, a jej każe wybierać albo wygnanie, albo chrzest i koronę. Drahomira postanowiła walczyć, zwłaszcza gdy część ludu pragnęła wrócić do dawnych bogów i gdy Tuman jeden z Łużyczan postanowił poświęcić się dla niej zastrzegając za nagrodę jej rękę. Powstanie ludu nie udaje się. Ludmiła ma jakąś moc świętą; Tuman wydziera zezwolenie zabicia jej z ust Drahomiry i dokonywa tego biorąc Wacława (syna Drahomiry) za zakładnika swych ambitnych zamiarów. Drahomira je odrzuca. Tuman unosi jej syna ale zostaje zabitym. Wacław wyrzeka się zbrodniczej matki, która dla pozyskania od niego uścisku, gotowa się wyrzec swęj wiary; ale opuszczona rzuca się na stos zapalony.

Treść obfita i pełna potężnych porywów serca i namiętności. Szczególniej Drahomira, kobieta energiczna, gwałtowna ale lękająca się zbrodni, matka, ale i poganka z przekonania; jak nie mniej Ludmiła (święta), surowa, ufna w Bogu, choć z odcieniem hipokryzyi, są bardzo dobrze oddane. Całość sprawia niejake znużenie z powodu przewlekłej akcji i lirycznych wylewów, które jakkolwiek piękne, mniej do nas przemawiają w tragedyi jak czyn pełen wymowy i cichęj a pociągającej. Pogański charakter epoki bardzo słabo zarysowany, widocznie przez cudzoziemca, który nie mógł tak szczegółowo poświęcić się badaniu przeszłości, obojętnej dla niego, kiedy i krajowcy nie wiele na nią zwracają uwagi. Tłumaczenie dokonane językiem silnym, jakby wyrąbanym, choć pozbawionym przez to niekiedy wdzięku, który w niektórych miejscach byłby odpowiedni. Rymowanie łatwe, jak zawsze w piórze *Anezyca*. W każdym razie utwór ten nie może mieć dla nas wielkiego znaczenia, już z tego samego powodu, że nie ma najmniejszego celu. Przedstawienie pewnej chwili historycznej dla niej samęj, bez żadnego związku z terażniejszością, to rzecz trochę zbyt kowna dla ludzi, którzy nie mogą żyć na świecie dla przysłuchiwania się tylko pięknym dźwiękom i malowniczym krajobrazom.

Narzezone Arragońskie Michala Beera, jakkolwiek również bezcelowe, mają atoli tę zaletę, że z całą prawdą malują najpotężniejszą na świecie namiętność — miłość, która na wieki pozostanie ciekawą i ważną dla każdego człowieka. Oddajemy więc tej tragedyi pierwszeństwo przed Drahomirą, jakkolwiek nie przeczymy, że podniosłość jej dykcyi, przechodzi czasami w napuszystość i nie-naturalność, co oczywiście wielce osłabia wrażenie. Miłość, którą tu autor przedstawia, to miłość prawdziwie hiszpańska, szalona, gwałtowna i rwąca jak prąd oceanu, albo cicha, zawarta w sobie jak dno wygasłego krateru. *Hipolita i Konstancya*, księżniczki arragońskie, pokochały wspólnie króla Neapolu *Alfonsa*. Hipolita namawia dawniejszego swego kochanka do zabicia Konstancyi, która

zmuszona sama rzuca się w morze. Dowiedziawszy się o intrygach, Alfons wzgardził Hipolitą i oboje umierają. Autor kończy wspinałą choć smutną sentencyą:

Już idą i niosą, wszak ciężar nie boli,
 Bo walka skończona, skończyło się życie,
 I któż się pochłubi, że miłość zniewoli!
 Ze zawsze nieczystą w doczesnym zachycie?
 Grób jój nie rozerwie, co straszny i nocny
 Pod wrota wieczności most sobie buduje,
 Nad czasem, przestrzenią jój życie się snuje:
 Bo Bóg jest miłością— a Bóg jest wszechmocny!

Nastrój dramatyczności jest tak silny, że mimowoli pociąga za sobą czytelnika; dwa atoli ostatnie akta mniej są potrzebne, bo nie rozwijają akcji z odpowiednią szybkością, i właściwie mówiąc śmierć Konstancyi kończy już tragedję. Szukanie jój żywej, a następnie ciała, nie zajmuje już nas tak dalece, ażebyśmy zapomnieli o próżni wewnętrznej w sercach działających osób. Charaktery, szczególniej dwóch odrębnój natury kobiet, są potężnie narysowane. Przekład pana Lewestama wierszem miarowym, z rymami w niektórych miejscach treści dydaktycznej lub też natężonego patosu, jest dobry, o ile naturalnie może być dobrym u nas wiersz miarowy, w którym musimy wstawiać częstokroć krótkie wyrazy całkiem niepotrzebne dla sensu. Zresztą choć z trudnością, ale sumiennie są dobierane.

O *Rozbójnikach* Schillera nie piszemy wcale, a to z dwóch powodów: najprzód, że jestto przedruk tylko z dawniejszego przekładu Michała Budzyńskiego, a powtóre, że o nich tyle już u nas pisano z okoliczności przedstawienia na naszej scenie, że niepodobnaby nam nic nowego dodać do owych rozpraw, z których każda osiągnąć może dla siebie stosowne korzyści. Natomiast przytaczamy tu przekłady mniej więcej wszystkie utworów Schillera, rzucając myśl, czy nie możnaby zebrać tych tłumaczeń w jedną całość i dać zupełnego Schillera naszej publiczności. 1) *Dziewica Orleańska* tłum. przez *Andrzeja Brodzińskiego* z poprawkami jego brata *Kazimierza*. 2) Tenże utwór tłumaczenia *A. E. Odyńca*. 3) Przekłady lirycznych utworów Schillera a między innymi i sławnego *Dzwonu* przez *Dyonizego Minasowicza* w zbiorze dzieł jego wydanych w Warszawie 1844 roku, cztery tomy. 4) Przekład *Pikkolomini* i śmierci *Wallensteina* przez *Jana Nepomucena Kamińskiego* we Lwowie 1833. 5) Przekład utworów dramatycznych: *Zbójcy*, *Fieško*, *Wilhelm Tell*, *Marya Stuart* przez *M. (ichała) B. (udzińskiego)*, Bruksella, 1862, cztery tomy. 6) *Oblubienica Messenińska* tłum. *Ferdynanda Bronisława Trentowskiego*, Wilno, 1843.

II. *Dramat*. Z dwóch dramatów (*Przepaść*, *Miss Multon*) bez żadnego wahania stawiamy wyżej *Miss Multon*, utwór dwóch autorów francuzkich: *Eugeniusza Mus* i *Adolfa Belot*. Niewierna żona

podaje się za umarłą, by ująć hańby i uchronić swe dzieci od bolesnego wspomnienia; ale tęsknota do nich prowadzi ją, w roli guwernantki, do domu swojego niegdyś męża, który się już powtórnie ożenił. Chce powrócić do praw swoich, ale doznaje oporu ze strony męża. Jakiż do tego powód przytacza małżonek? Na żądanie matki swych dzieci, by dla nich na nowo nie guwernantką ale matką była, odpowiada: „Chcesz zstąpić z piedestału, jaki ci wzniosłem, chcesz potarzać w hańbie tę czystość, tę niewinność, które uszanowałem, której broniłem pomimo całej goryczy wspomnienia? Naucz córkę twoją, że obok czystych rozkoszy życia, obok świętych obowiązków, obok błogosławionych uczuć, są także występne uniesienia, straszne namiętności, które odrywają kobietę od jej domowego ogniska, matkę od dzieci własnych i całą rodzinę, acz niewinną, znaczą niestartem piętnem poniżenia!”

Przedmiot to bezwątpienia ważny i wzruszający, przedmiot, nad którym na seryo zamyślić się przychodzi; a więc utwór na nim oparty musi się koniecznie wyróżniać z tłumu innych wyrobów i budzić najwyższe zajęcie; kogo tu więcej żalować, dla kogo czuć większą sympatyę: czy dla tej biednej, zbłąkanej matki, która nigdy nie wyschłymi łzami okupiła swój występpek, która kocha męża, kocha dzieci — a jednak rozstać się z niemi musi; czy ową drugą matkę przybraną, co również kocha tego samego człowieka a dla niego i dzieci; czy też wreszcie tego nieszczęśliwego męża, który pod maską martwoty kryje miłość, rozumem jak lodową taflą przykrywając wrywające się serce, by nie pękło, albo nie poskoczyło ku dawniej miłości na przekór wszystkim dowodzeniom rozsądku. Sztuka ta była przedstawioną na naszej scenie i wywołała naturalnie bardzo sympatyczne przyjęcie. Niektórzy przecież byli niezadowoleni rozwiązaniem... Jakto, ta matka ma opuścić jedyne szczęście swego życia, jeden i jedyne cel, dla którego dnie swe przedłużyła; jęć ży i boleść nieskończona nie znajdują pociechy; pobłażania przynajmniej? Zarzucano twardość, nieużytość, zimno charakterowi męża. Zarzuty niesłuszne. W tym człowieku widzę tylko uosobienie nieubłaganych praw rozumu, który jak wszystkiem tak i sercem kierować powinien; widzę w nim stały, niezłomny charakter, jaki każdy mężczyzna mieć powinien. Szczególniej też w przeciwstawieniu do wodnistych, bezbarwnych bohaterów naszej belletrystyki i dramaturgii jestto bardzo potrzebny antydot, aby w eterach i błękitach nie zgubił stałego gruntu pod sobą i nie utonął w błotnistém morzu. Taka treść i takie charaktery oddane są, przyznać należy, po mistrzowsku. Tortury matki nie mogącej przycisnąć do łona swego najdroższego skarbu jaki posiada, zazdrość dla przybranej matki, rozmowa między niemi, są przedstawione z największą zwięzłością, z największą prawdą uczucia, z całym przejęciem się sytuacji. Inne role zarówno najwne, komiczne jak i poważne rzadko gdzie znajdują lepsze wyrażenie. Zarzut jakiby można zrobić temu tryaktowemu dramatowi, tyczyłby się głównie przewagi pierwiastku

dyalogowego, bez którego w niektórych razach możnaby się obejść. Przekład pani *Seweryny Duchwińskiej* dokonany sumiennie.

Przepaść dramat w pięciu aktach *Karola Dickensa*, zmarłego niedawno powieściopisarza angielskiego, odkrywa widocznie swoje pochodzenie z pióra przyzwyczajonego do szerokiego a drobnostkowego malowania sytuacji i charakterów, ale nie troszczącego się o żywy pochod czynów, co właśnie dramatyczność stanowi. Dlatego też znajdujemy tu obrazowanie silne, sceny nieraz istotnie tragiczne, ale akcyę tak małą i rozwlekłą, że trudno nie uważać tego utworu za powieść zdramatyzowaną. Podstawą, bożyszcze wieku, jak niektórzy powiadają, mamona, — działaczem, podstęp, który nareszcie zostaje złamanym przez szlachetność i cnotę. Myśl pospolita i zużyta, talent jednakże Dickensa nie pozwolił jęj stać się trywialną; owszem dał kilkanaście scen, które się czyta z zajęciem, jakkolwiek wcale nie dramatycznóm. Interesujemy się tu głównie rysunkiem charakterów i rozbiorem psychologicznych objawów w osobach działających, co jest jedną z najsilniejszych stron talentu Dickensa. Ludowe szczególniej postacie są oddane z naturalnością i dokładnością, które u nas w jednym p. Gregorowiczu napotkać możemy. Niemniej i intryga jest zrzecznie zawiązana i zajmuje silnie, tylko że prowadzona powoli, złożona z kilkunastu epizodów; nie ożywia się tak, jak tego dramat wymaga.

III. *Komedia*. Komedia francuzka przeżyła już rozmaite i bardzo zmienne koleje. Był okres komedyi charakterów, komedyi mieszczańskięj czyli płacziwęj, komedyi intrygi; obecnie komedia przestała się śmiać i trzpiotać, wzięła poważniejsze temata; zaczęła mówić o wadach w ustroju społecznym i państwowym, słowem stała się tendencyjną. Dzieli ona pod tym względem spólne losy z powieścią, która z prostęj historii jakichś awantur dziwnych, lub pasterskiego gruchania, zmieniła się w pioniera torującego drogę ideom postępowym. Pogląd na komedię francuzką obecną, jest różny, stosownie do zapatrywania się na znaczenie sztuki i na moralność. Jedni w przedstawicielach dzisiejszjęj komedyi: *Emilu Augier*, *Aleksandrze Dumasie synu*, *Juliuszu Sandeau*, *Wiktorynie Sardou* i innych, widzą apostołów upadku sztuki i moralności w społeczeństwie; drudzy zaś uznając błędy w utworach tych pisarzów, błędy właściwe każdemu dziełu ludzkemu, dostrzegają w nich owszem zdrowe idee ku naprawie gmachu społecznego dążące. Pierwsi opierają się na tém, że artyście pisarzowi nie wolno odkrywać ran i wrzodów na ciele spółeczności, chociażby w zbawiennym celu zapobieżenia ich szerzeniu się; że piękno w sztuce powinno się opierać wyłącznie na idealnie moralnych czynnikach, dodając zło (niezbyt szpetne) tylko dla kontrastu—drudzy zaś powiadają, że każdy przedmiot ważny i zajmujący pod jakimbądź względem, może się stać tematem artystycznego tworzenia; że sztuka nie powinna się uwalniać od posługi należnej społeczeństwu od każdej siły fizycznęj czy duchowęj; że kiedy zachodzi tego potrzeba, należy odstaniać i trądy, gdyż inaczej nigdy się one nie wyleczą. Broniąc

w ten sposób tendencyi w sztuce, nie posuwają się oni do pochwalania brzydoty dla brzydoty, niemoralności dla niej samej i owszem utwory mające rozwiążłość samą na celu, wyrzucają oni ze świątyni sztuki już to dlatego, że one nie mogą być pięknymi z powodu jednostronności swojej, już też że nie mają poważnego i zbawiennego dla społeczeństwa celu przed sobą.

Mamy tu właśnie trzy komedyc z téj szkoły (*Półswiatek*, *Przyjaciel kobiet*, *Filiberta*), z których atoli jedną tylko uważać można za prawdziwą przedstawicielkę jej celów i dążności, jej wewnętrznego gruntu i cech charakterystycznych, jakkolwiek i ona nie sięga jeszcze tych szczytów, jakie posiada *Helena de la Seiglière*, *Syn Giboyera* albo *Pojęcia pani Aubray*. Jestto *Półswiatek* (Le Demi-monde) *Alexandra Dumasa syna*. Cóż chciał autor w tym półświatku przedstawić? Oto co on sam o tém w komedyi powiada: „Kobieta, która straciła prawo do nazwiska uczciwej kobiety, rozwódka, którejby można to i owo zarzucić, żona, która nie żyje w jedném mieszkaniu z mężem, panna, której na pierwszym wstępie na świat pośliznęła się noga: wszystkie one tulą się do siebie, schodzą się razem i stanowią wysepkę pływającą wśród społecznego oceanu.” W każdym razie jestto świat mniej więcej arystokratyczny: są tam hrabine, baronowe i t. d., jeden tylko jest uderzający szczegół, że nie ma nigdy mężów. W takiém towarzystwie obraca się cała pięcioaktowa komedya, której treść główna jest następną. Jedna z owych kobiet, pokłóconych z resztą towarzystwa, chciałaby wszystkimi sposobami z niem się pogodzić; nie szuka jednak od tego drogi pokuty, ale prostszej nieco, jak jej się zdawało, małżeństwa i to uczciwego małżeństwa. Przeciwno niej staje doświadczony, pigknego a silnego charakteru, nieugiętych zasad mężczyzna, który udaremnia wszystkie jej matrymonialne zabiegi, a w trakcie tego ratuje jeszcze nie zepsutą, ale w sferze niezdrowej żyjącą panienkę, która porzuca półświatek i chce pracować, gdy tymczasem dostaje się jej szczęście, o którym marzyć nieśmiała, ręka jej moralnego wybawcy. Moralność sztuki uwydatnia się w słowach jej bohatera (akt V, scena 5). „Nie ja przeszkadzam zamięściu pani, ale zdrowy rozsądek, sprawiedliwość i ustawy społeczne, według których uczciwy człowiek powinien zaślubić tylko uczciwą kobietę.” W komedyi téj ani razu zaśmiać się serdecznie niepodobna, uśmiech tylko sarkastyczny od początku do końca błądzi na ustach czytelnika, wywoływany ustawicznie ostremi dowcipkami autora. Czyta się z zajęciem, choć wada jej jako dramatu: przeladowanie dyalogiem, który w zupełności prawie zastępuje akcją, jest uderzającą. Takiego jednak świetnego dyalogu jak jest Dumasa nie wiele się znajdzie.

Druga komedya tegoż autora *Przyjaciel kobiet* (1) (przedstawiana także i na scenie naszéj), smutnym jest utworem już

(1) Sprawozdanie o komedyi „Przyjaciel kobiet” z podpisem: *Nemo*, zamieszczone w Bibliotece Warszawskiej 1869 r. w zeszytzie za listopad str. 394.

z tego powodu, że brak jęj właściwego celu. Młoda męzátka oddaliła się od męza z powodu, którego niepodobna delikatniej wyrazić jak przez to, że uczuła wstręć do pożycia małżeńskiego. Żyjąc zdala od małżonka, była już na pochyłój drodze, gdy ją wstrzymał *przyjaciel kobiet*, człowiek podobny bardzo do bohatera z Pół-swiatka, szyderca, nawet cynik, ale w gruncie uczciwy. Nie pojmowano dostatecznie tego charakteru, gdy go nazywano *nieprzyjacielem kobiet*; owszem jest on jak łatwo poznać z całego ducha utworu, przyjacielem kobiet, ale tylko *uczciwych*. Mało go obchodzi, czy już upadła, czy jeszcze głębiej padnie, ale boleje go to niezmiernie, gdy jaka cnotliwa znajduje się w położeniu Ewy przy węzu... Jestto zaiste moralność *sui generis*, ale w każdym razie stała i konsekwentna. Nic więc dziwnego w tym charakterze nie widać; trzeba się tylko dobrze przejąć zasadami, które wygłasza. Bądź co bądź, komedia w całości swojej, jakkolwiek więcéj niż inne solą attycką zaprawiona, nie wywarła u nas dobrego wrażenia i słusnie... podejmowała rzecz, której nikt podejmować nie powinien pod karą nietylko śmieszności, ale co gorsza... braku zdrowej logiki. Być może, że zdarzyła się kiedy jakaś excentryczna istota, która z wyżej wymienionego powodu, rozstała się z męzem; ale to wystarczy zaledwie na jaką zabawną anegdotkę, nigdy zaś na pięćcio-aktową komedią. Pomimo to nie jestto sztuka bez pewnych zalet; jest dyalog żywy jak zawsze, dowcipu mnóstwo, sytuacji nowych i nadzwyczaj zręcznie pomyślanych i przeprowadzonych, kilka. Całości tylko brak, co jest rzeczą bardzo naturalną, gdyż brakowało przewodniej idei, któraby wszystkie pojedyncze części w jedno związywała.

Filiberta (1), komedia w 3ch aktach *Emila Augier*, nie jest wcale nowością w naszej literaturze. Już przed 10 laty w *Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych* był umieszczony jęj przekład, przez p. *Władysława Sabowskiego* (Wołodego Skibę) dokonany. Komedia sama nie ma zalet szczególnych; nie wiemy więc, dla czego p. Kaszewski, człowiek tak wytrawnego sądu i zdolnego pióra, podejmował pracę powtórnego tłumaczenia, kiedy pierwsze było dostateczne. Główna rzecz polega na tém, że *Filiberta*, w którą po części wmówiono a po części uznała na prawdę, że nie była bardzo piękna, chciała się o tém koniecznie przekonać i była bardzo wdzięczną złotemu młodzieńcowi, który zaproponował jęj zostać jego... kochanką. Naturalnie była to tylko próba, czy ona jest dostatecznie piękną, ażeby ktoś nie skrepowany nierozewanami węzłami mógł ją dla nięj samęj pokochać. Sprawa cała kombinuje się szczęśliwie, i *Filiberta* obdarza swą rączką innego młodzieńca, którego kochała wprawdzie, ale go posądzała o chciwość na jęj majątek a nie miłość dla nięj. Pomysł dowcipny wprawdzie, aczkolwiek trochę hazardowny, ale w każdym razie

(1) Recenzja *Filiberty* napisana przez E. Lubowskiego, drukowana jest w Bibliotece Warszawskiej z r. 1869 w zeszycie za grudzień, str. 506.

mógł tylko służyć jako epizod, a nie jako główna treść komedyi, około której wszystko się grupuje.

Uczynność i wdzięczność, komedya w 4ch aktach *Eugeniusza Labiche* i *Edwarda Martin*, przekład *Mirosławy Kaszewskiej*. Treść jęj da się wyrazić frazesem wyjętym z nięj samęj: „Ludzie nie przywiązują się w miarę wyświadczonych przysług, ale w miarę tych, jakie sami wyświadczają.” Komedya lekka, pełna igraszek dowcipu; zasadzająca się na zręcznej kombinacyi działań dwóch przyjaciół-rywalów, z których jeden usituje wzbudzić wdzięczność, a drugi, powód do wdzięczności ze względu na siebie. Konsekwencya nie była zupełną... bo jęj przeszkodziło podsłuchanie, w którym dotknięta duma zgadza się na niemiłego sobie człowieka. W gruncie jednak rzeczy, konkluzya ta nie zmienia wcale zasadniczej myśli podanej powyżej. Jestto przypadek, nic więcęj. Nie jestto więc właściwie mówiąc komedya, ale farsa, choć trochę jak na taką, za długa; dowcip jednak i sytuacje prawdziwie komiczne, czynią ją niezbyt nużącą i w czytaniu przynajmniej... dosyć przyjemną.

Donna Dyana komedya w 3ch aktach. Pierwotwór hiszpańskiego poety *Moreto* (*El desden con el Desden*); według niemieckiego tekstu *K. A. Westa* przełożył *Kazimierz Kaszewski*. Jest to już druga *nie-nowość*, którą nam dał p. Kaszewski. W roku 1866 w *Kłosach* był drukowany przekład tęg komedyi z oryginału przez *Karola Pięnkowskiego*. P. K. tłumaczył z obrobienia *Westa* bardziej zastosowanego do sceny, na której i u nas się ukazała. Przyjęto ją z należnym staręj damy (XVII wiek) respektem, z hołdami i owacyami, na które zdaniem naszém bardzo mało zasługuje. Treść przedstawia upór zwyciężony uporem. *Dyana* nie kocha i nie chce, ażeby ktokolwiek ją otaczający kochał. *Don Cezar*, z porady jęj sekretarza udaje podobne usposobienie i tęg przyprowadza ją najprzód do rozdrażnienia, następnie do gniewu, a wreszcie do miłości. Ona chcąc mu dać uczuć przewagę kobiety, usituje go poprostu zalotnością podbić, a kiedy to się jęj nie udaje, zaczyna go kochać. Dobrze to przeprowadzone; dekoracyami i zabawami na scenie uświetnione, ale nie głębokie—jest to tylko zabawka; na komedye intrygi, to wystarcza, ale dla komedyi wyższęj, za jaką ją chciano podać, za mało. A przede-wszystkiem brak charakterów; o innych już nie mówimy ale głównych: *Donny Dyany* i *Don Cezara*. Oni sami nic nie potrafią zrobić, poradzić sobie nie umieją; gdyby nie sekretarz przemądry, nigdyby *Donna Dyana* nie pokochała *Don Cezara*. On radzi jemu upór udawać; on jest fałszywym doradcą *Dyany*; on panuje nad całym położeniem. Więc może to jest charakter? Złudzenie. Jestto bardzo powszechna w starych komedjach marynetka, którą autorowie dowoli sobie pociągają, jak się im tylko zachce; psychologicznego więc procesu w oddziaływaniu na siebie takich dwóch upartych natur nie wykazano; wszystko zależy od prostęj, naprzód obmyślanęj kombinacyi, przeciwko której nic w świecie wykroczyć

nie może i nie powinno. A gdyby się Donna Dyana była poznała na fałszywym swym doradcy sekretarzu, w cóżby się obróciła cała taktyka Cezara? Na sztukach łamanych i rozmaitych kwestykach, nie może się zasadać prawdziwy utwór sztuki; powinien on sięgnąć do głębin serca i tam szukać podwaliny dla oparcia swojej budowy, która inaczej do domku z kart będzie podobna: ładna ale nietrwała.

IV. *Obrazki dramatyczne. Post-scriptum, Emila Augier.* Jestto dowcipna szykana upodobań i kaprysów kobięcych. Młoda wdowa miała kochanka, którego po śmierci męża chce wystawić na próbę, udając że ma siwe włosy. Sama atoli łapie się na tym punkcie miłości, gdyż ta ulatuje, skoro tylko ujrzała go *lysym*. Oto jest *post-scriptum* wszelkich deklaracji miłosnych i przysięg na wierność. Dyalog żywy i salonowo dowcipny, nadaje wartość téj wesołej farsie, która jako taka nie może mieć nawet pretensyi do jakiegoś głębszego znaczenia.

Wszystko albo nic, Karola Gérard, sztuczka tegoż pokroju co i poprzednia. Dowcipnie tu podano nauczkę mężowi, jak ma wypraszać z głowy i serca żony jęj kochanka. Wyborny sposób: poddać próbki jego szlachetności, natychmiast się pokaże, że kto jest silnym w słowie ten nie zawsze, takim bywa w czynie. Jestto tak zwane przysłowie dramatyczne, i jak wszystkie przysłowia mniej więcej dowcipne, mniej więcej zręczne, salonowe, ładne; utwór, który skoro go się przeczyta, stara się zaraz o nim zapomnieć, ażeby dla innych jeszcze podobnych więcej miejsca zostawić.

Na zakończenie zostawiliśmy jeszcze jeden obrazek dramatyczny, przezwany nokturnem scenicznym p. n. *Przechodzień*. Autorem jego jest p. Coppée, znany daleko więcej z pięknego poematiku, który ma u nas aż dwa tłumaczenia p. n.: *Bezrobocie kowali*. *Przechodzień* nie jestto właściwie utwór dramatyczny, ale zwykły dyalog, nie odznaczający się dowcipem, lecz smutkiem jakimś rzewnym, którego jednak powodu trudno zrozumieć. Poeta, dziecię czule i wrażliwe, błądzące po świecie jak ptaszek bez stałego siedliska, chciałby poznać piękność sławioną w okolicy a znaną z licznych ran, które owym wielbicieleom zadawała. Usnąwszy na ławce, spostrzega postać jakąś białą, która go zaprasza do lepszego i wygodniejszego odpoczynku. Jednakże rozmowa tak ich zajęła, że pozostali na miejscu, gawędząc aż do ranka. Wtedy odkrywa się, że to była owa sławna piękność, która pragnęłaby przechodnia zatrzymać; ale lotne dziecię fantazyi pragnie dalej iść w świat; uchodzi więc, w smutku ją zostawiając.

Przystępując do rozbioru naszych utworów oryginalnych, zaznaczamy, że tragedyi w roku zeszłym wcale nie było, dramat jeden i komedia jedna. Resztę spisu zapełniają drobne obrazki dramatyczne, po większej części bardzo małej wartości.

Ów jedyny dramat, który na konkursie dramatycznym lwowskim uznany został za *stosunkowo* najlepszy, jestto *Zyd*, p. *Edwar-*

da *Lubowskiego*. Znane są o tym dramacie zdania naszych pism peryodycznych. W Bibliotece Warszawskiej zamieszczoną była recenzja K. Kaszewskiego, w roku bieżącym, zeszyt za marzec str. 466. Wszelki więc teraz rozbiór staje się zbytecznym.

Jedna wyższa komedia z roku zeszłego: *Niewiara*, przez *Władysława Maleszewskiego*, rozbięra temat czysto sercowy. Dla serca zbolełego, szczególnież kobiety, nie ma lekarstwa nawet w zajęciu czynném. Walerya wdowa, zawiedziona pozorem, nie chce wierzyć w serce i oddaje się cała gospodarstwu. Mówi ona: „Kaźda z nas kobiet powinna mieć cel w ȳciu, do którego by dojsć inoĳa sama jedna bez pomocy męzczyzny, kierując się tylko własném zdaniem, doświadczoną wolą i sercem oddaném pod straż rozumu”. Jerzy (ów wybrany, na którym pozornie się zawiodła) równieź nie wierzy w jęj miłość; ale wreszcze wszystko przecieź skończyć się musi, więc i oni przychodzą do zgody. Po co tu 4 akta? I-y jest ekspozycja, która w dalszym ciągu okazuje się niepotrzebną, gdyż i bez nięj doskonale poznalibyśmy działające osoby; II-gi przedstawia niewiarę Waleryi; III-ci niewiarę Jerzego; IV-ty nakoniec rozjaśnia i harmonizuje wszystko. Dobrze to rozłożone, ale zarozwlekłe. Temat zamały, a szczególnież za mało dosadnie wypowiedziany, ażeby mógł być zajmującym. Dowcipu niewiele, koncept jednak o Macedonii (politycznej jak objaśnia autor) stosowny nie do komedyi, ale do farsy. P. Maleszewski, którego powieść *Dziecię Żnudzi*, tak sympatycznie przed 7 laty została przyjętą, ma wiele talentu i rzeczywistej zdolności dyalogowej, jak tego dowiódł szczególnież w powieściowym fragmencie *Wiecznie*; ale zawód dramatyczny widocznie nie odpowiada rodzajowi jego talentu, bo i dyalog nawet w komedyi *Niewiara*, chociaź bardzo pięknie prowadzony, nie odznacza się wielkim ȳciem i zajęciem, bardziej jest powszedni, niź tego w dziele sztuki wymagamy. W kaźdym wypadku nie jestto utwór zupełnie chybiony, bo przynajmniej psychologiczny rozbiór uczuć serdecznych i kilka ztąd wynikłych sytuacji zasługuje na odczytanie.

Obrazki dramatyczne. Z obrazków tych, których jest pięć, dwa są naśladowane (*Niepokój domowy* i *Anna sekretarzem*), a trzy całkiem oryginalne. Z tych ostatnich stosunkowo najlepszym jest przysłowie dramatyczne: *Piękne za nadobne*, pana *Mieczysława Dzikowskiego*. Autor ten, znany od lat kilku z paru dramatycznych utworów mniejszego zakresu (*Autor w kłopotach*, *Kartka wycięta* i dramat dwuaktowy drukowany w tym roku w Opiekunie domowym p. n.: *Miłość i miłość*), odznacza się zręcznym i ȳwym dyalogiem, jakkolwiek szerokie poglądy leżą po za sferą dotychczasowej jego działalności. W przysłowiu, o którym mówimy, przedstawił domową intrygę małżonka, chcącego przestraszyć swą żonę mniemaném zajęciem się inną kobietą; ale tymczasem żona chce się zabawić także w ten sposób. Małżonek atoli poznaje się na tém i wszystko kończy się jego tryumfem i... bardzo przykładną zgodą. „Nie myślcie, powiada ów mąż, żeby to tak łatwo było

oszukać męża, jak wam się zdaje. . każdy mąż odbył pomiędzy wami, moja pani, doskonałą praktykę, nim zostanie mężem..." Sceny są komiczne, akcja idzie żwawo, jak na lekki utwór, więcj nie wymagamy.

Hrabina się nudzi, przez ś. p. *Gabryelę z Güntherów Fuzyninę*; rozwija myśl szlachetną, dobrze wreszcie wszystkim znaną, tylko nie często wchodzącą w wykonanie: że szczęście leży w poświęceniu dla dobra innych — wówczas nudów zaznać niepodobna. Gdy hrabina zajęła się pogorzalcami, gdy jój doktor powiedział słowa z serca płynące za biednymi ludźmi, wtedy zrozumiała wartość i cenę życia. Niewiada tu siły życia w dramatyczności, brak polotu poetycznego, a wiersze krojem swym przypominają dawny miniony okres. W ogóle mówiąc talent ś. p. Puzyniuy był skromny, cichy, wylany na uczucia szlachetne, poczciwe — i to jój samėj i jój utworem zjednywało sympatyę, którą się w swoim czasie cieszyła.

Silą wspomnień przez *St. M. Rzętkowskiego*, którego tragedia jednoaktowa (*Livia Quintilla*) przedstawiona przed dwoma laty na scenie naszej, wielkie wzbudziła nadzieje, jest właściwie jedną tylko sceną, w której młoda wdowa wśród wrzawy balowej, wśród upojenia pochwał fałszywych, doprowadzoną zostaje przez młodego człowieka do nowego życia, nowėj miłości. Za środek do skutecznienia tego celu służy wspomnienie lat dziecinnych: pierwszego kwiatka, pierwszej sukni balowej i pierwszej miłości. Rozmowa, polegająca z początku na rozdrażnieniu nerwowej kobiety a potem na wzbudzeniu w niėj uczuć uspionych, poprowadzona zręcznie, choć nie zawsze wolna od emfazy. Bądź co bądź wieje z niėj woń poetyczna, której niepodobna sztucznie naśladować, potrzeba ją już w sobie samym posiadać. Być może, że p. Rzętkowski, któremu liryczna poezya nie daje wieńców, będzie mógł zdobyć je sobie na dramatycznėj arenie.

Z naśladowanych sztuczek *Niepokój domowy* przez p. *Karola Estreichera* traktuje rzecz dość ważną, dającą się wyrazić frazesem wziętym z obrazka: „Czcic należy moc charakteru w mężczyźnie.” Do spokojnego małżeństwa wchodzi mąż zawojowany przez teściową i żonę, obarczającą go nieodpowiedniami mężczyźnie sprawunkami i wyjeżdżającą bez jego wiedzy z jakimś kuzynkiem na spacer. To daje do myślenia żonie z owego spokojnego małżeństwa; zaczyna kaprysić i własnowolnie się rządzić. Wreszcie wola energicznego męża godzi wszystko. Ani w pomyśle, który jest natury poważnej, ani w wykonaniu, które jest suche, nie ma nic bardzo dowcipnego, co już samo zabija tego rodzaju utwory.

Anna sekretarzem, p. *Oskara Stanisławskiego* jest jak najnie-doleżniej napisaną ramotą dramatyczną, zasadzającą całą komiczność na tém, że młoda dziewczyna przebrana za mężczyznę służy wraz z swoim bratem w kantorze pewnego przemysłowca. Powieść pani *Zofii Schwartz* (Być albo nie być), z której wzięta jest treść tej komedyjki niekomicznėj, jakkolwiek przerażająco rozwlekła i nudna, ma przecież w sobie zasób owych subtelnych spostrzeżeń,

które czytelnika cokolwiek uważniejszego zająć koniecznie muszą, a w utworze p. Stan. nie ma tego ani śladu.

Oto cały obrazek sztuk dramatycznych z roku 1869. Nie ma w nich wprawdzie samodzielności, nie ma zaspokojenia pragnień naszego życia, lecz zawsze wykazuje się ruch, który również podnosi i do myślenia pobudza.

Piotr Chmielowski.

Początkowa nauka czytania i pisania, ułożona przez F. F. Sławińskiego. Warszawa, w 8-ce mn. str. 59. Cena kop. 15.

Oddawna już bardzo myślano w Europie nad ułatwieniem nauki czytania; nasze jednak dzieci do dziś dnia najdotykałniej doświadczają tego, że początkowe nauczycielki i nauczyciele dalecy są od podobnych filantropij. Bądź co bądź kwestya ta przez doświadczonych pedagogów i uczonych, nie wyłączając najzdolniejszego z naszych filozofów Trętowskiego, nie bywa pomijaną; owszem, budzi ona żywe zajęcie i wydaje pewne owoce: świadczą o tem dziełka i broszury się pojawiające. Najwięcej działalności w tym kierunku okazał w Galicyi, nieustający w pracy Stanisław Zarancki. Między wieloma innemi, nie bez znaczenia jest dziełko, które wydał w Krakowie (bezimiennie) 1868 r. p. t.: *Zarys dziejów nauki czytania*, w celu zawiązania dydaktyki narodowej i reformy elementarza; tu należą dwie jeszcze prace tegoż autora: *Elementarz pierwszy*, ułożony śladem dziejowego rozwoju nauki pisania i czytania, w zastosowaniu do umysłowych potrzeb dzieci polskich (Kraków 1869) i *Wykład elementarza* (dla nauczycieli) w Krakowie 1869 r. U nas w ciągu dwóch lat ostatnich trzecie się dziełko pojawia odnośnie do początkowej nauki dzieci; mówimy tu o *Metodzie początkowego nauczania* p. Win. Dawida (Lublin 1868) i *O sposobach uczenia czytać* p. J. Kamińskiego. Warszawa 1868 (1).

Obecnie mamy przed sobą *Początkową naukę czytania i pisania* p. F. F. Sławińskiego. Pan Sławiński, lubo mniej znany światu uczonemu, należy jednak do głębokich badaczy naszego języka; świadczy zresztą po części o tém pomienione dziełko, acz małego zakresu i skromnego wydania. Autor słusznie potępia metodę sylabizowania (zgłoskowania), która tak się upornie u nas trzyma mimo tylu głosów przeciwnych; tylko Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych od samego początku swego, t. j.

(1) Rozbiór obu tych dziełek czytelnik znaleźć może w Bibliotece Warszawskiej. 1868. Wrzesień, str. 481—491.

od lat 53, trzyma się metody głosowania. Autor wychodzi z tej zasady: że zgłoska czyli sylaba jest podstawą czytania. Każda samogłoska sama przez się tworzy zgłoskę; spółgłoski zaś nie mając tej własności, przyczyniają się jedynie do różnaitości zgłoszek różnym odbijaniem téjże samogłoski (str. 7). Podaje najprzód 6 samogłosek; później na nich opiera spółgłoski kolejno, ale nie tworząc bynajmniej bezmyślnych kombinacyj; dobiera tylko takie, które stanowią wyrazy lub nawet zdanka małe; i tak np. pierwsza regułka do czytania stanowiąca kombinacye spółgłoski *T* z samogłoskami tak wygląda: TY. O TY! EJ TY! OJ TY! TO TY? TO TY TU? A TO I TY TU? i t. d. Kolejno i nader systematycznie, z wszelką ścisłością naukową postępując do coraz trudniejszych kombinacyj, dochodzi wreszcie autor do zdań ciągłej treści.

Zbytecznym i niewłaściwym sądzimy wychwalać tę pracę, mówi ona sama za siebie; pracę tę miłość dzieci podyktowała; pochwały zostawiamy tym, którzy się w praktyce przekonają o jej wysokiej pedagogicznej wartości; wynurzamy tylko wdzięczność poważnemu pracownikowi, który nie uważał za rzecz błahą i niegodną siebie, odrywając się od głębokich studyów, wydać elementarz.

Wł. N....i.

Analiza Matematyczna (Математический Анализ) przez P. Z. Woskreszeńskiego. Warszawa w drukarni Jana Cotti, rok 1870. Tom I. Str. 615.

Wychodząc z zasady, że każda oddzielna gałąź wiedzy, o tyle wchodzi w granice czystej rozumowej nauki, o ile w niej znajdują zastosowania prawa matematyki, której znajomość tém samém już, w ogólnym zakresie naukowego wykształcenia, nie może być obojętną; z drugiej zaś strony mając na uwadze, że najprzystępniejszym dla ogółu pojęciem jest *koło*, autor na podstawie tych danych, rozwinął wykład analizy na płaszczyźnie, poprzedzony filozoficznym poglądem znaczenia pojęć rozciągłości, ilości, wielkości, równości i nierówności, a przeprowadzony w sposób o ile można dostępny dla ogółu.

Praca ta, jak autor w przedmowie objaśnia, uzupełnioną będzie wydaniem drugiego tomu, mającego obejmować wykład analizy w przestrzeni.

K. S.

Noworoczne podarki. Na każdy Nowy Rok pożądane są podarki i kolendy w książkach dla małych dzieci i doroslejszej młodzieży pisanych. Jak wszędzie tak i u nas przygotowują się wydania, któreby téj potrzebie publicznej zadosyć uczyniły. Wytworzona oprawa, mnóstwo rycin a przytém dobór przedmiotów zastosowany do wieku czytelników, tworzy zwykłe noworoczne podarki. Mała jednak liczba książek odpowiada temu celowi—bo nie każdemu nawet zdolnemu pisarzowi uda się wybrać myśl piękną i wypowiedzieć do pojęcia młodego pokolenia tak, aby obudzona ciekawość przylgnęła do przedmiotu umysłem i sercem. Dotąd u nas pismami w tym zawodzie zjednali sobie opinię publiczną W. L. Anczyc, J. Chęciński, J. Belejowska i T. Nowosielski.

W księgarni (Lebethnera i Wolffa napotykamy kilka książeczek tego rodzaju, które dla wiadomości czytelników naszych podajemy.

A. B. C. Pierwsza nauka dla dzieci; ułożył Wł. Lud. Anczyc.— Jest to elementarz starannie ułożony. Oprócz początkowej nauki czytania, obejmuje przykłady, powiastki; poznanie i czytanie liczb; mnóstwo drobnych rycin, osobliwie zwierząt, które szczególnie zajmują dzieci; przytém bajeczki i poezye, z których najpiękniejszą jest następująca: Rozmowa mamy z Jasiem.

- Jas.* Powiedz mi téż mameczko
Moja złota, kochana,
Kto na niebie słoneczko
Zapala nam co rana?
- Mama.* Pan Bóg, drogi Janeczku!
Każe świecić słoneczku.
- Jas.* A kto kwiatów dał tyle,
Piękne lilie, róż pęki?
I któż stroi motyle
W takie śliczne sukienki?
- Mama.* Pan Bóg—moje kochanie!
Daje kwiatom ubranie.
- Jas.* A owoców tak wiele
Wiśnie, agrest słodziutki;
Jabłka, gruszki, morele
I te smaczne jagódki?
- Mama.* Co jest tylko na świecie
To od Boga masz dziecie.
- Jas.* Więc to wszystko tak samo
Dobry Pan Bóg nam daje!
Ale za cóż to mammo!
Człowiek tyle dostaje?
- Mama.* Za cóż ja ci mój Janku
Daje wszystko kochanku?

Bóg nas kocha, więc żywi,
 Za to tylko chce tego
 Byśmy byli cnotliwi
 I kochali bliźniego,
 Jemu w każdej zaś chwili
 Czystém sercem służyli.

Na kolanach babuni; opowiadania dla dzieci, ozdobione 12-ma stalorytami kolorowemi; wolny przekład z francuzkiego. Ciąg rozmówek babuni z wnuczkami. Bajeczki i powiastki.

Księga sławniejszych odkryć geograficznych, przeznaczona dla dorastającej młodzieży. Podług najnowszych źródeł zebrał Wł. Lud. Anczyc, z wielu drzeworytami. Treściwy zbiór wiadomości o kuli ziemskiej, opisy przygód znakomitych żeglarzy, wyjaśnienia żeglugi, jej wpływ na ludzkość i skutki wielkich odkryć na globie. I tak: wiadomości wstępne zawierają następujące przedmioty: Pierwiastkowa żegluga; kompas; okręty żaglowe i ich ulepszenia; statki parowe; latarnie morskie; wpływ żeglugi na oświatę. Po takim wstępie następuje opowiadanie o wielkich odkryciach pod napisami: Indyje Wschodnie; Ameryka; Oceania; Odkrycia Podbiegunowe; Odkrycie szóstej części świata, to jest ziemie przy biegunie południowym.

Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej; zebrał Wł. Lud. Anczyc; z rycinami. Ciekawa książeczka dla młodych czytelników, którzy w niej znajdą dopełnienie wiadomości geograficznych, obrazy życia dzikich ludzi a przytém opisy poświęcenia się, wytrwałości i męstwa marynarzy. Opowiadania przygód mają następujące napisy: Alexander Selkirk na wyspie Juan-Ferdinandez; Jan Staden w pierwotnych puszczech Brazylii; Rozbitki, przygody rodziny angielskiej; Emmanuel Crespel pośród zlodowaciałych ziem Labradoru; Teksas; Opowiadanie amerykańskiego podróżnika; Kajetan Osculati w pośród puszczy zalanéj wodą; Przygody Dzon Zaksona i jego pobyt na wyspach Fidry.

Biblioteka dla młodocianego wieku, wychodzi ciągle seryami. Każda serya składa się z trzech tomików. Format drobny, powierzchowność skromna a chociaż bez rycin i bez wytwornej oprawy, bardzo zajmuje treścią i dlatego zawsze służyć może za podarek noworoczny dla dzieciaków łaknących czytania, bo książeczki te przynoszą nie małą liczbę powieści, opowiadań, pamiętników, podróży i t. d., które umysł ciekawy zaspokoić mogą i zapewniają pożytek moralny. W pierwszej seryi znajdują się: Pałac życia Lahoulay'a; Bogaństwo obowiązuje, przez panią de Lockroy; Miłość matki, przez tęż; Im więcej komu dano, tém z większego rachunku słuchanym będzie, przez J. Belejowską; Przygody amerykanina w Chinach, przez E. Souvestre; Wśród lodów, pamiętnik Jana Hardy, przez J. Hayes. W drugiej seryi: W pośród fal morskich, Rogera; Cudze piórka, powiastka J. K. Gregorowicza; Świat niewi-

dzialny Gatty; Wdzięczność murzyna; Edgeworth; Magia naturalna i t. d. Wydawnictwem Biblioteki dla młodocianego wieku zajmuje się p. J. Belejowska. Zdolna i niez mordowanej pracy autorka licznymi przekładami i oryginalnymi pismami stara się o upowszechnienie nauki i tych przekonań wyższych, które są jedyną zasadą szczęścia ludzkości. Wykład ję jasny, a styl odznacza się czystą polszczyzną. Prace ję są oddawna znane, jak: książka do nabożeństwa: Panie wysłuchaj modlitwę mają, *Historya powszechna kościoła* (Alzoga) sześć tomów; *Majowe nabożeństwo*; *Przewodnik ekonomii Baudrillarda*. Przekłady powieści: *Abdallach*, *Laboulaya*; *Pamiętnik młodej mężatki*; *W pałacu i chatce*; *Helena de la Seglièr*, komedia i inne dramata i powieści, a oprócz tego artykuły we wszystkich prawie pismach peryodycznych drukowane.

Wiązanka dla młodocianego wieku na rok 1871, zebrana przez Jana Chęcińskiego, z rycinami. Dawniej na każdy Nowy Rok wychodziły tak zwane Noworoczniki. Obejmowały same nowe utwory poetów i pisarzy rozmaitego zawodu. Noworocznik tworzył jakoby wystawę znakomitych utworów myśli i uczucia. Na książkę taką składali swoje prace pisarze zasłużeni i odznaczający się zdolnością, a przedewszystkiem znosiła utwory swoje młodzież rozpoczynająca zawód poetyczny i literacki, i znosiła z szczególną chęcią, bo wybór artykułów odbywał się z ścisłym ocenieniem zdolności piszącego i stanowił pewnego rodzaju uznanie. Była to zachęta dla piszących, a niespodzianka z nowości dla czytelników. Zbiorek taki w świetnej oprawie, ozdobiony rycinami, miał wartość duchową a z powierchowności był cackiem buduarowym, pożądanym przez kobiety.

Wiązanka choć w części przypomina nam Noworoczniki. Jest to zbiór powieści, wierszy i opowiadań rozmaitych pisarzy, przeznaczony wyłącznie dla młodego wieku. Tam znajdujemy: *A. E. Odyńca* poezją, *Dzień szczęśliwej Zosi*. *J. Chęcińskiego*: *Anioł z Andersona*; *Babunia*; *Pawętek*; *Motek nici*; *Blondynek* powiastka. *F. S. Dmochowskiego*: *Gertruda*, ballada norwęgiska; *Mrówki brazylijskie*; *Opowiadanie podróznego*; *Stary domek*. *M. Ilnicki*ę: *Mama synkowi płakać nie każe*. *B. Łozińskiego* pigna powiastka: *Opieka grobu*. *Mirona* znany szkic z ulicy: *Obrazek zimowy*. *P. Krakow*: *Treny*. *K. Wl. Wójcickiego*: legenda. Oraz powiastki: *A. z Ch. Borkowski*ę, *K. Janikowski*ę, *Al. Marczewski*ę, *E. Lubowski*ę. *Poezje Emilii Lei* i *Opowiadania L. Rogalskiego*, *J. Kühna*. Pożyteczna książka dla młodocianego wieku. W nię naukowe wiadomości, wspomnienia wzruszające, obrazki i sceny z własnego życia i ten duch moralności i pobożności, który młodemu sercu upaść nie dozwala.

Wianek. Dziełko poświęcone dorastającej młodzieży, zawierające powieści, obrazki wierszem i prozą, komedyjki, opowiadania i wspomnienia historyczne, przez Władysława z Rogozińskich Izdebską. Jestto jakby drugi tom *Wiązanki* z tą tylko różnicą, że książka składa się z artykułów jednej tylko autorki i poświęcona

wyłącznie dla młodych pańienek. Znajdują się w niej następujące przedmioty: Skarb niewidzialny, Plotkarka, obrazek w jednym akcie, Błogosławiony Jan Kanty, Ubogi Tomek, Młodość Jagiellończyków, Sierota, Święta Elżbieta, Grosik Boży, Narzeczona pretendenta (wspomnienia historyczne Klementyny córki Jakóba Sobieskiego), Ocalenie, komedyjka w jednym akcie, Gody weselne, Elżbiety księż. Pom. w Krakowie, Lilia, Szlachetne ubóstwo, pow. O poście rozmowa, Fel. Kon. Szaniawski, ks. Siewierski, b. Krakowski, Nowy Rok czyli poprawa Dosi, komedyjka w jednym akcie, Pogadanki Józi z nauczycielką. Pani Izdebska autorka téj książki, zdolności widocznej i znakomitego wykształcenia, skromnemu lecz nadzwyczaj użytecznemu poświęca się zawodowi, bo pisanie książek dla młodych pańienek. W Wianku widać jakby matkę, która zna słabości własnych córek i środki kierowania ku dobremu. Nie ma tam ciągłych przestroż i kazania. Przez akcją stosowną i jasną wlewa w umysł zarody cnoty, wytępia wady; wspomnieniami i przykładami godność kobiety podnosi, a religijném uczuciem i dobrocią, zdobywa sympatyę, bo czytelniczkom jako córkom swoim oddaje wszystko co dla nich zebrała w duszy. Ileżto naszych autorek które w uniesieniu nadzwyczajném oddają się wyłącznie fantazyi, i utworami swemi pragnie koniecznie dziwić ogół, mogłoby zapewnić prawdziwą pomoc w wychowaniu młodych istot, idąc taką drogą jaką dla siebie obrała autorka Wianka.

Kwiat Preryi między Indyjczykami. Powieść z zachodniopółudniowej Ameryki, z 8-iu kolorowanemi obrazkami przez Ch. A. Murray, przerobiona dla młodzieży przez Józefa Betkowskiego. Toruń. Książka na podarek noworoczny przeznaczona. Wydanie staranne, ryciny piękne, oprawa odpowiednia. Tytuł nieprzedstawia roku wydania, zapewne dlatego ażeby książka na każdy rok mogła ująć za nowość. P. Betkowski w przemowie pod datą w styczniu 1868 tak się odzywa do swych czytelników:

„Dostawszy książkę w ręce, pisaną w języku angielskim, a słysząc już oddawna o jej interesującej treści, postanowiłem ją przełożyć na język polski; książka ta zawiera wiele nader pouczających rzeczy, bo nietylko że obznajmia młodzież z geografją Ameryki ale i charakteryzuje bardzo szczegółowo zwyczaje wielu szczepów indyjskich, to jest ich sposób prowadzenia wojny, ich uzbrajanie się podczas niej i podczas pokoju, ich sposób życia, ich rozwijanie się umysłowe. Prócz tego daje jeszcze dowody, że ich usposobienie nie jest wcale dzikie, bez czucia i szlachetności, jak je sobie wielu z nas wyobraża; ale że dopióro Europejczycy zrobili ich tak niebezpiecznymi dla siebie. Nie odchodziłem wcale od treści, przekładając tę książkę na język polski; dlatego téż myślę, że młodzież polska będzie ją czytała z podobną ciekawością, z jaką to czyni młodzież innych narodów”. Rzeczywiście przedmiot sam zajmujący zaciekawić może pięknemi scenami i nadzwyczajnością. Lecz na nieszczęście tłumacz nie wyrobił sobie stylu, widocznie wiele ma kłopotu z wyrażeniami i wyrazami, nie jest obda-

rzoney zdolnością przedstawiania przedmiotów tak aby wrażenie równe oryginałowi robiły, dlatego wiele obrazów jego jest zupełnie niezrozumiałych i jakby bez żadnego powodu utworzonych. Książka więc nie może mieć zamierzonego powodzenia.

Robinson Szwajcarski, wydania francuzkiego P. J. Stahla i Müllera, przekład Jana Chęcińskiego, z dwunastu rycinami. Od tyłu lat rozkoszą umysłową młodego pokolenia jest ów Robinson Kruzo, rozbitek i samotnik na wyspie oceanu, który życiem swém i przygodami podbija serca i uwagę dzieci, i przedstawia jaką to siłą obdarza Bóg człowieka wówczas, kiedy pozbawiony jest wszelkiej pomocy społeczeństwa i sam jeden tylko zostaje dla siebie. Myśl tę dalej rozwinął Jan Rudolf Wyss, tworząc swego Robinsona Szwajcarskiego. Przenosi on na wyspę bezludną całą jedną rodzinę, to jest: ojca, matkę i czworo dzieci. Drobną tą gromadką wypadkiem od świata oderwana, wspólną pracą, staraniami, myślą wspiera się wzajemnie, tworzy swe szczęście, bo zaspakaja wszelkie potrzeby i zapewnia przyjemności życia. Jest to ciekawy obrazek rozwijania się jakby z ziarenka, całej ludzkości, obrazek popularny, zastosowany do pojęcia młodego umysłu. Od pół wieku Robinson Szwajcarski obiega w tysiącnych wydaniach wszystkie ucywilizowane kraje. U nas od dawna znalazł tłumaczy. Dotąd jednak każdy przekład był tylko wiernym literalnym odbiciem pierwowzoru przed półwiekiem napisanego, który dzisiejsze pokolenia nużył starą formą i rozwlekłością. Nowe życie téj książki nadali Stahl i Müller. Zastosowali tekst dawnego Robinsona Szwajcarskiego do obecnych pojęć i smaku. Usunęli lub skrócili rozumowania, ożywili akcją, wzbogacili wiadomościami naukowemi, które społeczeństwo nasze coraz więcej zdobywa i utworzyli książkę ciekawszą i pożyteczniejszą. Nie ma już w niej ustępów, które zwykle dzieci opuszczają, lecz zato i myśli i przedmioty coraz ciekawsze. Są tam przygody szczególne, wycieczki na morzu i lądzie. Podróże pieszo, na osiełku, na bawołach, jazda na strusiach. Polowania. Połów ryb i t. d. a razem z niemi odkrycia i wynalazki niespodziane i t. d. Taką książkę przełożył J. Chęciński mową piękną i jasną, a księgarnia Gebethnera i Wolffa wydaniem tego przekładu w formie ponętnéj dla dzieci, do dotychczasowych zasług nową nabywa zasługę.



WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Listopad 1870 roku.—Do ważnych wydawnictw które się pojawiają w pośród od kilku lat istniejącej stagnacji handlu księgarskiego, należy zupełne wydanie wszystkich utworów Józefa Korzeniowskiego. Liczba oddzielnie wydanych dzieł, wedle własnoręcznego spisu przez tegoż pisarza, który mamy przed oczyma, wynosiła ośmdziesiąt. Spis ten był zrobiony na parę lat przed zgonem jego; obecnie do dziewięćdziesięciu dochodzi. Cena ich katalogowa, po obniżeniu nawet, przeszło sześćdziesiąt rubli srebrem wynosi. W księgarniach warszawskich są jeszcze niektóre powieści i dramata, jakie były drukowane w Wilnie, ale zbyt to mała liczba z ogromu prac jakie ogłaszał: znaczniesza część zupełnie wyczerpaną została. Ś. p. Józef Korzeniowski za życia zrobił układ z p. Adamem Zawadzkim w Wilnie, na kompletne wydanie pism swoich; ale układ ten nie doszedł do skutku, i pan Zawadzki rzekł się tej publikacji. Wydawca czasopisma ilustrowanego *Kłosa* i *Tygodnika romansów i powieści*, p. Salomon Lewental powziął myśl szczęśliwą, wydawnictwa wszystkich pism tego pisarza, po nadzwyczaj niższej cenie, dla prenumeratorów obudwóch pism. Wkrótce prospekt bliżej zaznajomi czytającą publiczność ze szczegółami tak co do sposobu wydawnictwa, jak i co do ceny i ułatwień nabycia. Całość ma się dzielić na *serye*, to jest na część dramatyczną i powieściową, lubo się znajdują utwory do działu osobnego, jak drobniejsze poezye, *Kurs o poezyi* i t. p. Równocześnie pojawiają się w *Kłosach* obszernie studia F. H. Lewestama nad wszystkimi utworami tego pisarza, a na czele pierwszego tomu zbioru pism, będzie umieszczony szczegółowy życiorys ś. p. J. Korzeniowskiego.

— Ks. J. Gacki, autor ważnej rozprawy: „O rodzinie Jana Kochanowskiego” (Warszawa 1869 r.), w której wiele dał szczegółów do życiorysu tego poety; wykończył teraz obszerną monografią i dla badaczy dziejów wielce zajmującą p. n.: *Benedyktynski klasztor w Sieciechowie*. Obejmuje ona rozdziałów trzydzieści dwa, i daje dokładny obraz słynnego opactwa, którego dzieje należą do odległych wieków, a wszystkie oparte na dokumentach, i wykonane z tą sumiennością, jaką się prace tego zasłużonego dobrze badacza odznaczają.

— Księgarz warszawski Józef Kaufmann ogłosił prospekt na nowe pismo peryodyczne p. n.: *Mucha, tygodnik humorystyczny ilustrowany*. Wychodzić ma co piątek, począwszy od pierwszego stycznia 1871 roku. W pomienionym prospekcie czytamy: „Główne działy tego pisma stanowią będą: 1. Powiastki, nowelle, opo-

wiadania, ramoty, humoreski, szkice, obrazki i t. p. 2. Wiersze. 3. Rozmaitości. 4. Rebusy, szachy i zagadki. 5. Doniesienia literackie i handlowe. Redakcyja uważając cztery powyżej wymienione działy za główne, niemniej jednak baczyć będzie, aby dla urozmaicenia treści pisma dawać: komedyjki, farsy, przysłowia dramatyczne. Wydawca zapewnił sobie wszelką możliwą pomoc ludzi znanych u nas z dowcipu i nauki, a sympatycznemu rysownikowi p. Kostrzewskiemu powierzył kierunek ilustracyami. Przedpłata wynosi rocznje w Warszawie rs. 3 kop. 60, na prowincyi rs. 4 kop. 80”.

Nakładem tegoż księgarza zeszytami, w nieoznaczonych terminach wychodzi: *Wojna w roku 1870*. Treścią téj publikacji jest zebranie szczegółów w jedną całość walki, która się liczy od 19 lipca r. b. we Francyi. Ilustracye dodawane, są brane tak z *Tygodnika ilustrowanego*, jak z *Kłosów* i z klisz zagranicznych. Dotąd wyszło cztery zeszyty.

— Jako osobliwość bibliograficzną, wymienić musimy wydaną w Poznaniu w roku jeszcze 1862, *Monografię domu Kraszewskich vel Kraszowskich Jastrzębczyków. Z herbarzy, dokumentów i papierów familijnych zebrał i ułożył Kajetan Kraszewski* (Poznań. W księgarni J. K. Żupańskiego. 1862 r. Czcionkami M. Zoerna, w 8-ce str. IV 66). Monografia ta zaczyna się od roku 1413, a sięga do naszych dni, i kończy wyliczeniem braci i familij I. J. Kraszewskiego.

— P. A. Molicki nadesłał do red. Biblioteki Warszawskiej rozprawę p. n.: „O możności zastosowania matematyki do innych umiejętności”. Praca ta okazująca samodzielnego myśliciela, z powodu obszernych rozmiarów w piśmie naszym pomieszczoną być nie mogła. Podamy jednakże z niej ustęp, streszczający główne pomysły autora.

„Najważniejsze niedostatki i błędy w pojmowaniu i stosowaniu matematyki do innych umiejętności polegały na tém: że nie poznano przedewszystkiém kierunku *fungowania* matematyki, a tém samém nieumiano go nadać innym naukom, nieodróżniano dokładnie istoty matematyki od jéj funkcyi, a to samo miało miejsce w kwestyach odnoszących się do państwa lub prawa i t. d.; przez to, nie odróżniano zadania istoty rzeczy od zadania jéj funkcyi, co jest przeciwieństwem kwestyą zupełnie różną; dalej sądzono niewłaściwie iż istota matematyki ta polega na liczbach, miarze i t. p. Uważano mylnie, iż funkcya matematyki zależy na obrachowywaniu, z czego wroszono również mylnie, że gdzie nie można przeprowadzić rachunku i czego nie można obrachować, tam już niemożna zastosować matematyki. Brano fałszywie funkcję wywodową, za dowodową, lub naodwrot; mylnie sądzono jakobyśmy we wszystkich umiejętnościach jednakowo rozumowali, to jest wszędzie jednako przeprowadzali funkcję rozumowania. Fałszywie pojmowano, jakoby przez nadanie pojęciom jakościowym form ilo-

ściowych, dało się już wprowadzić ścisłość i pewność matematyczną, i jakoby na tém polegało zastosowanie matematyki. Używano mylnie formuł szczegółowych zamiast wzoru ogólnego, lub pewnej hipotezy; niemiano żadnej hipotezy, przeprowadzano czynność dowodową, bez świadomości co ma z niej wypaść. Zbyttno się zwracano do badania matematyki stosowanej ze szkodą czystej, która właściwie przed innymi częściami winna być uwzględnioną. Niezdołano poznać na czém polega stosunek matematyczny, a tém samém i wszelki jaki być może. Fałszywie pojmovano na czém polega zrównanie matematyczne; mylnie sądzono, jakoby zrównanie w matematyce odpowiadało zdaniu czyli sądami o logice; słowem, dla tych i bardzo wielu innych błędów, odnoszących się już to do matematyki, już do innych umiejętności, niepotrafiiono jój do nich zastosować”.

— Jeden z pierwszych założycieli Biblioteki Warszawskiej Alexander Kurtz, na odbytych wyborach w Krakowie dnia 14 maja r. b. wybranym został prezesem Towarzystwa ludowej oświaty.

— Alexander hr. Przedziecki zwiedził przed parą miesiącami sławne cmentarzysko w Halstadt, opisane przez *Sackena*, położone w okolicy *Ischl*, nad jeziorem tejże nazwy. Na kamienistej górze (1080 stóp nad poziomem owego jeziora, a 2668 stóp nad poziomem morza), wznosi się tam *Rudolfsthurm* budowla, w której są kancelarye zarządu żup solnych, powyżej ciągną się góry z osadą *Saltzberg*, a jeszcze wyżej łomy kamieni ze sławnemi ogromnej wielkości amonitami tak taniemi, że ich zbiór cały (800 sztuk) można tam nabyć za 2000 złp. Z prawej strony wzgórza na którym stoi *Rudolfsthurm*, jest stok góry lasem odziany, a kamieniami obrzucony, na tej zaś pochyłości, już w głębokości dwóch stóp, leżą w czarnoziemiu szkielety, ubrane w bogate brązowe ozdoby, tylekroć opisywane, tak słynne a wybornie w dziele *Sackena* zbadane. Cała góra jest olbrzymiem cmentarzyskiem. Gdy w roku 1848 kopano i równano wężykową drogę do gór solnych, prowadzono ją wtedy przez grobowiska, naruszając szkielety, a obierając je z ozdób. Z razu po tém odkryciu, poszukiwania prowadzono tutaj umiejętnie, kosztownie i porządnie; dziś zaniedbane, i bez opieki. Drugą osobliwością archeologiczną w okolicy *Ischl*, są szczątki budowli na palach, w północnej części jeziora *Attersee*. Potrzeba tylko umiejętnego znawcy, ażeby je należycie zbadać umiał.

— J. I. Kraszewski w *Budniku* dał nam obraz Mazura osiadłego w lasach Polesia. Wiadomości o tych rodach mazurskich, osiadłych tamże, pełne zajęcia z obecnego okresu, podaje nam *Gazeta Polska* w Nrze 107 z r. b.

„Pędzenie smoły i terpentyny, jest i będzie przez długie lata jednym z głośniejszych przedmiotów przemysłu poleskiego, bo wyniszczenie ludności za Jana Kazimierza i Karola XII dozwoliło tam rozrość się ogromnym lasom na gruncie piaszczystym. Warunki klimatyczne wytworzyły tam lasy, których płody na ryn-

kach angielskich i francuzkich pierwszeństwo mają przed wszelkimi innymi. Kto nie widział lasów Podłużeńskich sosnowych a Zaborolskich dębowych, ten lasu nie widział. W Wysocku na 2,500 niespełna mieszkańców płci obojga, jest 5,000, wyraźnie pięć tysięcy włók lasu. Lasy te dopiero w końcu przeszłego stulecia zaczęły być wyrabiane, kiedy Ogiński wykonał swój kanał Pinę ze Szczarą łączący i spław dla Polesia otworzył; Leon zaś Poniatowski szlachcic z Podlasia, pierwszy spław klepki ze Zwiąhła w r. 1807 po Słuczy puścił (do owego czasu wozono ztamtąd klepki aż do Uściługa), i za to sobie ćwiartkę dusiów z Memla przywiózł.

Lasy poleskie, cokolwiek od rzek spławnych oddalone, przez całe bieżące stulecie były niszczone; palono je na popiół (nie wyłączając dębów 1 do 2 metra średnicy mających) dla wyrobienia potażu, którego było tyle, że mój kolega szkolny Pius Łęczycka kupiwszy majątek za 4,800 rs., znalazł w nim tyle braków potażowych (pozostałości po wyługowaniu popiołu) na nawóz bardzo przydatnych, że licząc furę po groszu, miał cały majątek zapłacony. Teraz zaczyna źródło wysychać, a kwestya urządzenia systematycznego lasów stała się palącą.

Polesie ma stosunkowo najmniejszą w całym kraju ludność, rozsadaną między błotami na piaskach. Nieznając kartofli, nie mogła się żywić długo u siebie, i dla tego na kośćbę i żniwo wychodziła na Wołyń, a często całą zimę workami na plecach zarobione zboże znosiła czasem mil 10, np. z Kiwirzec do Cepcewicz, co sam jeszcze w r. 1818 widziałem. Potrzebując więcej ludzi do wyrobku leśnego, Ogiński sprowadził mieszkańców ludniejszego nierównie Powiśla. Na Polesie też udał się Leon Poniatowski z Podlasia w r. 1800, sprzedawszy 3 zagony (tressulcos) dziedzicznej ziemi, na pisarza fabrycznego; ale w rok już pleni-potentem, a we dwa zięciem generała fligiel-adjutanta Onufrego Moszyńskiego został.

Nie chłopci téżto byli owi Mazury do fabryk leśnych używani; wielka część ich dotychczas ma przywileje oryginalne Alexandra Jagiellończyka, Zygmunta Starego, Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i sam je u nich zachowane widziałem. Wielu z nich przyszło z rodzinami, rozrodziło się i zmarło, chociaż szli tylko na lat kilka dla zarobków.

O przywilejach zatém szlacheckich nie myśleli, a nie będąc o nie pytani, zapomnieli o nich. Cesarz Mikołaj I utworzył z nich klasę podatkową, ale za chłopów ich nie liczył. Chłopi zaś przechodzić z miejsca na miejsce nie mogli wtedy, kiedy Mazurzy na Polesie przybyli; osiedlając się mogli tymczasowo w budach, przeto dla różnicy od innych Mazurów, Budnikami są nazywani.

Na Polesiu chłopów wcale nie ma między Mazurami, a ci co tam są w niewielkiej liczbie, później przyszli.

Moralność Mazurów jest taka, że kiedy w r. 1850 przyjęto w pewnym domu na klucznicę Mazurkę, i klucze jej jako symbol godności wręczono; 50-letnia staruszka ją prosić żeby ją nauczyć zamki otwierać. Wtedy dowiedzieliśmy się, że Mazury zamków nie używają u siebie. Mieszka ich kilkadziesiąt rodzin na mojej ziemi, i nietylko nigdy żadnej sprawy o nich w jurydykcyach niema, ale o żadną kradzież nigdy ich nie podejrzewano. I tak się wszędzie dzieje gdzie szynków na budkach nie było, a bywało ich zawsze bardzo mało. Kiedy im zaproponowano teraz żeby się zapisali do gmin i ziemię czynszową wzięli na własność, nie zgodzili się.

Po wyrobieniu lasów zostały pnie, na których osiedli, pobudowali się, założyli najprzód ogrody, potem pola wyrobili. Ludność rosła, a lasy malały; wzięli się więc do ulubionego Mazurom rolnictwa, i z wyrobników czynszownikami zostali, choć się wyrobnictwa leśnego nie wyrzekają. W rodzinie każdy syn doszedłszy do pełnoletności, żeni się i jest zrazu wyrobnikiem, płacąc czynsz z ogródka, na którym wznosi sobie mieszkanie, uprawia pole i zostaje czynszownikiem, nie rzucając leśnego wyrobnictwa dopóty, dopóki mu prace rolnicze około ziemi wszystkiego czasu nie pochłoną.

Wychowanie dzieci jest u nich przedmiotem szczególnej troskliwości. Ile tego miejscowe okoliczności pozwalają, trzymają w domu nauczycieli, którzy im dzieci pisać, czytać i rachować uczą, choćby sami rodzice tego wszystkiego nie umieli. Pisarz fabryczny, który w Siemiatyczach ledwo trochę łaciny i arytmetyki u księży Misyonarzy liźnął, posłał syna do szkół, potem do uniwersytetu, potem zagranicę. Biedaby mu było, jeżeliby na każde pytanie ojca Mazura nieuka moralnie odpowiedzieć nie umiał. A pytania bywały takie, że ich nietylko niejeden postępowy technik rozwiązać, ale i zadać nie potrafi.

Życie czynne i pracowite przy rozwoju inteligencyi, której nam nikt nie odmawia, jest przyczyną, że przy pracy i oszczędności ubodzy przechodzą na czynszowników, dzierżawców, właścicieli; albo na urzędników, profesorów, rektorów uniwersytetu, mecenasów, sędziów, prezesów, senatorów. Kiedy ogromne dobra Mayrałów przez edywyizye rozdzielły się na pojedyncze wioski, to je osiedli prawie wyłącznie mazurscy dorobkowicze, z których każdego ojciec jeżeli nie on sam był klepczarzem, balarzem (piłujący bale), popieluchem--potem pisarzem, ekonomem, rachmistrzem, rządcą, komissarzem, miernikiem, a nakoniec dzierżawcą i właścicielem. Mogę wskazać nie jedną rodzinę, której jeden członek jest właścicielem włości i wychowuje dzieci brata w łapciach chodzącego razem ze swojami. Ten brat chodzi w łapciach, bo pomocy od brata nie przyjmuje.

Taki dorobkowiec pewno sam wyrobem belek, klepek, balów okrętowych i masztów, potażu, potem smoły kierował; nie potrzebuje rady budników, bo sam z nich pochodził, ani pozwalając

by go oszukiwali, bo o tém nigdy żaden Mazur budnik, osobliwie ten co już na smolarza wyjdzie, nie pomyśli. I sumienie nie pozwoli mu na to, i dalszą drogę miałby sobie zagrodzoną.

Między Mazurami nie ma żebraka; nigdy nie kłamią, kłamstwem a nawet reklamą się brzydzą.

Mazury nie będą pracować z innymi najemnikami, i brzydzą się robotą nie na wydział. Kobiety ich za nic na zarobek iść nie chcą; mężczyźni dozorowania ich w pracy nie cierpią, a pracują usilnie i skutecznie, więcej, prędzej i lepiej zrobią od innych, ale pracują ile chcą.

Taka praca jest niepraktyczną dla ziemian rolników, przywykłych do pilnowania ludzi roboczych od wschodu do zachodu słońca. Jak wilkiem orać, tak Mazurem w polu robić nie można; to też sami Mazury z wilkami się porównują. Dla tego bardzo nieogłędnie czynią ci, co utraciwszy Mazurów robotników, zamiast czynszu pieniężnego robocizny od nich wymagają.

— Dr. filozofii T. T. Bratranek, professor estetyki i literatury niemieckiej w Uniwersytecie Jagiellońskim, o którego tłumaczeniu listów A. E. Odyńca z *Kroniki Rodzinnéj*, wspomnieliśmy w przeszłym zeszycie Biblioteki Warszawskiej, znanym jest z udatnego przekładu poematu Wincentego Pola, p. n.: „Mohort”.

— Muzeum archeologiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego, zbogaca się coraz przy staraniach i zabiegliwości Dr. Józefa Łepkowskiego, coraz nowymi zabytkami. Oprócz wspaniałego daru barona Edwarda Rastawieckiego, i wykopalisk *Kantaka*, zbiór ten się z dniem każdym powiększa, i wartoby pomyśleć o album fotograficzném tego muzeum. W niém przedstawić co już w niém jest, a w miarę nowych zdobyczy i darów, tablice dalsze fotograficzne, powiększałyby też pomienione album. Dla badań archeologicznych, byłaby to nie mała przysługa.

Mówiąc o tych zabytkach nie możemy zapomnieć *Rocznika archeologicznego* wydanego przez pana Krzyżanowskiego w Krakowie niedawno. Obejmuje stron 111 bujnego druku, z których 47 zajmują zapiski bibliograficzne X. Polkowskiego, dalej przedruk relacji o pogrzebie zwłok Kazimierza W. 1869 r. i drobne wiadomości, w ostatku spis zbiorów polskich. Ale spis ten wcale niedokładny, bo niemasz w tym *Roczniku* nawet wspomnienia o najznakomitszych zbiorach, jak Działyńskich w *Kórniku*, Czartoryskich w *Sieniawie*, Szembeków w *Porębie*, Potockich w *Krzyszowicach*, Lubomirskich w *Przeworsku*, Potockich w *Zatorze* i *Łańcucie*, Rzewuskich w *Podhorcach*, Branickich w *Suchej*, Pawlikowskich w *Medyce*, Tarnowskich w *Dzikowie*, Moszyńskich, Mieroszewskich, Tomasza Zielińskiego w *Kielcach*, teraz Bronikowskich w *Warszawie*, Ambrozego Grabowskiego, Makowieckiego z Gdańska teraz w *Krakowie*, Wielopolskich, Krasieńskich i Rogowskiego w *Ołpinach* i wiele jeszcze i bardzo wielu.

— Od 1 stycznia 1871 r. zacznie wychodzić w Poznaniu *Tygodnik Wielkopolski* naukowy, literacki i artystyczny pod Redakcją p. Edmunda Calliera. W prospekcie nadesłanym czytamy: „Tygodnik Wielkopolski zawierać będzie: 1. Biografie znakomitych ziomków i cudzoziemców. 2. Poezye, dramata, podróże, powieci i najnowsze badania w każdej gałęzi nauki. 3. Sprawozdania z umysłowego ruchu. 4. Obszerne wiadomości bibliograficzne i krytyczne. 5. Korrespondencye. Tygodnik bierze sobie za główny cel odbijać życie umysłowe W. Księstwa Poznańskiego. Wychodzić będzie w każdą sobotę w formie wielkiego arkusza.

— *Sobótka* pismo illustrowane, wychodzące od dwóch lat w Poznaniu nakładem tamecznego księgarza Mieczysława Leitgebera, z nowym rokiem przybiera obszerniejsze rozmiary, i przyrzeka staranniejsze drzeworyty. W tym celu redakcja postarała się o zdolnego ksylografa, który wyłącznie pracować ma dla tego pisma. Pismo to obecnie liczy do trzech tysięcy prenumeratorów, a redakcyę główną objął p. Wiktor Hłasko.

— Z dniem pierwszym listopada otwartą została we Lwowie w lokalu Zakładu naukowego imienia Ossolińskich, oprócz zwykłej czytalni, czytelnia druga, przeznaczona wyłącznie dla badaczy naukowych, oraz muzeum, które od godziny 3—5 po południu, będzie mogło być zwiedzane. Od tegoż dnia biblioteka wypożyczać będzie książki.

— P. Wł. Miłkowski autor broszury o Albercie Brandeburskim i tłumacz książki księdza Segura pod nap.: „Wolno-mularze” ogłosił prospekt z zapowiedzeniem, iż wyda przekład: „Dziejów filozofii starożytnej” Dr. Laforeta w dwóch wielkich tomach, których druk ma być ukończony w przeciągu kilku miesięcy.

— Wyszedł w Krakowie tom czwarty sprawozdania komisji fizyograficznej o. k. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, obejmujący pogląd na czynności dokonane w ciągu roku 1869, oraz materiały do fizyografii Galicji.

— W Krakowie w r. b. wyszły w polskiem tłumaczeniu prozą dwie pięcioaktowe tragedye, hr. A. K. Tołstoja, napisane oryginalnie w części prozą, a w części wierszem nierymowanym: „Śmierć Iwana Groźnego” i „Car Fiodor Iwanowicz”. W utworach tych przedstawił autor pełen prawdy obraz swego narodu z XVI wieku. Przedstawienie podobne pewnej epoki historycznej w jakiejbądź formie, wykazujące ustrój państwowy danego kraju, pojęcia religijne, oświatę i obyczaje jest zajmującym i nauczającym. Pomimo, że p. Szczełgunow jeden z krytyków utrzymuje, że już w miejscowej literaturze postawiono pomniki na mogiłach Turgeniewa, Ganczarowa i hr. Tołstoja, jako ideałom i typom już przebrzmiałym, tłumacz przeciwie dwóch rzeczonych tragedyj, widzi w autorze znajomość serca ludzkiego, bezstronne wykazanie cnót i przywar opisywanej epoki, w układzie samym pełno prostoty, bez naciągania, bez chorobliwej przesady, przy których doznaje się złudzenia, że rzeczywiste wypadki przesuwają się przed

oczyma. Drukująca się w *Kłosach* hr. Tołstoja powieść p. n.: *Książę srebrny*, jako utwór swobodniej używający ram obszernych, dokładniej i dosadniej maluje nam, tak epokę ówczesną, jak społeczność i wszystkie postacie powołane do działania.

Nabyć je można w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Z nowszych publikacyj rossyjskich dziennik miesięczny *Dielo* wylicza ważniejsze, których podaje rozbiór krytyczny. I tak: *Rozkolnictwo i jego znaczenie w ruskiej historii* Szczapowa. Rozkolnictwo, mówi autor, łącznie z innymi doktrynami w których ważną grało rolę, było w Rosyji czynnikiem застоju i nieruchawości. Kiedy na Zachodzie za czasów nawet scholastyki i mistycyzmu, umysł zaostrzał się w powszechnej samodzielności myślenia, np. w sporach nominalistów z realistami, w Rosyji myśl narodowa zamykała się dogmatyzmem. Poza granicami wyrobniczego sensualizmu i empiryzmu, nie było dla niej innej sfery, prócz teologicznego i mistycznego dociekania. Ten nastrój umysłów nie tylko przeszkadzał rozwojowi rozumu i pojęć, doprowadzał masy do pomieszania wyobrażeń, hallucynacyj, wytępiania się, dzieciobójstwa, rozpusty, ale nadto nie dopuszczał cywilizacyjnego wpływu Europy, podniecając zawzięć i pogardę do wszystkiego obcego. Wiekowe panowanie wiary nieoświeconej, bez rozwoju sił umysłowych, wyrodziło w narodzie nieoświeconym bezmyślny pociąg ku sporom religijnym, mnóstwo szkodliwych dla jego rozwoju zabobonów, przesądów i sekt rozkolniczych.

Z takiego stanowiska dziś p. Szczapow zapatruje się na znaczenie rozkolnictwa, widząc wiarę religijno-obrzędowej stronie resztki pogańskich pojęć fińskich i słowiańskich plemion; zabytki przejęte od Greków bizantyjskich, dawnych odszczepieńców; od ewangelików, żydów, mahometan i t. d. A przecież przed kilkoma laty dostrzegał w nim religijny wyraz włościańskiego samorządu i protestacyą mass przeciw wszystkiemu, co krępowało rozwój życia ziemiańskiego, odrzucanie podstawy reform Piotra W.

Rzut oka na stanowisko kobiety w dziejowem życiu narodów pani Zybin. W małej tej książeczce, więcej sprawozdawca znajduje liryzmu, niżeli rzeczywistych podstaw. Jestto tylko historia kobiety indyjskiej, jako zapowiedź do obszernego dzieła.

Skarbczyk dla dzieci p. Sorokina: w dziełku tém widzi sprawozdawca braki wspólne innym podobnym publikacyom. W naszym ustroju społecznym, który się dopiero zaczyna kształcić, mówiąc między innymi, należy w dziecku przedewszystkiém rozwijać ogólne pojęcia, ogólne uczucia; tymczasem autor *Skarbczyka*, jak inni na tém polu bawią dziecko anegdotkami, łakotkami klasycznej estetyki, a nie dają żywotnemu organizmowi żywotnego pokarmu ogólnie ludzkich pojęć i uczuć!..

System polityczny Piotra III, pana Szczebalskiego. I tu skarży się sprawozdawca, że piszący w Rosyji o międzynarodowych i politycznych stosunkach, nie nauczyli się dotąd traktować tych rzeczy tak, żeby je można czytać bez nudy, nie mówiąc już o powabie.

Książkę Szczebalskiego, mówię, mogą chyba czytać tylko ci prenumeratorowie, jacy jeszcze zostali *Ruskiemu Wiestnikowi* (pismo miesięczne), który pierwszy drukował ową pracę autora tak dalece, że ten zbiór literackiej starzyzny nie *Ruskim gońcem*, ale raczej *snem jego* nazwałby się powinien.

Wiestnik Europy, (Goniec Europejski) dziennik historyczno-polityczno-literacki, wychodzący miesięcznie od lat pięciu, pod redakcją Stusińkowicza, na miesiąc październik r. b. obejmuje w sobie między innymi, Turgieniewa: *Stepowy król-lis*, powieść. Alexander Humboldt (dalszy ciąg) obszerny życiorys, Fizyologia procesu roślinnego, Szkice społeczności angielskiej, Szkice ogólnego ruchu za Alexandra I, Pamiętniki o Niemczech. Wojna i Cywilizacja, Kronika wojenna, Przegląd krajowy i t. d.

— Tyle zasłużony w literaturze naszej uczony prawnik Romuald Hube, rozpoczął wydanie ważnego dzieła swego pod tytułem: *Historia praw karnych słowiańskich*, którego w tych dniach wyszedł tom pierwszy, obejmujący historią prawa karnego ruskiego ze źródeł opracowaną, od czasów najdawniejszych aż do końca panowania cesarza Alexandra I-go. W przedmowie autor nadmienia: „W czasach, w których porównawcza nauka prawodawstw, tak obszerne zaczyna zajmować miejsce w dziedzinie wiedzy naszej, obrobienie wszechstronne i ile być może wyczerpujące historii prawodawstwa każdego oddzielnego narodu, zyskuje na coraz większym znaczeniu. Przez nią przyrabia się jedno z ogniw, które z czasem mają utworzyć wielką całość, obejmującą całą ludzkość.”

— Wyszedł zeszyt trzeci, kończący tom pierwszy, dzieła Henryka Struve, doktora i profesora C. W. Uniwersytetu, pod tytułem: *Wykład systematyczny logiki, czyli nauka dochodzenia i pomnażania prawdy*. Większa część tej pracy poświęconą jest historii logiki w Polsce. Dwie następne części stanowiące całość autor ma przygotowane do druku, lecz wydanie dalsze czyni zawieszonym od przyjęcia, jakie pozyska tom teraz ogłoszony. Spodziewamy się, że publiczność oceni zdolność, pracę i poświęcenie się autora i współzuciem swoim przyspieszy wydanie pozostałych tomów dzieła, podnoszącego nasze ukształcenie naukowe.

CZYTELNIA
LUBOWA
W G. SZYBIE

† Dnia 5 listopada r. b. o godzinie 10 rano zakończył w Warszawie życie ś. p. Julian Bartoszewicz, jeden z najznakomitszych badaczy dziejowych. W jednym z następnych zeszytów naszego pisma podamy obszerniejsze, o tym mężu zasłużonym wspomnienie.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1870.

Ekonomia.

	Stron.
O kassach pożyczkowych na wzajemności opartych, przez <i>Felixa Zielńskiego</i>	265

Materyały historyczne.

Nieogłoszone dokumenta dotyczące się klasztoru w Łędzie, przez <i>Władysława Nehring</i>	66
O łanach i włókach, przez <i>Wilhelma Kolberga</i>	429

Biografia.

Głos serca na wieść o śmierci Bronisława Trętowskiego.....	135
--	-----

Archeologia.

Mieszkania jeziorne <i>Ludwika Pigorini</i> . (Przekład z włoskiego). Przez <i>P.</i>	345
---	-----

Pedagogika.

Stron.

Kwestya życia. Wyjątek ze starych szpargałów Dra M. Pirogowa. (Prze- kład z rossyjskiego).....	180
---	-----

Literatura.

Poezya ludowa Madiarów, przez <i>Hr. Dora d'Istria</i> Przekład S. z <i>Ż. D.</i>	49, 401
Neo - Druidyzm bretoński w Walii. Yollo Morganwg. Według notat nie- drukowanych Henri - Martin, przez S. z <i>Ż. D.</i>	165

Dramat.

Tymon z Aten. Tragedya w pięciu aktach. W. Szekspira, przez <i>E. L.</i> .	203, 371
--	----------

Poezya.

Trzy Sonety, przez <i>Adama Maszewskiego</i>	47
W szpitalu. (Z Nekrasowa), przez <i>Józefa z M.</i>	425

Powieść.

Nie w porę. Powieść, przez <i>Teresę Prażmowską</i> . (Dokończenie).....	1
--	---

Korrespondencya.

Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna:

Poemat Abbona z IX wieku. Napad Duńczyków. *Nie można wziąć Pary-
ża!* - Dzieło Edgara Quinet o „Stworzeniu”. - Quinet. - Mickie-
wicz. - Michelet. - Panteon wiedzy ludzkiej. przez Bronisława
Trentowskiego. - Córki Maryi Leszczyńskiej, (*Mesdames de France*)
przez p. Barthelemy. - Towarzystwo między-narodowe pomocy dla
rannych podczas wojny. - Henryk Dunaut twórca instytucyi. -
Konwencya Genewska. - Ambulansy w Paryżu. - Wiersz pana Pail-
lerons: Wyprawa. - Nowa szkoła lekarska dla panien, program
nauk. - Dwie odezwy pań francuzkich. - *Gęby użyteczne i nie uży-
teczne*.....

83

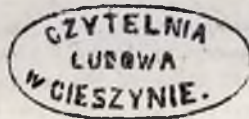
Z Drezna. Konserwatyzm niemiecki. - Przywiązanie do tradycyi. - Od-
rębność życia prowincjonalnego. - Wioska Ammargau w Bawa-
ryi. - Dyalog „o Męce Pańsklój.” - Próby z niego, przez naoczne-

go świadka. — Panna Klara Ziegler, znakomita tragiczna aktorka. — Zamiłowanie w Niemczech do dzieł Szekspirowskich. — Rocznik Szekspirowski. — „Burza” (dramat). — Dr. Juliusz Pabst. — Czasopismo cesarsko-królewskiego muzeum, dotyczące sztuk i przemysłu. — Falszerstwa starodawnych przedmiotów sztuki. — „Jeo- grafia świata handlowego.” — „Lieder zu Schutz und Trutz.” — „Die Sternwarte.” — Odnowienie katedry św. Wita w Pradze Czeskiej. — Nowe dzieła. Przez <i>M. K.</i>	116
Najnowsze publikacye niemieckie: „Elsass und Lothringen sind und bleiben unsern, von Wolfgang Mentzel. Elsass und Lothringen, und ihre wiedergewinnung für Deutschland, von prof. Dr. Adolf Wagner. Elsass und Lothringen, von Adolf Smith ord. prof. an der Uniwer. von Jena”. — Sławna Biblioteka Strasburska. — Margrabia de Pombal, przez Luiza Gomez. — Brewiarz króla pruskiego przez Juliusza Janina. — „En Autriche”, przez Ludwika Deprés. — Missya kobiety w czasie wojny, przez panią William Monode. — Dla ranych: scena dramatyczna E. Manuela. — Zmarła księżniczka Amalia, siostra króla saskiego.....	270
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>W. W.</i>	299
Nowe badania nad celtyzmem w Austryi, pp. Starck, Goehlert, Obermüller. — Dzieło p. Obermüller p. t.: <i>Deutschkeltisches geschichtlich-geographisches Wörterbuch, zur Erklarung der Fluss-Berg-Orts-Gaw-Voelker und Personen-namen, Europas, West-Asiens und Nord-Afrikas etc.</i> — Ludy galskie na ziemiach dzisiejszego państwa Austryacko-Węgierskiego według badań Starcka. — Literatura madiarska, poeta Garay i jego poematy „Mojżesz węgierski i Arpad”. — Podróże Nilsa, powieść Ksawerego Marmier, nowego członka akademii francuzkiej. — Szkic do powieści, znalezionej w papierach Napoleona III. — „Hrabia Horn”, nowy dramat Józefa Weilen.....	433
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>Fr. Kr.</i>	468

Pismienictwo krajowe i zagraniczne.

Dante Alighieri Boska komedya, przekład Ant. Stanisławskiego. Drezno. 1870. Przez <i>X.</i>	150
Goplana. Poznań i Berlin. 1866. Przez <i>R.</i>	161
Stanisław Orzechowski i wpływ jego na Rzeczpospolitą w obec reformacyi XVI wieku. Rzecz historyczna. Napisał Ludwik Kubala Dr. filozofii. Lwów. 1870. Przez <i>X.</i>	301
Powieści: „Hazardy.” W I tomie przez Władysława Łozińskiego. Lwów. 1870. — „Kilka słów o ś. p. Walerym Łozińskim.” — „W otchłani,” nowella W. Gomulickiego. — „Błyszczące nędze,” powieść w I tomie M. Bałuckiego. Kraków, 1870. — „Milion na poddaszu,” powieść w I tomie, przez Jana Zacharysiewicza. Poznań 1870. — „W mętnój wodzie,” przez J. I. Kraszewskiego. Poznań, 1870. — Przez <i>Edwarda Lubowskiego</i>	313

Przegląd utworów dramatycznych z r. 1869. Przez <i>Piotra Chmielowskiego</i> ..	476
Początkowa nauka czytania i pisania, ułożona przez <i>F. F. Sławińskiego</i> . Warszawa. Przez <i>Wł. N-i</i>	489
Analiza Matematyczna (<i>Математический Анализъ</i>), przez <i>P. Z. Woskresenskiego</i> . Warszawa. 1870. Przez <i>K. S.</i>	490
Noworoczne podarki. A. B. C. pierwsza nauka dla dzieci, ułożył <i>Wł. Lud. Anczyc</i> .— Na kolanach babuni, opowiadanie dla dzieci. — Księga sławnych odkryć geograficznych.— Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej.— Biblioteka dla młodocianego wieku. — Wiązanka dla młodocianego wieku na rok 1871.— Wianek. Dziełko poświęcone dorastającej młodzieży, zawierające powieści, obrazki wierszem i prozą, komedyjki, opowiadania i wspomnienia historyczne. — Kwiat preryi między Indyjczykami. Powieść z Zachodnio-południowej Ameryki. Z 8ma kolorowanymi obrazkami.— <i>Robinson Szwajcarski</i>	491
Wiadomości literackie.....	162, 335, 496
Od redakcyi Biblioteki Warszawskiej.....	344



S P R O S T O W A N I E.

Na str. 430, w wierszu drugim.
zamiast: na prawie polskiem
czytać: na prawie niemieckiem i polskiem.



WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE

RODAWANE PRZEZ

KSIĘGARNIĘ I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH


GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie.

Krakowskie Przedmieście Nr. 415. (Pałac Hr. Potockiego).

Nr. 4.

Rok 1870 od Lipca do końca Października.

 Uwaga. Ceny książek za granicą drukowanych mogą ulegać zmianie, stosownie do kursu pieniędzy.

Wypisujący jednorazowie dzieł za Rs. 5, kosztów przesyłki nie ponoszą. Wyłączają się z tego książki w cenie niższe, szkolne, na prenumeratę wychodzące i kalendarze.

Wszelkie dzieła tak polskie jakoteż zagraniczne oraz nuty muzyczne, przez gazety lub czyjekolwiek katalogi ogłaszane, księgarnia powyższa również dostarcza.

Abecadlnik w wierszykach. napisał W. B. wydanie trzecie, z obrazkami, str. 48 w 8-ce, Poznań, 1870, kop. 40.

Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z archiwum tak zwanego Bernardyńskiego we Lwowie, wydane staraniem Galicyjskiego wydziału krajowego. Tom II str. VII i 285 w 4-ce, Lwów, 1870, Rs 2.

ANCZYC, Wł. L., A B C. pierwsza nauka dla dzieci z wielu rycinami, str. 148 w 8-ce, Warszawa, oprawne, kop. 45.

ANCZYC, Wł. L. Dzieje narodu Węgierskiego popularnie napisał, 70 str. w 12-ce, Kraków, 1870, kop. 20.

ANCZYC, Wł. L. Księga sławniejszych odkryć geograficznych, przeznaczona dla dorastającej młodzieży, podług najnowszych źródeł zebrana. Wydanie drugie. Z wielu drzeworytami, str. 272 w 8-ce, oprawne Rs. 1 k. 20.

ANCZYC, Wł. L. Przygody prawdziwe żeglarzy i podróżników pośród dzikich ludów kuli ziemskiej, w 16-ce str. 305, Warszawa, 1870, z 8 rycinami, oprawne, Rs. 1 kop. 20.

- BALASNY, Mikołaj. Początkowy Samouk russkiego języka dla umięjących czytać po polsku, 63 str. w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 12¹/₂.
- BAŁUCKI, Michał. Błyszące nędze, powieść współczesna, w 12-ce str. 367, Kraków. 1870, Rs. 1.
- BELINGER, J. Krótki rys Jeografii w dwóch kursach dla użytku młodzieży, wydanie siódme, przejrane i poprawione, str. VIII 94 w 8-ce, Bochnia, 1869, kop. 30.
- BERTHOUD, Eugeniusz. Poświęcenie kobiety, powieść z francuzkiego, str. 256 w 8-ce, Lwów, 1870, Rs. 1 kop. 20.
- Biblioteczka* nauk przyrodzonych i ich zastosowań, wydawana staraniem Stanisława Kramsztyka, III Głos i jego wysokość z 10 drzeworytami. 50 str. w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 20.
- BLUMENSTOK, Dr Leon. O wpływie medycyny sądowej na rozwój pojęcia dzieciobójstwa. Wykład habilitacyjny miany dnia 10 maja 1869, 58 str. w 8-ce, Kraków, 1869, kop. 25.
- BLUMENSTOK, Dr Leon. Sprawozdanie sądowo-lekarskie o stanie cielesnym i umysłowym Barbary Ubrykównej, 36 str. w 12-ce, Kraków, 1870, kop. 35.
- BLUMENSTOK, Dr Leon. Uwagi sądowo-lekarskie i przypadek samobójstwa przez powieszenie, 33 str. w 8-ce, Kraków, 1869, kop. 25.
- BLUMENSTOK, Dr Leon. Uwagi sądowo-lekarskie nad ósmym listem Juniusza, 15 str. w 8-ce, Kraków, 1869, kop. 25.
- BLUMENSTOK, Dr Leon. Pogląd na obecny stan kwestyi o poczytalności, w 8-ce str. 41, Kraków, 1870, kop. 25.
- BOURDON, Matylda. Agata czyli pierwsza komunja, tłumaczone przez M. A. str. 205 w 8-ce, Drezno, 1870, kop. 80.
- BRENDEL, Dr. Liszt jako symfonik, z dodatkiem artykułu krytyczno-muzycznego, przez Ludwika Leona Gozlana, spolszczył W. T. str. 85 w 8-ce, Lwów, 1870, kop. 65.
- BUCKIEWICZ, Adam. Sposób wyrabiania płynnych nawozów tak zwanych flamandzkich i węgla uzwierzonego oraz projekt założenia w Warszawie fabryki tychże nawozów, 52 str. w 12-ce, Warszawa, 1870, kop. 22¹/₂.
- BURZYŃSKI, Piotr. Prawo polskie prywatne. Tom II obejmujący część II o prawie rodzinném i część III o prawie majątkowém, poświęcony na pamiątkę ogłoszonej przez Kazimierza W. przed 500 latami, to jest w roku-1368 ostatniej części tak zwanych Statutów Wiślickich, Zeszyt 1—3 w 8-ce, str. 1—328, Rs. 2.
- CHAIGNON, X. Rozmyślenia dla wiernych. Przekład z drugiego wydania francuzkiego, Warszawa, 1870, 24 zeszytów czyli 4 tomy, Rs. 4 k. 80.
- CHECIŃSKI, Jan. Wiązanka zawierająca powiastki, wiersze i opowiadania dla młodego wieku na rok 1871 (z rycinami), str. 351 w 8-ce, Warszawa 1870, kartonowane, Rs 1 kop. 20.
- CHODŹKO, Ign. Podania litewskie. Serya pierwsza i druga, 359 str. w 8-ce, Warszawa, 1870, Rs. 1.

CHRZANOWSKI, Thadée. Description du pont sur le Boug près de Térésopol chemin de fer Térésopol-Brest fol. pp. 27 avec 10 planche, Varsovie, 1871. Rs. 4 kop. 50.

Cycerona Marka Tulliusza, Mowy przełożone przez E. Rykaczewskiego. Tom I str. XXXIX i 578 w 8-ce, Paryż, 1870, Rs. 2 kop. 40.

CZEMERYŃSKI. O dobrach koronnych byłej Rzeczypospolitej polskiej wedle źródeł wiarogodnych, w II działach. Lwów. 1870, w 8-ce str. 290 i 104, Rs. 1 kop. 65.

DEBREYNE, O. J. C. O teologii moralnej uważanej w stosunku jej do fizjologii i medycyny, z piątego wydania francuzkiego na język polski przetłumaczył X. Magnuski, w 8-ce str. XII 394, Warszawa, 1870, Rs. 1 kop. 20.

DICKENS, K. Klub Pikwicka, przekład z angielskiego, w 8-ce, Tom I str. 352, Tom II str. 271, Lwów, 1870, Rs. 2 kop. 70.

Do Ameryki. Wedle prawdziwego opowiadania Szymona, spisał dla ludu Mieczysław z Poznania, w 16-ce str. 75, Poznań, 1870, kartonowane, 20 k.

DOBIESZEWSKI, Zyg. Dr. Rzut oka na urządzenia szpitalne w niektórych krajach Europy, str. 94 w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 60.

Dokąd idziesz, str. 14 w 16-ce, Drezno, 1870, kop. 5.

DREWNOWSKI, Franciszek. Pogląd na wyrób i konsumcyę piwa w Królestwie Polskiem, str. 44 w 8-ce, Warszawa, kop. 75.

Dzieci Wdowy. Powieść moralna dla dojrzałej młodzieży. Z niemieckiego na polski język przełożona (przez R. Magierskiego i Jana Wnukowskiego) wydanie drugie, Gniezno, 1870, kop. 30.

Dziedziczka bogata. Komedya w pięciu aktach przerobiona z tekstu francuzkiego, 152 str. w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 50.

DZIESZKOWSKI, Ka. Damian. Zbiór nabożeństwa ku czci Boga, Najśw. Maryi Panny i Świętych Pańskich, dla wygody wiornych Chrystuśowych a mianowicie Bractwa Rożańca świętego zostających, wydanie ósme pomnożone, w 8-ce, str. XXIV i 472, Warszawa, kop. 75.

DZIKOWSKI M. Dziewczyna, powieść, str. 127 w 8-ce, Warszawa, 1871, kop. 60.

Elementarz języka polskiego z obrazkami dla dzieci, w 16-ce, str. 31, Warszawa, 1870, kop. 37 1/4.

ELJASZ, Walery. Ilustrowany przewodnik do Tatr, Pienin i Szczawnic, pisał i ilustrował W. Eljasz, 264 str. w 8-ce, i mapą Tatr litogr. Poznań. 1870, Rs. 1 kop. 80.

ELSENBERG, J. Książka do czytania, zawierająca przedmioty dzieciom najpotrzebniejsze. Wydanie trzecie powiększone, 168 str. w 8-ce, Warszawa, 1870, 25 kop.

ESTREICHER, K. Bibliografia polska 120,000 druków. Część I stulecie XIX. Katalog 50,000 druków polskich lub Polski dotyczących od r.

- 1800, ułożony abecadłowo według autorów i przedmiotów, z wyrażeniem cen księgarskich. Wydanie Tow. Nauk. Krak. staraniem Komisji Bibliogr. Zeszyt 1-szy, w 8-ce str. XVI i 20, przedpłata za dwa zeszyty, Rs. 3 kop. 60
- FLAVIGNY, hr. de. Modlitwy za zmarłych, przekład Juliana Milkowskiego, 446 str. w 32-ce, Warszawa, 1870, Rs. 1.
- GAUME, X. J. Zasady i całość wiary katolickiej czyli wykład jej historyczny, dogmatyczny, moralny, liturgiczny, apologetyczny, filozoficzny i socyalny, od stworzenia świata aż do naszych czasów. Przekład z francuzkiego podług 6-go wydania paryzkiego, poprawnego i znacznie pomnożonego. Wydanie trzecie. Kraków. Przedpłata na całość w 8 tom. Rs. 6 kop. 75, z przesyłką Rs. 7 kop. 50.
- GAWLIK, Dr. O ratowaniu osób nagłą utratą życia zagrożonych, w 16-ce str. 45. Wadowice, 1870, kop. 15.
- Głos świętych.* Zbiór myśli, przepisów i rad zalecony wiernym przez J. E. kardynała arcybiskupa Lyonu i przez biskupów miast Sééz i Troyes przełożył z francuzkiego J. Z., w 32-ce str. 252, Kraków, 1870, k. 35.
- GOLDSZMIT, Józef. Wykład prawa rozwodowego podług ustaw mojęszowotalmudycznych. Z ogólnym poglądem na ich rozwój i uwzględnieniem przepisów obowiązujących, str. V i 206, Warszawa, 1871, Rs. 1 k. 20.
- GORDON, J. Grzechy Krystyny królowej hiszpańskiej. Powieść historyczna (podług oryginału francuzkiego), str. 216 w 8-ce, Lwów, 1870, Rs. 1.
- GOSSELENKs. Władza papieża w średnich wiekach; według drugiego wydania, znacznie powiększonego, przełożył Dr Władysław Godlewski. Tom II, 177 str. w 8-ce, Kraków, 1870, każdy tom kop. 75.
- Gulliver* dla dzieci, czyli najciekawsze przygody tego wędrowca. Wydanie drugie (po polsku i po francuzku), Warszawa, 1870, w 8-ce str. 97 i rejestr, kop. 70, wydanie kolor. Rs. 1.
- Gwiazdka* czyli kołęda na rok 1869 i 1870. Książka zbiorowa ilustrowana. Rok siódmy i ósmy, w 8-ce str. 216 i II. Warszawa, 1870, kop. 30.
- HAHN-HAHN, Ida, hr. Eudoxya, obraz z V-go wieku, 350 str. w 8-ce, Kraków, 1870, kop. 70.
- HELCEL, Antoni, Zygmunt. Starodawne prawa polskiego pomniki z ksiąg rękopiśmiennych dotąd nieużytych, głównież zaś z ksiąg dawnych sądowych ziemskich i grodzkich ziemi krakowskiej, wyciągnął i wydał. Tom II XIX i 958 str. w 8-ce, Kraków. 1870, Rs. 10.
- JACHOWICZA St., prace obejmujące powiastki, bajki i wiersze różne, w 16-ce. Kraków, 1870, w oprawie z rycin. czarnemi kop. 60, kolorow. kop. 90.
- JACKOWSKI, H. T. J. Namowa do wstrzemięźliwości, str. 114 w 8-ce, Pelplin, 1870, kop. 15.
- JANIKOWSKI, Dr And. Prof. Wiadomości o ratowaniu osób napozór zmarłych lub zagrożonych nagłą utratą życia i o zapobieganiu tym nieszczęśliwym przypadkom, str. XXI i 131, Kraków, 1870, kop. 45.
- JANOTA, E. Dr. Obrazki z życia zwierząt, Kraków, 1870, z rycinami, w 12-ce, 2 części w 1 tomie, oprawne, kop. 60.

- JANOTA, E. Dr. Wypisy niemieckie dla pierwszej i drugiej klasy gimnazjalnej. Wydanie drugie, str. VIII i 246, Kraków, 1870, kop. 80.
- JASTRZĘBOWSKI, Wojciech. Zagroda ochronna dla ludzi i pielęgowanych przez nich istot, przedstawiająca z siebie: sposób zmniejszania wielkich nurozów, upalów, zapobiegania cholery i innym zarazom, oraz przedłużania i ulepszenia życia ludzkiego, str. 46 w 8-ce. Warszawa, 1870, kop. 25.
- Kalendarz* astronomiczno-ziemiański na rok zwyczajny 1871. Rok I, w 4-ce, Warszawa, kop. 20.
- Kalendarz* dla izraelitów na rok stworzenia świata 5681 (rozpoczynający się dnia 14 (26) września 1870, a kończący się d. 3 (15) września 1871 roku), ułożony pod redakcją Izaaka Kramstüek, str. XXXII i 117, Warszawa, 1870, kop. 60.
- Kalendarz* dowowo-gospodarski na rok zwyczajny 1871. Rok drugi, w 4-ce, Warszawa, kop. 20.
- Kalendarz* domowy i gospodarski na rok zwyczajny 1871, rok III, str. 96 i XV w 8-ce Warszawa, kop. 10.
- Kalendarz* ilustrowany na rok zwyczajny 1871. Józefa Ungra, Warszawa, kop. 50.
- Kalendarz* na rok 1871 (z obrazkami), str. 220 i 24 w 8-ce, Warszawa, kop. 20.
- Kalendarz* popularno-ziemiański na rok zwyczajny 1871. Rok XXI, w 4-ce, Warszawa, kop. 20.
- Kalendarz* rodzinny na rok zwyczajny 1871, str. 172 w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 15.
- Kalendarz* premiowy ilustrowany na rok zwyczajny 1871, rok szósty, w 4-ce, Warszawa, kop. 30.
- Kalendarzyk* miniaturowy na rok 1871, zawierający święta rzymsko-katolickie, święta ruskie uroczyste, dnie galowe i święta izraelskie, oraz mapkę kolei żelaznej w guberniach Królestwa Polskiego. Warszawa, kop. 5.
- Kalendarzyk* pugilaresowy na rok 1871, Warszawa, kop. 3.
- Kalendarzyk* pugilaresowy na rok 1871 z mapką Teatru Wojny, kop. 3.
- Katalog* wystawy płodów rolniczych i gospodarskich, odbytej w roku 1870, w Warszawie, str. 138 w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 30.
- Katechizm* rzymsko-katolicki większy dla archidiecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej, str. 221 w 8-ce, Gniezno, 1870, kop. 35.
- KISIELEWSKI, Aleks. Przechadzki po polu i ogrodzie (z drzeworytami), str. 45 w 8-ce, Część I, Lwów, 1869, kop. 15.
- KLECZKOWSKI, Józef. O dopuszczalności dowodu ze świadków wedle kodeksu Napoleona, str. 38 w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 30.
- Kodeks* karny dla związku północno-niemieckiego, z dnia 31 maja 1870 r. 9¹/₂ ark. w 8-ce, Berlin, 1870, kop. 45.
- KORZON, Tadeusz. Historycy pozytywiści, Studium krytyczne, od str. 42 do 72, Warszawa, kop. 25.

- KRASZEWSKI, J. I. Rzym za Nerona, obrazy historyczne, w 8-ce, str. 283, Kraków 1866, Rs. 1 kop. 20.
- KREMER, A. Dr. Słowniczek prowincjonalizmów podolskich, ułożony w Kamieńcu Podolskim w roku 1863, str. 82, w 8-ce, Kraków 1870 kop. 50.
- KRZYŻANOWSKI, Stanisław. De Simonis Ocolscii monachi ordini Sancto Dominico: sacro addicti vita et scriptis historicis praemissa notitia literaria eorum, qui in eodem argumento perpendente versati sunt. Dissertatio inauguralis quam summis in philosophia honoribus rite capessitis amplissimi philosophorum ordinis c. r. universitatis literarum Jagello-nicae Cracoviensis auctoritate typis mandandam curavit auctor Stanislaus Dębno de Wola Siemieńska Krzyżanowski, pag. 35 w 4-ce, Cracoviae 1870, kop. 40.
- KRZYŻANOWSKI, Stanisław. Rocznik dla archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich rok 1869, str. 111, w 8-ce, Kraków kop. 85.
- Kucharka* litewska, zawierająca przepisy gruntowne i jasne, własnym doświadczeniem sprawdzone, sporządzania smacznych, wykwintnych, tanich i prostych, rozmaitych rodzajów potraw tak mięsnych jako i postnych, oraz ciast, legumin, lodów, kremów, galaret, konfitur i innych dessero-wyć przysmaków, tudzież rozlicznych aptecznych zapasów, konserw i rzadszych, specyałów z przydaniem na początku książki dokładnej dyspozycji stołu przez W. A. L. Z. Wydanie czwarte poprawne i zna-cznie pomnożone, str. XXVIII i 528, w 8-ce, Wilno 1870, Rs. 2.
- LAKORDER, O. Henryk Dom. O Jezusie Chrystusie, konferencye miane w kościele N. P. Maryi w Paryżu, przekład A. Nowosielskiego, str. 227 w 8-ce, Żytomierz, Rs. 1 kop. 20.
- Leczenie* naturalne i pewne epilepsji (wielkiej choroby, kurczów), 12 wydanie str. 39, w 16-ce, Berlin 1869, kop. 10.
- LEJA, Emilia. Obrazki historyczne skreślone na tle dziejów państwa Rzym-skiego, począwszy od Romulusa i Rema, aż do Oktawiana Augusta pier-wszego cesarza tego narodu, str. 170, w 8-ce małej, Warszawa 1870, kop. 50.
- LEWALD, Fanny. O emancypacji kobiet, czternaście listów, tłumaczenie upoważnione przez autorkę, str. 157, w 8-ce małej, Toruń 1870 kop. 67¹/₂.
- LEWANDOWSKI, J. II. Synopsis wnętrzaków pasożytnych (robaków wną-trznych trzewiowych), systematyczne zestawienie z treściwym opisem: przetworu, ustroju, siedliska, tudzież szkodliwego ich wpływu na orga-nizm człowieka i zwierząt domowych, zastosowane dla użytku lekarzy i weterynarzy, z 8ma tablicami rycin, w 8-ce str. IV i 66 IV, War-szawa 1870, kop. 60.
- ŁUKOMSKI, Jan. Wypisy polskie, część I albo średnia. Wydanie czwarte, str. IV i 252, Warszawa 1870, kop. 65.
- MACÉ, Jean. Arytmetyka dziadunia czyli historia dwóch młodych sadowników, przełożył na język polski Antoni Eger, (z 15 drzeworytami) w 8-ce str.

- 153, Kraków, 1869, na zwyczajnym papierze kop. 40, na welinie kop. 75.
- MAJLNOWSKI**, Fr. ks. X. Krytyczne uwagi nad rozprawą ks. Choińskiego: „Słowo o języku polskim”, wydana w Poznaniu 1870, s. 28, w 8-ce wielkiej, Poznań 1870, kop. 30.
- MAŁECKI**, Antoni. Gramatyka języka polskiego mniejsza, dla użytku gimnazjów i szkół realnych ułożona. Wydane trzecie, str. XIV i 310 w 8-ce, Lwów, kop. 90.
- Materiały** do klimatografii Galicyi, zebrane przez Sekoyę meteorologiczną komisji fizyograficznej c. k. Tow. Nauk. Krak., Rok 1869, (odbitka ze sprawozdania kom. fizyograficznej), str. 249 i kartą litograficzną, Kraków, 1870, Rs. 1.
- Metoda** nowa, nauczania się łatwym sposobem pierwszych zasad języków, ruskiego, polskiego, francuzkiego i niemieckiego. Wydanie 14-ste: w 12-ce, str. 225, Warszawa, 1870, kop. 52 1/2.
- Metoda** praktyczna języka francuzkiego podług ósmego wydania niemieckiego popularnego językoznawstwa, w 16-ce str. 72, Warszawa, 1870, kop. 20.
- Mucha**, szkice satyryczno-humorystyczne, zebrane przez F. Kostrzewskiego, H. Pillatego i innych. Zeszyt XI, 10 rycin, w 4-ce, Warszawa 1870, kop. 25.
- MURRAY**, Ch. A. Kwiat Preryi między Indyjczykami, powieść z zachodniopółnocnej Ameryki, przerobiona dla młodzieży przez Józefa Betkowskiego, 8 rycin kolorowanych, str. 354, w 8-ce, Toruń, oprawne Rs. 2 kop. 40.
- Na** kolanach babuni, opowiadania dla dzieci, ozdobione 12 stalorytami kolorowanemi. Wolny przekład z francuzkiego, str. 212 w 8ce. Warszawa 1871. Kartonowane Rs. 1 kop. 20.
- Nauki** podczas trzydniowego nabożeństwa w wielkim poście miane w Dreźnie przez X. B. J. str. 110 w 8-ce. Drezno. 1869. kop. 40.
- NIEMEYER**, Dr. Feliks. Wykład patologii i terapii szczegółowej. Przekład uskuteczniiony z ostatniego siódmego wydania niemieckiego pod przewodnictwem ś. p. prof. Dra. Bronisława Choynowskiego przez studentów medycyny Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Tom I str. 848, Tom II str. 879 i VI. Warszawa 1870, Rs. 12.
- NOWODWORSKI**, Ks. M. Książd Karol Surowiecki, str. 121 w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 30.
- OLLENDORFF**, G. H. Teoretyczno-praktyczna metoda nauczania się czytać, pisać i mówić po włosku w sześciu miesiącach. Dzieło zupełnie nowe. Podług oryginalnej edycyi Jos. Reale, Professora języka włoskiego wo Florencyi. Przepisane i dla użytku Polaków zastosowane przez B. L. Warszawa, 1870, zeszyt 1 z przedpłatą na 4 zeszyty Rs. 3.
- Oltarz** złoty nowy. Zbiór nabożeństwa dla chrześcian katolików z przydatkiem pieśni nabożnych dla użytku wiernych ułożony. Wydanie nowe, w 8-ce str. 719, Warszawa, 1870, kop. 45.

- OSIECKI, J. Włochy, przewodnik dla podróżnych, str. 180, w 24-ce, Wenecya 1870, kop. 45.
- Pamiętnik* kielecki na rok zwyczajny 1871. Rok drugi, Warszawa kop. 60.
- Papież* i ludy. Druga poprawna edycja, str. 47, w 8-ce, Berlin, 1870 kop. 20.
- PARCZEWSKI, A. J. Monografia Szadku, w 16-ce, str. 100, Warszawa 1870, kop. 30.
- PIETRZYCKI, Edward. Nauka teoretyczna i praktyczna rachunkowości kupieckiej, pojedynczej i podwójnej, dla użytku w szkołach handlowych i przemysłowych. Zeszyt I, dział teoretyczny, str. XVIII, 227, w 8-ce, Lwów, 1870. Rs. 1 kop. 10.
- PINART X. Pokarm duszy chrześcijańskiej, albo rozmyślania bolesnej męki Jezusa Chrystusa z dodaniem modlitw do spowiedzi i komanii ś., oraz dwóch sposobów słuchania mszy ś. (przekład z francuzkiego), Warszawa, 1870, w 12-ce str. 564, kop. 82¹/₂.
- PLUG, Adam. Przyjaciele, bajka Krasickiego, dyalogowana (Bibl. Mrówki Tom 23) str. 141, w 16-ce, Lwów, 1870, kop. 20.
- POPLIŃSKI, A. Przykłady do tłumaczenia z łacińskiego na polskie i z polskiego na łacińskie do etymologii łacińskiej gramatyki. Część II zawierająca formy nieregularne, na Quintę. Wydanie 4-te przejrane i poprawione przez J. Molińskiego. w 8-ce str. 170, Poznań 1870, k. 60.
- Przegląd* bibliograficzny piśmiennictwa polskiego, Rok III, Poznań, kop. 35.
- Przewodnik* ekonomiczny, pismo poświęcone sprawom rolnictwa, przemysłu, handlu i ubezpieczeń. Kraków 1870, wychodzi raz na tydzień. Prenumerata roczna Rs. 4, z przesyłką Rs. 5.
- Religia* w rolnictwie, Warszawa 1870, w 8-ce str. 15, kop. 15.
- REWIŃSKI, Stanisław. Rachunkowość gospodarska, str. 67 w 8-ce, Warszawa 1870, kop. 45.
- ROGALSKI, Leon. Świat duchów czyli sny, przeczucia i widzenia. Serya III 285 str., w 8-ce, Warszawa Rs. 1 kop. 20, cena poprzednich dwóch seryi Rs. 2 kop. 40.
- ROGOJSKI, J. B. Poradnik życia gospodarczego jako kalendarz na rok 1871, str. 312, w 16-ce, Warszawa, kop. 37¹/₂.
- Rzemieślnik* Polski, pismo illustrowane, in folio, Londyn 1870, Nr. 1 i 2gi po kop. 5.
- SCHENKEL, Kar Dr. Cwiczenia greckie, podług szóstego wydania niemieckiego do polskiego języka zastosował Dr. Zyg. Samolewicz, wydanie 2gie str. 224, w 8-ce, Lwów 1871, kop. 82¹/₂.
- SCHOBER, Jan. Gramatyka języka niemieckiego, według 23go wydania niemieckiego przeł. i do użytku młodzieży polskiej zastosowana przez E. Rebena, str. 220 w 8-ce, Kraków 1870, kop. 60.
- SCHWARTZ, Zofia Marya. Pieniądz i imię, przełożył B. Sz. Tom I str 184, Tom II str. 195, w 8-ce, Lwów 1870, Rs. 2.
- SEGNERI, Paweł W. O. T. J. Nauka o dobrej spowiedzi, z włoskiego przełożona na język polski przez jednego kapłana tegoż zakonu, wydanie drugie, str. 212, w 12-ce, Peplin 1870, kop. 27.

- SEGUR ks. biskup de. Dziecię Jezus, kolęda dla dzieci, 78 str. w 16-ce. Kraków 1870, kop. 15.
- SKIBA, Wołody. Kwiat z Sumatry, powieść (Bibl. Mrówki Tom 25) w 16-ce str. 264, Lwów, 1870, kop. 45.
- ŚLAWIŃSKI, F. F. Początkowa nauka czytania i pisania, str. 59, w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 15.
- SOULIÉ, Fryderyk. Pamiętniki szatana, tłumaczenie z francuzkiego, Warszawa, 1870, zeszyt 1—26, po kop. 10, (w ogóle będzie zeszytów 30).
- SOWIŃSKI, Leonard. Fragment powieści, str. 36, w 12-ce, Lwów, 1869, kop. 35.
- STARYKOŃ, Józef. Dawniej za wcześniej, dzisiaj za późno; Obrazek z życia codziennego, w 3 aktach, str. 64, w małej 8-ce, Drezno, 1870, kop. 40.
- STATKOWSKI, Julian. Przystępny wykład pierwszych zasad Ekonomii społecznej moralnej zebrali z niemieckich i francuzkich autorów, własnymi uwagami pomnożył, str. 122, w 8-ce, Warszawa, 1870, kop. 30.
- Statystyka* krótka, gubernij Królestwa Polskiego, obejmująca rozległość i ludność tychże gubernij, oraz wykaz miast, osad i gmin (przedruk uzupełniony ze Skorowidza do Dziennika Praw, wydany w połowie r. 1870). Warszawa, 1870, w 12 ce, str. 63, kop. 20.
- STOCKMANN, Aleksander. Nauka o chorobach skóry (Dermatologia), przekład Dr. J. Neumann'a: „Lehrbuch der Hautkrankheiten”, z 49 drzeworytami w tekście, w 8-ce, str. 307 i XVII, Warszawa 1870, Rs. 3.
- STORCH, Henryk. Ekonomia polityczna czyli wykład zasad pomysłowości narodowej. Dzieło używane przy udzielaniu tej nauki Najjaśniejszemu Cesarzowi (wówczas W. X.) Mikołajowi I-mu i Jego Cesarzowiczowskiej Mości W. X. Michałowi. Tom I. str. 344 w 8-ce. Warszawa 1870 Rs. 1.
- Szkola*, czasopismo poświęcone sprawom szkół niższych tudzież seminaryów nauczycielskich. Redaktor Bronisław Trzaskowski, Tom V 1870, pierwsze półroczcie, str. 416, w 8-ce, Lwów, 1870, Rs. 2 kop. 50.
- SZPADERSKI, Ks. J. Katechizm, czyli nauka religii katolickiej dla młodzieży polskiej. Wydanie drugie poprawione, str. 186 i VI w 8-ce, Warszawa 1870, kop. 30.
- SZPADERSKI, Ks. Józef. O zasadach wymowy, mianowicie kaznodziejskiej, Odczyty akademickie Tom I. Zasady wymowy str. XV i 333, Tom II Historia wymowy str. 514, w 8-ce. Rs. 4.
- TELEŻYŃSKI, A. Olej skalny i jego zastosowanie w przemyśle i w życiu codziennym, str. 71, w 8-ce, Lwów, 1870, kop. 70.
- TOLSTOJ, A. K. hr. Car Fiodor Iwanowicz. Tragedya w pięciu aktach str. 135, w 8-ce, Kraków 1870, Rs. 1.
- TOLSTOJ, A. K. hr. Śmierć Iwana Groźnego. Tragedya w pięciu aktach, str. 132 w 8-ce, Kraków, 1870, Rs. 1.
- TRUSIEWICZ, Ignacy. Kwiaty i owoce, str. IV i 321, w 8-ce wielkiej, Kijów, 1870, Rs. 1 kop. 50.
- TYSZYŃSKI, Alexander. Professor. Pierwsze zasady krytyki powszechniej T. I, at r. IV, III i 256. T. II str. 307, w 8-ce, Warszawa 1870, R. 3.

Ustawa Uniwersytetu Warszawskiego, oraz przepisy egzaminacyjne na stopnie lekarskie: naukowo-praktyczne i naukowo-służbowe, str. 57 i XIV, w 16-ce, Warszawa, 1870, kop. 30.

Vademecum, ad infirmos str. 96, Cracoviae 1870, kop. 20.

VILLE, Jerzy. Konferencye rolnicze. O nawozach chemicznych, tłumaczone przez Polikarpa Szlązkiewicza, z dwiema tablicami rycin. Warszawa, 1870 w 8-ce, str. X i 275, Rs. 1 kop. 50.

WANDASIEWICZ, Nauczyciel czyli sposób uczenia dzieci w pierwszej klasie szkół ludowych, str. 71, w 8-ce, Kraków, 1869, kop. 30.

Warszawianin, Kalendarz familijny na rok zwyczajny 1871, Rok II, str. 80, w 8-ce i 4 tablice, Warszawa, kop. 10.

WEINERT, Alexandor. Zabytki dawnych urzędzeń sądowych miasta Warszawy. Część druga, str. 50, w 8-ce, Warszawa 1870, kop. 40.

Wiadomości różne pożyteczne ku nauce i rozrywce, str. 70, w 8-ce, Kraków 1870, kop. 40.

WITUSKI, Dr. L. O życiu i dziele optyczném Vitellona, str. 80, w 8-ce, Poznań 1870, kop. 40.

Wojna w roku 1870 z ilustracyami. Zeszyt I—IV, w 8-ce, Warszawa 1870, zeszyt pojedynczy kop. 20, w prenumeracie kop. 15.


WSZEBOR, J., Dr. med. Przyrząd ssący D-ra Dieulafoy, zastosowany do leczenia wysięków w oplucnej, str. 22, w 8-ce, Warszawa 1870 k. 20.

Wzory kwiatów rysowane na kamieniu przez głuchonieme uczennice Warszawskiego instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Zeszyt pierwszy. Kontury, 15 tablic w 4-ce, Warszawa 1870, kop. 75.

ZACHARJASIEWICZ, Jan. Milion na poddaszu, obrazek z niedawnej przeszłości, str. 236, w 8-ce, Poznań 1870, Rs. 1.

ZAKRZEWSKI Wincenty, Dr. Powstanie i wzrost Reformacyi w Polsce 1520—1572, str. 282, w 8-ce, Lipsk 1870, Rs. 1 kop. 65.

ZDANOWICZ, Alexander. Chrestomathie française pour les enfants depuis l'age le plus tendre. Nouvelle édition revue et corrigée, str. VIII i 252 w 12-ce, Wilna 1870, kop. 45.

 Nra **1, 2, i 3** Wiadomości bibliograficznych, tudzież katalog książek w cenie zniżonych, księgarnia na każde wezwanie bezpłatnie dostarcza.

